

„To dobrze opowiedziana historia. Zaczyna się niewinnie,  
jak spływ kajakowy, ale już po chwili słyszysz huk wodospadu.

Brawo, Grześlak!” — ROBERT MAŁECKI

# MIASTO ILUZJI PISTOLETY

KONRAD  
GRZEŚLAK



WYDAWNICTWO  
IRENA DRĄGA

**KONRAD  
GRZEŚLAK**

**MIASTO ILUZJI  
PISTOLETY**



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Miasto iluzji*  
tom I: *Pistolety*

Copyright © 2020 by Konrad Grześlak  
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)  
Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Justyna Chmielewska  
Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Maria Zając

ISBN: 978-83-66512-05-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadrage.pl](mailto:info@soniadrage.pl)  
[www.soniadrage.pl](http://www.soniadrage.pl)  
[www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2020

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Michałow...*

## Osiem lat wcześniej

„Do zobaczyska, stary”.

Zostawił kumpla w namiocie, obrócił czapkę daszkiem do tyłu i poprawił plecak. Ten sam, w którym od trzech miesięcy nosił swój niepokojący nabytek. Jeszcze tego ranka przyglądał mu się w namiocie, gdy kumpel poszedł z notatnikiem na molo. Chłodny metal nie uspokajał. Raczej pobudzał. Budził demony.

Ruszył w dębowy las, skąpany w promieniach zachodzącego słońca. Odszedł pół kilometra od namiotu i znalazł zacumowaną w sitowiu łódź. Stary rybak się nie uśmiechał. Prostym gestem wskazał na ławeczkę.

Dziesięć minut później wszedł przez frontowe drzwi pensjonatu na drugim brzegu. W głowie miał ułożone kilka zdań, którymi chciał przekonać gospodarza tego domu, że tak dalej być nie powinno.

I wtedy ją zobaczył – odurzoną, prawie nieprzytomną. Siedziała ze zwieszoną głową na rzeźbionym krześle pośrodku holu, a światło żyrandola omiatało jej postać jak lampa podczas przesłuchania. To wszystko wyglądało jak zasadzka, jakby już czekali na niego i zawczasu przygotowali scenografię i scenariusz. Zdał sobie sprawę, że wszyscy ci faceci wokół czują w powietrzu jego strach, tak jak gepard czuje strach antylopy, zanim rzuci jej się do gardła.

Najważniejszy z nich – szpakowaty mężczyzna w złotych okularach – uniósł kieliszek z koniakiem i przez długą chwilę patrzył, jak światło padające spod pluszowego klosza przenika na wskroś złocisty trunek.

Dziewczyna siedziała pośrodku holu, skulona, półprzytomna. Ciemne falujące włosy miała spięte wsuwkami, jak zawsze. Jeden niesforny kosmyk przykleił się do jej policzka, wilgotnego od potu i ciemnobłękitnego tuszu, który spłynął strugami spod oczu i zastygł w kącikach spierzchniętych ust.

Szpakowaty mężczyzna odstawił kieliszek na stół bilardowy. Zsunął okulary i przez chwilę pocierał nasadę nosa.

– Nawet trochę cię podziwiam, że tu przyszedłeś – powiedział miękko. – Nie myśl sobie, że nie jestem wrażliwy na takie sytuacje. Chłopak poznaje dziewczynę. Zakochują się... – Spuścił wzrok i podniósł ze stołu czerwoną bilę. – Ale nie ten chłopak i nie ta dziewczyna, kolego. Ta dziewczuszka ma swoją cenę. Obawiam się, że nie byłbyś w stanie jej zapłacić.

Ustawił bilę na stole i podniósł kij bilardowy. Zajął pozycję i wprawnym ruchem posłał bilę do najdalszej tuzy.

Dziewczyna pomimo odurzenia próbowała unieść ciężkie powieki. Zamruczała coś cicho. Mężczyzna w okularach odłożył kij i miękko krokiem podszedł powoli do jej krzesła. Pogładził ją po policzku, jeszcze bardziej rozmazując tusz. Drugą ręką wyjął z kieszeni marynarki papierową chusteczkę i wytarł dokładnie palce.

– Ona nie jest towarem luksusowym, muszę to przyznać. Trochę wybrakowana. Słaba jest w te klocki. Normalnie nie trzymałbym jej u siebie i moglibyście odpłynąć w siną dal. – Obszedł dziewczynę dookoła jak archeolog przyglądający się antycznej rzeźbie z urwanym ramieniem. – Niestety ma swoich amatorów. Wielbicieli. Są ludzie, którzy bardzo sobie cenią jej... oryginalność.

Pozostali faceci przyglądali się tej scenie w milczeniu. Mężczyzna w okularach skończył obchód umęczonej dziewczyny i przystanął za nią tak, że chłopak widział ich twarze obok siebie. Ofiarę i jej prześladowcę, twarz przy twarzy, skąpane w świetle żyrandola. On – elegancki, władczy. Ona – nieruchoma i bez życia.

– A więc przyszedłeś tu. Jak prawdziwy facet. Okej, szanuję to. Jesteś prawdziwym facetem, tak? – Podniósł dłoń dziewczyny. – Prawie jak do ojca, prosić o rękę najmłodszej córki. Bardzo to miłe.

Puścił jej dłoń. Opadła bezwładnie.

– Ale wiesz, czego ojcowie nie lubią najbardziej? Kiedy chłopak nie jest szczery. Kiedy nie może się powstrzymać. Dobry ojciec nie lubi, gdy nie ma żadnego wyboru. To poniżające, że musi oddać córkę przybłędzie, czy tego chce, czy nie.

Odszedł kilka kroków. Spojrzał po zgromadzonych i wskazał palcem na nieruchomą istotę siedzącą pośrodku.

– Panowie, kiedy indziej dałbym wam tę suczkę razem z jej frajerem i skrzynką wódki. Nie mam wątpliwości, że do rana rozwiązałibyście wszystkie moje problemy. – Przerwał z krzywym uśmiechem, a po sali przeszedł szmer aprobaty.

Psy poczuły juchę.

*Mężczyzna uniósł dłoń w uspokajającym geście. – Ale nienawidzę, kiedy ktoś stawia mnie pod ścianą. Wtedy zawsze biorę sprawy w swoje ręce.*

*Kiwnął na łysego faceta z kijem baseballowym. Ten podszedł i wręczył go szefowi, wyraźnie zafascynowany tym, co miało się za chwilę wydarzyć. Wszyscy patrzyli teraz na szefa i dziewczynę. Mężczyzna ruszył z kijem w dłoń, zaglądając chłopakowi głęboko w oczy.*

*Chłopak zamarł. Nie czuł w tym momencie nic. Ani strachu, ani wściekłości, żadnej myśli, która wybiegałaby w przyszłość. Nie czuł nawet własnych rąk i nóg. Był tylko głową, kamerą. Nieruchomym mścicielem z westernu tuż przed spotkaniem ze swoją nemezis. Człowiekiem z Harmonijką. Oczy chłopaka przesuwwały się milimetr po milimetrze, śledząc ruchy mężczyzny, który jak w zwolnionym tempie sunął z kijem w kierunku dziewczyny i nie spuszczał magnetycznego wzroku z chłopaka – jak Henry Fonda w Dawno temu na Dzikim Zachodzie.*

*Mężczyzna przytknął w końcu powieki i wziął głęboki zamach. To wystarczyło. Czar prysł. Chłopak odzyskał czucie w dłoniach i poczuł chłód metalu.*

*Uniósł pistolet i wystrzelił.*

CZĘŚĆ I

**PISTOLETY**

*Droga do piekła wybrukowana jest niedokończonymi dziełami.*

PHILIP ROTH

*...he loved guns and roses...*

LANA DEL REY



**Piątek,**  
**6 października, 8:05**



# 1

Dusi ją gołymi rękami. Zaciska je na jej szyi. Twarz, którą zna od zawsze, robi się coraz bardziej czerwona. Ale on nie chce nikogo zabijać. Chce tylko, żeby już sobie poszła i dała mu święty spokój.

Poczuł, że kobieta stojąca za jego plecami, otoczona trującą chmurą ciężkich perfum, bezceremonialnie wbija mu łokieć pod łopatkę. To wyrwało go z jego morderczych marzeń, które wypłynęły minutę wcześniej z podświadomości bez żadnego ostrzeżenia. Boże, co za myśli... Przysunął się bliżej szyby, prawie rozpląszczył się na niej i rozpaczliwie poszukiwał komórki w kieszeni płaszcza. W końcu udało mu się ją wyłuskać – było już pięć po ósmej, a on stał w korku w sto szesnastce na żoliborskiej ulicy Słowackiego.

Autobus dotoczył się w końcu do światła. Ktoś z magistratu postanowił rozkopać jezdnię i odnowić asfalt na wyjeździe z placu Wilsona. W piątek rano. Nie można było poczekać do późnego wieczora, żeby tacy jak on mogli w spokoju dojechać do pracy? Skrzywił się. Zostać? Wysiąść? Przejechać metrem do placu Bankowego? W lecie fajnie było czasem uderzyć z buta przez Ogród Saski, żeby mieć przed pracą chociaż minimalny kontakt z przyrodą. Nawet jeśli ta przyroda to były poźółkłe chore kasztanowce i stadka rozleniwionych kaczek.

Ale teraz był październik. Od zeszłego piątku było zimno, mokro, wstrętne. W zeszły piątek przyjechała ona. Dwudziestoosmioletni urzędnik Marcin Bielawski zrobił w głowie szybką kalkulację. Został w autobusie, przygnieciony do szyby przez ekspansywną współpasażerkę, walcząc z głową, żeby już więcej nie kazała mu mordować własnej matki. Siedemnaście minut później wysiadł przy hotelu Bristol i z ulgą odetchnął wilgotnym śródmiejskim smogiem. Kilkadziesiąt kroków, trzy olbrzymie kałuże wyminięte zgrabnymi piruetami. Wreszcie pałac Potockich – siedziba Ministerstwa Kultury. Jeszcze tylko ciężkie

drzwi i Marcina Bielawskiego powitało smutne zimne lobby, pachnące starością i kurzem.

– Dzień dobry – powiedział.

Facet z ochrony nie oderwał wzroku od zalanego deszczem parkingu na służbowym monitorze. Marcin zdusił kichnięcie i zerknął na centralny punkt lobby. W drewnianej skrzyni stał tajemniczy nabytek ministerstwa – rzeźba zesłorocznego absolwenta ASP, której od miesiąca nikomu nie chciało się rozpakować.

Wszedł do lewego skrzydła, gdzie mieścił się jego departament. Tam zimne lobby z zakurzoną posadzką, tu korytarz wyłożony miękką wykładziną, na której nawet buty na obcasie nie wydawały żadnego odgłosu. Ciepłe światło kinkietów, olejne reprodukcje dziewiętnastowiecznych mistrzów – choć Marcin nie miałby nic przeciwko temu, żeby zamiast martwych natur wisiały tu stare plakaty filmowe.

Zdziwił się, gdy przeszedłszy kilka kroków, zobaczył większość pań z departamentu w zwartym kółeczku. Ściszonymi głosami wymieniały jakieś ważne wiadomości. Dziwne. Coś musiało wytrącić je z równowagi.

– Dzień dobry – mruknął.

Odprowadziły go aż pod drzwi jego pokoju nieco ponurym wzrokiem, na który nie zasłużył, a przynajmniej nic o tym nie wiedział. Wytrzymały w ciszy do momentu, gdy zniknął za drzwiami. Wtedy znów usłyszał podniecone szepty, ochy i achy.

Patrycja, koleżanka z pokoju, oderwała wzrok od ekranu.

– No, jesteś w końcu – powiedziała. – Jak droga?

Zdjął płaszcz i zerknął na jej pyzată buzię, próbując odgadnąć, czy dziewczyna ma dziś ochotę na ich poranną porcję absurdalnych historyjek. Przyszło mu do głowy, żeby zwierzyć się jej z sytuacji w domu. Ale nie, nigdy nie rozmawiał z Patrycją o prywatnych sprawach. To nie był dobry moment, żeby przełamywać schematy.

– Na Wilsonie złapało mnie trzęsienie ziemi. – Wymyślał na poczekaniu. – Autobus wpadł w rozpadlinę, musieliśmy go wszyscy wyciągać. Potem opatrywałem kierowcę, miał strzaskany piszczel. Jakoś dowiózł nas na Krakowskie, a potem umarł. Wiesz, dzień jak co dzień.

– No to miałeś poranek – podsumowała Patrycja bez entuzjazmu.

– A tu wszystko gra? – Marcin wygładził marynarkę. – Nie widziałem nigdy na naszym korytarzyku takiego sabatu czarownic.

– Przyniesiesz mi kawę, to cię wtajemniczę.

Sabat na korytarzu wciąż trwał i na widok Marcina czarownicy znów złowrogo zamilkły. Tak złowrogo, że Marcin zaczął się zastanawiać, czy przed weekendem nie nawalił z czymś ważnym. Zanim dotarł do ekspresu w pustym akuracie sekretariacie, zdążył przeanalizować wszystkie swoje potencjalne wpadki, ale nie znalazł nic, co mogłoby wprawić departament w aż taką konsternację. Podstawił filiżankę pod ekspres, odczekał chwilę, po czym dosypał cukru i dolał mleka – tak jak lubiła Patrycja.

Kiedy mijał gabinet zastępcy dyrektora, drzwi otworzyły się z impetem. Marcin zakotłosał się, z całych sił starając się nie rozlać kawy na wykładzinę. W progu stanął zastępca dyrektora, Zawadzki. Miał wieczniewie podkrążone oczy z lekkim wytrzeszczem, przez co Marcin nazywał go w myślach Lemurem.

– Panie Marcinie – wyrzucił się z siebie szybko Zawadzki, wybałuszając oczy i unosząc wysoko brwi. – Dobrze, że pan w końcu jest. Mamy awaryjną sytuację. Niech pan dopije poranne espresso, a potem proszę do mnie zapukać. Tylko niech to będzie maks za piętnaście minut. Naprawdę.

Marcin pokiwał głową. Lemur z tą samą zaaferowaną miną zniknął w swoim gabinecie.

– No dobra, to w czym rzecz? – spytał Marcin dwie minuty później. Patrycja wysiorbała resztki kawy i odstawiła filiżankę na blat. – Co jest grane? Zawadzki wpadł na mnie przed chwilą i bardzo chce ze mną rozmawiać.

– Zawadzki? – zdziwiła się Patrycja. – Nie wiem, co on ma z tym wspólnego. Ale generalnie chodzi o to, że w sobotę była duża narada. Jakaś szycha z ministerstwa finansów strasznie cisnęła, że są zawirowania w budżecie i trzeba uwalić większość wniosków o dotacje.

– Pięćset plus się nam dobiera do tyłka?

– Być może. Minister podobno tylko siedział i kiwał głową. Za to nasza szefowa zagroziła, że poda się do dymisji.

– Honorowa babka. – Marcin pokręcił głową. – Jak na dzisiejsze standardy. No i?

– No i kobieta jest na wylocie. Cały weekend wyplakiwała się do słuchawki wszystkim swoim koleżankom. Wiesz, jak to jest. Wygadały się i poszło w świat. A przynajmniej na nasze korytarze.

„Żegnaj, spokoju. Nic nie może przecież wiecznie trwać” – pomyślał Marcin, próbując sobie przypomnieć, kto śpiewał tę piosenkę.

– I co? Nic nie powiesz? – spytała Patrycja.

Anna Jantar. Marcin drgnął.

– Na pewno to przykre – powiedział. – Dała się lubić.

– Myślisz, że my też oberwiemy przy okazji?

– Ty tu jesteś dłużej. – Oparł się o biurko. – Chroni nas prawo. Chyba.

– Chyba.

Zamarł z uniesioną dłonią – już chciał zapukać do gabinetu Zawadzkiego, gdy zdał sobie sprawę, że musi iść się wysikać. Pogadanki Lemura potrafiły przeciągać się w nieskończoność.

Wszedł do toalety i ledwo zdążył rozpiąć rozporek, gdy drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich Zawadzki. Widok Marcina przy pisuarze najwyraźniej bardzo go ucieszył.

– O, jest pan – wymruczał i pogładził twarz. – Co prawda nie w moim gabinecie, ale to może i lepiej. Jest ktoś? – Wskazał grubym palcem na kabiny.

– Nie, chyba nie – wyjąkał Marcin i poczuł dreszcz na plecach. Pogadanka z Lemurem, i to w kiblu...

– Świetnie.

Zastępca dyrektora podszedł do drugiego pisuaru i zaczął mocować się z rozporkiem. Udało się. Skończyli w tym samym momencie i podeszli do umywalek. Marcin nacisnął dozownik i zaczął myć ręce, dłużej niż zwykle, jakby wspólne oddawanie moczu z Lemurem było brudną i kalającą czynnością.

– Panie Marcinie – zaczął Zawadzki, wycierając dłonie w trzy papierowe ręczniki. – Jest kryzys. Słyszał pan?

– Co nieco już do mnie dotarło – odparł ostrożnie Marcin.

– A więc wie pan, że jest przesilenie. Pani dyrektor została delikatnie poproszona o opuszczenie swojego stanowiska. – Lemur wycierał dokładnie każdy skrawek swoich pulchnych palców. – Mam wątpliwą przyjemność znać nowego dyrektora, który pojawi się u nas za dwa tygodnie, a może i wcześniej.

– Czy ja mam z tym coś wspólnego? – Marcin poczuł, jak coraz ciaśniej omiata go zapach wody kolońskiej Zawadzkiego. Ta woń zawsze doprowadzała go do mdłości, a teraz jej źródło znajdowało się metr od niego i promieniowało z każdym słowem.

Lemur wyrzucił ręczniki do kosza.

– Rozumiem, że mam się streszczać? Okej, nie ma sprawy – sapnął. – Cała nasza praca pójdzie na marne, panie Marcinie. Wszystkim wartościowym wnioskom oberwie się za najmniejsze uchybienie. Ten, kto tu przyjdzie, to człowiek bez kręgosłupa, myśli tylko po linii dobrej zmiany.

– Przepraszam, że przerywam, ale dobrą zmianę już mamy od dawna.

– To jeszcze lepszej, jeśli wie pan, co chcę powiedzieć – ciągnął Lemur coraz ciszej, coraz bardziej sycząc. – Zamiast na kulturę kasa pójdzie na wódę i pieluchy. Skapnie tylko żołnierzom wyklętym, bo to teraz jest w modzie.

– Ale o co panu chodzi? – wystękał Marcin.

Woda kolońska i ta kanonada słów. „Wyjść, wyjść, natychmiast wyjść...”

Zawadzki zacisnął zęby, jakby zdał sobie sprawę, że dał się ponieść. Spojrzał w lustro i poprawił krawat. Oparł się dłońmi o umywalkę, aż jęknęło mocowanie pod kafelkami.

– O wniosek na dotację dla teatru Jupiter.

Marcin próbował przypomnieć sobie na szybko, o co chodzi. Czego ten facet od niego chciał? Starszy specjalista – a takie stanowisko od pół roku zajmował Marcin – miał za zadanie ocenę wniosków od strony formalnej i organizacyjnej. Nie miał żadnej mocy sprawczej.

– Z tego, co pamiętam, są braki w dokumentacji – powiedział ostrożnie. – I za mały wkład własny. Mało punktów.

– Dokumentację można uzupełnić. – Zawadzki łypnął czarnym okiem. – A kwotę dotacji zmniejszyć.

– To powinien zrobić wnioskodawca. Drogą pocztową.

– Pani Adler jest za granicą.

– Nie wiem, kim jest pani Adler, ale to nie moja sprawa.

– Ja mam te dokumenty u siebie.

– To nie przejdzie. – Marcin pokręcił głową. – Jest numer EBOI. Jest potwierdzenie w systemie. Nie ma innego wyjścia, tylko aktualizacja wniosku pocztą.

Facet wyglądał, jakby uszło z niego całe powietrze. Na oczach Marcina przeistoczył się w biednego petenta, który miał interesik do ubicia. Marcin postanowił, że gdyby tamten naciskał, to powie „odpieprz się pan” albo coś w tym stylu. Procedura składania wniosków była ściśle określona i nie pozostawiała furtki dla tego rodzaju operacji. Ktoś taki jak zastępca dyrektora powinien o tym wiedzieć.

Wtedy Zawadzki nieoczekiwanie się uśmiechnął.

– To był tylko taki żart, panie starszy specjalisto Bielawski. – Klepnął Marcina w plecy raz, drugi, trzeci. – Test na czujność. Zdał pan egzamin.

Marcin nie był przekonany.

– Zachował się pan jak rasowy urzędnik, gratuluję – ciągnął Lemur, zerkając w lustro. – Uczciwy, kompetentny, prawdziwy skarb dla ministerstwa.

– To nie było zbyt mądre.

– Musiała rzucić mi się na mózg dzisiejsza sytuacja. A wie pan, że Jan Adler, dyrektor artystyczny teatru Jupiter, kojarzy pana z nazwiska?

Po tej nieoczekiwanej wolcie nic już nie było w stanie Marcina zdziwić.

– Jest moim znajomym. – Lemur podszedł do drzwi. – Rozmawialiśmy ostatnio o departamencie i wspomniałem o panu. Mógłbym przysiąc, że wyglądał na zaskoczonego, a potem się ucieszył. Poprosił mnie o kontakt do pana.

– I co? Dał mu pan?

– Nie. Przyjdzie dziś o szesnastej do lobby. Jeśli będzie pan zainteresowany, to proszę do nas podejść.

Dotarł do swojego pokoju na miękkich nogach. W głowie huczały mu słowa Lemura, wyrzucane jak pociski. To nie był żaden żart ani blef. Nie była to też

korupcja, ale sytuacja wystarczająco dziwaczna, żeby wyprowadzić Marcina z równowagi.

Odpalił komputer i wpisał do wyszukiwarki „teatr Jupiter”. Prywatna placówka, kierowana przez ładną kobietę w typie prawniczki grubo po czterdziestce – panią Adler. Jej mąż, Jan, kierownik artystyczny teatru, lat sześćdziesiąt sześć, miał na koncie sukcesy na scenie, tyle że skończyły się one około roku 2005. Wyglądało na to, że Adler zrezygnował z aktorstwa i zajął się edukacją artystyczną. Dopiero trzy lata temu pojawił się teatr Jupiter, zainstalowany w odremontowanej starej fabryczce po prawej stronie Wisły.

A teraz teatr ten potrzebował dotacji jak powietrza. Miał młodych sympatycznych aktorów, których Marcin obejrzał w galerii zdjęć. Grał trochę klasyki i trochę współczesnych spektakli, choć Marcin, miłośnik raczej kina niż teatru, nie miał okazji widzieć żadnego na żywo. Co więcej, do tej pory nie słyszał o Jupiterze niemal nic.

Zastanowił się jeszcze przez chwilę, czy jednak nie pójść do Zawadzkiego i nie zaoferować pomocy. W domu miał jednak żonę w siódmym miesiącu zagrożonej ciąży, a od tygodnia jeszcze matkę na karku. I nie zamierzał robić niczego, co mogłoby przysporzyć mu problemów.

Pięć po czwartej większość biur była już pusta. Marcin w milczeniu siedział przy swoim biurku i wpatrywał się bezmyślnie w wyłączony ekran. Patrycja zebrała ze swojego blatu folię po rogaliku oraz styropianowe pudełko po lunchu i wyrzuciła je do kosza. Włożyła płaszcz i owinęła szyję chustką.

– Może cię podwieźć? – spytała. – Wciąż pada.

– Nie, spoko. Ale dzięki. – Marcin zerknął przez ramię.

Patrycja już chciała nacisnąć klamkę, ale powstrzymała się i zagryzła wargi.

– Wyglądasz, jakby nieźle cię trzepnęła cała ta dzisiejsza sytuacja.

– Hmm.

– Nie wiedziałam, że tak bardzo lubiłeś szefową. – Poprawiła chustkę na szyi. – Babka była okej, ale miała też swoje wady. No wiesz, ta cała sztywność, wszystko jak w zegarku. Szczerze mówiąc, zawsze miałam gęsią skórę, jak musiałam do niej iść.



Marcin słyszał jej słowa, ale nie do końca pojmował ich sens. Bezwiednie wyjął komórkę z kieszeni marynarki i sprawdził nieodebrane połączenia. Marta, jego żona. Dwa, nie – nawet trzy razy. Kiedy dzwoniła? Ostatni raz o piętnastej dziesiąt. Musiał kursować wtedy z dokumentami do kserokopiarki i zapomniał telefonu.

– No dobra, ponuraku, mam wrażenie, że gadam do ściany. Do jutra – rzuciła mu na odchodne Patrycja i zniknęła za drzwiami.

Wybrał numer Marty. Nie odebrała i w końcu włączył się sygnał poczty głosowej. Marcin wstał, ubrał się i zgasił światło. Zamknął drzwi na klucz i poszedł w stronę lobby.

Kątem oka zauważył dwóch mężczyzn stojących za pakunkiem z rzeźbą. Jednym z nich był Zawadzki. Lemur zamachał przyjaźnie dłonią, a Marcin bez entuzjazmu ruszył w jego kierunku.

– Panie Marcinie, to jest właśnie pan Jan Adler.

Marcin spojrzał na stojącego przed nim wysokiego siwego mężczyznę. Miał brązowe przenikliwe oczy i nieco obwisłe, ale starannie ogolone policzki. Bardzo przystojny, nawet mimo sześćdziesiątki na karku.

– Rozumiem, że nie udało się dziś za wiele zdziałać z wnioskiem – powiedział Adler miękkiem, dystygowanym tonem. – Nie mam pretensji. Żona chyba się nie przyłożyła. Teraz, co prawda, nie wiadomo, czy Jupiter dotrwa do przyszłego sezonu, ale nie ma tego złego. Dawaliśmy sobie radę do tej pory, damy i teraz.

Marcin słuchał Adlera z przyjemnością, ale poczuł się też nieswojo. Znał ten głos. Może z telewizji? Z jakiejś debaty? Nie, to nie to. Głęboki tenor Adlera był jakby stworzony do opowiadania przed zaśnięciem niewiarygodnych historii. Marcin przypomniał sobie bajki na czarnych winylowych płytach, które jego rodzice puszczali mu dawno, dawno temu na prehistorycznym adapterze. Co wieczór narrator z trzeszczącego głośnika czarował małego Marcinka melodyjnym głosem z wyczuwalną nutą ironii.

Tak, to musiał być on.

– Widzę, że jest pan zmęczony. Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać. – Adler uśmiechnął się znacząco do Zawadzkiego.

– Tak. – Marcin zmusił się do otwarcia ust. – To był... dziwny dzień.

- Mógłby mi pan dać wizytówkę? Mam pewną sprawę. I nie chodzi o dotację.
- Oczywiście.

Wygrzebał z kieszeni kartonik i podał Adlerowi. Pożegnał się szybko i wyszedł na zewnątrz. Postawił wyżej kołnierz płaszcza, nabrał głęboko w płuca haust wilgotnego zimnego powietrza i w zacinającym deszczu ruszył w stronę przystanku. Tak naprawdę nie miał najmniejszej ochoty wracać do domu. Ale to był jedyny kierunek, jaki przychodził mu do głowy.

**Sobota,  
7 października, 8:40**



## 2

Wiedziała, że to tylko sen. Jeden z tych nieprzyjemnych koszmarów, które ostatnio nawiedzały ją nad ranem, gdy mózg już się obudził, a ciało nie miało jeszcze siły wstać. Zamknięta w mieszkaniu, z tymi samymi meblami i sprzętami co w rzeczywistości. Nikogo oprócz niej w tym śnie nie było, tylko to mieszkanie, niby znajome, ale jakby mniejsze. Coraz mniejsze. Ściany schodziły się powoli do środka, centymetr na sekundę, do miejsca, gdzie siedziała na fotelu. Razem z nimi przysuwały się szafa, biurko, łóżko. Musi znaleźć motywację, musi się podnieść. Inaczej te meble w końcu ją zgniotą.

Otworzyła oczy i zobaczyła sufit z wyraźną linią pęknięcia na nieodmalowanym tynku. Wciąż to samo uczucie co wczoraj, przedwczoraj, trzy, cztery i pięć dni temu. Łydki spuchnięte i ciężkie, zmęczenie nawet po ośmiu godzinach twardego snu. Twarz nabrzmiała, sztywna jak porządnie nadmuchany balon. Szczęki luźne, za luźne, jakby coś je wypychało od środka. „Skoro jestem balonem, to czemu nie lecę, tylko tak bardzo, bardzo opadam? – spytała w duchu, bo materac niemal wciągał ją do środka, do sprężyn. – Co z dzieckiem?”. Chwilę później dostała odpowiedź. Delikatne ruchy małej istoty, którą nosiła w sobie. Gdy ona wstanie, ono też zaraz się rozbudzi, a potem przez cały dzień będzie wbijało jej stópki pod mostek i wypychało napiętą skórę na brzuchu.

To jeszcze nic. W sumie nic strasznego. O wiele gorsze było to, że Marta Bielawska przez cały czas czuła się tak, jakby ktoś nałożył jej na głowę stalowy hełm do nurkowania głębinowego.

Z trudem obróciła się na bok. Otworzyła usta i zacisnęła palcami nos, ale szum w uszach nie ucichł. Może nawet jeszcze bardziej ją przytknęło. Zrezygnowana opuściła dłoń za krawędź łóżka i po chwili poczuła, że jej spuchniętych palców dotyka zimny i wilgotny nos Dżeki – sześćioletniej suczki, którą razem z Marcinem adoptowali przed rokiem ze schroniska. Rozłożyła

palce i pozwoliła Dżeki pocierać się chwilę o dłoń. Ten podpalany kundelek zachowywał się czasem zupełnie jak kot.

Uczucie ciśnienia w uszach i w nosie powoli słabło. Marta usłyszała, że ktoś krząta się w kuchni: stawia na blacie talerze, wysuwa szufladę, brzęczy sztućcami. Marcin? To by była dopiero niespodzianka, w soboty zazwyczaj spał do oporu.

Obróciła się z trudem na drugi bok i spojrzała z ukosa. To jednak nie on. Jej mąż wciąż leżał zwinięty w pozycji embrionalnej, z kołdrą po szyję, ciemnymi pręgami pod oczami i półotwartymi ustami. Czyli to teściowa. Julia Bielawska, do której obecności w tym mieszkaniu Marta wciąż nie mogła się przyzwyczaić, choć ta od zeszłego piątku robiła wszystko, żeby okazać dwie rzeczy: jak wspaniałą i opiekuńczą potrafi być teściową. Oraz jak cudowną i kochaną synową jest dla niej Marta.

Półtora tygodnia temu wszystko było jeszcze w miarę normalne. Marta spakowała plecak i ruszyła w miasto szukać miejsc do fotoreportażu o nowych fajnych miejscach w Warszawie. Już miała nacisnąć migawkę w knajpie na Saskiej Kępie, kiedy nagle zrobiła się biała jak papier i pot spłynął strugą wzdłuż jej kręgosłupa. Dostała mocnych skurczy. Wszystko zawirowało, pociemniało, a na głowę Marty po raz pierwszy opadł stalowy hełm do nurkowania głębinowego, który ścisnął jej skronie i potylicę. Przerażona kelnerka zadzwoniła po pogotowie i Marta trafiła na ostry dyżur do szpitala na Inflanckiej. Przeleżała czterdzieści minut na KTG. Fałszywy alarm? Nie do końca. Coś się w międzyczasie porobiło z sercem Marty. Nadciśnienie, do którego zawsze miała skłonności. Przypałała się też lekka cukrzyca. To był siódmy miesiąc i Marta przeraziła się, że dziecku może stać się jakaś krzywda. Że urodzi przed terminem, a potem będą modlić się przy inkubatorze o zdrowie dla wcześniaka. Przyjechał Marcin, bardzo szybko, urwał się z pracy. Marta zapamiętała jego drżące dłonie, gdy wybierał numer korporacji i zamawiał taksówkę. Zapamiętała też jego wypalone spojrzenie i milczenie, gdy popatrzyła na niego w samochodzie. Jakby ten incydent wyssał z niego całą energię.

Wrócili do domu, a potem Marcin zrelacjonował wszystko przez telefon swojej mamie. Nie minęły dwa dni, gdy bez zapowiedzi pojawiła się pod

drzwiami mieszkania z czerwoną walizką na kółkach i uśmiechem Mony Lisy na nieco tylko pomarszczonej twarzy.

– Czy mama na długo? – spytała wtedy Marta, czując się jak krasnal, bo teściowa była chuda i wysoka, wyższa od niej o głowę albo nawet półtorej.

– Kochanie – odparła Julia Bielawska i zmrużyła oczy pod okularami w czarnych oprawkach. – Tyle, ile trzeba. Tyle, ile trzeba.

Gdy Marcin wrócił z pracy przed osiemnastą, jego żona i matka były już na „ty”, a Marta zdążyła poznać większość historyjek o jego wczesnym dzieciństwie. Włącznie z tą, którą Julia Bielawska opatrzyła na początku komentarzem: „Tego na pewno Marcin nigdy ci nie powiedział”. Był rok 1990, roczny Marcinek zrobił w dużym pokoju kupę na dywan („w tym samym pokoju, w którym teraz siedzimy”), a potem przyniósł swojego ulubionego misia i częstował go czekoladą. Marta dotąd nie poznała teściowej od tej strony. Po trzech godzinach pogaduszek poczuła, że stres jej odpuszcza, nawet trochę przestała się bać. Nie była tylko pewna, co oznacza nieciekawa mina Marcina, gdy zobaczył w przedpokoju czerwoną walizkę, a chwilę później swoją mamę, siedzącą w świetnym humorze na sofie.

Kolejny tydzień nie rozjaśnił jej w głowie. Nie pozwalał jej na to ten nieszczęsny hełm. Pojawiał się nagle, bez ostrzeżenia. A gdy się już pojawił, Marta nie miała siły myśleć o niczym. Miała ochotę zasnąć i spać aż do rana. Tak też robiła.

Być może dlatego nie zauważała, co się dzieje z Marcinem.

A więc sobota. Zapach jajecznicy. Śniadanie – znając Julię, pewnie do łóżka. To przypomniało Marcie o wczorajszym SMS-ie od Teresy, jej koleżanki z zaprzyjaźnionej redakcji. „Niedaleko was będzie targ śniadaniowy jutro rano. To fajny motyw do twojego story. Będziesz? Ja wpadnę. Buźka, T”.

Marcin wciąż spał, wyglądał na chorego i obolałego. Może ma grypę? Marta wstała z trudem i zdjęła z zakurzonego regału czarne pudełko, w którym trzymała swój zapas no-spy i paracetamolu. Strząchnęła rtęciowy termometr, coś zabolalo ją pod prawą łopatką. Jurek Bielawski, poczęty półtora roku po ślubie rodziców, zdenerwował się tymi nagłymi ruchami i niespodziewanie wyrznął matkę stopą prosto pod żołądek.

– O ja... – bąknęła Marta pod nosem. – Mógłbyś jakoś ostrzec?

Jurek zignorował pytanie i zapadł z powrotem w błogi sen. Marta podeszła z termometrem do Marcina. Wyglądał dziwnie. Obrócił się na plecy i mamrotał coś bezgłośnie, a pod zamkniętymi powiekami jego gałki oczne poruszały się we wszystkie strony. Włożyła mu termometr pod pachę i zlustrowała wzrokiem blat małego biurka. Obiektywy stały na baczność jak trzech *amigos* – dwóch wysokich i jeden niski.

Po paru minutach na termometrze było trzydzieści sześć i sześć, a w drzwiach sypialni stanęła Julia Bielawska, wyprostowana jak trzcina, ubrana w podomkę w stokrotki, z jasnymi włosami spiętymi w koński ogon. Zupełnie nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt trzy lata. Po tygodniu tutaj wciąż uśmiechała się tajemniczo, ilekroć widziała Martę, chociaż Marta nabrała przekonania, że za tym uśmiechem nie kryje się żaden sekret. W dłoniach trzymała talerz z posypaną szczypiorem jajecznicą, plasterkami pomidora i dwiema kanapkami z szynką.

– A ten dalej śpi? – spytała na powitanie. – No przecież szkoda dnia.

Marta miała na końcu języka coś w rodzaju obrony dla Marcina: że chodzi do pracy, że może ma prawo się wyspać. Ale przypomniała sobie o targu śniadaniowym i zdjęciach. Sama nie da rady. Zerknęła za okno. Po raz pierwszy od tygodnia nie padało. Słońce wręcz wdzierało się przez szybę i zachęcało do wyjścia.

– Chodź do salonu, Martusiu. Zjedz, póki ciepłe. – Teściowa okręciła się na pięcie i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do dużego pokoju. – A Marcina to ja zaraz obudzę. Nie martw się. Mam w tym wprawę, uwierz mi.

Marta odgarnęła z czoła ciemne włosy. Czowała się spocona i nieświeża. Najchętniej weszłaby pod chłodny prysznic na co najmniej pięć minut, a dopiero potem coś zjadła. I może nie jajecznicę. Coś lekkiego. Sałatkę, jakiś owoc.

– No chodź, kochanie – usłyszała z dużego pokoju. – Zjesz, to przejdziemy się chwilę do skweru i z powrotem. Pokażę ci, gdzie Marcin stawiał pierwsze kroki.

Spacer do skweru? Marta zdecydowanie chciała ruszyć się gdzieś dalej. Przez tydzień spędzony z Julią niemal nie wystawiła nosa za drzwi. „Musisz

odpoczywać, kochanie – słyszała przez szum w uszach chyba ze dwadzieścia razy dziennie. – Dziecko jest najważniejsze”.

Podniosła komórkę ze stolika i przeczytała SMS-a, który przyszedł w tej właśnie chwili: „Będziesz? Już się zaczęło. Koło jedenastej będzie już pozamiatane, T”.

Podeszła do łóżka, przycupnęła na skraju i nachyliła się do ucha Marcina.

– Marcin, wstań, proszę. – Starła się mówić cicho, jakby ta pobudka nie miała dotrzeć do uszu teściowej. – Jest sobota. Idziemy robić zdjęcia.

Poruszył się jak rażony prądem, ale oczy wciąż miał zamknięte. Mały Jurek znów wymierzył Marcie kopniaka. Zacisnęła zęby i potrząsnęła Marcinem.

– Wstań. Pliz. Musimy iść.

– Dobra... dobra... już zaraz... – wybełkotał.

– Na pewno?

– Tak, tak...

Wcale się na to nie zanosilo: Marcin zwinął się w kłębek jak kot i zakopał po uszy w kołdrze. Marta poczuła pulsowanie gdzieś pomiędzy głową a szyją, w miejscu, które nazwała kiedyś „guzikiem nienawiści”. Odzywał się rzadko, ale wtedy ją zalewało. Teraz guzik krzyczał, żeby wyjść do dużego pokoju, zabrać ze stołu talerz z jajecznicą i grzmotnąć nim o podłogę. Olać Marcina i jego nadopiekuńczą matkę, która najwyraźniej nie miała zamiaru wracać do domu pod Skierniewicami. Wziąć aparat, zapomnieć o tamtym incydencie i po prostu iść na miasto. Przez ułamek sekundy poczuła się zdrowa jak koń. Naprawdę!

Ale gdy zrobiła pierwszy krok, ciało przywołało ją do porządku. Dotarło do niej, że jest tak samo ociężała i przymulona jak przez ostatni tydzień. Nic się nie zmieniło, nawet ten wyrzut kortyzolu nie pomógł.

Doczłapała do stołu. Jajecznica wyglądała, jakby już wystygła.

– Muszę pojechać gdzieś z aparatem – powiedziała cicho do bacznie ją obserwującej matki Marcina. – Muszę zrobić parę zdjęć.

– Ależ, Martusiu... – Julia Bielawska przewróciła oczami. – To chyba nie jest dobry pomysł. Spacer do skwerku, to blisko, jakby co, to zawsze można...

– Mamo... – Marta spojrzała spode łba.



– Julia, pamiętasz?

– Mamo. – Marta poczuła potrzebę, by choć na chwilę zwiększyć dystans. – To jest dla mnie ważne. Siedzenie w domu naprawdę w niczym mi nie pomaga. Poza tym chcę pojechać z Marcinem.

– Ale on śpi.

– Ale on śpi – potwierdziła Marta z rezygnacją.

Julia Bielawska pokiwała głową i wyszła z pokoju. Marta skubnęła widelcem jajecznicę, ale to nie było to, co czasami serwował Marcin. Za sucha. Położyła na kanapce plasterek pomidora i ugryzła kęs.

– Wygrzebiez się w końcu, paniczu? – Usłyszała z sypialni ostry głos teściowej, a potem szelest zrywanej z łóżka kołdry. – To nie studia. Wyłaż z wyra.

– Kobieto, możesz dać mi pięć minut spokoju? – Bełkot Marcina zabrzmiał naprawdę wrogo. – Pięć minut!

– Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje – sypnęła sentencją Julia, jakby rzucała zaklęcie, a Marta cicho parsknęła z kanapką w buzi.

Chwilę potem Julia Bielawska stanęła w progu. Teraz, z zaciśniętymi szczękami, wyglądała na swoje lata. Może nawet trochę starzej.

– Kiedyś miałam taki sposób. – Skrzyżowała ręce na piersiach. – Puszczalam mu nad uchem radio. Albo tego jego Davida Bowie. Przy drugiej piosence otwierał lewe oko, przy trzeciej prawe, a przy czwartej wstawał. Macie jeszcze ten jego przenośny odtwarzacz?

Marta podniosła się powoli i podeszła do regału, podtrzymując brzuch. Na samej górze stał zakurzony czarny boombox.

– Bez taboretu nie dam rady – powiedziała.

Teściowa stanęła przy regale. Wyciągnęła długie ramiona i bez problemu zdjęła boomboxa. Marta wyjęła z dolnej półki wciśnięte między książki stare kartonowe pudło z jej panińskimi szpargałami. Rozerwała starą taśmę klejącą i wygrzebała płytę CD z niebieską okładką, prezent od starszego brata, który grał w zespole i katował ją ciężką muzyką.

– Skoro chce pięciu minut spokoju... – mruknęła.

Julia przez chwilę patrzyła na pudełko, jakby po samej okładce chciała odgadnąć, co puszcza za chwilę Marcinowi.

Przepięły wspólnie przedłużacz, a Marta przysunęła odtwarzacz do samej kołdry, pod którą krył się Marcin. Podniosła wzrok – okna były zamknięte. To dobrze, bardzo dobrze. Przyłożyła do brzucha grubą poduszkę – to Marcin był celem, a nie mały Jurek.

Spojrzały na siebie z Julią i bez słowa uzgodniły werdykt. Marta podkreśliła głośność i wcisnęła play.

Marcin śnił jeden z najbardziej popieprzonych snów w swoim życiu. Miewał takie odloty, gdy za długo spał – gonitwy po niekończących się schodach, ucieczki przed terrorystami przez ruiny nieznanymi miast albo zawstydzające sytuacje, gdy wszyscy na niego patrzą, a on w tym momencie czuje, że sika po nogawkach.

Teraz niesforne neurony zafundowały mu powtórkę z wczorajszego poranka w ministerstwie. Wszedł do pokoju, w płaszczu, kapeluszu i z laseczką. Rzucił kapelusz na wieszak – jak James Bond w *Goldfingerze*. Patrycja westchnęła z zachwytem i zatrzepotała rzęsami. „Panie dyrektorze, pan Zawadzki czeka już na pana. Spotkanie w kabinie numer dwa” – zaszczębiotała słodko.

W kiblu zabawny wysoki lemur, ubrany w błękitny surdut, trzymał na smyczy Zawadzkiego, który skurczył się do wielkości spaniela i patrzył na Marcina błagalnie. „Pan mu da ciastko” – powiedział lemur i Marcin wyjął z kieszeni marynarki stary biszkopt. Zawadzki rzucił się na ciastko ze skowytem. Duży lemur pociągnął za smycz, aż Zawadzki przysiadł. „Nie gryź ręki, która cię karmi – rzucił ostro. – A teraz interesy – powiedział do Marcina i wyjął jakiś papier. – Trzeba podpisać tutaj, tutaj i tutaj... i to do czternastej, bo potem zwijamy cyrk”.

Później Marcin teleportował się, jak to miał w zwyczaju w snach, do gabinetu Szefowej i tłumaczył jej jak dziecku, że cyrk już odjeżdża, że trzeba tutaj, tutaj i tutaj. Szefowa patrzyła na niego, jakby nic nie rozumiała. „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje” – wypowiedziała głosem jego matki. Panie Boże, dajesz czy nie, ale czy matka musi się wpieprzać nawet do mojego snu? „Nie budź licha, kiedy śpi” – wymruczał, ale do Szefowej wciąż nic nie docierało. Wyjęła z szuflady rewolwer i strzeliła sobie w głowę. Krew bryznęła wszędzie jak

w filmach Tarantino. Po chwili do gabinetu wpadł jak torpeda duży lemur, ciągnąc na smyczy Zawadzkiego, i gniewnie wyrwał Marcinowi kartkę. Ujął w swoją futrzaną łapkę martwą dłoń Szefowej, zamoczył jej palec we krwi i nabazgrał na kartce podpisy w trzech miejscach.

Wszyscy nagle zniknęli, gdy zza okna gabinetu dał się słyszeć nieziemski jazgot i ryk. Po Krakowskim Przedmieściu szło coś wielkiego jak Godzilla, z potężną gitarą elektryczną, a każde uderzenie w struny rozbijało szyby – w Pałacu Prezydenckim, w hotelu Bristol, na uniwersytecie. Godzilla tratowała ludzi i autobusy, a z jej gardła wydobywało się charczenie przypominające warkot myśliwca: *five minutes aloooooone...*

– Co to jest?! – zawołał Marcin, starając się przekrzyczeć Godzillę i jej gitarę. Odrzucił koldrę z głowy i momentalnie usiadł na łóżku.

Ryk natychmiast ustał, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Kochanie... – Głos jego żony silił się na słodczy. – To jest Pantera, utwór *Five Minutes Alone*. Powiedziałeś „pięć minut spokoju”, więc uznałyśmy wspólnie, że to świetna piosenka na taką okazję.

– Powaliło was? – rzucił Marcin w stronę źródła fałszywie słodkiego głosu, bo z obecności matki wciąż nie zdawał sobie sprawy. Zaczął przecierać sklezione powieki. – Chciałyście, żebym zszedł na serce? Która z was to wymyśliła?

– Ja – odezwała się jego matka z dumą w głosie.

– I ja – dopowiedziała Marta. – Jest sobota, wreszcie jest słońce, więc łaskawie zbierz się, weź mój plecak ze sprzętem i pomóż mi zrobić foty na targu śniadaniowym.

– Okej, już dobrze. – Marcin w końcu zaczął widzieć w miarę ostro. Dostrzegł nad sobą dwie postacie, które przyglądały mu się z ciekawością: wysoką czarodziejkę i krasnalą z wielkim brzuchem. Czarodziejka uśmiechała się jak Joker, który wykręcił akurat paskudny numer Batmanowi. Krasnał miał ciemne strąki włosów przyklejone do czoła, jakby całą noc pracował w kopalni.

Dwie najważniejsze kobiety w jego życiu.

– Czy mogę chociaż coś zjeść? – spytał tego duetu.

– Możesz zjeść moją jajecznicę – odpowiedziała Marta.

Wziął szybki prysznic, a potem łazienkę zajęła Julia Bielawska. Wszedł do kuchni i skubnął na stojąco jajecznicę, zimną i wstrętną. Zrobił sobie na szybko dwie kanapki z serem i polał ketchupem. Przez cały ten czas nie odezwał się ani słowem do Marty, która siedziała na krześle i obserwowała jego ruchy.

– Posłuchaj – zaczęła cicho, gdy w końcu usiadł. – Sorry za pobudkę, ale ja nie mogę sobie odpuścić tych fotek. Powiedziałam już w redakcji i oni czekają. Zwłaszcza że te z Saskiej Kępy wyszły mi super i się nakręcili.

Marcin w milczeniu skubnął kolejny kęs. Głowa bolała go tak, że miał ochotę wymiotować. Gorący prysznic niewiele pomógł, a zimnego bał się jak ognia. Po co tyle spał? Chyba zadziałała podświadomość: jak najmniej kontaktu. Czy ona ma zamiar zostać u nich aż do porodu?

– Nie wyglądasz za dobrze. – Usłyszał. – Martwię się.

– Hmm.

– Znam ten wygląd. Stres. Przed ślubem też tak wyglądałeś. I jak pisałeś magisterkę.

– Możesz przestać? – Spojrzał wilkiem znad talerza.

– W necie jest mnóstwo o tym, że kobieta się stresuje w ciąży. – Marta nie dawała za wygraną. – Hormony, kortyzol i tak dalej. Ale niewiele jest o facetach. Chodzi o te skurcze? Boisz się?

Nie miał teraz siły brnąć w tę rozmowę. Jego deprecha, która czasami odbierała mu dech i wszelką energię, zaczęła się wcześniej, jeszcze przed incydentem zakończonym KTG na Inflanckiej. Ale nawet gdyby był teraz w świetnej formie, nie umiałby odpowiedzieć Marcie na jej pytanie. Wiedział za to, że obecność jego matki w niczym mu nie pomaga. Miał poczucie, że gdy on jest w pracy, ona kopie pod nim dołki. „Za bardzo się spoufalają” – pomyślał.

Na zewnątrz wciąż wyglądał jak żywy trup, który milczy i niemrawo skubie kanapkę. Marta wyszła do przedpokoju. Po kilku chwilach wróciła z plecakiem, w którym nosiła aparat i obiektywy.

– Musimy zaraz wychodzić – powiedziała. – Ale na szybko mam taką hipotezę, że strasznie boisz się zostać ojcem.

– Że co? – Odchylił się na krześle. – Gratuluję wyobraźni.

– No to co cię gryzie?

– Jesień. Słońca nie ma – mruknął.

- Dzisiaj jest – odmruknęła.
- Muszę wziąć trochę witamin. – Udał, że nie dosłyszał.
- I magnezu – dopowiedziała. – A teraz bierz plecak i chodźmy wreszcie.

Zdjęcia nie do końca się udały. Tak naprawdę to była masakra. Marta musiała walczyć – z własnymi słabościami i ze światłem. Część hali zanurzona była w blasku październikowego słońca, część zaś ukryta w zielonkawym cieniu. I jeszcze wielkie kule jarzeniówek. Dla ludzkiego oka ten miks był do zaakceptowania, oko adaptowało się do każdego warunków. Aparat jednak nie wybaczał takiego miszmaszu i Marta wiedziała, że będzie musiała długo posiedzieć w Photoshopie.

Wyczekała chwilę przy stoisku z domowymi przetworami i udało jej się uchwycić malowniczą parę. Facet po trzydziestce, z dwudniowym zarostem, mimo jesieni paradował w modnych trampkach i skarpetkach przed kostkę. Kobieta miała popielate włosy spięte w kucyk i wygoloną skórę nad uszami. Marta pomyślała, że to świetna fryzura dla niej. I że Marcin na pewno będzie przeciw, chociaż sam od jakiegoś czasu strzygł zarost i włosy u barbera w Śródmieściu.

Dopiero gdy pakowała sprzęt, zauważyła kątem oka Teresę. Fotoedytorka, koleżanka z redakcji, w której Marta kiedyś była na stażu. Obie stwierdziły, że są głodne, i pochodziły chwilę wśród stoisk. Marta wybrała naleśniki z powidłami śliwkowymi i domową śmietaną. Wróciła do stołu. Teresa, szczupła blondynka po czterdziestce, z wiecznie zaciętą miną, była trochę bardziej wybredna i poszła poszukać czegoś innego.

– Jezu... – Marta przełknęła pierwszy kęs naleśnika. – To jak powrót do przeszłości. Chcesz spróbować?

Włożyła Marcinowi widelec do ust. Chyba mu smakowało, bo uśmiechnął się niemrawo.

- Dzięki, wiesz za co – powiedziała.
- Spoko.

Pomyślała, że byłoby świetnie, gdyby spędzili ten dzień razem. Mały Jurek uspokoił się i nie kopał. Ciśnienie w uszach zelżało. Pogoda zachęcała do spaceru, promienie słońca i chłodny wiatr były w idealnej równowadze, trochę

świeżego powietrza i może Marcin pozbędzie się tego dziwnego doła. Trzymając się za ręce, przejdą się po Łazienkach albo gdzieś bliżej, po parku przy Cytadeli. Obskoczą fontanny przy Wisłostradzie, odświeżą wspomnienia na Starówce, zjedzą pizzę albo coś bardziej ekstra.

Z tych wycieczkowych planów wyrwał ją sygnał w telefonie Marcina. Przeczytał SMS-a i zmarszczył brwi. Miała wrażenie, że wiadomość wytrąciła go z równowagi. Zobaczyła na jego twarzy zmieszanie, jakby został przyłapany na czatowaniu z nieznajomą.

– Kto to? – spytała niewinnie.

– Taki jeden facet. Z pracy.

– Co chce?

– Mam nadzieję, że nic. Muszę zadzwonić.

Trochę ją ubodła ta tajemniczość, a guzik w potylicy zawibrował ostrzegawczo. Przemogła się, żeby w spokoju dokończyć naleśnik. Marcin wstał i odszedł z telefonem na dobre dwadzieścia metrów, co jeszcze wzmoгло jej nieufność. Minął po drodze Teresę, która wracała właśnie do stołu z wegańską tartą z cukinii.

– Jak tam życie, kochana?

Marta zmusiła się, żeby oderwać wzrok od Marcina i spojrzeć na koleżankę.

– Masakra – rzuciła krótko. – Wszystko wskazuje na to, że do porodu będę uziemiona w domu.

– Coś nie tak z ciążą? – Na twarzy Teresy pojawiła się autentyczna troska. – Który to miesiąc?

– Siódmy. Miałam skurcze. Powinnam leżeć.

Przez chwilę jadły w ciszy, a Marta co i raz zerknęła na Marcina, to wyłaniającego się, to ginącego w tłumie.

– Wiem, co czujesz. – Teresa nachyliła się nad blatem. – Przy pierwszym dziecku tak miałam. Co jakiś dziwny ból, to panika i na wersalkę z nogami w górze. Wyobraźnia pracuje jak szalona. A potem się okazuje, że wszystko jest w miarę w porządku. Najważniejsze to się nie denerwować.

– Staram się, ale nie zawsze tak umiem. Poza tym mam kogoś w rodzaju opiekunki. Mama Marcina mieszka u nas od tygodnia.

Teresa niemal się zakrztusiła.

– Teściówka w domu? – wychrypiała. – To musi być koszmar.

– Właśnie nie. – Marta uśmiechnęła się pod nosem. – Ja mam jak w raju. Jest kochana. Moi starzy tylko dzwonią raz dziennie. A ona? Śniadanie, obiad, kolacja. Nic tylko leżeć. Ale na Marcina jakoś gorzej to wpływa. Dziwne, bo to w końcu jego mama, nie moja.

– Teściówka w domu – powtórzyła Teresa. – To nie ma prawa dobrze się skończyć. Nie ma bata, musi się spierdolić.

Marta przygryzła wargi. Przypomniała jej się jedna rozmowa z Julią, chyba w czwartek. To było coś o ojcu Marcina, z którym Julia rozwiodła się, gdy Marcin miał dziesięć lat. Zdradził ją, jak się okazało. Odszedł do innej. Powiedziała: „Mam nadzieję, że wychowałam Marcina na porządnego mężczyznę”. I uciekła wzrokiem, jakby sama sobie nie dowierzała. Do tamtego momentu Marcie nigdy nie przyszło do głowy, że Marcin mógłby ją zdradzić. Pół godziny po rozmowie z Julią złapała się na wyobrażaniu sobie sekretnej randki Marcina z nieznajomą.

– Powinna już pojechać... – rzekła cicho. – Chyba.

– No jeśli jest tak wspaniale, jak mówisz, to niech zostaje jak najdłużej. – Teresa wbiła zęby w wegańską tartę i lypnęła okiem jak złoczyńca. – Może jest tą jedną na milion.

– Ale to przecież jego mama. Nie mogę jej nic powiedzieć.

Teresa przeżuwała w ciszy. Marta dostrzegła Marcina – wracał do stolika z miną, która nie wróżyła nic dobrego.

– Zmieńmy temat, okej? – powiedziała. – Jak twoje życie uczuciowe?

– No chyba cię pogięło. – Teresa przewróciła oczami. – Skandal, takie pytanie mi zadawać. Jeszcze mi się zrobi przykro i co będzie?

– Ostatnio był ten... – Marta nie chciała dać za wygraną, ale Teresa uciszyła ją uniesioną dłonią.

– Spuśćmy na nich wszystkich zasłonę milczenia – zakomenderowała. – Trafiam zazwyczaj na emocjonalnych pustaków. Zaczynam myśleć, że może lepiej darować sobie sprawy uczuciowe. *Friends with benefits...*

– To może Tinder? – Marta uniosła brwi. – Myślę, że masz szansę.

– Że ja?

Teresa wybałuszyła oczy, a Marta głośno się roześmiała. Jurek wierzgnął kopytkiem, trafiając pod jej żebro, i uśmiech zamarł Marcie na ustach. Czy to jakaś zbrodnia, roześmiać się, że z miejsca dostaje się karę? Skrzywiła się i dotknęła dłonią brzucha.

Teresa obróciła się i kiwnęła na Marcina, idącego do ich stołu. Otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała się, widząc minę Marty. Marcin wyglądał jak dziecko, które wie, że zbroiło, i boi się reakcji surowej matki.

– Wypadło mi coś ważnego – powiedział niepewnie. – Muszę spotkać się z kimś z pracy na mieście.

Teresa spuściła wzrok i zaczęła grzebać widelcem w tarcie. Metal zazgrzytał o szkło.

– Mogę jechać z tobą? – spytała Marta.

– Raczej nie – odpowiedział trochę za szybko. – To nie będzie długo trwało. Jak chcesz, to możemy się spotkać za dwie godziny na Starówce.

To nie był wcale zły pomysł. Ale dlaczego on jest taki tajemniczy? Czemu nie może z nim pojechać i połączyć sobie do czasu, aż skończy się to spotkanie? Poczula, jak resztki energii spływają jej powoli do nabrzmiewających łydek. Rozpływała się jak Amelia z filmu, tyle że nie z zakochania, wręcz przeciwnie. Rozmowa z Julią. Jej dziwne uwagi. Może on kogoś ma? No ale chyba nie byłby takim idiotą, żeby kłamać jej w żywe oczy...

– Może innym razem – mruknęła w końcu pod nosem. – Mam sporo pracy, spieprzyłam te zdjęcia.

– A plecak? – spytał Marcin. – Nie powinnaś dźwigać. Zabiorę go ze sobą.

– Zadzwońię do Julii. – Postarała się, żeby imię teściowej zabrzmiało jak wyzwanie rzucone mu w twarz. – Idź już, skoro to takie ważne.

Zadziałało. W ciągu sekundy zrobił się czerwony jak burak. Marta miała wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale wycofał się i po chwili lawirowania między stołami zniknął w drzwiach wyjściowych.

– U la la! – Teresa wypuściła powietrze i odłożyła widelec. – Widzę, że niezły trójkącik się tu szykuje.

Marta chciała się uśmiechnąć, ale zdała sobie sprawę, że wyszedł jej z tego dziwny grymas. Wstała, poprawiła džinsy, włożyła płaszcz i owinęła szyję



chustką. Podniosła plecak i zarzuciła go sobie na plecy. Da radę. To tylko sto metrów do tramwaju, a później najwyżej przysiądzie chwilę na ławce. Jeśli nie dopadnie jej żadna słabość, to może nawet nie będzie musiała dzwonić do Julii Bielawskiej, która przyjechała z nimi pod halę, poszła na spacer i obiecała być w pobliżu.

„Nieszczęścia chodzą parami” – przypomniało jej się przysłowie. A może wolą trójkąty? W każdym razie coś dziwnego zaczynało się dziać z jej małżeństwem. I to coś wybrało sobie najgorszy moment z możliwych.

### 3

Marcin od dobrych pięciu minut stał pod Centrum Nauki Kopernik pośród dzikich tłumów rodziców z dziećmi i zastanawiał się, po co Jan Adler zadzwonił do niego i chciał tak nagle się spotkać. Wczoraj w ministerialnym lobby mówił o jakiejś sprawie, ale Marcin myślał, że to ściema. Dziś facet zbył go w rozmowie kilkoma ogólnikami i nalegał na spotkanie w ciągu godziny. Przez telefon brzmiał spokojnie i rzeczowo, trochę władczo, jakby w ogóle nie brał pod uwagę odmowy. „To bardzo ważna sprawa, panie Bielawski. Może dotyczyć pana przyszłości. Nie jest pan ciekaw?” Zanim Marcin zdążył zebrać myśli, był już umówiony z Adlerem. Wysokim siwym mężczyzną, którego nie dałoby się nie zauważyć. Gdyby stał tu i czekał.

Ból głowy zniknął, nawet bez tabletki. Może to ten krótki kurs autobusem tak podziałał – z Żoliborza przez Wisłostradę, przy otwartym oknie, w promieniach słońca? Został tylko niesmak po tym, jak potraktował Martę. Nie zasłużyła na to. Ale po co ma się denerwować, jeśli Adler jednak nawiąże do sprawy tego nieszczęsnego wniosku o dotację dla swojego teatru i będzie próbował jakichś korupcyjnych sztuczek? Na dodatek te zawirowania w ministerstwie, perspektywa nowego szefa...

Wybrał numer w komórce. Adler odebrał po kilku sygnałach.

– Halo?

– Nie mogę pana znaleźć.

W słuchawce zaległa cisza. Tu wciąż dął porywisty wiatr od Wisły, doprawiony głuchym szmerem samochodów z mostu Świętokrzyskiego i gwarem rozbrykanej dzieciarni. Coś Marcinowi nie pasowało.

– Jestem w środku – odezwał się w końcu Adler.

– Jak to w środku?

– W Centrum. Z dziećmi. Proszę wejść, to pogadamy.

Marcin poczuł, jak wzbiera w nim gorycz. Facet oderwał go w sobotnie przedpołudnie od żony w siódmym miesiącu ciąży, a sam polazł z dziećmi na weekendową przebieżkę po Koperniku.

– Pan wybaczy, ale nie mam na bilet – powiedział, ledwo tamując opryskliwość. – Z tego, co zrozumiałem, mieliśmy się spotkać pod budynkiem.

W słuchawce znów zaległa cisza, przerywana czasem jakimś kosmicznym wystrzałem. W głowie Marcina zaległa się przekorna nadzieja, że aktor obrazi się za tę nieoczekiwaną niesubordynację, ze spotkania nici i zaraz będzie można wrócić na resztę dnia do Marty.

– Nazywa się pan Marcin Bielawski? – spytał w końcu Adler, nieco rozbawiony.

– Tak – odmruknął Marcin.

– Ile ma pan lat?

– Dwadzieścia osiem.

– Ma pan żonę? Dzieci?

Marcina zatkało. Co to za przesłuchanie, do jasnej cholery? Stłumił złość.

– Żonę.

– Ma na imię Anita?

– Słucham?

– Czy pańska żona ma imię Anita?

– Nie, Marta. Nie za bardzo rozumiem...

– I imię Anita nic panu nie mówi?

Gdzieś w odmętach pamięci zapaliło mu się nikłe światełko, ale pulsowało zbyt słabo. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Szukał w głowie imienia Anita, ale ilekroć już miał je przed sobą, znów mu się wymykało, jak niesforny biały królik.

– Powiem tak – zaczął Adler znudzonym tonem. – Niech się pan zastanowi przez najbliższe pięć minut, czy nie mówią nic panu imiona Anita i Kornel. Jeśli nie, to proszę nie oddzwaniać. To będzie znaczyło, że się pomyliłem. Każdy z nas wróci do swoich spraw.

Aktor rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Marcin przez chwilę walczył ze wściekłością. „Pieprzony palant! Nie mógł już przy pierwszej rozmowie

zadać mi tych zagadek? A zresztą, kurwa, co za traktowanie!”

Tyle że Adler naprawdę zabił mu ćwieka. *Fuck*. Anita i Kornel? Słyszał te imiona. Znał je. Były dla niego czymś tak znajomym i namacalnym, jakby zostały wyrzeźbione w omszałym kamieniu. Wystarczyło tylko wyskubać mech i dotknąć szorstkiej powierzchni.

W końcu lampka w jego pamięci rozświetliła się jasnym blaskiem i przeskoczyła niewidzialna zapadka. Poczuł, że nieoczekiwanie wilgotnieją mu oczy.

Przypomniał sobie scenę, którą sam kiedyś napisał.

### **(16) WNĘTRZE. STUDENCKI KLUB TECHNO – PÓŹNY WIECZÓR**

KORNEL stoi przy barze w chmurze dymu i mgły. Tancerze na parkiecie wyginają się w rytm dziwnego dubstepu. Freaki w ciemnych okularach wykonują rękami falujące ruchy i obserwują swoje dłonie omiatane światłem stroboskopu.

Kornel nie ma odwagi wejść na parkiet i odlecieć. Popija piwo i obserwuje. Zauważa DZIEWCZYNE pod ścianą. Ładna. Ma długie ciemne włosy, grzywkę i wsuwki z uśmiechniętymi buźkami. Pomalowane na ciemny błękit paznokcie. Dziewczyna patrzy na parkiet, ale po chwili odchodzi w kierunku boksu, gdzie siedzą jej znajomi. Rozmawia z nimi, śmieje się. Kornelowi podoba się ten śmiech. Podchodzi nieco bliżej. Patrzy tylko na nią. Ona po chwili zdaje sobie sprawę, że jest obserwowana.

Podnosi wzrok. Patrzą na siebie. Pierwszy uśmiech – jej. Drugi – jego. Kornel nie wie, dlaczego ta dziewczyna zaczęła się do niego uśmiechać, ale to nie ma znaczenia. Liczy się tylko ta chwila.

Kornel i Anita. Postacie ze scenariusza, który pisał osiem lat temu. Kornel to było alter ego Marcina, a Anita to Anka, wtedy jego dziewczyna.

Pisali ten scenariusz we dwóch.

Z Arturem.

– Cholerny wiatr – mruknął, ocierając wilgotne oczy, a potem wybrał numer Adlera i poczekał na połączenie.

Dwie minuty później zapłacił za bilet wstępu kartą i skierował się w stronę planetarium. Jan Adler siedział przy stoliku w kafeterii i popijał cappuccino. Na

widok Marcina wstał i uśmiechnął się lekko. Uścisk jego pomarszczonej dłoni był mocny, wręcz żelazny.

– Najmocniej przepraszam za zamieszanie. Jeśli to problem, mogę panu oddać za wejście – zaproponował, ale w jego tonie nie było słyhać skruchy. Tylko to samo rozbawienie co wcześniej, przez telefon.

– Nie trzeba. – Marcin usiadł naprzeciwko Adlera.

– Zamówić coś panu?

– Może potem. Najpierw proszę mi powiedzieć, czemu interesuje pana mój scenariusz. – Marcin starał się, żeby jego głos zabrzmiał grzecznie, ale stanowczo. – Nigdy go nie skończyłem, a właściwie... nie skończyliśmy. Zdaje się, że nikt o nim nie słyszał. Poza tym to było osiem lat temu. Więc... skąd pan o nim wie?

Adler już miał odpowiedzieć, gdy do kawiarni weszło dwoje dzieci, mniej więcej dziewięcioletni chłopiec i starsza od niego dziewczynka. Chłopiec był milczący, czuł wyraźny respekt przed Adlerem, ale dziewczynka sprawiała wrażenie, że dobrze się bawi. Przytuliła się do aktora i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Film o Księżycu już się skończył, tato – zaszczebiotała.

– A co jest następne? – spytał Adler z szerokim uśmiechem.

– Czarne dziury.

Dziewczynka spojrzała ciekawie na Marcina. Adler poprawił jej opadający na czoło kosmyk ciemnych włosów.

– Czarne dziury... To te straszne potwory, co siedzą w centrach galaktyk, nikt ich nigdy nie widział na własne oczy i wysysają wszystko wokół jak odkurzacze – powiedział, jakby opowiadał bajkę. – Pójdziecie z Frankiem obejrzeć? Tata musi chwilę porozmawiać.

Dziewczynka energicznie pokiwała głową, wzięła poważnego brata za rękę i wyszli z kafeterii w stronę sali kinowej.

– Właśnie poznał pan Zuzannę i Franciszka, moje dzieci z drugiego małżeństwa. – Adler spojrzał na Marcina przepaszająco. – Żona przed wyjazdem do Frankfurtu zagroziła, że się ze mną rozwiedzie, jeśli ich tu nie przyprowadzę. W ramach sobotniej integracji rodzinnej.

Marcin przygryzł wargi. On swoją integrację rodzinną będzie pewnie musiał naprawiać przez kolejny miesiąc. A jeśli matka postanowi skomentować jego wypad, to może i przez pół roku.

– No i co się stało z Anitą i Kornelem? – spytał Adler beztrąsko. – Historia, którą znam, kończy się w momencie, kiedy są zakochani i świata poza sobą nie widzą. Miała jakiś dalszy ciąg?

Marcin zacisnął szczęki. Facet nie odpowiedział na jego pytanie o scenariusz. Może taki miał styl. On nie odpowiadał, tylko zadawał pytania.

– Byli ze sobą jeszcze rok. Potem zaczęli się nawzajem drażnić. On lubił spokój, a ona miała zamiar jeździć po świecie. Potem poznała studenta medycyny i chciała rzucić Kornela, ale nie miała odwagi i dopieprzała mu na każdym kroku. W końcu zbuntował się i powiedział: „pierdol się”. Najpierw się obraziła, a potem chyba ucieszyła. No i została panią doktorową, z tego co wiem. Słabe *love story*, przyzna pan?

Adler wyglądał na szczerze rozbawionego.

– Samo życie. Jaki morał wyciągnął pan z tego epizodu?

– Nie wiem. Może taki, żeby nie zakochiwać się w paznokciach.

– Słucham?

– Malowała paznokcie na ciemny błękit. Strasznie mnie to rajcowało. Taki fetysz.

Adler mało nie parsknął śmiechem, ale Marcin miał wrażenie, że jest w tym jakaś poza, której nie potrafił rozgryźć. Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w niego i Marcin poczuł się w obowiązku powiedzieć coś jeszcze, żeby nie wyjść na kretyna.

– No, nie tylko te paznokcie. Jeszcze rozmowy o filmach. Rzadko można spotkać kogoś, kogo jarają takie starocie jak Fellini, Bergman czy Antonioni. Chodziliśmy do Iluzjonu albo ściągałem z netu. Potem przeszła jej faza na kino.

– Miała jakąś nową... fazę? – Adler zerknął znad cappuccino.

– Tak, na doktora.

Adler pokiwał głową.

– A pamięta pan jeszcze Artura? – spytał ostrożnie.

Marcin dostrzegł subtelną zmianę na twarzy mężczyzny. Postanowił zaryzykować i jednak odwrócić role.

– Ponowię moje pytanie – powiedział. – Skąd pan wie o mnie, o scenariuszu? I o Arturze?

Adler przez chwilę siedział z zaciśniętymi ustami. Kafeteria niespodziewanie ucichła, jakby wszystkie pozostałe stoliki, okupowane przez rodziców i spragnione coli dzieciaki, też czekały na odpowiedź.

– Artur Sosnowski był moim sąsiadem – zaczął aktor. – Mieszkaliśmy niedaleko. Takie osiedle domków jednorodzinnych. Jeszcze Warszawa, ale już prawie pod miastem. Osiem lat temu, na wiosnę, Artur przyszedł do mnie, żeby pokazać mi scenariusz, który pisał razem z kolegą. Panem, jak się okazuje. Był bardzo nieśmiały i zdenerwowany. Poprosił mnie, żebym rzucił okiem na tekst. Właściwie to nie był nawet scenariusz, tylko...

– Połowa scenariusza.

– Tak, mniej więcej połowa. I jakieś luźne notatki. Takie wprawki. Nie było tam nic, co by mnie wtedy zainteresowało. Durne gadki jakichś podejrzanych typów, piwo na murku, palenie marihuany. Jedyne motyw, który jakoś pchał akcję do przodu, to była scena w fast foodzie.

Marcin zdał sobie sprawę, że mimo rezerwy zaświeciły mu się oczy. Aktor Jan Adler, którego jeszcze wczoraj nie znał, streszczał mu właśnie jego i Artura dzieło.

– Pamięta pan oczywiście, o co chodziło, tak? – spytał Adler. – Artur pracuje w barze...

– Dawid – wtrącił Marcin. – W scenariuszu to jest Dawid.

– Mniejsza z tym. – Aktor machnął ręką. – Zdaje się, że obaj wpakowaliście do scenariusza całe wasze życie.

– Okej. – Marcin cofnął się na krześle. – Niech pan mówi dalej.

– No więc Artur, czy tam Dawid, pracuje w fast foodzie. Pewnego wieczora przychodzi tam jakiś podejrzany chłopaczek i zaczyna się pyskówka. Chłopaczek wyciąga pistolet i przystawia Arturowi do głowy. Od tej pory Artur zaczyna strasznie się bać, ma paranoję, że ktoś na pewno go zabije. Co było dalej?

– Kumpel kupuje Dawidowi pistolet i... – Marcin urwał w pół zdania. Coś nie dawało mu spokoju. – Dlaczego o tym wszystkim rozmawiamy?

Adler milczał przez chwilę, spojrzął na zegarek. Marcin przestraszył się, że zaraz znów przybiegną dzieci aktora i rozmowa zakończy się bez żadnej konkluzji.

– Jak już wspomniałem, wtedy ten ogryzek scenariusza w ogóle mnie nie zainteresował. – Aktor z namysłem potarł dłonią o dłoń. – Taki przykry realizm, bez żadnego uroku.

Marcin na moment spuścił wzrok. Minęło osiem lat, a krytyka wciąż boli.

– Poradziłem Arturowi – ciągnął Adler – żeby spróbował znaleźć młodą niezależną ekipę. Ludzi, którzy zrozumieliby ten klimat. Albo żeby rozwinął tę historię, dał się ponieść fantazji. Chyba nawet poradziłem mu, żeby zmienił współautora. – Aktor błysnął okiem, a Marcin spojrzął wilkiem. – W każdym razie był niepokieszony. Naturalnie powiedziałem mu, że jest w tym jakiś potencjał, chociaż sam nie za bardzo w to wierzyłem.

Marcin odchrząknął. Poczekał, aż Adler pozbiera myśli.

– Artur zostawił mi kopię tego scenariusza i już nie wracaliśmy do tematu. A potem on zginął. Pan oczywiście wie, co mu się stało...

Tak naprawdę to nigdy się nie dowiedział, co dokładnie stało się z Arturem. Przed oczami stanął mu moment, w którym ostatni raz widział go żywego. Mazury. Głupia wycieczka, bez żadnego sensu, w jakiejś głuszy. Mieli dokończyć scenariusz, ale Artur myślami był zawsze gdzie indziej. Dwa dni przed powrotem do Warszawy wyszedł z namiotu. Uśmiechnął się szelmowsko. „Do zobaczyska, stary”. Odwrócił czapkę daszkiem do tyłu i ruszył prosto w zachodzące słońce, prawie jak w filmie.

– Miał mi dać drugą połowę swoich scen – powiedział Marcin cicho. – Ale wciąż coś jeszcze poprawiał w tym swoim zielonym zeszycie. Nie pokazywał mi tego, co pisał. A potem wyszedł gdzieś wieczorem i już nie wrócił. Dowiedziałem się tylko, że został pobity do nieprzytomności na jakiejś szosie. Po drugiej stronie jeziora. Ktoś go tam znalazł i zawiózł do szpitala. Trzy dni później Artur zmarł.

Adler patrzył nieruchomo przed siebie. Marcin zdusił emocje i spojrzął na niego wyzywająco.



– O co panu chodzi? Po co ta cała rozmowa?

Aktor uspokajająco uniósł dłoń.

– Jakiś czas temu znalazłem ten skrypt podczas porządków. Dałem go znajomemu producentowi. Facet szuka świeżych pomysłów. Jest otwarty na debiuty. Przeczytał i powiedział, że jest spora szansa, żeby coś z tego zrobić.

Marcin nie wierzył własnym uszom.

– Jak to? Dał pan komuś nasz scenariusz bez pytania o zgodę?

Adler spojrzał na niego przeciągle.

– Strasznie dużo w panu dziecinnych emocji – odpowiedział sucho. – Nie wie pan, jak działa branża. Pomysły i skrypty krążą czasem latami po biurkach, zanim ktoś dostrzeże w nich potencjał. Powiem panu szczerze, że moją pierwszą myślą było, żeby wyrzucić te kartki do śmieci. Wolałby pan, żebym tak zrobił?

Marcin oprzytomniał. Facet od jakiegoś czasu usiłował mu powiedzieć coś ważnego, a on wciąż czuł do niego urazę za ten numer przed wejściem do Kopernika. No i może jeszcze za to, że wczoraj w ministerialnym kiblu Lemur usiłował wplątać go w tę dziwną sytuację z wnioskiem o dotację.

– Co pan proponuje? – spytał.

Aktor uśmiechnął się pojednawczo.

– Mój znajomy ma dwie opcje. Pierwsza, łatwiejsza, to zerznąć wasz pomysł, skopiować ogólną ideę i kilka scen i oddać to do obróbki zawodowemu scenarzyście. Szczerze mówiąc, to właśnie chodzi mu po głowie.

– A druga?

– Druga jest trudniejsza, pełna wybojów, ale moim zdaniem bardziej korzystna, zarówno dla samego dzieła, jak i dla pana. No i uczciwa wobec Artura. Domyśla się pan już?

– Mam dokończyć ten scenariusz?

– Tak. Taka jest moja propozycja. Przez pamięć o Arturze.

Marcin oparł głowę o dłoń i spuścił wzrok.

– To nie będzie takie proste – powiedział. – Ja w tym tandemie byłem raczej edytorem. Mój wkład to właściwie tylko ten żaloszny wątek z Anitą. I nigdy nie dostałem drugiej połowy notatek Artura.

– Ja też ich nie mam – odparł Adler. – Nie wiem, czy jeszcze w ogóle istnieją. Może więc pan wymyślić drugą połowę. Puścić wodze fantazji. Pociągnąć wątki z pierwszej połowy w dowolnym kierunku.

– Albo spróbować dowiedzieć się, co się tam wtedy stało.

Adler spojrział na niego przeciągle, z jakimś dziwnym błyskiem w oku. Marcin miał wrażenie, że aktor bada go wzrokiem. Ocenia.

– Nie wiem, czy nie rzuca się pan na zbyt głęboką wodę, panie Marcinie – stwierdził Adler cicho i odsunął spodek z pustą filiżanką na środek stolika.

– Spróbować nie zaszkodzi.

Minęło osiem lat od śmierci Artura, a ponad siedem, odkąd Marcin po raz ostatni przeglądał ten ogryzek, który w ich mniemaniu miał się stać przepustką do sławy. Tak to sobie obaj wyobrażali, dwóch dwudziestolatków, siedzących przy piwie i snujących wielkie plany. Upchali w scenariuszu siebie, Marcin Ankę, Artur Olę z fast foodu, znajomych, ich powiedzonka, anegdoty, te prawdziwe i te ubarwione. Spięcie w fast foodzie i pistolet. Artur obiecywał, że w drugiej połowie historia ruszy jak lokomotywa, ale nic z tego nie wyszło. Umarł, a Marcinowi została tylko pierwsza część. Po rozstaniu z Anką przeczytał to jeszcze jeden ostatni raz i stwierdził, że więcej tego nie zrobi. Wielkie nic. Nagrał plik na płytę i wrzucił do pudła ze starymi papierami. Zapomniał.

Teraz siedział naprzeciwko starszego, dystyngowanego mężczyzny, który przed momentem sam stwierdził, że ten scenariusz do niczego się nie nadawał.

– Mimo wszystko dalej nie rozumiem. To się nie trzyma kupy. Dlaczego pan do mnie zadzwonił, panie Janie? – spytał.

Adler zmrużył oczy.

– Powiem tak: nie jestem już młody. W moim wieku człowiek zaczyna przyglądać się swojemu życiu wstecz i zauważać momenty, kiedy zrobił coś bez zastanowienia. Mogłem przysiąc wtedy z Arturem, porozmawiać z nim dłużej. Spróbować jakoś mu pomóc, dać bardziej wartościową radę. Może popchnąć w jakimś kierunku, poznać z kimś. Ale nie chciało mi się, więc go zbyłem.

Marcin przyglądał się Adlerowi w milczeniu.

– Śmierć Artura nie pozostawiła obojętnym nikogo na naszym osiedlu – ciągnął aktor, patrząc gdzieś ponad głowę Marcina. – Wszyscy rozmawialiśmy o tym przez jakiś czas. Młody chłopak, którego często widywaliśmy, nagle zostaje bestialsko pobity i umiera. Zacząłem sobie wyobrazać, że gdybym potraktował go poważnie, jak równego sobie, to może tamtego feralnego dnia byłby w innym miejscu i dalej by żył. Może pan pomyśleć, że to śmieszne, ale ja do tej pory tak myślę. – Przerwał na chwilę i spojrzął na zegarek. – Moje dzieci za chwilę wrócą. Chcę panu tylko powiedzieć, panie Marcinie, że traktuję pana poważnie. Jaka jest pańska decyzja? Chce pan to robić?

Marcin pomyślał, że po raz pierwszy od początku spotkania nie czuje wrogości ani urazy do tego mężczyzny. Pokiwał głową.

– Tak – powiedział, czując suchość w gardle. – Chcę.

Wrócił do domu po piętnastej. Marta leżała na sofie z zamkniętymi oczami i słuchała na telefonie audiobooka. Na włączonym monitorze jej komputera rozpoznał ujęcie z targu śniadaniowego, surowe, nieobrobione. Zwinięta w kłębek Dżeki spojrzała na niego wzrokiem, w którym można było dostrzec wyrzut, że zawiódł jej panią.

Julia Bielawska siedziała w fotelu i z okularami zsuniętymi do połowy nosa czytała jeden z tomów serii o policjantach z Lipowa.

– Czy ty aby nie przesadzasz? – spytała oschle, podnosząc wzrok na Marcina. – Wysyłać Martunię samą z plecakiem do domu? Opiekun się znalazł. Czy ty w ogóle jesteś odpowiedzialny? A gdyby coś jej się stało po drodze?

Przełknął ślinę. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył na matkę, a ona na niego. Przypomniawszy sobie własne myśli, gdy jechał wczoraj do pracy. Duszenie. Jej czerwieniejąca twarz. Wtedy uznał, że to głupia zachcianka mózgu, który lubi czasami podrzucić jakiś makabryczny obraz.

– Niech mama da spokój... – wymruczała Marta, wciąż ze słuchawkami na uszach. – Nic mi się nie stało. Jestem dorosła. To ja mu powiedziałam, że wrócę sama.

Julia Bielawska łypała jeszcze przez chwilę, po czym wlepiła oczy w książkę. Dżeki rozwarła pysk i ziewnęła. Zapadła cisza.

Marcin wyszedł do kuchni. Po raz drugi w tym tygodniu poczuł się we własnym mieszkaniu jak intruz, który nie może sobie znaleźć miejsca. Włączył czajnik i usiadł na krześle.

W jego życie wdzierła się właśnie stara, dawno zapomniana historia, której zakończenia nigdy nie było mu dane poznać. „Zły czas sobie wybrałeś, Artur” – pomyślał. Poza tym... To nie miało większego sensu. Artur Sosnowski nie żył od ośmiu lat. Nawet pracując we dwóch, nie mieli wtedy pomysłu, co zrobić z tym scenariuszem, co w nim zmienić, jak pociągnąć wątki. A samemu? I jakie wątki? Tam naprawdę nic się nie działo, oprócz tej sceny, gdy naspidowany koleżka wywijał giwerę Dawidowi (czy też Arturowi) przed nosem. Reszta to były jakieś puste gadki, popłuczyny po *buddy movies* i taki niby *Easy Rider* czterdzieści lat po oryginale.

A jednak. Adler wyglądał, jakby mówił poważnie. Sygnał z kosmosu, czas na zmianę? Tego Marcin nie wiedział. Wiedział za to, że koniecznie musi znaleźć swoją kopię scenariusza, bo przez te osiem lat zdążył już wszystko zapomnieć.

Wypił herbatę i przemknął do przedpokoju, walcząc z pokusą, żeby zajrzeć do dużego pokoju. Tam jednak wciąż siedziała w fotelu jego matka, gotowa pewnie znowu na niego naskoczyć.

Wziął klucz, otworzył cicho drzwi i zszedł do piwnicy.

„Dziwne” – pomyślał piętnaście minut później, siedząc na łóżku w sypialni. W starym pudle nie było wydruku ze scenariuszem. Jedyna płyta, na którą kiedyś zgrał dokumenty ze starego komputera, nie miała ani jednej ryski, ale nie dała się odczytać ani na jego laptopie, ani na komputerze Marty. Kto – oprócz Adlera – mógł mieć jeszcze kopię scenariusza?

Anka, jego była dziewczyna. Czyli Anita. Dał jej wydruk przepasany fioletową wstążeczką na urodziny. Wypadały w czerwcu, tuż przed feralnymi wakacjami na Mazurach. Śmiała się wtedy, że dał jej wybrakowany prezent. Obiecał, że po wakacjach dołoży drugi taki sam plik i wtedy otworzą szampana. Nie dołożył.

Skrzywił się na samą myśl o tym, że miałby prosić o cokolwiek Ankę. Po zerwaniu nie utrzymywali ze sobą kontaktu. Nie miał na nią żadnych namiarów i nie wiedział, co się z nią dzieje. Oprócz tego, że wyszła w końcu za doktorka, o czym usłyszał od jej koleżanki ze studiów, spotkanej kiedyś na ulicy.

Wyjął z kosza pod zlewem worek pełen śmieci. Zabrał ze stolika telefon, zagwizdał na Dżeki, założył jej obrozę, zapiął smycz i ruszył z powrotem do drzwi wyjściowych. Nie umiał zatrzymać nóg, zbiegających prędko w dół. Wypadł z klatki schodowej prosto na zalane jesiennym słońcem podwórko i zmrużył oczy. Wyrzucił szybko worek do kontenera, wybrał numer Adlera i pozwolił, by Dżeki zaciągnęła go pod jej ulubiony krzaczek.

– Słucham – odezwał się w telefonie niemrawy głos, jakby aktor po powrocie z Kopernika uciął sobie małą drzemkę.

– Przepraszam, że przeszkadzam. To w sumie głupie, bardzo głupie, ale chciałem spytać... Czy nie mógłby mi pan pożyczyć tego scenariusza?

– Pańskiego scenariusza? – Adler ożywił się niemal od razu. – Nie ma pan własnego egzemplarza?

Marcin poczuł się jak idiota.

– Wie pan, to było osiem lat temu. Nie przywiązywałem do niego wagi. Gdzieś się zapodział.

– A nie pamięta pan, co w nim było? – Marcin wyczuł w głosie aktora znajome rozbawienie.

– Z grubsza. Niektóre sceny. Ogólny zarys. Dialogów prawie wcale.

– Okej. – Adler zamilkł na chwilę. – Ja go nie mam. Mówiłem panu, że dałem go mojemu znajomemu producentowi. Jego nie ma w Warszawie akurat, nawet jeszcze nie wie, że z panem rozmawiałem. I nie radzę panu zawracać głowy jego żonie w weekend. To się może dla pana źle skończyć.

Marcin zagryzł wargi.

– Zresztą po co panu teraz ten scenariusz? – spytał Adler po chwili. – Jak ten facet wróci, to zrobimy spotkanie, porozmawiacie sobie i dostanie pan skrypt.

– Kiedy to będzie?

– Czy to ważne? – Adler zawiesił głos. – Za tydzień, może za dwa.

– Dwa tygodnie? – Marcin poczuł nieprzyjemne drapanie w gardle. – To trochę długo. Stanowczo za długo. Muszę to wszystko jeszcze raz przeczytać.

– Strasznie pan jest w gorącej wodzie kąpany. No, ale... Może rodzice Artura dadzą panu oryginał?

– Nawet nie wiem dokładnie, gdzie on mieszkał.

– Wytłumaczę panu.

Pięć minut później Marcin wciąż miał zaledwie mgliste pojęcie, jak trafić do domu, w którym mieszkał z rodzicami Artur. Adler sprzedał swoją willę na osiedlu dwa lata temu i przeniósł się pod Warszawę. Wyjaśnił Marcinowi, na jakiej ulicy i pod jakim numerem znaleźć tę willę i jak ona wygląda. Dom Artura miał znajdować się kilka numerów dalej. Albo bliżej. A może to było w lewo na skrzyżowaniu?

„Znajdzie pan, panie Marcinie. Da pan radę. Czyż nie?”

**Niedziela,**  
**8 października, 6:30**



## 4

Julia Bielawska obudziła się pierwsza z całej trójki, nie licząc psa, tej popielatej suczki, której trochę się bała, bo w ogóle nie przepadała za psami i nie do końca je rozumiała. Wolała koty, a najlepiej kotki. Wstała cicho z wersalki w dużym pokoju, od razu złożyła pościel – prześcieradło w kwadrat, kołdrę w rulon, koc w kwadrat dokładnie taki sam jak prześcieradło. Otworzyła wersalkę i przez kilka chwil mocowała się z zaczepami, bo nie chciały zaskoczyć. „Już dawno powinni byli ją wymienić – pomyślała, układając pościel w komorze. – Nie stać ich?” To ta sama, którą ona i Grzegorz kupili, gdy Marcin miał osiem lat. Do czasu kupienia tej wersalki jakoś im się układało w małżeństwie. Nie to, że to przez nią... Chyba. Zresztą nieważne.

W każdym razie dwa lata po jej zakupie Julia i Grzegorz rozwiedli się, w ostatnim miesiącu lat dziewięćdziesiątych. Julia została z Marcinem w Warszawie, a były mąż przeniósł się do czarnowłosej Olgi, do Wrocławia. Julia nie broniła ojcu kontaktów z synem, ale czuła, że musi tak go wychować, by nigdy, przenigdy nie przyszło mu do głowy zranić jakąś kobietę, tak jak Grzegorz zranił ją. I chyba jej się udało. A ponieważ przed rozwodem i po nim wylała małe jeziorko łez, więc siłą rzeczy Grzegorz zajął wysokie miejsce w panteonie antybohaterów dorastającego Marcina. Gdzieś pomiędzy Lordem Vaderem, Brunnerem ze *Stawki* i rekinem ze *Szczęk*. „Mamo, nie martw się, nigdy nie będę taki jak tata, obiecuję” – usłyszała kiedyś. Zapamiętała to. Była pewna, że jej Marcinek dotrzyma obietnicy.

Po ślubie Marcina i Marty chętnie oddała im mieszkanie na Żoliborzu, a sama przeniosła się do odziedziczonego po rodzicach domku pod Skierniewicami. Uważała, że Marta jest idealną kobietą dla Marcina. Spokojna, wyważona, bez szaleństw, nie to, co tamta, jak jej tam? Anka? Wierzyła, że Marcin to doceni, że ułożą sobie życie, choć w Warszawie nie jest łatwo.

W zeszły piątek przyjechała do niego i Marty, zaniepokojona stanem synowej. Z własnej inicjatywy. Żeby pomóc. Bo tak wypada. Wzięła zaległy



urlop w dziale finansowym urzędu gminy, spakowała walizkę, wsiadła do pociągu, zadzwoniła do drzwi. I niemal od razu zauważyła na twarzy syna ten sam dziwny nieobecny wyraz twarzy co u Grzegorza dwadzieścia lat wcześniej. I że Marta z Marcinem nie są już tacy radosni jak przed ślubem i tuż po.

To nie mogło wróżyć nic dobrego. Coś się psuło, jak ryba, od głowy. Ale chyba nie było jeszcze za późno. Jej Marcin nie jest taki. Przecież obiecał, że nigdy nie będzie jak tata.

Julia Bielawska postanowiła poprzyglądać im się jak najdłużej. A gdyby zaszła taka potrzeba – działać. We wtorek wieczorem próbowała wciągnąć Marcina w rozmowę, ale wił się jak piskorz i w końcu uciekł z pokoju do kuchni. Nie zachowywał się jak jej synek. Nie w smak mu, że pojawiła się tak nagle w ich życiu? A kto miał pomóc, jak nie ona? To nie on wziął urlop, żeby zaopiekować się Martą. Nawet nie podziękował. W ogóle traktował ją jak obcą. Na szczęście Martusia miała chyba inne podejście, przyjęła obecność teściowej jak coś naturalnego. Kobiety jednak rozumieją się nawzajem. A gdy już usiądą przy herbacie i zaczną rozmawiać, mądrość życiowa sama płynie, z serca na usta. Julia miała wrażenie, że Marta słucha jej opowieści z czymś więcej niż grzeczne zainteresowanie.

Tak właśnie rozmyślając, Julia Bielawska pościeliła łóżko, założyła podomkę, wstawiła wodę, zaparzyła herbatę, wypila pół kubka, wyrzała przez okno na znajome żoliborskie podwórko, odkręciła kran przy wannie i zakręciła z powrotem, bo nie chciała budzić Marty, niech się dziecina wysypia. Potem stanęła w progu sypialni i zapatrzyła się na tę dwójkę, którą kochała najbardziej na świecie.

Wzrok jej się rozmył, a gdy się wystrzył, zauważyła, że Marcin zerka na nią znad kołdry. Nie spał. Patrzył na nią w milczeniu przez dobre kilkanaście sekund. Zrobiło jej się nieswojo, bo w tym spojrzeniu nie było nic z jej małego Marcinka. Tylko chłód i dystans. I niemy wyrzut, nie wiadomo za co.

Zacisnęła szczęki. Odwróciła się na pięcie i wyszła do dużego pokoju.

Marta skończyła pracę nad ostatnim zdjęciem do materiału. Uratowała te spieprzone foty! Wstała i przeciągnęła się, aż skóra na brzuchu napięła się do granic możliwości. Coś klepnęło ją w brzuch od wewnątrz. „Jurek przybił piątkę”. – Uśmiechnęła się.

Zerknęła na zegar w prawym dolnym rogu ekranu. Jedenasta trzydzieści. Poczula za plecami obecność Marcina i się obejrzała. Znów miał minę jak wczoraj na targu śniadaniowym. Jakby coś przeskrobał. „Nie – pomyślała. – On jest myślami gdzie indziej. Przebiera nogami. Chce gdzieś czmychnąć”.

– Chcesz zobaczyć czary-mary? – spytała.

Wiedziała, że to lubił. Czasami wymyślali dziwne rzeczy, które Marta na szybko realizowała w Photoshopie. Zielone twarze *à la* zombie, zadarte nosy albo wyciągnięte uszy. Tak dla śmiechu.

Kiwnął niemrawo głową. Marta wgrała z powrotem zdjęcie z hipsterską parą przy konfiturach.

– Dziś zajmiemy się kontrastem – zaczęła żartobliwym mentorskim tonem. – Co widzisz?

– Dwoje zacnych mieszczan, którzy wpadli w sobotę z rana poszpanować na modnej imprezce – odpowiedział. – On w drodze do studia nagraniowego, ona pewnie...

– Spoko, spoko. Ale jakie ogólne wrażenie?

– Hmm. No, ładna Warszawa. Nowocześnie. Kolorowo. Czuć w tym trochę klimatu Berlina. Gdyby dokleić bagietkę i camembert, to może i Paryż.

Marta kliknęła cztery razy myszą i zaczęła bawić się suwakami. Zdjęcie stało się czarno-białe, z mocnymi czerniami i jaskrawymi bielami. Potem jeszcze trochę zabawy w HDR. Zerknęła przez ramię na Marcina.

– A teraz? – spytała.

– Bazar Różyckiego – mruknął. – Lata dziewięćdziesiąte. Cyganka i jej obskurny konkubent w za krótkich spodniach gapią się na słoje z jakąś mazią. Gdy przekupa nie będzie patrzeć, zajmują słoje i dadzą w długą.

Marta uniosła kciuk.

– To samo zdjęcie, a ile możliwości – powiedziała i po raz pierwszy od jakiegoś czasu poczuła się trochę jak poprzednia Marta, ta sprzed skurczów i szumów w uszach. – A teraz powiedz, co ci chodzi po głowie. Widzę, że cię nosi.

– Tak sobie pomyślałem... – zaczął Marcin i uciekł wzrokiem w stronę okna. – Moglibyśmy ruszyć sprawę wyprawki. Albo przynajmniej połączyć trochę i pooglądać. Ubranka? Łóżeczko? Sam nie wiem, cokolwiek.

Najpierw uznała, że się przesłyszała. Ale nie wyglądał, jakby żartował. Poza tym jej też to przyszło do głowy. Już dawno powinni byli zastanowić się nad przemeblowaniem, zrobić małe malowanie, odpowiednio wcześniej, żeby zapach farby zdążył wywietrzeć.

– Pomysł super – powiedziała. – Ale w tym stanie chyba nie dam rady jechać do Ikei. Chodzić po marketach budowlanych też nie.

– To może ubranka? – Marcin uniósł brwi, a Marta dostrzegła coś dziwnego w jego oczach. Tak jakby... Wcale nie chciał jechać? Symulował zainteresowanie? „Nieee – pomyślała. – Co za *bullshit*...”

– Do Arkadii mogę jechać – odpowiedziała. – Blisko, w sam raz.

– Myślałem raczej o Wileńskim – wymruczał Marcin. – Zabierzemy mamę, obskoczmy parę sklepów, wy sobie potem wróćcie, a ja jeszcze załatwię jedną sprawę na Targówku.

– Po co mamy jechać na Wileński, skoro mamy pod nosem Arkadię? – spytała Marta podejrzliwie. To, co jeszcze przed chwilą odrzuciła jako bzdurę, teraz wydało jej się całkiem prawdopodobne. – Poza tym... Targówek? O co chodzi?

Zanim Marcin zdążył otworzyć usta, do pokoju weszła jego mama. Przez cały poranek odezwała się może ze dwa razy, siedziała w kuchni z książką i herbatą. Marta zupełnie o niej zapomniała, pochłonięta pracą nad zdjęciami. Julia miała okulary zsunięte na nos i spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Czy ja dobrze słyszałam? – spytała. – Wyprawka? W tych okolicznościach? Takich rzeczy się nie robi, dzieci, to przynosi pecha.

Marta obróciła się na krześle przodem do teściowej.

– W jakich okolicznościach? – spytała niepewnie.

– W twoich, kochanie – odpowiedziała Julia i podeszła parę kroków.

Marta znów poczuła się jak krasnal, bo teściowa przez swój ton urosła o parę kolejnych centymetrów, a ona wciąż siedziała i na dodatek wtuliła się głębiej w oparcie. Zerknęła na Marcina. Stał przy niej, wydało jej się, że poczerwieniał, ale może to był tylko słoneczny refleks zza okna.

– Powiem ci tak, Martuniu. – Julia uśmiechnęła się niezbyt sympatycznie. – Nie wiem, jak to było w twojej rodzinie, ale w mojej to się niestety mocno sprawdzało. Naprawdę mocno. Niemal co do joty. Pech to pech, nie warto z nim dyskutować.

– O co ci chodzi, mamo? – spytał Marcin, a Marta podziękowała mu w duchu, że włączył się do tej dziwacznej rozmowy.

– Ty się lepiej w babskie sprawy nie mieszaj – odpowiedziała bez żadnych oporów Julia i zrobiła ręką gest, jakby oganiała się od natrętnej muchy. Nie ruszył się z miejsca, na szczęście. – I tak nie zrozumiesz, a jeśli zrozumiesz, to na pewno na opak.

– Chodź, Marta. – Poczwała na ramieniu dłoń Marcina. – Przyniosę ci buty. Wolisz czarne czy te z pomarańczowymi sznurówkami?

Marta nie potrafiła otworzyć ust. Jej mózg gorączkowo poszukiwał odpowiedzi, których jej nie udzielono. Czym jest ten pech, o którym mówiła Julia? Co się sprawdzało? Dlaczego nie powinni kupić ubranek dla małego Jurka?

Tymczasem Julia podeszła jeszcze bliżej. Patrzyła tylko na Martę, jakby jej syna tu nie było. Przyklękła przy niej i wzięła jej dłoń w swoją.

– Osiemdziesiąty czwarty – zaczęła cicho i zabrzmiało to jak początek opowieści z krypty. – Moja siostra. Pierwsze, co zrobiła, to naznosiła do domu ubranek od znajomych. Nawet nie wiedziała, czy to chłopiec, czy dziewczynka, bo nie było wtedy takich badań. Naznosiła, uprała, wyprasowała i porzkiadała na półkach w szafie. A tydzień później...? – Zawiesiła pytanie i uniosła dłoń, jakby oczekiwała, że odpowiedzą jej unisono.

Oboje patrzyli na Julię w milczeniu. Marta domyśliła się, że chodziło o poronienie. Ale jak to się ma do jej sytuacji?

– Czy mama chce powiedzieć, że da się poronić w siódmym miesiącu? – Marcin pierwszy przerwał ciszę. – To były tylko skurcze. Jeśli Marta będzie leżeć, to wszystko będzie w porządku.

Julia nie odpowiedziała. Nawet nie podniosła na niego wzroku. Wciąż trzymała Martę za rękę, niczym rycerz przysięgający wierność słabowitej królownie.

– Listopad osiemdziesiąt osiem – podjęła swoją opowieść. – Jestem w dziesiątym tygodniu. Ojciec Marcina, to znaczy... Grzegorz – zająknęła się. – On takich rzeczy nie uznawał. Przywiózł łóżeczko od jakiegoś kolegi. Zdenerwowałam się i zaczął mnie boleć brzuch. Żadnych wyprawek, powiedziałam, z tym się czeka do porodu. Patrzył na mnie jak na głupią, ale ja

wiedziała swoje. Kazałam mu to wynieść do piwnicy. Chyba za blisko, bo i tak musiałam się należeć, tak jak teraz ty, Marta. Ale udało się.

Wskazała na Marcina. To on się udał.

– Zajebicie... – powiedział cicho, machnął ręką i wyszedł do przedpokoju.

Marta przez ostatnią minutę zapomniała o zdjęciach, wyprawkach i nawet o tym, że Marcin jest ostatnio wobec niej nieco zbyt chłodny i zdystansowany. Teraz liczyła się tylko krótka opowieść Julii, a mózg Marty błagał o więcej. Jeszcze więcej historyjek o ciężowych kłopotach. O kuzynkach, o bliższych i dalszych koleżankach – Julia pewnie zna ich wiele. Ona wie wszystko, w końcu jest... matką. A matki mają szósty zmysł. Intuicję. Połączenie z podświadomością. I mądrość.

– Chyba rzeczywiście poczekamy z wyprawką. – Przełknęła ślinę i dotknęła napiętego do granic brzucha. – Nie warto zapeszać.

Julia pokiwała głową z uznaniem. Nie uśmiechała się, ale Marta poczuła w tym momencie wyjątkową więź z teściową. I błogą senność, jak po jakimś narkotyku. Mogłaby położyć się teraz, zasnąć i obudzić się dopiero przed porodem. Wiedziała, że jest obok niej ktoś, kto się nią zaopiekuje.

– Marcin... – wymruczała, nie mając pewności, czy słyszy ją z przedpokoju. – Nie jedź na zakupy. Załatw ten Targówek, cokolwiek tam masz do załatwienia. Okej?

– A my przejdziemy się do skwerku i z powrotem – dopowiedziała Julia i podniosła się z przykłąku. Skrzywiła się, gdy coś zachrząściło jej w kolanie. – Biedne stare stawy. Mi też się przyda mały spacer.

Na dźwięk zamykanych drzwi spojrzały na siebie.

– Faceci... – mruknęła Julia.

Jeszcze jadąc tramwajem, Marcin próbował wytłumaczyć sobie to, co zdarzyło się w dużym pokoju między nim, jego matką i Martą. Ona, to znaczy matka... Wiedziała doskonale, co powiedzieć, żeby wstrzelić się w lęki jego żony. I to nawet te, z których Marta chyba nie do końca zdawała sobie sprawę. Ta jej opowieść... Zrobiła coś dokładnie przeciwnego, niż on starał się robić do tej pory. Na przykład bagatelizował internetowe legendy o ciąży, które Marta czasami znajdowała na forach i odnosiła do siebie. Albo obracał w żart

ekoporady od ekomam. A ona? Nie miała żadnych skrupułów, żeby zrobić taką wrzutkę. Pechy, złe wróżby, poronienia. Kurwa, to jest przecież ostatnie, czego Marta teraz potrzebuje! Wyglądała jak zaczarowana, jakby matka rzuciła na nią urok. Był zły na siebie, że nie miał odwagi bardziej się postawić i zatamować słowotoku matki, zanim było za późno.

Było coś jeszcze – coś, o czym Marcin nie miał ochoty teraz rozmyślać. Pewne wnioski, do których doszedł. I pewne pytania, które chciał zadać. A człowiek, któremu chciał je zadać, mieszkał trzysta pięćdziesiąt kilometrów stąd na południowy zachód i Bielawski ostatni raz widział go na swoim ślubie.

Jego ojciec.

Po raz pierwszy w życiu żałował, że nie ma samochodu. Najpierw musiał dojechać tramwajem z Żoliborza do Dworca Wileńskiego przy niedzielnym rozkładzie jazdy. Szybciej byłoby metrem, ale przez całą tę sytuację nie pomyślał i poszedł prosto do tramwaju. Pod dworcem zaczekał na zatłoczonym przystanku na podmiejski autobus, który wywiózł go prawie pod granicę Warszawy, aż w końcu przesiadł się do kursującego raz na czterdzieści minut małego busa, krążącego esami-floresami po wąskich uliczkach, wśród osiedli domków jednorodzinnych, pól i terenów poprzemysłowych. Jakim cudem on i Artur chodzili do tego samego liceum w Śródmieściu? Wtedy dojazd musiał być jeszcze gorszy.

Wysiadł na ostatnim przystanku przed pętlą. Nic nie przypominało tu Warszawy, żadnego ruchu na zrytym kostropatym asfalcie. Gdy mocniej zawiało, wiatr przynosił z lasu zapach sosnowych szyszek i wilgotnego igliwia. Zaszczekał pies. Po chwili odpowiedział mu inny, a potem jeszcze trzeci. Wtedy przejechał samochód. A potem znów tylko cisza i zapach lasu.

Wyjął komórkę, włączył GPS i ruszył w głąb osiedla. W drodze do willi Adlera musiał przeciąć kilka skrzyżowań niemal identycznych uliczek i na jednym z nich skręcić w prawo. Na obrzeżach osiedle przypominało nieco przedmieścia z amerykańskich filmów – podobne do siebie, niedawno postawione domy z zadbanymi ogródkami, dużymi garażami i świeżym tynkiem, wymierzone co do centymetra. Z każdym krokiem robiło się coraz starzej i coraz bardziej chaotycznie, aż w końcu Marcin doszedł do okolicy pełnej prostych nieociosanych brył z pustaka bez żadnych właściwości. Przy

każdej mijanej posesji podbiegały do niego psy najróżniejszych ras i ujadaly bez opamiętania.

– Gizmo, Gizmo, do domu! – zawołała jakaś kobieta z otwartych na oścież drzwi.

Marcin uśmiechnął się na widok malutkiego pekińczyka, jednak Gizmo zaczął zachłystywać się takim skowytym, jakby obwieszczał całemu światu, że nie warto się z nim zaprzyjaźniać. Szyld na bramie nie kłamał – to był zły pies.

Przyspieszył, opuścił terytorium Gizma i ze wzrokiem wlepionym w mapę na komórcie skręcił na najbliższym skrzyżowaniu w prawo. Cel jego wyprawy – willa, w której mieszkał kiedyś Adler – okazał się zwykłym budynkiem z lat osiemdziesiątych, może nieco bardziej zadbanym niż otaczające go kłoce. Marcin przystanął przy furtce. Zupełnie nie wiedział, co ma dalej robić. Próbował sobie przypomnieć, czy Artur kiedykolwiek mówił mu coś o swoim domu.

Było coś. Pewien znak szczególny.

*Władca Pierścieni.*

*Runy...*

*Ławka. Ogród Saski. Miejsce ich spotkań, gdy urywali się z zajęć, Marcin na uniwerku, Artur na politechnice.*

*– No nie wiem. – Marcin stuka palcem w zabazgraną po brzegi drobnym maczkiem stronę zielonego zeszytu. – Może jednak wywalimy tę kłótnię z twoją matką?*

*– A co? Zalatuje telenowelą? – Artur uśmiecha się krzywo, dopija piwo i strząsa resztki na trawnik. – To coś jednak mówi o moim bohaterze, nie?*

*– No mówi, ale nie uważasz, że to przegięcie? Skłąłeś ją jak jakiś żul.*

*– Bo tak było.*

*– Będzie jej przykro, jak to zobaczy.*

*– Nie zobaczy. Stawiam dolary przeciwko orzechom, że będzie miała gdzieś ten film.*

*– Sam nie wiem.*

*Przez chwilę siedzą w ciszy.*

*– No dobra – odzywa się w końcu Artur i zakłada włosy za uszy. – Weź to przerób po swojemu. Ale składzik zostaw.*

*Marcin kiwa głową. Składzik na sprzęty ogrodowe to fajny motyw. Mała szopa za domem Sosnowskich. Artur zamyka się tam, kiedy pokłóci się ze starymi – zabiera wtedy zielony zeszyt, pisze albo rysuje postacie z Władcy Pierścieni. Wydrapał nawet szczyrzykiem na drzwiach składziku nordyckie runy.*

*To miejsce ma należeć tylko do niego.*

„Tyle że takie składziki zazwyczaj stoją gdzieś w głębi ogrodu – pomyślał Marcin. – Za budynkiem. Nie będzie ich widać z ulicy”.

Ruszył spod willi Adlera i minął kilka kolejnych posesji. Głupio mu było przystawać przy parkanach, wspinać się na podmurówki i zaglądać komuś na podwórko. Zobaczył jakąś szopę, ale czy miała na drzwiach wydrapane runy? Ciężko było dojrzeć z tej odległości.

– Przepraszam. – Podszedł do kolejnego parkanu. – Nie orientuje się pani, gdzie mieszkają państwo Sosnowscy?

Nieco smutna blondynka przed czterdziestką podniosła wzrok znad papryk i bakłażanów, które kroїła na drewnianym stole. „Chyba ostatni grill w tym roku” – pomyślał Marcin. Na leżaku w głębi ogrodu siedział dwunastoletni chłopak i z zaciętą miną grał na przenośnej konsoli.

– Sosnowscy? – spytała kobieta. – Ja tu prawie nikogo nie znam. Mieszkam od niedawna.

– Rozumiem.

– Ale może mąż będzie wiedział...

Jak na zawołanie z domu wyszedł wysoki mężczyzna, niósł aluminiowe tacki z mięsem. Dość potężnie zbudowany, ogolony na łyso, ubrany mimo chłodu w sprany podkoszulek z orłem w koronie, zbyt mały i trochę za bardzo opinający mięśnie. Na pierwszy rzut oka Marcin przykleił mu łatkę typowego podmiejskiego kulturysty-patrioty.

Facet spojrział ponurym wzrokiem. Coś było nie tak. „Ma oczy jak pięć złotych” – pomyślał Marcin.

– Adam, pan pyta, gdzie mieszkają jacyś Sosnowscy – powiedziała blondynka.

– To ty nie wiesz, gdzie jest Sosnowskich dom? – wycedził mężczyzna nazwany Adamem. Brzmiało to tak, jakby miał sklezione wargi. – Sporo czasu.



Okolice już dawno poznana, tak być powinno. Powinno tak, powinno...

– Adam! – Blondynka przewróciła oczami. – Proszę cię, opanuj się na minutę.

Marcinowi zrobiło się nieswojo. Gdy facet się odezwał, źle przyklejona łąka od razu odpadła. Jak na zwykłego kulturystę z przedmieść miał zbyt wielkie źrenice i za bardzo rozbiegany wzrok, a jego ton sugerował jakiś problem z głową.

Dziwna sytuacja, ale to znaczyło, że dom rodziców Artura musiał być gdzieś niedaleko.

– A czemu szuka Sosnowskich? – rzucił w powietrze Adam, idąc z mięsem do nierozpalonego grilla.

Marcin poczuł się wywołany do tablicy, chociaż pytanie skierowane było raczej do blondynki.

– Czy to ważne? Po prostu szukam.

– To ważne, tak. Pojeby się tu kręca, węszą, kto ma jaki wóz albo co trzyma w chacie. Ważne, tak. Ten nie wygląda, ale chuj go tam wie.

Chłopak z konsolą dotknął czoła otwartą dłonią, jakby chciał powiedzieć: „Nie rób siary, chłopie”.

– Adam! – wykrzyknęła znów kobieta i uśmiechnęła się do Marcina przepraszająco.

– Mówię tylko, jak jest. – Facet strzepnął dwoma palcami niewidzialny pyłek.

Sytuacja wymykała się spod kontroli. Adam nie odpuszczał i zaczął nawijać blondynce w swoim dziwacznym pokręconym stylu, jak to na wiosnę chodził taki jeden po osiedlu i węszył, a potem była seria włamów dwie ulice dalej. Płytki wdech: „Zajebali Citroëna Tarczyńskiemu”. Płytki wydech: „Walendom wynieśli kino domowe”. Blondynka nie kojarzyła, więc Adam strzepywał palcami niewidoczne pyłki i nakręcał się jeszcze bardziej. Marcin miał wrażenie, że jeśli mu przerwie, to facet bez namysłu chwyci go wielkimi łapskami za fraki.

A jednak trzeba było jakoś zareagować.

– Jestem kolegą Artura Sosnowskiego – powiedział głośno.

Adam przerwał swoje wywody i spojrzał na Marcina dziwnie załęcznionym wzrokiem. W lekko zażawionych oczach Marcin dostrzegł niepewność.

– Jakoś nie przypominam sobie ciebie – powiedział Adam powoli. – A kojarzyłem większość jego kumpli.

– No to nie wszystkich najwyraźniej. Chodziłem z Arturem do liceum.

Facet wyglądał na zbitego z tropu. Trzy razy zadrgała mu powieka. „Dziwny tik” – pomyślał Marcin. A Adam wciąż milczał.

– Hej! Tutaj! – zawołał ktoś posesję dalej. – Chodź!

Marcin spojrzał w tamtym kierunku. Przy płocie stała dziewczyna po dwudziestce, ubrana w żółty gumowy płaszcz i czapkę z daszkiem, spod której wystawały długie jasne włosy. Trzymała grabie i machała nimi Marcinowi.

– No to już wie, gdzie jest dom Sosnowskich – powiedział Adam do blondynki, a tak naprawdę sam do siebie. – Dwie drogi, ale trzecia. Jeszcze nie teraz. Moja wina. Jeśli lekko byłem niemiły.

– To mu się zdarza – rzuciła blondynka przepraszająco.

– Lekko tylko. Nie ma sprawy. – Marcin pokiwał głową.

Odetchnął z ulgą. „Kurwa, co za dziwaczny facet...” – pomyślał. Szybko pokonał te kilkanaście metrów i poczekał, aż dziewczyna podejdzie do furtki. Otworzyła i zaprosiła go gestem do środka.

Wszedł na posesję. Kątem oka zobaczył jeszcze, jak Adam wybałusza oczy i nieufnie patrzy w jego stronę.

– Ten koleś już taki jest – powiedziała dziewczyna, kiedy weszli do domu. – Od paru lat ma jakieś zwidy. Trzęsie dupą, że ktoś mu zaraz wyniesie sprzęty z chaty. Rzadko z niej wychodzi, więc nie wiem, jak mogliby cokolwiek wynieść. Kuku na muniu i paranoja.

Marcin rozejrzał się po przedpokoju, ale niewiele dojrzał. Ciemne wnętrze wyłożone brązową boazerią. Przypominający świecznik mały smętny żyrandol, którego dziewczyna zapomniała włączyć, albo nie włączyła specjalnie. Było trochę jak w krypcie.

– Już wiem, że jesteś kolegą Artura. – Dziewczyna zdjęła płaszcz, ale została w czapce z daszkiem. – Zanim powiesz cokolwiek więcej, musimy zawrzeć umowę.

– Umowę?

– Starych nie ma. Są na zakupach, niedługo wrócą. I wtedy im powiemy, że jesteś moim kumplem ze studiów. Pasi?

– Po co? – spytał Marcin niepewnie.

Zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– Powiem tak – wychrypiała w końcu. – W tym domu temat Artura od paru lat jest zamknięty. Dobrze mi z tym i nie chcę, żeby cokolwiek się zmieniło.

– Okej. – Marcin kiwnął. – Jestem twoim kumplem ze studiów. Mam jakiś cel tej wizyty?

– Pożyczyć książkę z metalografii.

Dziewczyna zniknęła w kuchni. Wszedł za nią i się rozejrzał. Pierwsze, co wyczuł, to intensywny zapach chloru z detergentu. Nieskazitelny porządek. Żadnych okruszków na blatach, pusty i suchy zlew. Wyszorowana do czysta podłoga, wielka nowoczesna lodówka z podajnikiem do lodu.

– To kuchnia reprezentacyjna. – Dziewczyna wydeła wargi. – Matka jej nie używa. Drugą mamy na piętrze. Tam się gotuje rosolki i smaży schabowe. No i tam można sobie pozwolić na syf, bo matka obcych na piętro nie wpuszcza.

Marcin w dziennym świetle mógł wreszcie przyjrzeć się dziewczynie. Miała bladą, lekko zaczerwienioną skórę i nos usiany piegami. Prawie bez makijażu, tylko odrobinę tuszu na rzęsach nad ciemnoniebieskimi oczami. Przypominała trochę Artura, ale tylko trochę.

– Posłuchaj – zaczął. – Jako twój kumpel powinienem wiedzieć, jak się nazywasz.

– Sorki, zapomniałam. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń. – Jestem Weronika. Siostra Artura.

– Marcin. Marcin Bielawski.

Dziwne. Artur nigdy nie chwalił się, że ma siostrę. Marcin ugryzł się w język, dziewczyna mogła to źle odebrać.

– Co cię do nas sprowadza, Marcin?

Otworzyła lodówkę. Marcin dojrzał w środku dwa rzędy kartonów z sokami, poukładane jedna na drugiej zafoliowane tacki z mięsem, kilka zgrzewek

serków homogenizowanych. Środkowa półka wypełniona była butelkami z mlekiem. Wyglądało to jak zapasy na cały tydzień.

– Oprócz podręcznika do metalografii? – spytał z krzywym uśmiechem.

– No. – Weronika wyjęła sok i napiła się prosto z kartonu. – Jestem trochę zdziwiona. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek przyszedł tu jakiś kolega Artura.

Marcin wziął głęboki wdech.

– Ja i Artur pisaliśmy scenariusz. Chodziliśmy razem do liceum, ale dopiero na studiach jakoś bliżej się zgodaliśmy.

– Byliście razem na architekturze? – Weronika zmrużyła oczy.

– Nie. Ja studiowałem kulturoznawstwo. Zaczęliśmy kiedyś gadać o filmach na spotkaniu naszej klasy z liceum. Artur powiedział mi, że ma spisanych mnóstwo ciekawych dialogów i że warto by było zrobić z tego scenariusz.

Weronika machnęła dłonią zachęcająco, by kontynuował.

– Skończyliśmy pisać pierwszą połowę, a potem pojechaliśmy na te pieprzone Mazury. Artur miał podobno spisany dalszy ciąg, ale nie zdążył mi go dać przed... no wiesz...

Weronika przewróciła oczami.

– Przed swoją śmiercią – powiedziała szorstko. – Dżizas, człowieku, minęło osiem lat. Nie musisz być taki delikatny.

Marcin odwrócił głowę. Patrzenie tej dziewczynie w oczy było męczące. Pewnie musiała nauczyć się żyć z tematem śmierci brata, krążącym po domu jak wysysający wszelką energię wampir. Przez te wszystkie lata zdążyła się otoczyć grubym pancerzem z szorstkości i wymuszonego luzu.

– Okej, masz rację, to było dawno – powiedział z niepewnym uśmiechem. – W każdym razie wczoraj ten temat wypłynął w trochę dziwnych dla mnie okolicznościach. Ktoś się tym zainteresował. Chce, żebym dokończył ten scenariusz.

– Chcą zrobić z tego film? – Weronika znów wydeła wargi. – Co to będzie? Kryminał? Nie mów mi tylko, że Artur wymyślił komedię romantyczną, bo nie uwierzę.

– Nie. To było o nas. O dwóch chłopakach, którzy nadają nie do końca na tych samych falach. Jadą w podróż po Polsce i to odmienia całe ich życie. Taki film

drogi.

– Aaa. – Marcinowi wydało się, że Weronika nagle straciła zainteresowanie. – Więc co tam było w tym scenariuszu? Artur i jego szemrani kumple?

– Coś w ten deseń.

Dziewczyna omiotła wzrokiem idealną kuchnię.

– Mam tylko nadzieję – skrzywiła się – że wyrzucisz z tego waszego dzieła cokolwiek, co Artur dał o naszej rodzinie. Nie mam zamiaru oglądać w kinie tych wszystkich sytuacji, jak klócił się z matką i trzaskał drzwiami. Chociaż mógłbyś zostawić to, jak robi mi zjeby i opierdala, że za długo siedzę w kiblu. Pieprzony palant.

Marcin uśmiechnął się pod nosem. W tej ukończonej połówce usunęli z Arturem niemal wszystkie wątki dotyczące jego rodziny. Została jedna kłótnia, mała, a matkę dali za ścianą, tak że słyhać było tylko jej głos. O ojcu ani słowa. Żadnej młodszej siostry. Jakby narodził się z obłoku pyłu i żył w próżni. „To mi się nawet bardziej podoba” – mruzczał zadowolony Artur.

– Posłuchaj, Weronika – zaczął Marcin. – Przyszedłem tu, bo mam dwie sprawy do załatwienia.

– No słucham.

– Nie śmieję się, ale pierwsza jest taka, że nie mam tego scenariusza. Zgubiłem swój egzemplarz.

– Grubo. – Uśmiechnęła się zgryźliwie.

– Z drugą jest problem. Chciałem prosić twoich rodziców o zgodę. Z szacunku do nich. I do Artura.

Weronika przez chwilę patrzyła na Marcina bez słowa.

– Metalografia, pamiętasz? – wycedziła w końcu.

– Nie za bardzo mogę ruszyć ten temat, jeśli przynajmniej jedno z nich nie powie mi: tak, możesz się tym zająć, nie mamy nic przeciwko temu.

– Możesz też wypieprzyć wszystko, co Artur napisał. Nie? – Odepchnęła się od ściany i podeszła do drzwi kuchni. – Z tym pierwszym mogę spróbować ci pomóc. Ale o drugim zapomnij – powiedziała cicho i dobitnie.

Marcin przez chwilę rozważał, czy po prostu nie wyjść teraz i nie darować sobie tematu. Ale to by było tak, jakby odpadł na pierwszej lepszej

przeszkodzie.

– Pójdziemy do pokoju Artura? – spytał.

– Nie – rzuciła krótko Weronika. – Tam nic nie ma, wszystko uprzątnięte i wycucowane. Zresztą mówiłam ci, u nas obcy nie wchodzi na piętro.

– To co robimy?

– Ty nic. Usiądziesz w salonie i poczekasz – zakomenderowała, wskazując dłonią na skórzaną sofę. – Ja poszukam na strychu. Jak to mogło wyglądać?

– Albo zielony zeszyt z odręcznymi zapiskami, albo skoroszyt z wydrukiem. Grubszym fontem nazwy scen, a pośrodku kartek takie węższe kolumny z dialogami.

– Okej.

Weronika zniknęła w korytarzu. Marcin usłyszał trzeszczenie drewnianych schodów, kiedy wchodziła na piętro. Rozejrzał się po salonie. Wszystko było tak samo czyste jak w kuchni, żadnego kurzu, żadnych rozrzuconych gazet czy książek. Na błyszczącej politurowanej komodzie stały w równych rzędach wydania klasyki literatury z lat siedemdziesiątych w beżowych i czerwonych okładkach. Dwie wyrosnięte palmy w wiklinowych koszach pilnowały jak strażnicy dużego telewizora. Marcin omiół wzrokiem ściany w poszukiwaniu jakiegoś zdjęcia, na którym mógł być Artur. Nie znalazł nic, tylko obraz z Jezusem i Matką Boską.

Ktoś otworzył drzwi wejściowe, a Marcin zamarł. Po chwili w progu salonu stanął siwy mężczyzna grubo po pięćdziesiątce, w swetrze w kratę i popielatych dżinsach. Popatrzył na Marcina podejrzliwie bladoniebieskimi oczami.

– A pan to kto? – spytał gardłowym głosem, w którym dało się wyczuć mieszaną złość i zmęczenia.

Marcin zastanawiał się przez chwilę nad najlepszą z możliwych odpowiedzi.

– Dzień dobry – zaczął, siłąc się na naturalność. – Jestem kolegą Weroniki. Poszła po podręcznik dla mnie. Z metalografii.

Ojciec Artura przewiercał go wciąż na wylot wypranym spojrzeniem.

– Aaa, pan z politechniki? – spytał nieufnie.

– Tak.

– Z którego roku?

– Z czwartego. – Marcin poczuł, że zaczyna się pocić. – Za rok będę robić inżyniera – dodał, próbując przypomnieć sobie różnice między uniwerkiem a polibudą.

– Jasne.

Ojciec Artura podszedł do regału z książkami i zabębnił palcami o półkę. Marcin usłyszał skrzypienie schodów.

– No, znalazłam. – Weronika stanęła w progu i pokazała Marcinowi podręcznik do metalografii. – Możemy pogadać w ogrodzie – dodała, zerkając na ojca z ukosa.

Marcin wstał z sofy, podszedł do Weroniki i wziął książkę z bladym uśmiechem.

– Mogłaś chociaż powiedzieć panu, że inżyniera robi się na czwartym roku, a nie na piątym. – Usłyszał za plecami pełen ironii głos. – Kłamać to trzeba umieć, ludzie!

Weronika rzuciła Marcinowi pełne wyrzutu spojrzenie. Wyrwała mu książkę z rąk i rzuciła niedbałym gestem na szafkę.

– Pan wejdzie do kuchni – powiedział nieco milej ojciec Artura. – Nie będziemy robić scen. Żona wróci za piętnaście minut. Cokolwiek pan tam knuje, ona nie musi o niczym wiedzieć. – Uniósł palec w ostrzegawczym geście. – Adam mi powiedział, że jest tu jakiś kolega Artura – dodał z lekkim uśmiechem satysfakcji.

– Obawiam się, że nie mogę dać panu na to zgody – powiedział ojciec Artura bez wrogości.

Od paru minut siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Marcin zreferował krótko, po co przyszedł. Weronika stała przy oknie i przyglądała im się w milczeniu, popijając sok z kartonu.

– Nie zdaje pan sobie sprawy, z czym my tu musieliśmy się zmierzyć. Przez dwa lata żona brała środki uspokajające i nasenne. Weronice też się oberwało. – Wskazał na córkę. – Nie byliśmy w stanie poświęcić jej czasu, kiedy tego potrzebowała. Na szczęście teraz wszystko jest już bardziej... – zawahał się na chwilę – normalne.

Marcin nie wiedział, co powiedzieć.

– Teraz pan zajmie się tym scenariuszem, a my znowu będziemy musieli przechodzić przez całe to piekło – mówił dalej ojciec Artura. – Poza tym ta historia nie zasługuje na to, żeby dowiedziało się o niej pół Polski.

„Dziwnie zaakcentował frazę TA historia – pomyślał Marcin. – Ale czym ona właściwie jest?”

– I tu się mylisz – wtrąciła Weronika spod okna.

Ojciec Artura rzucił jej przeciągłe uciszające spojrzenie. Dziewczyna nie dała się jednak zbić z tropu.

– Teraz Artur jest nikim. Ktoś skopał go na jakimś poboczu i nikt nie poniósł za to żadnej odpowiedzialności. Nikogo to nie obchodzi – unosiła się coraz bardziej. – Nie myślisz, że taki film to byłby jakiś hołd dla Artura?

– Może i tak. A może i nie – odpowiedział ojciec. – Dla mnie ważniejszy jest święty spokój. Mój, twój i twojej matki.

– O mój święty spokój to się nie martw. – Zezłościła się. – Dałam sobie radę wtedy, dam i teraz. Gównu was obchodziło, co ja czuję. Dwa lata musiałam słuchać tylko, jak matka gada: „Artur to, Artur tamto, Artur sramto”. Co by Artur powiedział, co by Artur pomyślał.

– Przestań mi tu wrzeszczeć do ucha – rzucił jej ostro ojciec, a w jego bladych oczach pojawiły się ostrzegawcze ogniki. – Ona zaraz wróci i chcę, żeby do tego czasu ten pan sobie poszedł. I nie życzę sobie, żeby pracował nad scenariuszem.

Marcin poczuł na policzkach pałący rumieniec zażenowania. Weronika aż parowała od wściekłości.

– Przy okazji – syknęła. – Nie znalazłam na strychu ani zeszytu, ani wydruku.

Marcin uniósł wzrok. Dziewczyna nie kłamała. Ojciec Artura oparł się mocniej na krześle i przez chwilę patrzył martwo przed siebie.

– Artur zabrał zeszyt na Mazury – powiedział. – Kiedy dojechałem do szpitala, nie miał go przy sobie. Nie mam pojęcia, co się z nim stało.

– A wydruk z pierwszą częścią? – spytał Marcin.

Mężczyzna popatrzył mu w oczy.

– Spaliłem – powiedział cicho i dobitnie.

– Że co...? – Weronika uniosła dłonie w geście niedowierzania. – Kurwa, tato!



Marcin zaczął żałować po trzykroć, że nie spuścił Adlera na drzewo i nie dał rano odporu matce i jej opowieściom z krypty. Mogliby odrobić z Martą wszelkie zaległości: pochodzić pod rękę, pójść do kina, poszwendać się po sklepach z ubrankami dla niemowląt. Wykorzystać niedzielę.

Tymczasem siedział w kuchni jakiegoś dziwnego domu z dwójką kompletnie obcych ludzi. Dziewczyna chciała być pomocna, ale były od niej złe emocje. Ojciec Artura łypał wypranymi oczami – złamany życiem, posklejany, pewnie bał się, że klej puści przy pierwszej nadarzającej się okazji. To wszystko było cholernie przytłaczające i przygnębiające.

Ojciec Artura poczuł się chyba wywołany do odpowiedzi przedłużającym się milczeniem Marcina.

– Wie pan – zaczął łagodniejszym, choć wciąż szorstkim tonem. – W tym scenariuszu było wszystko, co Artur robił poza domem. Pijany. Naćpany. Chodzi w jakieś podejrzanе miejsca. Kupuje tam broń, gada jakieś bzdury. Te wszystkie bluzgi, ci jego kumple.

– To był Dawid – powiedział Marcin bez przekonania. – W scenariuszu był Dawid.

– Sam pan wie, że tam nie było za grosz fikcji. To był Artur, nie żaden Dawid. Nie mogłem pozwolić, żeby to wpadło w ręce jego matce. Wołałem, żeby zapamiętała go takim, jaki był w domu.

Weronika parsknęła i przewróciła oczami. Zaległa głucha cisza. Marcin wstał zdrętwiały i wyjął z kieszeni płaszcz wizytówkę.

– Mimo wszystko dziękuję.

Podał wizytówkę ojcu Artura. Mężczyzna przyjrzał się jej i odłożył ją niedbale na stół. Marcin odczytał z jego twarzy „nie ma za co”. Rzeczywiście, nie było.

– Gdyby pan jednak zmienił zdanie co do tej zgody, to proszę zadzwonić – powiedział i ruszył do przedpokoju.

## 5

– Sorry, że tak wyszło – powiedziała Weronika, stojąc z Marcinem przed domem. Nie założyła gumowego płaszcza na sweter i trzęsa się od popołudniowego wiatru. – Jak go znam, to zadzwoni do ciebie za tydzień i podpisze, co trzeba. Pewnie będzie chciał, żebyś trzymał to w sekrecie przed matką. Ale jak mu dasz czas, to zadzwoni. Zobaczysz.

– Nie mam już więcej wizytówek, ale myślę, że warto wymienić się telefonami. – Marcin wyjął pustą dłoń z kieszeni płaszcza. Czuł się podle. – Jeśli uda się cokolwiek nakręcić, to wrzucę cię do podziękowań.

– Będzie tam ktoś jeszcze?

– Na razie jesteś na pierwszym miejscu.

Podeszli do furtki i wtedy Marcin sobie o czymś przypomniał.

– Czy jest tu jakaś szopa albo składzik na narzędzia?

Weronika przyjrzała mu się uważnie.

– Chodzi ci o to miejsce, w którym Artur zamykał się przed matką?

Wskazała ostrzegawczo na okna kuchni, ale ojciec Artura najwyraźniej nie miał zamiaru sprawdzać, czy nieproszony gość już sobie poszedł. Wróciła więc do domu, a po kilku chwilach podeszła do Marcina i z dziwnym uśmiechem uniosła zaciśniętą dłoń.

Przeszli ścieżką biegnącą wzdłuż trawnika za róg budynku. Przepisnęli się między ogołoconymi krzaczkami porzeczek i wyszli na tył domu. Rabatki warzywne zostały już oczyszczone i przekopane przed zimą, a na jednym z klombów wybiły w górę trzy dorodne słoneczniki. W powietrzu unosił się dym z grilla i zapach kurczaka pieczonego na posesji dziwnego Adama. Marcin poczuł nieznośne ssanie w żołądku.

Niemal przy samym płocie stała mała drewniana szopa z drzwiami z lekko spróchniałych desek. Marcin dostrzegł na nich cztery koślawo wydrapane nordyckie runy. Nie miał pojęcia, czy to jakiś wyraz w elfim języku, czy tylko

kopia ilustracji z Tolkiena. Na pewno runy były wyrazem buntu Artura i środkowym palcem wystawionym w kierunku domu stojącego obok.

– Chcesz tam wejść? – spytała Weronika.

Marcin kiwnął głową. Dziewczyna otworzyła kłódkę kluczykiem i weszli do małego pomieszczenia pachnącego ziemią i lakierem. Pstryknęła włącznik i została przy wejściu. Goła żarówka pod sufitem zabrzęczała i rozświetliła wnętrze. Na ścianie wisiały widły, łopaty i sekatory, na półkach leżały ułożone w idealnym porządku plastikowe doniczki i palety do wysiewania.

– Musiał być w desperacji, jeśli przychodził tu pisać i rysować, zamiast walnąć się na łóżko w swoim pokoju – stwierdził Marcin.

– Nie wiem, jak dobrze go znałeś. – Weronika omiotła szopę beznamiętnym wzrokiem. – Ale dla mnie on był z lekka szurnięty.

„Z lekka szurnięty? Tak, to dobrze powiedziane” – pomyślał Marcin. Ale po chwili skonstatował, że Artur przed tą akcją w fast foodzie był jednak miłym gościem. Raczej cichym, wycofanym obserwatorem. Dopiero tamten incydent i pistolet w plecaku zrobiły z niego paranoicznego mruka, który wszędzie widział zagrożenie.

– W liceum nie gadaliśmy za dużo, ale jak już się udało, to nie było tak źle – zaczął. – Miał taką aurę wokół siebie, że człowiek musiał się nieźle nagłówkować w rozmowie. Wiesz, o co mi chodzi?

– Nie do końca.

– Szybko odpuszczał, jak ktoś nie nadawał na tych samych falach. Trochę za bardzo oceniał, tak mi się wydaje. Sprawdzał, czy człowiek pasował do jego świata.

– Czyli do czego? – spytała Weronika spod drzwi. – Do Tolkiena?

– Też. – Marcin się uśmiechnął. – Nie pamiętam, żebyśmy rozmawiali o czymkolwiek innym niż filmy, książki i muzyka. Ale Tolkien to była rzeczywiście jego największa zajawka. Wiedziałaś, że on nie obejrzał ani jednej części *Władcy Pierścieni*?

– Coś mi tam świta.

– Uważał, że po przeczytaniu po raz dziesiąty książki ma już swój własny film w głowie. Nie chciał, żeby ktoś mu ten film zepsuł. Zajarał się Viggo Mortensenem, to jasne, ale Legolas skutecznie go odstraszył.

Weronika pokręciła głową z bladym uśmiechem.

– Ja bym tak nie umiała.

Marcin nie ciągnął tematu, bo dostrzegł na ukrytej przed światłem żarówki półce rząd słoików owiniętych szarym papierem pakowym. Chociaż nie... Jeden ze słoików zawinięty był w kartkę w kratkę. Marcin podniósł go pod światło.

– Konfitury pani Danki. – Usłyszał za sobą głos Weroniki.

Przez papier przebijały niewyraźnie litery napisane długopisem na odwrocie. Marcin delikatnie rozerwał kartkę i zdjął ją ze słoika. Po chwili miał w ręku zmiętą stronę zapisaną od góry do dołu granatowym maczkiem. Odstawił słoik na miejsce.

– Co to jest? – Weronika podeszła bliżej.

– Wygląda jak strona z zeszytu Artura – powiedział Marcin cicho, starając się wyczytać w rzędy maleńkich literek.

– Ze scenariusza?

– Tak wygląda. Wczesna wersja. Pamiętam tę scenę. Kiedy Artur mi ją dał, trochę się różniła.

– Ale czad. Myślisz, że jest tu tego więcej?

– Nie wiem. To wasz składzik, nie mój.

### **(32) PLENER. BOISKO – BARDZO PÓŹNY WIECZÓR**

Na płycie boiska wyje kwietniowy wiatr. Trybuny są puste, światła przygaszone do minimum. Widać tylko pięć postaci siedzących na krzesłkach. To BOLEK, PABLO, CZARNY i BENNY. DAWID siedzi trochę z boku i przysłuchuje się kolegom.

PABLO: Ty, Bolek, nie mów, że nie masz dzisiaj siuwaksa.

BOLEK: No mówię ci, posucha na mieście. Psy znalazły większą ilość towaru. Nie ma i nie będzie. Skąd ja ci wezmę? Urodzę?

PABLO: Weź nie pitol. Pewnie gdzieś skitrałeś dla siebie.

BOLEK: Morda, człowieku. Weź mnie nie obrażaj.

PABLO: Pieprzony sknera.

CZARNY: Dobra, ludzie, przestańcie drzeć japska. Kto idzie do nocnego?

PABLO: Ja nie, ja byłem ostatnio.

BOLEK: Mnie nawet nie pytaj. Jak mnie wysłaliście po browary, to musiałem sam płacić.  
Co ja jestem, kurwa? Matka Boska Czarnogórska?

Pablo i Czarny wykrzywiają twarze i coś mruczą pod nosem. Pablo spluwa.

### **(33) PLENER. BOISKO – BARDZO PÓŹNY WIECZÓR**

CHŁOPAKI siedzą i smętnie popatrują przed siebie. Nuda. Nic się nie dzieje.

BOLEK: A opowiadałem wam, jak zrobiłem na pasach staruszkę?

Chłopakom wyrywa się chóralne: „Nieeee no, weź nie pierdol”.

BOLEK: No seryjnie. Idę po mieście i patrzę, a tu stoi taka starucha, no bardziej starowinka taka, z chustą i wózkem na kółkach. I ślepa chyba, bo w takich okularach ciemnych.

PABLO: Laskę miała?

BOLEK: No miała. Mówię wam, ślepa, przy pasach stała. No to ja mówię do siebie: „Weź, Bolek, jakiś dobry uczynek zrób raz na jakiś czas”. To podchodzę do niej i mówię: „Może pomóc jakoś pani? Pomogę pani”. Ona tak patrzy na mnie...

CZARNY: Ślepa i patrzy? Zalewasz jak zawsze.

BOLEK: No nie patrzy, tylko pewnie te ślepe gały wytrzeszcza przez te ciemne okulary.

Chłopaki kręcą głowami z niedowierzaniem.

BOLEK: Walcie się, historia była taka, że ją zacząłem przeprowadzać na zielonym i wtedy na środku, na pasach, jeb i buchnąłem jej z płaszcza portfel.

PABLO: Ty, no kurwa, Bolek, pojebało cię? Jebnąłeś staruszcze portfel?!

CZARNY: I ile tam było? Pięć zeta?

BOLEK: Dziesięć.

CZARNY: Człowieku, zaraz bełta puszczę na twój widok. Normalnie jak cię widzę, to mam już rzyg pod gardłem.

PABLO: Weź go nie słuchaj, Czarny. To kłamca jakich mało.

BOLEK: No nie kłamię. Ale jak zobaczyłem te dziesięć zeta, to zaraz biegnę za nią i drę się: „Przepraszam, pani portfel zgubiła!”.

CZARNY: No i?

BOLEK: No i zatrzymała się. Oddałem. Powiedziała: „Rzadko się dziś spotyka takich dobrych ludzi jak ty, chłopcze”. Czy coś w ten deseń.

Chłopaki milczą przez chwilę. Pablo s pluwa.

PABLO: Zmyśliłeś to teraz.

BOLEK: Nie no, co ty. Jak Boga kocham.

### **(34) PLENER. BOISKO – BARDZO PÓŹNY WIECZÓR**

DAWID i BOLEK stoją w pewnym oddaleniu od reszty chłopaków.

DAWID: Weź, Bolek, ty to czasem jak coś odpierdolisz, to nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać.

BOLEK: Smutno było jakoś. Chciałem rozruszać towarzystwo.

DAWID: Zawsze jesteś taki fafarafa?

BOLEK: No nie zawsze. Przy tobie to mi nawet głupio. Popatrzysz tylko na mnie i od razu mi przechodzi ochota na kozaczenie.

DAWID: To dobrze czy źle?

BOLEK: Weź, stary, nie mam dzisiaj ochoty na twoje filozofie. Nie ma towaru na mieście. Sam widziałeś, że chłopakom odpierdala. A ja jeszcze mam różnych takich marudnych klientów. Jak znajdą towar gdzie indziej, to do Bolka już nie zadzwonią.

Dawid zastanawia się chwilę. W końcu zbiera się na odwagę.

DAWID: Potrzebuję spluwy.

BOLEK: Że co?

DAWID: Słyszałeś, potrzebuję mieć gnata.

BOLEK: Świat się kończy. Człowieku, czy ty masz nierówno pod sufitem?

DAWID: Była taka jedna sytuacja w robocie. Ktoś mnie ostro przestraszył.

BOLEK: No i co?

DAWID: No i zesrałem się w zbroję.

Bolek odchodzi na moment. Patrzy w niebo. Wraca i wskazuje na trybuny.

BOLEK: Popatrz se na Benny'ego. On też niejedno w życiu przeszedł, ale ma na to wywalone. Hoduje te swoje króliki i ma wszystko gdzieś.

DAWID: Co to ma do rzeczy, Bolek?

BOLEK: To ma to do rzeczy, że ty się, Dawid, nie nadajesz do zabawy w te klocki. Kumasz? Jesteś tylko zwykłym kołesiem. Zwykłym, że nie ma zwykleszego. To, że jakiś kolo źle cię potraktował, nie znaczy, że pozwolę, żebyś łaził po mieście ze spluwą jak jakiś desperado.

DAWID: Więc nie załatwisz mi?

BOLEK: Nie, stary. Weź zapomnij.

Nie znaleźli więcej kartek z zeszytu Artura. Marcin złożył stronę ze scenami z boiska i schował do kieszeni. Przy furtce pożegnał się z Weroniką, po czym spojrzał jeszcze ukradkiem, jak Adam i jego rodzina w milczeniu sprzątaję naczynia po grillu.

Podwinął kołnierz płaszcza i rozpoczął zmudną wędrówkę z powrotem do ostatniego przystanku przed pętlą autobusową. Gdy pół godziny po wyjściu z domu Sosnowskich dotarł w końcu na szosę, wiatr przyniósł w jego kierunku dziwną melodię. Coś jak dzwony kościelne, ale nie prawdziwe, bardziej jak nagranie. Dzwonki. Marcin rozejrzał się, próbując zlokalizować miejsce, z którego dochodziły.

Wielka biała wieża betonowego kościoła wyrastała ponad osiedlem i chociaż wcześniej jej nie zauważył, teraz wydawała się centralnym punktem okolicy. Z jej szczytu płynęła w powietrze lekko fałszująca melodia dzwonek, które skojarzyły się Marciniowi z muzyczką z przedpotopowej gry komputerowej. Z kolejnych dźwięków i nieskładnych akordów wyłuskał te, które ułożyły mu się w znajomy temat.

– *Ave Maria*.

Uśmiechnął się. Najślynniejszy utwór Schuberta w końcu urwał się głośnym akordem. A potem zawył pies.

Wyobraził sobie, że gdy wróci do domu, zastanie znajomy obrazek: Martę śpiącą na sofie, a Dżeki zwiniętą w kłębek w nogach swojej pani. Sekundę później przypomniał sobie poranną sytuację i zmarkotniał. Jego wędrówka na daleki Targówek była stratą czasu. A może i błędem. Ciekawe, jak matka wykorzystwała jego nieobecność. Miał dziwne przeczucie, że nie próżnowała.

Dochodziła dwudziesta pierwsza trzydzieści. Wieczór był zimny, ale Dariuszowi Sosnowskiemu, ojcu Artura, to nie przeszkadzało. Wyszedł na ganek i wypełnił płuca po brzegi chłodnym powietrzem. Odkaszlnął i sięgnął do kieszeni spodni po paczkę cameli. Wystukał papierosa o dłoń, zapalił zapałką. Zaciągnął się dymem i popatrzył w gwiazdy.

Osiem lat. Tyle czasu. Wiele się zmieniło, oprócz jednej rzeczy. Wciąż nie ma sprawiedliwości, tej zwykłej, ludzkiej. Tam, na Mazurach, nikt nie zadał sobie podstawowego pytania: po co? Po co było szczuć żądnych krwi bandytów na zwykłego chłopaka, którego poniosło? Może gdyby tamten facet nie leżał nieprzytomny w kałuży krwi, toby ich powstrzymał. W końcu łączyło ich – Dariusza i tamtego mężczyznę – coś na kształt przyjaźni. Lojalności.

Który z nich? Łysy? Czy może ten, co wtedy w fast foodzie wyciągnął broń? Debil, psychopata. Powinien już dawno gnić w więzieniu, chyba czas na to. „Gdybym wtedy się nie ugiął...” A tak? Krąży dalej po mieście i załatwia swoje brudne interesy. Śmieje się. Pije drogi alkohol. Wciąga amfę albo kokainę. Może ma rodzinę, a może robi się na biznesmena. Nowa skóra, a w środku to samo co kiedyś. Zwykły bandzior.

Dariusz Sosnowski poczuł, że bezwiednie zaciska pięść i zgniata filtr papierosa. Zgasił go, wyjął drugiego i przez chwilę trzymał niezapalonego w ustach.

Siedem lat temu, już po wszystkim, po raz pierwszy przeczytał ten kawałek scenariusza, który Artur zdążył opracować. Z wypiekami na twarzy chłonał dialogi i wyobrażał sobie każdy szczegół spotkań syna z kolegami. A potem – już bez scenariusza – wyobrażał sobie spotkania syna z Nią. Odtwarzał w głowie jego ruchy, gesty, mimikę. Gdy przypominał sobie Jej twarz, robiło mu się nieswojo. To było jak film, którego nikt poza nim nie miał prawa zobaczyć.

Schował zapałkę i papierosa. Wrócił do domu, zamknął za sobą drzwi na wszystkie zamki i wszedł po tonących w mroku drewnianych schodach na piętro. Otworzył drzwi do pokoju syna. Upewnił się, że słyszy stłumione chrapanie żony, dochodzące z sypialni na przeciwległym końcu korytarza. U córki panowała cisza. Zapalił światło i wszedł do pokoju. Przez chwilę stał przy drzwiach i patrzył. Znał ten pokój doskonale, nic nie zmieniło się od momentu, gdy był tu ostatnio.



Podszedł do szafy na ubrania. Chwycił mebel i powoli, najdelikatniej, jak umiał, odsunął go na kilka centymetrów od ściany. Wsunął dłoń w szparę i wyciągnął stamtąd poszarzały plik kartek, przewiązany pakowym sznurkiem. Usiadł na łóżku. Otworzył scenariusz na chybił-trafił i zaczął czytać.

Po pięciu minutach odłożył kartki na łóżko. Spojrzał przed siebie niewidzącym wzrokiem, ale w głowie kłębiły mu się myśli.

Ktoś musiał podsunąć ten scenariusz Marcinowi Bielawskiemu. Ktoś rozpoczął jakąś grę, ale Dariusz nie miał pojęcia kto. I po co?

Czy powinien włączyć się do tej gry? Zastanowił się chwilę, jaką kartą zagrać. „Ten chłopak jest nikim – pomyślał z zaciśniętymi zębami. – Chce dokończyć to, co zaczęli wtedy z Arturem. Nie będzie laził, pytał ani sprawdzał. Tacy jak on idą po linii najmniejszego oporu. Wymyśli coś, jakąś historyjkę, i zadowolony z siebie wróci do poprzedniego życia”.

„A gdyby tak nasłać na niego kogoś, komu zależy?”

Wyciągnął z kieszeni wizytówkę chłopaka i zrobił jej zdjęcie smartfonem. Zszedł na dół po śrubokręt. Wyjął ze swojej tajnej skrytki inny telefon.

I coś jeszcze. Pożółkły egzemplarz tabloidu sprzed ośmiu lat.

Poszedł do ogrodu, pod składzik, do swojego ulubionego miejsca, w którym chował się, gdy nie chciał, żeby żona albo córka przyłapały go na rozmowie. Kilka sekund później usłyszał w słuchawce dobrze mu znany głos.

Jej głos.

Podał hasło.

Nie mógł nic zrobić, dopóki Ona mu nie pozwoli. Wysłuchiwała, co miał do powiedzenia. W słuchawce zaległa cisza i Dariusz Sosnowski zaczął myśleć z rosnącą ulgą, że jednak wszystko zostanie po staremu. Przeszłość to przeszłość, jakakolwiek by była. Gdy zaczyna się w niej grzebać...

– Daj mu szansę – powiedziała i się rozłączyła.

W oknie na trzecim piętrze nowoczesnego apartamentowca na Dolnym Mokotowie zapaliło się światło. Ciemna sylwetka mężczyzny stanęła przy drzwiach balkonowych. Mężczyzna przez moment spoglądał na rozświetlone alejki osiedla, a potem zniknął w głębi mieszkania.

Andrzej Rulewski spojrział na nagie ciało śpiącej dziewczyny, ledwo przykryte cienkim aksamitnym prześcieradłem. Poznał ją w klubie wczoraj, w sobotni wieczór. Przez całą niedzielę pieprzyli się bez opamiętania. Zrobili sobie tylko kilka przerw na zjedzenie czegoś na mieście i obejrzenie dwóch odcinków serialu na HBO. Rozmawiali mało. Jeśli już, to przekomarzali się albo Andrzej prawił jej jakieś wyuczone na pamięć komplementy. Kiedy uznawał, że robi się to nudne, całował szyję dziewczyny i głośnym ruchem przejeżdżał po kręgosłupie w stronę gładkich kształtnych pośladków z anielskim tatuażem. Chwilę potem dziewczyna sama zaczynała go pieścić, a jeszcze chwilę później Andrzej odkrywał na nowo, jak świetnym jest kochankiem.

Około dwudziestej pierwszej zasnęła i Andrzej poczuł rodzaj ulgi. Po ostatnim razie zaczęła go irytować dziwnymi minami i grzebaniem po jego szufladach. Najchętniej pozbyłby się jej już z mieszkania. Musiał wstać w poniedziałek o szóstej, żeby o siódmej trzydzieści być w redakcji.

Na stoliku zawibrował telefon. To dzwonił jego kontakt. W połowie przypadków, gdy dzwonił, Andrzej mógł się spodziewać odłotowego tematu.

– Siemano, mordeczko. – Usłyszał w słuchawce lekko ściszony głos, jakby facet nadawał zza kotary, szpiegując kogoś znanego przy wciąganiu koksu.

– Siemka – przywitał się Andrzej chrapliwym głosem. Odkaszlnął. Musiał przymknąć na chwilę oczy, żeby się skupić.

– Mam dla ciebie nietypowy temacik. Bardzo nietypowy.

Andrzej przysiadł na skraju skórzanego fotela.

– Słucham cię.

Przez chwilę w słuchawce było cicho i Andrzej wyobraził sobie, że jego kontakt został nakryty za kotarą i wyciągnięty za fraki przez grubego ochroniarza z wielką pałą.

– Jest pewien człowiek, którego nazwiska nie mogę ci zdradzić – odezwał się w końcu. – Ten człowiek chciałby, żebyś komuś pomógł w prywatnym śledztwie. Chodzi o jakąś starą sprawę, osiem czy dziesięć lat temu, nie pamiętam. Chłopak został pobity na Mazurach i umarł. Zainteresowany?

Andrzej spojrział na śpiącą dziewczynę, która przekręciła się z boku na bok i zamruczała przez sen. „Jeśli teraz się obudzisz, kobieto – pomyślał – to wystawię cię za drzwi w samych majtkach”.

– Jeszcze nie wiem. Możesz powiedzieć coś więcej?

– To może być grubsza sprawa, dużo chodzenia po mieście. Chłopak miał z kimś jakąś spinę, opisał to w swoim scenariuszu.

– Jakim znowu scenariuszu?

– Pisał z kolegą scenariusz o swoim życiu. Właśnie temu koledze trzeba pomóc. Pochodzić po osiedlach, popytać o to spięcie sprzed lat.

– Ten kolega o tym wie?

– No właśnie w tym jest cały myk, żeby ten kolega nie wiedział. Możesz coś wymyślić, że to dla gazety, rozumiesz.

Andrzej zastanowił się chwilę. Śmierdząca sprawa. Nie podobała mu się. Zajmował się teraz celebrytami, a nie chłopakami pobitymi na śmierć. W dodatku osiem lat temu.

– Posłuchaj – wycedził. – Nie wiem, czy mi się chce babrać taką robotą. Taki temat może, ale nie musi wypalić. Stracę tylko energię i czas. Jak będę biegał za tym po mieście, to na pewno przegapię kilka innych sztosów.

– Nic, kochany, nie przegapisz, twoja mordka trzyma rękę na pulsie. – Tamten zaśmiał się po drugiej stronie słuchawki. – Poza tym człowiek, którego nazwiska nie wymienię, płaci za wszystkie twoje wydatki. Chce tylko, żebyś raz dziennie zrobił mi raport z tego, co odkryjecie. A ja mu to przekażę.

Andrzej przez chwilę próbował ogarnąć w głowie cały ten spiszek.

– I jest jeszcze coś – dodał facet.

– No?

– Twój nowy pracodawca twierdzi, że jak pokopiesz naprawdę głęboko, to się dokopiesz, no wiesz, do czegoś, co cię podobno bardzo interesuje.

– Że co niby? – spytał Andrzej zaintrygowany.

– Skąd mam wiedzieć, jakie masz zainteresowania? Może jakiś bonzo z panną na boku?

– To jakaś gra? O co kaman?

– Kop, aż się dokopiesz, mordeczko. Nie ma dymu bez ognia. Tak powiedział.

Kontakt Andrzeja oznajmił mu jeszcze lekko rozbawionym głosem, że wysłał namiary na tego kolegę SMS-em z samego rana, po czym się rozłączył. Andrzej

siedział z pulsującymi skroniami, wpatrując się w ścianę nad łóżkiem.

– Kotek... – Z zadumy wyrwał go zaspany głos dziewczyny. – Twoja niunia ma bardzo mokrą cipkę.

Andrzej Rulewski wstał. Pomógł jej się ubrać i zadzwonił po taksówkę.

**Poniedziałek,**

**9 października, 9:31**



## 6

Departament rozpadł się jak asteroida uderzona pociskiem. Jego szefowa postanowiła odebrać cały zaległy urlop, ekipy z poszczególnych pokoi mijaly się bez słowa, orbitując każda w innym kierunku, a Lemur Zawadzki gdzieś się zmył. Przyszedł rano, rozejrzył się po pokojach rozbieganym wzrokiem i oświadczył Patrycji, żeby nie zawracać mu głowy. Ta mruknęła pod nosem, że nie jest jego sekretarką.

Marcin kontemplował to rozprężenie, siedział przy komputerze i rozważał wszystkie za i przeciw dotyczące spotkania z Anką, jego ostatnią nadzieją na zdobycie scenariusza. „Pierdol się” – to były ostatnie słowa, jakie usłyszała od niego siedem lat temu. Kiepski koniec, a teraz kiepski początek. Co miałby jej powiedzieć? Uśmiechnąć się przeproszająco i zebrać o scenariusz? Pewnie spaliła go, jak ojciec Artura.

Wszedł na Facebooka. Na wszelki wypadek nie zalogował się, żeby nie zostawiać śladów. Wpisał Ankę pod jej panińskim nazwiskiem. Komputer zamyślił się i wypluł na ekran dwadzieścia kilka wyników, jedna z kobiet mieszkała nawet w Australii. „Znając moje szczęście, to pewnie ta” – pomyślał. Zdjęcie po zdjęciu Marcin przeglądał, co Anny zamieściły na swoich profilach. Ta z antypodów okazała się opaloną zadbaną pięćdziesiątką na jakimś ranczo z kangurami.

Wypuścił powietrze z głośnym świstem. Nie było tu Anki, a profile bez zdjęć były bezużyteczne. Jak miał na nazwisko ten doktorek, do którego odeszła? Najpierw funkcjonował w ich rozmowach jako Patryk. Na początku było: „Pamiętasz tego Patryka? Mówię ci, z tym kolesiem nie ma o czym rozmawiać. Ja mu o Wajdzie, a on mi o bypassach”. Jakiś czas potem: „Idę na imprezę. Będzie Asia, Basia i Kasia. No i ten Patryk. Trochę się ogarnął chłopak. Obejrzał *Bez znieczulenia*, myślał, że to będzie film o lekarzach. Biedny”.

Potem Patryk zniknął z ich rozmów. Jak się okazało, tylko dlatego, że jakimś cudem pojawił się w łóżku Anki. A potem znów wypłynął, ale wtedy Marcin

zaczął go jakoś brzydtko przezywać i Anka furczała na niego wściekła. Chyba od nazwiska. Ptak, Ptasznik, Czarna Wdowa?

Pająk. Patryk Pająk. To było to. Wpisał „Anna Pająk” do wyszukiwarki. Mało wyników, zły znak. Żadna z lasek nie przypominała Anki. Nie mogła zmienić się przecież aż tak. Tylko jedna fotka przykuła uwagę Marcina na dłużej: artystyczne ujęcie, dwie dłonie na pomarańczowym piasku, rozświetlonym zachodem słońca. Raczej Bałtyk niż Pacyfik. Marcin poczuł, że serce bije mu mocniej, bo paznokcie pomalowane były na ciemny błękit.

Tyle że profil dostępny był tylko dla znajomych. Co miał zrobić? Zalogować się na fejsa i poprosić Ankę o dodanie do listy? Szczyt desperacji, idiotyczny pomysł.

- Gdybyś miała znaleźć kogoś w necie, to gdzie byś szukała? – spytał Patrycję.
- Poza naszym ulubionym portalem?
- Poza. Tę opcję już wykorzystałem.

Patrycja zastanowiła się chwilę.

– Jeśli ta osoba lubi się chwalić swoim CV, to masz jeszcze dwa inne portale. Wiesz jakie.

Marcin wszedł na GoldenLine i wpisał Ankę pod jej nowym nazwiskiem. Była. Portret zrobiony w studio, Anka zmieniła uczesanie, nie wyglądała już jak spóźniona o półtorej dekady fanka Pearl Jamu. Teraz zerknęła na niego ze zdjęcia profesjonalna asystentka prezesa, włosy zaczesane lekko za uszy i przedziałek z boku. Pasowałaby jako ekspertka do telewizji śniadaniowej.

- I co, znalazłeś? – spytała Patrycja.
  - Tak. Tylko co dalej?
- Dziewczyna stanęła za jego plecami.
- No, ładna. Kto to?
  - Znajoma. – Marcin się spiął.
  - Chcesz ją tylko pooglądać czy też pogadać?
  - Przydałoby się pogadać.

Sięgnęła Marcinowi przez ramię i zabrała mu myszkę. Chciał protestować, ale była szybka jak wiewiórka. Skopiowała nazwę fundacji, w której pracowała Anka. Nie minęło pół minuty, a znalazła namiary w Google’u.

– Co robisz? – spytał Marcin z paniką w głosie.

Zanim zdążył zareagować, Patrycja chwyciła słuchawkę służbowego telefonu. Wykręciła numer znaleziony na stronie i mrugnęła porozumiewawczo do Marcina.

– Dzień dobry. Dzwonię z kancelarii Bielawski i Synowie.

Marcin przewrócił oczami i zmiął pod nosem przekleństwo.

– Mamy przesyłkę dla pani Anny...

– Pająk – podpowiedział cicho.

– Pająk. – Patrycja stłumiła śmiech. – Pani Pająk prosiła, żeby dostarczyć jej dzisiaj podpisaną umowę.

Marcin poczuł pieczenie na policzkach. Nie wiedział, czy to z podniecenia, czy z zażenowania.

– Jest na spotkaniu – szepnęła Patrycja, zasłaniając słuchawkę. – Tak? A o której będzie wychodzić z biura? Mogłaby pani powtórzyć, bo coś przerywa? Okej, super, dziękuję. Na pewno ktoś do niej podjedzie. – Rozłączyła się i spojrzała na Marcina z triumfem. – Nie znasz tego numeru? W radio też tak wkręcają ludzi. Biuro na Natolinie w każdym razie, szesnasta trzydzieści, przekażą pani Ani.

– Jezu, dziewczyno, nie wiem, czy ci dziękować, czy skrócić kark.

– Nie ma za co.

Spojrzeli na siebie nawzajem i policzki zaczęły im drgać. W końcu obydwójce wybuchnęli niepohamowanym śmiechem, który poniósł się echem aż na korytarz.

Andrzej Rulewski wyszedł z poniedziałkowego kolegium w redakcji „Twojej Gazety”. Przez całą odprawę czuł się lekko zamulony. Na mieście niewiele się działo, zapowiadał się martwy tydzień. Znów trzeba będzie odgrzewać stare kotlety. Albo dać dobry przedruk z zagranicy. Albo wysłać fotografa na ustawkę. Albo spreparować jakiś temat w stylu szczura giganta, który odgryzł komuś kawałek tyłka w kamienicy na Pradze. Cokolwiek. Na szczęście „tematami z dupy” już się nie zajmował, ale czuł na kolegium świdrujący wzrok Garbarka, jednego z wicków, zastępców redaktora naczelnego. Coś w stylu:



„Do roboty, Andrzej, to ty jesteś mózgiem, znajdź coś dobrego w ryjowisku, bo konkurencja, klikalność, potrzebujemy jakiś hicior, więc weź się w garść”.

Facet, który mówił do niego „mordeczko”, miał ostatnio same nieświeże wiadomości. Jakoś nic nie szło, żaden piosenkarz ani polityk nie najadł się wstydu ani nie tłumaczył się z wpadki. Zresztą satysfakcja z tego też już nie ta. Na początku swojej drogi w redakcji Andrzej czuł euforię, że udało mu się „dojechać ryjowi”, ale jakiś czas temu przestało to na nim robić wrażenie. Za dwa lata stuknie mu czterdziestka. Wiosną przyłapał się na rozważaniach, czy chce mu się dalej babrać w czyichś brudach. Może jeszcze jedna duża historia i czas na zmiany?

Podszedł do biurka. Dochrapał się oddzielnego boksu, żeby mieć trochę więcej spokoju. Miniakwarium, nie tak duże jak naczelnego i wicenaczelnych, ale zawsze to więcej prywatności. Reszta otwartej przestrzeni redakcji rozbrzmiewała dzwonekami telefonów, rozmowami, szumem komputerów i drukarek. No i stukotem palców uderzających w klawisze.

Usiadł i jeszcze raz przeczytał długiego SMS-a. Mordeczka przesyłał informacje na temat roboty. Ten chłopak, który zginął, nazywał się Artur Sosnowski. Dziesięć lat temu skończył liceum w Śródmieściu. Jego kumpel scenarzysta nazywał się Marcin Bielawski i chodził z Arturem do jednej klasy. Teraz miał dwadzieścia osiem lat i znowu coś majstrował przy scenariuszu.

– Kurwa, co za szajs...

Otworzył prywatną pocztę. Wśród spamu dostrzegł wiadomość od mordeczki, wysłaną niecałą godzinę wcześniej. W załączniku było zdjęcie wizytówki, chyba zrobione komórką. Marcin Bielawski, numer telefonu, e-mail, miejsce pracy. Ministerstwo? Wow. Andrzej pomyślał, że jego tajemniczy pracodawca jest niezłe przygotowany. Tylko o co mu właściwie chodziło? Dlaczego wybrali do tej idiotycznej roboty akurat jego? Żaden był z niego śledczy i nie zajmował się zmarłymi studentami.

Komuś musiało zależeć na odkryciu prawdy o tej śmierci sprzed ośmiu lat. „Albo wręcz przeciwnie” – pomyślał Andrzej i się skrzywił. To musiała być jakaś gra, a on nie lubił brać udziału w cudzych grach, zwłaszcza gdy nie znał reguł.

Wklepał do przeglądarki adres wewnętrznego archiwum. Jeśli ta śmierć odbiła się jakimkolwiek echem, to na pewno był chociaż jeden artykuł. Żaden

porządny redaktor nie przepuściłby okazji, żeby dać trochę krwi na pierwszą stronę. A jeśli nie na pierwszą, to chociaż na szóstą, obok szczerów podgryzających kogoś w tyłek. Andrzej wpisał słowa kluczowe: „Artur Sosnowski, pobicie, Mazury”. Zawęził wyszukiwanie, żeby komputer wypluł mu tylko artykuły sprzed ośmiu lat.

Sieć na chwilę się zawiesiła. Brak wyników. Andrzej nie dał za wygraną – odkaslnął, po czym usunął z wyszukiwania imię i nazwisko. Wcisnął ponownie enter.

Wyskoczyło kilkanaście artykułów o pobiciach na Mazurach, ale większość dotyczyła lokalnych bójek pod parującymi od dragów i wódy dyskotekami w sobotnie noce. Ktoś kogoś strzelił z bańki, połała się krew. Gdzie indziej ktoś nie przeżył spotkania z kastetem i butami, ale ten ktoś był spod Iławy. Jeszcze gdzie indziej pobity był z Warszawy, ale miał trzydzieści kilka lat i udzielał potem ze szpitalnego łóżka wywiadu, w którym opowiadał, jak to pokłócił się z lokalem o miejsce parkingowe pod Biedronką.

Tylko jeden artykuł przykuł uwagę Andrzeja. *Co za noc! Lipcowy wieczór, który wstrząsnął miasteczkiem!* Napisał go jakiś mazurski wolny strzelec, współpracujący od czasu do czasu z redakcją. Andrzej szybko przeczytał tekst, chłonąc każde słowo.

Tej nocy do szpitala w miasteczku, w którym przez ostatnie dwadzieścia lat nic się nie działo, najpierw przywieziono pokiereszowanego motocyklistę, który rozbił się na drzewie. Potem na parkingu przed szpitalem personel znalazł pobitego do nieprzytomności chłopaka bez dokumentów i narkomankę. Zaraz potem zaczęła się palić stodoła Józefa S. (64 l.), gospodarza mieszkającego pod lasem. Trzy zastępy OSP gasiły ją przez kilka godzin. Jakby tego było mało, miejscowa policja odkryła na starym cmentarzu kemping niemieckich satanistów. „Mieszkańcy nie pamiętają takiego nagromadzenia tragedii i okropieństwa w jednym dniu. Maria P. (68 l.) mówi: Złe czasy nastały. Pan Bóg patrzy cierpliwie, ale i on kiedyś wyciągnie karzący palec”.

„To po prostu wakacje, kobieto – pomyślał Andrzej. – W wakacje całe zło przenosi się na Mazury”.

Nie było tam nic o Arturze Sosnowskim, ale był chłopak bez dokumentów. I jakaś narkomanka. I motocyklista. Może nie miało to nic wspólnego ze

sprawą, ale Andrzej postanowił wydrukować artykuł. Wyjął kartki z drukarki i położył na biurku. Wszedł do bazy zdjęć i sprawdził, czy nie ma tam czegoś z tamtego wieczoru.

Zachowało się zdjęcie pogruchotanego motocykla leżącego na policyjnym parkingu. „Dobre i to” – pomyślał Andrzej i wysłał zdjęcie na drukarkę. Wrócił do swojej poczty i wybrał na komórce numer z wizytówki.

– Halo, witam, mówi Andrzej Rulewski – powiedział po chwili do słuchawki.  
– Pan mnie nie zna. Jestem dziennikarzem „Twojej Gazety”, zajmuję się tematyką społeczną, piszę też do rubryki kryminalnej.

Takie niewinne kłamstewka miał we krwi. Młody głos po drugiej stronie słuchawki był mocno zdziwiony telefonem. Andrzej postanowił w duchu, że nie pozwoli mu się rozłączyć.

– Chciałbym pana szybko uspokoić, że nie chodzi mi o żadne sprawy związane z pana miejscem pracy. Nie interesuje mnie ministerstwo ani nic, co się tam dzieje. Piszemy czasem u nas w gazecie o nierozwiązanych sprawach sprzed lat. Znajomy z branży filmowej poinformował mnie, że będzie pan pisał scenariusz o swoim koledze. Tym, co zginął dziesięć czy dwanaście lat temu.

Andrzej słuchał przez chwilę.

– Osiem. Tak, ma pan rację, osiem. Skąd mam do pana numer?

„Dobre pytanie, bardzo dobre” – pomyślał.

– Podobno jest pan przed jakąś ważną rozmową z producentami, a może tuż po niej. Podali mi namiary.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki wyraźnie się uspokoił. „Żryj przynętę” – przeszło przez myśl Andrzejowi.

– Chętnie bym się z panem spotkał osobiście i wtedy bym panu wszystko jeszcze raz wytłumaczył. Myślę, że mogłoby się panu przydać moje doświadczenie. Kiedy? Jeśli już, to jutro. Dziś mam bardzo zajęty dzień w redakcji, sporo się tu dzieje.

Kolejne łatwo łyknięte kłamstewko sprawiło, że pokręcił głową z niesmakiem i szybko pożegnał się z człowiekiem z ministerstwa. Miał wrażenie, że tamten kupił jego historię. Z głosu brzmiał mu na nieopierzonego urzędniczynę. Dziecko szczęścia po studiach, jeden z tych, co to zapierdalają jak te konie do

swoich biur od ósmej do szesnastej, a potem wracają komunikacją miejską z nosami w smartfonach.

Zamiast jakiegokolwiek satysfakcji poczuł, że znowu łapie go chandra, jak ta na wiosnę. „W sumie to czy ja nie jestem taki sam koń?” – pomyślał, rozglądając się ponuro po redakcji.

Marcin wyszedł z ministerstwa o piętnastej. Przed wyjściem powiedział Patrycji, żeby go kryła. Przewróciła tylko oczami. I tak nikt nie zauważyłby jego nieobecności.

Musiał dojechać autobusem do ronda de Gaulle'a, przesiąść się w tramwaj, przejechać dwa przystanki i metrem dojechać na Natolin. Tam jeszcze spory kawałek z buta wzdłuż ursynowskich bloków, pod budynek fundacji, w której pracowała Anka. Wyliczył sobie na to niecałą godzinę. Będzie miał jeszcze kilka chwil przed wyjściem Anki na zebranie myśli.

Spanikował, kiedy zobaczył zamknięte wejście na stację metra Centrum. Na placu przed wejściem, zwanym patelnią, kłębił się zdenerwowany tłum. Nieopodal stała karetka i błyskała złowróżbnie. Marcin wyluskał z rozmów na patelni, że ktoś rzucił się pod pociąg i że metro nie jeździ. Ludzie narzekali i powoli rozchodzili się szukać innych środków transportu. Mimo niecodziennych okoliczności jakiś grajek z mimem robili performans pod murkiem.

„Po co się w to pchać? Sekretne spotkanie z byłą dziewczyną? Marta nie może się dowiedzieć” – pomyślał. Spojrzał w gęstniejące od siwej mgły niebo nad Pałacem Kultury. Zaczynał mieć wrażenie, że jakieś dwie nadprzyrodzone siły robią sobie jego kosztem jaja. Jedna mówiła: „Idź w to”, druga: „Hola, hola, narobisz bigosu, nawrzucam ci kłód pod nogi”. I jeszcze nagle pojawił się ten facet z gazety. Brzmiał jak zombie, któremu ktoś podał na chwilę antidotum. W jego głosie była jakaś fałszywa nuta.

Podjął decyzję, że jednak spróbuje. Skojarzył, że na Natolin jedzie bezpośredni autobus z ronda de Gaulle'a. Stuknął się w czoło, pomruczał i wrócił do tramwaju.

Teresa po raz jedenasty tego dnia wyszła na papierosa. W tym ogromnym szklanym biurowcu, w którym mieściło się kilkanaście redakcji – „Twoja

Gazeta”, tygodniki i miesięczniki dla kobiet – za palarnię robił niewielki odkryty dziedziniec z kilkunastoma rachitycznymi drzewkami w drewnianych donicach. O tej porze mało kto tu bywał. Poza tym palenie było z lekka *passé*.

W jej dziale w miesięczniku dla pań sezon na wytężoną pracę miał się zacząć dopiero w styczniu. Wtedy ruszą na nowo pokazy mody w Mediolanie, Rzymie i Nowym Jorku. Co prawda najpierw męskie, co było dla Teresy nudą i zwracaniem głowy. Nie miała serca do tych wygolonych pind przebranych za facetów. Potem jeszcze Haute Couture w Paryżu, przepych aż do wyrzygania. Dopiero w lutym rozkręcało się na dobre. Wtedy Teresa mimo czterdziestki na karku przez jakiś czas znów czuła się młoda.

Jej nastoletnie dzieci mieszkały w tym tygodniu z jej byłym mężem, a Teresa – mimo całej swojej niechęci do podłego męskiego podgatunku – czuła potrzebę, żeby raz na jakiś czas dać tym parszywym gnojom szansę. Przypomniała sobie rozmowę z Martą przy sobotnim śniadaniu. „Emocjonalne pustaki” – tak powiedziała. No może nie zawsze, były wyjątki, ale mało zachęcające. Ostatniego z jej „chłopaków”, pięćdziesięcioletniego Waldiego, podobnego do niej rozwodnika z dziećmi, naraiła jej koleżanka z redakcji. Kilka spotkań, jeden wyjazd za miasto. Było niby spoko, ale Teresa miała wrażenie, że Waldi był jakby wypalony. Zbyt spokojny. Smutny miś z klapniętym uszkiem. Nie było tam żadnych motyli w brzuchu, żadnych dreszczy. I chyba trochę się jej bał, a na to Teresa miała alergię jak na gluten.

„Więc co? Tinder? Za stara jestem na Tindera” – pomyślała. Koło dziesiątej odświeżyła zeszłoroczny profil na portalu randkowym. Dodała nowe zdjęcie, podrasowane w Photoshopie, wyrzuciła kilka feministycznych wtrętów, które jej zdaniem spaliły profil w zeszłym roku. Dała nowe motto. „Jestem, jaka jestem” nie zdało egzaminu. W rubryce „Szukam” zaznaczyła „seksu”. Zadowolona z siebie puściła nowy profil w obieg. Niedługo potem zaczęły spływać uśmieški, a młode ciacho w kurtce bomberce i okularach Ray-Bana zaproponowało jej randkę w restauracji. I to już teraz, zaraz, dzisiaj.

Teresa wydmuchała dym i zauważyła kątem oka, że na dziedziniec wychodzi z przeszklonych drzwi pewien facet. Często go tu widywała. Młodszy od niej, nawet przystojny, z trzydniowym zarostem. Pracował w tabloidzie, dziennikarz. Trochę mu się podobno oberwało, kiedy diwa polskiej piosenki chciała wytoczyć „Twojej Gazecie” proces o naruszenie prywatności. Wydawca

zapłacił odszkodowanie bez mrugnięcia okiem, a gość dalej polował na cudze romanse i spektakularne rozstania, tyle że ostrożniej.

Wyglądał na przygaszonego. Zapalił cienkiego papierosa i spokojnie delektował się dymem. Teresa popatrywała na niego, ale on nie zaszczycił jej spojrzeniem. Podobał jej się, ale to była inna liga. Biurowy hrabia. Laski pewnie same pchały mu się do łóżka. Przymknął oczy i przez jakiś czas trwał w bezruchu. Potem Teresa zobaczyła na jego twarzy lekki grymas, jakby przypomniał sobie o czymś przykrym. Podeszła do popielniczki i zgasila papierosa. Spojrzała jeszcze raz w jego kierunku w nadziei, że może zwróci na nią uwagę.

Mężczyzna otworzył oczy. Teresa zastygła w bezruchu. Pod stalowoszarymi oczami drapieżnika zobaczyła dwie płynące po policzku łzy. Zupełnie nie wiedziała, co znaczą. Próbowwała się uśmiechnąć, ale facet zachowywał się, jakby była przezroczysta.

Wyszła z palarni w kierunku wind. Obejrzała się.

On dalej stał tam, gdzie stał.

Połowę drogi na Natolin autobus albo stał na światłach, albo pełznął po wiecznie zakorkowanej alei Witosa. Gdy Marcin wysiadł na przystanku, była szesnasta dwadzieścia osiem. Puścił się biegiem.

Kiedy dotarł pod budynek, kobieta o figurze Anki szybkim krokiem odchodziła w kierunku zaparkowanego przy ulicy samochodu. Na chwilę stracił oddech. Podbiegł jeszcze kilkanaście metrów i zwolnił kroku. Kobieta otworzyła samochód pilotem, wsiadła i bez chwili wahania ruszyła. Zdążył jeszcze zobaczyć jej twarz. Sporo po czterdziestce. To na pewno nie była Anka.

Zgiął się wpół, starając się złapać oddech. Zreflektował się i szybkim krokiem wrócił pod budynek. Po chwili drzwi otworzyły się i ze środka wyszły trzy kobiety, rozmawiając o domowych sprawach. Marcin starał się dopasować ich twarze do zdjęcia z netu, ale żadna nie była podobna. Odeszły w stronę metra.

Przez całą drogę autobusem czuł radosną bezmyślność, jakby dostał porcję gazu rozweselającego. Miał się zastanowić nad tym, co powie Ance, ale śródmiejski smog najwyraźniej zaczadził mu umysł. Jak ją przeprosi? Zagra twardziela? „Witaj, maleńka. Przechodziłem akurat i pomyślałem, że powinnaś

oddać mi moją własność. A tak przy okazji, co u Czarnej Wdowy?” A może powinien od razu się rozpląszyć, dać się spoliczkować, niech popłyną łzy, najpierw jego, potem jej. Niech się dziewczyna wykrzyczy. „Siedem lat, siedem pieprzonych lat czekałam, żeby zobaczyć twój plugawy ryj i powiedzieć ci, jak bardzo cię nienawidzę...”

– Anna Pająk z tej strony. Chciałabym odwołać dzisiejszą wizytę. – Usłyszał za plecami.

Kobieta w popielatym płaszczku, chustce w żółte kwadraty i beżowym berecie zaczęła oddalać się w kierunku metra. Marcin powoli ruszył za nią. Rozmawiała przez telefon i nie zwracała uwagi na otoczenie. Raz tylko podniosła wzrok i zerknęła na witrynę drogerii. Szedł za nią z bijącym szybko sercem, pełen najgorszych przeczuc.

Skreśliła w prawo na skrzyżowaniu. Najwyraźniej nie szła do metra. Stała przy straganie i zaczęła rozmawiać ze sprzedawczynią. Zdjęła cienkie wełniane rękawiczki i położyła je na palecie z pomidorami. Wybrała kilka jabłek i pomidorów, podała je sprzedawczyni, potem zaczęły rozmawiać przyjaźnie, jakby Anka była tu stałą klientką. Marcin przyglądał się temu w milczeniu, udając zainteresowanie wystawą sklepu z butami.

W końcu zapłaciła i ruszyła dalej. Kiedy Marcin mijał stragan, zauważył jej rękawiczki leżące wciąż na pomidorach. Podniósł je szybko i podbiegł kilkanaście kroków. Anka weszła w zacienioną wewnętrzną alejkę osiedla i natychmiast skreśliła w inną. Marcin miał niejasne przeczucie, że jego była dziewczyna tu mieszka i jeśli za chwilę wejdzie do jakiejś klatki, to będzie po wszystkim.

A jednak Anka stała przy parkanie ogrodzonego placu zabaw i rozmawiała ze starszą kobietą siedzącą na ławce przy huśtawkach. Dziewczynka w czerwonej kurtce podbiegła do parkanu, a Anka przykucnęła i zamieniła z nią kilka słów. Marcin podszedł do niej na ugiętych kolanach.

– Przepraszam, zostawiła pani rękawiczki.

– O, dziękuję.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami. Miał wrażenie, że nic więcej się nie wydarzy. Spoglądała na niego, jakby rozmywał jej się i znowu wyostrzał.

I znowu, tak samo. I jeszcze raz. „Może myśli, że ma halucynacje? – przyszło mu do głowy. – A może Czarna Wdowa szprycuje ją psychotropami?”

Krew najwyraźniej znów dopłynęła jej do mózgu, na twarzy Anki drgnął jakiś mięsień, potem kolejne i po chwili patrzyła na Marcina przyjaźnie uśmiechnięta kobieta. Nawet podobna do jego byłej dziewczyny, tylko starsza.

– „Przepraszam” to świetne słowo, biorąc pod uwagę to, jak się ze mną pożegnałeś – odezwała się w końcu z chrypką, od której Marcinowi przebiegł dreszcz po plecach.



## 7

– Mam nadzieję, że go nie spaliłaś.

Siedzieli na ławce na placu zabaw. Dziewczynka biegała po drewnianym zamku i wpychała się przed inne dzieci na zjeżdżalnię. Starsza pani, jej niania, poszła do domu. Marcin czuł się spięty. Za to Anka wyglądała tak, jakby jego widok sprawiał jej czystą przyjemność.

– Pewnie, że nie. Jest u moich rodziców.

– Dałabyś radę go dla mnie wyciągnąć?

– Teraz, natychmiast? – Spojrzała mu figlarnie w oczy.

– Nie, nie musi być dzisiaj...

– W sumie, czemu nie? To ty jesteś tym tajemniczym prawnikiem, który dzwonił dzisiaj do mnie do biura?

Marcin poczuł palący wstyd.

– To koleżanka wpadła na taki pomysł.

– Teraz wszyscy w fundacji zastanawiają się, jakie papiery miał mi podesłać ten prawnik. Obstawiają rozwód.

– Przepraszam.

– Nie ma za co – ciągnęła rozbawiona. – To by się nawet zgadzało. Przydałby mi się taki prawnik. Piszesz się?

Pokręcił głową z niepewnym uśmiechem.

– Jak ty go tam nazywałaś?

– Czarna Wdowa – mruknął.

– Aaa. Jak się okazało, w punkt.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Anka wskazała na dziewczynkę, która wskoczyła na metalową rurę i zjechała z wesołym okrzykiem.

– Ale przynajmniej Julka nam się udała. Poza tym, że pyskuje i nie lubi myć zębów, to jest naprawdę zajebista dziewczucha. A ty? Masz?

– W drodze. Chłopak. Jurek.

– Gratulacje! – Uśmiechnęła się szeroko. – Julka... Jurek... Coś nie tak? – spytała po chwili, gdy dostrzegła minę Marcina.

– Imię Julia ostatnio nie za dobrze mi się kojarzy – odpowiedział. – Julia zrobiła mi najazd na chatę. Ty chyba nie miałaś okazji poznać mojej matki?

– Spotkałyśmy się raz, ale raczej mnie nie polubiła.

Poczuł, że czas zwalnia, a on mógłby tak siedzieć jeszcze bardzo długo. Zażenowanie gdzieś zniknęło, robiło się luźno i leniwie. Wyobraził sobie, że idą teraz z Anką do sklepu za rogiem i kupują po puszcze browara. Potem siadają na ławce, kontemplują jesienny wieczór, rzucają czasami okiem na dziewczynkę na placu zabaw i wspominają stare dzieje, a przynajmniej te sprzed pojawienia się Czarnej Wdowy.

– Jeśli poczekaś do ósmej, to ogarnę szybko Julkę. Patryk nie umie się nią zająć, ale jak już będzie umyta i w piżamie, to mogę wyskoczyć po ten scenariusz.

– To gdzie się spotkamy? Tutaj? – spytał Marcin.

– Zjedźmy coś chociaż razem. Chciałabym więcej się o tobie dowiedzieć.

„Gdzie jest Julia?” – pomyślała Marta, gdy otworzyła oczy po krótkiej drzemce. Wygrzebała komórkę z zagłębienia w sofie i sprawdziła godzinę – była dziewiętnasta piętnaście. Podniosła się z trudem, znów czując na głowie tę cholerną obręcz czy też stalowy hełm. W takich momentach miała problem z oceną, która część jej ciała najmocniej ciąży ku ziemi – brzuch czy głowa. Obstawiała głowę.

Julia. Musiała gdzieś wyjść na moment, może do sklepu... Nie było jej na fotelu, a z kuchni nie dochodziły żadne dźwięki. Po całym dniu z teściową krzątającą się po mieszkaniu jej nagła nieobecność wydała się Marcie dziwna. Wzbudzała jednocześnie niepokój i rodzaj ulgi, jakby w powietrzu było więcej tlenu. Poza tym... Marcin nie wrócił jeszcze z pracy? Zazwyczaj wracał najpóźniej o osiemnastej. Całe szczęście, że mały Jurek nie był pobudzony i masował ją spokojnymi ruchami od środka. Marta pogłaskała się po napiętym brzuchu.

– Jeszcze trochę i się spotkamy, koleżko...

Wybrała numer Marcina. Po chwili odebrał.

– Gdzie się podziewasz, królewiczu? – spytała słodko.

Przez kilka sekund słyszała jakieś trzaski i połączenie zostało zerwane.

– No ładnie – mruknęła pod nosem.

Po chwili komórka zawibrowała. Dzwonił Marcin.

– Gdzie jesteś? – spytała, już bez słodyczy.

– Mam spotkanie służbowe na mieście.

– Z tym facetem, co w sobotę?

– Nie, innym.

Marta zamilkła. Marcin też. Usłyszała w tle jakiś głos, kiedyś go już słyszała. Teraz mówił coś o gabinecie odnowy, ale wtedy z tą samą werwą zachwalał przyprawy. Prezenter, taki sobie, mało znany. Z telewizji śniadaniowej. Chałturzył po galeriach handlowych, Marta robiła mu zdjęcia podczas festynu. Po obu stronach słuchawki trwała cisza i Marta wyobraziła sobie, jak ten facet stoi na podeście za Marcinem, rozdzielając uśmiechy na lewo i prawo.

Wzięła głęboki wdech.

– Powtórzę moje krótkie pytanie. Gdzie jesteś?

– Już mówiłem, na mieście.

– A gdzie dokładnie?

– W galerii.

Odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nie kłamał.

– W Zachęcie. – Usłyszała w słuchawce. – Musimy przegadać sprawy związane z wystawą tego holenderskiego malarza, który...

Zrobiło jej się ciemno przed oczami i bezwiednie rozłączyła rozmowę. To kłamstwo było tak chamskie i oczywiste, że aż niewiarygodne. Pomyślała, że powinna rzucić telefonem w ścianę albo coś w tym rodzaju, tak zresztą podpowiadał jej pulsujący coraz mocniej guzik w potylicy.

„O co chodzi? Po co, Marcin, po co?”

Obiecała sobie, że nie będzie płakać. Już po minucie wiedziała, że to był błąd. Organizm nie wybacza łatwo takich błędów i tępy ból wlał jej się pod serce. A potem niżej. I niżej. Musiała wymyślić na szybko jakąś mantrę. Jakąkolwiek.

„Easy, Marta, easy” – powiedziała do siebie na głębokim wydechu. Usłyszała skrzyknięcie drzwi wejściowych. „Easy, Marta...” Drzwi zamknęły się cicho. „Easy...” To niesamowite, ale zadziałało. Gdy Julia stanęła w progu pokoju, trzymając w dłoni plastikową siatkę z Żabki, Marta poczuła, że tępy ból znika jak polany rozpuszczalnikiem. Tylko guzik w potylicy jeszcze przez chwilę pulsował miarowo.

– Wszystko w porządku? – spytała Julia. – Miałaś znowu skurcze?

– Nie – odpowiedziała Marta. – Tym razem nie.

Galeria handlowa wciąż żyła mimo dość późnej pory. Na stoliku obok półmiska z szoarmą z kurczaka i kuskusem z sosem limonkowym leżał scenariusz. Przewiązany fioletową wstążką, z dedykacją. Pierwsza strona nieco pożółkła, ale kolejne wciąż wyglądały, jakby dopiero co wyszły z drukarki. Marcin podziękował Ance, a ona się uśmiechnęła. Gdyby nie to spotkanie, jej rodzice pewnie niedługo wyrzuciliby go do kosza. Pogadali o pracy i o dzieciach, ale to ona miała więcej do powiedzenia.

Przez chwilę jedli w ciszy. Marcin przeglądał kolejne strony scenariusza i zerkał ukradkiem na paznokcie Anki. Wciąż malowała je na ciemny błękit, jak kiedyś. Spodziewał się, że na ich widok będzie czuł ciarki na plecach. Ale nie czuł.

– Tak się zastanawiam... – zaczął. – Te wszystkie sceny z nami. Powinienem je chyba usunąć.

– Czemu tak sądzisz? – Skrzywiła się.

– Są nieaktualne. To znaczy... no wiesz.

– W filmach nie ma czegoś takiego jak „nieaktualne”. – Anka oparła się wygodnie na krześle. – Kiedy to pisałeś, te sceny były częścią twojego życia. Mojego też. Jeśli zrobisz ten film, tylko ty i ja będziemy naprawdę wiedzieli, kim są Kornel i Anita. Nie ma sensu niszczyć czegoś tylko dlatego, że nam się nie udało.

Marcin nałożył sobie trochę szoarmy, kuskus zostawił.

– Możesz za to zrobić coś innego. – Anka uśmiechnęła się zawadiacko. – Możesz to poprawić. Możesz puścić wodze fantazji, kapujesz? Wyjść na

moment ze swojej skóry. Zapomnij, że Kornel to ty, a Anita to ja. Przekręć to. Zakręć. Niech ona będzie wierna. Niech to on ją puści kantem.

– Oj, nie przeginaj. – Marcin pogroził jej palcem.

– Wiem, wiem, żartuję – ciągnęła niezrażona Anka. Jej oczy nabrały niesamowitego blasku. – Pamiętasz, jak po raz pierwszy oglądaliśmy *Osiem i pół* Felliniego? On to przecież zrobił o sobie. Film o reżyserze, który nie umie zrobić filmu. Wrzucił tam te wszystkie postacie ze swojego życia: żonę, kochankę, producenta, swoją żonę aktorkę.

Marcin przytknął oczy i zobaczył Claudię Cardinale. Piękną i oszalamiającą, a jednocześnie skromną i włoską.

– Ale wszystko poprzekręcał. Przemielił to przez swoją fantazję. Każdy w tym filmie gdzieś kiedyś był prawdziwą osobą w jego życiu, ale on to przemieszał, posklejał z różnych osób i stworzył postać. Rozumiesz, Marcin? Postać to nie jest to samo co osoba. Wy z Arturem wrzuciliście do tego scenariusza osoby, ale tam nie ma postaci. Dlatego nie da się tego czytać. Są tylko te dialogi jakby żywcem spisane z taśmy. Jakby Artur chodził z dyktafonem na to swoje boisko.

Marcin poczuł, że robi mu się gorąco. Nie wiedział, czy od tego, co usłyszał, czy od żaru, który bił z oczu Anki, która po siedmiu latach małżeństwa z doktorem Pająkiem mogła wreszcie dać upust swojej starej pasji. Ciemnobłękitne paznokcie zabłysły niepokojąco w świetle kinkietu.

– Czyli co mam według ciebie zrobić? – spytał. – Olać to, co tam było? Wymyślić na nowo? Nie wiem, czy potrafię...

Anka spojrzała na Marcina przenikliwie.

– Masz stworzyć postacie, rozumiesz? – powiedziała twardo. – A one potem zaczną żyć własnym życiem.

Pokiwał głową.

– W tym scenariuszu teraz jest tylko jedna postać, wiesz? – Anka uderzyła mocno błękitnymi paznokciami w plik kartek. – To jest ta biedna prostytutka, którą Dawid widzi w scenie z kupowaniem pistoletu. Przeczytaj tę scenę jeszcze raz. Problem w tym, że ona się już nigdy potem nie pojawia.

– Jaka prostytutka? – spytał Marcin skonsternowany.

Anka prychnęła i otworzyła plik mniej więcej w połowie. Chwilę przeglądała strony, przerzuciła kilka w tył.

– Tu. Nie pamiętasz? – Pokazała na scenę w skrypcie. – Od tej dziewczyny bije taka żalność i nie wiem... kurwa, no nie wiem... to jest jak jakaś anielska poświata. Ona jest w tej scenie opisana jak jakaś święta niemalże. Męczennica. Pokaż mi chociaż jeszcze jedną osobę w tym scenariuszu, która by była opisana z taką czułością!

Marcin nachylił się nad scenariuszem i poczuł, jak skóra cierpnie mu na karku.

#### **(48) PLENER. SZEMRANA WILLA POD MIASTEM – PÓŹNY WIECZÓR**

Plan ogólny. DAWID i BOLEK stoją w mroku na podjeździe dwupiętrowego budynku. Bolek podchodzi do białych drzwi ze złotą klamką. Dawid trzyma się z tyłu, skryty tam, gdzie nie dochodzi światło ogrodowych latarni z mosiężnymi okuciami, do których dobijają się niezmordowane ćmy.

Ten dom to zwykły piętrowy budynek na dalekim przedmieściu, może nawet już poza Warszawą. Z obu stron sosnowe zagajniki. Rozgrzane drzewa pachną żywicą. Jest wczesny maj, ale przez cały dzień słońce paliło niemiłosiernie. Teraz pod wieczór ziemia oddaje ciepło i jest przyjemnie.

Dawid bierze głęboki oddech, żywiczne powietrze na chwilę go obezwładnia i chłopak przymyka oczy. Potem otwiera powieki i znowu patrzy na dom. Na piętrze widać rząd okien zasłoniętych pluszowymi storami. Wszystkie zasłony są w tym samym kolorze – kardynalskim fiolecie. Przebija zza nich słabe światło. Dawid słyszy z uchylonego okna na piętrze stłumione pokrzykiwania mężczyzny i pojękiwania kobiety.

BOLEK: Ty, Dawid, może lepiej zostań tu i poczekaj.

Dawid zastanawia się chwilę. Najchętniej by został, ale coś go tam ciągnie. Ciekawość. Nigdy wcześniej nie był w burdelu.

DAWID: Pójdę.

Wchodzą razem do willi. Drzwi zamykają się za nimi.

#### **(49) WNĘTRZE. SZEMRANA WILLA POD MIASTEM – PÓŹNY WIECZÓR**

DAWID stoi przy drzwiach. BOLEK idzie gdzieś dalej i ściszym głosem rozmawia z niską BRUNETKĄ grubo po trzydziestce, ubraną w błękitne obcisłe dżinsy, przetarte na udach i kolanach. Kobieta słucha, co Bolek ma jej do powiedzenia.

Dawid rozgląda się po wnętrzu. Hol przypomina recepcję w małym hotelu. Fioletowe i żółte światła jarzeniówek odbijają się od błyszczącej posadzki. Tam, gdzie stoją Bolek i brunetka po trzydziestce, jest kontuar, coś jakby bar. Za brunetką stoją na półkach alkohole i kieliszki. Whisky, koniak, sherry. Nigdzie nie ma cen.

Bolek podchodzi do Dawida z zakłopotanym uśmiechem.

BOLEK: Słuchaj, dzisiaj nie da rady. Nie ma tego faceta.

DAWID (*krzywi się*): Mówiłeś, że wszystko jest załatwione.

BOLEK: No nie wyszło. To nie jest, kurwa, supermarket. Ale luzik, typ wraca jutro. Będziesz miał to, co chciałeś.

Dawid jest niepokieszony. Liczył na to, że dziś w nocy poczuje w dłoni chłód pistoletu. Zamknie się w swoim pokoju na klucz, położy broń na łóżku i przez godzinę będzie na nią patrzył. A potem schowa ją w jakiejś skrytce, którą zna tylko on.

BOLEK (*kpiąco*): Pani proponuje, żebyś skorzystał, skoro już tu jesteś. Jest mały ruch. Da ci zniżkę.

DAWID: Chyba cię, Bolek, pojebało. Mam iść na dziwki?

BOLEK (*pochylając się do Dawida*): Spokojnie, człowieku. Ciszej trochę. Ona nie lubi tego słowa (*wskazuje na kobietę za barem*).

DAWID: Dobra, ale odpieprz się już, okej?

BOLEK: Co ci szkodzi, misiu pysiu? Ja tu bywam. Czarny też raz był. Pablo gustuje raczej w tych z szosy na Nieporęt. Tylko Benny woli króliki, no ale Benka to zostawmy w spokoju.

DAWID (*kręci głową*): Ja nie jestem taki.

BOLEK: Czyli jaki?

DAWID (*po chwili*): Taki.

BOLEK: No ja wiem, Dawid, że ty nie jesteś taki. Ty jesteś, kurwa, rycerz w lśniącej zbroi. Nie babrasz się w gównie jak my, twoi menelscy kumple. Tylko jakoś mam wrażenie, że życie przecieka ci między palcami.

Dawid słucha wywodu Bolka w milczeniu. Widać, że bije się z myślami.

BOLEK (*cicho*): To jak? Wracasz do domu zwalić konia czy dołączysz do klubu?

Dawid nie wie, co odpowiedzieć. Spogląda w stronę kobiety za barem, która patrzy na nich z kpiącym uśmiechem.

### **(50) WNĘTRZE. POKÓJ NA PIĘTRZE – PÓŹNY WIECZÓR**

DAWID siedzi na dużym łóżku w jednym z pokoiów na piętrze. Małym, ale przytulnym. Gruby materac przykryty jest granatową welurową kapą, a u wezgłowia leżą dwie welurowe poduchy. Mają kształt serca. Granatowe serca. Dziwne.

Drzwi uchylają się bezgłośnie. Do pokoju wchodzi wolno DZIEWCZYNA. Ma najwyżej osiemnaście lat, może mniej. Jest średniego wzrostu. Brązowe włosy do ramion, lekko kręcone, spięte niewidocznymi wsuwkami. Ubrana w półprzezroczystą halkę z szarego muślinu, cienkie ramiączka halki są za luźne, lekko się zsuwają. Pończochy, również szare, ale nieco ciemniejsze, z dwiema czarnymi kokardami w białe groszki. Buty na obcasach, czarne, bez dodatków.

Bez słowa podchodzi do łóżka. Siada. Spogląda na Dawida nieobecny wzrokiem. Jej oczy mają w sobie jakąś mgłę, jakby zasłonę.

Dawid jest bardzo spięty. Przetyka ślinę. Zauważa ze zdziwieniem, że jedno oko dziewczyny jest innego koloru niż drugie. Lewe jest niebieskie z lekką nutą zieleni, wydaje się żywsze, jakby to głównie ono patrzyło na Dawida. Prawe jest jaśniejsze, zieleń wpada w pomarańcz, a nawet żółć. Jest bardziej nieobecne. Dawid patrzy zafascynowany na to prawe oko. Dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę, odwraca głowę. Na szyi, poniżej ucha, ma ciemniejsze miejsce, jakby pręgę, stary siniak.

Dziewczyna wstaje. Podchodzi do komódki stojącej przy łóżku. Dziwnym powolnym ruchem otwiera szufladę i wyciąga z niej prezerwatywę. Kładzie ją na łóżku i staje przed Dawidem. Dawid ma wrażenie, jakby dziewczyna była androidem, robotem ubranym w ludzką skórę, pończochy i halkę. Dziewczyna patrzy na Dawida swoim lepszym okiem, jakby chciała odgadnąć, po co Artur do niej przyszedł. Sięga do paska jego spodni. Na ramieniu powyżej łokcia ma drugą pręgę, podobną do tej na szyi.



Dawid chwyta ją za rękę. Dziewczyna drga, jakby w jej mózgu zawibrowała niewidoczna struna. Napina się, a potem nagle łagodnieje, staje się z powrotem powolna i robotyczna. Przymyka oczy.

Dawid wciąż trzyma dłoń dziewczyny i oddala ją od swojego paska. W końcu puszcza. Palce dziewczyny przez chwilę wykonują w powietrzu dziwny gest, jakby grała na niewidocznym pianinie. Niebieskozielone lewe oko patrzy na Artura badawczo, to żółtawe otwiera się trochę szerzej.

Artur uśmiecha się lekko i pokazuje miejsce koło siebie na łóżku. Przez chwilę dziewczyna sprawia wrażenie, jakby nie rozumiała. Artur nabiera pewności siebie. Stuka palcami w materac w geście zaproszenia, stara się nadać swojej twarzy przyjacielski wyraz. Dziewczyna siada powoli i bezgłośnie. Patrzy przed siebie. Artur widzi jej profil, mały nos i lekko rozwarte usta. Zaczyna się zastanawiać, co dzieje się tam głęboko, w jej głowie. O czym teraz myśli. Artur postanawia, że nie będzie dziś jej kolejnym klientem. Tak, Bolek miał rację, jest pieprzonym rycerzem.

*Odjazd kamery.* Dziewczyna patrzy przed siebie. Artur patrzy na jej profil. Potem dziewczyna przechyla głowę i kładzie ją na jego ramieniu. Artur obejmuje ją niepewnym ruchem. Dziewczyna nie protestuje.

Trwają tak razem bez słowa. *Wyciemnienie.*

– Nie wiem, jakim cudem mogłeś nie pamiętać tej sceny – rzuciła Anka z potępieniem w głosie, gdy Marcin skończył czytać i podniósł wzrok. – To jest jedyna tak napisana scena w całym tym waszym dziełku.

Marcin zmrużył oczy – przez parę minut zanurzony był w scenerii szemranej willi pod miastem. Rzeczywiście, zapomniał o tej scenie. Pamiętał z grubsza dialogi z Bolkiem i resztą załogi na boisku, ale spotkanie z prostytutką zupełnie wyleciało mu z pamięci.

– Wtedy uważałem tę scenę za niepotrzebną – powiedział. – Myślałem, że Artur naoglądał się Lyncha, katował wtedy *Blue Velvet* i *Zagubioną autostradę*. To wszystko wali na odległość latami dziewięćdziesiątymi. Ten burdel... Raczej nie przyszło mi do głowy, że on tam naprawdę polazł. Kompletnie jak nie on. Artur i prostytutka? Wyobrażasz to sobie?

– Ja go nie znałam, więc nie wiem.

– Może dał to po to, żeby się pokazać w dobrym świetle? W pozostałych scenach był zazwyczaj mrukiem użalającym się w kółko, że ktoś postraszył go pistoletem.

– Tu się nie zgodzę. Nic więcej nie zwróciło twojej uwagi? – spytała badawczo Anka. – Nic a nic?

Marcin zastanowił się przez chwilę.

– Pod koniec się pogubił – stwierdził. – Zaczął pisać „Artur” zamiast „Dawid”.

Spojrzała triumfująco. Nie do końca wiedział, co chciała mu przez to przekazać.

– Musiałem przegapić to podczas edycji – mruknął.

Anka poprawiła włosy i nałożyła sobie trochę kuskusu.

– Wy faceci jesteście tacy techniczni. Nie widzicie żadnego podtekstu. „Przegapiłem to przy edycji”. I bardzo dobrze, że przegapiłeś, mój drogi.

„Mój drogi?” Ciepły prąd przebiegł mu po plecach.

– Dla mnie to znaczy – ciągnęła Anka – że pisał tę scenę w wielkich emocjach. Zapomniał się. Stracił poczucie rzeczywistości. Wszedł z powrotem do swojej głowy, do tamtego przeżycia. W pewnym momencie przestał się kontrolować, zaczął pisać „Artur”. Może nawet nie zależało mu potem, żeby to poprawiać. Może wyczerpał się pisaniem tej sceny tak bardzo, że później już nigdy nie spojrzał na to, co napisał?

– Strasznie teoretyzujesz – jęknął Marcin, choć w duchu przyznawał Ance rację.

– Wiesz tylko, co jest dziwne? – spytała.

– Po prostu powiedz, nie pytaj.

– Ta dziewczyna już się potem nie pojawia. To jest pierwszy i ostatni raz. Nie dziwi cię to?

Marcin się zastanowił. Okej, może rzeczywiście Artur poszedł z kumplem do domu publicznego po pistolet. Może spotkał dziewczynę, która wyglądała na lekko upośledzoną albo była na ostrych prochach. Artur, rycerz w lśniącej zbroi, wspaniałomyślnie odpuścił jej kolejny szybki numer, zwłaszcza że to nie było w jego stylu. Posiedzieli na łóżku, trzymając się za ręce. Artur, dumny z siebie,

wrócił do domu. I zwałił konia – jak by to powiedział Bolek. Nie, nic tu Marcina nie dziwiło.

– Potrafię sobie wyobrazić, że to był jednorazowy wyskok w jego życiu – powiedział. – Poza tym nie zapominaj, że nie zdążył mi dać drugiej połowy scenariusza. Może było o niej coś więcej.

– Może tak, może nie. Zawsze jest to jakiś punkt wyjścia do twojej pracy. Nawet jeśli wyrzucisz ze scenariusza Kornela i Anitę albo w ogóle postanowisz napisać to od nowa, to przynajmniej zostaw tę jedną scenę. Błagam.

Teresa zajęła ukryty przed resztą gości lokalu boks, oświetlony przygaszonym światłem, z czerwonymi skórzanymi siedzeniami. Zamówiła frytki, szaszłyk i colę zero. Wyjęła z torebki puderniczkę. Widok, który zobaczyła w lusterku, oceniła na cztery plus. Oznaczało to, że zrobiła wszystko, żeby wyglądać jak nie-taka-znowu-młoda bogini. Ciacho w okularach Ray-Bana nie mogło tego nie docenić.

Postanowiła, że będzie przystępna, ale nie łatwa. Ostatnią godzinę w robocie spędziła w necie, czytając artykuły o amatorach milfów – mamusiek do pieprzenia, wyposzczonych kobiet po czterdziestce, żon nieobecnych mężów. Wzorcowe milfy miały co prawda zasobniejsze niż ona portfele. Potrafiły utrzymywać swojego kochanka miesiącami, oczywiście pod warunkiem, że był dobry w łóżku. I nie pyskował.

Przełała zawartość puszek z colą zero do wysokiej szklanki. Wypiła łyk przez słomkę i wyjrzała z boksu. Nikogo znajomego, na szczęście. Jeśli ciacho w Ray-Banach nie przyjdzie, Teresa miała w zanadrzu plan B. W drodze powrotnej wstąpi do nocnego, kupi dwie puszek piwa cytrynowego i paczkę chipsów. Potem wejdzie do domu, weźmie prysznic, zmyje makijaż. Odpali laptopa i na pohybel męskiej swołoczy obejrzy lesbijskie porno, popijając chipsy piwem.

– Siemka, dziewczyno. – Usłyszała nad głową.

Oto i on. Zjawił się. Opalony, ale jakiś taki cienki. Młody depilant, pinda jak z tych pokazów. Na zdjęciu wyglądał bardziej męsko. Też Photoshop? Pod jego białym podkoszulkiem i czarną bomberką Teresa wyczuła zapach Old Spice'a, przynajmniej tyle dobrego. „Kiedy już zostanę lesbą, będę się perfumować Old Spice'em” – pomyślała.

– Nie wiem, czy mam się przedstawiać – zaczął chłopak z dziwnym zaśpiewem, jakby dopiero co wysiadł z pociągu z Białegostoku. – Może zostaniemy przy ksywkach z netu, co?

Teresa spojrzała podejrzliwie.

– No, pamiętasz, z kim się umówiłaś, nie? – Mało brakowało, a strzeliłby jej palcami przed oczami. – Fredson, jarzysz już?

Rozdziawiła usta. Nie była przygotowana na to, żeby jej potencjalny kochanek przez pół wieczora zwracał się do niej Esa9474.

– Mogę ci mówić Fredson, jeśli masz taki kaprys – stwierdziła zgryźliwie. – Ale wolałabym, żebyś zwracał się do mnie Teresa.

– Teresa, Terenia, Tereska – zaczął tamten. – Eska, eska...

– Dość – rzuciła Teresa, tracąc powoli cierpliwość.

– Nie bądź taka nerwowa, Eska – zaterkotał tamten. Wciąż miał na sobie Ray-Bany, w których Teresa widziała własne podwójne odbicie. – Nie lubię nerwowych babek. Mam złe doświadczenia z nerwowymi babkami. Można nawet powiedzieć, że mam na nie alergię.

Teresa postarała się z całych sił założyć na twarz przyjacielską maskę spolegliwego milfa.

– Wiesz, Eska, trochę głodny jestem – oznajmił Fredson.

„To weź kartę i coś sobie zamów” – pomyślała. Potem przypomniała sobie, że milfy mają większe branie, jeśli poszpanują kasą.

– Co ci zamówić? – spytała, wciąż siląc się na uśmiech.

Usiadł naprzeciwko i zaczął studiować menu. Przez chwilę przeglądał je bez większego zainteresowania. Teresa nie zdziwiłaby się, gdyby okazało się, że trzyma kartę do góry nogami i nie zna literek. W końcu odłożył ją niedbałym ruchem i rozejrzał się po lokalu, omiatając go wzrokiem spod ciemnych szkieł.

– No ja nie mogę, ale norę wybrałaś, Eska – stwierdził z przekąsem. – To jakiś bar mleczny czy co? Aż strach coś zamówić. Jadasz tu, jak skończą ci się kupony do Caritasu?

Teresa nie zrozumiała. Przez chwilę trwała nieruchomo. Nie zdążyła wpaść we wściekłość, bo Fredson ciągnął dalej:

– Na tym zdjęciu z netu wyglądałaś jak moja była dyrka z liceum. Takie same włosy. To mnie trochę podkreśliło. Mogło nam być miło. Ale wiesz, jakoś na żywo wyglądasz bardziej, jakoś tak, no nie wiem...

Teresa była mu wdzięczna, że nie dokończył i nie dowiedziała się, do kogo jest podobna bardziej. Fredson pogrzebał kciukiem za Ray-Banami. Wygrzebał paproch i pstryknął na posadzkę.

– Człowiek ma zasady, wiesz? Ja mam taką zasadę, że nie idę w coś, jak w to nie wierzę. Rozumiesz, nie? Bez tego człowiek by się stoczył, a ja nie mam zamiaru się stoczyć w życiu. Ten związek nie ma przyszłości. *Really*. Bez urazy, Eska.

Fredson wstał, wyciągnął w jej stronę dłoń o długich palcach. Teresa nie zauważyła na nich ani jednego włoska.

– Wydaje mi się, że powinniśmy pozostać przyjaciółmi – powiedział Fredson, rozglądając się na boki. – Przyjaźń jest teraz bardzo niedoceniona w czasach dzisiejszych.

Teresa prychnęła. Czują, jak budzi się z katatonii.

– Weź tę łapę, gamoniu – syknęła. – Zabieraj ją razem ze swoimi pieprzonymi mądrościami. Odwróć się i zacznij iść, a potem puść się biegiem, bo jak wstanę, to tak ci przypierdołę, że cię rodzona matka nie pozna.

Fredson cofnął się dwa kroki.

– Nie masz klasy, kobieto. Będziesz mi grozić, to ci zrobię takiego bana w necie, że już do końca życia nikt cię nie bzyknie.

– I, kurwa, dobrze! – krzyknęła Teresa, a klienci restauracji spojrzeli na nią znad talerzy.

– No to nara – rzucił Fredson, obrócił się z gracją i szybkim krokiem wyszedł z lokalu.

Teresa przez chwilę dyszała nienawiścią. „Jebany gnój, kurwa. Kupony do Caritasu!” Jeszcze nigdy nie czuła się tak upokorzona. Nawet gdy rozwodziła się z mężem, pilnowali, żeby się wzajemnie nie ranić. Przeszli przez cały rozwód, tylko dwa razy na siebie wrzeszcząc, ale mieli na tyle przyzwoitości, żeby zatrzymać się przed obelgami. A teraz jakiś szczył poniżył ją tak, że miała ochotę wstać, złapać za karabin maszynowy i rozstrzelać z zimną krwią wszystkich pozostałych klientów restauracji. Wyobraziła sobie, jak padają

rozrywani kulami, krew tryska na ściany. W powietrzu lata szoarma, frytki i ryż, a cola leje się z przedziurawionych puszek i miesza się z krwią. Potem Teresa przeładowuje broń i powoli, pewnym krokiem idzie przez galerię handlową za uciekającym przed nią Fredsonem. Strzela w witrynę sklepu z ciuchami, a przerażone ekspedientki chowają się za kontuarem. Fredson w panice wbiega na schody ruchome, ale krocząca niespiesznie Teresa jest zawsze w tej samej odległości za nim. Gdyby wyteńczyła umysł, mogłaby się nawet teleportować i zaskoczyć debila, stając nagle u wylotu schodów. *Surprise!* Potem chwyta go za szyję, unosi na pół metra i rzuca z powrotem na początek schodów. Potem jeszcze jedna teleportacja i Teresa zdejmuje z oczu Fredsona te jebane okulary. Widzi pod nimi spojrzenie chłopaczka z liceum, który został przyłapany w kiblu na waleniu konia do zdjęcia pani dyrektor. Teresa patrzy w te oczy z piekielnym ogniem w swoich ślepiach bestii. Zastanawia się, czy darować szczyłowi życie. Potem jednym ruchem odrywa głowę od tułowia i unosi ją w geście triumfu. „Na potęgę Posepnego Czerepu” – ryczy Teresa, a ranni i zabici podnoszą głowy i zerkają na nią z mieszaniną przerażenia i fascynacji.

Nie miała zamiaru płakać. „Walić to” – pomyślała. To jeszcze jeden dowód na to, jakimi chujami są faceci. A to młode pokolenie to już szczyt chujowizny. Postanowiła, że teraz, kiedy już oderwała czerep Fredsona, zje spokojnie zimne frytki i szaszłyk. Ostatnią frytką wytarła resztki czerwonego sosu i położyła ją na talerzu. „Fredson, oto twój skrwawiony penis. Pozdrowienia, Esa9474”. To byłby hit na jej profilu. Wyjęła telefon i ustawiła ostrość. Coś ją jednak tknęło. „Po co robić sobie siarę? Komentarze, pytania. Kto to jest Fredson? Skąd ta krew?”

Zrobiła porządek na stole, wytarła usta serwetką, zabrała torebkę i ruszyła do wyjścia. Nagle przystanęła.

Niedaleko wyjścia siedział mąż Marty. Ten sam, którego Teresa widziała na targu śniadaniowym w sobotę. Naprzeciwko niego siedziała ładna brunetka i coś mu wyjaśniała, gestykulując. Teresa zrobiła się czujna jak pantera. „Późna pora jak na spotkanie biznesowe” – pomyślała. Poza tym mąż Marty miał maślane oczy, spijał brunetce słowa z ust. Rozmarzył się. Ciekawe, o czym myśli. Już ją pieprzy w wyobraźni czy dopiero zabiera się za grę wstępłą?

„Pokaż no mi się, księżniczko” – pomyślała Teresa, przesuając się bliżej stolika tamtej pary. Starła się utrzymać dystans. Podeszła do pustego stolika i przez chwilę stała odwrócona tyłem do męża Marty i brunetki. Wyjęła telefon z torebki, obróciła się i zamarła z wrażenia.

Brunetka patrzyła na męża Marty takim wzrokiem, jakby była na haju. Co ona w nim widzi? Jak można mieć takie szkliste oczy na widok tego chuchra w marynarce? „Facet, nieźle jej zamieszałeś w głowie. Zapomniałeś tylko, że masz w domu żonę w siódmym miesiącu ciąży”.

Uznała, że ma gdzieś, czy zostanie zapamiętana na wieki jako pizda tysiąclecia, która podpierdoliła męża koleżanki. Stwierdziła za to, że wykręci ten numer w artystycznym stylu. Odwróciła się tyłem i wycelowała w siebie aparat. Upewniła się, że oprócz jej twarzy z ustami ułożonymi w dzióbek będzie widać na zdjęciu jeszcze tamtą dwójkę. Poczekała chwilę. I jeszcze jedną. I kolejną, aż...

*Holy fuck!* Brunetka położyła dłonie na dłoniach męża Marty i nachyliła się w jego stronę! Wyglądali jak zakochana para. Teresa upewniła się, że ma dobre ujęcie, wydeła usta w uśmiechu i pstryknęła fotkę. Wysłała na swój profil. Trzęsącymi się dłońmi dodała opis: „Zajebisty wieczór przy szaszłyku i frytkach”. I trzy uśmieszki.

Wyszła z restauracji i postanowiła, że najlepiej będzie, jeśli jednak skoczy do tego nocnego, kupi dwa piwa i obejrzy lesbijskie porno. Potem pójdzie spać, a swoim miksem wściekłości, satysfakcji i rozzalenia zajmie się następnego dnia.

O ile będzie o tym jeszcze pamiętać.

**Wtorek,  
10 października, 2:40**





„Muszę uciec...”

Był w środku koszmaru, który kiedyś śnił mu się z przerażającą regularnością. Teraz ten sen znowu wrócił i Andrzej Rulewski bezwiednie zaciskał pięści na kremowym satynowym prześcieradle, z ciałem wykręconym jak paragraf.

Ucieka przez sosnowy las. Nie widzi swoich prześladowców, chociaż biegną za nim, wie o tym. Odwraca się raz po raz, ale są tam tylko pachnące żywicą sosny. Uciec albo się obudzić. Biegnie więc z całych sił po gorącym piasku, potykając się o wystające z ziemi korzenie, pręty i druty. Przewraca się i czuje prąd biegnący od kolana. Wokół wybrzmiewa jakiś piekielny jazz, krztusząca się perkusja, saksofon rzeźbi jak zarzynane zwierzę. Andrzejowi zawsze w snach towarzyszy muzyka.

„Zatrzymaj się... Odpocznij...” – podpowiada naprężone do granic ciało. „Nie mogę. Nie, dopóki nie zmieni się sceneria. Klub nocny? Przenieś mnie do klubu nocnego, chcę przyśnić sobie sobotę, jak podchodzę wolnym krokiem do tych dwóch dziewczuch chichoczących przy barze. Sączą colę z wódką, zagaduję je, ta jedna od razu odpada, ma na twarzy defekt, jakąś purchawkę przy nosie, żadnych purchawek, musi mieć gładką skórę, może być trochę po solarium, ale nie za bardzo, nie lubię, kiedy skóra ma taki brzydki brązowy odcień, jak kurczak przypiekany na ruszcie...”

Jezu Chryste, czemu akurat to? Znowu biegnie, ale czuje, że przebiera nogami w miejscu, ze stopami uniesionymi w powietrzu. Został schwytany. Jakieś wszechmocne ręce unoszą go i rzucają w stronę drzew. Inne rozrywają na nim ubranie i zdzierają je jednym ruchem. Jeszcze inne przywiązują go do drzewa grubym łańcuchem, wrzynającym się w jego spocone ciało.

Chluśnięcie w twarz. Śmierdząca ciecz spływa mu po szyi, brzuchu i udach aż na piasek pod sosną. Stopy nie czują podłoża, łańcuchy trzymają Andrzeja

wysoko, zwisa na nich jak szmaciana lalka. Bierze płytki wdech i rozpoznaje cierpką woń benzyny.

Zza drzew wychodzi On. Egzekutor. Nie ma twarzy, tylko czarną jak smoła dziurę, wsysającą rozgrzane powietrze razem z igliwem i piaskiem. Nigdy nic nie mówi. Nie śmieje się ani nie złorzeczy. Po prostu jest. Andrzej czuje, że ta czarna dziura wysysa z niego wszystkie emocje, zostawiając tylko pustkę, próżnię, wielkie nic.

W białej jak papier, bezkształtnej dłoni pojawia się znikąd płonąca zapałka. Tym razem Egzekutor przemawia, a jego głos przypomina przesuwanie gwoździem po szybie: „Zachcianką ślepego jest życzenie śmierci, głodem poety, krwawieniem dzieci”.

Zapałka dotyka benzyny. Andrzej nie krzyczy, czarna dziura zabiera mu wszystko, również strach. Jest tylko potworny ból, przenikający każdą płonąca komórkę jego ciała. Musi trwać razem z bólem, razem z ogniem.

Jego ciało zamarło na łóżku. Sztywne, nieruchome, martwe. Sine wargi.

Andrzej nie oddychał.

Zerknął na ciemną sylwetkę żony, śpiącej na boku i pochrapującej cicho. Od czterech godzin nie mógł zasnąć.

Jeszcze dwa tygodnie temu w życiu Marcina wszystko było ustalone i proste. Wstawał, brał prysznic, golił się. Jadł śniadanie, zakładał koszulę, spodnie i marynarkę. Dawał Marcie rytualnego buziaka na pożegnanie i życzył jej spokojnego dnia, a ona jemu. Wsiadał w sto szesnastkę, jechał przez Żoliborz i Muranów na Krakowskie Przedmieście. Przeglądał jakieś papiery, klepał palcami w klawiaturę. Wchodził na portale aukcyjne, przeglądał profile znajomych, pisał do nich wiadomości, zapraszał do siebie i Marty na grzane wino, scrabble i kalambury. Z satysfakcją załatwiał cudze sprawy. Słuchał uważnie i z uśmiechem, co mają do powiedzenia ludzie ważniejsi od niego. Czuł się częścią instytucji.

Potem wydarzył się incydent ze skurczami i pojawiła się Julia Bielawska, ze swoją czerwoną walizką, tajemniczym uśmiechem i wpięprzaniem się w nieswoje sprawy. Tydzień później Jan Adler uśmiechał się równie tajemniczo znad cappuccino, wyciągając z niebytu Artura i scenariusz. Może ojciec Artura

ma rację, twierdząc, że nie warto się tym zajmować? Co było, to było. TA historia nie zasługuje na to, żeby usłyszało o niej pół Polski.

Czym jest TA historia? Dlaczego dzwonił wczoraj do niego jakiś dziennikarz? Można się jeszcze z tego wycofać. Tak po prostu, zadzwonić do Jana Adlera i powiedzieć: pas.

Nie. Takie rzeczy zdarzają się raz, może dwa razy w życiu. Scenariusz scenariuszem, ale czym, do cholery, jest TA historia?

Przełknął ślinę i znów zerknął na śpiącą obok żonę. Z dużego pokoju dobiegło chrapnięcie matki. Twarz mu stężała i poczuł się żalony.

Anka. Pod przymkniętymi powiekami nadal patrzyła na niego z ogniem w oczach i opowiadała o *Osiem i pół* Felliniego. Gdyby tak mieć w mózgu jakiś niewidzialny przycisk... Ale Anka wciąż tam była. Inna, starsza, miała dziecko i męża, z którym nie była szczęśliwa. Jej uśmiechnięte oczy wyrażały nadzieję i ufność – że pociągnie ten scenariusz, że da radę. Że dla tej jednej sceny z prostytutką o różnokolorowych tęczęwkach poświęci swój czas i energię. Że jednak da coś światu, a ona będzie kiedyś opowiadać wnukom, że przez półtora roku była dziewczyną scenarzysty.

Uśmiechnął się pod nosem. Teraz trzeba zasnąć, a następnego dnia zająć czymś głowę. Przykryć te brzydkie myśli o Ance. Najlepiej wyrzucić Kornela i Anitę ze scenariusza. Dowiedzieć się czegoś więcej o Arturze. I może odwiedzić któregoś z jego boiskowych kumpli.

Andrzej otworzył oczy. Przez moment nie wiedział, gdzie jest – wokół panowała dziwna jasność. Wszystko zalane było słońcem. Całe mieszkanie w tym cholernym słońcu, przez które nic nie widział. To już południe? Zasnął do roboty?

Wstał i sięgnął do nocnej szafki po zegarek. Rzeczywiście, było wpół do dwunastej. Znowu musiał mieć ten pieprzony bezdech. „Trzeba koniecznie pójść z tym do lekarza” – pomyślał. Jego sobotnie dziewczyny coś o tym mówiły. Że w nocy siniał i bywało, że nie oddychał nawet przez dwie minuty.

Przez watę w głowie zaczęło przebijać wspomnienie snu. Uciekał przez las. Potem płonął. „Więc to wróciło” – zmarkotniał. Ten sen zwiastował kłopoty,

zawsze coś dziwnego działo się potem w jego życiu. Zawsze jakaś rozpierducha.

Wszedł do kuchni i włączył bardzo drogi ekspres do kawy, który kupił sam sobie na ostatnią Gwiazdkę. Oparł się o blat i słuchał, jak ekspres mieli ziarna arabiki. Straszna migrena, coś łupało go w karku. Przekrzywił głowę na boki, kręgi szyjne i stawy w szczękach strzeliły, a głowa rozboleła go jeszcze bardziej. „Gdzieś tu muszę mieć te prochy ze Stanów” – pomyślał w panice. Wyjął z szafki kuchennej skórzane pudełko i przetrząsnął je szybkimi ruchami. Szukał swojego magicznego lekarstwa na migreny, które nielegalnie kupił w necie.

Nie znalazł. Bez tego cuda nie będzie w stanie dziś funkcjonować. Po bezdechu zawsze czuł się przytłoczony, bez życia. Urzędnik z ministerstwa. Jeśli dziś się z nim nie spotka, to sprawa odejdzie w niebyt. Przepadnie kasa, ale w sumie miał to gdzieś. Liczyło się tylko jedno: żeby zacząć normalnie myśleć.

Ekspres wypluł do granatowej filiżanki parującą czarną kawę o zapachu jak z włoskiej kawiarni. Andrzej zaczął chleptać ją szybkimi łykami. Parzyła w podniebienie. Niech boli i piecze, może to i lepiej. Niech mózg zacznie wreszcie pracować.

Odstawił filiżankę niezdarnie, resztki kawy bryznęły po blacie i spłynęły po szafkach na podłogę. Wciąż czuł w skroniach miękką cukrową watę (taką różową, jak w lunaparkach) i zląkł się, że może zrobił sobie tym bezdechem lobotomię. Proszki, gdzie są proszki?

Wyszedł na klatkę schodową. Srebrnym kluczykiem otworzył schowek pełniący funkcję piwnicy i zapalił światło. Na metalowym regale trzymał tam pudła ze starociami. Pierwszy macbook, stos wycinków z zagranicznych brukowców – kiedyś je kolekcjonował, nie wiadomo po co. No i numery „Twojej Gazety”. Pieprzona lista przebojów, duże ryje i pomniejsze ryjki: zrzygali się pod pubem, strzelili się nawzajem z liścia, zrobili dziecko na boku i krzyczeli, że to nie ich. Zero pamiątek z domu rodzinnego, wszystko zostało tam, w małym mieście pod granicą z Kaliningradem, u starych rodziców o wyblakłych oczach.

„Po co ja tu przylazłem, kurwa? Proszki, amerykańskie żółte pigułki”. Chyba ukrył je tu wtedy, gdy dowiedział się od mordeczki, że rozgniewany polityk

chce nasłać na niego policję. Andrzej zabrał wtedy z mieszkania także swój niewielki zapas kokainy na czarną godzinę i wpakował do jednego z pudeł w schowku, na samo dno, pod wycinkami. Nie wciągał już z półtora roku. Co by było, gdyby teraz nawalił się koką? Może podziałałaby lepiej niż te amerykańskie tabletki?

Wyjął z pudła plik gazet. Była. Wciąż tam leżała, śnieżnobiała i zachęcająca. Ten produkt chyba nie ma terminu przydatności do spożycia. „Daj spokój, Andrzej. Miałeś już przez to kłopoty” – skarcił się w myśli.

Nie wiedzieć czemu, stanęła mu przed oczami ta jasnowłosa fotoedytorka, która gapiła się na niego wczoraj w palarni. Zaciśnięte usta. Czy one wszystkie po czterdziestce dostają jakiegoś szczękocisku? I czemu tak patrzyła? „Miałem załzawione oczy – przypomniał sobie. – Myślałem o tym pobitym na śmierć chłopaku. Jak on miał na imię? Artur?”

Nie, to nie to. Nie o nim. Śmierć, osiem lat temu – tak. Ale nie ta. Inna. „Nie ma dymu bez ognia. Kop, aż się dokopiesz, mordeczko, tak powiedział”. Czy to możliwe? Czyli ktoś wie? Skąd, do kurwy nędzy? Nie żalił się przecież nikomu, ani nie chwalił. A może jednak? Może wygadał się kiedyś po pijaku i nawet tego nie pamięta?

Jego wzrok padł na błyszczący przedmiot wystający spośród wycinków gazet. Ukryty był między gazetami sprzed ośmiu lat. Andrzej sięgnął tam i wyczuł skórzaną tasiemkę. Pociągnął za nią, by przyjrzeć się znalezisku w lepszym świetle.

To był medalion o dziwnym kształcie. Andrzeja przeszedł dreszcz i poczuł pod czaszką znajomą wibrację, sygnalizującą, że umysł wskakiwał na właściwe tory.

Jego sen. To wtedy zaczęły pojawiać się te sny. Osiem lat temu. Ten naszyjnik. Andrzej popatrzył na przedmiot, mrużąc oczy. Medalion z szarego metalu był całkiem ciężki i spory, niewiele mniejszy od wnętrza dłoni Andrzeja.

W trzy róże wplecione zostały dwa pistolety. Dwie mniejsze róże po bokach, a jedna większa nieco wyżej, tworzyły razem trójkątny bukiet. Pistolety zwrócone były lufami w dół, a ich magazynki leżały na mniejszych różach. Medalion wykonany był kunsztownie, z pietyzmem, przez jakiegoś zdolnego

artystę, być może na zamówienie. Takich rzeczy nie można było kupić w sklepie ani w sieci.

Andrzej wpatrywał się w medalion jak urzeczony. A potem przymknął oczy i w jednej chwili wszystko sobie przypomniał.

To było osiem lat temu. Wiosna, chyba kwiecień. Ciepło. Wróble ćwierkały jak oszalałe przed starym blokiem na dalekim Targówku. Andrzej był wtedy jednym z wielu zwykłych dziennikarzy w redakcji. Wynajmował z Marysią zwykle mieszkanie w zwykłym bloku między zwykłymi ludźmi.

W któryś ze zwykłych dni tygodnia – może to była środa – wyszedł z bloku wprost na parking, gdzie stał jego opel corsa w kolorze bordo. Było przed dwunastą, szedł na drugą zmianę w redakcji, na popołudniowy dyżur. Chciał załatwić jeszcze coś na mieście, szybkie zakupy w galerii handlowej. Nowe mokasyny, bo te, które miał, przetarły się już na noskach.

Zauważył stojącego pod trzepakiem siedemnastolatka. Znał go dobrze, chłopak mieszkał w tym samym bloku, w innej klatce. Wysoki, z szopą ciemnych kręconych włosów, na policzkach pokaźne baczki. Wyglądał jak muzyk z undergroundowej kapeli, przeniesiony żywcem z wczesnych lat siedemdziesiątych. Andrzej potrafił wyobrazić go sobie, jak stoi w jakimś garażu z potężną gitarą basową Fendera i drze się do mikrofonu.

Miał dobre przeczucie. Kiedyś go zagadał i dowiedział się, że chłopak ma na imię Igor. I rzeczywiście – razem z kolegami z liceum mieli zespół. Śpiewał, grał na klawiszach i na elektryku. Tylko z gitarą basową nie miał nic do czynienia.

Andrzej podszedł do Igora, ten uśmiechnął się szeroko. Zawsze się uśmiechał. Był chodzącym uśmiechem.

– Siemanko, panie dziennikarzu ulubionej gazety mojego dziadka. – Chłopak puścił oko. – Coś późnawo zaczynamy dzień, co?

– Gracie dzisiaj, Igor? – spytał Andrzej.

– Mamy ważną próbę. Zajebiecie ważną.

– Coś się szykuje?

– Walimy do Wrocławia. Do tego programu z telewizora. No wiesz, talenty, akrobaci i sztukmistrze, śpiewające panienki itepe.

– Czemu akurat tam?

– Bo przegapiliśmy przesłuchanie w Warsaw City.

Andrzej wyjął paczkę salemów. Stuknął i wysunął w stronę Igora. Chłopak pokręcił głową.

– O nie, nie, człowieku, teraz nie mogę palić. Oszczędzam struny.

Andrzej zapalił i spojrzał na Igora z ukosa.

– Wymieciemy scenę – ciągnął chłopak. – Mamy w zanadrzu kilka zajebistych coverów. Stary, mamy wszystko ogarnięte, zrobiliśmy nawet przeróbkę Górniak w stylu rockabilly.

– Na stówę wam się uda. – Uśmiechnął się. – Widzę cię, jak robisz tam niezły show.

– Słyszałeś kiedyś, jak śpiewam?

– Tylko tyle, co przez otwarte okno. Masz potencjał.

– Stary. – Twarz Igora nabrała blasku. – Nawet nie wiesz, jak to na mnie działa, co mówisz.

– Weź przestań – zachnął się Andrzej. – To talent, nie?

– Talent, nie talent. Tu chodzi o to, żeby dotrzeć do człowieka, skopać mu serce od środka.

Andrzej mógłby jeszcze długo tak gawędzić, ale przypomniał sobie o popołudniowym dyżurze. Spojrzał na zegarek.

– Na mnie czas – powiedział. – Muszę już...

– Poczekaj – przerwał mu Igor. – Coś ci pokażę.

Wyciągnął to coś spod granatowej bluzy z kapturem. Na szyi nosił przepięknie zrobiony wisior, medalion ze zmatowionego metalu. Na trzech różach wsparte były dwa pistolety.

– Piękne. – Andrzej czuł, że nie może oderwać wzroku.

– To taki mój amulet. – Chłopak ściszył głos. – Inni mają Matkę Boską albo krzyżyk, a ja mam takie coś. Jak to zakładam, to czuję, jakbym się unosił kilka metrów nad ziemią.

– Róże i pistolety. – Andrzej sięgnął do róży i dotknął palcem nieco szorstkiej powierzchni. – Lubisz Guns N' Roses?

– Nie, to nie moja bajka. – Igor zaśmiał się cicho, prawie bezgłośnie. – Zresztą ich emblemat jest zupełnie inny.

– To ma jakieś znaczenie? Jakąś symbolikę?

Igor uniósł medalion. Promienie południowego słońca odbiły się od jednej z róż i posłały zajęczka na twarz chłopaka. Powoli przekręcał amulet, a słońce padało na kolejne milimetry zagłębień w metalu na różach i pistoletach.

– Każdy nadaje takie znaczenie, jakie jest mu bliskie – powiedział cicho.

Nagle wyparował gdzieś wesóły chłopak spod klatki, który pije piwo, pali trawę i śmieje się z kolegami z głupich żartów. Igor miał w sobie teraz coś z mędrca, którego przeszywa właśnie kosmiczna siła inspiracji i oświecenia.

– My jesteśmy róże – szepnął w końcu. – A oni to pistolety.

– Kto to jest „my”?

Igor chyba nie dosłyszał. Z jego ust wydobył się dziwny jęk. Po chwili zaczął recytować coś do siebie, zgrzytliwym głosem, patrząc nieruchomo na medalion.

– Zachcianką ślepego jest życzenie śmierci, głodem poety, krwawieniem dzieci.

Andrzej poczuł nagle, że musi już iść. Koniecznie. Przestało mu się to podobać. Chłopak wyglądał, jakby wpadł w jakiś trans, wniknął gdzieś głęboko do swojej głowy i nie umiał z niej wyjść.

– Posłuchaj mnie, Igor – zaczął Andrzej niepewnie. – Wszystko to bardzo inspirujące, ale na mnie naprawdę już pora. Muszę przygotować się do dyżuru. Wiesz, takie dyżury potrafią czasami mocno dać się we znaki.

Chłopak podniósł wzrok i spojrzał z dziwnym uśmiechem, jakby mówił: „Do zobaczenia po drugiej stronie, stary”. Andrzej szybko odpędził tę natrętą myśl. Stanowczo za długo stał tu z tym dziwnym koleżką. Ruszył w kierunku opla corsy w kolorze bordo.

– Życz mi powodzenia! – krzyknął za nim Igor nieswoim głosem.

– Powodzenia! – odkrzyknął Andrzej, nie oglądając się za siebie.

Dziewięć godzin później Andrzej siedział przy swoim małym biurku w zakurzonej kątce redakcji. Nadeszła chłodna wiosenna noc. Spojrzał na



służbową komórkę, dochodziła dwudziesta pierwsza. Miał do skończenia artykuł o machlojkach w gminnym samorządzie, gdzieś we wschodniej Polsce. W redakcji było spokojnie, załoga naniósł już wszystkie poprawki, numer był zamknięty i wysłany do drukarni.

Mundek, fotograf, stał oparty tyłkiem o biurko kilka metrów dalej. Zostawał wieczorami, chociaż redakcja nie płaciła mu za to ekstra. Gdy Andrzej zapytał go kiedyś, czy nie ma nic ciekawszego do roboty, Mundek tylko wzruszył ramionami. Robił cholernie dobre zdjęcia, nie bał się podejść naprawdę blisko. Prześlizgiwał się jak kot między taśmami policyjnymi, gdy gliniarze akurat nie patrzyli w jego stronę. Czasami Andrzej zastanawiał się, czy Mundek cokolwiek czuje, kiedy pstryka te wszystkie ofiary wypadków. Sam wolał stać raczej z tyłu i rozmawiać. Nie interesował go widok trupów.

Był w trzech czwartych tekstu o machlojkach, kiedy do jego biurka szybkim krokiem podszedł redaktor dyżurny. Garbarek, ten sam, który po kilku latach został wicenaczelnym.

– Jest jakaś dziwna sytuacja pod miastem – zaczął Garbarek, nieco bardziej pobudzony niż zazwyczaj. Andrzej podniósł na niego wzrok znad monitora. – Dostaliśmy cynk od wiejskich glin. Jeśli chcemy mieć ten materiał, to zbierajcie z Mundkiem dupy i jedźcie za Radzymin. Tych z dochodzeniówki jeszcze tam nie ma i może nie być ze dwie godziny. Braki kadrowe – dodał i spojrzał porozumiewawczo.

Mundek zdążył już zwietrzyć krew i podniósł stojącą na ziemi torbę ze sprzętem. Andrzej wstał powoli i zdjął z krzesła kurtkę.

– Wiadomo, o co chodzi? – spytał Garbarka.

– Wiadomo tylko tyle, że jest grubo i że masz się pospieszyć, jeśli chcecie mieć dostęp i zdjęcia z bliska.

Andrzej potaknął tylko, z Garbarkiem nie było sensu dyskutować. Spisał na kartce namiary. Gliniarz, który naraił im temat, był na tyle bystry, żeby przesłać im koordynaty GPS. Sytuacja wydarzyła się w lesie pod Radzyminem, trzeba było zjechać z trasy na Białystok, pokręcić się jeszcze chwilę po nieutwardzonych wiejskich drogach i wjechać w las.

Mundek był już zwarty i gotowy, jak partyzant przed kolejną potyczką. Po chwili zjeżdżali windą w kierunku poziomu minus dwa. Gapiąc się w lustro,

Andrzej stwierdził, że lubi te swoje dyżury. Tematy same pchały mu się w ręce.

„Co za dziura” – pomyślał czterdzieści pięć minut później. Toczyli się z minimalną prędkością po pełnej kolein drodze z ubitego piachu i zaschniętego cementu. Amortyzatory redakcyjnego volkswagena zostały wystawione na ciężką próbę przez dziesiątki kałuż wypełnionych kluchowatą breją. „Ciekawe, czy redakcja zwróci mi za myjnię.” Andrzej uśmiechnął się krzywo.

Wyszli z Mundkiem z samochodu. Samotna policyjna skoda stała przy wysokiej kępie trawy, głucha, z wyłączonymi światłami. Andrzej wymontował spod szyby GPS. Do celu ich wyprawy zostało trzysta pięćdziesiąt metrów. Całkiem sporo. Plus minus oczywiście. Sprzęt czasami wariował i pokazywał, że samochód jedzie obok szosy.

Przygotowany na wszystko Mundek zapalił potężną wojskową latarkę i weszli na piaszczystą drogę biegnącą wzdłuż sosnowych zagajników. Świerszcze dawały jeden z pierwszych wiosennych popisów. Na granatowym niebie wyjrzał zza obłoków sierp księżycy w pierwszej kwadrze.

– Uroczo – rzucił Andrzej.

– Bajkowo – odpowiedział fotograf.

Szli dalej w ciszy. Ścieżka skręcała pod górę i przez chwilę musieli wspinać się po piachu. Łapali się wystających z ziemi korzeni i żeliwnych prętów.

– Uważaj na ten złom, Mundek. – Andrzej sapnął i ostrożnie chwycił za żelastwo. „Skąd, do diabła, pręty w lesie?”

Mundek jęknął i zaklął pod nosem.

– Za późno. Zahaczyłem kolaniem.

– Wszystko gra?

– Spoko, okej, poszarpałem tylko spodnie.

Weszli na skarpę i Andrzej poczuł dziwny zapach. Obrzydliwy smród, nieco rozrzedzony przez odległość, która dzieliła ich od jego źródła. Śmierdziało jak zwęglony kurczak smażony godzinami na grillu, podlewany podpałką przez zwariowanego działkowicza. „Dokąd oni nas wysłali? – pomyślał Andrzej. – Spaliła się kurza ferma? Kurwa, to ci temat”.

Przedarli się przez iglaki na szczycie skarpy i wyszli na polanę. Mundek dostrzegł kilkadziesiąt metrów dalej błyskające światła latarek. Skinął na Andrzeja. Przed nimi była ciemność, księżyc właśnie zaszedł za chmury. Nic, tylko dwa snopy światła omiatające kępy traw i pnie sosen. Dwie ciemne postacie krążyły przez chwilę z latarkami, a potem stanęły nieruchomo.

– Panowie z policji? – krzyknął Andrzej w ich stronę.

– A wy tu po co?! To miejsce zbrodni! – odkrzyknęła po chwili grubsza postać.

– Z gazety. Dostaliśmy wiadomość.

– Aaa, to w porządku. Chodźcie.

Ruszyli. Andrzej zobaczył w świetle latarki dwóch niskich rangą policjantów. Starszy, około pięćdziesiątki, sprawiał wrażenie szefa. Drugi był młodym chłopakiem i wyglądał, jakby zjrzał diabłu prosto w źrenice. Miał zaciśnięte szczęki i bladą twarz, która jakby zapadała się do środka.

– Co tu się dzieje? – spytał Andrzej starszego.

– Najpierw formalności – odpowiedział tamten chrapliwie.

Andrzej sięgnął do kieszeni. Wyjął z portfela banknot i podał starszemu policjantowi, popatrując niepewnie na młodszego.

– Kolega też – rzucił krótko starszy. – Musi mieć na psychologa.

Andrzej skrzywił się, ale wyciągnął kolejne pięćdziesiąt złotych i podał drugiemu gliniarzowi. Ten nie zareagował, stał tylko i martwo patrzył w przestrzeń.

– Ja przekażę – wychrypiał starszy. Andrzej popatrzył na niego wątpięco. – Przekażę – powtórzył z przekąsem.

Facet wziął banknot i wskazał na miejsce ukryte w ciemnościach. To właśnie stamtąd dochodził odór spalonych kurczaków.

– Nie zadcpczemy śladów? – spytał Mundek.

Policjant zaśmiał się cicho, ale w tym śmiechu nie było cienia wesołości. Jedynie nerwowa głupkowatość.

– Myśmy we dwóch zadcptali. To mazowiecki piach, panie.

Andrzej zerknął na Mundka porozumiewawczo.

– Tylko nic nie dotykajcie. Macie dwie minuty. No, może trzy. Ekipa będzie za kwadrans.

Gliniarz zapalił taniego śmierdzącego papierosa. Andrzej ruszył w stronę sosnowego zagajnika. Poczł mdłości – do spalenizny dołączył odór moczu i kału. Przeszli jeszcze kilkanaście kroków i Mundek poświecił latarką. Widok, który Andrzej zobaczył, sprawił, że na kilka chwil stracił oddech i stanęło mu serce. A potem zaczęło bić jak oszalałe.

Do rosnącej w pewnym oddaleniu od pozostałych drzew starej sosny przywiązane było żeliwnymi łańcuchami coś, co do niedawna było ciałem mężczyzny. Pozostały z niego osmalone kikuty, sterczące groteskowo. Czarna twarz zwrócona była w bok i ku górze, ku granatowemu niebu. Skojarzyła się Andrzejowi z obrazkami, które widział w dzieciństwie, tymi z rozpiętym na krzyżu Chrystusem, krzyczącym ostatkiem tchu: „Panie, Panie, czemuś mnie opuścił?”. Na pomarszczonej czaszce straszły czarne kępki osmalonych włosów. Wykręcone stopy wisały kilkanaście centymetrów nad ziemią. Ktoś musiał tego mężczyznę podnieść i przywiązać łańcuchami do drzewa. „Tego nie zrobiła jedna osoba” – przemknęło Andrzejowi przez myśl. Potem ktoś oblał go benzyną i podpalił. Może później jeszcze długo patrzył na płonące ciało, wydające z siebie w męczarniach przerażające krzyki.

Andrzej poczuł, że w gardle wzbiera mu gorycz. Spojrzał na Mundka – ten stał bez ruchu, z aparatem w dłoni, jak porażony. Pomyślał, że niepotrzebnie wydał sto złotych z redakcyjnego funduszu – gazeta tego nie puści, to było zbyt makabryczne, zbyt straszne, zbyt nierzeczywiste. Co innego mąż leżący we krwi we własnej sypialni, zabity siekierą przez zazdrosną żonę. Sto razy obejrzone, przetrawione, papka, którą stale karmią się ludzkie mózgi. Ale to? To coś przywiązane żeliwnymi łańcuchami do samotnej sosny? Osmalone, odarte z godności i oznak człowieczeństwa ciało mężczyzny, z kałużą uryny i kału pod dyndającymi w powietrzu stopami... Żaden redaktor nie puściłby tego do druku, niezależnie od tego, jak bardzo byłby zepsuty i znieczulony.

Andrzej odwrócił wzrok. Nie chciał, żeby ten widok wrył mu się w pamięć i straszyl go potem po nocach. Chciał jak najszybciej stamtąd odejść, przejść bez słowa obok policjantów, wsiąść do samochodu, pojechać na myjnię, olać resztę dyżuru. Wrócić do domu i nawalić się, najlepiej tak, żeby przez następne dwa dni pękała mu głowa. „Tego wieczoru nie było, nie ma i nie będzie” – postanowił w duchu.

Mundek musiał bić się z podobnymi myślami, bo Andrzej zobaczył na jego twarzy nie adrenalinę, tylko jakąś rezygnację, zwątpienie. Co mu jest, kurwa? PTSD? Mundek staczał się w podobną otchłań jak młody policjant stojący w ciemnościach za nimi.

– Zrób jedną fotkę – powiedział Andrzej cicho i bez przekonania. – Na wszelki wypadek, w razie gdyby jednak chcieli to puścić. W co wątpię.

Mundek spojrział bez życia na Andrzeja. Uniósł aparat.

– Z fleszem? – zapytał piskliwym żalonym głosem.

– Jezu, to ty jesteś fotografem, nie ja.

Mundek przesunął w ciemności pokrętło na lampie błyskowej. Ustawił się w pozycji i pstryknął. Flesz na pół sekundy rozświetlił ciemność i ukrytego w niej trupa. Mundek spojrział na ekranik aparatu.

– Jeszcze raz, prześwietliłem – powiedział tym samym ciekim głosem, który zaczynał działać Andrzejowi na nerwy.

– Nie pierdol, Mundek, pokaz.

Fotograf podszedł posłusznie jak przestraszone dziecko. Andrzej zerknął na ekranik. „Rzeczywiście, kurwa, prześwietliłeś” – pomyślał ze złością. Coś przykuło jednak jego uwagę. Malutki, mikroskopijny detal na zdjęciu, prawie niewidoczny na małym wyświetlaczu.

– Możesz to jakoś powiększyć?

– Jasne.

Mundek obrócił pokrętło na aparacie. Na ekranie pojawił się zwęglony brzuch mężczyzny, skąpany w białym świetle.

– Wyżej.

– Co wyżej?

– Przesuń wyżej, pod szyję.

Mundek ruszył gałkami na aparacie.

– Stop! – Z gardła Andrzeja wyrwał się stłumiony okrzyk.

Andrzej zamarł i wpatrywał się w ekran wytrzeszczonymi oczami. Bez pytania wyciągnął z dłoni Mundka latarkę i podszedł jeszcze raz do trupa, tym razem bliżej, naprawdę blisko.

W czarnej klatce piersiowej mężczyzny tkwił jakiś przedmiot, wżarty w resztki skóry. Andrzej poświecił latarką dokładnie w tym miejscu. Serce było mu jak oszalałe.

To były róże i pistolety. Amulet Igora. Spalonym trupem był Igor. Młody, wesoły muzyk z jakąś skazą na umyśle, z którym Andrzej rozmawiał jeszcze dziesięć godzin temu na parkingu przed blokiem.

Opuścił latarkę. Próbował uspokoić rozszalałe serce kilkoma głębokimi oddechami. Podszedł na miękkich nogach do stojących w mroku policjantów.

– I co? – spytał starszy. – Masz pan materiał?

– Jest *deal* do zrobienia. – Andrzej zerknął na faceta porozumiewawczo. Chciał z nim pogadać na osobności, z dala od tego młodszego.

– Jeszcze jeden? – spytał tamten oschle.

Odeszli razem na kilkanaście kroków. Młodszy policjant kucał w trawie z łokciami podpartymi na udach i nieruchomo patrzył w przestrzeń.

– Tylko szybko, bo was już tu powinno nie być.

– Wiem, kim jest trup. Znałem go – zaczął Andrzej bez zastanowienia. – Powiem ci, kim on jest, i być może to będzie kluczowe dla waszego śledztwa.

Policjant spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

– A ten *deal*?

– Pójdiesz tam do niego. – Andrzej wskazał na trupa. – Wygrzebiesz mu z klatki piersiowej to coś, co mu się tam wtopiło. – Nie mógł uwierzyć, że to mówi. – Jak mi to dasz, to powiem ci, kim był trup.

– A co to jest?

– To jego medalion.

– To jest dowód, z tego można go zidentyfikować...

– Przecież ci mówię, człowieku, że wiem, jak on się nazywał.

Andrzej wyciągnął portfel i wsunął do niego dłoń. Wysunął i pomachał policjantowi przed nosem dwoma banknotami stułotowymi. Forsa chyba przeważała w gorączkowej dyskusji, którą facet przeprowadzał sam ze sobą, bo uspokoił się i tylko przez chwilę patrzył na Andrzeja z pogardą.

– Hiena. – Chwytał znienacka banknoty i odszedł.

Andrzej miał gdzieś jego opinię. Patrzył, jak tamten łązi po polanie i szuka jakiegoś grubego patyka. „Po co ci ten medalion, Andrzej?” Nie miał gotowej odpowiedzi. Trzeba będzie zaraz wziąć Mundka za fraki i dotaszczyć go do samochodu. Najlepiej, gdyby udało im się odjechać przed przyjazdem śledczych. Ruszą dalej piaszczystymi drogami, w przeciwną stronę niż do szosy na Białystok. Nadłożą drogi. Może wstąpią do KFC i zjedzą...

Na szczęście miał pusty żołądek i skończyło się tylko na chrapliwych pokasywaniach. Starszy policjant wrócił po chwili, zły i naburmuszony.

– Życzysz pan sobie do tego torebkę? – Otworzył pulchną dłoń z osmalonym talizmanem Igora w środku.

– Jeśli byłby pan tak łaskaw – zacharczał Andrzej.

Powiedział policjantowi, kim był denat i gdzie mieszkał. Tamten zapisał to w służbowym notatniku.

– I niby skąd ja o tym wiem? – spytał gliniarz, zerkając z ukosa. – Z dowodu osobistego?

– Byłem jego sąsiadem – mruknął Andrzej.

Podał gliniarzowi swoje dane, pogodzony z tym, że być może będzie ciągnany po komisariatach. Zawołał Mundka i w milczeniu wrócili piaszczystymi ścieżkami do samochodu.

– Po co ci ten medalion, Andrzej? – spytał Mundek w aucie.

– Sam nie wiem.

– Mam go usunąć z foty?

– Tak, poproszę.

Tej nocy Andrzej upił się w domu do nieprzytomności. Na szczęście Marysia wyjechała akurat do rodziców. Na pierwszy rzut poszła butelka czystej finlandii, później znalazł jeszcze ukrytą wśród ubrań gorzką żołądkową. Potem wszystko to zwymiotował. Chwiejnym krokiem wyszedł do znajomego sklepu nocnego, w którym sympatyczna pani za kontuarem podała mu dwie siedemdziesiątki piątki – finlandię i smirnoffa. W jakimś odruchu pijackiego rozumu wymienił je na dwie butelki żytniej. „Polska wóda lepiej wali” – to była ostatnia myśl Andrzeja tego wieczoru.

Następnego dnia obudził się we własnych rzygach. Musiał to wszystko posprzątać przed powrotem Marysi. Pierwszą refleksją w jego nowym życiu było to, że nigdy więcej nie pójdzie na dyżur. Drugą – że zrobi wszystko, żeby pożegnać dział społeczny i przywitać jakiś inny. Może ten z celebrytami?

A zdjęcie i tak poszło. Co prawda nie na okładkę, tylko na stronę szóstą, zrobili z tego pieprzoną infografikę. Mundek dwoma ruchami myszy usunął medalion pod czujnym okiem Andrzeja, który dopisał do trupa łzawą historię. „Igor Z. († 17 l.), ofiara bestialskiego mordu. Roztrzęsieni koledzy mówią: mieliśmy przecież jechać do Wrocławia na eliminacje”. Zdjęcie rozpaczającej matki Mundek pstryknął ukradkiem spod ubrań na desce do prasowania. „Zmarnowany talent, kto to mógł zrobić? To był taki dobry chłopak”.

Igor zmarł w środę. Temat zmarł w piątek.

Andrzej stał jak zaczarowany przy szafce z pudłami i patrzył na amulet Igora niewidzącym wzrokiem. Pistolety i róże – co to, do cholery, oznacza? Dużo wódki zeszło, zanim zatarł wspomnienie tamtego wieczoru. Starał się do niego nie wracać. To był straszny epizod, nic więcej.

Tylko ten sen, ten powracający sen. Andrzej zaczął sobie tłumaczyć, że jest ostrzeżeniem przed pechem. A przepowiednie lubią się spełniać. Przyśnił mu się, a miesiąc później rzuciła go Marysia. Jedyna, którą kochał i która miała szansę przebić jego chitynowy pancerz, wykuty, by mógł przetrwać w Warszawie i nie zwariować. Przyśnił mu się sen, a dwa tygodnie później musiał odbierać pełne zimnego wyrachowania telefony od prawnika kobiety, którą obraził swoim tekstem.

I teraz znowu. Czy to ma coś wspólnego z tym Arturem? Kolejny pech nadchodził wielkimi krokami. A może to Igor wracał z zaświatów i upominał się o sprawiedliwość?

Andrzej popatrzył raz jeszcze na medalion. Amulet był jednocześnie piękny i straszny, miał w sobie niepokojącą tajemnicę. Dwie róże osmalone przez ogień. Pistolety lekko stopione na lufach. „Dobrze, że wyszorowałem go z resztek Igora” – przemknęło mu przez myśl.

Osiem lat temu włożył ten przedmiot do pudła i więcej go stamtąd nie wyjął. Przenosił pudło z mieszkania do mieszkania, aż wylądowało w schowku na klatce schodowej apartamentowca na Dolnym Mokotowie. To było kilka lat



później – całe wieki później, kiedy Andrzej przybrał pozę znudzonego playboya, wykonującego swoją pracę z zimną precyzją chirurga, z siedmioletnim porsche cayenne, kupionym okazjnie po stłuczce, podjeżdżającym w sobotnie wieczory pod warszawskie kluby.

Włożył amulet Igora do pudła, tuż obok starej torebki z kokainą. Postanowił spotkać się z Bielawskim, tym człowiekiem z ministerstwa. Jeszcze nie wiedział dlaczego, ale coś mu mówiło, że może dowiedzieć się czegoś ciekawego. A nawet jeśli niczego się nie dowie, to i tak wolał dziś poszwendać się po mieście, niż siedzieć z migreną w redakcji.

## 9

Dochodziła godzina trzynasta drugiego dnia przymusowego urlopu szefowej. Departament wciąż był w rozsypce i trwał w nerwowym oczekiwaniu na jakiegokolwiek wieści o nowym dyrektorze. Rano Marcin martwił się, że dzień będzie mu się niemiłosiernie dłużył, ale szybko znalazł sobie zajęcie. Pięć godzin minęło jak z bicza. Zdążył przepisać do Worda więcej niż połowę z przewiązanego fioletową wstążką scenariusza i zamienić wszędzie Dawida na Artura. Tłukąc w klawisze, widział oczami wyobraźni swojego dawnego kumpla, a sceny zaczęły rzeczywiście przypominać fabularyzowany dokument o życiu Artura. Stwierdził za to ze smutkiem, że jeśli wyrzuci swoje miłosne perypetie z Anką, to równie dobrze może w ogóle usunąć własną postać. Na to nie był gotowy. Skasował więc tylko parę scen, w których Kornel przegadywał z Anitą filmy Ingmara Bergmana nad herbatą i ciastkiem w śródmiejskiej kawiarni.

Zadzwoił jego telefon. Nieznany numer, komórka. Pomyślał, że może to ojciec Artura. Namyslił się? Pozwoli? Nie pozwoli? A może chce się upewnić, że Marcin nie kombinuje czegoś na własną rękę?

– Halo, Marcin Bielawski? – Usłyszał w słuchawce głos faceta z gazety, jednocześnie zmęczony i podekscytowany. – Andrzej Rulewski z tej strony. Może się pan ze mną spotkać za jakieś czterdzieści minut? Będę na Krakowskim Przedmieściu.

Marcin spojrział na blat. Do przepisania zostało kilka stron scenariusza. Przydałoby się to jeszcze wydrukować, żeby mieć co pokazać na spotkaniu.

– Jasne – odpowiedział. – Niech pan przyjeżdża.

„Ruszyć się... Coś zrobić... cokolwiek”

– Trochę się martwię, Martusiu. – Do jej uszu doszedł głos Julii, która zmywała w kuchni naczynia po ich dwudaniowym obiedzie. – Ta twoja mina wczoraj. A potem stałaś się taka markotna. A Marcin, jak w końcu wrócił... on

się w ogóle nie odzywa. Czy wy, dzieci, macie jakieś problemy między sobą? Takie, no wiesz...

Marta miała serdecznie dosyć bezczynności. Chodzenia do skwerku i z powrotem też. Julia powoli zaczynała jej działać na nerwy. Niby wszystko było z nią w porządku – kobieta była naprawdę miła, uczynna i opiekuńcza. Jeśli burczała, to na Marcina, nie na nią. Wymarzona teściowa. Ale za każdym razem, gdy się odzywała, Marta miała wrażenie, że Julia czerpie jakąś nieokreśloną satysfakcję. Z tego, że może pomóc. I z tego, że między nią i Marcinem jest coś nie halo.

Nie. Nie będzie jej nic mówić o jego wczorajszym kłamstwie. Oleje to. Wyciągnie z niego prawdę sama, w cztery oczy.

– Wszystko w porządku – powiedziała przez przytkany nos. – W porządku – dodała nieco głośniej.

– Czy aby na pewno? – Julia stanęła w progu pokoju i przekrzywiła głowę.

Marta się wzdrygnęła. Marcin też czasami tak przechyla głowę, gdy jej nie dowierza. Albo gdy próbuje się z nią droczyć.

– Na pewno – odpowiedziała. – To tylko moje... przewrażliwienie.

Nie czekała na reakcję Julii, bo wiedziała, że ta zacznie zaraz drażnić. Postanowiła się odseparować, mieć kilka minut tylko dla siebie. Wstała od stołu, podeszła do regału i zdjęła z półki bezprzewodowe słuchawki. Wybudziła komputer z uspienia i włączyła YouTube. W zapisanych na później utworach miała godzinne wersje teledysku do *Happy* Pharella Williamsa – ależ ci ludzie byli pozytywni, gdy tak chodzili, biegali i skakali po zaułkach Los Angeles. I te ich niesamowite ruchy. Kliknęła myszą i po kilkunastu sekundach od samego wpatrywania się w ekran poczuła się nieco bardziej *happy*.

Postanowiła, że zatańczą z Jurkiem swój pierwszy taniec. Ale ona będzie patrzeć... Niech patrzy. Że co, potańczyć nie można?

– *C'mon baby...* – Pogłaskała się po brzuchu.

Zaczęła ostrożnie, żeby nie przeciążać kręgosłupa. Zamknęła oczy. Po kilku minutach tego aerobiku stawy w dłoniach, barkach i kolanach stały się jakby lepiej naoliwione. Schowane w plecach łopatki przestały rwać. „Ależ byłam zardzewiała” – pomyślała Marta, płynąc w rytm muzyki. Jurek wydawał się wniebowzięty. Endorfinki popłynęły. Rozkręcone myśli Marty też.

Temat pracy: tymczasowo zawieszony. Gdy Marta zadzwoniła o jedenastej, kobieta z redakcji zdobyła się na rzadką pochwałę. Coś jak lekki podziw na temat zdjęcia z hipsterską parą przy stoisku z konfiturami. „Masz, Marta, wyczucie chwili, mówię to bez ściemy. Pociągniesz tak resztę tematu, to twój reportaż, no wiesz... Może pewnego dnia jacyś Holendrzy albo Niemcy otworzą swojego «Travelera» czy inne «Geo» i zobaczą Warszawę z twoich zdjęć. Ładną, odpicowaną, pełną uśmiechniętych ludzi...”

Kolejny refren *Happy* stworzył w głowie Marty ujęcie niemal jak z drona. Śródmiejska ulica, może Nowy Świat, a może Świętokrzyska, a na niej ci tancerze, żywcem przeniesieni z Los Angeles. Tańczą, wymijają autobusy, wyczyniają parkourowe cuda na płotkach kawiarni, zapraszają do swojego happeningu przechodniów i turystów. To, co jeszcze przed chwilą było nieruchome, teraz wiruje i zasysa. Dron odlatuje powoli: od śródmiejskiej ulicy, autobusów i kawiarni, coraz wyżej i wyżej. W oddali Pałac Kultury, trochę niepasujący do tego klimatu. Odpuśćmy go sobie i zakręćmy dronem o czterdzieści pięć stopni w prawo. Płynmy nad Ogrodem Saskim, nad Muranowem, przez Dworzec Gdański – na Żoliborz. Cały ten szczęśliwy pochód – tancerze, przechodnie i turyści – leci za dronem jak ogon latawca, ponad dachami i drzewami. Prosto do niej – do Marty reżyserki, uwięzionej w mieszkaniu na drugim piętrze kamienicy, między łóżkiem, komputerem a skwerkiem.

Klik. Ukłucie pod mostkiem. Wizja zniknęła.

„Marcin. Te jego późne powroty. Dziwne spotkania. Wczorajsze kłamstwo. Oschły, nieobecny duchem, z jakimś zaszklonym wzrokiem. Wszystko było fajnie, póki nie zaszłaś w ciążę. Teraz pewnie ma cię za pochrzanionego kaszalota. Zobaczysz, zostanieie sami z Jurkiem”.

Poczuła się jak beznadziejny przypadek. Najbardziej beznadziejny pośród wszechoceanu żenady i samoużalania.

„*Easy*, Marta, *easy*. Przypomnij sobie *Kill Bill*. Weź przykład z Umy Thurman. Wsłuchaj się na nowo w bit Pharella albo lepiej zmień utwór. Weź głęboki wdech. A teraz wydech. Wsuń lewą dłoń do przodu, a potem spójrz na nią, prosto przed siebie. Stań się pieprzonym ninja, Marta. To tylko myśli, taśma. Czy widzisz, co jest za dłonią? Zmruż oczy. To twoja błękitna chustka

w kwiatki, przewieszona przez krzesło. Wpatrz się we wzór. Lepiej? Tak, zdecydowanie lepiej”.

„A teraz odwróć się. Jesteś przyczajonym tygrysem, ukrytym smokiem. Zmruż oczy. Co widzisz za wysuniętą dłońią?”

Julię Bielawską. I jej zatroskaną minę.

„Trzeci stolik po lewej” – napisał urzędnik w SMS-ie.

Andrzej kłął w duchu. Obiecał Bielawskiemu, że przyjedzie na Krakowskie Przedmieście w czterdzieści minut, a minęła już godzina ze sporym hakiem. Zamiast pojechać Powiślem w stronę Tamki, wbił się swoim porsche do centrum i stał teraz na końcu ogonka przed skrzyżowaniem z Marszałkowskiej w Królewską. Sprawdził szybko lusterko, porsche zawyło, Andrzej wyminął kolejkę frajerów czekających na zieloną strzałkę i zjechał przed pierwszego z nich.

Tyle że Królewka była zawałona autokarami po horyzont. „Kurwa, czy to znowu dziesiąty? Już się zjechało towarzystwo różańcowe?” Mimo to skręcił. Może znajdzie jakieś miejsce na tyłach hotelu Victoria.

Przeżucie go zawiodło, co trochę zabolowało, bo bardzo cenił sobie swoją intuicję. Objechał skwer za hotelem, pod Zachętą też wszystko było zajęte. Nie chciał utknąć w wiecznie zakorkowanych okolicach ulicy Mazowieckiej, więc wyjechał z powrotem pod hotel, docisnął gaz i na żółtym świetle skręcił w stronę biurowca Metropolitan.

Zostawił auto pod Teatrem Wielkim i ruszył truchtem Senatorską. Na Krakowskim Przedmieściu stały już wszędzie barierki. Jakiś nadgorliwy młody gliniarz podszedł do niego i chciał go wylegitymować. Widocznie zaraz miały się pojawić pierwsze atrakcje na tym festynie i obcym wstęp był wzbroniony. Andrzej zamachał gliniarzowi przed oczami legitymacją prasową, tamten zobaczył tytuł, uśmiechnął się i pokazał uniesiony kciuk. Potem już nikt go nie niepokoił – reszta policyjnej obstawy festynu miała gdzieś, co na ich terenie robi lekko zmarnowany facet przed czterdziestką w płaszczu z wełny merynosa i w błyszczących brązowych pantoflach. Nie miał transparentu „Konstytucja” ani znaczka w klapie i nie wyglądał na gorszy sort.

Wszedł do kawiarni, w której umówił się z Marcinem Bielawskim. Rozejrzał się. „Trzeci stolik po lewej”. Samotny brunet niemal opróżnił już filiżankę i siedział zaczytany w pisemku z empiku. Andrzej przykrył rozdrażnienie swoim wyuczonym uśmiechem numer pięć, pod tytułem „doświadczony dziennikarz na pierwszym spotkaniu z interesującym kontaktem”.

– Pan Marcin? – spytał bruneta.

Brunet oderwał wzrok od pisemka i spojrzał na niego przeciągle.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie, ale miałem problem z dojazdem – powiedział szybko Andrzej. – Sam pan widzi, co się tutaj dzieje – dodał, wskazując na rozstawiane za szybą bariery.

„Dziwny typ” – pomyślał, a typ uśmiechnął się lekko pod nosem, otaksował go wzrokiem od stóp do głów i miękkim gestem zaprosił do zajęcia miejsca naprzeciwko. Andrzej przysiadł niepewnie. Facet dopił resztkę kawy z białej filiżanki, cały czas patrząc mu w oczy. „Jezu, nienawidzę pracować z niemowami – przeraził się Andrzej. – Jak nic niemowa. Albo gej. Kurwa, spodobałem się gejojowi”.

– Jak już panu wspominałem przez telefon, jestem dziennikarzem „Twojej Gazety”...

Brunet drgnął na te słowa. Potem znów zaczął się uśmiechać. „Co jest, do jasnej ciasnej? Ten urzędnik z ministerstwa ma jakieś problemy z przyswajaniem ludzkiej mowy? Co on tam robi? Podlewa kwiaty?”

– Ten pański kolega, z którym pisał pan scenariusz... – ciągnął Andrzej pomimo wrażenia, że znalazł się w potrzasku. – Możemy o nim chwilę porozmawiać?

Brunet przechylił głowę, jakby się nad czymś zastanawiał. Po chwili tą głową pokręcił. Jak w jakimś teatryku mimów. Andrzej zbaraniał.

– Pan Marcin, tak? – spytał, a tamten kiwnął. – Z ministerstwa? Od scenariusza?

Brunet uniósł dłoń i wykonał nią miękki gest. Tak jakby. „O co chodzi, dobry Boże? – myślał Andrzej panicznie. – Ktoś mnie wystawił? Czyżby jakiś zagniewany ryj nasłał na mnie tego dziwaka? A może facet wyjmie zaraz legitymację tajnych służb i powie: dawaj kokainę, Rulewski, wiemy, że w schowku na szczotki trzymasz zapas na czarną godzinę”.

– *Isabella ha detto che parlavi un po' di italiano* – powiedział nagle tamten. – *Mi chiamo Martino. È la tua prima lezione?*

Andrzej poczuł się jak w filmie. Wstał z krzesła i zaczął wycofywać się w stronę drzwi.

– Si, si. Prego, grazie, ariwederczi...

W drzwiach posłał jeszcze brunetowi palące spojrzenie, od którego mógłby się stopić dzwon na wieży kościoła Świętej Anny. Obrócił się na pięcie i wybiegł z kawiarni prosto w gęstniejący tłum, dzierżący biało-czerwone flagi, transparenty klubów „Gazety Polskiej” z każdej najmniejszej nawet miejsciny i banery poparcia dla najlepszej ze zmian.

Marcin stał przed ministerstwem, schowany pod daszkiem. Popołudniowe latte w pobliskiej kawiarni skończyło się równie szybko, jak się zaczęło: gdy Marcin zamoczył usta w kawie, kątem oka zauważył wpatrującego się w niego przez szybę Lemura Zawadzkiego. Nie wiedział, czy ma kiwnąć, uśmiechnąć się czy zapaść pod ziemię. Wybrał trzy szybkie łyki i ewakuację. Jak się okazało – niepotrzebnie. Lemur nie wrócił do ministerstwa i chyba mało go obchodziło, że jego podwładny urwał się z pracy.

Miał już napisać dziennikarzowi, żeby przełożyć to spotkanie, gdy zobaczył idącego w jego kierunku faceta około czterdziestki, rozglądającego się na boki. Gość wyglądał dokładnie tak, jak Marcin go sobie wyobraził, gdy słyszał jego głos w słuchawce. Zombie, któremu podano na chwilę antidotum. Teraz to zombie było czymś zdenerwowane, wręcz wkurwione. Facet łypał zaczerwienionymi oczami na gmach ministerstwa, jakby zamierzał wykryć rentgenem, gdzie urzęduje koleś, który go tak brzydko wystawił. Wyciągnął telefon, wybrał numer i z komórką przy uchu stanął w rozkroku, wodząc wzrokiem po oknach. Marcin chciał właśnie uśmiechnąć się głupkowato, kiedy rozdzwoniła się jego komórka i zimny wzrok faceta spotkał się z jego wzrokiem.

– Pan jest Marcinem Bielawskim? – spytał facet wrogo.

– Tak.

– Tym konkretnym Marcinem Bielawskim, który pisze scenariusz i chce dowiedzieć się czegoś o swoim koledze?

– Tak. Musiałem wyjść z kawiarni, bo szef mnie przyłapał. Wie pan, jak to jest.

Facet skrzywił się, jakby nie wiedział.

– Rozumiem, że nie ma pan teraz czasu gadać. – Wskazał głową na gmach. – Możemy się spotkać kiedy indziej. Albo w sumie możemy w ogóle się nie spotykać.

– Przepraszam, panie... – zaczął Marcin.

– Rulewski. Andrzej Rulewski.

– Przepraszam, panie Rulewski, ale to pan do mnie zadzwonił i to pan chciał jak najszybciej się ze mną widzieć. Skoro już nam się udało znaleźć, to może usiądziemy gdzieś na chwilę?

Facet spojrzał na Marcina przeciągle. Wskazał na Krakowskie Przedmieście i rozmodlony szary tłum.

– Chce się panu pchać w tę gawiedź? – Uśmiechnął się drwiąco. – Bo mi nie.

– To co pan proponuje?

Kilka minut później Marcin sprawdził szybko służbową pocztę, wylogował się i zabrał z biura swoje rzeczy. Zatrzymał się przy placu Piłsudskiego, a po jakichś pięciu minutach podjechało do niego ciemnoszare porsche Rulewskiego. Marcin wsiadł i przez chwilę patrzył oczarowany na stylowy prędkościomierz i kierownicę obłożoną miękką beżową skórą. Nie dość, że nigdy wcześniej nie widział porsche od środka, to jeszcze nigdy nie jechał w wozie z automatyczną skrzynią biegów.

Ruszyli od razu i minęli kolejkę autokarów na Królewskiej. Kilkanaście sekund później przejechali na żółtym przez skrzyżowanie z Marszałkowską. Dopiero na Grzybowskiej dziennikarz zwolnił i otarł z czoła kilka kropelek potu.

– Pan wybaczy – zaczął Marcin – ale ciśnie mi się na usta pytanie. Skąd pan wytrzasnął kontakt do mnie? I po co pan do mnie zadzwonił?

Rulewski patrzył przez szybę nieruchomym wzrokiem.

– No więc jest tak – powiedział głucho. – Jestem dziennikarzem „Twojej Gazety”. Interesuje mnie ten pański kolega i jego śmierć. Ale nie piszę o tym artykulu i nie jestem z działu społecznego.



– To o co chodzi?

– Jest taka nierozwiązana sprawa, która nie chce mnie opuścić. Może być powiązana z pańskim kolegą, ale wcale nie musi. Tam też zginął chłopak. Bardzo brutalna śmierć. Też osiem lat temu.

– To wszystko? To jakiś żart? – Marcin uniósł brwi. – A skąd kontakt do mnie?

– Chodzą różne słuchy po mieście. – Rulewski spojrzał na Marcina wyzywająco. – Jest podobno jakiś scenariusz, nie? Ktoś się nim zainteresował, ktoś coś komuś powiedział przy drinku. Ktoś inny to podsłuchał i przekazał mnie. Wystarczy?

– Niezbyt. To nie wyjaśnia, skąd pan miał telefon do mnie.

– Żebyś ty wiedział, chłopaku, jakie rzeczy można znaleźć w sieci. Daj już spokój i nie ciśnij, jeśli nie chcesz zakończyć tego spotkania.

– Rozumiem, że przeszliśmy na ty?

– Masz coś przeciwko?

Marcin pokręcił głową. Miał wrażenie, że facet jest z tego samego gatunku co aktor Jan Adler. Lubił grać według własnych zasad, a Marcin miał być tylko pionkiem na dużo większej szachownicy. Albo słabą kartą w talii. Godzisz się na taką rolę albo odpadasz. To pierwsze było mało zachęcające, ale póki co nieuniknione.

Dziennikarz docisnął pedał gazu i w ostatniej chwili przejechał skrzyżowanie z aleją Jana Pawła II. Wjechali w dziwny warszawski krajobraz, gdzie nowe szklane budynki sąsiadowały z peerelowskimi blokami i ceglanymi ruderami.

– To jak, Marcin? Spróbujemy połączyć parę faktów? A nuż coś z tego wyjdzie.

– Wiesz, Andrzej, ja tych faktów to nie znam zbyt wiele.

– Dawaj.

Marcin spojrzał w przestrzeń za szybą.

– Miałem w liceum kolegę, nazywał się Artur Sosnowski. Na studiach trochę bardziej się zaprzyjaźniliśmy. Pisaliśmy razem scenariusz. Artur wrzucał do niego wiele rzeczy ze swojego życia, tak jak one naprawdę się wydarzyły. Można z tego odtworzyć ostatnie pół roku jego życia.

– Co to było? – Andrzej spojrzał badawczo.

– Na przykład to, że Artur pracował w fast foodzie niedaleko osiedla, gdzie mieszkał. Pewnego dnia jakiś naspidowany koleś przyszedł do baru, wyciągnął pistolet i przystawił mu do głowy. Artur dostał od tego paranoi, że ktoś chce go zabić.

– Znał go? Tego kolesia?

– Raczej nie. To był przypadek, nagła spina. Ten gość obraził jego koleżankę z pracy i Artur uniósł się honorem. Nigdy mi nie mówił, żeby to był ktoś, kogo znał.

Andrzej skręcił w małą brukowaną uliczkę. Marcin spodziewał się, że zaraz zacznie trząść, ale poczuł tylko delikatne wibracje pod plecami.

– I co było dalej? – spytał dziennikarz.

– Potem Artur nakręcił się, że koniecznie musi mieć pistolet. Miał takiego kolegę, Bolka, dilera. Pojechali z tym Bolkiem do burdelu za miastem, bo tam podobno można było kupić broń. Nie udało im się za pierwszym razem, ale potem Bolek mu przyniósł. Artur nigdy się z tym gnatem nie rozstawał, nosił go wszędzie w plecaku.

– Czy on miał jakieś problemy z głową? – wtrącił Rulewski, zerkając na skwer koło dużego kościoła z dwiema wieżami. – Jest taka szansa, że sam sobie tę śmierć zaplanował?

– W jakim sensie? – Marcin się skrzywił.

– Że szukał guza i w końcu znalazł kozaka, któremu nie spodobało się, że koleżka macha mu przed oczami giwerą.

– Ciężko powiedzieć. Niby normalnie się z nim rozmawiało, ale z drugiej strony miałem wrażenie, że on przez cały czas obserwował otoczenie i wychwytywał jakieś sygnały, na które ja nie zwracałem uwagi. Kiedyś w pubie mi powiedział, że jakiś facet dziwnie na mnie patrzy. Potem chciał mnie przekonać, że też powinienem mieć pistolet i nie być bezbronną pizdą.

– To się chyba nazywa paranoja.

– Może. Ja się nie znam. Mnie nikt nigdy nie przystawił broni do głowy. Nie wiem, jak to jest i co człowiek potem czuje. A tobie, Andrzej?

– Mi też nie. Przystaniemy, okej?

Rulewski zakręcił kierownicą, nie czekając na odpowiedź. Zaparkował pod rozłożystym kasztanowcem i zgasił silnik.

– W scenariuszu była jeszcze taka scena... – Marcin się zawahał. – Artur w tym burdelu poznaje młodą nieszczęśliwą prostytutkę.

– Brzmi jak słaby harlequin.

– Też mi się tak wydawało. Ale znajoma zwróciła mi uwagę, że Artur pisał tę scenę w dużych emocjach. Nie mogła być wymyślona. Ta dziewczyna chyba istniała naprawdę. Bardzo dziwna postać. Zachowywała się jak na prochach. Albo jak chora psychicznie. I jeszcze...

– Tak? – Na twarzy Rulewskiego pojawił się cień zainteresowania.

– Miała nietypową skazę. Oczy w różnych kolorach. Jedno wyglądało na zdrowe, a drugie na chore.

– Chrzanisz. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Poczytałem o tym – ciągnął Marcin niezrażony. – To albo wada genetyczna, albo wynik jakiejś nieudanej operacji, na przykład mózgu. Albo traumy. Albo po prostu ktoś ją uderzył. Znasz Davida Bowie?

– To ten pedalski piosenkarz, co latał kiedyś w obcisłych gaciach?

Marcin poczuł zażenowanie, że jeden z jego idoli został sprowadzony do karykatury przez faceta w wełnianym płaszczu.

– Powiedzmy, że to ten sam. Też miał coś podobnego z oczami. Kolega uszkodził mu oko, jak Bowie miał piętnaście lat. A Kate Bosworth?

– Nie kojarzę.

– Aktorka, jedno oko ma niebieskie, a drugie żółte. To się nazywa *heterochromia iridum*.

Andrzej oparł głowę o zagłówek, jakby analizował wszystkie te dane. Jego pokryte jednodniowym zarostem szczęki zacisnęły się i drgały rytmicznie.

– No dobra – powiedział w końcu. – Co było dalej z tą panienką?

– Nic, niestety – odparł Marcin. – Pojawiła się w jednej scenie i zniknęła. Wyglądało to, jakby się z Arturem zaprzyjaźnili, ale potem już więcej się nie pojawiła.

– Co ty gadasz? Jest panna i nie ma panny?

Teraz to Marcin oparł głowę o zagłówek.

– Problem w tym, że my nigdy nie dokończyliśmy tego scenariusza – powiedział cicho.

„Pieprzona żalosna beznadzieja” – pomyślał Andrzej z irytacją. Fakty z życia Artura Sosnowskiego kompletnie nic mu nie mówiły. A przynajmniej nic, co by się wiązało z osmalonymi kikutami spod Radzymina, które dziesięć godzin wcześniej były z lekka szurniętym Igorem, kolesiem szepczącym dziwne słowa i oglądającym w słońcu swój magiczny medalion.

„Żeby mieć choć jeden punkt zaczepienia, jeden jedyny. Jeśli nie znajdę, to zrezygnuję”.

Zerknął na Bielawskiego. Sympatyczny chłopak, ale nie wyglądał na obiecującego partnera w śledztwie. Typowe warszawskie dziecko dobrobytu, które wysłało CV do ministerstwa i cieszyło się z regularnie spływającej na konto marnej pensji.

– Powiedz mi, Marcin, ten twój kolega był może muzykiem? Grał na czymś? Na gitarze? Miał zespół?

– Raczej nie. – Marcin uśmiechnął się pod nosem. – Jeśli śpiewał, to w kiblu i przy goleniu.

– A to śpięcie w fast foodzie? Który to był miesiąc?

– Kwiecień. Prawie na pewno, pamiętam, że zaczynałem się przygotowywać do sesji...

Kwiecień. Igor zginął w kwietniu. Andrzej rozsiadł się wygodniej w fotelu. Musiał się na chwilę odseparować. Igor, licealista, muzyk, medalion, spalone ciało w lesie. Artur, student, dziwka ze skazą, pobity na Mazurach.

– Chciałbym wiedzieć, o co pytasz i dlaczego, okej? – wyrwał go z medytacji głos Marcina.

– Jeszcze chwila – odpowiedział szorstko. – Najważniejsza sprawa. Kurwa, w sumie od tego mogłem zacząć. Gdzie mieszkał ten twój Artur?

Zauważył na twarzy urzędnika lekki grymas, jakby chłopak zaczynał żałować spotkania i chciał się wycofać.

– O co chodzi?

– O nic. – Marcin się skrzywił. – Mam po prostu wrażenie, że próbujesz ze mnie wyciągać różne rzeczy, a nic nie dajesz w zamian.

- Powiedziałem: jeszcze chwila. To jak? Gdzie mieszkał Artur?
- Na osiedlu.
- Którym?
- Domków jednorodzinnych.
- Ale jak się nazywa? W którym miejscu? – Andrzej czuł, że traci cierpliwość.
- Nie wiem. To daleki Targówek, już prawie nie Warszawa.
- No co ty nie powiesz... – W głowie Andrzeja zaświeciła się ostrzegawcza lampka. – Może zdradzisz mi coś więcej, panie tajemnica?

Marcin wpatrywał się przez chwilę w paznokcie.

– Stoi tam taki wielki biały kościół – zaczął po chwili. – Puszczają z głośników taśmę. Takie dziwne dzwoneczki, grają jakąś melodię, coś jak *Ave Maria*. Artur nawet wrzucił to do scenariusza. Mówił, że te fałszywe doprowadzają go do szału.

Andrzej spojrzał nieobecny wzrokiem na przykryty jesiennymi liśćmi skwer za szybą porsche.

– Coś ci to mówi, Andrzej? – Usłyszał jak przez mgłę.

*Ave Maria*. Pieprzone dzwoneczki budziły Andrzeja przez dobrych kilka lat, kiedy mieszkał w obskurnym bloku na zwykłym osiedlu w swoim zwykłym poprzednim życiu. Szósta rano, świątek, piątek czy niedziela. Wiosna, lato, jesień, zima. Niczym z jakiegoś minaretu proboszcz ogłaszał okolicy, że wstał nowy dzień i należy ubóstwiać Marię. Andrzej ubóstwiał wtedy Marię, tyle że tę z krwi i kości, z realnym ciałem. Nie było to ciało sobotniej panienki z klubu, ale w tym zwykłym ciele mieszkała istota, która umiała wyciągnąć Andrzeja na chwilę z tego całego miksu pędu i odrętwienia. Z warszawskiego snu, jak to czasem sobie Andrzej nazywał.

Igor też żartował sobie czasem z tego wkurwiającego kościelnego rytuału, gdy stał z kolegami i popijał piwo pod klatką. O osiemnastej była powtórka z rozrywki. Proboszcz chciał przypomnieć swoim owieczkom, że również wieczór należy do Marii.

– Chłopaki, czas na Marię. – Igor uśmiechał się, zgniatał puszkę i zgrabnym ruchem wrzucał ją do przerdzewiałego kosza na śmieci. – Maria wzywa. Chwalmy Marię! – krzyczał, unosząc dłonie ku górze.

Wybijiała osiemnasta i Andrzej wyobrażał sobie, jak stary proboszcz znów wspina się na szczyt minaretu. Artretycznymi palcami wciska przycisk play, z satysfakcją mówi „amen” i wraca po krętych schodach do swojego przytulnego mieszkanka z przetartym tureckim dywanem i wielkim obrazem Jezusa nad komódką. Andrzej odpalał na balkonie salema i powoli przesuwiał wzrok ku linii horyzontu, skąd dobiegały te drażniące dźwięki.

Najpierw widział parking, a na nim swojego opla corsę w kolorze bordo. Potem kilka zaniedbanych działek, na których sypiali bezdomni. Dalej zaczynał się pas brzoź i dębów, resztką dumnej mazowieckiej puszczy, przez dziesięciolecia karczowanej pod bloki. A za lasem, na zupełnie innym osiedlu, na które Andrzej nigdy się nie zapuszczał, stała dumnie wielka wieża przypominająca gotową do startu rakietę kosmiczną. Jak na ruskim kosmodromie. Melodia *Ave Maria* płynęła niczym obłok w wilgotnym powietrzu, oblepiała betonowe mury, zaglądała do otwartych okien i przez uchylone lufciki piwnic.

Gdy dzwonki powoli zbliżały się do finałowego akordu, Igor i jego koledzy zaczęli wykrzykiwać rytmicznie:

– *Nine, eight, seven, six, five, four...*

Andrzej uśmiechał się pod nosem.

– *...three, two, one...*

Dzwonki grały swój ostatni tego dnia wielki akord.

– *IGNITION!!!* – krzyczało chórem towarzystwo pod klatką, a stado gawronów podrywało się z działek do panicznego lotu.

W powietrzu zaczynał się unosić mdły smrodek maryśki. Nikt się tu z niczym nie krył. Igor i jego koledzy chwalili Marię na klatce schodowej, w piwnicy i na murku za parkingiem. W małych, zawalonych gratami mieszkaniach z łuszczącą się farbą i odpadającym tynkiem zapach trawy mieszał się z dymem z tanich petów, konsumowanych w przerażających ilościach przez rodziców tych chłopaków.

Andrzej spojrział ukradkiem na Marysię, która w głębi pokoju stała przy desce do prasowania, zerknęła na kolejny odcinek najdłuższej polskiej telenoweli i składała jego koszulę pełnymi gracji ruchami. Zgasił papierosa w doniczce...

Urwał wspomnienie w momencie, kiedy miał wrócić do pokoju i spojrzeć w oczy Marysi. Nie było mu to teraz do niczego potrzebne.

– Wszystko w porządku? – usłyszał zaniepokojony głos Marcina.

Drgnął jak porażony. Zupełnie zapomniał, że siedzi w swoim porsche z tym chłopakiem.

– Tak, tak. Sorry, zamyśliłem się. Nie wiem, kurwa, skąd ci przyszedł do głowy ten kościół, ale ostro mnie wzięło na wspominki.

Bielawski patrzył na niego bez słowa.

– Wygląda na to, że Igor i Artur mieszkali niedaleko od siebie – ciągnął Andrzej. – Pamiętam ten kościół, spędzał mi sen z powiek przez parę lat. To trochę zmienia postać rzeczy. Niewiele, ale zawsze.

– Wybacz, ale kto to jest Igor? – spytał nagle Bielawski.

Na szczęście Julia dała się zbyć. „Po prostu potrzebuję ruchu – powiedziała jej Marta, gdy Julia spytała, o co chodzi z tymi dziwnymi wygibasami. – Nie mogę ciągle tylko siedzieć, bo dostanę w końcu hemoroidów”. Teściowa pokręciła chwilę nosem i wyszła do kuchni. Zaraz potem wróciła.

– Przejdziemy się do skwerku? – spytała.

– Czy mama nigdy nie poszła dalej niż do skwerku? Świat nie kończy się na skwerku – palnęła Marta bez zastanowienia.

– Oookej... – Julia mimowolnie cofnęła się o pół kroku. – Możemy iść do parku. Jeśli czujesz się na siłach.

Marta przymknęła oczy i zrobiła szybką ocenę swojego stanu.

– Za pół godziny – mruknęła. – Muszę sobie zresetować głowę.

Jakiś czas temu, jeszcze przed skurczami w knajpie, zgadała się z jedną dziewczyną, też w ciąży. Pogadały chwilę o tych stanach, kiedy głowa za mocno pracuje. O kołowrotach myśli. Słyszałaś o czymś takim jak *mindfulness*? – spytała dziewczyna. Marcie coś się obilo o uszy, ale nie drążyła tematu.

Teraz był dobry czas, żeby ten wątek odświeżyć.

Włączyła na YouTube pierwszą z brzegu medytację, po angielsku. Rozłożyła na podłodze gumową matę do ćwiczeń. Parę chwil później leżała ze słuchawkami na uszach, a Dzięki z pyskiem między łapami spoglądała ciekawie

na swoją panią. Parę razy odetchnęła głęboko przeponą i poczuła, że ogarnia ją błogość. Przyjemnie bezosobowy głos zachęcał ją do objęcia uważnym umysłem każdego skrawka jej ciała. Miała zajrzeć wewnętrznym okiem między palce u nóg i pod kolano – a nigdy dotąd nie myślała z czułością o tych miejscach. Położyła obie dłonie na brzuchu i nasłuchiwała wewnętrznym uchem odgłosów maleństwa.

Zaczęła czuć, że odpływa.

Znalazła się na białym stole w białym pokoju, który niepokojąco przypominał wariatkowo. Z głośników ukrytych pod sufitem leciał bardzo leniwy remiks *Happy* Pharella Williama. Po chwili Pharell we własnej osobie wyszedł z drzwi ukrytych za białą muslinową firanką. Ubrany był w biały frak i biały cylinder, nawet laseczkę z kulistą gałką miał białą. Wszystko tu było białe, tylko twarz Pharella czarna.

– Witaj, Martha – przywitał się Pharell. – Mam dla ciebie mesydź.

Spojrzała ciekawsko na uśmiechniętą twarz z figlarnym wąsikiem. Poczowała się jak mała dziewczynka w krainie pluszowych misiów.

– To super – zaszczębiotała. – Bo ja właśnie szukam odpowiedzi, jak być... *happy*...

Pharell pokręcił głową z uśmiechem.

– O nie, nie, Martha, to tylko piosenka. Ale mam dla ciebie inny mesydź...

Nachylił się i szepnął jej do ucha kilka magicznych słów. Były miękkie jak aksamit i pachniały masłem orzechowym, o ile słowa mogą pachnieć. A gdyby mogły? „Chciałabym nauczyć się tak ze sobą rozmawiać, żeby zawsze w głowie pachniało mi masłem orzechowym – pomyślała. – A potem będę tak rozmawiać z Jurkiem...”

Otworzyła oczy. Julia stała nad nią i coś mówiła, ale Marta nie mogła rozróżnić słów. Bez pośpiechu zdjęła słuchawki.

– Pytałam, czy mogłabyś mi pomóc zalogować się na Facebooku – powtórzyła Julia. – Dawno nie sprawdzałam, co tam u moich koleżanek. A potem na spacer.

Marcie wydało się dziwne, że teściowa ma konto na fejsie. A jeszcze dziwniejsze, że akurat teraz jej się to przypomniało, gdy ona leżała na macie i rozmawiała z Pharellem.



Musiała najpierw obrócić się na bok, potem na czworakach podejść do stołu, chwycić się blatu i podciągnąć na kolana. Jedna noga, druga noga. Naprawdę, nie mogą wymyślić dla ciężarnych jakichś podnośników? Podeszła do biurka, usiadła przy komputerze i wyłączyła YouTube. Otworzyła nową kartę w przeglądarce i wklepała adres Facebooka. Była zalogowana, więc na ekranie od razu pojawiły się najnowsze posty jej znajomych.

– Jaki mama ma adres mejlowy? – spytała Julii, stojącej za jej plecami. – No i hasło, ale to może mama sama wpisać.

– Bielawska jot sześćdziesiąt... – Julia zamilkła tak nagle, że Marta obejrzała się za siebie. Na twarzy teściowej dojrzała zdumienie i niesmak. Julia gapiła się w monitor i przesuwała okulary po nosie to w górę, to w dół. Odchrząknęła. Zamrugnęła. Znow odchrząknęła.

Marta obróciła się do monitora. „Zajebisty wieczór przy szaszłyku i frytkach” plus trzy uśmiezki. Na zdjęciu pół twarzy Teresy z ustami wysuniętymi do dzióbka i jakaś lekko rozmazana parka w tle.

– Jak Boga kocham, czy to nie jest Marcin? – spytała Julia drżącym głosem. – No może nie, ale to... To przecież Marcin, prawda? A ta... ja ją przecież znam.

Marta ściągnęła brwi i zbliżyła twarz do ekranu. Rzeczywiście, to mógł być on. Ta sama sylwetka, fryzura, marynarka. I taki uśmiechnięty, jak nie on. To znaczy jak on – ale kiedyś, dawniej, kiedy nie miał doła, kiedy jeszcze wszystko było w porządku...

– Jezu... – jęknęła i dotknęła palcem zdjęcia tak mocno, że matryca pod palcem nabrała ciemnej barwy.

Co na dłoni Marcina robi dłoń tej brunetki z kucykiem?

I dlaczego ta laska tak na niego patrzy?!

– No więc to była naprawdę dziwna okolica. – Andrzej odchrząknął, a Marcin zauważył, że dziennikarz mięknie pod wpływem wspomnień. – Człowiek miał wrażenie, że mieszka nie w stolicy, tylko w jakimś pipidówku pod Mławą. W każdym razie wtedy tam mieszkałem i miałem na oku okolicę, na wypadek gdyby przytrafił się jakiś ciekawy temat.

– I co? Przytrafił się?

– Trochę się działo, ale głównie patologia. – Andrzej strzepnął pyłek z płaszcza. – Awantury rodzinne, jakieś zwłoki bezdomnego na działkach. Dużo trawy, no i ta młodzież była taka, że widać było, że ich nosi. Wóda, tanie papierosy, Matka Boska w kuchni nad stołem...

Marcin uniósł dłoń i zachęcił Andrzeja do kontynuowania.

– Mieszkał tam taki chłopak. Rock'n'rollowiec. Miał plany uderzyć z zespołem do telewizji, ale widziałem go głównie pod klatką, jak jarał dzointy. Igor miał na imię. Coś ci to mówi?

Marcin pokręcił głową. Nie znał tamtych okolic, nie znał kolegów Artura, a Artur nie zapisał w swoich notatkach ani słowa na temat osiedla za lasem. Nic o tamtych blokach, jakby nie istniały.

– Osiem lat temu w kwietniu spotkałem Igora na parkingu – zaczął Andrzej po chwili. – Zagadałem do niego, miał iść na ważną próbę przed wyjazdem na przesłuchanie. Wieczorem miałem dyżur w redakcji. Myślałem, że będzie spokojnie, ale wysłali mnie do lasu pod Warszawą. Był tam spalony facet przywiązany do sosny, ktoś zawiązał mu łańcuchy na kłacie i nogach. Właściwie same sterczące kikuty z niego zostały. Zwęglone.

Marcin wypuścił głośno powietrze i zerknął na sufit porsche. Dziennikarz skrzywił się w sposób, który Marcin dobrze znał z autopsji – musiała zaatakować go migrena. Andrzej wcisnął palce w kark i przesunął mocno kilka razy, a potem ruszył głową, aż strzeliły kręgi.

– Igor nosił na szyi taki dziwny wisiołek – odezwał się w końcu cicho. – Były tam róże i pistolety. Uważał, że przynosi mu szczęście.

– Ten trup w lesie też miał taki medalion? – spytał głucho Marcin.

– Dokładnie ten sam.

– Rozumiem, że nie odnaleziono sprawcy, bo pewnie dzisiaj byśmy nie rozmawiali.

– Dobrze kombinujesz.

– To akurat było łatwe.

Andrzej pokiwał głową. Marcinowi znów przyszło do głowy pytanie, które krążyło mu pod czaszką od samego początku tego spotkania. Czy to Jan Adler nasłał na niego tego faceta? Czy ktoś inny? Zawahał się. Dziennikarz to zauważył.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Nie – mruknął Marcin.

– No dobra. – Andrzej zacisnął palce na kierownicy. – Trzeba to teraz pozbierać do kupy i od jutra bierzemy się do roboty.

– Że co? – Marcin poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– No przecież mówię. – Andrzej nie dawał za wygraną. – Zdaje się, że chciałeś przeprowadzić małe śledztwo?

– Głównie chodziło mi o to, żeby napisać scenariusz.

– Wchodzisz w to czy nie? – Twarz Andrzeja nabrała sępich rysów. – Nie będę sam zapierdalał po mieście. Proponuję, żebyś ty wziął fast food i jakichś koleżków Artura. Ja muszę posłuchać, co moje stare uszy powiedzą mi na temat Igora.

Marcin zerknął przez szybę. Przyszło mu do głowy, żeby powiedzieć facetowi, że to pomyłka, że nigdzie się nie wybiera, że w domu czeka na niego żona w zagrożonej ciąży, że nie powinien jej denerwować. Dość jej już nakłamał w tym tygodniu, żeby dokładać jeszcze eskapady w dziwne miejsca.

Tyle że usta miał jak zasznurowane. To byłaby przygoda. Coś innego. Coś nowego. Nigdy nie myślał o sobie jak o zawodniku, raczej jak o widzu, obserwującym z boku poczynania innych. A Rulewski miał w sobie jakąś nieznaną Marciniowi determinację. Nawet jeśli jego sposób bycia z początku wydawał się odpychający, nie można było mu odmówić swego rodzaju zmęczonej charyzmy, która Marciniowi imponowała.

– I jeszcze jedno, Marcin. – Usłyszał stanowczy głos swojego nowego partnera. – Daj mi ten scenariusz. Na dzisiaj starczy.

– Spoko.

Wyciągnął z teczki świeży wydruk i podał Rulewskiemu. Otworzył drzwi, wysiadł z porsche i ruszył wąską ulicą w stronę alei Jana Pawła II. Jeszcze nie wiedział, czy powie o tym wszystkim Marcie. A jeśli się zdecyduje, to jak ubierze to w słowa.

I jak ukryje to wszystko przed matką.

– Trzeba to zdusić w zarodku. Trzeba mu pokazać. Tak nie może być – powtórzyła Julia Bielawska, po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch minut. –

Masz niecodzienną szansę, dziecko.

– Szansę na co? – spytała Marta żałośnie.

Siedziała na brzegu wanny. Chciała napuścić sobie przyjemnie ciepłej wody, kontynuować swoją wcześniejszą rozmowę z ciałem i o wszystkim zapomnieć. Ale się nie dało. Zwłaszcza że Julia chodziła między dużym pokojem a łazienką i coraz bardziej się nakręcała.

– Jak to na co? – Teściowa stanęła w progu łazienki. – To wszystko jest takie oczywiste, kochana. Gdybym ja miała taką okazję, żeby już na początku pokazać ojcu Marcina... Ich trzeba wychować, do cholery, oni są jak małe dzieci. Traktują rodzinę jak zabawki. Znudzą się? To sobie szukają nowych. Chociaż w tym przypadku starych. Starych nowych.

– Trzeba z nim porozmawiać – powiedziała Marta cicho. – On na pewno wszystko wyjaśni.

– Wyjaśni?! – Julia podniosła głos. – Sama powiedziałaś, że cię wczoraj okłamał. Nie znasz ich. Oni kłamią w żywe oczy.

– Marcin też?

– Jak widać, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Marta poczuła, że jej energia zbliża się do zera, a może już jest na minusie. Przez zdjęcie Teresy najpierw wpadła we wściekłość i zwyzywała Marcina w słowach, o których chciała jak najszybciej zapomnieć. Potem zawyla, a potem przyszedł skurcz – jeden i drugi – i Marta zamiast w przytłaczający smutek wpadła w przerażenie, że tym wybuchem nienawiści zrobi dziecku krzywdę. Wpatrzyła się w Julię z niemą prośbą o ratunek, ale teściowa wyglądała, jakby nie miała pojęcia, co robić. Wzięła więc dziesięć głębokich oddechów i poczuła, że jej głowa czyści się w zaskakująco szybkim tempie. Zaraz potem przyszedł zjazd. I myśl, żeby wejść do wanny i przenieść się do krainy snów. Do białego pomieszczenia i słów pachnących masłem orzechowym.

– To musi być kara adekwatna do przewiny – oświadczyła Julia podniośle. – Musi poczuć konsekwencje. Musi zapamiętać tę nauczkę na długo. Może i na całe życie. Proponuję zamknąć drzwi na klucz i nie otwierać. Niech posiedzi na klatce przez noc i zastanowi się nad swoim życiem.

– Przecież on ma własne klucze – mruknęła Marta i odkręciła kran.

– Ale na środek nie zamykacie, prawda? – Julia uśmiechnęła się krzywo. – Nie możecie, bo nie dałam wam klucza. I tak się składa, że ja ten złoty kluczyk mam.

– Ale nie będziemy chyba pakować mu walizki?

Pożałowała tego pytania, bo Julia triumfalnie uniosła palec, jakby to był najlepszy pomysł pod słońcem, a potem zniknęła w przedpokoju. „Niech się dzieje, co chce, mam to gdzieś – pomyślała Marta, rozebrała się do naga i weszła do wanny. – O Boże, co za cudowne uczucie...”

Pięć minut później Jurek był spokojny, Marta też, a Marcin spakowany. Julia stwierdziła tylko, przysmykając drzwi do łazienki, że wystawianie walizki to zbytek łaski i nadmiar melodramatyzmu. Walizka to mocny as w rękawie. Będzie brykał, to mu się wystawi.

Marta leżała więc z brzuchem wystającym nad taflę wody i badała reakcję palca u nogi na stres. Usłyszała chrzęst kluczy i przyczaiła się w wannie. Dzięki rzuciła się do drzwi i zaczęła obwąchiwać próg, machając ogonem. „Cii, dziewczyno” – poprosiła ją Marta w myślach. Potem zadzwoniła komórka i Marta leniwym ruchem wzięła ją z pralki.

– Halo? – spytała oficjalnie.

– Marta, powiedz mamie, żeby nie zamykała na środek. Przecież wie, że nie mam do niego klucza – zaterkotał Marcin po drugiej stronie słuchawki (i drzwi).

– Poczekaj chwilę, królewiczu. Porozmawiam z moim palcem u nogi – powiedziała Marta słodko.

– Że jak?!

Milczała przez moment i próbowała wyobrazić sobie, co też może powiedzieć na ten niezwykle ważki temat jej paluch z krzywo przyciętym paznokciem i zdartym lakierem.

– No więc jest tak – zaczęła z mocnym postanowieniem, że nie da sobie przerwać. – Tomcio Paluch mówi, że ostatnio jesteś czymś bardzo zaaferowany. Wracasz później niż zwykle. Jak ktoś do ciebie dzwoni, to odchodzisz z komórką, żeby cię Marta nie usłyszała. Nie można cię dobudzić, a potem znikasz na pół soboty i pół niedzieli. Później kłamiesz Marcie, że jesteś w Zachęcie, a ona słyszy, że za twoimi plecami chałturzy jej znajomy prezenter.

Jesz późną kolację z brunetką z kucykiem, która gapi się na ciebie, jakby chciała cię zjeść. Moja serdeczna koleżanka Teresa postanawia cię zakablować, a na koniec Julia demaskuje ładną brunetkę jako Annę, twoją byłą. To chyba trochę za dużo jak na trzy dni. Nie uważasz?

Wyczuła przerażenie po drugiej stronie słuchawki. Widziała już oczami wyobraźni, jak Marcin blednie i truchleje, zaczyna mu drgać warga, serce bije jak oszałałe. Na jego jasnych spodniach wykwita wielka plama tchórzowskich sików.

– Wpuść mnie, to wszystko ci wytłumaczę...

– Spieprzaj.

– Dokąd mam spieprzać?

– Nie wiem, na drzewo – wycedziła. – Julia proponuje klatkę schodową. W razie czego czeka walizka. Pogadaj ze swoim paluchem, wymyślcie razem jakieś zajebiście wiarygodne wytłumaczenie. Nara.

Rozłączyła się, zadowolona z precyzyjnie wykonanej egzekucji. Drzwi łazienki uchylły się i w prześwicie ukazała się twarz Julii. Teściowa patrzyła na Martę z nieskrywanym podziwem.

– Ojej – powiedziała cicho. – To było... To było naprawdę w wielkim stylu. Założę się, że za pół godziny zadzwoni i będzie się kajał. No, może za godzinę. Dobra robota, Martuniu.

Te słowa nie pachniały może masłem orzechowym, ale Marta i tak poczuła się znacznie lepiej. Spojrzała na Julię z wdzięcznością. Dołała do wanny ciepłej wody i zanurzyła się razem z głową.

No i się doigrał – a wcześniej myślał, że tamto kłamstwo przejdzie niezauważone. Trzeba mieć naprawdę sporo pecha, żeby zostać przyłapanym na niewinnej kolacji na drugim końcu miasta. Teraz Marta pokazała pazur. Nigdy wcześniej nie było żadnych walizek ani zamykania drzwi przed nosem. Julia... No tak, wszystko jasne. Zrobiły to we dwie.

Dla kogoś obcego to mogło tak wyglądać, tam w restauracji. Anka ścisnęła na chwilę jego dłoń. Stara pasja do *Osiem i pół*. „To cholerny Fellini tak rozmarzył Ankę, nie ja. – Marcin zgrzytnął zębami. – Dzięki, Federico!” Pieprzony pech

sprawił, że napatoczyła się jakaś... Teresa. Nie widział tam żadnej Teresy. Bo przez większość czasu wpatrzony był w Ankę jak w obrazek.

Nagle poczuł, że został strasznie niesprawiedliwie potraktowany. Miał ochotę zadzwonić znowu i wysyczeć do telefonu: „Tak, kurwa, spotkałem się z Anką. Miałem na jej widok ciary i przypomniałem sobie dawne czasy. A teraz zastanów się, kobieto, dlaczego miałem te ciary i dlaczego sobie przypomniałem...”.

Darował sobie. Znalazł w kieszeni marynarki wymiętoloną chusteczkę i wydmuchał nos. Po chwili dostrzegł światełko w tunelu. Chcą go ukarać? Okej! Jeśli śledztwo z Rulewskim naprawdę ruszy, w ogóle nie będzie musiał wracać do domu. Zrobi Marcie i Julii na złość, jutro też nie wróci. Przez tych kilka dni swobody nie będzie musiał się tłumaczyć, gdzie jest ani co porabia.

Podniósł ze schodów komórkę. Wybrał numer Andrzeja Rulewskiego.

– No co tam, partnerze? – usłyszał po chwili.

– Mam awaryjną sytuację w domu – oznajmił, starając się trzymać fason. – Żona mnie wyrzuciła. Nie mam gdzie spać. Ale pomyślałem, że i tak przecież jutro zaczynamy, nie? Więc, no wiesz...

W słuchawce zaległa cisza. Marcinowi wydawało się, że trwa w nieskończoność.

– Nie no, człowieku, bez jaj – powiedział w końcu Rulewski. – Ja cię nie mogę przygarnąć. Nie pytaj czemu, po prostu nie.

– Okej – wykrztusił Marcin.

– Sorry, ale trochę za mało cię znam.

Rulewski się rozłączył. Marcin przez chwilę zerkał na listę ostatnich połączeń. W końcu wybrał numer Adlera.

– Dobry wieczór, panie Janie – powiedział, siląc się na spokój. – Przepraszam, że zawracam panu głowę. Mam awarię w domu. Czy wie pan może, gdzie mógłbym dziś przenocować?

**Środa,**

**11 października, godz. 8:57**





Marcin obudził się i próbował przebić wzrokiem czarny jak smoła mrok. W powietrzu czuć było świdrujący w nosie zapach staroci, naftaliny i kurzu. Oprócz tego zupełna cisza, a w mózgu pustka. Rwały go łopatki i kark, spięte na kamień. Czuł się, jakby wylądował w zalatującym stęchlizną magazynie starych ciuchów albo na zapleczu second handu.

Gdzieś tam w ciemności ktoś włożył klucz do zamka. To nie mogło być zbyt blisko, za cicho to brzmiało, wytłumione, jakby pomieszczenie wypełnione było tonami pluszu.

Światło. Najpierw błysnęło przez chwilę, zatrzeszczały startery fluorescencyjnych jarzeniówek i Marcin został oślepiony wrzynającą się w mózg białą poświatą. Skrzywił się i zakrył oczy.

– Halo, obudził się pan już? – wychrypiał męski głos. – My tu mamy robotę. Musisz się pan stąd ewakuować.

– Okej, okej.

Wciąż nic nie widział. Usłyszał za to pluskanie gumowych podeszew na linoleum.

– O, panie, widzę, że szef pozwolił spać na historycznej sofie. No, no, nie ma to tamto.

Marcin starał się przyzwyczać wzrok do białego światła i próbował się rozejrzeć. Wszędzie porozstawiane były stojaki z kostiumami owiniętymi w folię. Jego dzisiejszy nocleg okazał się niewielką zabytkową sofą.

– Ona historyczna nie jest, panie, w sensie tego, że z dziewiętnastego wieku – powiedział niski facet z wąsami, ubrany w wyświechtaną bluzę z polaru i poplamione džinsy. – Ale szef ma do niej sentyment. Grała z nim w jego debiucie. *Trzy siostry Czechowa*. A może to była *Mewa*? Nie pamiętam.

Gdzieś z tyłu głowy zaświtało Marcinowi, że zadzwonił wczoraj do Adlera po pomoc. Dalszy ciąg był jak senny majak. Nie pamiętał drogi na Pragę do teatru

Jupiter. Ktoś musiał zaprowadzić go do tego magazynu, a potem zgasić światło. Do sceny jak z sensacyjnego filmu brakowało mu tylko guza na czole i podbitego oka.

Facet wciąż gapił się wymownie i Marcin zrozumiał, że doba hotelowa właśnie się kończy.

– Cholernie twarda – mruknął. – Nie polecam.

Tamten tylko przewrócił oczami.

– Szef czeka na pana w garderobie.

– Szef? Nie wiedziałem, że Adler jest dyrektorem.

– Bo nie jest. Ale tak go nazywamy.

Kilka chwil później Marcin dreptał niepewnie ciemnymi wąskimi korytarzami na zapleczu teatru Jupiter. Kierunek do garderoby wskazała mu miła starsza pani z plikiem kartonowych teczek pod pachą. Cienki czarny materiał, którym wyłożone były ściany, zwisał miejscami i odsłaniał starą farbę olejną. Słabe żarówki tworzyły co parę metrów wysepki jasności pośród mroku. Marcin wędrował od żarówki do żarówki i patrzył.

Znalazł niewielki pokoik, ale to nie była garderoba Adlera. Przy metalowej szafie z migającym sprzętem elektronicznym siedział jakiś facet i manipulował suwakami na konsolce. Za jego głową można było dojrzeć przez szybę scenę teatru. Oświetlona pojedynczym punktowym światłem, zdawała się czekać na swojego aktora.

Marcin poczuł w kieszeni wygniecionej marynarki wibrację telefonu, a zaraz potem usłyszał dzwonek. Dźwiękowiec zerknął na niego przez ramię ze zmarszczonymi brwiami. „To Marta” – Marcin zacisnął zęby. Przez moment kusiło go, żeby odrzucić połączenie.

– Jezu, nareszcie... – Usłyszał jej sapnięcie. – Czyś ty oszalał do reszty? Dlaczego cię nie było na klatce? Chciałyśmy z Julią dzwonić na policję. Dobrze chociaż, że wysłałeś tego SMS-a, bo chyba bym nie zmrużyła oka.

Nie pamiętał, żeby wysyłał jej SMS-a. Ale w ogóle niewiele pamiętał.

– Co napisałem? – spytał z głupia frant.

– Że nocujesz w teatrze u jakiegoś Oglera i żeby dać ci spokój.

– Adlera – mruknął. – U aktora.

– To ten facet od spotkania w sobotę?

– Tak.

Pomyślał, że tłumaczenie jej wszystkiego zajmie mu tyle, że Adler na pewno znudzi się czekaniem w garderobie.

– Wymyśliłeś coś na swoje usprawiedliwienie? – podjęła po chwili Marta. – Tylko żeby to miało ręce i nogi.

– To była Anka. A spotkanie dotyczyło...

– Więc jednak Julia ma dobrą pamięć do twarzy. To ta twoja eks, tak? Cudownie, Marcin. I jak było?

– Pysznie – wypalił, wkurzony za to, że mu przerwała. Miał wrażenie, że zdobył punkt i zbił Martę z tropu. Co teraz? Piłka w grze, as serwisowy? – Będzie mi potrzebna tamta walizka, albo może lepiej plecak. Skoro Julia tak wspaniale się przekwalifikowała z księgowej na pielęgniarkę, to... Najlepsze przyjaciółki, kurwa. Zresztą nieważne. Poszwendam się po mieście. Zahaczę o parę melin. Muszę spotkać się z kilkoma starymi znajomymi, nie moimi co prawda. Może nawet prześpię się na zawszonej wersalce. Ale do tego potrzebuję trochę ciuchów. Szczoteczkę do zębów. Jak coś ci przyjdzie jeszcze do głowy, to dorzuć.

„Miłej środy, Marta”. Facet z reżyserki pokręcił głową z niesmakiem, wstał od konsoly i szybkim ruchem przymknął drzwi.

– Przestań pieprzyć – odparła Marta spokojnie. – Jesteś w pracy?

Zdębiał. Tyle gadania, a ona wyprowadziła cios jednym prostym pytaniem. Zdał sobie sprawę, że nie wie, która jest godzina. I że wciąż jest urzędnikiem ministerstwa, na pełnym etacie.

– Nie, nie jestem.

– To gdzie?

– Już mówiłem. W teatrze.

W słuchawce zapadła cisza.

– To w końcu wracasz dzisiaj do domu czy nie? – spytała wreszcie Marta tonem, jakby dotyczyło to listy zakupów w osiedlowym warzywniaku.

– Jeszcze nie wiem.

– A kiedy będziesz wiedział? Jak pogadasz z eks?

– Nie, Marta. – Miał już szczerze dość tej rozmowy. – Pogadamy później, okej?

Zadzwoił do pracy i poprosił o urlop na żądanie. Zawadzki spytał tylko, czy w rodzinie wszyscy zdrowi, nie miał czasu na pogaduszki. Może jego kolega Adler zdążył go już powiadomić z ironicznym uśmiechem, że półprzytomny podwładny Lemura leży zamknięty w śmierdzącym naftaliną magazynie?

Garderoba Jana Adlera okazała się pomieszczeniem w starym teatralnym stylu. Kilka lusterek z żarówkami na ramach. Krzesła i półeczki z przyrządami do makijażu. Brakowało tylko rozrzuconych wokół kolorowych boa, żeby Marcin poczuł się jak u Hanki Ordonówny.

Adler siedział przy oświetlonym lustrze, czytał jakiś wydruk, co chwila podnosił wzrok i przymykał oczy. Miał na sobie ciemną marynarkę z jasną poszetką w czarne kropki, idealnie włożoną do kieszonki. Marcin zauważył w lustrze, że oczy aktora pod okularami mają niezdrowy wyraz, jakby to on spędził noc na twardej sofie z Czechowa.

– Dobrze, że pan jest. – Adler spojrzał na Marcina znad okularów. – Już kończę. Chciałem przypomnieć sobie własne myśli. Żeby mi potem nie uciekły.

– Dziękuję panu za pomoc. Prawdę mówiąc, wyciągnął mnie pan z niezłych tarapatów.

Adler chciał chyba przybrać swój standardowy ironiczny wyraz twarzy, ale wyszedł mu tylko dziwny grymas. Sapnął cicho i pomasażował okolice serca.

– Udało się panu wydobyć scenariusz od Dariusza Sosnowskiego? – spytał po chwili zbolalym głosem.

– Nie miał go, spalił.

– Jak to spalił? – Aktor uniósł brew. – Po co?

„Żeby matka się nie dowiedziała” – pomyślał Marcin, ale nie chciał wnikać.

– Nie pytałem – odpowiedział. – Ale nie ma tego złego. Mam scenariusz, chociaż trochę mnie kosztowało jego zdobycie.

Spodziewał się, że Adler przynajmniej się uśmiechnie, ale ten znów zaczął studiować swoją twarz w lustrze.

– To co? – spytał niedbale. – Kiedy się pan nim zajmie?

– Nie wiem, czy jestem gotowy wskoczyć w to tak od razu. – Marcin badawczo zerknął w lustro. Kwestia tego, kto przysłał do niego Rulewskiego, wciąż pozostawała nierozwiązana, ale wołał, żeby aktor sam się do tego przyznał. – Chciałbym trochę pogrzebać w przeszłości Artura.

Adler odłożył plik kartek na półkę.

– Nie lepiej użyć wyobraźni? – spytał. – Minęło osiem lat, czego chce się pan dowiedzieć? Chodzi o klimat, a nie o detale. Film to nie rzeczywistość.

– Może mam za słabą wyobraźnię – odparł Marcin, przyglądając się swoim paznokciom. – Potrzebuję więcej. Właśnie tych detali. Muszę dowiedzieć się więcej o dziewczynie.

– Której dziewczynie?

– Tej ze sceny w burdelu. Pamięta pan?

– Chodzi panu o tę scenę w podejrzanym lokalu, kiedy Artur darował schadzkę nieszczęśliwej kurewce?

Marcin skrzywił się mimowolnie. Zniesmaczyło go to słowo. Nieszczęśliwa – tak. Może chora. Ale kurewka?

– Przyznaję, ta scena ma coś w sobie – ciągnął aktor. – Może za dużo opisu, za mało pola dla wyobraźni. Ma pan jakieś pomysły, co się stało dalej?

– Żadnego – mruknął Marcin. – Dlatego chcę się dowiedzieć. Może nie sam. Myślałem o tym, żeby zrobić to z kimś doświadczonym.

– Czyli z kim?

– Nie wiem, z jakimś dziennikarzem na przykład. – Zerknął badawczo na Adlera, ale nie zdołał niczego wyczytać z jego twarzy.

– Jaki pismak traciłby czas na pałętanie się z panem po mieście? – spytał aktor z lekkim rozdrażnieniem. – Może, nie daj Bóg, z brukowca? Znalazł pan już takiego sępa do pomocy czy dopiero pan nad tym myśli?

– Dopiero myślę.

– Nie zniechęcam pana, żeby pan pochodził trochę i popytał. To się zawsze przydaje, takie wyczucie atmosfery, wejście samemu w klimat. Tylko proszę za bardzo nie zajmować sobie tym głowy. Życie to nie scenariusz.

Marcin nie przerywał.

– Ma pan w ręku załączek historii – ciągnął aktor. – Jest motyw z pistoletem, który może pan poprowadzić w dowolnym kierunku. I tę dziewczynę. Jeśli brakuje panu inspiracji, proszę sięgnąć do klasyki. Chłopak, dziewczyna. I jeszcze jeden chłopak.

– To znaczy?

– Artur, dziewczyna z dziwnymi oczami i ten, który przystawił Arturowi pistolet do głowy – wyjaśnił Adler z miną, jakby rozmawiał z niedorozwiniętym. – Ma pan już trio. Co się zadziało między tym trio, to już powinna uzupełnić pańska wyobraźnia. A jeśli jest uboga – dodał, nie siląc się na grzeczność – to są jeszcze dzieła, które warto sobie odświeżyć. Zaraz będziemy czytać *Otella*. Kto napisał *Otella*, panie Marcinie?

– Szekspir – odpowiedział bezwiednie Marcin. Wskazówka Adlera nie miała sensu, bo chronologicznie najpierw koleś przystawił Arturowi pistolet do głowy, a dopiero potem Artur spotkał prostytutkę. – William – dodał po chwili.

– Brawo, widzę, że studia na kulturoznawstwie do czegoś się przydały. Niech pan spojrzy na to z najprostszej perspektywy: dama zamknięta w wieży, brutal i rycerz. Konflikt jest nieunikniony. Brutal jest zazdrosny jak Otello. Rycerz ma prosty cel. A dama cierpi w potrzebie. Chyba już panu wystarczy.

Marcin drgnął, jakby wybudził się z letargu.

– Tak, wystarczy – powiedział cicho. – Brutal i dama.

– Zależy mi na tym, panie Marcinie, żeby pan szybko napisał ten scenariusz i żeby Polska dowiedziała się o tej historii. A jak pan rozegra w głowie tę partię szachów, to już pańska sprawa.

„Dobrze, że nie postawił akcentu na TEJ historii, jak ojciec Artura – pomyślał. – Ciekawe, czy oni się znają. Utrzymują kontakt? W końcu przez wiele lat mieszkali na tym samym osiedlu, tylko dwie przecznice od siebie”.

Adler wstał. Wyglądał, jakby na nowo odżył. Z podstarzałego mężczyzny w niezbyt dobrej formie przeistaczał się w aktora, który za chwilę wyjdzie na scenę. Poprawił marynarkę, zaczesał dłonią przyprószone siwizną włosy i obejrzał w lustrze rząd równych białych zębów.

– Chodźmy, panie Marcinie, młodzież czeka – rzucił w powietrze i nie czekając na Marcina, ruszył ku drzwiom.

Niewielkie audytorium po brzegi wypełnione było młodzieżą w wieku późnego liceum. Adler przez dziesięć minut opowiadał młodym ludziom o tym, kim według niego jest aktor i co go fascynowało w tym zawodzie, kiedy miał tyle lat co oni: kreacja, oderwanie się na chwilę od szarej rzeczywistości, iskra boża. I dlatego namówił dyrekcję teatru Jupiter (czyli własną żonę) do wystawiania współczesnych dramatów.

– Sztuki pisane dzisiaj mówią więcej o naszych czasach. To mnie właśnie fascynuje, że istnieje nowa kultura, która opisuje nową rzeczywistość. Nie wszystko wokół nas da się wytłumaczyć dziełami klasyków – tłumaczył z czarującym uśmiechem.

„A mi kazał pan czytać *Otella*” – pomyślał Marcin zgryźliwie, siedząc w trzecim rzędzie. Odwrócił się ukradkiem i rozejrzał po audytorium. Młodzież słuchała Adlera z uprzejmym zainteresowaniem. Tylko dwie dziewczyny, wychylone do przodu na siedzeniach, wprost spijały mu słowa z ust. „Zorganizowana wycieczka” – ocenił Marcin. Kilka spiętych nauczycielek z pierwszego rzędu wyglądało tak, jakby bały się, żeby nikt nie narobił szkole wstydu na spotkaniu z artystą.

Aktor przywołał do siebie gestem dwóch młodych mężczyzn z pierwszego rzędu. Wstali i weszli na scenę. Marcin nie mógł uwierzyć własnym oczom – jeden z nich był podobny do Artura, z ciemnymi falującymi włosami i dwudniowym zarostem. Drugi był niższy, rozczochrany, w okularach.

– Zapraszam teraz do siebie moich studentów – powiedział Adler z uśmiechem. – Przedstawię wam krótką scenkę z *Otella* Williama Szekspira. Chciałbym, żebyście ich obserwowali. Potem zapytam was o wrażenia. – Adler wskazał na chłopaka podobnego do Artura. – Paweł Dąbrowa będzie Otellem, natomiast Tomasz to Jago. Tomasz będzie czytał z kartki, a Paweł nauczył się tekstu i przećwiczył go.

Zaczęli odgrywać scenki. Marcin nie mógł oderwać wzroku od Pawła, Otella. Miał w sobie coś z młodej gwiazdy rocka, trochę jak wczesny Jim Morrison. Tomasz – Jago – czytał i nie wchodził w rolę, nie wczuwał się. Raczej recytował. Za to Otello... Miało się wrażenie, że właśnie wyszedł z bitwy i wręcz ocieka potem.

– O ile znam go... – Jago zerknął do kartki.

– Jaka myśl jest twoja? – przerwał mu cicho Otello.

– Moja myśl, wodzu?

– Moja myśl, wodzu? – Otello z ironią wyjął wargi. – Czemuż mnie powtarzasz, jak gdyby potwór jaki był w twojej myśli? – zawiesił głos. – Zbyt szpetny, aby na światło go wywieść.

– Ty wiesz, że cię kocham – przeczytał Jago, a część sali parsknęła śmiechem.

Marcin zauważył kątem oka, że z Adlerem, stojącym z boku sceny, dzieje się coś dziwnego. Najpierw z jego twarzy zniknął uśmiech. Pogniewał się na niesforną widownię? Nie, to było coś więcej.

– Wierzę, że kochasz. – Otello objął Jagona po bratersku. – A wiedząc zarazem, żeś uczciwości i przyjaźni pełny, że ważysz słowa, nim je z piersi wypchniesz, twoje przesłanki tym bardziej mnie trwożą.

Marcin popatrywał to na Otella, to na Adlera. Na twarzy aktora wykwił bolesny grymas. Otello też coś zauważył, spojrzał w tamtą stronę i przez chwilę zastanawiał się, co ma robić. Adler ledwo widocznym gestem kazał mu kontynuować, ale był coraz bledszy.

– Bo te oznaki w przeniewierczym łotrze... – zaczął Otello, ale wypadł już z roli. Pojawił się Paweł, student. Z troską na twarzy podszedł bliżej Adlera. Ten miał przymknięte oczy, ale gestem znów ponaglił Pawła. – Bo te oznaki w przeniewierczym łotrze zwykłą są sztuką. W człeku sprawiedliwym są one skargą mimowolną serca... – Paweł urwał na chwilę, widząc, że Adler się chwije – ...które wzruszenia utaić nie może.

Adler pochylił się i chwycił za klatkę piersiową. Zrobił dwa niepewne kroki w przód. Sala zamarła. Mężczyzna powoli osunął się na deski, jakby jakaś niewidzialna siła ścięła go z nóg. Marcin patrzył sparaliżowany, jak Paweł Dąbrowa podbiega i klęka przy zwiotczającym ciele.

– Panie profesorze, panie profesorze... – Paweł potrząsał leżącym na podłodze aktorem.

Adler nie odpowiadał. Leżał nieruchomo na boku z otwartymi ustami.

– Szybko, ludzie! – krzyknął Dąbrowa w kierunku widowni. – Dzwońcie po pogotowie!

Po widowni poniosły się pomruk zdezorientowanych licealistów i westchnienia przestraszonych nauczycielek. W niektórych rękach pojawiły się



smartfony, aparaty wymierzone w scenę. Błysnęły flesze i Marcinowi przeszło przez myśl, że na Facebooka lecą właśnie posty typu: „OMG, szok, śmierć w teatrze!!!”. Dąbrowa klęczał przy Adlerze i przymierzał się do reanimacji, ale aktor po chwili otworzył oczy i słabym gestem go powstrzymał.

– Nie trzeba, Pawełku – wyszeptał. – Straciłem tylko na chwilę przytomność.

Zza kulis przybiegli pracownicy techniczni. Marcin rozpoznał wśród nich faceta, który obudził go w magazynie z kostiumami. Wspólnymi siłami pomogli Adlerowi usiąść na pospiesznie wniesionym na scenę krześle. Aktor wciąż był blady jak kreda, na skroniach szklili mu się perlisty pot. Próbował cichym głosem uspokajać spanikowanych ludzi.

– Panie Janku, czy wszystko już w porządku? – spytała miła starsza pani, która wcześniej wskazała Marcinowi drogę do garderoby.

– Tak, pani Zosiu, czuję się już lepiej. – Adler dotknął serca.

Po dwudziestu minutach na salę weszli dwaj sanitariusze z noszami i lekarka. Mimo protestów aktora położyli go na noszach i przenieśli do garderoby. Marcin ruszył za nimi przez ciemne korytarze, zawahał się, ale podszedł do drzwi. Zobaczył w środku Adlera, siedzącego na krześle przy lustrze, rozebranego do pasa. Niska lekarka, kobieta koło pięćdziesiątki o surowym wzroku kogoś, kto w życiu widział niemal wszystko, badała jego puls, a potem wyjęła stetoskop. Z twarzy zmarnowanego Adlera opadła maska dobrotliwego wujka i ironisty.

– O, jest pan. – Podniósł wzrok. – Tak się kończy życie na emocjach, panie Marcinie. Tych prawdziwych i tych wymyślonych – dodał ze smutnym uśmiechem.

Marcin nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył tylko, jak lekarka nasłuchuje stetoskopem, co dzieje się z sercem Adlera.

– Niech pan podejdzie tam. – Aktor wskazał na wieszak stojący w głębi garderoby. – W marynarce jest mój portfel i klucze.

Marcin pokiwał głową i podszedł do wieszaka. Wyjął klucze, poszukał trochę dłużej portfela, znalazł go w wewnętrznej kieszeni.

– Niech pacjent przestanie ględzić, tylko weźmie głęboki oddech. – Lekarka zazgrzytała zębami.

– Ależ oczywiście. – Adler spojrział wilkiem.

– Nosze odnieś – zwróciła się kobieta do jednego z sanitariuszy. – Wózek panu podprowadź. Proszę. Dziękuję.

Marcin uśmiechnął się pod nosem. Nie miał do tej pory styczności z pogotowiem. Lekarka przesuwiała głowicę stetoskopu po plecach aktora. Światło z żarówek okalających lustro padało tak, że Marcin widział tylko ciemny zarys sylwetki mężczyzny, bez szczegółów. Podeszedł bliżej.

– A ta blizna to skąd się wzięła? – spytała kobieta. – Niecodzienna, niecodzienna.

– Która?

– Ta tutaj. – Lekarka stuknęła głowicą stetoskopu. – Operacja nerki?

Marcin wciąż nic nie widział pod światło. Odsunął się na dwa kroki i dojrzał na plecach Adlera dużą grubą bliznę. Sięgała od lewego pośladka aż do kręgosłupa dziesięć centymetrów wyżej. Wyglądała jak przyklejona do pleców chropowata gąsienica.

– A czemu pani taka ciekawa? Tam serca nie ma. – Adler spojrział z ukosa.

– A tak tylko pytam. Z ciekawości właśnie – odparła lekarka i odłożyła stetoskop.

– Miałem wypadek, dawno temu. – Adler nie krył rozdrażnienia. – Przewróciłem się na nartach. W Austrii, jeśli to panią interesuje. W roku dziewięćdziesiątym ósmym. A może to był dziewięćdziesiąty dziewiąty?

Kobieta pokręciła głową nieprzekonana.

– Tak czy siak, jedzie pan na obserwację.

– Przecież już mnie pani zaobserwowała.

– I na moje przydałoby się EKG spoczynkowe i kilka markerów.

– Wiedziałem, że tak to się skończy. – Adler odwrócił się i wziął z oparcia koszulę. – Panie Marcinie, mam do pana prośbę.

– Tak?

– Te klucze i portfel, co pan trzyma w dłoni... Wie pan, jak to jest w szpitalach. Wezmę dowód, a pan niech odda mi przysługę i podjedzie dziś najpóźniej na dziewiętnastą do mojego domu. Podam panu adres.

– Nie wiem, czy dam radę – zawahał się Marcin.

– Przecież i tak nie ma pan gdzie spać. Pogodził się już pan z żoną? Moja wyjechała, mówiłem panu. Dziećmi zajmuje się niania, ale o siódmej, najpóźniej o ósmej musi wyjść. Jutro wróce? – spytał lekarzę, która przysłuchiwała się temu z założonymi rękami.

– Może jutro, może pojutrze, zależy.

– Okej. Jeśli pan chce, panie Marcinie, to może pan u mnie nocować do tego czasu.

– Dziękuję.

Marcin schował portfel i klucze do teczki. Chwilę potem obserwował, jak wciąż skołowany Adler wyjeżdża z garderoby na wózku pchanym przez rośłego sanitariusza.

– Cóż to będzie za widowisko! – rzucił aktor Marcinowi na pożegnanie.

Rozgorączkowany korowód z Adlerem i sanitariuszami na czele zaczął powoli sunąć do wyjścia z teatru Jupiter. Marcin został w ciemnym korytarzu i zastanawiał się nad dalszymi krokami. Postanowił na wszelki wypadek nie wracać do Śródmieścia, tylko ruszyć na daleki Targówek i poszukać któregoś z koleżków Artura, boiskowych zawadiaków.

Znalazł w komórce Weronikę Sosnowską. Szorstką dziewczynę, która stanęła po jego stronie podczas ciężkiej przeprawy z ojcem Artura. Zadzwoił. Ucieszyła się, miała w głosie coś, co Marcin uznał za ekscytację.

– Dobrze wieści. Mój smutny tatko nie mówi „nie”.

Dziwne. Wyglądał wtedy na zdecydowanego, żeby nigdy więcej nie zobaczyć Marcina na oczy.

– Powiedział tylko, że chce przeczytać scenariusz. Jak już go napiszesz. I żebyś zakonspirował tam Artura. Żeby rodzona matka go nie poznała. – Zaśmiała się. – Wtedy, jak to powiedział, zastanowi się.

– Myślę, że to da się zrobić.

– Byłoby miło, jakbyś znalazł tam miejsce dla mnie. Nie, że tylko w napisach końcowych. Może jakaś fajna postać, jak w *Dungeons and Dragons*. Wiesz, łowca. Albo szpieg.

– *Dragons* co?

– Co ty, Marcin, nigdy nie grałeś w erpegi? To taka gra. Fabularna. Fantasy. Daj coś o mnie. Dla kontrastu z kumplami Artura.

Marcin uśmiechnął się pod nosem.

– Skoro już jesteśmy przy koleżkach Artura – zaczął. – Znasz któregoś? Bolka? Czarnego? Pablo? Mówią ci coś te ksywki?

– Ja chodziłam wtedy do gimnazjum. Jeśli ich znałam, to nie z ksywek. Masz jakieś wskazówki?

Pablo i Czarny niczym się nie wyróżniali. Zaczepiali się, droczyli, przerzucali obelgami i jarali dżointy. Bolek opowiadał dziwne historie ze sobą w roli głównej. Chyba był dilerem, osiedlowy kozak. To raczej nie były klimaty młodszej siostry Artura.

– Pamiętasz, Weronika, w tych scenach z boiska przewijał się taki cichy chłopak, Benny. Mało co się odzywał, prawie wcale. Reszta koleś miała z niego polewkę. Benny to, Benny tamto. Traktowali go jak boiskową maskotkę.

– No i?

– Bolek mówił, że ten Benny hoduje króliki. Że woli króliki od dziewczyn. Samotny facet, bez dziewczyny, z hodowlą futrzaków. Miałby teraz jakieś dwadzieścia osiem lat, no może trzydzieści, w sumie to nie wiem.

Marcin przysłuchiwał się ciszy w słuchawce.

– Króliki, powiadasz? – Weronika zaśmiała się cicho. – Chyba wiem, o kogo chodzi.

Andrzej spojrział na zegarek. Była dziesiąta czterdzieści. W redakcji od rana latały w powietrzu zduszone przekleństwa, ludziom puszczały nerwy. Padł jakiś serwer. Komputery wywaliło z sieci, nie dało się drukować, nie dało się sprawdzić poczty. Garbarek stał nad informatykami jak kat przed egzekucją. Andrzejowi było to nawet na rękę. Przymknął drzwi do swojego miniakwarium. Miał okazję spokojnie zastanowić się, co zrobić z tym beznadziejnym śledztwem, które spokojnie mógłby sobie darować.

Igor i Artur. Mieszkali niedaleko siebie. Oddzielał ich tylko wąski pas sosnowego lasu. W sumie małe terytorium. Andrzej uczeplił się myśli, że obaj co rano i co wieczór słyszeli drażniące dzwonki z kościelnej wieży. Tak jak on. Pieprzony Bajkonur, trzy, dwa, jeden, *ignition*...

Obaj pewnie jarali dżointy, ale to żaden trop. Tam wszyscy jarali, jak zresztą w całej Warszawie. Całe życie spędzali pod klatką, na jakichś nieczynnych boiskach, na domówkach. Gandzia, piwo, permanentna gadanina, kto, z kim, kiedy i dlaczego. Któryś z koleś Artura mógł coś słyszeć o śmierci Igora. A może ktoś ze starego osiedla Andrzeja słyszał coś o zadymie w fast foodzie?

Andrzej odchylił się na krześle. Mimo że drzwi były przymknięte, nie mógł się skupić. Kryzys na zewnątrz narastał. Ludzie szukali kozła ofiarnego. Nie

mógł to być kabelek, musiał być człowiek. Padł komputer, więc zawinił informatyk.

Jak się nazywał ten chłopak, który dzwonił do Andrzeja osiem czy dziewięć lat temu? Opowiadał różne ciekawostki o tamtej okolicy. Miał nietypowe imię, takie religijne, jak jeden z tych aniołów, które Andrzej oglądał w dzieciństwie na obrazkach u babci. Gadał zawsze z niezdrową ekscytacją. Nakręcał się, rzucał do słuchawki mnóstwo nieistotnych szczegółów. Andrzej spotkał się z nim kilka razy, ale nie miał siły dłużej słuchać o tym, kto się z kim przespał, a kto kogo jebnął z bańki. Albo o zadymach po meczach Legii. Andrzeja interesowała wtedy patologia, a najlepiej patologia mistyczna. Coś do tych artykułów na stronę szóstą. Opętany dom, w którym demon przestawił w nocy patelnię na głowę staruszki. Pielgrzymki do Matki Boskiej, która ukazała się na szybie albo w kałuży benzyny. Żona zabiła męża, bo robił sobie warkocze z włosów na klacie. To były tematy.

Odjechał krzesłem od biurka. Otworzył drzwi i przez chwilę szukał wzrokiem kogoś wśród rozgorączkowanych dziennikarzy.

– Rafalski, podejdiesz? – zawołał.

Rafał, młodszy od Andrzeja o kilka lat, oderwał się od rozmowy.

– Coś pilnego, Andrzeju? – Uniósł brwi.

– Takie tam, zebrało mi się na wspomnienia. Chodź na fajka.

Zjechali do palarni. Andrzej rozejrzał się, czy nie ma akurat tej fotoedytorki z przetłuszczonymi włosami, która przyłapała go dwa dni temu w chwili słabości. Nie było. Poczęstował Rafała swoim cienkim mentolem, ale tamten pokręcił głową i wyjął grube czerwone elementy.

– Pamiętasz może tego gostka, który dzwonił do mnie z różnymi niusami z mojej starej dzielnicy? – Andrzej zaciągnął się papierosem. – Potem, jak skończyłem z obyczajówką, to go chyba przejąłeś.

– Chodzi ci o Banana czy o Elvisa?

Andrzej się zastanowił. Żadna z tych ksywek nic mu nie mówiła.

– To był taki napalony koleżka, który za każdym razem przez dobre pół godziny napierdalał mi do słuchawki o wszystkim, co usłyszał. Miałem trudność, żeby wyłuskać z tego jakikolwiek materiał.

Rafał wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To Elvis. Pieprzony, potrafił opowiedzieć ze szczegółami, kto co jadł miesiąc wcześniej. Był jak jakiś zasrany konfident gestapo.

Andrzej pokręcił głową. Nigdy nie pomyślał w ten sposób o swoim kontakcie. A już na pewno nie myślał o sobie jako o gestapo.

– A ten Elvis miał jakieś imię? – spytał.

– Tak się nazwał. Ale to już było wtedy, jak zająłeś się ryjami.

– Dalej dzwoni?

– Nie, przestał parę lat temu.

Andrzej zaciągnął się papierosem. „Osiem lat, kurwa. Wszystko może się totalnie zmienić przez osiem lat. A większość spraw zatrze się na zawsze w odmętach niepamięci”.

– A teraz z kim gadasz o tamtym osiedlu? – spytał. – Kto ci naraja patolskie tematy?

Rafał uśmiechnął się krzywo.

– No, panie Andrzeju. Przecież pan wie, że nie zdradzam swoich źródeł.

– To nie zdradzaj. Zadzwoń do źródelka i zapytaj, gdzie mogę znaleźć tego Elvisa.

– To akurat da się zrobić.

Rafał wyjął telefon i odszedł na kilkanaście metrów. Andrzej dopalił papierosa i przejechał dłonią po czole. „Co my dzisiaj mamy? – pomyślał. – Środa, jedenasty. Dzień jak co dzień. Dobry moment, żeby odświeżyć sobie stare niedobre czasy”.

– Sorry, Andrzej. – Usłyszał za plecami. – Elvis urwał się ludziom z radarów.

– Ale co? Nic nie masz?

– Mam telefon do kogoś, kto może coś wiedzieć. Zadzwoń?

– Nie, dzięki. Sam zadzwonię.

Benny okazał się jowialnym trzydziestolatkiem o okrągłej rumianej twarzy. Tak naprawdę nazywał się Kuba. Marcinowi skojarzył się przez to z Kubusiem Puchatkiem. Miał w sobie coś z hobbita z filmu, amatora leniwego życia na pastwiskach Shire, z pulchnymi policzkami i jasnymi włosami opadającymi za uszy. Dom Benny'ego stał pod samym lasem, z dala od betonowych klocków,

bliźniaków i willi. Drewniana chałupa na podmurówce, nawet nie zaniedbana, wręcz przeciwnie – ściany domu lśniły świeżym lakierem. Taki skansen na uboczu. Miła odmiana.

Kiedy Marcin znalazł dom Benny'ego, ten akurat zamiatał podwórko i nalewał ze studni głębinowej wodę do plastikowego wiadra. Marcin przedstawił się i powiedział, że jest kolegą Artura z liceum. Benny nie wyglądał na zainteresowanego. Marcin miał wrażenie, że koleś traktuje go jak intruza.

– Pamiętasz może, że Artur pisał scenariusz? – spytał Marcin niepewnie.

– Ja tylko hoduję króliki. – Benny przekrzywił głowę. – Pokazać ci?

Weszli do przestronnego budynku gospodarczego stojącego za chałupą. Z czystych klatek wyłożonych świeżym sianem popatrywały na nich ciekawskie ciemnobrązowe oczęta niemal bez źrenic. Marcin przystanął przy klatce, w której baraszkowały cztery białe króliki, puchate jak zabawki. Gdy jeden z nich spojrzął w górę, Marcina przeszedł dreszcz. Niebieskie jak chabry ślepie wyglądały prawie jak ludzkie oczy.

– Te słodziaki tutaj to bevereny. – Benny schylił się i otworzył drzwiczki, a króliki same podbiegły do jego dłoni. – W sumie pospolita rasa, ale te z niebieskimi oczami są rzadsze.

– Niesamowite. – Marcin przyglądał się z zaciekawionym, jak Benny głaszcze śnieżnobiałe futerko, a królik łasi się zupełnie jak kot. – Hodujesz je na sprzedaż czy dla przyjemności?

– Nie wyrobiłbym, gdyby były tylko dla przyjemności. Sprzedają je w necie. Zazwyczaj zadaję kupcom parę podchwytliwych pytań. Nie chcę, żeby stała im się krzywda.

Marcin pokiwał głową.

– Możemy pogadać o Arturze? – spytał.

Benny zbył pytanie milczeniem i odłożył zwierzę do klatki. Wskazał na inną. Siedziały w niej duże, popielato-rude króliki podobne do zajęcy.

– A to olbrzymy belgijskie. Sporo żrą.

„Kurczę – pomyślał Marcin. – Chyba nie zamierza mi dzisiaj opowiadać tylko o królikach?”

– Co chcesz wiedzieć? – Benny spojrzął na Marcina badawczo.



– Wszystko.

– Wszystko? – parsknął Benny. – Co ty, człowieku, książkę będziesz o nim pisać?

Marcin odszedł na dwa kroki i wpatrzył się w kolejną klatkę. O królikach wiedział tyle, że jedna z ras nazywa się baran angielski i waży prawie siedem kilo. Monstrum z tej klatki mogło ważyć nawet i dziesięć.

– Artur przesiadywał z wami na boisku – zaczął. – Bolek, Pablo, Czarny, Benny. To prawdziwe ksywki? Ty byłeś Benny?

– Prawdziwe. A mówiłem mu, żeby wszystko pozmieniał.

– Może by i pozmieniał. Ale nie zdążył.

– Okej. – Benny wzruszył ramionami.

Monstrualny kłapouch zastrzygł nagle uszami. Marcin się wzdrygnął.

– Nie pytam o ciebie. Jak nie chcesz, to nie mów. Ale czy Artur wspominał ci o jakichś dziewczynach, w których się kochał? Na przykład o takiej z dziwnymi oczami?

– Nigdy nie słyszałem. – Benny się skrzywił. – Wiem tylko, że te z osiedla traktował jak koleżanki. Większość zlewał. Raz tylko mi mówił, że buja się w nim taka laska z baru. Ta, co jej bronił, jak mu tamten pojeb przystawił gnata.

Marcin przypomniał sobie scenę z zadymą w fast foodzie. Swoim kolegom Artur nie zmienił w scenariuszu ksywek, więc może tej dziewczynie też nie.

– To była Ola? – spytał.

– Nie pamiętam.

– A ten fast food? To ten przy stacji benzynowej?

– Strasznie dużo pytasz. Ale tak, to ten sam. Chodziliśmy tam, żeby pobrechtać się trochę z Artura, jak zapieprza przy smażeniu frytek.

Marcin uśmiechnął się pod nosem. Takiej sceny oczywiście nie było w skrypcie.

– A ta awantura w barze? Artur mówił coś o gościu z pistoletem?

Benny odwrócił się i popatrzył z irytacją.

– To było osiem lat temu, człowieku. Weź trochę zluzuj.

Marcin zamilkł. Czuł, że powoli wyczerpuje limit cierpliwości tego faceta. Jak to robiła szefowa departamentu, gdy na spotkaniach pat wisiał w powietrzu? Przerwa, kawa i herbata. Po przerwie pat zmieniał się w kompromis.

– Okej, nie nalegam – powiedział miękko i wskazał na klatki. – Którego mógłbym kupić dla syna?

– Chcesz kupić królika? – ożywił się Benny.

– No jeszcze nie teraz. Syn dopiero w drodze. A ty masz? – zapytał i szybko pożałował. W scenariuszu Benny był zawsze milczącą dziewczycą.

– Dwie córki. Starsza za rok idzie do zerówki.

Marcin odetchnął z ulgą.

– Co do tego wieczoru... No, tego, co pytałeś – zaczął Benny niepewnie. – Pamiętam, że widziałem wtedy Artura z tą laską z baru. Siedzieli na przystanku pod lasem. Była noc. To znaczy późno, koło jedenastej chyba.

– Gadałeś z nimi?

– Nie. Stałem dalej, tak że nie było mnie widać. Gadali, chociaż trochę to wyglądało na zjębę z jej strony. Potem pogłaskała go po głowie i wsiadła do nocnego, a Artur został na ławce. Wtedy podszedłem...

Kuba, zwany Bennym Kuleczką, uwielbiał chodzić na Legię, ale nie cierpiał zadym. Czuł niezwykle jak na niego podniecenie, kiedy wchodził na Żyletę z Bolkiem, Pablem i Czarnym. Czasami dołączał do nich Artur. Benny odpalał race, rozwijał transparenty, krzyczał i głośno śpiewał. Kochał swój zespół. Kochał *Sen o Warszawie* Niemena. Ale kiedy chłopaki postanawiali kontynuować imprezę i rozpocząć serię konkursów z policją, Benny zegnał się szybkim „no to nara” i zniknął w mroku. Chłopaki nie mieli tego Benny’emu za złe. Tylko pałętalby się pod nogami.

Tamten wieczór przeszedł do historii. Czy na meczu był Widzew Łódź, czy Lech Poznań, tego Benny osiem lat później już nie pamiętał. Nie było miło. Psy nie patyczkowały się i rozwrzeszczane towarzyszo rozlało się po Warszawie. Benny jechał autobusem i po twarzach pasażerów widział, że musiało być grubo. Ktoś zadzwonił do niego i zapytał, gdzie jest, bo trzeba pomóc chłopakom na Starówce. Benny tylko skrzywił się i skłamał, że jest na

Siekierkach. No po prostu pieprzona bitwa. Jedni i drudzy – kibice i policja – ściągnęli posiłki, skąd tylko się dało.

W końcu po kilku przesiadkach Benny wysiadł jeden przystanek wcześniej i ruszył opłotkami do domu. Gdy miał już skręcić w zagajnik, zobaczył Artura i tę dziewczynę z fast foodu. Siedzieli na następnym przystanku. Artur wyglądał na zmarnowanego, jakby uleciała z niego cała energia. Dziewczyna z baru stała nad nim i coś mu tłumaczyła, chyba niezbyt miło.

Kiedy na zakręcie pojawił się autobus, dziewczyna pogłaskała Artura po głowie, a on spojrzał na nią oczami zbitego psa. Potem dziewczyna wsiadła do nocnego. Wtedy Benny zebrał się w sobie.

– Joł joł, człowieku – przywitał się, wychodząc z krzaków. – Co ci się stało? Wyglądasz, jakby cię czołg przejechał.

– Siema. Nie chcesz wiedzieć, Benny – odpowiedział Artur cicho.

– No właśnie, że chcę.

– Była taka jedna sytuacja w robocie. Ktoś mnie ostro przestraszył.

– No i...?

– No i zesrałem się w zbroję.

Benny parsknął. Zawsze rozwalaly go te cytaty ze *Świętego Graala*.

– A jak tam dzisiaj manewry taktyczne? – spytał Artur z błyskiem swojej zwykłej ironii w oku.

– Starówka upadła, Śródmieście wciąż się trzyma. – Benny uśmiechnął się, ukazując rząd białych zębów.

– Bolek w akcji?

– Pablo i Czarny też.

Benny odetchnął. Czuł, że powoli wyciąga kumpla z czarnej dziury. O szczegółach Artur pewnie zdąży mu jeszcze opowiedzieć.

– Pamiętaj o jutrze. – Klepnął Artura w ramię. – Półfinał Ligi Mistrzów. Wpadaj do mnie z bronksami.

– Ty jak zawsze za Barcą? – Artur wstał z ławki.

– No jasne, stary. Rozwalą Chelsea do zera.

Marcin patrzył ze zdumieniem, jak trzydziestoletni Kuba, zwany kiedyś Bennym, z półprzymkniętymi oczami odnajduje w pamięci kolejne szczegóły ze spotkania z Arturem na przystanku. „Ludzka pamięć jest niesamowita – pomyślał – jeśli tylko pozwolić płynąć wspomnieniom”. Amerykanie potrafili opisać zapachy, kolory i twarze ludzi stojących obok nich w dniu, w którym zginął Kennedy. Polacy z momentu, gdy Karol Wojtyła został papieżem. A Benny zapamiętał spotkanie z Arturem, bo w jego życiu zbiegło się to z wielką zadymą po meczu Legii i półfinałem Ligi Mistrzów.

Marcin chciał zapytać o coś jeszcze, może o Bolka, ale Benny nagle zrobił się oswiały i znów zdystansowany. Marcin stwierdził, że wystarczy na dziś. Pod pozorem zakupu królika dla Jurka wyciągnął od Benny'ego numer jego telefonu.

– Aha, i pozdrawia cię Weronika – dodał na koniec.

Benny nie wiedział, o kogo chodzi. „Ech, Artur, nie trafiłbym tu, gdyby nie twoja naburmuszona siostrzyczka” – pomyślał Marcin z rozbawieniem.

„Chyba osiwieję” – pomyślał Andrzej. Od czterdziestu minut był odsyłany od Annasza do Kajfasza. Jogi coś słyszał o Elvisie, ale widywał go tylko na domówkach, a i to sześć lat temu. Elvis jarał tam na potęgę i działał wszystkim na nerwy. Zbierał jakieś podpisy i tłumaczył, że to do kampanii wyborczej. Wszyscy się podpisywali, byle tylko koleś dał im spokój. Jogi dał Andrzejowi namiar do Lukasa. Lukas najpierw się zdenerwował, że ktoś w ogóle pyta go o Elvisa, a potem zrobił się natarczywy. Czy Andrzej jest z rodziny Elvisa? Bo Elvis pożyczył od niego jakieś gry i do tej pory nie oddał.

– Nie, nie jestem z rodziny – wycedził Andrzej przez zęby. – Też mu coś pożyczyłem.

– A co?

– Kasę. Dużo kasy. Na tę jego kampanię.

– O, stary. To żeś przejechał.

Andrzej pokiwał tylko głową. Dostał numer do Bajdasa. Bajdas miał teraz firmę i Andrzej musiał się ostro natłumaczyć, żeby sekretarka przełączyła rozmowę. Bajdas mówił znudzonym głosem i nie chciało mu się wracać do

przeszłości. Nie dał mu kolejnego numeru, ale pytał, czy Andrzej nie chce amerykańskiego odkurzacza ze szczotką z włosia andyjskiej lamy.

To wszystko nie miało sensu. I wtedy zadzwonił telefon.

– Szukasz Gabrysia? – zaskrzeczał w słuchawce jakiś facet.

– Gabrysia? – Andrzej nie zrozumiał.

– No, Elvisa. Wiem, gdzie mieszka.

„Gabryś! – Andrzej się uśmiechnął. – To on. Archanioł Gabryś, obejmujący swoją dzielnicę wszechwiedzącym arcyumysłem”.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie tak szybko, bracie. To info będzie cię kosztować trzy stówy.

Andrzej zaklął cicho pod nosem.

– Nie płacę trzech stów za niesprawdzone informacje.

– No to żegnam. – Facet zabrzmiał jak ropucha.

– Czekaj, czekaj. Spotkajmy się za godzinę pod Rotundą, okej? Podjedziemy razem do Gabrysia i wtedy ci zapłacę.

Przez chwilę facet milczał i Andrzej wychwycił w słuchawce jakieś dziwne odgłosy, piły tarczowej albo wiertarki.

– Nie da rady – odezwał się facet w końcu. – Mamy rozrobiony klej i zaraz kładziemy kafelki na klatce.

To był dobry moment, żeby lekko napomknąć o sprawie naczelstwu. Naciągnąć wicenaczelnego na błogosławieństwo, jeśli trzeba będzie pokręcić się parę dni po mieście i olać resztę spraw w redakcji. Andrzej wyszedł z palarni, wjechał na szóste piętro, minął puste akwarium Garbarka i poszedł prosto do serwerowni. Garbarek wciąż kręcił się nad informatykami, którzy bezradnie rozkładali ręce nad utraconą łącznością.

– I co? – spytał Andrzej niewinnie.

– Gówno – syknął Garbarek. – Zrobiliśmy numer z jakichś wczorajszych spadów. Ciebie to nie rusza najwyraźniej.

– Mam na oku ciekawą sprawę na mieście. Może być z tego mega materiał.

– Ryje?

– Nie. Raczej kryminał i obyczajówka.

– Przecież już się tym nie zajmujesz.

– Nieważne. Zobaczysz, będziesz miał materiał na tydzień. Potrzebuję tylko, żebyś dał mi zielone światło i trochę kasy na wydatki.

– Kasy ci teraz nie dam. – Garbarek spojrział wymownie na serwery. – Spisuj wszystko, a potem rozliczysz w księgowości.

Andrzej nie dyskutował. Zaciśnął zęby, przeliczył w myślach, ile ma gotówki w portfelu, i ruszył przez redakcję.

– Rafalski, chodź – rzucił, mijając biurko kolegi. – Weź swoje kluczyki. Podjedziemy do takiego jednego murarza na Pragę. Jak się okaże, że dobrze wskazał mi Elvisa, to dasz mu trzy stówy ode mnie.

– Pojechało cię? Trzy stówy za Elvisa?

– Nieważne.

– A dorzucisz mi do wachy?

Andrzej spojrział spode łba.

– Dorzucę.

Umysł Gabrysia ze zdumieniem odkrył, że wybudził się ze sztucznie wywołanej fazy REM, ale za nic nie może poruszyć otyłym ciałem, zalegającym na sofie. Mieszkał w tym ciele już trzydzieści jeden lat i coraz częściej zdarzało im się rozmijać – umysł spał, a ciało krążyło po mieszkaniu, albo na odwrót. Dawno temu, jeszcze w liceum, umysł podsunął Gabrysiowi, że zajebicie byłoby zostać prezydentem Polski. Historia i matma wchodziły mu do głowy jak w masło. Królowie, hetmanowie i rachunek prawdopodobieństwa. Umysł Gabrysia doskonalił się w misji zostania umysłem polskiego prezydenta, grając w *SimCity* i *Cywilizację*. Budował królestwa, zarządzał surowcami, toczył wojny i wysyłał rakiety w kosmos. Miał pod sobą wioski, miasta i całe państwa. Wskaźniki, procenty, negocjacje, podstępny. Wiedział, co i kiedy trzeba zmienić, żeby ludziki z entuzjazmem rzuciły się do budowy wirtualnego cudu gospodarczego.

Potem umysł Gabrysia spotkał na swej drodze THC. Bardzo dużo THC. *SimCity* poszło w odstawkę, pojawiła się konsola, ale ambicje pozostały. Przerzucił się więc na zbieranie wszystkiego, co zasłyszały mięsiste uszy Gabrysia. Kto wie, co okaże się potrzebne, kiedy już zmusi to wielkie cielsko do startu w wyborach?

A potem coś zaczęło szwankować. Za mało tlenu. Czasem umysł Gabrysia czuł, jakby zalewał go budyń bananowy. Zwiecha systemu. Jakaś zdradziecka część odseparowała się od reszty jak nowotwór i uznała, że skoro nie udało się z prezydentem, to Gabryś zostanie Elvisem. Elvis wszedł więc do budynku i już z niego nie wyszedł. Wybrał Graceland o powierzchni dwudziestu ośmiu metrów kwadratowych. Kraty w oknach na parterze i starzejąca się matka – *bodyguard* i kucharka w jednej osobie, której popisowym daniem była jajecznica na oleju.

„Złaź z tej sofy, spaślaku!” – zapiszczało kilka ocalałych neuronów w kierunku ośrodka ruchu Gabrysia. Ale w odpowiedzi zobaczyły na

horyzoncie tylko nowe, leniwie uśmiechnięte cząsteczki tetrahydrokannabinolu.

„Źle się ubrałem na tę okazję” – pomyślał Andrzej, parkując porsche przy altance śmietnikowej. Znow miał na sobie płaszcz z wełny merynosa i wypastowane pantofle. Śmietnik zawalony był po sufit kartonowymi pudłami i sklejką z meblościanki, drugi obok nie domykał się i jechał starą rybą. Rzekomy dom Gabrysia – stary jednopiętrowy budynek z czterema obskurnymi balkonikami – stał wstydliwie na uboczu osiedla z lat siedemdziesiątych i straszyl czarnymi plamami na zgniłozielonej elewacji. Zmarnowany facet opierał ciężką głowę o tynk nad domofonem i charczał coś błagalnie. Chyba nic nie wskórał, bo odszedł zrezygnowany, zachwiał się i otarł o lusterko porsche, na co nawet nie zwrócił uwagi.

Andrzej wyszedł z auta. Osiem lat temu mieszkał w innej części osiedla, tam trzypiętrowe bloki tworzyły zwartą grupę – blok, prześwit, blok, prześwit, z długim parkingiem od frontu. Tu wszystko było bardziej rozbite, poszatowane, ośmiopiętrowce wyrastały ze szczytów niewielkich pagórków, każdy w inną stronę, jak klocki ustawione przez trzylatka. Wypizdowo, na takich osiedlach zawsze hulał wiatr.

Z czterech przycisków na domofonie Andrzej postanowił nacisnąć ten najniższy. Zaterkotało, urwało, znow zaterkotało, ale nikt nie odpowiadał. Wcisnął następny.

– Józiu, kurwa twoja mać pierdolona, weź ty mnie daj wreszcie święty spokój! – zatrzeszczał domofon po chwili.

– To nie Józiu. Dzień dobry. – Andrzej się nachylił. – Szukam Gabrysia.

– Gabrysia? Pan z policji?

– Nie. W urzędowej sprawie.

W domofonie zaległa cisza. Zaszczekał pies.

– Gabrys pewnie śpi – zaskrzeczał znowu domofon. – Jego matula wraca z roboty o drugiej. Jak masz pan coś do przekazania, to ja mogę przekazać.

– Nie, dziękuję. Muszę osobiście. – Andrzej się skrzywił. – Które to mieszkanie?

– To drugie na parterze.



– Okej, poczekam.

Spróbował zajrzeć przez zakratowane okna do ciemnego wnętrza, ale nic nie zobaczył. Wrócił do porsche. Postanowił przestawić je choć trochę dalej od tego cholernego śmietnika. A potem zadzwonił do Rafalskiego, żeby wypłacił murarzowi trzy stówy i wracał do redakcji.

Marcin ruszył piaszczystą ścieżką przez zaniedbane pole. Ponad wyschniętymi trawami zobaczył marny przystanek na żądanie, o którym mówił Benny. Kiedyś, dawno temu stały tu pewnie tylko takie chałupki, jak ta Benny'ego, rozrzucone, poprzedzielane polami ziemniaków i łąkami, na których pasły się krowy. Teraz została się tylko ta jedna, relikw pośród osiedla betonowych sześcianów, willi i białego kościoła od *Ave Maria*.

Usłyszał znajomy warkot silnika i podbiegł do wyłaniającego się zza zakrętu autobusu. Po siedmiu minutach wysiadł na skrzyżowaniu z szeroką wylotówką, wiecznie zakorkowaną, cuchnącą ropą i benzyną. Do i od granic miasta ciągnął hałaśliwy sznur ciężarówek, spowijający wszystko wokół szarobłękitnym smrodem.

Po drugiej stronie wylotówki stał budynek baru z fast foodem, obłożony brunatną szalówką. Marcin nie wiedział jeszcze, jak zabrać się do pytania o Olę. I czy ona w ogóle miała na imię Ola?

Andrzej spojrzał na zegarek. Była trzynasta trzydzieści. Przystawił porsche tak, żeby nie wiało mu ze śmietnika rybą. Miał dobry widok na budynek i mógł w każdej chwili dojrzeć, czy ktoś nie zmierza do domofonu.

Włączył radio, z głośników klasy premium zaczął sączyć się leniwy jazzik z miłym dla ucha kontrabasem. Wyjął ze schowka scenariusz Bielawskiego i przerzucił kilka stron.

Początek nudny jak flaki z olejem. Jakiś Kornel snuje się po uniwerku, kupuje kwaśną kawę z automatu i zastanawia się, czy na filozofii będzie o Schopenhauerze, czy o Kancie. Potem z koleśkiem w dziurawym swetrze obgadują koleżankę w zielonej garsonce. Rzucają jakieś czerstwe żarty. Potem ten Kornel wraca autobusem do domu z nosem w szybie i dostaje od mamy pomidorową i schabowe. Idzie siku. Czyta grubą książkę i słucha oldskulowej muzyki na słuchawkach, a potem gada coś do siebie, jaki to on jest samotny.

„Ja pierdołę, co za film – Andrzej zerknął przez szybę. – I kto to jest Kornel? Ten Bielawski?”

Potem Kornel spotyka Artura na imprezce kumpli z liceum. Jeden popija cienkie piwo przez słomkę i się nie odzywa. Drugi jest naburmuszony, jakby miał w dupie drut kolczasty. W końcu idą na stronę i żalą się, jakie to ich życie szare jest i bure.

– Kurwa – mruknął Andrzej.

Przerzucił niedbale kolejne kartki. Kornel spotyka w klubie techno jakąś laskę, Anitę. Gadają o dziwnych włoskich nazwiskach i są tym strasznie podjarani. On ją bierze za rączkę, a ona nie protestuje. Nieśmiały buziaczek bez języczka. Szybka akcja, Kornel, nie ma co. „Co za szczęście, żeśmy się wyłowili w tym dziwnym tłumie” – mruczą Kornel i Anita jak młode kocięta. Początek *love story* przy barierkach na placu Zamkowym, z widokiem na Wisłę i katedrę Świętego Floriana.

Andrzej spojrział za szybę, ale matki Gabrysia nadal nie było. Przewrócił kilkanaście kartek. W końcu znalazł to, czego szukał.

#### **(24) WNĘTRZE. FAST FOOD. TOALETA DLA PRACOWNIKÓW**

ARTUR siedzi na klozecie w małej kabinie. W ręku trzyma *Władcę Pierścieni* w starym wydaniu z miękką okładką, część druga pt. *Dwie Wieże*. Książka jest wytarta, strony poplamione, widać, że Artur czyta ją po raz... dziesiąty? Piętnasty? Przerzuca kolejną stronę z miną jak Vincent Vega w kiblu w *Pulp Fiction*.

#### **(25) WNĘTRZE. FAST FOOD – PÓŹNY WIECZÓR**

W środku jest tylko kilkoro klientów. Przy dalszym stoliku siedzi PARA PO CZTERDZIESTCE z podwójnymi cheeseburgerami. Za kontuarem krząta się z mopem OLA. Ma dwadzieścia pięć lat, szczupła, średniego wzrostu, długie ciemne włosy fantazyjnie spięte w kucyk na szczycie głowy. Ubrana w uniform z plakietką. Zmęczona, ale wykrzesła ostatek energii.

Ola podnosi wzrok. Na parking zajeżdża czarny samochód, wibrujący od ciężkiego, połamanego rytmu drum'n'bass. Ola ma wrażenie, że kierowca może być pijany, bo parkuje auto krzywo i niedbale. Trzaśnięcie drzwiczek. Ola widzi, że na miejscu pasażera

siedzi duży facet, z tyłu jeszcze jeden. Światło pada pod dziwnym kątem, więc nie może dojrzeć ich twarzy.

Drzwi do baru otwierają się i wchodzi chłopak, ma około dwudziestu lat, jasnoniebieskie džinsy, markowa bluza z kapturem. Nie wygląda jak dresiarz. Zwykła twarz, krótkie włosy. Mięsiste wargi i niebieskie oczy. Jest dziwnie pobudzony, sprężysty, ma rozbiegany wzrok, drga mu lewy policzek. Brzydki uśmiech. Oli ten chłopak kojarzy się z hieną z *Króla Lwa*, więc przeżywa go w myślach BANZAJEM.

OLA: Dobry wieczór, czy mogę przyjąć zamówienie?

BANZAJ: Trzy podwójne burgery w zestawach. Plus dwa razy duże frytki. No. Tylko jakbyś mogła się sprężyć.

OLA: Na wynos?

BANZAJ: Nie, kurwa, na miejscu. Jasne, że na wynos.

OLA: Okej.

Banzaj kładzie sto złotych na kontuarze. Ola wychyla się w stronę korytarza prowadzącego do toalet.

OLA: Artur?! Możesz mi pomóc?

Ola wydaje resztę i zerka na pobudzonego Banzaja, który trze rozczapierzonymi palcami o skroń, a potem strzepuje z dłoni niewidoczny pyłek. Z zaplecza leniwym krokiem wychodzi ARTUR, wygląda na zaspanego. Na widok Banzaja bystrzeje. Nie zna go, ale tamten rozsiewa wokół złe wibracje.

Artur odcedza frytki i pakuje do torebek. Ola pakuje resztę. Mruga do Artura, żeby oddał chłopakowi zamówienie. Artur woli, żeby to Ola oddała paczki, ale dziewczyna odwraca wzrok. Artur bierze tacę i podchodzi do kontuaru.

ARTUR: Proszę. Mogę w czymś jeszcze pomóc?

Banzaj świdruje Artura wzrokiem. Uśmiecha się krzywo.

BANZAJ: Nie. Czy ja cię skądś nie znam?

ARTUR: Nie wiem. (pokazuje na bar) Może stąd.

BANZAJ: Stąd nie. No spoks. Ale. Coś jeszcze. Kucyk jest niezły. Powiesz kucykowi, że jest okazja.

ARTUR: Okazja na co?

BANZAJ: Na co, na co... Na małe dymanko. Pod lasem.

Artur patrzy na chłopaka zaskoczony.

ARTUR: Sam jej powiedz, kozaku.

BANZAJ: Ty, no, wstyd mi. Nieśmiały jestem. Weź ty jej powiedz.

ARTUR: Słuchaj, facet, zabierz po prostu swoje zamówienie i skończmy gadkę.

BANZAJ: Kurwa, będziesz mi mówił, chujozo, co mam robić? Kucyk jest spoks. Mary Jane mi przypomina. Mam ochotę zapiąć Mary Jane.

ARTUR: Odwal się.

BANZAJ: Bo co, kurwa? Zrobisz mi coś?

ARTUR: Weź, człowieku, swoją tacę po prostu.

BANZAJ: A co, to twoja suka? (*do Oli*) Jesteś jego, kucyku?

Ola patrzy na Banzaja i na Artura ze strachem.

ARTUR: Nie jest moją dziewczyną, ale to nie ma znaczenia. Obrażasz ją, koleś, rozumiesz?

BANZAJ: Ty no, weź. Obrażam? Chudy ma tyłek. Superfajny. Ekstra się zapina w takie.

ARTUR: Nie przeginaj, człowieku. Opuść lokal.

BANZAJ (*do Oli, z wulgarnym gestem*): Ej, ej, ej, kucyku. Jak będziesz dobra, to mam dla ciebie trzy dychy.

ARTUR: Spadaj.

BANZAJ: Bo co?

ARTUR: Bo jajco.

BANZAJ: Japa, lamusie. Teraz to ja już z kucykiem rozmawiam.

Artur przestaje panować nad wściekłością. Starsza para popatruje na tę sytuację z cheeseburgerami w dłoniach.

BANZAJ: Burgery do torby i wyskakuj z fartucha, laska. Walić lamusa. Jedziesz z nami. Będzie zajebisty *fun*. Wyglądasz jak Mary Jane, kobieto. Ruchy, ruchy, ruchy.

Artur nie panuje nad sobą. Wyciąga z torby dwa hamburgery i z całej siły rzuca nimi w chłopaka. Łądują na podłodze z głuchym klapnięciem. Ketchup i musztarda rozbryzgują się po twarzy tamtego i spływają szerokimi strugami na jego markową bluzę. Banzaj z początku wygląda, jakby nie wiedział, co się dzieje.

BANZAJ: No żesz, coś ty, kurwa, zrobił?! Pojechało cię, lamusie?

Artur parska nerwowym śmiechem, ale już po sekundzie dociera do niego, co zrobił i co teraz może się stać. Ola podbiega do sterty serwetek i rzuca się do Banzaja, jakby chciała go wytrzeć.

BANZAJ (*odtrąca Olę*): Wal się, kobieto!

ARTUR (*z rezygnacją*): Prosiłem cię po dobroci. Nie słuchałeś.

BANZAJ: Będziesz to zlizywał, szmato.

ARTUR (*znów ostrzej*): Wyjdź z lokalu.

BANZAJ: Jeszcze coś do mnie mówisz? Wiesz, kim ja, kurwa, jestem?

Artur milczy z zaciętą miną.

BANZAJ: No weź, Goblin, masz coś jeszcze do powiedzenia?

ARTUR: Spakować cię, kurwa, na wynos?

Banzaj ze wściekłą miną wyciąga coś zza uwalanej sosem bluzy. Artur zamiera w przerażeniu. To pistolet. Banzaj chwyta Artura za koszulę i przyciąga go do siebie nad kontuarem. Przystawia mu pistolet do głowy.

BANZAJ: I co teraz, Goblin? Zaryło? No, pytam: zaryło?

Artur blednie w jednej chwili. Ola zamiera z serwetkami w powietrzu. Starsza para patrzy na wszystko nieruchomo z cheeseburgerami przy ustach.

Banzaj wwierca się w Artura wzrokiem wściekłej hieny. Artur wygląda, jakby nie miał w głowie żadnej myśli.

BANZAJ (*powoli i wrednie*): Odstrzelę ci mózg. Będzie fun. Już nie będzie Goblina. Bez mózgu. Tego chciałeś? Taki miałeś plan?

Artur zamiera. Długa, pełna napięcia chwila. Banzaj opanowuje się, widzi wzrok klientów skierowany na niego. Szybkim gestem cofa pistolet i chowa go pod bluzę. Bierze chusteczki od przerażonej Oli i niedbale wychodzi z baru. Artur widzi jeszcze jak przez mgłę, jak Banzaj wchodzi do krzywo zaparkowanego samochodu od strony kierowcy. Duża postać na siedzeniu pasażera podnosi na niego głos, wykrzykuje coś i macha rękami. Banzaj pyskuje tamtemu, włącza silnik i odjeżdża z piskiem opon.

Ola podchodzi do znieruchomiłego Artura.

OLA (*kładzie mu dłoń na ramieniu*): Dziękuję, Artur.

Artur powoli dochodzi do siebie. Uśmiecha się lekko do Oli. *Wyciemnienie.*

„No, proszę, jest w końcu jakieś mięcho – pomyślał Andrzej. – Od tego Banzaja czuć na odległość amfą albo jakimś dopalaczem. Świr. Nie ma hamulców. Ale ten drugi to też niezły prowokator. Spięli się panowie jak dwa koguty. Tylko że pan Banzaj miał asa w rękawie. Nieładnie, nie fair”.

Spojrzał przez szybę. Miał nadzieję, że nie przegapił matki Gabrysia.

Marcin rozejrzał się po przestronnym wnętrzu, wypełnionym po brzegi. Cały przekrój dzieciarni: wczesna podstawówka, późna podstawówka, liceum, duzi i mali, grubi i chudzi. Trzy rozbrykane ogonki do kas plus kilkoro dorosłych przy tablicach samoobsługowych. W rozgardiaszu przebijał się piejący głos przechodzącego mutację chłopaka, który próbował opowiedzieć reszcie dowcip, ale co chwila ktoś mu przerywał.

Ssało go w żołądku, więc stanął za facetem przy tablicy samoobsługowej. Kilka ruchów palcem po ekranie. Karta? Gotówka? Przyłożył szarą debetówkę do pinpadu. Dostał numer dziewięćdziesiąt i stanął z boku w oczekiwaniu na burgera i colę.

Artur zawsze opowiadał o fast foodzie z rezerwą. Pracował tu, bo nie chciał być zależny finansowo od starych. Wcześniej zaczął się jako pomocnik w dwóch biurach, ale szybko zrezygnował. Albo go wylali. Powiedział, że nie

jest w stanie zdzierzyć szefa głupszego od siebie. Idealista. Tu jego bezpośrednią przełożoną była Ola. A z tego, co Marcin wyluskał z ich rzadkich rozmów na tematy nie dotyczące scenariusza, Artur swoją koleżankę z roboty szanował.

Mówił jeszcze, że bardzo lubi pracować późnym wieczorem. Dzieciarni już nie było, przyjeżdżali zmęczeni, ledwo widzący na oczy przedstawiciele handlowi. Lokalsi po pięćdziesiątce wracali z piwka z pobliskiego pubu i zachodzili poprawić burgerem i frytkami. Całe osiedle i nieco dalsza okolica. Z niektórymi Artur pozwalał sobie na „cześć” zamiast wyuczonej formułki. „To właściwie był dziwny zbieg okoliczności – pomyślał Marcin – że przytrafił mu się ten naspidowany Banzaj. I że Arturowi puściły nerwy”.

– Numer dziewięćdziesiąt zapraszam – powiedział chłopak za kontuarem z dźwięcznym wschodnim akcentem.

Marcin podszedł. Nie mógł się powstrzymać i spojrzał na plakietkę na koszuli chłopaka. WASYL. „Witaj w Polsce, Wasyl” – uśmiechnął się.

– Dzięki. – Zabrał tacę. – Czy pracuje tu kobieta, która ma na imię Ola? Muszę z nią porozmawiać.

– Ola? – Wasyl spojrzał nieufnie. – Ja tu jestem niedługo.

– Chodzi pewnie o Aleks – rzuciła starsza dziewczyna zza szafek z bułkami. – Pan z ogłoszenia? Aleks przyjdzie za pół godziny i wszystko panu powie.

Ola, czyli Aleksandra, przez znajomych nazywana Aleks, okazała się ładną kobietą po trzydziestce. Wciąż miała długie ciemne włosy, ale już nie zaczesane w kucyk, tylko pofalowane i opadające równo na obie strony. Ciemna garsonka i spódnica za kolano. Marcin patrzył na delikatny, dobrze dobrany makijaż i zastanawiał się, czemu Artur nie zaczął się z nią umawiać. Mówił przecież Benny’emu, że Ola się w nim podkochuje. Czy był aż tak wybredny?

Siedzieli w boksie na piętrze. Marcin schował burgera do torebki i popijał tylko colę przez słomkę. Szybko wyprowadził Olę z błędu – nie, nie przyszedł tu w sprawie pracy. Powiedział kilka zdań o sobie, Arturze i scenariuszu, te frazy zdążyły już wejść mu w krew. Ola patrzyła na niego ze ściągniętymi w dzióbek ustami. Drobnymi palcami przesuwiała po brzegu filiżanki z kawą.

– Czego pan ode mnie chce? – spytała nerwowo.

– Marcin.

– Okej. Czego chcesz, Marcin?

Zastanowił się. Nie do końca przemyślał, po co właściwie tu przyszedł. Jeśli miał w scenariuszu jakikolwiek trop, który mógł prowadzić do rozwiązania tajemnicy ostatnich trzech miesięcy z życia Artura, to był to właśnie Banzaj i jego pistolet.

– Osiem lat temu w kwietniu wpadł tu naspidowany gość. Artur opisał to ze wszystkimi szczegółami w scenariuszu. Jak tamten cię obrażał, a skończyło się na tych nieszczęsnych hamburgerach i pistolecie.

– Coś tam pamiętam.

– Artur znał tego człowieka?

Ola spojrzała za okno.

– Raczej nie – powiedziała cicho. – Po tej zadymie mówił mi, że widział go pierwszy raz.

– A potem?

– Potem co?

– Nie wspominał nic, żeby tamten łąził za nim albo mu groził?

– Mi nic nie wspominał... – urwała nagle Ola.

– A komuś innemu?

Nie odpowiedziała. Wciąż przesuwała palcami po filiżance. Marcin wpatrywał się w ten jednocześnie powolny i nerwowy gest, którym bez trudu mogłaby go zahipnotyzować. Oderwał wzrok od filiżanki i spojrzał na jej twarz ze ściągniętymi w ciup ustami.

Zdał sobie sprawę, że dziewczyna mu nie ufa. Chciał powołać się na ojca Artura, który ostatecznie namyślił się i dał zgodę na grzebanie przy skrypcie. Powstrzymał się. Jeśli Artur opowiadał tej dziewczynie o nieciekawej sytuacji w domu, to mógł tą zagrywką narobić teraz więcej szkody niż pożytku.

– Czytałaś ten scenariusz, prawda? – spytał w końcu ostrożnie. – Artur opisał wszystko zgodnie z prawdą? Jeśli mam do czegoś dojść, to muszę wiedzieć, czy nie zmyślał. Do tej pory wszystko wskazuje na to, że to jest prawie jak dokument.



– A jak zakończyła się ta scena? – Ola przestała kręcić kółka na filiżance i podniosła ją do ust.

Marcin przymknął oczy i zobaczył pod powiekami przesuwające się na ekranie litery, gdy jak szalony przepisywał egzemplarz Anki do Worda.

– Ola podchodzi do Artura – powiedział wolno. – Kładzie mu rękę na ramieniu. Mówi: „Dziękuję, Artur”. Wyciemnienie.

Ola uśmiechnęła się z ledwo dostrzegalną ironią i pokręciła głową.

– Powiem ci, jak to się skończyło.

*Nerwowo poprawiła kucyk. Naspidowany chłopak podobny do hieny przestraszył ją i dotknął do żywego, ale nauczyła się nigdy nie tracić opanowania w takich momentach. A Artur dał się podejść jak dziecko. Zrobił dwa fałszywe ruchy. Teraz blady i przerażony patrzył, jak Banzaj trzyma pistolet przystawiony do jego czoła.*

*Powoli odłożyła serwetki. Wzięła głęboki oddech i opanowała drżenie.*

*– Zostaw go – powiedziała do Banzaja chłodno i bez emocji.*

*Drgnął zaskoczony. Spojrzał na nią. Oli wydało się, że lekko poluzował uścisk na kolbie pistoletu.*

*– Co jest, Mary Jane? Namysliłaś się? Jedziesz na dymanie? – spytał z hienowatym uśmiechem.*

*– Nie – odpowiedziała cicho.*

*– Nawet jeśli rozwalę Goblina w pizdu? – wypluł z niedowierzaniem.*

*– Nie – powtórzyła.*

*Mruknął coś pod nosem. Ola pomyślała, że gra va banque i że to może źle się skończyć.*

*– Zrób mi nowe hamburgery – zakomenderował.*

*– Nie.*

*– No weź, co jest? Płyta ci się zacięła?*

*– Nie.*

*Banzaj spojrzał na nią dziwnie. Wydało jej się, jakby jej kolejne „nie” działały na niego trzeźwiąco. Jakby dragi wyparowywały mu z głowy. Patrzył tak i patrzył. Ola pomyślała, że będzie się tak gapił bez końca. Ale ocknął się i machnął ręką z pistoletem.*

*– A wal się, Mary Jane.*

*Zerkała spod zmrużonych powiek, jak Banzaj zabiera z kontuaru stos serwetek i chowa pistolet pod wymazaną ketchupem markową bluzę.*

– A z Goblinem to się jeszcze policzę. Nie zna dnia ani godziny.

*Po kilku chwilach usłyszała trzask drzwiczek. Zdążyła jeszcze wyjrzeć przez szybę i zobaczyć Banzaja za kierownicą, dużego gościa na siedzeniu pasażera i czyjąś głowę z tyłu. Twarze całej trójki ukryte były w mroku.*

*Zapiszczały opony. Odjechali.*

– Jasny gwint... – Marcin spuścił wzrok.

To było coś nowego. Do tej pory brał scenariusz dosłownie. Teraz dowiedział się, że Artur przerabiał rzeczywistość po swojemu. Mógł coś ważnego usunąć. Albo ukryć. To dlatego nie chwalił się wszystkimi swoimi notatkami, tylko przynosił Marcinowi na spotkania wyrwane z zeszytu kartki, zapisane drobnym maczkiem.

Jeszcze jedna rzecz nie dawała Marcinowi spokoju.

– O co chodziło z tym Goblinem? – spytał. – I z tym Mary coś-tam?

– Mary Jane.

– Właśnie.

– A skąd ja mam wiedzieć? – Ola upiła łyk kawy. – Nie mam pojęcia. Tak ten koleś mnie nazwał. Tak to zapamiętaliśmy z Arturem. Potem dostał ode mnie solidną zębę. Za to kozaczenie.

– Przecież ten pajac cię obrażał. Uważasz, że Artur powinien był puścić mu to płazem?

Ola spojrzała na Marcina ostro.

– Mierz siły na zamiary. – Zabębniła palcami o blat. – Nie porywaj się z motyką na słońce. Nie rzucaj się z procą na karabin. Wiele przysłów, ten sam sens.

– Tego ostatniego nie znam. – Marcin się uśmiechnął. – A „mierz siły” to Mickiewicz. Co innego znaczy. Stawiaj sobie ambitne cele, a siły się znajdą.

– *Whatever.*

– Nie mógł wiedzieć, że tamten ma pistolet.

– Mógł.

– Niby skąd?

– Gdyby miał oczy otwarte, a nie tylko przesiadywał nad tą swoją książką, toby się zorientował, że ten pacan nie kozaczy bez powodu. On miał coś takiego w oczach... „No, wypróbujcie mnie, jestem taki boski”. Ja od razu wiedziałam, że koleś ma coś w zanadrzu.

Zacisnęła usta, przez co wyglądały jak zasznurowane.

– Posłuchaj, Aleks – zaczął Marcin niepewnie. – Czy to ty podsunęłaś Arturowi ten pomysł z pistoletem?

– To znaczy? – spytała hardo.

– To znaczy, czy to ty mu powiedziałaś, żeby kupił sobie broń? Bo to od tego momentu wpadł w cholerną paranoję.

Ola zmieszała się i wlepiła oczy w filiżankę.

– Nie – odpowiedziała cicho. – Nie kazałam mu kupować pistoletu. Rozmawialiśmy o tym, że jesteśmy cholernie bezbronni w takich sytuacjach. Nie mamy żadnego wyboru. Tamci mają pistolety. A my?

– Powiedziałaś Banzajowi „nie”. Zadziałało.

– Nie zawsze działa – mruknęła. – Ale Artur sam doszedł do wniosku, że powinien kupić sobie broń. Nie kazałam mu.

Dopiła kawę. Wstała. Marcin wiedział, że wyczerpał już limit jej cierpliwości.

– Zostawił ci jakieś strony scenariusza przed wyjazdem na Mazury? – spytał.  
– Może chciał coś ukryć? Coś o Banzaju?

Znów spojrzała na niego jak parę minut temu, nieufnie. Miał nadzieję, że przez ten czas udało mu się zdobyć choć odrobinę jej zaufania.

– Proszę, Ola, to ważne.

Drgnęła na dźwięk tego imienia.

– Coś tam zostawił. Prześlę ci mejlem. – Uśmiechnęła się lekko, jakby przypomniawszy sobie jakiś przyjemny moment z przeszłości. – Zostaw mi adres.

Mało co nie wydrapał długopisem dziury w cienkiej bibule, ale w końcu udało mu się zapisać swój adres na serwetce. Ola zabrała ją, pożegnała się i zeszła na parter.

Poczuł wibracje w kieszeni. Odebrał komórkę.

– Siemanko, partnerze. – W słuchawce zabrzmiał wyjątkowo zmęczony głos Andrzeja. – Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że cię nie przenocowałem?

– Nie, spoko. Dzięki temu miałem ciekawy poranek.

– To dobrze. Słuchaj, skąd mógłbym cię zgarnąć?

– A po co?

– Potrzebuję wsparcia.

Piętnaście minut wcześniej Andrzej odłożył scenariusz do schowka i spojrzął na zegarek. Czternasta dwanaście. „Coś za długo tu siedzę” – pomyślał. Wszedł z samochodu. Porywisty wiatr zmienił kierunek, a smród starej ryby spadł na Andrzeja, jakby ktoś rzucił zaklęcie. W mieszkaniu na parterze jak na zawołanie ktoś zamknął okno. Zatykając nos, Andrzej ruszył w kierunku domofonu. Wcisnął przycisk.

– Kto tam do nas przyszedł, kochaniutki? – zaskrzeczała jak czarownica starsza kobieta.

Andrzej przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Niech się odezwie, panie, zmiłuj się nad nami – charczał dalej domofon. – Czy to z opieki pan Maciej, czy nie?

– Tak, ja z opieki społecznej. – Andrzej poczuł, że zaczyna się pocić.

– Już otwieramy, gość w dom.

Andrzej szarpnął drzwi i wszedł na klatkę schodową. Smród ryby zanikł, wokół unosił się za to słodki zapach marihuany. Zanim Andrzej zdążył nacisnąć dzwonek przy odrapanych zielonych drzwiach, otworzyły się na oścież jak zaczarowane. Przystąpił próg.

Wnętrze przypominało brudne akwarium, tyle że zamiast w wodzie wszystko zanurzone było w gęstym szarym dymie. Andrzej poczuł, że zaczynają piec go oczy, otarł łzę, potem drugą. Wytężył wzrok. W malutkim ciemnym przedpokoju na drewnianym wieszaku wisiała damska puchówka. Pod wieszakiem stały zniszczone damskie kozaki. Żadnych innych ubrań ani butów.

Z gryzących obłoków wyłoniła się niska postać. Kobieta. Chyba kobieta. Pięćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt lat. Przeróżliwie chuda. Wisząca na cienkich jak patyki ramionach bluzka w słoneczniki pamiętała zapewne

końcówkę komunizmu. Spod prostej różowej spódnicy z suwakiem wystawały dwa kościste kolana i łydki bez grama tłuszczu.

– Dobry panie, żeś się zjawił w samą porę – zaskrzeczała dziwna postać. – Gabryś głodny.

Andrzej dopiero teraz zobaczył oczy kobiety – ciemne, prawie czarne, wylupiane, otoczone grubymi fałdami skóry. Twarz poorana była zmarszczkami jak powierzchnia Marsa.

– Ja jestem nowy, z tej opieki. – Andrzej z trudem rozpoznał własny głos. – Ile dawał ten poprzedni?

– Co dawał?

– No pieniędzy.

Kobieta wpatrywała się w niego, jakby zupełnie nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Pan Maciej? – Przekrzywiła głowę.

– No ile z opieki dostajecie? – Andrzej starał się przedrzeć przez zasłonę dymu i chaosu.

– A co to, już nie trzeba chodzić?

– Ile, kobieto? – warknął Andrzej.

– Jezu Chryste, pytania, pytania. Człowiek nie ma głowy.

Poczuł, że jeszcze chwila i ta gęsta chmura dymu spustoszy mu mózg. Panika pełzała mu wzdłuż kręgosłupa.

– Gabrysiu, ten pan nieprzygotowany jakiś. Ile nam opieka płaci?

– Głośniej, Tom. – Z pokoju dobiegł nosowy głos.

– No z opieki, ile pieniędzy, na litość boską?

– Dwadzieścia pięć razy dwadzieścia pięć minus sto dwadzieścia pięć.

Postać nazwana Tomem wybałuszyła na Andrzeja wielkie czarne oczyska.

– Pan słyszał?

– Słyszał – odezwał się Andrzej słabo. – Ale o co chodzi? Co to za łamigłówniki?

– Pan pyta, o co chodzi, Gabrysiu! Chyba liczyć nie umie.

– Pięćset, Tom. Powiedz panu, że pięćset.

W mroku i dymie Andrzej wyjął z portfela zwitek banknotów, otarł łyżę i wyliczył pięćset złotych. Podał je kobiecie, wzięła banknoty niepewnie, zmrużyła oczy i obejrzała stówę pod światło marnej żarówki. W końcu odliczyła trzysta złotych i podała je Andrzejowi.

– A to za co? – spytał Andrzej zaskoczony.

– Ten poprzedni nie powiedział? – zapięła jak kogut. – Na rany Boga, całe życie z wariatami. Użerać się trzeba, użerać.

Załamano ręce i zaczęła dreptać w miejscu. Andrzej tylko wzruszył ramionami.

– Chcę pogadać z Gabrysiem, mogę? – powiedział głośniej.

– Gabrys głodny, a pan jesteś nieprzygotowany.

– To ja może wyjdę i zrobię szybkie zakupy. – Andrzej wyczuł szansę.

– Zakupy to ja, panie, zrobiłam. Jajka są, chleba ci u nas dostatek. Ale pan miałeś przynieść to, co zawsze. To, co tamten pan przynosił.

Andrzej pomyślał, że jeszcze chwila i wyjdzie. „Co to, kurwa, za popierdolona chałupa?”

– Pułkownik Parker, jakiś problem z płatnością? – zaciekawił się głos z pokoju. – Ja już jaram smołę z fify, zaraz mnie będzie nosić.

„A więc o to chodzi? Facet z opieki przynosił kasę i od razu kosił trzy stowy za trawę? Niezły biznes, kurwa, przyjemne z pożytecznym”. Andrzej zrobił się zielony na twarzy. Czuł, że za moment zwymiotuje.

– Wrócę za godzinę – rzucił w powietrze i nie czekając na odpowiedź, wyszedł z mieszkania.

Zbiegł po schodach i zaraz za drzwiami nabrał haust powietrza. Ale to znowu była ta pieprzona ryba. Odbiegł za róg budynku i wybrał numer Bielawskiego.

– Słuchaj, skąd mógłbym cię zgarnąć? – wysapał nieprzytomnie do słuchawki.

– A po co? – Usłyszał beztroski głos.

„Po jajco” – warknął w myślach.

– Potrzebuję wsparcia.

Bielawski był niedaleko, właśnie wychodził z fast foodu, w którym spotkał się z koleżanką Artura. Andrzej ruszył do porsche.

– Sorry, Benny, że zawracam ci głowę, ale muszę natychmiast skołować trawę za trzysta złotych. – Marcin nie do końca wierzył, że to mówi. Tyle że obok na siedzeniu kierowcy siedział Rulewski i przyglądał mu się wyczekująco. „Pretekst. Jaki pretekst wymyślić, żeby Benny nie zaśmiał się i się nie rozłączył?” – Nie, nie żartuję. Szukamy śladów Artura i potrzebujemy odwiedzić takiego jednego ćpuna. Tyle mogę ci teraz powiedzieć.

– No i? – spytał cicho Andrzej, zaciskając palce na kierownicy.

Marcin uciszył go lekceważącym gestem.

– Jasne. – Uśmiechnął się pod nosem. – Możesz do niego zadzwonić i powiedzieć mu, że wpadnie do niego zaraz dwóch facetów w porsche? Super, dzięki. Wyślij mi SMS-em.

– No i? – powtórzył Andrzej zniecierpliwiony.

Marcin rozłączył się i spojrzał wymownie.

– Nietrudno zgadnąć, kto dalej handluje tym towarem.

Chwilę im zajęło, zanim znaleźli obskurny warsztat samochodowy za torami kolejowymi, ukryty za zdziczałym żywopłotem, z brudnym podwórkiem pełnym starych opon, przerdzewiałych drzwi i błotników. Nie dałoby się tu trafić bez szczegółowych instrukcji przesłanych przez Benny'ego.

Andrzej powoli skręcił z ulicy i ledwo zmieścił się w wąskiej bramie. Zatrzymał porsche przy sterce opon.

– To który z nas idzie po towar? – spytał tonem sugerującym, że nie ma ochoty zajmować się transakcją.

– Że niby ja? – Marcin się skrzywił. – Okej, daj kasę.

Wyszedł z samochodu. Rulewski zaczynał go już trochę drażnić dziwnym stylem bycia. Raz był stanowczy, raz olewczy, w jednym momencie prosił o wsparcie, w następnym zachowywał się, jakby sprawa go nie dotyczyła. Z Andrzejem u boku Marcin wyczuwał czający się obok mentalny chaos. Trochę jak pacholek w służbie niezrównoważonego księcia.



Zdusił w sobie nieprzyjemne uczucie i ruszył do niedomkniętych metalowych drzwi warsztatu. Próbował zajrzeć przez przydymione szyby. Nic z tego. W końcu pociągnął uchwyt. Drzwi skrzypnęły i uchyliły się na tyle, że Marcin mógł wsadzić głowę w prześwit.

– Dzień dobry! – zawołał. – Benny mnie przysłała. Jest tu kto?

W środku było cicho. Nikt nie naprawiał stojącego na kanale grafitowego opla z podniesioną klapą. Żadnej muzyki z radjka, brzęku narzędzi czy stukania kluczem francuskim. Wszędzie czuć było stary olej silnikowy i... marihuanę. A więc jednak dobrze trafili. Tylko gdzie znaleźć źródło tego słodkiego zapachu?

Marcin pociągnął mocniej drzwi, podszedł do kanału i zajrzał pod samochód. Rozejrzał się wokół. Rozkręcone części samochodowe nic mu nie mówiły, jego uwagę przykuł za to stary plakat z biuściastą blondyną, z dorysowanymi flamastrem wąsami i brodą. Dopiero wtedy dostrzegł metalowe schody prowadzące na coś w rodzaju półpiętra. Złapał za poręcz i od razu pożałował. Dłoń przylepiła mu się do wymieszanego z kurzem smaru. Odkleił ją, doczłapał na górę i ostrożnie pchnął drzwi.

W środku stała wysłużona wersalka, a na niej pod wymiętą kołdrą spała jakaś niezbyt urodziwa niewiasta po czterdziestce, z jasnymi kosmykami przyklejonymi do czoła.

Marcin zacisnął zęby. Nigdzie nie było Bolka...

– Zajebisty porszak. Co dolega?

Zza budynku wyszedł krępy facet z przydługimi brudnymi włosami. Żółtą koszulkę polo i dżinsy umazane miał smarem. Podszedł do auta od strony kierowcy i uśmiechnął się przyjaźnie, choć Andrzej miał wrażenie, że ten uśmiech jest nieco zbyt spolegliwy.

– Dzień dobry – mruknął. – Ja nie w sprawie auta.

– Otwórz pan klapę, to zobaczymy.

Przymknął oczy. Nie miał zamiaru kłócić się z nadgorliwym mechanikiem. Ważna była trawa. A Bielawski zniknął w warsztacie i nie wychodził. Nacisnął wajchę i mechanik zniknął mu z oczu za otwartą klapą.

– No, no, chyba cieknie chłodnica oleju. Sparciały też węże. Nie boi się pan, że pierdyknie to panu w trasie?

Andrzej poczuł lekkie ukłucie w sercu. Jaka chłodnica? Jakie węże? Auto było niedawno w serwisie i miało być cacy, jak nowo narodzone. Wysiadł i stanął koło mechanika.

– Jesteś pewien, że coś jest nie halo?

– Ja o porszakach wiem wszystko – oznajmił facet, szczerząc zęby. – Jak pan gdzie indziej wstawi, to się panu trafi albo i nie trafi. Wezmę go, zrobię wszystko i będzie git.

– Dobra, dobra. – Andrzej spojrzał nieufnie na obskurny warsztat. – Może kiedy indziej. Nie dzwonił do ciebie Benny?

Mechanik przestał się szczerzyć.

– Może i dzwonił. Ale miało być dwóch.

– Drugi poszedł cię szukać. Ma dla ciebie kasę.

– Aaa. – Na twarzy mechanika znów wykwitł spolegliwy uśmiech. – Trzeba było tak od razu. – Ruszył w stronę uchylonych drzwi warsztatu i niemal zderzył się z wychodzącym akurat Marcinem. – To za ile tego miało być? – spytał.

– Za trzy stówy – bąknął zaskoczony Marcin.

– Znaczą się siódemka.

Bolek zniknął w warsztacie. Marcin podszedł do Andrzeja, zamykającego właśnie klapę porsche i mruczącego coś pod nosem.

– Pytamy go o Igora? – spytał Marcin.

– Nie teraz, młody kolego. Nawet jeśli coś wie, to najpierw uderzymy do Gabrysia, a dopiero potem skonfrontujemy to z tym tutaj.

Bolek wyszedł z warsztatu. Wręczył paczuszkę Marcinowi.

– Pamiętaj pan, wężyki! – zawołał za wycofującym się przez wąską bramę porsche.

Kiedy Marcin przyzwyczał wzrok do mroku i dymu, ujrzał najpierw starą wersalkę przykrytą obszarpanym kocem w kolorowe kółka. Na wersalce ktoś siedział z dziwnie przekrzywioną głową – ktoś bardzo duży, ubrany

w rozciągnięty dres z logo Adidasa. Ciemne zmierzwiłone włosy w zupełnym nieładzie, bezkształtna twarz, pulchny nos i obwisłe policzki miały w sobie coś z rozgotowanych kartofli. Duże ciemne okulary w stylu *Akademii policyjnej*. Facet trzymał pada od konsoli i gapił się w stary kwadratowy telewizor, stojący na szafce ze sklejki. Na ekranie kreskówkowy kaczonek stroił groźne miny i przeskakiwał po platformach przypominających ociekającą sosem lasagne.

– Dzień dobry – wymamrotał Marcin.

Tamten dalej gapił się w telewizor i ruszał gałkami na padzie.

– Jeszcze jeden gościu z opieki? – spytał nosowym głosem alergika. – Parker, mamy dziś konsylium jakieś – wychrypiął w stronę przedpokoju. – Chodzi o koncerty? Ja się już lepiej czuję, ale jeszcze nie na siłach. Nie chcę skończyć jak ten Jackson.

– Że co niby?

– Że co co? – burknął facet. – Mogę jechać do Vegas, ale na wiosnę. Lizamari nie poszła w tym roku do szkoły. Ja rozumiem, kontrakt, ale no sorry, nie dam rady się wcisnąć w kombinezon.

„Jezu, Andrzej, po co ty mnie tu przywiozłeś?” – pomyślał Marcin ze zgrozą.

– Parker strasznie mnie ciśnie, wiesz? – ciągnął facet w okularach. – Pieprzy, że jak teraz nie wyjdę z Grejslend, to już nigdy nie wyjdę. Będzie po zawodach. Koniec, mogiła, nikt nie zapłaci. Teraz albo nigdy. Bo jak nie, to królem będzie Zenek.

Marcin patrzył na faceta z otwartymi ustami.

– Znam twoje piosenki – przemógł się w końcu. – Nie wszystkie, raczej te wczesne. *Love Me Tender* na przykład.

– Tandeta. A *Jailhouse Rock*? – Facet podrapał się po kartoflanym policzku.

– Jasne. – Marcin wysapał jedyną słuszną odpowiedź. – Uwielbiam twoje kostiumy, Królu. Zwłaszcza te z cekinami.

– Parker oddała je do pralni – powiedział Elvis i zapadł w coś na kształt letargu.

Marcin zdał sobie sprawę, że zaczyna na niego działać wszechobecne THC. Zakręciło mu się w głowie i wyszedł do przedpokoju.

Andrzej siedział w kuchni na taborecie i patrzył spode łba, jak mała czarownica, zwana Parkerem, waży towar na kuchennej wadze. Dziwnie to wyglądało. Marcina ogarnęło nieznane mu uczucie paranoi i podejrzliwości.

– Co robicie? – spytał nieswoim głosem.

– A jak myślisz? – Andrzej podniósł głowę. – Zagadałeś z Elvisem? Jest jakaś nić porozumienia?

– Nie wiem. Wiem tylko, że nie może jechać w trasę.

– Do roboty nie chce iść – zaskrzeczała Parker.

– A pani co? Święta? – Marcin poczuł gniew boży. – Kto mu ten szajs kupuje?

– Dobra, spokój. – Andrzej wstał i potrząsnął Marcinem. – Zaraz wyjdiesz na dwór, okej? Będziemy się zmieniać co piętnaście minut.

– I niby co potem?

Andrzej wyprowadził Marcina w głąb przedpokoju.

– Ten koleś – ściszył głos – był kiedyś chodzącym archiwum. Wiedział wszystko, co się działo na osiedlu i w okolicach. Zanim mu odpierdoliło oczywiście.

– Zasada numer jeden. Nie obrażaj Króla, Andrzej – wysapał Marcin. – Pamiętaj, nie obrażaj Króla.

– Postaram się. A teraz won na powietrze.

Pięć minut później Andrzej mniej więcej rozkminił sekret tego domostwa. Facet w tanich odblaskowych okularach, którego dawno temu znał jako Gabrysia – swój niezawodny, choć trochę nadgorliwy kontakt – był teraz Elvisem. Elvisem, który cztery lata temu wszedł do budynku i już z niego nie wyszedł. Chuda jak szczapa kobieta z wylupiastymi czarnymi oczami była Pułkownikiem Parkerem, jego menadżerem i bodyguardem. Elvis nie mógł funkcjonować bez trawy, a i Parker wyglądała, jakby opary wyżarły jej połowę mózgu. Andrzej ośmielił się zajrzeć do lodówki. Na górnej półce królowały kartony z jajkami. Poza tym margaryna i trochę paczkowanej mielonki. I oczywiście – jak zawsze w podobnych okolicznościach – obraz z Matką Boską nad stołem w kuchni, z brudną od tłustego kurzu szybką. Andrzej pomyślał, że w tym domu nawet Matka Boska musi być ujarana.

– Królu? – Wszedł do pokoju. – Pewnie mnie nie pamiętasz?

Elvis spojrział na Andrzeja spod zażółconych szkieł. W dłoni miał firkę nabitą świeżym towarem od Bolka.

– Czy ja cię pamiętam? Wyglądasz jak taki jeden fiut Rulewski, z gazety. Spotykałem się z nim kiedyś na mieście, ale nigdy nic nie opublikowałem, ścierwo. Ale to pewnie przypadkowo całkiem, bo ty jesteś gościu z opieki.

– To ja – warknął Andrzej. – Ten sam.

– Wylali cię z gazety? – spytał Elvis niepewnie, a firkę zawisła w połowie drogi do spierzchniętych ust. – Gdzie jest Parker?

– Pali fajka na balkonie.

Elvis wyglądał, jakby powoli przetwarzał w głowie tę dziwną sytuację. W końcu zaciągnął się trawą i spojrział na powrót w telewizor.

– Co cię sprowadza do Grejslend, Rulewski? – wykrztusił razem z dymem.

Andrzej pomyślał, że nie jest dobrze przygotowany do tej rozmowy.

– Posłuchaj, Gabrys... – zaczął.

– No nie, Rulewski, tak nie będziemy rozmawiać. Gabrys to niebieska lokomotywa, *you know what I mean?*

– No więc... – zawahał się Andrzej. – Królu? Czy Król pamięta jeszcze, co się działo na osiedlu osiem lat temu?

Elvis dotknął pulchną dłonią czoła.

– Podzespoły mi szwankują. Miałem zwiechę systemu. Parker obiecała kupić mi nową pamięć, ale RAM jest teraz drogi.

– A w tej starej pamięci?

– A w tej starej error sto pięćdziesiąt dwa.

Andrzej przysiadł na brzegu wersalki.

– A gdybym zadał ci kilka pytań? Parę imion? Może byś coś znalazł?

– Możesz próbować.

Andrzej już chciał wziąć głęboki oddech, ale się powstrzymał. Wolał zachować przytomność umysłu.

– Igor, siedemnaście lat, miał na szyi medalion, róże i pistolety. Potem ktoś go spalił pod Radzyminem – wyliczył szybko.

Elvis przez kilka chwil masował się paluchem po dżiąśle.

– No nie wiem. A zagrasz ze mną w *Raymana*? – Wskazał dłonią na telewizor. Andrzej pokręcił głową.

– Nie, Gabrys, to znaczy Królu, nie będę z tobą grał na konsoli. Muszę dowiedzieć się kilku ważnych rzeczy. Słyszałeś, co do ciebie mówiłem?

Elvis zaciągnął się znów firką i wydmuchał dym pod sufit.

– Za mało danych, Rulewski.

Andrzej zerknął na balkon. Pułkownik Parker dogaszała kiepa w doniczce z suchym badylem.

– A może to? – Zaczął znowu. – Znasz fast food przy wylotówce? Koleś o wyglądzie hieny wpada do baru, obraża kelnerkę, wyciąga pistolet i przystawia go chłopakowi do głowy?

– Za mało danych. – Elvis odchylił się i zakrztusił.

– Jak za mało, kurwa? – wysyczał Andrzej. – Nie pamiętasz? Kiedyś pamiętałeś, kto co jadł i za ile. Chcesz mi powiedzieć, że nic już nie zostało z tego wielkiego umysłu?

– Chcesz zagadać z moim umysłem? Stary, ciężka sprawa, ostatnio często się mijamy. Nie chce ze mną gadać. Nie wiem, o co mu chodzi. Ale weź wyluzuj, stary. Pyknij ze mną w *Raymana*. *Legends* jest w chuj trudne w moim stanie.

Andrzej wstał z wersalki i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Marcin wszedł do pokoju. Po spacerze dookoła budynku miał już nieco czystsza głowę. Elvis siedział na wersalce, puszczał kółka z marihuany i oddychał chrapliwie.

– Rany boskie, szesnasta na zegarze – zaskrzeczała z kuchni matka. – Co byś zjadł? No powiedz, kochaniutki, jakie masz życzenie?

Twarz faceta stężała w dziwnym grymasie.

– Tagliatelle!!! – wykrzyknął z rozpaczą w kierunku kuchni. – Jebane focaccia! Spaghetti alla carbonara!

Parker stanęła w drzwiach i wlepiła w niego wybałuszone oczy. Wyglądała jak daleka krewna Lemura Zawadzkiego z ministerstwa. Marcin oparł czoło o dłoń i stłumił napierający z przepony rechot.

– Znaczy się... jajecznicą! – wykrzyknęła matka z ulgą.

– Chcesz mnie zajebać, Parker! – odkrzyknął Elvis. – Pierdolę Vegas!

– Oj tam, oj tam.

Elvis pokręcił głową, samotny w swoim kulinarnym nieszczęściu.

– A ty czego chcesz, chudy koleżko Rulewskiego? – spytał Marcina głucho. – Też masz jakieś zapytania? Już mówiłem twojemu kumplowi, że mi się przepaliło we łbie.

– Jak nie ma po co pytać, to nie ma – odpowiedział Marcin ze stoickim spokojem.

– To może zagrasz w *Raymana*? Na dwa pady. Zaciąłem się na trzecim świecie. – Gabryś popatrzył spod okularów.

Marcinowi wydało się, że dostrzegł pod ciemnymi szklami jakąś niemą prośbę o pomoc.

– Nie umiem – odpowiedział.

– No co ty? Bierzesz pada i grasz.

Wzruszył ramionami. Elvis nachylił się, jakby chciał wyjawic jakiś sekret.

– Parker robi najbardziej obrzydliwe tagliatelle – szepnął. – Zrób coś z tym, wielkie pliz.

Marcin pokiwał głową. Wszedł do kuchni i zamarł. Dżizas! Matka Gabrysia wbijała właśnie do wielkiej szklanicy od piwa sześć jaj. Zasypała to garścią soli, zabełtała drewnianą chochlą i wlała na patelnię. Jajka zabulgotały na gorącym oleju.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział Marcin cicho. – Może ja zrobię to... tagliatelle?

Parker wyglądała na niezadowoloną z najścia intruza.

– Gabryś lubi taką. – Zamachała chochlą.

– Nie ma pani może ochoty na fajeczka? – Wziął kobietę pod ramię i delikatnie wypchnął z kuchni.

Odeszła, mrucząc: „Jezus, Maria i wszyscy święci”, i zamknęła się na balkonie. Pstrykała chwilę zapalniczką, a potem rozeźlona patrzyła przez szybę. Marcin zabrał patelnię z breją z kuchenki i cicho przemknął do małej zagrzybionej toalety. Wylał jajecznicę do kibla i pociągnął za gruby łańcuch z ułamaną rączką, która kiedyś była różowym słonikiem. Rezerwuar zabulgotał

pod sufitem. Marcin uskoczył przed bluzgającym na boki strumieniem. Zła jajecznicą spłynęła do Wisły.

Wrócił do kuchni i zajrzał do lodówki. Zza kartonów z jajkami wygrzebał ostatek masła. Resztę znał na pamięć, bo boską jajecznicę nauczył go robić ojciec jeszcze przed rozwodem, a Marcin tym przepisem zauroczył Martę na trzeciej randce. Rozgrzać patelnię, rozpuścić masło, trzy jajka jak do sadzonych, białko ścina się i wtedy delikatnie miesza się je z żółtkiem. Trochę soli, trochę pieprzu. Gdyby była jeszcze cebulka, szczypiorek albo... Zresztą nieważne. Nie było. Niczego.

Andrzej wszedł do pokoju w momencie, gdy Elvis zgarniał kawałkiem chleba końcówkę jajecznicy.

– Człowieku, jadłem taką w Warszawie, jak jechałem na kolonie w piątej klasie. – Postukał widelcem w talerz. – Nie jest to może tagliatelle, ale co tam, nie ma na rachunki...

– Nie jaraj tyle, to se kupisz tagliatelle – przerwał mu obcesowo Andrzej.

Wielki facet miał na twarzy coś w rodzaju uśmiechu. Bielawski siedział na skraju wersalki i wyglądał na zadowolonego z siebie. „No dobra – pomyślał Andrzej. – Czas na interesy”.

– Słuchaj, Królu. – Podniósł palec. – Zaczniemy od początku. Pamiętasz coś o Igorze? Muzyk. Miał zespół, bujną czuprynę, palił dzointy na osiedlu. Ktoś go wywiózł do lasu i oblał benzyną. Nikt się tym nie chwalił?

Elvis wyglądał, jakby nie usłyszał ani słowa.

– Po dobrym obiadku trzeba pyknąć w *Raymana*. Dajesz? – spytał Marcina.

„Ja pierdolę – pomyślał Andrzej ze złością. – To na nic”.

– Zagrasz z nim w tę pieprzoną grę, Marcin? – spytał szorstko.

Bielawski znów wyglądał na ujaranego.

– Mogę spróbować – zaśmiał się dziwnie.

– Dobra, Królu, *deal* jest taki. – Andrzej stanął między Elvisem a telewizorem. – Kolega zagra z tobą na konsoli, a ty masz tu komplet informacji. O Igorze już mówiłem. Muzyk, trup, medalion, pistolety i róże. Ten drugi miał na imię Artur. Pracował w fast foodzie przy wylotówce. Jest wieczór, przyjeżdża



naspidowany koleś podobny do hieny, wyciąga pistolet i grozi Arturowi. Coś jeszcze? – rzucił do Marcina.

Marcin spojrzał na niego przeciągle. „Nie odpłyni mi tu teraz” – przestraszył się Andrzej.

– Była też wielka zadyma po Legii. – Marcin wymuszał z siebie słowa. – Bitwa na Starówce. Dzień później był półfinał Ligi Mistrzów. Barcelona grała z Chelsea. W samochodzie pod fast foodem siedziało jeszcze dwóch. Jeden był dużym facetem.

– Nie mamy więcej danych. – Andrzej wysilił się na uśmiech. – Wrzuć to do pamięci, bardzo cię prosimy.

Elvis bezrozumnie pokiwał głową. Andrzej przewrócił oczami.

– A teraz Marcin zagra z tobą w rejmena, czy jak to się tam nazywa.

Marcin czuł, jak opuszcza go świadomość. Od pół godziny siedział na wersalce obok nieruchomego Elvisa i trzymał w dłoni pada od konsoli. Na ekranie biegały jakieś dziwne stworzenia, Elvis co jakiś czas komentował poziom trudności albo mruczał pod nosem. Nowe modele Playstation mogłyby dla niego nie istnieć. Za dużo realizmu, stary, to już nie to. On wolał, żeby gry były podobne do snu. Kiedyś grał po nocach w *Silent Hill*. Przestał, bo nie mógł potem zasnąć i brał chrapanie Parkera za sygnały nadejścia Piramidogłowego.

Powieki Marcina stawały się coraz cięższe i cięższe. W pewnym momencie złapał się na tym, że przestał poruszać gałkami na padzie.

Marta... Siedzi w domu i się zamartwia czy jeszcze bardziej zacieśnia babski tandem z Julią? W sumie to jego wina. Gdyby nie wypielegnował w sobie tego dystansu do Marty, przyjazd Julii byłby tylko ciekawostką przyrodniczą. Wstrzeliła się. I jeszcze trafiła na moment, gdy na terapii wyszły dziwne sprawy...

*Fuck*, jutro kolejne spotkanie, a on przez ostatni tydzień nie ruszył palcem tamtego tematu, na który się umówił. Ojciec. Miał wziąć się w garść i zadzwonić. Wrocław, to tylko trzysta pięćdziesiąt kilometrów, a wydaje się, jakby na drugim końcu świata. Są pytania, przydałyby się odpowiedzi. Z tych odpowiedzi powstaną może nowe pytania, ale to już byłby jakiś krok do przodu. A tak? Stoi w miejscu. Posypie mu się jeszcze bardziej.

Tak naprawdę powinien być teraz w domu, wczuwać się w rolę młodego ojca, przeglądać Allegro, wybierać mebelki do pokoju dla dziecka i pilnować, żeby Julia nie nakładła Marcie bzdur do głowy. Tymczasem siedzi u jakiegoś ćpuna na brudnej wersalce, sam ujarany od tego unoszącego się w powietrzu smrodu. Czy Marta miała rację, gdy mówiła, że boi się zostać ojcem? Nie, nie boi się. To tylko taki kryzys. Praca w urzędzie od razu po studiach, dziecko w drodze, żona podobna do niego charakterem. Jak o nich mawiają znajomi? Marta i Marcin, emenemsy. To trochę jak zapowiedź starości. Koniec młodości.

A co, jeśli ktoś nic w tej młodości nie przeżył? Jeśli żył tylko muzyką, filmami, życiem innych? Jeśli do tej pory żył jak w klatce?

„To wszystko nie ma żadnego sensu” – pomyślał Andrzej, obserwując spod drzwi tamtych dwóch. Gabrys już nie ma mózgu. Jeśli jeszcze ta czarownica karmi go od sześciu lat jajecznicą, to skurwiel na pewno ma cholesterol ponad wszelkie normy. W tej głowie został tylko *Rayman*.

Trzeba było po Igorze iść do psychologa, kurwa. Wyczyścić się do cna, nie samą wodą, tylko bardziej profesjonalnie. Dopuścić do siebie myśl, że lekkiego PTSD można nabawić się niekoniecznie na misji w Afganistanie, ale i przez straszny widok w ciemnym lesie, w upiornym świetle latarki fotografa Mundka. Spuścić medalion do zsypu albo zrzucić z mostu Świętokrzyskiego do Wisły. A najlepiej w ogóle go nie zabierać i nie słuchać potem wyrzutów sumienia, że gdyby go zostawił na trupie, to może zabójca Igora od dawna by już gnił w więzieniu. No bo w końcu to był jedyny trop.

Ale stało się. Pozamiatane. Teraz ten pieprzony przedmiot sam się wyrwał na światło dzienne. Nie ma co się uchylać. Taka karma.

Elvis pomyślał, że jest superzajebicie. Siedział obok niego ktoś, kto nie był Pułkownikiem Parkerem. Priscilla i Lisa Marie poszły akurat na zakupy. Mógł wreszcie komuś pokazać, jaki jest dobry w *Rayman Legends*. Co prawda ci ludzie czegoś od niego chcieli. Byli mili, w sumie. Rulewski kiedyś w gazecie był miłszy. Teraz, jak pracuje w opiece, zrobił się gburowaty. No ale to normalne, w opiece nie płacą jak w gazecie. Ten drugi zabił go tą jajecznicą. Szkoda, że Parker się tego nie nauczy, Parker już nigdy niczego się nie nauczy. Jest stara, zrzedzi i jest kiepskim menadżerem. Chciałaby tych koncertów w Vegas i nie

rozumie, że Elvis jest na emeryturze. Na emeryturze człowiek chce odpocząć, pograć na konsoli, a nie szwendać się po ulicach, kopać rowy, kłaść chodniki i robić z siebie głupka.

Uśpiona część umysłu Gabrysia otworzyła swoje zaropiałe oczka i zwlekła się z brudnego wyra. Jak to powiedział ten Rulewski? Igor. Ło matko, toż to prehistoria. Ten blok pamięci już dawno temu umarł. Ale może coś zostało w kopii zapasowej?

No, był wtedy taki jeden Igor. Szczyłek z wielkim mniemaniem o sobie. Artysta. Lubił robić sobie ze wszystkiego podśmiejchujki. Próbował dilaować. Gabryś raz kupił od niego towar, ale to był *shit*, zaprawione chemią trociny. Gabryś poszedł z reklamacją, ale Igor tylko się śmiał, a potem sobie poszedł. Źle potraktował Gabrysia, oj źle. Medalion? Igor nigdy nie pokazywał Gabrysiowi żadnego medalionu. Ale zaraz...

Down Maciek. Pamiętasz tego fagasa? Ktoś powiedział Gabrysiowi, że Down Maciek mówił, że on i jego dwaj kumple muszą dać Igorowi nauczkę. Źe Igor coś komuś ukradł i nie chce oddać. Jakąś błyskotkę, może to był medalion?

Down Maciek i ci dwaj kumple lubili ostrzejsze dragi. Jeździli po wylotówce grubo ponad sto trzydzieści. Drogówka nigdy ich nie złapała, a jak był fotoradar, to jeden z tych kumpli jeszcze przyspieszał i śmiał się jak hiena...

– Wody... – wycharczał Elvis i upuścił pada na podłogę. – Pliz, dehydratacja w sektorze dziewiętnastym!

Andrzej spojrział na Marcina, ale ten miał szklisty, nieobecny wzrok. Wyszedł do kuchni i wrócił po chwili ze szklanką kranówki. Podał ją Elvisowi. Elvis zanurzył w wodzie spierzchnięte usta i chleptał powoli.

„Legia, Barcelona, Chelsea” – zabłysły uśpione skupiska neuronów. Rudy mówił Gabrysiowi, że urwał się z tej zadymy na Legii, chciał się wyspać, a następnego dnia miał być półfinał Ligi Mistrzów. Podjechali jeszcze z Dzonsonem pod fast food na rowerach. Rudy mówił, że już mieli wejść, ale Dzonson go klepie w ramię: „Ty, Rudy, zobacz!”. A tam w środku stoi wściekły kolo i celuje z pistoletu w człowieka. Rudy patrzy: rzeczywiście. Wystraszyli się nie na żarty i już mieli odjechać, ale widzą, że w samochodzie z tyłu siedzi Down Maciek

i jara blanty, a z przodu jeszcze jeden koleś. Ma ksywę Tatko, taki kark z tego drugiego osiedla, ma żonę i małe dziecko, ale i tak cały czas wali amfę i szwenda się z tym pojebem Maćkiem. Tatko jest zły, wali w szybę i coś wrzeszczy do tego z pistoletem, ale tamten go nie słyszy. Tego z pistoletem Rudy i Dżonson nie znają. Tyle tylko, że to taki pojeb, który zjawia się czasem na osiedlu, lubi startować do każdego i zawsze dziwnie się uśmiecha. Wsiadają na rowery i odjeżdżają. Wolą być głodni, niż się napatoczyć pod lufę temu debilowi.

– Tagliatelle raz jeszcze! – krzyknął Elvis, wyrywając Marcina z letargu.

Marcinowi śniło się, że jest kreskówkowym królikiem Benny'ego o małych niebieskich oczkach i że goni go po klatce wielki owłosiony pistolet.

– Masz coś? – spytał sennie.

– Gdzie jest Parker?

Andrzej wskazał na ciemny kąt. Pułkownik Parker drzemała w małym wiklinowym fotelu pod szarym kocem.

– Parkera nie budzić – wycharczał Elvis. – Mam pomysł na nową piosenkę.

Z chaosu słów Elvisa zajądającego drugą jajecznicę Andrzej starał się wyłowić wszystko, co mogło im się przydać w śledztwie. A więc Igor nie był niewiniątkiem. Zespół, dobry głos, gandzia pod blokiem – to jedno. A z drugiej strony – kiepski diler i kanciarz. W nieznanym Elvisowi okolicznościach ukradł komuś medalion z różami i pistoletami. A gdy kręcił i nie chciał go oddać, ktoś z półświatka kazał chłopakowi o hienowatym uśmiechu, żeby go postraszył i odzyskał błyskotkę.

Andrzej podrapał się po głowie. Dlaczego w takim razie medalion został na trupie Igora? Czyżby hienowaty Banzaj i jego dwaj kumple, Tatko i Down Maciek, naćpali się i przesadzili?

– Dlaczego down? – spytał Marcin, strzelając palcami. – Miał zespół Downa?

– Nie – odparł Gabryś, wylizując talerz. – To był taki bezmózg, co oprócz najgorszego skuna walił też amfę i dopalacze.

Andrzej i Marcin spojrzeli na siebie ze słabymi uśmiechami.

– Ten Maciek jakoś wyglądał? – spytał Andrzej. – Albo Tatko?

– Tatko. Wielki kark. Żona i dziecko. Więcej nie pamiętam. A Maćka to nawet jakbym ci opisał, to i tak nic ci to nie powie.

– I pewnie nie wiesz, co teraz porabiają?

– Elvis nie wyszedł z budynku, pamiętasz?

Marcin ostrożnie minął śpiącą matkę Gabrysia i wyszedł na balkon. Dochodziła osiemnasta, powoli zapadał zmrok. Na osiedlu wysokich bloków zapalały się światła w oknach.

Dwa koła zębate zetknęły się i wprawiły nawzajem w ruch. Sprawa Igora. Sprawa Artura. Dwa osiedla przedzielone wąskim sosnowym laskiem. Do tej pory sądził, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim. A jednak...

Banzaj. Naspidowany typ w sportowej bluzie, który wyciągnął pistolet na Artura, bo ten miał czelność bronić koleżanki. Miał postraszyć Igora, żeby odzyskać skradziony medalion. Zabił.

Czy pistolety i róże miały coś wspólnego z Arturem? Tego Marcin nie wiedział.

A Tatko? Pod fast foodem siedział w samochodzie, ukryty w mroku, i darł się przez szybę do Banzaja, gdy tamten odstawiał swój mały spektakl. Mógł wysiąść i złapać swojego nadpobudliwego koleżkę za fraki. Może się bał? Ale czego? Że Artur go rozpozna? Marcin przypomniał sobie Adama, dziwnego sąsiada Sosnowskich, dużego nieźrównoważonego faceta w spranej koszulce z białym orłem. W ogródku siedział chłopak, zapamiętałe grał na konsolce. Osiem lat temu miał pewnie ze trzy czy cztery lata.

Coś poszło nie tak w tym lesie. Mieli odzyskać medalion, a zostawili go na trupie. Banzaj w scenie z fast foodu wyglądał na takiego, co nie umie się powstrzymać. Jest zły, może okrutny, ale czy głupi?

Wrócił do pokoju i przymknął drzwi balkonowe.

– Królu, Gabrysiu, czy jak ty się tam nazywasz – powiedział Andrzej, wpatrując się w ciemne okulary. – Sorry, ale nie jestem z opieki społecznej.

– Tego to ja się domyśliłem – mruknął Elvis podejrzliwie.

– Dużo nam dzisiaj dałeś, Królu. – Andrzej uśmiechnął się krzywo. – To był prawdziwy *Jailbreak Hotel*.

– *Heartbreak* – zakrztusił się Elvis. – *Heartbreak Hotel*...

Wtedy stało się coś dziwnego. Gabryś, krztusząc się, powoli zdjął ciemne okulary. Marcin zobaczył pod nimi zaczerwienione niebieskie oczy z mętną rogówką. Bładoczerwone powieki, spuchnięte i ciężkie. „Jezu, przecież on ma dopiero ze trzydzieści lat, a wygląda na pięćdziesiąt” – pomyślał ze zgrozą. Cała trawa momentalnie wywietrzała mu z głowy.

– Jezusie, Maryjo. – Matka Gabrysia ziewnęła. Wstała z krzesła, otuliła się pledem i podeszła do okna.

– Słuchaj, człowieku. – Marcin spuścił wzrok. – Weź wyluzuj z tym towarem. Przejdź się na spacer. Zaczepnij trochę świeżego powietrza. Zrób coś ze sobą. Masz zajebistą mózgownicę, nie wiem, idź do *Milionerów* albo *Jeden z dziesięciu*. No i odstaw jajka.

– To nie takie proste. – Elvis spojrzął przed siebie. – Już mówiłem, Parker nie umie...

– Żadnych więcej jajek, słyszy pani? Niech on wreszcie zje coś innego.

Pułkownik Parker nie odpowiedziała. Stała dziwnie pobudzona przy oknie. Czarne oczy niemal wychodziły jej z orbit. Wyglądały, jakby miały zaraz wyskoczyć i przykleić się do szyby.

– Panie najświętszy – szepnęła. – Matko Boska, o co chodzi, o co chodzi...?

Marcin i Andrzej spojrzeli po sobie.

– Gabryś, Gabryś...

– Co się dzieje, Tom? – wymamrotał Elvis.

– Tamten pan! – krzyknęła Pułkownik Parker. – Pan Maciej idzie.

„Myśl, Andrzej, myśl! – Rulewski poczuł nagle zastrzyk rozlewającej się pod żołądkiem adrenaliny. – Jesteś u Elvisa, Król wszystko wyśpiewał, a teraz być może dostajesz na złotej tacy Downa Maćka! Trzeba coś zrobić, trzeba to wykorzystać. Kurwa, Andrzej, weź się w garść! Powiedz to wreszcie”.

– Jesteśmy z policji – wysyczał Andrzej ze złymi ognikami w oczach.

Marcin, Elvis i Pułkownik Parker spojrzeli na niego w osłupieniu i Andrzejowi przez moment zrobiło się głupio. Dopiero co Bielawski wyciągał przecież biednego Elvisa kilkoma żołnierskimi słowami z marihuanowego bagna, a chwilę potem stary znajomy Rulewski niszczy to i przekreśla nadzieję na lepsze jutro.

Marcin rzucił się w kierunku Andrzeja z niemym protestem w oczach, ale ten chwycił go mocno za ramię.

– Nie teraz – syknął Marcinowi do ucha. – Graj, durniu.

Marcin wykrzywił usta w grymasie. Parker bełkotała coś pod nosem. Elvis spokojnie założył okulary i wystawił ręce do kajdanek.

– Nie, Gabryś. – Andrzej pokręcił głową. – Jeszcze nam się przydasz. Prawda, sierżancie? – zwrócił się do Marcina.

Marcin wyglądał, jakby neurony strzelały mu pod czaszką jak korki przy przepięciu. Mrugał oczami i przełykał ślinę.

– Prawda, sierżancie Bielawski? – podniósł głos Andrzej.

– Tak, prawda. Gabryś, przykro mi, pracujemy nad sprawą – mruknął Marcin niewyraźnie.

Andrzej prychnął ze złością.

– Niezłą tu sobie urządziłeś melinę – wycedził. – Miłosierne społeczeństwołoży na ciebie, a ty wszystko z dymem puszczasz. Ale teraz czas na nas. – Zaczął ciągnąć Marcina w stronę drzwi. – Pamiętaj, Gabryś, Rulewski patrzy na ciebie.

– Ależ panie najśladzszy, daj żyć, daj żyć! – Pułkownik Parker zaczęła łkać. – My tu biedne takie, siedzimy jak myszy pod miotłą.

– Powiedzcie temu Maciejowi, że czekamy na niego pod blokiem – rzucił jej Andrzej na odchodne.

Ruszyli zadymionym korytarzem i wyszli z mieszkania. Andrzej cicho domknął drzwi.

– Co ty odstawiasz...? – zaczął Marcin.

– Mówilem, nie teraz. – Andrzej zerknął nerwowo w stronę wyjścia z klatki. – Teraz wychodzimy i nie zwracaj uwagi na chuja przy domofonie.

Zeszli szybko po ciemnych schodach. Na ostatnim stopniu Andrzej usłyszał znajome terkotanie. Poderwał się, przeskoczył ostatnie metry i otworzył drzwi na oścież.

Na zewnątrz stał jakiś facet w cienkich okularach, grubo po czterdziestce. „Cholera, to nie Down Maciek. Chyba” – przemknęło Andrzejowi przez myśl. Gość ubrany był w ciemne dżinsy i zieloną kurtkę z białym futrzanym kołnierzem. Pod pachą trzymał wytartą skórzaną teczkę. „Włóż, zanim ostrzeże cię Pułkownik Parker” – pomyślał Andrzej i spojrzał na faceta wilkiem.

– Proszę, proszę wejść – powiedział przymilnie. – Gabrys jest w domu.

Facet zerknął badawczo. Obejrzał się jeszcze i zniknął na klatce schodowej.

Marcin nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Rulewskiemu najwyraźniej musiała rzucić się na mózg cała ta wisząca w powietrzu trawa.

– Możesz mi teraz wytłumaczyć tę szopkę? – spytał cicho.

– Ty, słyszysz? – Andrzej podniósł palec.

W powietrzu rozbrzmiał daleki pogłos dzwonek. Proboszcz znów nacisnął przycisk.

– Ha, osiemnasta!

– Możesz?

– Słuchaj. – Rulewski wyglądał jak opętany. – Albo to jest Down Maciek, a jeśli nie, to na pewno zna Downa Maćka, albo zna dilera, który zna Downa Maćka. W każdym razie namieszałem Gabrysiowi i jego matuli w głowach. Oni teraz pewnie biadolą, jak się wystawili przed psami. – Wskazał na światło



w oknie mieszkania. – Więc my tu teraz poczekamy pod klatką i zgarniemy jako psy tego idiotę z opieki.

Marcin jęknął. Jezu, co powiedzieliby ludzie z ministerstwa, gdyby dowiedzieli się, że odgrywał gliniarza pod śmietnikiem śmierdzącym rybą?

– Człowieku, to chyba nielegalne...

– Bujaj się, nielegalny to jest Maciej z opieki opylający skuna Gabrysiowi. – Na twarzy Andrzeja wykwitł złośliwy uśmiech. – Po prostu łapiemy chujka i wyciągamy z niego wszystko, co wie, zanim się połapie. Pamiętaj tylko, graj. Graj do końca.

Marcin próbował to sobie zwizualizować, ale scena za bardzo przypominała *Żandarma z Saint-Tropez* z pociesznym Louistem de Funès. *Brudny Harry*, tak, to jest to. Sierżant Callahan z wielkim magnum. Marcin poczuł, jak pod pachą wyrasta mu kaliber czterdzieści cztery.

Stali z Andrzejem pod klatką i nasłuchiwali kroków niesfornego Macieja. Marcin pierwszy zauważył jakiś ruch na balkonie, gdzie Pułkownik Parker kurzyła wcześniej swoje tanie ruskie papierosy.

– Tam jest, skurczybyk! – zawołał, wskazując na balkon.

Facet przelazł właśnie przez barierki, a matka Gabrysia stała za nim z kłódką od krat w dłoni. Zanim do niego dobiegli, zdążył zeskoczyć w krzaki i odbiec kilka kroków.

– Stój! – Marcin wycelował w niego niewidzialnym magnum.

Facet zatrzymał się w miejscu, a Marcin poczuł, że serce wali mu jak oszalałe. Andrzej przez chwilę stał nieruchomo, jakby stracił całą wenę. Potem podszedł od tyłu do przerażonego Macieja, wyciągnął z płaszcza legitymację prasową, przygryzł wargi, zmitygował się i schował. Obrócił faceta szybkim ruchem.

– Policja – wysyczał tamtemu w twarz. – Jazda! Za śmietnik.

Gość wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać. Okulary miał przekrzywione, drżały mu policzki i nerwowo przełykał ślinę.

– Ja już nie będę, przyrzekam – wyszeptał.

– No na pewno. – Rulewski popchnął go w stronę śmietnika. – Odpowiesz nam na kilka pytań, a potem zobaczymy.

Facet z opieki nie stawiał żadnego oporu. Nie pytał, nie kwestionował. Chciał tylko dorobić sobie do marnej pensji. Andrzej grał rolę złego gliny, a Marcin – dobrego. Najszybciej poszło im ustalenie, że facet nie był Downem Maćkiem, a trawę brał od jakiegoś osiedlowego ziomka. No i wyszło coś jeszcze. Nigdy nie dawał matce Gabrysia zasiłku do ręki. Marcin kątem oka dostrzegł skwaszoną minę Andrzeja, gdy ten dowiedział się, że wyskoczył z kasy niejako na własne życzenie.

Odciągnął Rulewskiego kilka kroków od śmietnika.

– Co robimy? – spytał.

– Niech popyta, w końcu dobrze zna tutejszą patologię.

Wrócili do postukującego butami o chodnik Macieja.

– Sierżant Bielawski zostawi ci swój numer – zaczął Andrzej bez ogródek, a Marcin jęknął w duchu. – Masz mi do jutra znaleźć kolesia z tego osiedla. Maksywę Down Maciek. Możliwe, że już tu nie mieszka, ale mieszkał osiem lat temu. Pochodź i popytaj.

– Ale o co mam pytać? – zakwilił facet żałośnie.

– O Downa Maćka, do kurwy nędzy – wypalił Andrzej zniecierpliwiony. – O pieprzonego narkusa. Trawa, mocne dragi, co tam jeszcze masz w asortymencie. Ani mru-mru, że szukają go gliny, bo cię znajdę i nie będę już taki miły. Możesz powiedzieć, że szuka go facet z gazety. Do wywiadu.

Maciej pokiwał głową. Marcin dał mu swój numer, żałując, że nie sprawił sobie telefonu na kartę do tej roboty. Andrzej lekceważąco machnął ręką i facet powoli odszedł. Zniknął w mroku, mamrocząc pod nosem: „Z gazety, do wywiadu”.

Marcin spojrział na zegarek i zamarł. O dziewiętnastej miał zjawić się w domu Jana Adlera i zluzować nianię. Za nic w świecie nie zdąży pojechać jeszcze na Żoliborz po walizkę z rzeczami, nawet jeśli wyżebrze u Rulewskiego podwózkę. Musiał się zdecydować: Żoliborz czy niania.

– Słuchaj. – Odwrócił się do Andrzeja. – Podrzucisz mnie jeszcze gdzieś?

– Spoko. Masz adres?

Zdziwił się, bo dojazd do willi aktora zajął im zaledwie piętnaście minut. Wyjechali poza Warszawę, ale tak naprawdę to wciąż była ta sama okolica.

Tylko osiedle było zupełnie inne – nowe, pod lasem, z czystymi uliczkami, chodnikami z równej kostki i stylowymi latarenkami, rzucającymi przyjemne zielonkawe światło. Tu na pewno nikt nie krążył z dżointami. Chociaż właściwie kto wie?

– Wygląda jak ryjowa okolica – mruknął pod nosem Andrzej. Po wjeździe na osiedle zrobił się dziwnie spięty.

– Ryjowa? Znasz to miejsce?

– Nie. Ale potknąłem się kiedyś na robocie w podobnych okolicznościach przyrody. Kosztowało mnie to sporo nerwów. Musiałem się potem pół roku użerać z wyszczekаныmi lisami.

– Dlaczego ryjowa? – drążył Marcin.

– Wiesz, co to ryj?

– Nie.

– Celebryta. Aktor, piosenkarz, nawet polityk. Taki, na którego wysyłamy paparuchów. Tak w ogóle, to po co tu przyjechaliśmy?

Marcin się zawahał.

– Obiecałem jednemu aktorowi, że zaopiekuję się jego dziećmi.

– Bez jaj. Kolegujesz się z aktorami? – parsknął Andrzej. – Jak się nazywa? Może zrobimy z tego *homestory*, tylko musiałbyś dyskretnie cyknąć parę fotek ze środka.

– Daruj sobie. – Marcin przygryzł wargi.

– Co?

– Igor, Artur. Tym się zajmijmy, okej?

– Jasne – odpowiedział Andrzej trochę za szybko. – To jak się nazywa ten twój kumpel aktor?

– Adler. Jan Adler.

– Nie znam. To znaczy kojarzę, ale to chyba nie pierwsza liga. Ani telenowele. – Andrzej spojrział na GPS wskazujący, że zostało im kilka przecznic do celu. – Powiedz mi jeszcze jedną rzecz, Marcin.

– Tak?

– Ty jesteś ten Kornel ze scenariusza? Bo mam wrażenie, że zrobiłeś się tam na wyjątkową cipę. Naprawdę taki jesteś czy to taka... kreacja?

Marcina zatkało. Zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Prawdę mówiąc, to pierwszy dzień całkiem spoko nam się udał – ciągnął Andrzej niezrażony. – Dałeś radę, a myślałem, że będziesz tylko kulą u nogi.

– Dzięki – mruknął Marcin.

Nie wiedział, czy ma ochotę na więcej wątpliwej jakości komplementów. Na szczęście po chwili krępującej ciszy aksamitny kobiecy głos obwieścił, że dotarli do celu podróży.

– Zawał? – spytała ściszym głosem pulchna kobieta po pięćdziesiątce. – Nikt do mnie nie zadzwonił przez cały dzień.

– Przepraszam. – Marcin zrobił niewinną minę. Wciąż miał w głowie resztki trawy i był przeraźliwie głodny. – To wszystko działo się tak szybko. Pan Adler zdążył dać mi tylko klucze i portfel, zanim pojechał do szpitala. Potem miałem bardzo zajęty dzień. Czy mam się z panią rozliczyć?

– Tak, poproszę.

Marcin sięgnął do portfela aktora. Niania wzięła pieniądze i weszła w głąb dużego jasnego przedpokoju, a Marcin za nią. Na kremowej ścianie rzuciła mu się w oczy artystyczna czarno-biała fotografia w antyramie. Dwie kobiety ujęte z profilu, zwrócone tyłem do siebie, brunetka obcięta na krótko i blondynka z włosami założonymi za ucho, zerkwały poza kadr takim samym gniewnym wzrokiem. Tymczasem zza wielkiej puchatej sofy stojącej w salonie spoglądały na niego ciekawskie oczy. Dziewczynka i chłopiec, Marcin poznał ich na spotkaniu z Adlerem w Koperniku. Uśmiechnął się przyjaźnie. Dziewczynka odwzajemniła uśmiech, ale chłopiec schował się głębiej za sofę.

– Naprawdę wolałabym, żeby pan Adler zadzwonił i powiedział mi, że mam zostawić panu dzieci pod opieką – wymruczała niania, patrząc Marcinowi prosto w oczy. – Niecodzienna sytuacja, przyzna pan.

– Niecodzienna – przyznał Marcin. – Nic nie poradzę, pan Adler jest w szpitalu.

Kobieta nie wyglądała na przekonaną, ale widać było, że gdzieś się spieszy.

– Dzieci są wykąpane i po kolacji – powiedziała. – Zuzia pokaże panu sypialnię. Prawda, Zuziu?

Dziewczynka pokiwała głową.

– Proszę się nie bać Franka. – Niania nachyliła się i ściszyła głos. – Bardzo mało mówi, a przy obcych potrafi w ogóle się nie odzywać. Ale jest grzeczny. Nigdy nie miałam z nim żadnych kłopotów.

– Okej, rozumiem – szepnął Marcin.

– Wrócę jutro rano. Zrobię im śniadanie i zaprowadzę do szkoły.

Marcin miał cichą nadzieję, że kobieta jednak się namyśli i w ostatniej chwili postanowi zdjąć czapkę i kurtkę. Zamiast tego spojrzała na niego uważnie.

– Wygląda mi pan na porządnego człowieka – powiedziała, patrząc mu głęboko w oczy.

Pokiwał głową. „Chyba się nie mylisz, kobieto” – pomyślał.

Jedenastoletnia Zuzanna – sprytna, choć trochę infantylna – szybko wyczuła, że Marciniowi można wejść na głowę. Naciągnęła go na wieczorne oglądanie telewizji, a Marcin nie miał pojęcia, jakie zwyczaje panują w tym wielkim domu. Pozwolił dziewczynce zaprowadzić się pod regał wypełniony od góry do dołu filmami na DVD. Zuzia zajęła się dolną półką, wyjmowała jedno pudełko za drugim i wkrótce na podłodze leżał okazały wachlarz filmów naukowych i przyrodniczych. Marcin patrzył w tym czasie z zazdrością na górną półkę. Mnóstwo zachodnich wydań klasyki, Adler lubił mniej więcej to samo, co Marcin i Anka. Najwięcej miał francuskiej nowej fali. Na drugim miejscu – westerny.

Zuzia zdała się w końcu na wyliczankę przy wyborze filmu. Po minucie zasiadła w piżamie na kremowej sofie i wtopiła duże brązowe oczy w biegające po ekranie jaszczurki i kameleony. Marcin usiadł przy stole i przyjrzał się dziwnemu dziewięciolatkowi.

Chłopiec siedział po turecku na czarnym dywanie, z wyprostowanymi plecami. Marcin nie potrafił odnaleźć ani śladu emocji w jego szarych oczach. Może to autyzm? O autyzmie Marcin czytał tylko w internecie, przy okazji zaspokajania ciężowego głodu wiedzy, który dopadał czasem Martę. Ale Franek wyglądał trochę inaczej. Jak smutny dorosły? Ciemne włosy opadały mu na pulchne policzki tuż obok zaciśniętych małych ust. „Te dzieci są trochę jak z japońskiej mangi” – pomyślał Marcin. Zuzia, *happy girl*, uśmiechnięta

i rozbawiona, na pewno przesadnie mruży oczy, gdy się z czegoś cieszy. Franek – sad boy, z dużymi oczami, w których jednak nie skrzyły się żadne łzy.

– Poczytać ci coś, Franek? – spytał Marcin godzinę później.

Położył oboje do łóżek. Zuzanna poszła do swojej sypialni, zwinęła się pod satynową kołdrą w kłębek i szybko zasnęła uśmiechnięta. Franek wciąż tylko patrzył obok Marcina. Może i chciał coś powiedzieć, ale wyglądał jak sparaliżowany. Przez chwilę pociągał nosem i w końcu kichnął, a pod jego nosem wykwitła duża bańka. Marcin nigdzie nie mógł znaleźć chusteczek, wyszedł więc na korytarz i znalazł przestronną łazienkę, trochę w stylu *art déco*, z wielką umywalką na podeście i czarno-białą szachownicą z terakoty. Dużo miejsca, ale ta przestrzeń przytłaczała i Marcin poczuł się jak turysta w galerii sztuki. Stąpał ostrożnie, jakby mocniejsze postawienie stopy mogło zniszczyć posadzkę. Urwał kawałek miękkiego papieru toaletowego i wrócił do sypialni Franka.

Chłopiec trzymał na piersiach książkę. Stare wydanie wierszowanych bajek – Ezop, Ignacy Krasicki, Jean de La Fontaine. „Dziwne, że wybrał akurat to” – pomyślał Marcin. Może to i mądre, ale trudne. Czasami przerażające, nieraz okrutne. Kruk i lis, lew i mysz, żółw i zając. Przypowieści, mądrość ukryta w czterowierszach, produkt swoich czasów, kiedy był jeszcze pan i niewolnik, szlachcic i chłop pańszczyźniany.

Podał chłopcu papier, wyjął mu z rąk książkę i otworzył na chybił-trafił. Zobaczył znajome monochromatyczne ryciny z gadającymi zwierzętami. Nigdy ich nie lubił. To nie była dobra lektura przed snem dla ponurego dziewięciolatka.

– *Lis i orzeł* – zaczął czytać czterowiersz. – Zła rzecz mieć złego sąsiada, złość jego czuwa zawzięta, orzeł podusił lisięta, a lis orlątko zajada.

„Nie dam rady”. – Skrzywił się.

Franek wciąż patrzył na niego dużymi szarymi oczami smutnego chłopca z japońskiej mangi.

– Słuchaj, kolego, masz coś innego? – Odłożył Ezopa na nocną szafkę. – Coś z dzisiejszych czasów? *Harry Potter*? *Magiczne drzewo*?

Franek pokręcił głową. „Jezu, Adler – pomyślał Marcin. – Nie możesz przejść się czasem do księgarni i kupić synowi czegoś z wesołą, kolorową okładką?” Pogrzebał chwilę w komórce i znalazł w necie piracki PDF pierwszego *Harry'ego Pottera*. Niedługo potem Profesor Dumbledore i Hagrid przynieśli mugolom zawiniątko z malutkim czarodziejem.

Pół godziny później Marcin był w połowie rozdziału drugiego, a Franek stawał się coraz bardziej senny. Jego małe zaciśnięte usta otworzyły się lekko. Smutne oczy nie zrobiły się nagle wesołe, ale Marcin miał wrażenie, że widzi w nich odpływające w sen zaciekawienie.

Wyłączył aplikację w telefonie. Wszedł na swoją playlistę i znalazł kawałek, który kiedyś puszczał Marcie do poduszki. Ringo Starr sennym głosem zaśpiewał łzawą kołysankę: „*Now it's time to say good night, good night, sleep tight...*”.

„Dobranoc, śpij smacznie, dziwny Franciszku, synu aktora”.

Zapach mieszkania Gabrysia ciągnął się za Andrzejem przez cały parking podziemny, windę ze srebrnymi przyciskami i szeroki jasny korytarz. Rulewski miał nadzieję, że nie natknie się po drodze na żadnego ze swoich porządných sąsiadów z klasy średniej.

Zamknął za sobą drzwi. Jeszcze w przedpokoju zdjął z siebie prawie wszystko, złożył w kostkę cuchnący płaszcz z wełny merynosa i włożył do plastikowej torby. Pralnia chemiczna na osiedlu obok powinna dać sobie z tym radę.

Poszli z Bielawskim do przodu. Zastanawiał się tylko, czy nie popełnił fatalnego błędu, grając gliniarza przed facetem z opieki. „Walić to, nie takie numery się robiło. Trafiasz albo nie, ale musisz strzelić, jak na wojnie”.

Wrzucił resztę ubrań do kosza pod umywalką, obmył wodą twarz i wyszedł do salonu. Wyciągnął z barku ledwo napoczętą butelkę whisky GlenDronach i sześcienną szklankę z napisem *Happy Birthday*. Rok temu dała mu ją „dobra znajoma”. Poznał ją w klubie, jak zawsze, a potem zagościła w jego życiu na ciut dłużej. Była rezolutna i próbowała go rozśmieszać, ale w końcu nie wytrzymała jego zmiennego humoru i ponurych wieczorów, kiedy Andrzeja dopadała chandra. Obejrzelili razem piąty sezon *Gry o Tron*, a potem spakowała się i sobie poszła. Miała w sobie coś z Shae, niewolnicy i kochanki karła Tyriona

Lannistera, tej filuternej żmijki, która świetnie się pieprzyła, a i kochała na zabój.

Usiadł w fotelu. Wolnym ruchem nalał whisky do połowy szklanki i oparł się wygodnie. Przeszło mu przez głowę, żeby zadzwonić do Shae i spróbować ściągnąć ją tu na sobotę. Napił się i zaraz potem zapadł w dziwne odrętwienie. Słyszał stukanie obcasów za oknem, ale nie mógł otworzyć oczu. Jego mózg zwalniał coraz bardziej, aż w końcu również odgłosy rozplynęły się w próżni.

Marcin zszedł po dębowych schodach, rozpinając guziki przesiąkniętej dymem koszuli. Podszedł do regałów. Duża księga ze złoceniami wyglądała jak album. Przez chwilę walczył ze sobą, a potem wyjął ją ostrożnie i usiadł na sofie.

Pierwsza część albumu była fotograficzną kroniką kariery aktorskiej Adlera. Młody, bardzo przystojny i z bezczelnym błyskiem w oku, paradował po teatralnych scenach w kolejnych spektaklach. Na czarno-białych zdjęciach odgrywał Szekspira, a może Czechowa, i kłaniał się publiczności. Pozował do kumpelskich zdjęć z ikonami kulturalnego światka lat siedemdziesiątych. Siedział przy kawiarnianych stolikach, zawsze nieco z boku, z dziwnym uśmiechem, którego nie dało się rozszyfrować. Obok Holoubka czy Łapickiego wyglądał jak doklejony, niepasujący element.

Potem po kilkunastu pustych stronicach zaczynała się część prywatna. Prawie nic z dzieciństwa – ot, jedno czy dwa zdjęcia z chłopcem podobnym do Franka, tylko oczy jakies inne, bezczelne, zagniewane. Nastoletni Janek stoi w lesie z dwumetrowym kijem, z dziwnie obciętą grzywką i wyzywająco patrzy w obiektyw. Wygląda trochę jak rosyjski bezprizorny.

Z czasem bezczelność ustąpiła miejsca ironicznemu uśmieszkowi, który zdawał się nie schodzić Adlerowi z ust. Nagle pojawiła się u jego boku kobieta, którą Marcin skądś kojarzył, chyba też była aktorką. Wyglądała jak Adler w spódnicy – bezczelna, wyzywająca, zbuntowana. Na domówkach z lat osiemdziesiątych stoi ruski szampan i pomarańcze, a Adler i jego kobieta tańczą na parkiecie trochę na przekór całemu światu. Komuś udało się uchwycić moment, w którym zerkają, jakie wrażenie robią na reszcie gości.

Potem kobieta znika z kadrów i w albumie pojawia się kolejna dziura. Marcin przewrócił puste strony. Zaczyna się nowy etap, na kolorowych zdjęciach aktor jest grubo po pięćdziesiątce, pilnuje się i pozuje fotografom



z pewną rezerwą. Obok stoi niespełna trzydziestoletnia blondynka, uśmiechnięta, pewna siebie, w typie prawniczki. On znów wygląda jak doklejonny.

Mija kilka lat, więcej siwych włosów. Pojawiają się dzieci, najpierw malutkie, potem coraz starsze. Wakacje nad Bałtykiem, w Zakopanem, w ciepłych krajach. Adler do końca albumu nie pokazał już swojej wcześniejszej twarzy, tej ironicznej, cynicznej. Jakby dojrzał, a może zdusił coś w sobie i zagasił.

Przytłoczony tymi wszystkimi zdjęciami, Marcin zamknął album i odstawił na półkę. W kieszeni spodni zadzwonił jego telefon. Spojrzał na ekran – Marta. Poczł się nieswojo, że od tamtej rozmowy w teatrze nie zadzwonił do niej ani nie wysłał wiadomości.

– Cześć – powiedział cicho. – Chcesz już, żebym wracał?

– Cześć. – Marta miała zmęczony głos, który docierał do Marcina jak przez dużą kulę waty. – Nie wiem, czy jest sens, żebyś teraz właśnie się tu zjawiał. Julia tak się rozkręciła przez to, że wczoraj uciekłeś, że... Twoja mama to niezłe ziółko, Marcin. Opowiedziała mi dzisiaj ze szczegółami całą historię jej rozvodu z twoim tatą. Miałam wrażenie, że byłaby najszczęśliwsza, gdybym ja też teraz cisnęła ci papiery w twarz.

– *Oh my God...* – jęknął Marcin.

– Cały dzień wysłuchiwanie, jak to miała przeczucia przez dziesięć lat, ale nic z tym nie zrobiła, a potem ile łez, ile wyrzeczeń, samotna matka z dorastającym synem, chciała go wychować...

– ...żeby nie był jak tata – wtrącił. – Czy ona tego słucha?

– Nie, poszła spać.

– Nie możesz jej powiedzieć, żeby wyjechała?

W słuchawce zapadła cisza, a Marcin dostrzegł portfel Adlera, który wcześniej położył na stole między salonem a kuchennym aneksem. Coś go ukłuło w sercu. Ciekawość. To byłoby niewybaczalne. Czy można spojrzeć w lustro po czymś takim? Żałował, że nie ma tu teraz Rulewskiego, on przegrzebałby zawartość bez mrugnięcia okiem.

– Nie, Marcin – odezwała się w końcu Marta, cicho i stanowczo. – Po pierwsze, to twoja mama. Twoja. I to ty ją tak rozkręciłeś. A po drugie... Albo

chodzisz do pracy, albo jak teraz... Wymiksowałeś się, nawet nie wiem, gdzie jesteś. A ja, nie zapominaj, wciąż jestem w tym samym stanie. Ktoś musi tu być.

– Tam z Anką... – zaczął Marcin po chwili, ale myślami wciąż był przy portfelu Adlera. – Tam chodziło o mój stary scenariusz. Ona miała jedyną kopię i strasznie jej potrzebowałem.

– To nie tłumaczy ani kłamstwa, ani tego, że na zdjęciu wyglądaliście jak papużki nierozłączki.

– To nie na telefon. Ale zapewniam cię, żadnej zdrady nie było.

Marta zamilkła. Marcin nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

– I co? Zadekowałeś się w jakiejś melinie, jak zapowiadałeś? – przerwała milczenie Marta.

– Nie do końca. – Marcin rozejrzał się po salonie. – Adler pozwolił mi zanoć u siebie, pod warunkiem, że zaopiekuję się jego dziećmi.

– Wow... – Marta odkaszlnęła. – Trenujesz ojcowanie?

– Coś w tym stylu. Czytałem chłopcu *Harry'ego Pottera*.

Otworzył portfel. Prawo jazdy, kilka kart kredytowych, w tym jedna z wypukłymi złotymi literami. Pieniądze, może sześćset złotych, trochę bilonu. Paragony ze stacji benzynowej i karta lojalnościowa butiku. „Żadnych rewelacji” – Marcin poczuł ulgę.

Wtedy zauważył pod kartami kredytowymi małą poźółkłą fotografię. Wyjął ją ostrożnie, bardzo ostrożnie. Miał wrażenie, że mógłby rozerwać ją mocniejszym ruchem.

– Muszę kończyć – powiedział. – Zadzwoń jutro. Śpij spokojnie, nie ma wokół mnie żadnych kobiet.

– Cudownie – westchnęła Marta. – Może jakoś zasną. Pa.

Rozłączyła się, zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć. Zdusił wzbierające w nim zażenowanie i rozmytym wzrokiem spojrział na czarno-białe, wpadające w sieć zdjęcie. Młody, może dwudziestoletni Jan Adler stał na pomoście nad jeziorem z jakąś dziewczyną. Ubrany w szorty i jasną koszulkę polo. Dziewczyna była od niego sporo niższa, bardzo szczupła, miała na sobie dwuczęściowy strój kąpielowy, który trochę do niej nie pasował. Adler wyglądał na szczęśliwego młodego człowieka na progu dorosłego życia. Dziewczyna uśmiechała się nieco smutno, lekko, prawie niezauważalnie.

Marcin podszedł do lampki przyczepionej do półki klipsem. Przyjrzał się zdjęciu i wyteńczył wzrok. Nie do końca ostre ujęcie przypominało ulotne wspomnienie, sen. Marcin próbował oglądać je pod różnymi kątami, ale twarz dziewczyny zawsze pozostawała rozmyta. Miała w sobie dziwną melancholię. Mimo różnicy wzrostu wyglądała przy Adlerze jak starsza, bardziej doświadczona siostra.

Obrócił fotografię. Na odwrocie widniała odręczna notatka, napisana wyblakłym niebieskim tuszem.

„Janku, pamiętaj o mnie, Tosia, 16 VII 1972”.

Przełknął ślinę. To zdjęcie miało w sobie jakąś magię, historię. Włączył aparat w telefonie i podstawił fotografię pod lampkę.

Andrzeja wybudziła ze snu wibracja komórki leżącej na stoliku obok szklanki whisky. Przez chwilę walczył z pokusą, żeby odrzucić połączenie. Po omacku znalazł telefon i podniósł do ucha.

– Siemano, mordeczko. – Usłyszał w słuchawce znajomy głos

Otworzył powoli oczy, wyrwany z odrętwienia.

– Wiesz, która godzina? – wymruczał.

– Dobra jak każda inna – powiedział tamten niezrażony. – Przypomniałem sobie akurat o tobie i o naszej małej umowie.

– Jakiej umowie? – Andrzej schylił się na fotelu.

– Co z tobą? – W głosie faceta zabrzmiała ironia. – Miałeś zabrać się za urzędnika. Klient chce wiedzieć, czy coś już ustaliliście.

Andrzej poczuł, że wraca mu świadomość i adrenalina.

– Poczekaj chwilę – rzucił do słuchawki.

Odłożył telefon na stolik. Wstał z fotela i podszedł do okna. Latarnie przy osiedlowych alejkach świeciły jak zawsze pomarańczowym światłem. Kobieta na wysokich obcasach stuknęła po chodniku, ciągnięta przez wyrrywającego do przodu małego sznaucera. Gdzieś daleko, przy granicy Warszawy, pod strzelistą wieżą betonowego kościoła spali bohaterowie tej na nowo odgrzebanej historii.

Skrzywił się. Cokolwiek ma się stać, zrobi to tylko i wyłącznie na swoje konto. Walić kasę. Nie miał zamiaru spowiadać się po nocy ani mordeczce, ani jego mocodawcy.

Podszedł z powrotem do stolika i podniósł komórkę.

– Halo? – wycharczał.

– No jestem, mordeczko. – Wyczuł w głosie tamtego głupawy uśmiech.

– Nie biorę tej roboty.

W słuchawce zaległa głucha cisza.

– Przekaż swojemu klientowi, że Bielawski nic nie znalazł, jest cipa, wszystko to jest gównem warte i że nie mam czasu – wypalił Andrzej.

Rozłączył się. Poczul się nagle rześki jak nigdy. Rozciągnął zbolące mięśnie na plecach, strzelił szyją. Zdjął bokserki i skarpetki, rzucił je niedbale koło łóżka. Dolał sobie whisky GlenDronach do połowy szklanki i znalazł siłę, żeby poszukać pilota. Zasiadł nago na fotelu, a po chwili olbrzymi ekran zamigotał znajomą czołówką.

Przebiegła Cersei Lannister znów walczyła ze wszystkimi o tron Westeros. Andrzej kibicował jednak karłowi. Czuł do niego sympatię i miał nadzieję, że karzeł wykiwa resztę. A przynajmniej przeżyje.

**Czwartek,**  
**12 października, 6:16**



Marcin zszedł cicho po schodach do salonu. Powoli podszedł do półki z książkami i wyjął z niej album ze złożonymi literami. Otworzył i przewrócił kilka kartek. Na zdjęciach nie było nikogo – oprócz Jana Adlera. Puste miejsca wyglądały jak wygumkowane, jakby ktoś w Photoshopie wyciął rozmawiające głowy. Wtedy Marcin usłyszał za sobą ciche westchnienia. Odwrócił się. Z wiszącego w przedpokoju czarno-białego artystycznego zdjęcia zeszły dwie kobiety i stanęły do siebie plecami. Ubrane w luźne powłóczyste tkaniny, białą i czarną, zaczęły obracać się powoli dookoła własnej osi jak zębunki w starym zegarku. Marcin poczuł, że jakaś siła przesuwają go w ich stronę – płynął w powietrzu, a tuż przed nim materializowała się i zniknęła stara fotografia z portfela. Dziwna młoda kobieta z nieobecnym wyrazem zmrużonych oczu. „Pamiętaj o mnie”, zaszumiał dziewczęcy głos.

Marcin wpłynął mimo woli między kobiece sylwetki i zatrzymał się, a postacie obracały się coraz szybciej i szybciej, napierały na niego coraz mocniej i mocniej. Przyklejony do czarno-białej posadzki, przerażony, poczuł, że ostre jak żyłki ciała dwóch harpii tną jego ramiona do krwi i wrzynają mu się w ciało aż do kości.

Krzyknął w rozpacz, ale nie zdołał się obudzić.

Andrzej ocknął się nagi i przemarznięty na fotelu przed telewizorem. Musiał zasnąć ze szklaneczką whisky w środku odcinka *Gry o Tron*. Znów przeraźliwie bolała go głowa. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że w przypiływie natchnienia i bezczelności odrzucił ofertę pracy faceta, który mówił do niego „mordeczko”.

Dwadzieścia minut później był już wykąpany, pachnący orzeźwiająco mieszkanką piżma i drzewa sandałowego, a resztki zapachu trawy Gabrysia spłynęły wraz z pianą do kanalizacji. Andrzej siedział przy kuchennym stole

i popijał arabiką suche tosty z dwoma ostatnimi plastrami hiszpańskiej polędwicy, które znalazł w pustawej lodówce.

Nie wiedzieć czemu, te braki w prowiancie przypomniały mu o Marysi. Może dlatego, że osiem lat temu po powrocie z roboty zawsze czekała na niego pomidorówka albo krupnik? Jego była dziewczyna miała wdrukowane, że o żołądek swojego faceta trzeba dbać. Wyniosła też z domu rodzinnego, żeby nigdy nie wyrażać głośno poglądów. Andrzej nie wiedział wtedy, czy ta cisza to błogosławieństwo, czy przekleństwo. A gdy po Igorze nawiązał flirt z gorzką żołądkową, Marysia zaczęła go drażnić. Nie mogła przecież uczestniczyć w jego tajemnicy. Nigdy nie widziała na żywo wypadku, a co dopiero zwęglonego trupa. A on jeszcze zabrał temu trupowi medalion i schował go w pudle na pawlaczu. Wyrzut sumienia. W głowie Andrzeja zakwitła brzydka myśl: „Jak ty nic, kurwa, nie rozumiesz!”. W końcu znienawidził jej spokój. Raz w pijackim odruchu przycisnął ją z impetem do framugi. Gdyby wtedy wrzasnęła, przekłęła, to może coś by do niego dotarło. Ale Marysia dalej była cicho. Zupełnie tego nie planował, ale walnął wtedy we framugę obok jej twarzy. Po miesiącu zniknęła z jego życia, niezauważenie, w milczeniu – po prostu pewnego dnia nie było ani jej, ani jej rzeczy. Andrzej chciał zadzwonić, ale chandra uparcie się go trzymała. Stwierdził, że tak będzie lepiej.

Kawa zaczęła działać, odeszła pierwsza fala migreny. Andrzej chciał być przygotowany na wypadek, gdyby przerażony facet z opieki społecznej zadzwonił dziś do Marcina Bielawskiego. Chciał mieć asa w rękawie. Coś, dzięki czemu Down Maciek zesra się w gacie i pęknie.

Dokończył tosty, dopił kawę, wstawił talerz i filiżankę do zmywarki. Wziął z przedpokoju kluczyk do schowka i wyszedł na klatkę schodową. Wyjął ze schowka medalion.

A potem zadzwonił do podkomisarza Kamila Rajsera. Raz na ruski rok pił z nim piwo i grał w rzutki w mokotowskim pubie. Rozmawiali o niegrzecznych celebrytach, meczach Legii i o tej dziwniejszej stronie Warszawy, którą obaj dobrze znali.

Pewnych tematów nie poruszali. Kamil Rajser był bratem Marysi.

Dariusz Sosnowski stał z telefonem pod garażem i ze zdziwieniem słuchał porannej relacji człowieka, który miał skontaktować się z kimś, kto zna

dziennikarza, i naraić pomoc Marcinowi Bielawskiemu.

– Cipą? Tak powiedział? – spytał cicho.

– Tak. Nic nie znaleźli, więc facet nie chce już tej roboty.

– No nic. Zapłacę ci za to, tak czy inaczej.

Rozłączył się i spojrzał na podjazd spod ściągniętych brwi. To w sumie było do przewidzenia. Ten kolega Artura to tylko zwykły chłopak po studiach, urzędnik. Czego się po nim spodziewał? W sumie niczego – i właśnie dlatego chciał dać mu do pomocy i opieki faceta, który osiem lat temu napisał artykuł o śmierci Igora w „Twojej Gazecie”.

– Na razie! – Usłyszał głos córki, wołającej do jego żony.

Dziewczyna zeszła po schodach i ruszyła do furtki.

– Miłego dnia – wykrztusił Dariusz do jej pleców.

– Miłego – rzuciła za siebie Weronika, nie oglądając się.

Zaskrzypiała furтка i jego naburmuszona córka zniknęła za ogrodzeniem. „To by było na tyle, jeżeli chodzi o kontakt dzisiaj – pomyślał Dariusz i zdziwił się, że nie poczuł żalu ani ukłucia w sercu. – Chłopaka straciłem, teraz tracę dziewczynę. Takie życie”.

Zaczął zastanawiać się, co zrobić z tym nowym problemem. Tak naprawdę powinien dać sobie spokój. To wszystko było niepotrzebne. Nie miało sensu.

Tyle że obiecał to... JEJ. Musiał jeszcze choć raz spróbować zainteresować dziennikarza.

Usiadł na murku pod garażem. Zapalił camela, przymknął oczy i zaczął rozmyślać, co napisać Bielawskiemu ze swojego ukrytego w tajnym schowku telefonu komórkowego.

„Młody żonkoś. Idiota. Siostrzeniec...”

Marcin stłumił wyrzuty sumienia i namydlił się drogim płynem z łazienki Adlera. Odstawił butelkę na dębową półkę pod dużym kryształowym lustrem. Po co komu lustro pod prysznicem? Może Adler lubi ćwiczyć role podczas porannej toalety?

Nie uśmiechało mu się to, ale po odświeżającej kąpieli musiał znowu założyć wygniecione spodnie, koszulę śmierdzącą marihuaną i równie nieświeżą



marynarke.

Zszedł do kuchni. W chromowanym zlewie stały dwie miseczki z niedojedzonym musli – resztki śniadania Zuzi i Franka. Niania zjawiała się o siódmej piętnaście i zabrała dzieciaki do szkoły, dom był teraz pusty i cichy. Marcin zagrzał trochę mleka i wyjął z pustawej szafki płatki śniadaniowe. Zasiadł ze swoim skromnym śniadaniem przy stole i między kolejnymi łyżkami przesuwał palcami po ekranie komórki.

Czwartek, trzeba poprosić o kolejny urlop na żądanie. SMS o niezapłaconym rachunku za telefon. Jeśli nie ureguluje płatności w ciągu najbliższego tygodnia, wyłączą mu połączenia wychodzące. Mejl od Oli.

Cześć! Przepraszam, że byłam niezbyt miła, tam w barze. Nie spodziewałam się, że po tylu latach zjawi się nagle ktoś, kto znał Artura. Ale pamiętam, że Artur wspominał o tobie. Możesz pomyśleć, że zmyślam, ale ciepło o tobie mówił, że nareszcie ma kumpla, z którym może coś razem robić.

On wtedy strasznie się bał i postanowił, że pewnych scen ci nie da. Musiał je spisać, ale nie do scenariusza. Traktował je trochę jak pamiętnik. I nie chciał ich trzymać w domu, nie wnikałam wtedy, z jakiego powodu. Przesyłam ci te kartki, które dzisiaj znalazłam, ale teraz już nie wiem, czy było tego więcej.

Właśnie znowu je przeczytałam po latach. Ciężko mi powiedzieć, czy dobrze robie, że ci to przesyłam. Najlepiej by było, gdybyś zachował je dla siebie.

Jak znajdę czas, to jeszcze poszukam.

Pozdrawiam, Aleks (Ola)

Marcin otworzył załącznik – skan dwóch kartek A4 zapisanych drobnym maczkiem. Pobieźnie przejrzał tekst i stwierdził, że nigdy wcześniej nie widział tych scen. To nawet nie były sceny, tylko proza. Tylko nagłówki były jak w scenariuszu.

### **Bez numeru. Plener. Gdzieś na osiedlu – późny wieczór**

Jest druga połowa kwietnia. Tydzień po tym, jak ten pojeb Banzaj wpadł do baru i zrobił mnie na szaro. Idę skrótem przez pole. Słońce już dawno zaszło, jest prawie noc. Dziś jest moja kolej na eskapadę do nocnego po browary. Chciał ze mną iść Benny, ale wołałem być dzisiaj sam. W sumie nie wiem czemu, z kumplem przecież jest raźniej. Po prostu nie mam siły gadać. Pablo i Czarny zachowują się

czasem jak małpy, Bolek za dużo jara. Benny jest najbardziej spoko, ale nie sądzę, żeby mnie zrozumiał.

Kurwa, dałem ciała. Chciałem być bohaterem, a wyszedłem na lamusa. Ciężko to przyznać przed samym sobą, ale od tygodnia mam jakieś zwidy, że tamten koleś wyjdzie wprost na mnie z giwerą. Każde skrzyżowanie na osiedlu, każde ciemniejsze miejsce, gdzieś za plecami zawyje silnik, a mi już się pocą ręce i mam ochotę spieprzać. Jak on tam powiedział Oli na końcu? „Nie zna dnia ani godziny”. Mary Jane, Goblin – chyba już wiem, skąd mu się to wzięło. Też lubię te filmy, ale bez takiej zajawki. Człowiek pająk, kurwa.

Więc idę tą polną drogą w niemal kompletnej ciemności, ale znam ją od małego, więc nawet nie muszę za bardzo patrzeć pod nogi. Mało prawdopodobne, żeby tamten zasraniec wyskoczył tutaj z krzaków z gnatem. Samochody prawie nigdy tędy nie jeżdżą. Nachodzą mnie myśli, żeby zagadać Bolka, mówił kiedyś, że załatwił komuś mały pistolet. Jestem pojebany? Może. Jeszcze tydzień temu w ogóle by mi to nie przyszło do głowy. Nawet nie wiem, czyby mnie nie sparaliżowało, nawet z pistoletem. Ale nie mogę odczepić się od tej myśli. Krąży za mną jak czarny ptak.

Zostało mi jakieś pół kilometra do nocnego, kiedy zauważam stojący na drodze samochód ze zgaszonym silnikiem i światłami. Ktoś siedzi w środku, po stronie pasażera, ale za nic nie mogę dojrzeć jego twarzy. Wygląda, jakby się totalnie zjarał, głowę ma zwieszoną. Może śpi? Ale najgorsze ze wszystkiego, że to chyba ten sam samochód, który podjechał wtedy pod bar. Albo bardzo podobny. Ten, z którego wysiadł Banzaj. Wtedy, gdy już wszystko się skończyło, udało mi się opanować i wyrzecz przez szybę.

Wtedy pod barem było ich w aucie trzech, tak mi też powiedziała Ola. Więc gdzieś tu musi być Banzaj i jakiś trzeci. Ten w samochodzie wygląda mi znajomo, to znaczy sylwetka, ale karków na naszym osiedlu nie brakuje, więc nie jestem pewien, czy to A.

Nie wiem, co mam robić. Najlepiej by było odpuścić sobie browce i nocny, obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni i dać w długą, póki jeszcze nikt mnie nie zauważył. Ale to nie takie proste, bo widzę, że z szosy skręca w tę stronę jakieś inne auto. Nie dość, że zaczyna mnie oślepiać reflektorami, to jeszcze zaraz tu dojedzie i zobaczą mnie, kimkolwiek są.

Schodzę szybko z drogi w pole i kucam w wysokiej trawie. To pewnie jakieś spotkanie gangusów albo dilerka. Znów jestem w złym miejscu o niewłaściwej porze. Jak mi się uda, to się ulotnię, odczołgam się. Jeszcze chwila. Nie udało się – to drugie auto zatrzymuje się koło pierwszego i natychmiast wyłącza silnik. Cisza,

tylko świerszcze. Już teraz wiem, że coś jest mocno nie tak. Znam ten dźwięk silnika, słyszę go na co dzień, z rana i z wieczora.

Ktoś otwiera drzwi samochodu. Czyjeś buty stają na żwirze. I wtedy słyszę coś, co mrozi mi krew w żyłach. Dosłownie. Ścina mnie tak, że ślina zatrzymuje mi się w gardle.

– Zaczekaj w aucie, Norbert. Nie. Po prostu siedź tu, a ja z nim pogadam.

To głos mojego starego... Mojego ojca... Chce mi się płakać. Nie wiem, co mam robić, naprawdę nie wiem. O co chodzi, tato? O co, kurwa, chodzi?! Mój własny ojciec idzie po żwirze do tamtego drugiego samochodu, gdzie na siedzeniu pasażera siedzi ten kark ze zwieszoną głową. Otwiera drzwi i siada za kierownicą. Cicho zamyka drzwi.

Zatykam usta i próbuję przebić wzrokiem ciemność. Teraz to już na pewno nigdzie się nie wybieram. Chcę wiedzieć, co mój stary robi na tym pustkowiu o tej porze i w tym towarzystwie. Ale z tego auta, gdzie siedzi mój stary i kark, nic nie słyszę. Nawet szmeru. Wychylam się bardziej. Chcę coś zobaczyć, cokolwiek.

W obu samochodach jest zgaszone światło. Mój ojciec gada z osiłkiem, ale obaj to tylko ciemne sylwetki, nawet mojego starego ciężko rozpoznać z tej odległości. W tym drugim aucie siedzi ktoś, kogo mój stary nazwał Norbertem, i tępo patrzy przed siebie. A przynajmniej tak mi się wydaje.

To wszystko trochę trwa, ale w końcu mój ojciec znów otwiera drzwi i wychodzi z samochodu. Klepie w maskę auta z Norbertem i coś pokazuje, chyba każe mu wysiąść. Koleś ociąga się, ale w końcu wychodzi.

– Załatwione – mówi cicho mój stary. – Chociaż jak dla mnie to skurwysyństwo. Możesz wracać do swojego auta. Jedź do domu. I nie zapomnij podziękować wujkowi, bo to pierwszy i ostatni raz, kiedy coś takiego dla ciebie robi.

– Pierdolenie – odpowiada tamten jak do kumpla.

Patrzę z niedowierzaniem, jak mój stary chwyta tamtego za bluzę i warczy cicho:

– Co ty sobie myślisz, gnojku? Że możesz robić takie rzeczy i będzie ci to uchodzić płazem?

– Puść mnie, gościu – mówi tamten głośniej.

I wtedy zaczyna mi się kręcić w głowie. To jest głos Banzaja! Mój stary i koleś, który przystawił mi gnata do głowy?! Jakoś udaje mi się opanować, ale tego wszystkiego jest po prostu za dużo.

Ojciec puszcza Banzaja i macha do osiłka. Ten niezdarnie wyłazi z samochodu, jakby był na ostrym haju. Gdyby było jaśniej, to mógłbym przysiąc, że to A. Tylko że jest już naprawdę ciemno i nie widać twarzy, do tego A. na co dzień tak nie chodzi.

Zamieniają się samochodami. Mój stary i koleś podobny do A. wsiadają do jednego, Banzaj jako kierowca do drugiego.

Patrzę na to wszystko ukryty w trawie. Samochód mojego starego odjeżdża. W tym drugim Banzaj zapala lampkę pod sufitem i wciąga coś do nosa przez zwinięty banknot. Wtedy w końcu widzę jego twarz.

Tak, to on. Człowiek z baru. Banzaj. Norbert. Kończy wciągać, włącza silnik, wykręca na dwa razy i odjeżdża. Zostawia mnie w chmurze pyłu. Po jakimś czasie wychodzę z trawy. Gapię się jak głupi na oddalające się czerwone światła. Pył i kurz niemal duszą mnie i wpadają do oczu, ale mam to gdzieś.

Mój świat, taki, jaki znałem, runął.

### **Bez numeru. Wnętrze. Dom Artura – późny wieczór**

Otwieram drzwi i wchodzę do domu. Zaglądam do salonu. Wieczór jak co dzień. Matki już nie ma, śpi. Ojciec siedzi w szlafroku na sofie i jakby nigdy nic czyta „Newsweeka”. Podnosi na mnie wzrok, taki zmęczony, bez wyrazu.

– Gdzieżeś się znowu szlajał z tymi swoimi podejrzanymi kumplami? – pyta się mnie niemal od razu.

Ja pierdołę. Chcę mu odpyskować coś w rodzaju „a ty gdzie ze swoimi?”, ale się hamuję. To jest taki absurd, jak jakiś paragraf dwadzieścia dwa. Pieprzone przedstawienie. Chce mi się śmiać, ale nie mogę sobie na to pozwolić, bo to by był historyczny ryk, a nie chcę robić sceny. Muszę to wszystko przemyśleć. Teraz tak to piszę, z perspektywy, ale wtedy po prostu wgapiałem się w niego z jakąś niewidzialną kulą w gardle.

Przychodzi mi do głowy dziwna myśl, że może stary dowiedział się, co zaszło w barze, w jakiś dziwny sposób dotarł do Banzaja i spuścił mu za to opieprz. „Tato – mój bohater”, świta mi w głowie, ale to wszystko nie trzyma się kupy.

Nie, to musiało mieć coś wspólnego z jego pracą. Z pracą, o której nigdy nie wspomina w domu. To znaczy wspomina, jasne: „Ciężką sprawę miałem, wygraliśmy, przegraliśmy, zmęczony jestem, ciężki dzień, chyba się położę”. Do tej pory słowo „prawnik” kojarzyło mi się raczej z salą sądową, a nie ze spotkaniami z gangusami na odludziu.

Jestem zmęczony. Chcę się położyć. Nic nie mówię i idę w stronę schodów, ale gdyby to był film, to powiedziałbym:

– Tam, gdzie zawsze, tato. Tam, gdzie zawsze.

Marcin nie mógł uwierzyć. Wziął do ust kolejną łyżkę płatków śniadaniowych, ale mleko zdążyło już wystygnać. Ojciec Artura? Dariusz Sosnowski, facet

o niemiłym spojrzeniu wyblakłych niebieskich oczu. Co mogło go łączyć z Banzajem? Mówił do niego, że coś załatwił, że to skurwysyństwo i żeby chłopak podziękował wujkowi. O co chodziło? O Igora? Ale co załatwił?

W pierwszym odruchu Marcin chciał chwycić za telefon i zadzwonić do Andrzeja, ale się powstrzymał. Nie ufał dziennikarzowi na tyle, żeby dzielić się z nim tą nowo nabytą wiedzą. A Ola prosiła, żeby ostrożnie obchodzić się z tymi scenami. Żeby to zachować dla siebie.

Wstał i włożył miskę z niedojedzonymi płatkami do zlewu.

– Dlaczego chciałeś się spotkać? – spytał podkomisarz Kamil Rajser, robiąc dziwną minę.

Siedzieli na murku nieopodal placu Bankowego i palili. Andrzej swojego cienkiego mentola, a ubrany w wytarte džinsy i polar Rajser grubego papierosa elektronicznego. Facet wapował co chwilę i wypuszczał wielkie obłoki szarego dymu.

– Chciałem cię podpytać o sprawę. O tę naszą sprawę, o której rozmawialiśmy dawno temu – powiedział Andrzej, patrząc przed siebie. – O spalonego chłopaka z lasu.

– Tego Igora? – Rajser się skrzywił. – Przecież to jest martwe. Kaput. Wiesz, ile czasu minęło? Nic się nie zmieniło. Nic nowego nie wypłynęło. Mam ci streszczać od początku śledztwo, które utknęło w martwym punkcie?

– A gdybym ci powiedział, że mam nowe informacje? – Andrzej spojrzał z ukosa. – Tylko to się nie nadaje jako zeznanie, bo powiedział mi to wczoraj ujarany koleżka, który od iluś tam lat nie wyszedł z domu.

– I czego takiego się dowiedziałeś?

– Było ich trzech...

– ...w każdym z nich inna krew – parsknął policjant. – Okej, sorry, mów dalej.

Andrzej wbił wzrok w chodnik. Zdał sobie sprawę, że za wcześnie spotkał się z Rajserem. Zdecydowanie za wcześnie.

– Jeden bezimienny, najbardziej podejrzany. Pozostali mieli ksywki Down Maciek i Tatko. Coś ci to mówi, Kamil?

– Brzmi jak domowe przedszkole. O żadnym Downie nie słyszałem, a Tatków, Ojców i innych Godfatherów jest w półświatku od chuja.

– Ktoś im to zlecił. – Andrzej nie dawał za wygraną. – Mieli coś odzyskać od Igora. Ukradł coś komuś i nie chciał oddać.

– Co?

Nad głową Rajsera wykwitła wielka chmura dymu. Andrzej się zawahał. Poczł się nieswojo, bo schowany w wewnętrznej kieszeni jego kurtki medalion nagle stał się jakby cięższy, zimniejszy. Nikt nigdy nie dowiedział się, że zabrał go z miejsca zbrodni. Nie wiedział o tym nikt oprócz Mundka i tego starego gliniarza, który wydłubał go patykiem ze zwęglonego ciała Igora. Koleś mógł już dawno się wygadać, ale z jakiegoś dobrego powodu milczał.

– Nie wiem – wydusił z siebie Andrzej. – Ci jego kumple z zespołu nic wtedy nie mówili? Że miał coś nieswojego? Że ktoś z nim gadał i mu groził?

– Ja tego nie prowadziłem, Andrzej. Ale jak widziałem zeznania, to Igor był czysty jak łąza. Uczeń liceum, gitara, nic więcej. Jeśli zawieźli go do tamtego lasu, żeby coś odzyskać, to odzyskali. Szkoda tylko, kurwa, że nie mogli się powstrzymać.

Andrzej zacisnął zęby. Do tego to się właśnie sprowadzało. Swoją głupią zachcianką usunął jedyny trop i jedyny powód, dla którego trzech koleśi popełniło zbrodnię.

Rajser wstał z murka i wskazał papierosem na pałac Mostowskich.

– Sorry, ale muszę wracać. Jeśli naprawdę chcesz się w tym babrać, to poszukaj tego Downa Maćka. Może to głupek, skoro miał taką ksywę. Zrób mu wodę z mózgu, wiem, że umiesz. Nagraj rozmowę. Jak któryś z tych trzech *amigos* się wysypie z czymkolwiek, to daj mi znać.

Andrzej pokiwał głową. Rajser odszedł na kilka kroków, ale odwrócił się i przez chwilę patrzył na Andrzeja z wahaniem.

– Za to mam coś nowego w temacie, który omijamy – powiedział z tajemniczym uśmiechem.

– Ochajtała się? – Andrzej ściągnął brwi.

– To już jakiś czas temu. Wujkiem zostałem.

– Gratulacje. – Uniósł kciuk, chociaż w środku poczuł nieprzyjemny ucisk. – Serio, cieszę się.

– Dzięki. Jest szczęśliwa, Andrzej. To jest najważniejsze.

– Hmm.

Rajser zniknął za fontanną. Andrzej dał sobie chwilę na oswojenie się ze słodko-gorzka wiadomością. Marysia, mąż, dziecko, Rajser wujkiem. „Kochałem tę kobietę, naprawdę – pomyślał. – I dlatego dobrze się stało, że nie zatrąłem jej życia”.

Poczuł złość drapieżnika i ochotę, żeby nawpieprzać się czegoś na ostro, zrobić sobie przedpołudniową wyżerkę. Kurczak, chińszczyzna albo najlepiej coś meksykańskiego. I może, zanim ta sprawa na dobre się rozkręci, powinien sprawić sobie kolejny wczesny prezent na gwiazdkę? Może gramofon z porządną igłą i kilka winyli? Coltrane? Miles Davis? Nieważne, cokolwiek.

Zanim doszedł do porsche zaparkowanego na tyłach kina Muranów, większość jego zachcianek zdążyła już wyparować. „Dorwę cię, skurwysynu” – zawarczał w myślach.

Gdyby był Clintem Eastwoodem, zabrałby kilka strzelb i załatwił sprawę solo. Zaczaiłby się na samotnym ranczo, wyszedł na spotkanie wroga i stanął z nim twarzą w twarz w tumanie piachu. Wyliczyłby Banzajowi wszystkie jego grzechy, Marysię zostawiłby na koniec. Celnym strzałem wyłączyłby hienowaty uśmiech, a potem przywiązał ciało do końskiego siodła i przeciągnął przez pustynię.

Gdyby był Aryą Stark z *Gry o Tron*, założyłby na twarz maskę Igora. Podszedłby, przywitał się i zanim Banzaj zdążyłby się zorientować, poderznąłby mu gardło.

Ale był tylko Andrzejem Rulewskim, trzydziestoosmioletnim dziennikarzem z Warszawy z lekką nadwagą i nawracającymi migrenami. Za jedynego sprzymierzeńca miał urzędnika z ministerstwa kultury, który właśnie dzwonił do niego na komórkę.

- No, co tam? – spytał nieprzyjemnie.
- Zgadnij, kto dzwonił do sierżanta Bielawskiego.
- No i? Znalazł Downa Maćka?
- Dał mi dwa namiary. Jeden to starszy koleś, składa komputery.
- Jak bardzo starszy? – Andrzej wystukał mentola z paczki.
- Po pięćdziesiątce.
- Odpada. A ten drugi?

- Parkingowy przy dworcu, ale ten chyba jest za młody.
- Sprawdzisz go?
- Sam? – zdziwił się Bielawski. – Nie pojedziemy razem?
- Mam coś ważniejszego do roboty – skłamał Andrzej. – Daj mi znać, jak już zrobisz parkingowego.

Rozłączył się. Może i powinni pojechać razem, ale Andrzejowi coś mówiło, że to nie będzie ten Down Maciek. Poza tym naprawdę miał coś ważniejszego. Zapomniał oddać do pralni śmierdzący trawą płaszcz z wełny merynosa.

Marcin stał na przystanku przy dworcu, zły i przemarznięty. Pieprzony Rulewski leciał sobie z nim w kulki. Wystawił go do samotnej akcji z parkingowym. Chłopak siedział w małej budce, krótko ostrzyżony, w wygniecionym uniformie. Przyjmował pieniądze i otwierał szlaban. Słaba praca, ale im dłużej Marcin mu się przyglądał, tym mniej tamten wyglądał mu na idiotę. No i miał najwyżej dwadzieścia lat. Dwunastolatek jako walący amfę współnik mordercy?

W końcu Marcin zebrał się na odwagę i wyjął z teczki notatnik i długopis. Wyrwał kartkę, przycisnął ją do słupa ogłoszeniowego i nabazgrał: „Pamiętasz, co stało się osiem lat temu z Igorem? Pozdrawiam, Tatko”. Pod wiadomością z ciężkim sercem dopisał swój numer telefonu, złożył kartkę na pół i wolnym krokiem ruszył w kierunku budki. Chciał włożyć kartkę do okienka, odejść i poczekać na reakcję chłopaka.

Zostało mu kilka kroków, kiedy usłyszał dźwięk przychodzącego SMS-a. Zatrzymał się i wyjął telefon. Ktoś z nieznanego numeru wysłał mu dziwną i bardzo długą wiadomość. Marcin przeczytał SMS-a dwa razy z otwartymi ustami. Nie było sensu zastanawiać się, kto mógł mu to wysłać – jego numer poszedł w świat razem z Maciejem z opieki. Teraz to mógł być każdy.

„Młody żonkoś, idiota i siostrzeniec. Zabił siostrzeniec. Idiota kręcił. Zrzucili na młodego żonkosia. Ale upiekło się wszystkim trzem. Siostrzeniec lubił amfę, benzynę i pistolety. Młody żonkoś już nie taki młody, ale wciąż myśli, że zabił. Znajdź papugę wujaszka albo idiotę. Naprawi ci twój sportowy wóz”.

Wszystko się zgadzało. Tatko, Down Maciek i Banzaj. Zabił Banzaj. Zrzucili na Tatkę. Tylko kto zrzucił?



Przypomniała mu się scena, którą czytał rano. „Załatwione, chociaż jak dla mnie to skurwysyństwo. I nie zapomnij podziękować wujkowi”. Ojciec Artura szarpie Norberta, w którym Artur rozpoznał Banzaja z baru. Półprzytomny facet w drugim samochodzie to pewnie Tatko. Marcin musiał przez chwilę zastanowić się, co oznacza słowo „papuga”. Prawnik? Adwokat?

Przez chwilę stał nieruchomo, owiewany przez porywisty wiatr. W końcu zmiął kartkę z wiadomością dla parkingowego. Zebrał się w sobie i z udawaną beztróską podszedł do budki.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się. – Mam problem z moim porsche.

– Z porsche? – Chłopak podniósł wzrok znad „Twojej Gazety”. – A co ja mam do tego?

– Słyszałem, że naprawiasz sportowe auta.

– Ja? Nigdy w życiu nie widziałem porsche pod maską.

– No to sorry, musiałem źle usłyszeć – mruknął Marcin.

Odwrócił się na pięcie i odszedł na przystanek przy dworcu.

Wsiadł do autobusu, o którym wiedział, że podwiezie go blisko domu na Żoliborzu. Musiał wydębić od Marty świeżą bieliznę, koszulę, szczoteczkę i pastę do zębów. Przynajmniej tyle, a gdyby się udało, to i kurtkę, bo od wczoraj mocno się ochłodziło.

Ta dziwna wiadomość... Nic by mu nie powiedziała, gdyby nie Gabryś i podróż po zakamarkach jego umysłu. Nie wiedział, kto ją wysłał, nie miał też siły zastanawiać się nad motywacjami. Dla spokoju ducha wybrał numer nadawcy, ale – tak, jak się spodziewał – w słuchawce zabrzmiało tylko: „Przepraszamy, abonent jest czasowo niedostępny”.

Był wkurzony na Andrzeja, ale musiał podzielić się z nim nową wiedzą, albo przynajmniej jej częścią. Ten szyfr i tamta scena – za dużo ważnych przesłanek. Na razie nie zamierzał zdradzać, że w obu przypadkach ważną i dziwną rolę odegrał ojciec Artura. Impulsywny Rulewski od razu wpadłby na jakiś głupi pomysł, pojechałby do domu Sosnowskich i podałby się za policjanta.

– Cześć, gdzie jesteś? – spytał po chwili.

– W pralni chemicznej.

Zdusił przekleństwo. Facet robił przepierki, podczas gdy on dymał autobusem po mieście i laził po jakichś parkingach.

– Down Maciek pierze ci gacie? – spytał z przekąsem. – Namierzyłeś faceta po kwicie?

– Coś taki zły, partnerze? – odpowiedział Andrzej beztrosko. – Jak tam parkingowy? Miałem czuja, że to nie ten, więc darowałem sobie bezproduktywną wycieczkę.

– Tu akurat masz rację. – Marcin spojrzął za szybę autobusu. – Ale w międzyczasie dostałem dziwną wiadomość.

– Niech zgadnę. Coś o naszym trio?

– Jak najbardziej. Młody żonkoś, idiota i siostrzeniec. Zabił ten ostatni, ale zwalili na żonkosia. Idiota kręcił. Pewnie filmik, kamerą albo komórką. Idiotę namierzysz, jeśli będziesz chciał naprawić sportowy samochód.

– Ja pierdykam. Myślisz o tym samym co ja?

Marcin się skrzywił. Zupełnie nie wiedział, o co Rulewskiemu może chodzić.

– Ten diler Bolek – powiedział po chwili Andrzej. – Nie wygląda na ogarniętego. Wczoraj chciał mi naprawiać sparciałe wężyki w porsche, pasuje do opisu.

– Bolek? – parsknął Marcin. – Nie za bardzo to powalone, że Down Maciek to Bolek? Czemu mają różne imiona?

– A skąd ja mam to wiedzieć, mądralo? – zachnął się Andrzej. – Mówię tylko, co myślę. Intuicja rzadko mi nawala, więc mam zamiar to sprawdzić. Pisziesz się?

– Teraz jadę do domu. Muszę się przebrać.

– To przebierz się w jakieś wygodne ciuchy. Sam Down Maciek czy Bolek nam nie wystarczy. To dopiero początek. Możliwe, że będzie trzeba trochę kogoś pośledzić albo zarwać nockę.

Marcin wziął głęboki oddech. W sumie przestawało go już cokolwiek dziwić. Cała ta zabawa zaczęła wchodzić mu w krew.

– Marta jest fotografką. – Wypuścił powietrze. – Myślisz, że przyda nam się aparat?

– Jaka Marta?

– Moja żona. Brać aparat?

– No pewnie, stary. Tylko niech cię nauczy używać. Zadzwoń, jak już będziesz gotowy.

Wszedł na klatkę schodową. Kiedy dotarł na półpiętro, stanął nagle jak sparalizowany. Był przygotowany na spotkanie z Martą, nie bał się tego, zwłaszcza po wczorajszej wieczornej rozmowie. Ale matka? To coś zupełnie innego. Nakręciła się, trafił w jej czuły punkt. Do tej pory nie miał okazji być celem jej ataków, ale doskonale wiedział, na co ją stać.

Stał więc na półpiętrze i gapił się na brudną lamperię. Próbował wyobrazić sobie, że wejdzie tak po prostu, oleje Julię i to, co ma mu do powiedzenia. Załatwi swoje sprawy – walizkę i aparat od Marty. Wyjdzie. Ale Julia w jego wizji robiła wszystko, żeby już nie wyszedł, łącznie z kładzeniem się przed drzwiami, niczym Reytan na sejmie rozbiorowym. A potem niewidzialnym sznurem swojego spojrzenia przywiązywała go do krzesła i kazała wszystko wyśpiewać. Dla jego dobra, oczywiście.

„To naprawdę żalosne, bać się wejść do własnego mieszkania – pomyślał. – I to nie przez żonę, ale przez mamusię. Kurwa...”

Wyjął komórkę i napisał wiadomość. Bardzo długą i bardzo ckliwą. Wcisnął ikonkę z kopertą. Teraz zostało mu już tylko poczekać i mieć nadzieję, że słowa, których użył, zostaną właściwie odczytane.

Miała już wszystko obmyślane. Prędzej czy później on musi wrócić. To czyścioszek. Nie będzie przecież chodził do pracy w ministerstwie w przepoconej koszuli, brudnych gaciach i śmierdzących skarpetkach. Grzegorz też był czyściochem. A gdy zasmakował w niewierności, to nawet sam wstawiał pranie. Głównie złożone z jego własnej garderoby, co prawda...

Więc gdy już wróci, zrobi mu się porządny magiel. Niech się nawet chłopak poryczy, a co. Jeszcze będzie chodził jak w zegarku.

Coś jednak Julii Bielawskiej w tym wszystkim nie pasowało. Dlaczego Marta od rana jest taka spokojna? Czemu odpowiada jej półgębkiem i ledwo co odwraca się do niej, siedząc przy tym swoim komputerze? Żadna kobieta się tak nie zachowuje w obliczu podejrzanych zachowań męża. A tu nawet nie ma podejrzeń, tu są twarde dowody. To nie jest normalne! Tu trzeba działać, trzeba obmyślać strategię, jak to rozegrać, a nie ślęczeć przed monitorem, jakby nic się nie stało.

Siedziała w fotelu w dużym pokoju, czytała swój kryminał, stukała palcem o podłokietnik i od czasu do czasu zerkła to na zegarek, to na plecy Marty. „Dziwna dziewczyna” – pomyślała po raz kolejny.

Na biurku Marty zawibrował telefon. Chyba SMS. Marta przez chwilę przesuwiała palcem po ekranie, a gdy skończyła czytać, wyprostowała się, podniosła splecione dłonie nad głowę i trwała w tej pozycji dobre kilkanaście

sekund. Julia obserwowała to z nad okularów. W końcu Marta wstała, zaskakująco szybko i bez westchnień, z telefonem w dłoni.

– Dzięki, chodź – rzuciła do popielatej suczki, która do tej pory leżała pośrodku pokoju z pyskiem skierowanym w stronę Julii i wzrokiem wlepionym w jej kapcie. – Idziemy na spacer.

Pies poderwał się na równe nogi i zaczął tańczyć wokół stóp Marty. Julia miała na końcu języka pytanie, od kogo ta wiadomość, ale się powstrzymała. Nie chciała wyjść na wścibską. Marta zaś sprawiała wrażenie, jakby Julii w ogóle tu nie było. Podeszła do regału, otworzyła górną szafkę i wyjęła kartonowe pudełko. Postawiła je na stole, przegrzebała chwilę zawartość i wyjęła aparat. Przykręciła do niego obiektyw, włączyła, przyłożyła oko do wizjera i pstryknęła zdjęcie biurka z komputerem.

– Będziesz robić zdjęcia? – spytała Julia.

– Yhm – mruknęła Marta. – Jedno albo dwa.

Wyszła do przedpokoju. Julia wzięła głęboki oddech i próbowała skupić się na książce. Strasznie drażnił ją ten policjant, główny bohater. Taki był miły w pierwszej książce, taki do rany przyłóż, a teraz schamiał. Rzuca kurwami, pije i pali. Dobrze, że chociaż reszta jest jak poprzednio.

Minęła minuta albo półtorej, gdy usłyszała, że drzwi zamykają się za synową i psem. Wstała, podeszła do okna, otworzyła je i wystawiła głowę. Tak na wszelki wypadek, gdyby coś się zadziało.

Najpierw zobaczył Dzeki, zbiegającą po schodach jak szalona, a dopiero po kilku chwilach na pierwszym piętrze pojawiła się Marta, z jego czarnym plecakiem i puchową kurtką zarzuconą na ramię. Stała, pokręciła głową i postawiła plecak na posadzce.

– Chyba zdurniałam, że się na to godzę – wymruczała i wyciągnęła dłoń z kurtką. – Zostałam współniczką kłamcy i zdraдлиwego sukinsyna, który nagle przeprosza, ale do domu wrócić nie chce. Po buziaczku?

Marcin poczerwieniał. Wszedł na piętro i cmoknął ją w policzek.

– Tam z Anką chodziło tylko i wyłącznie o scenariusz. Nie chciałem cię denerwować – powiedział z ręką na sercu. – Nie wiem, co widziałas na zdjęciu, ale po prostu życzyła mi powodzenia.

– Powodzenia w czym? – Marta się skrzywiła. – Nie powinieneś być teraz w pracy? Czy może chcesz mi powiedzieć, że rzuciłeś robotę i emigrujesz do Hollywood?

– Pracy nie rzuciłem, ale są zawirowania w ministerstwie. Różne rzeczy mogą się zdarzyć przy nowym dyrektorze. – Marcin spojrział na Martę znacząco, zdjął płaszcz i przebrał się w kurtkę. – To wszystko jest skomplikowane, niedługo ci opowiem. Ale na razie muszę ponianńczyć dzieci tego aktora. Miał zawał i nie wiem, kiedy wróci.

– Spakowałam ci tu trochę ubrań i kosmetyczkę. Tak na szybko, bo bałam się, że Julia mnie nakryje. A powiesz mi, po co ci mój stary aparat?

Postarał się nie zagryzać warg ani nie uciec wzrokiem.

– Poznałem jednego dziennikarza... – Urwał. „Nie kłam, nie kłam teraz”, pomyślał. – Facet chce, żebyśmy zrobili na mieście mały materiał.

Marta znów się skrzywiła, tym razem tak, jakby zjadła pół cytryny i popiła to octem.

– Wiem, że to brzmi kompletnie niedorzecznie – dodał Marcin szybko. – Ale to prawda. Najprawdziwsza.

– Zdajesz sobie sprawę, że to słaby sprzęt? – powiedziała, wciąż z tą samą miną. – Niepełna klatka. Mam do niego tylko tego ciemnego zooma. Trochę się zacina.

– A da się na nim robić zdjęcia tą techniką, no wiesz, co kiedyś mi opowiadałaś? – spytał Marcin niepewnie. – Światła, cienie, trzy ujęcia, później się nakłada w Photoshopie. Gdybym chciał coś w nocy porobić...

– Coś ci się pomyliło. Może naucz się najpierw normalne zdjęcia robić, a potem kombinuj z HDR. Jak chcesz mieć fajne zdjęcie nocne, to weź statyw i zrób na długim czasie naświetlania. Ciekawe kolory wtedy wychodzą, a samochody są jak smugi światła.

– No ale gdybym chciał, żeby było widać kogoś... – Marcin urwał, a Marta spojrzała na niego uważnie. – To znaczy nie smugi, tylko wyraźnie.

„Fuck – przeklął w myślach. – Szpiedzy tacy jak my, kurwa. Już po aparacie. Przestraszy się. Cała operacja na nic”.

– Statyw – powiedziała Marta chłodno. – A jeśli nie statyw, to jakieś podparcie. Murek, gałąź, maska samochodu. Wchodzisz w menu i wybierasz

korektę ekspozycji. Plus jeden, minus jeden. Może być więcej.

Marcin ukucnął przy plecaku. Po chwili włączył aparat i ustawił odpowiednie wartości pokrętle.

– Naciskasz spust migawki i słyszysz trzy kliknięcia – ciągnęła Marta. – To znaczy, że zrobiły się trzy zdjęcia. Reszta to Photoshop. Ale paparazzi nie używają HDR. Po prostu mają zajebisty sprzęt.

– Mnie musi wystarczyć ten. – Marcin poczuł ulgę, że znowu mu się upiekło. I wdzięczność. Całe mnóstwo wdzięczności. – Obiecuję nie nabroić. I to nie ma nic wspólnego z Anką.

– Jeszcze raz buziaka poproszę.

Marcin podniósł się i nachylił się do jej miękkiego policzka.

– I jeszcze ten pan. – Dotknęła wielkiego brzucha. – Masz się meldować trzy razy dziennie. – Pogroziła mu palcem i ruszyła w dół po schodach. – Radzę poczekać z wyjściem, aż będę wracać z Dżeki.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Znając Julię, to stoi teraz w oknie i patrzy, czy nie zacznę rodzić pod śmietnikiem. Daj mi aparat, oddam ci, jak będę wracać.

Julia zaczęła się naprawdę niepokoić. Żadna kobieta, nawet w najbardziej zaawansowanej ciąży, nie schodzi z drugiego piętra przez dwie i pół minuty. Chyba że upadła na schodach. Albo... odeszły jej wody?

Przełknęła ślinę i poczuła zastrzyk adrenaliny. Wychyliła się mocniej przez okno i spojrzała na daszek przykrywający wyjście z klatki. Ale nie... Nawet jeśli Marta została pod daszkiem, to przecież musiała wypuścić psa. A od czasu, gdy Julia otworzyła okno, na podwórko nie wybiegł żaden pies.

Coś było nie tak. Trzeba natychmiast pomóc! Oczami wyobraźni widziała już siebie, jak zbiega po schodach do Marty i robi raban. Sąsiedzi na pewno ją pamiętają! Każe komuś zadzwonić po pogotowie. A może już teraz trzeba złapać za komórkę...?

Już miała porzucić swój punkt obserwacyjny, gdy dostrzegła, że spod daszku wystrzeliła jak pocisk Dżeki, odbiegła na dwadzieścia metrów do małego klombu i kucnęła do siku. Zaraz potem z klatki wyszła Marta i bujając się na

boki, przeszła powoli do najbliższej ławki. Usiadła, podniosła głowę i spojrzała prosto w okno na drugim piętrze.

Julia zmusiła się do uśmiechu i pomachała.

– Złapała mnie słabość po drodze! – zawołała Marta i pokazała na brzuch. – Ale już wszystko w porządku. Niech się mama nie martwi.

– Mam zejść? – odchrzyknęła Julia.

– Nie!

Julia nie była przekonana, ale stwierdziła, że kryzys został jednak zażegnany. Odchrząknęła dwa razy. Dojrzała jeszcze, że Marta podnosi do oka aparat, kieruje obiektyw w stronę wyjścia z klatki i pstryka jakieś bezsensowne zdjęcie. Dziwne hobby... Wróciła na fotel. Podniosła książkę i próbowała wrócić do policjantów z Lipowa, ale nie mogła się skupić.

„Daj sobie spokój, kobieto – wymruczała w duchu. – Najważniejsze to poczekać do osiemnastej. Synuś marnotrawny w końcu musi wrócić. To przecież czyścioch, nie? Czyścioch, jakich mało”.

Zanim Andrzej dojechał do obskurnego warsztatu za torami, doszedł do ponurego wniosku, że nie wie, jak ma się zabrać za Bolka. Coś mu w tej historii nie grało. Najbardziej kłuła go ta tajemnicza wiadomość, którą ktoś podsunął im jak przynętę. I to następnego dnia po tym, jak odrzucił robotę – tak jakby komuś zależało, żeby dalej się w tym babrali. „Albo to jest prawda, albo fałszywka. Albo jedno i drugie” – podrapał się po nosie.

Ostrożnie wjechał w wąską bramę. Była otwarta, więc może Bolek kręcił się tu gdzieś, jarał blanty w krzakach albo grzebał w warsztacie. Andrzej dwukrotnie nacisnął klakson i wyłączył silnik.

Drzwi od warsztatu uchyliły się z jękiem i pojawiła się w nich znajoma głowa z tłustymi włosami, a zaraz potem ta sama żółta koszulka i umazane smarem dzinsy.

– No siemanko. – Bolek podszedł do Andrzeja. – Nie mów mi, żeście już zjarali tę siódemkę.

– Nie. Ja w innej sprawie.

– Będziemy robić porszaczka? – Bolek odgarnął włosy. – To się dobrze składa, bo już kończę opla. Ale wcześniej niż jutro nie wstawię ci tego na kanał.



– Spoko.

Andrzej włożył dłoń do kieszeni kurtki i włączył dyktafon. Modlił się, żeby coś się nagrało mimo grubego materiału i porywistego wiatru.

– Słuchaj, ty jesteś Bolek, tak?

– Ano.

– To twoje imię czy ksywka? Lubię wiedzieć, z kim gadam.

– Własne moje imię, przez ojca mi nadane. – Bolek się uśmiechnął. – A z kim mam przyjemność?

– Andrzej.

Bolek wyciągnął brudną dłoń i Andrzej uścisnął ją mocno.

– Ja i ten drugi chłopak grzebiemy przy Arturze Sosnowskim. – Andrzej odwrócił się, wyciągnął papierową chusteczkę i wydmuchał nos. – Szukamy informacji o tym, co tu się wydarzyło osiem lat temu. Co nieco już znaleźliśmy.

– Benny mi powiedział, że tamten gościu pytał o koleśiówkę z baru. No to pewnie już wiecie o tym świrze z pistoletem. To od niego się zaczęło. Artur kupił gana i słabo skończył.

– Ty mu kupiłeś, tak? – Andrzej spojrzał badawczo. – W burdelu?

– A to skąd wiesz? – Bolek wyglądał na zdziwionego.

– Ze scenariusza. Artur to opisał.

Bolek głośno wypuścił powietrze.

– Ja pieprzę. I co jeszcze napisał? – spytał.

– O dziewczynie z burdelu. Kojarzysz?

Andrzej patrzył uważnie, jak mechanik dziwnie zapada się do środka, a z jego twarzy znika głupkowaty uśmiech.

– Nie wiem, jak ona się nazywała – odezwał się Bolek głucho. – Nie powiedział mi. A ja z nią nie spałem.

– W scenariuszu ta dziewczyna ma dziwne oczy. Jedno zielone, a drugie żółte, czy jakoś tak.

Bolek spojrzał na Andrzeja z niedowierzaniem.

– To też? Naprawdę wszystko tam wrzucił?

– To nie jest do końca sprawa, która mnie interesuje – powiedział Andrzej. – Ale zakochał się w niej? Spotykali się potem?

– Mówiłem mu, żeby dał sobie z nią spokój. – Bolek potarł czoło. – Po co wam to? Artur nie żyje, ta dziewczucha zniknęła, nikt jej nie widział od ośmiu lat.

Andrzej spojrział na Bolka przeciągle. Facet był chyba tylko zwykłym mechanikiem, który od czasu do czasu lubił popracować przy sportowych samochodach i opylić trochę towaru dla sportu. Po pracy wypijał piwko, jarał blanta, siadał przed telewizorem i oglądał mecz Ligi Mistrzów.

– Nie wiem, Bolek. Nie mogę mówić za tego Marcina. Taka jest moja natura. Muszę odkryć prawdę, za wszelką cenę, inaczej nie mogę spać spokojnie. A tak w ogóle, to dużo robisz tych sportowych aut?

Bolek parsknął cicho.

– Rozejrzyj się, stary. Kto by przyprowadził swoją wypieszczoną furę do tego sralnika? Robię tylko szroty i inne niemce. Z ferrari to pewnie jeżdżą do dałna.

– Do kogo? – Andrzej przekrzywił głowę.

– Do Maćka. Osiem stanowisk i panienka na recepcji.

– Podjedziemy tam?

Dostrzegł na twarzy Bolka rozczarowanie. Facet zgarbił się i przygryzł wargi.

– Bez obaw, Bolek. – Podszedł bliżej. – Dam ci do zrobienia te wężyki i chłodnicę. Po prostu pokażesz mi, gdzie jest ten wypasiony warsztat, okej? Tylko przebierz się, pliz, bo mi wysmarujesz siedzenia.

– Spudłowałem. – Usłyszał Marcin w słuchawce. – Ale i tak się opłaciło.

Stał na przystanku przy dworcu i cierpliwie czekał na podmiejski autobus, który miał go zawieźć z powrotem w tamtą okolicę.

– Jadę teraz z Bolkiem pod warsztat naszego ulubieńca – ciągnął Andrzej z lekkim rozbawieniem. – Powiesz mi jeszcze raz, co dobry samarytanin napisał o trzech tenorach?

Marcin znał zaszyfrowaną wiadomość już niemal na pamięć. Ale część o „papudze wujaszka” wolał na razie zostawić dla siebie.

– Idiota kręcił. Zrobi ci sportowe auto. Zabił siostrzeniec. Lubiał amfę, benzynę i pistolety.

– Skoro jest siostrzeniec, to musiał być też jakiś wujek – zauważył przytomnie Andrzej.

Marcin zacisnął zęby. Najlepiej byłoby powiedzieć wszystko od A do Z. Łącznie ze sceną na polnej drodze, tą, którą dostał od Oli. Ale Andrzej cały czas załatwiał fałszem, jakby lada chwila miał go wystawić. Pewnie zrobi to od razu, jak tylko rozwikła sprawę Igora.

– Pewnie jakiś był – powiedział cicho. – I pewnie ten wujek załatwił to tak, że Norbert się wywinął.

– Norbert? – zakrztusił się w słuchawce Andrzej. – To coś nowego. Co ty przede mną ukrywasz, partnerze?

Marcin poczuł, że lekko się poci.

– Nic nie ukrywam. Znalazłem jeszcze jedną scenę. Ktoś mówi Arturowi, że ten Banzaj może się nazywać Norbert.

– Okej. Masz jeszcze jakieś rewelacje?

– Nie.

Ze skrzyżowania zjechał na przystanek podmiejski autobus i Marcin stanął na końcu gęstego tłumu chętnych do podwózki.

– To jak? – spytał. – Dokąd mam jechać?

– Wyślę ci SMS-a. Szukaj porsche. Będzie w nim nasz wspólny znajomy.

Andrzej uniósł głowę. Przez chmury upiornymi białymi smugami przeświecało słońce. Pasażerski boeing wpłynął na chwilę w jeden z takich prześwitów i chwilę potem zniknął za chmurą. Za rozsuniętą szeroką bramą stał długi budynek. Duże, miłe dla oka logo zawieszono pod dachem trochę przypominało medalion z pistoletami i różami. Dwa sportowe samochody zwrócone do siebie maskami i dwa skrzyżowane klucze francuskie.

Bolek został w porsche zaparkowanym na błotnistym parkingu po drugiej stronie kostropatej szosy na obrzeżach Warszawy. Miał zgarnąć Marcina Bielawskiego, kiedy ten już zjawi się z aparatem, gotowy do akcji.

Andrzejowi wcale się nie spieszyło, żeby iść do tego wielkiego warsztatu i zaczepiać obcego faceta. Zapalił papierosa. Down Maciek – dla wszystkich idiota, płotka, niezbyt mądry pomocnik. Ale nawet takiego durnia niełatwo wywieść w pole. Byłoby miło, gdyby facet z opieki zagrał tak, jak mu Andrzej

kazał – wtedy Maciuś pomyślałby, że przyjdzie do niego ktoś z gazety przeprowadzić wywiad. Ale facet z opieki dał ciała i tego konkretnego Maćka nie znalazł.

Zgasił papierosa i wszedł do hali. Na dwóch podnośnikach stały sportowe samochody, na reszcie kilka lepszych opli i mazda. Wokół kręcili się ubrani w zielone skafandry młodzi mechanicy. Wszystko wyglądało nowocześnie i profesjonalnie – żadnego jarania szlugów, rzucania kurwami ani plakatów z gołymi babami.

Andrzej podszedł do mechanika majstrującego z poważną miną przy sportowej wersji suzuki swift.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. – Mechanik otaksował go wzrokiem.

– Mam podobny. – Andrzej dotknął spojlerów. – Coś nawala pod maską.

– A to nie ze mną rozmowa. Niech pan gada z Renatą.

Andrzej stwierdził, że więcej nie uda mu się zdziałać z tym sztywniakiem. Przeszedł kilkanaście kroków i zerknął przez szybę. W przestronnej recepcji siedziała przy biurku młoda brunetka w garsonce i wpisywała coś zawzięcie na klawiaturze. Andrzej otworzył drzwi zamaszystym ruchem.

– Jest dzisiaj szef, pani Renatko? – spytał szybko. – Znajomy z telewizji polecił mi wasz warsztat, tylko telefonu do szefa mi nie podał.

Kobieta spojrzała na Andrzeja szeroko otwartymi oczami, jakby próbowała wydobyć z pamięci, czy już go gdzieś nie widziała.

– Zaraz zadzwonię na górę – powiedziała niepewnie.

– Nie, nie, nie trzeba. Pani mi poda numer, to ja sobie z nim wszystko ustalę i wtedy wrócę.

Brunetka chyba nie do końca ogarniała ten skomplikowany plan. W końcu uśmiechnęła się, zapisała numer na firmowej wizytówce i podała Andrzejowi.

– Wielkie dzięki. – Pokiwał głową z uznaniem.

Podszedł do drzwi. Wychodząc, posłał Renacie krzywy uśmiech, który zniknął z jego twarzy zaraz za drzwiami.

Maciej od południa myślał tylko o tym, czego chce ten facet z gazety. Zadzwoił do niego wtedy kolega z niusem: jakiś palant w okularkach szuka na tamtym osiedlu Downa Maćka. Z gazety, do wywiadu. Kolega pomyślał, że to podejrzane, i zbył faceta, ale zadzwonił do Macieja i zreferował mu tę dziwną sytuację.

Dlaczego Downa? Down Maciek to była pieprzona zamierzchła prehistoria. Skończyła się sześć lat temu, kiedy Maciej w końcu rzucił trawę, zamienił bluzę z kapturem na koszulę z kołnierzykiem i poszedł na siłownię. A na koniec strzelił fangę w nos najaranemu koleźce pod blokiem, który za jego plecami nazwał go tą znienawidzoną ksywką. Od tamtej pory Down Maciek był już tylko postacią z najdłuższej polskiej telenoweli. Nowy Maciej ożenił się z miłą, pulchną dziewczyną i doczekał się dwóch pulchnych chłopaczków. Jeśli już miał być jakąś postacią, to wołał być Shrekiem. Na co dzień zaś był panem Maciejem, który na spółkę z ojcem wziął kredyt i na rodzinnej działce postawił dużą jasną halę z ośmioma podnośnikami.

Usiadł przy swoim potężnym biurku stylizowanym na mahoń. Otworzył laptopa i zaczął układać w głowie odpowiedzi na pytania, które mógłby mu zadać facet z gazety. Kiedy wpadł na pomysł założenia warsztatu? Jak to jest mieć pod sobą tylu ludzi? Czy czuje dumę, że ma setkę stałych klientów, którzy z ufnością przyprowadzają tu swoje sportowe cacuszka? Na pewno będzie pytanie o rodzinę, o panią Shrekową i małych rozrabiaków. Znalazł w laptopie zdjęcia – z ojcem i resztą załogi, przy czerwonym maserati. Słodka fotka z żoną i potomstwem na gorącym greckim piasku. Będzie świetnie wyglądać przy artykule. Ciekawe, która to gazeta.

Komórka na blacie rozdzwoiła się tłustym bitem przeboju z zeszłego lata. Maciej spojrział na numer. Nieznany. Nie zastanawiał się długo i odebrał.

– Halo? – Przybrał oficjalny ton, chociaż w środku aż gotował się z podniecenia.

– Pan Maciej? – W słuchawce zabrzmiał męski głos. – Szukam pana od rana po całym mieście...

– Pan z gazety? – przerwał mu Maciej. – Jakby co, to ja jestem cały czas w biurze. Może pan wpadać, tylko nie wiem, czy ja mam coś płacić za ten artykuł sponsorowany? Bo teraz akurat miałem wydatki, więc wie pan...

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, jakby gość musiał przetrwać ten słowotok. Maciej przestraszył się, że przestrzelił.

– Nie, nie musi pan płacić za artykuł – odpowiedział w końcu facet. – Jest całkowicie za friko. Robię materiał o młodych warszawiakach, którzy odnieśli sukces w biznesie.

„Yes, yes, yes!” – Maciej zacisnął pięści.

– To kiedy pan do mnie wpadnie?

– Patrzę właśnie na pana warsztat. Niedługo będę.

Rozłączyli się. „Dżizas, dobry dzień, bez kitu – pomyślał Maciej. – Chociaż na dworze pizdzi i zaraz znowu będzie łać”.

– ...i właśnie wtedy, jak podjechał ten aktor w czerwonym maserati, to pomyślałem: „Maćku, zrobiłeś kawał dobrej roboty. Twój warsztat jest najlepszy po tej stronie Wisły”.

Andrzej siedział spięty na krześle po drugiej stronie biurka stylizowanego na mahoń i od czasu do czasu zerkał, czy dyktafon się nie rozładował. Od dwudziestu kilku minut zadawał banalne pytania, kiwał głową i słuchał wywodów lekko nawiedzonego trzydziestolatka. Łysiejący facet w żółtym krawacie i okularach w grubych oprawkach wyglądał jak spasiony na fast foodzie przedstawiciel handlowy. Im dłużej mówił i gestykulował, tym większe plamy potu wykwiwały mu pod pachami. Wypluwał z siebie kolejne zdania o tym, jaki jest zajebisty – on, jego warsztat i jego klienci.

– Okej. – Andrzej spojrzał na zegarek. – Już wszystko wiem. A może wrócimy do samego początku tej historii?

– Do początku? – Maciej uniósł brwi. – Już opowiadałem. Kredyt, działka, wyrzeczenia.

– Ale jeszcze dawniej.

– Jak bardzo... dawniej?

– Przed warszatem. – Andrzej pochylił się i spojrzał tamtemu głęboko w oczy. – Czytelnicy lubią *backstory*, tło. Skąd się wziął ten samorodny talent. Kim był, zanim został tym, kim jest.

Maciej włożył grube palce pod oprawki okularów.

– Przed warsztatem to nie było nic ciekawego – powiedział wyraźnie speszony. – Chodziło się do szkoły. Koledzy, piwko.

– Trawka? – rzucił Andrzej niedbale.

– Była i trawka. Ale co to ma do wywiadu?

– Ostrzejsze rzeczy też? Amfa? Dopalacze?

– Trochę przestaje mi się to podobać. – Maciej spojrzał na niego wilkiem.

Andrzej wstał z krzesła i podszedł do okna, za którym zobaczył tylko szosę i rozchlapujące błoto ciężarówki. Żadnej inspiracji. „Jeśli teraz przestrzelę, to po prostu otworzę drzwi i spierdolę” – pomyślał. Poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa spływa mu strużka potu.

– Bo ja, panie Macieju... – zaczął, starannie dobierając słowa. – Interesuję się prapoczątkami. Każdy z nas ma jakąś historię. Jakieś rzeczy do ukrycia... – Zawiesił głos. – Pan nawet nie wie, jakie ja mam. A pan?

– A ja co? – Maciej był coraz bardziej spięty. – Nie mam nic do ukrycia. Uczciwie zbudowałem ten warsztat, ciężką pracą.

– Z kolegami, tak?

– Z ojcem.

– Okej.

Andrzej odwrócił się do okna i przez chwilę tępo patrzył za szybę. Właściwie nie miał już nic do stracenia. Nie obędzie się bez zagrania *va banque*.

– Zanim cokolwiek dalej powiem – zaczął powoli – musisz wiedzieć, miły kolego, że artykuł mam już napisany. Nie jest to artykuł o twoim warsztacie ani o rodzinie. Został już zatwierdzony przez mojego redaktora. Wydrukowałem go na ładnej białej kartce i położyłem na moim biurku w redakcji.

– O czym? – spytał Maciej cicho.

Andrzej zaczerpnął tchu.

– O trzech *amigos*, którzy osiem lat temu zabrali włochatego muzyka na przejażdżkę do lasu. Ci trzej *amigos* zrobili mu takie kuku, że z tych włosów zostały tylko małe czarne kuleczki.

Maciej patrzył na Andrzeja szeroko otwartymi oczami.

– Przez osiem lat było o tym cicho – ciągnął Andrzej. – Nawet moja gazeta z początku miała zagwozdkę, taki to był horror. Pewnie spieprzyliście, jak tylko

Igor zaczął płonąć i wyć. Nie zobaczyliście swojego dzieła. Ja miałem pecha i zobaczyłem to w całej, że tak powiem... okazałości. – Andrzej podszedł do biurka, oparł się o blat i zaczął wpatrywać się w pobladłą twarz Macieja. – Na twoje nieszczęście, mój miły kolego, ktoś sobie o was przypomniał, ale ze wszystkich trzech *amigos* zapamiętał tylko twoją brzydką ksywkę.

– Niech pan stąd wyjdzie – wybełkotał Maciej. – Nikt nic nie widział.

– Ja widziałem. Tego się nie da odwidzieć.

– Pozwę cię.

– Uuu, żebyś ty wiedział, kto mnie w życiu pozywał.

Maciej wstał gwałtownie.

– Nic nie widziałeś! Wynocha! – krzyknął i od razu przestraszył się własnego krzyku. – Nikogo tam nie było – dodał ciszej.

Andrzej powoli sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Byliście pewnie tak ujarani albo naspidowani, że nie zauważyliście faceta, który ukrył się w krzakach. Ten facet widział, jak oblewacie Igora benzyną. Ty go oblewałeś?

Maciej pokręcił głową.

– Tatko?

– Skąd to wiesz? – Maciej wybałuszył oczy.

– Ten trzeci? Miał jakieś imię? Podpowiem, że zaczynało się na literę N. – Andrzej uśmiechnął się krzywo. – No... Nor...

– Norbert. – Maciej opadł na krzesło. – Ale to nie był mój kumpel, tylko Tatki. Ja z nimi tylko jeździłem i jarałem blanty. Ale tam naprawdę nikogo nie było. Kłamiesz, człowieku.

– To skąd wiem, że kręciłeś wszystko komórka?

Andrzej przez chwilę patrzył na ciężko dyszącego Macieja. Facet był w dziwnym stanie. Wyglądał jak poważnie zraniony bawół, który chce przed ostatnim tchnieniem wbić rogi w bok atakującego go lwa. Mokra od potu koszula, chrapliwy oddech, a w oczach desperacja. Andrzej się spał. „Muszę go dobić”, powtarzał sobie w myślach. Wyłączył dyktafon, a potem powolnym ruchem wyciągnął z kieszeni medalion z różami i pistoletami.



– To o tę błyskotkę chodziło wtedy z Igorem – syknął, patrząc w wybałuszone oczy Macieja. – Mielicie dać Igorowi nauczkę, zabrać to i oddać jakiemuś facetowi. Pewnie wujkowi Norberta, kimkolwiek był.

– Skąd... skąd to masz? – wypluł z siebie Maciej razem ze śliną.

– Z trupa. Już mówiłem, byłem tam. A teraz, koleś, przestań lecieć ze mną w kulki. Wiem wszystko, znam całą historię. Wiem, że byliście tam we trzech. I że w ogóle jeździliście jak pojeby we trzech, bo widziano was też pod fast foodem, wtedy gdy Norbert wyciągnął pistolet na chłopaka z baru. – Sięgnął do dyktafonu i włączył nagrywanie. – Powtarzam jeszcze raz – powiedział głośniej. – Mam napisany artykuł, ale z trzech pojebów znalazłem tylko ciebie. – Wysunął palec w stronę pobladłego faceta. – Jeśli nic się nie zmieni, to nie będę miał wyjścia. Będziesz opisany jako morderca Igora. Podoba ci się taka wersja?

Patrzył z satysfakcją, jak Maciej rozsypuje się na jego oczach.

– Ja tam tylko stałem i kręciłem. Byłem ujarany, wzięli mnie ze sobą, ten koleś wpadł w jakiś szal.

– Który koleś?

– Norbert.

– Masz ten filmik?

Maciej zawahał się na moment.

– Oddałem Norbertowi. Po wszystkim strasznie się speniał. A Tatko był półprzytomny, bo Norbert dał mu wcześniej jakieś nowe gównno. W aucie gadał jak potłuczony do Tatki, że to on podpalił tego Igora. I że musimy gdzieś podjechać. No to podjechaliśmy pod jakiś dom. Norbert zabrał mi komórkę, kazał trzymać mordę na kłódkę i spadać. Potem już nigdy go nie widziałem.

– A Tatkę?

– Zapadł się pod ziemię na jakiś czas. A jak go potem zobaczyłem, to nie dało się z nim gadać. Zmienił się.

Facet wyglądał, jakby mówił prawdę. Andrzej pokiwał głową i schował medalion do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Posłuchaj mnie, człowieku. – Położył dłoń na sflaczałym ramieniu Macieja. – Twoja wersja trzyma się kupy. Ale to nie znaczy, że ci odpuszczę. Teraz ważne jest, żebyśmy usiedli i zastanowili się nad jedną podstawową kwestią.

– Jaka? – mruknął Maciej.

– Jak to zrobić, żeby za tę sprawę beknął Norbert. Nie Tatko, nie ty. Norbert.

Bolek siedział cierpliwie w zaparkowanym na błotnistym parkingu porsche Andrzeja i zerkał na warsztat Downa Maćka po drugiej stronie ulicy. Co jakiś czas przejeżdżająca ciężarówka rozbryzgiwała brudną breję z wielkiej dziury. Błoto powoli spływało z powrotem, a potem wszystko się powtarzało. Bolek pomyślał, że gdyby jakiś wariat wjechał w tę dziurę z odpowiednią prędkością, to breja doleciałaby w końcu do porsche i wszystko by zapaskudziła.

Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej pojawił się na chodniku ktoś podobny do typa, który był z Andrzejem kupić trawę. Bolek zbystrzał. Miał zgarnąć go i zaczekać z nim w porsche. Nie chciało mu się wychodzić na ten ziąb. Gdy chłopak w puchowej kurtce i z plecakiem niemal zrównał się z autem, Bolek otworzył szybę.

– Ej ty, tutaj! – zawołał.

Tamten się zatrzymał. Patrzył na Bolka i na porsche, ale nie wiadomo czemu nie ruszał się z miejsca. Bolek zobaczył na horyzoncie kolejną ciężarówkę.

– Ruchy, koleś! Bo będziesz miał prysznic.

Chłopak chyba domyślił się, co mu grozi, bo kilkoma szybkimi susami doskoczył do porsche, otworzył tylne drzwi i wpakował się do środka. Chwilę potem wulkan błota znów wystrzelił spod kół dostawczaka.

– Dzięki, Bolek. Marcin jestem. Nie zdążyłem się wtedy przedstawić.

– Spoko.

– Jak tam Andrzej?

– Siedzi u Maćka, ale nie mówił mi, po co tam polaził. – Bolek ziewnął. – Muszę rozprostować kości. Zerknę do środka.

– Poczekaj – powiedział szybko Marcin. – Nie róbmy nic głupiego. Poza tym chciałem cię o coś zapytać, póki go nie ma.

– Co jest? Myślałem, że razem robicie to śledztwo.

– Razem, nie razem. Wszystko jedno. Ale o jednej rzeczy mu nie powiedziałem.

– Czyli?

– O ojcu Artura.

– O starym Sosnowskim? – zdziwił się Bolek.

– Wiesz, kim on był? Co robił?

Bolek podrapał się po nosie. Jasne, że wiedział, kim był stary Artura. Nigdy z nim o tym nie gadał, a do tego miał wrażenie, że Artur był jak dziecko we mgle i nie ogarniał do końca, czym jego tatuś się zajmował.

– Był prawnikiem – powiedział Bolek. – To znaczy dalej jest, ale nie tak samo jak wtedy.

– Nie rozumiem.

– No... – Bolek się zawahał. – Zmienił sobie klientów.

– To byli jacyś gangsterzy? – spytał Marcin niepewnie.

„Dużo wie, skurczysyn – pomyślał Bolek. – Ciekawe, czy on i ten drugi wiedzą, w jakie szajsy mogą się wpakować, jak będą tak dalej drażyć. Co prawda facet, dla którego robił stary Sosnowski, wycofał się ze wszystkiego po tym wypadku osiem lat temu. Teraz jeździ na wózku i zaiwania trzy razy w tygodniu do kościoła, jakby szukał odkupienia u Jezuska. Ale jak się nadeptnie na odcisk jemu albo jego starym kumplom, to można pewnie dalej zdrowo oberwać”.

– Sosnowski kręcił się przy takim jednym koleśiu, który też mieszka na osiedlu – zaczął Bolek, zastanawiając się, czy dobrze robi. – Nie jakiś wielki gangus, nie był to Wołomin, tylko taki se, biznesmen raczej. Paru pakerów się koło niego kręciło. Trochę robił w dragach, ale najbardziej lubił panienki. Jakiś peep show miał w centrum, sex shopy, no i ze dwa albo trzy burdele.

– Sprzedawał broń? – Marcin spojrzał z ukosa.

– Chodzi ci o ten pistolet dla Artura? To nie on, ale z burdelem masz dobrą czutę. To był jego burdel, tam gdzie Artur poznał tę laskę.

– I co się z nim stało, z tym koleśiem? Dalej to wszystko ma?

– Nie. – Bolek poczuł, że brnie za daleko. Ci dwaj wyskoczyli nagle jak filip z konopi. Mogli być gliniarzami. Albo jakimiś dziennikarzami. Opiszą to,

dadzą jego imię i będzie miał przesrane. – Potem to wszystko posprzedawał.

– Potem?

– Po wypadku.

Zamilkł. Przypomniiał sobie, jak Artur zmieniał się wtedy niemal na jego oczach. Nigdy nie był taki wyszczekany jak Pablo i nie pieprzył głupot jak Czarny. Ale przynajmniej umiał się śmiać. Po tej zadymie w fast foodzie i po tym, jak poznał tę panienkę, uszła z niego cała energia. Jakby wampir przyssał mu się do szyi i dzień po dniu wypijał całą krew. Zostały tylko te wwiercające się w człowieka oczy, jakby pytały: „Kurwa, za co?”. Koleś w czymś tonął, bez dwóch zdań.

– Nie mów Andrzejowi, że cię pytałem o Sosnowskiego – wyrwał go z zadumy głos Marcina. – Zobaczymy, jak to się potoczy.

Maciej powoli ochłonął. Zadzwoił do Renaty z recepcji, poprosił, żeby nie przełączała rozmów, i zamknął drzwi na klucz. Andrzej miał nadzieję, że koleś nie odstawi mu brzydkiego numeru. Nie miał ochoty być duszony przez spoconego desperata, który dowiedział się, że o jego grzeszkach z młodości może zaraz napisać brukowiec.

Maciej usiadł i powoli otarł chusteczką pot z czoła. Wydmuchał głośno nos i zmiażdżył papier w kulkę.

– Mogę zapalić? – spytał Andrzej.

Maciej machnął ręką zrezygnowany. Andrzej wstał, otworzył okno i pstryknął zapalniczką.

– Rzecz w tym, Maciek – zaczął, zaciągając się głęboko – że musimy jakoś znaleźć tego Norberta. Chodzi mi o niego, nie o ciebie. Czytelnicy mojej gazety nie zawsze chcą poznać prawdę, czasami wystarczy im kozioł ofiarny. Ale ja mam takie zasady, że wolę popracować nad sprawą trochę dłużej i nie mieć potem wyrzutów sumienia.

Maciej pokiwał głową. Gładka przemowa Andrzeja najwyraźniej podziałała na niego uspokajająco.

– Możesz mi opowiedzieć, jak to było? Kto przywiązał Igora do drzewa? Stawiam na to, że Tatko.

Maciej znów kiwnął głową.

– A czemu Igor spłonął? Przecież takich rzeczy się nie robi.

– Ja nie wiem – powiedział cicho. – Byłem totalnie zjarany. I przerażony, że muszę kręcić to wszystko komórką. Staralem się utrzymać na nogach, żeby się nagrało. Potem Norbert zaczął odstawiać jakiś dziwny taniec. Tatko, jak przywiązał Igora, to zupełnie odleciał. Stał z zamkniętymi oczami i coś mamrotał. A potem nagle Norbert zaczął wrzeszczeć, że Igor się pali. Zacząłem uciekać, ale plątały mi się nogi. Norbert był szybszy, ale jak zobaczył, że Tatko niczego nie czai, to zawrócił po niego.

– Czyli co? Dopiero w aucie wymyślił, że to Tatko podpalił Igora? – Andrzej strzepnął popiół za okno. – Przeraził się, co na to powie wujek. Ten, który kazał mu odzyskać wisior. Kim on jest?

Maciej zamrugnął zaczerwienionymi oczami.

– Ja nic nie pamiętam – powiedział wolno i ostrożnie. – Mówiłem już, Norbert kazał mi oddać telefon, trzymać głowę na kłódkę i żeby nie spierdalał. Nic nie wiem o żadnym wujku.

Andrzej nie był do końca przekonany.

– A ten Tatko? – spytał. – Ma jakieś imię? Tylko mi nie mów, że o swoim dawnym kumplu też nic nie wiesz.

Maciej spuścił wzrok.

– Adam.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Wiem.

– Powiem ci, jak zrobimy. – Andrzej zgasił papierosa o parapet i wyrzucił kiepa za okno. – Nie zadzwonisz do tego Adama, tylko do niego pójdziesz. Powiesz mu, że przyszedł do ciebie facet, który to wszystko widział. Jak nie będzie wierzył, to powiesz mu o medalionie. Ten facet wie, że Adam tego nie zrobił. I zależy mu na Norbercie. Możesz dopowiedzieć do tego jakąś bajeczkę, tylko bez szaleństw.

Maciej przymknął oczy i odchylił głowę. Wyglądał, jakby szczegółowo wyobrażał sobie plan Andrzeja w akcji.

– Pójdę do Adama i powiem mu, że to Norbert zabił – powiedział monotonnie, sam do siebie. – Adam się wścieknie. Znajdzie Norberta. Spuści

mu wpierdol albo go zabije. A na końcu ja dostanę kulkę za to, że puściłem farbę. Moje dzieci zostaną sierotami. Zajebisty plan.

Andrzej uważnie popatrzył na Macieja. „Nie jest taki głupi... Ciekawe, że często kolesie o szyderczych ksywkach mają więcej pod sufitem niż ci, którzy im te ksywki nadają”.

– Masz jakiś inny pomysł? – spytał.

Maciej otworzył oczy, zdjął okulary i zaczął wycierać je o przepoconą koszulę.

– Może niech pan sam do niego pójdzie? Dam panu adres. Powie mu pan to samo co mnie. Tylko nic o mnie. Ja naprawdę nie chciałem znaleźć się w tamtym lesie.

Andrzej przygryzł wargi. To w sumie nie miało znaczenia. I tak prędzej czy później będzie musiał ujawnić się przed Tatką. No i nie mógł mieć pewności, że Maciej czegoś nie przekreśli. A tak miałby wszystko pod kontrolą.

– Zgoda. W takim razie zapomnij, że tu byłem. Niech ci nie przychodzi do głowy go ostrzegać. I napisz mi ten adres.

Maciej wziął z drewnianego pudełka wizytówkę, ale szybko się zmytygował. Wstał z trudem i wyjął z drukarki czystą kartkę. Krzywymi literami zapisał na niej ulicę i numer domu. Andrzej nachylił się nad kartką.

– To jest to osiedle po drugiej stronie wylotówki? – spytał.

– Tak.

– Jak nie znajdę tam Tatki, to spodziewaj się kolejnej wizyty.

Ogarnęło go nagle straszliwe zmęczenie. Adrenalina puszczała i mięśnie zaczęły świerzbić go jak przy grypie. Chciał znaleźć się teraz w łóżku pod wełnianym kocem i przespać parę dni. Podszedł do drzwi. Zanim nacisnął klamkę, zobaczył przed oczami wirujące świetliste punkciki.

– Dobra. Teraz to naprawdę idę.

Bolek otworzył drzwi, wysiadł z auta i obszedł wielką kałużę. Wyjął z kurtki wełnianą czapkę i naciągnął ją prawie na oczy. Przebiegł przez ulicę, minął bramę i podszedł do przeszklonych drzwi.

Facet od porsche schodził powoli po schodach, jakby walczył z jakąś słabością. Nawet przez szybę było widać, że był blady, miał podkrążone oczy, a w nich dziwną gorączkę. Bolek zapukał w szybę i wysłał nieme pytanie. Andrzej spojrział w jego stronę i skrzywił się z dezaprobatą. Wyglądał, jakby przedobrzył tam na górze, przeholował. Te oczy – trochę jak u Artura wtedy. Jeden krok za daleko w ciemność. Jak żołnierz, który wrócił spod ostrzału.

Andrzej położył dłoń na pochwycie u drzwi, ale zamiast je otworzyć, znów przystanął i przymknął oczy. Bolek zastanowił się szybko, czy nie wejść i mu nie pomóc, ale wołał, żeby nikt go tu nie zobaczył. Znali go, pracował tu parę miesięcy, póki Maciek nie przyłapał go na podbieraniu klientów do warsztatu za torami. Jeszcze mocniej nasunął czapkę na oczy i odszedł na kilka kroków.

W końcu drzwi otworzyły się i Andrzej wyszedł na zewnątrz. Trząśnięcie jak od gorączki.

– Po coś wylazł? – warknął do Bolka. – Wracaj do auta.

Bolek nie był przyzwyczajony, żeby ktoś tak do niego mówił, ale nie protestował. Przebiegł z powrotem przez ulicę i ruszył po wertepach do porsche. Obejrzał się za siebie.

Andrzej stał przy krawężniku i tępo patrzył na coś, co trzymał w dłoni.

Marcin zerkał na tę scenę przez lekko zaparowaną szybę porsche. Bolek z rękami w kieszeniach ominął kilka kałuż, Andrzej szedł za nim, powoli i ciężko. Po chwili obaj znaleźli się w samochodzie – poszarzały Andrzej za kierownicą, a Bolek na siedzeniu pasażera.

– I co? Udało się? – spytał Marcin.

– Tak, Maciek pękł – odpowiedział krótko Andrzej.

– Możecie mnie oświecić, o co tutaj chodzi? – Bolek zdjął czapkę. – Mówiliście, że grzebiecie przy śmierci Artura. Co ma do tego Maciek?

– Tego jeszcze nie wiemy – odparł Andrzej. – A słyszałeś o innym tutejszym trupie sprzed ośmiu lat? O Igorze?

– Igor to ten typ, którego ktoś spalił w lesie, tak? Miał z kimś na pieńku, tyle wiem. Mało mnie to interesowało, bo to był koleś z tego drugiego osiedla.

Andrzej odchylił głowę na zagłówek. Marcin dostrzegł w tylnym lusterku, że dziennikarz przeżywa jakiś kryzys. Półprzymknięte oczy, ciężko przelitykana



ślina, dłonie oparte na kierownicy i palce wybijające dziwny nerwowy rytm. Chyba bił się z myślami. Trwał tak przez kilka chwil, po czym włożył dłoń pod kurtkę.

– Dobra, panowie. Chcę, żebyście coś zobaczyli. Coś, o co chodziło zabójcy Igora.

Wyjął to coś spod kurtki i otworzył dłoń. Zapalił lampkę pod sufitem i przybliżył przedmiot do światła. Marcin wychylił się do przodu, a Bolek wytrzeszczył oczy.

To był medalion. Róże i pistolety. Na pistoletach wciąż widać było ślady ognia, a róże przykryte były ciemnozielonym nalotem. Marcin poczuł dreszcze na plecach.

– Skąd to masz? – wyszeptał. – Down Maciek miał?

– Nie.

– Więc skąd?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Ja pierdolę – mruknął Bolek. – Weźcie mnie stąd wypuście.

– Dokąd to? Widziałeś to już wcześniej? – spytał Andrzej szorstko. – A może wiesz, komu Igor zaiwanił ten medalion?

Bolek wbił wzrok w metalowy przedmiot, a Andrzej położył rękę na jego ramieniu.

– Bolek, słuchaj, mam wrażenie, że wchodzimy w jakieś gównno. Na jakieś pieprzone nieznanne terytorium. Osiem lat temu wydawało mi się, że sprawa jest prosta. Był sobie wesoły muzyk, jarał blanty i nosił taką oto dziwną biżuterię. Okej, nie wnikałem. Potem znalazłem jego trupa. Makabra, ale okej, myślałem, że zalażł komuś za skórę. Wczoraj dowiaduję się, że chodziło tylko i wyłącznie o tę błyskotkę, ale komando śmierci spierdoliło sprawę i zostawiło ją na spalonym Igorze. No i zaczyna mi się wydawać, że jakieś znaczenie może tu mieć to, skąd Igor to zaiwanił. I wujek zabójcy, któremu się to nie spodobało.

– Dasz fajka? – spytał Bolek głucho.

Andrzej uchylił przyciskiem szybę i wystukał papierosa z paczki. Bolek odpalił go drżącymi rękami i wypuścił przez szparę chmurę dymu.

– Widziałem już ten medalion – powiedział w końcu cicho. – Gościowa z burdelu pokazywała mi go na zdjęciu.

– Z jakiego burdelu? – spytał Andrzej. – Tego ze scenariusza?

Bolek spojrział przez lusterko prosto w oczy Marcina.

– Tak. Ta, co tam siedziała. Majka.

Bolek zamilkł. Marcin przypomniał sobie scenę, którą czytał z Anką w restauracji. Była tam taka kobieta, na dole, przy barze z alkoholami bez cen. Zaproponowała, żeby Artur skorzystał z okazji i poszedł na górę. Tam spotkał otumanioną dziewczynę z różnokolorowymi tęczęwkami.

Rulewski skrzywił się i dotknął klatki piersiowej.

– Wszystko gra? – spytał Marcin.

– Gra, gra. – Andrzej pomasaował się pod kurtkę. – Za dużo tego wszystkiego.

Marcin przez chwilę patrzył z tylnego siedzenia na Andrzeja i Bolka. Pierwszy był wyraźnie wyczerpany, a drugi gapił się przed siebie z zaciśniętymi ustami.

– Na chuj ja go tam zaprowadziłem? – Bolek pokręcił nagle głową.

– Kogo? – spytał martwo Andrzej.

– No Artura, do tego burdelu. Po pistolet.

– Pewnie z dobrego serca – mruknął Marcin. – I z głupoty.

– Ha, ha, ha, dzięki, stary – zachnął się Bolek. – Ale masz rację. Tak było.

– Dobrymi intencjami piekło wybrukowane, czy jakoś tak. – Na usta Andrzeja wykwitł słaby uśmiech. – A wracając do naszego tria, to następny w kolejce jest niejaki Tatko. Znasz go?

– Tatko? Był taki jeden, starszy od nas. Nie moja liga.

– No w każdym razie wiem, gdzie mieszka. Dzisiaj już nie dam rady złożyć mu wizyty. Moja propozycja: spotykamy się jutro o osiemnastej w fast foodzie. Obgadamy plan i jedziemy na spotkanie z drugim *amigo*.

– Ja też? – Bolek zrobił zbolalą minę.

– Co jest, Bolek? – parsknął Andrzej. – Nie masz ochoty pobawić się w detektywa?

– Nie mam.

– To może zabierzesz Bielawskiego do tego burdelu? Pogadacie sobie z panią Majką. Tylko ty wiesz, gdzie to dokładnie jest.

– Mogę zabrać. Ale nie jutro.

– Pojutrze?

– Może być.

Marcin pomyślał, że Rulewski musiał już lepiej się poczuć. Znów dyrygował i z lekka rozstawiał wszystkich po kątach, mimo że początki grypy miał wypisane na twarzy.

– No dobra, Andrzej – powiedział. – Podwieź mnie chociaż do wylotówki.

Zamiast przy wylotówce Andrzej zostawił ich pod warsztatem Bolka, z rykiem silnika przejechał przez zarośnięte chaszczami tory i zniknął za zakrętem. Marcin opisał Bolkowi nowe willowe osiedle, na którym mieszkał Adler, i spytał, jak tam dotrzeć na piechotę. Bolek się zaśmiał.

– Człowieku, musiałbyś walić ze trzy kilosy przez łąki, a potem jeszcze półtora przez las. Nie mogłeś powiedzieć swojemu koleżce, żeby cię zawiózł?

– Nie wiem, jakoś wyleciało mi z głowy. Albo jemu, bo najwyraźniej się gdzieś spieszył. – Marcin spojrzał wilkiem. – Facet zaczyna mi działać na nerwy.

Rulewski rzeczywiście robił wszystko po swojemu. Marcin miał wrażenie, że zależy mu tylko na sprawie Igora, która jego samego przestawała powoli interesować.

– Posłuchaj, Bolek – zaczął po chwili. – Jak to było z wami na tym boisku? Artur nie chwalił ci się, że przespał się z tą dziewczyną z burdelu? Albo że się z nią potem spotykał?

Bolek odgarnął włosy.

– Artur to był skryty koleś – powiedział. – Trochę z innej parafii. Już ci mówiłem, że jego stary był prawnikiem. My, to znaczy ja, Czarny, Pablo i Benny, my byliśmy z innej bajki, no wiesz, nie przelewało się. Niby to samo osiedle, ale on był z tych nowszych domów.

– I co? Wstydział się tego?

– Nie wiem, może trochę. Ale nie robiliśmy sobie z niego jaj. Nie dało się go nie szanować. Był, jaki był, i okej.

– A ta dziewczyna z dziwnymi oczami? Zakochał się w niej?

– Bo ja, kurwa, wiem? – Bolek spoważniał, uśmiech zniknął mu z twarzy. – Laska nie miała nawet osiemnastu lat. Prawie nikt jej nie chciał przez te oczy, bo to było tak, jakby dymać kalekę. To była chyba jakaś kuzynka Majki. Wtedy, gdy poszliśmy po broń, Artur wyglądał jak chodząca dziewczyna, i Majka powiedziała, że zawoła po tamtą, tak trochę dla zgrywy. Później staliśmy razem i słuchaliśmy, czy chłopak daje radę. Ale coś cicho było.

Marcin pokiwał głową. Cóż za idealne uzupełnienie sceny Artura... Podczas gdy Artur wpatrywał się jak zaczarowany w powolne ruchy chorej dziewczyny, tamci stali na dole, szturchali się i puszczaali do siebie oko.

– I co powiedział po wyjściu?

– No jak to co? Że jest już w klubie. – Bolek pokiwał głową z uznaniem. – Z krzywym okiem, ale go rozdziewiczyła.

Marcin zaczynał bardzo powoli rozumieć, że wtedy, pod koniec kwietnia, Artur naprawdę zderzył się z niewidzialną ścianą. Do tamtego momentu chodził wieczorami do swoich dziwnych kumpli, których pewnie znał od małego, pił z nimi piwo i gadał o głupotach. Pewnie wstydził się tego, że jego rodzina ma kasę, a ci tutaj muszą wysupływać jakieś zaskórniaki na kolejne browary. Może nawet dlatego poszedł pracować do fast foodu? Czytał tego swojego *Władcę Pierścieni* po raz dziesiąty, tkwił w bańce, którą sam sobie tworzył. Po cichu chciał być kryształowy, taki jak z książki, ale i tak czuł się zmuszony zakozaczyć przed kumplem, że dał radę tam na górze, z dziwną prostytutką. Więc jeśli rzeczywiście poznał ją bliżej, to siłą rzeczy musiał odsunąć się od boiska. Ci kolesie by tego nie zrozumieli.

Jak na zawołanie Bolek podszedł do leżącej samotnie opony, podniósł ją i wrzucił na stertę.

– Potem Artur się zmienił – powiedział. – Przestał przychodzić. Raz go widziałem z tą laską. Poszedłem na taką polankę, gdzie czasami robiliśmy sobie ognicho z chłopakami. Siedzieli tam, coś jej czytał, książkę jakąś. Nie podszedłem do nich, bo dziwnie razem wyglądali.

– Dziwnie?

– No... dziwnie. – Bolek się zmieszał. – On jej czytał na głos, jak jakiemuś dziecku. A ona zawsze wyglądała jak popaprana.

– Zobaczył cię?

Bolek nie odpowiedział, ale wszystko na jego twarzy mówiło, że Marcin dobrze trafił. Podrapał się po głowie i zerknął na piętro warsztatu. Najwyraźniej miał ochotę zakończyć już tę rozmowę, choć Marcin chętnie by go docisnął. „Zobaczył cię, Bolek. Pewnie się zmieszał. Kiwnęliście sobie tylko czy zrobiłeś jakiś durny gest – palcem, ręką, tyłkiem?”

– Odwiózłbym cię na tamto osiedle, ale muszę teraz skończyć tego opla – powiedział Bolek po chwili. – Dasz radę sam?

– Spoko.

– Jutro muszę pomóc siostrze i przewieźć jej graty do nowego mieszkania. Rozwodzi się, ale nie mogę jej już dłużej trzymać nad warsztatem. – Bolek uniósł brwi. – Jak chcesz, to w sobotę podjedziemy do Majki i popytamy.

– Sam pewnie nie dałbym rady.

– Tylko sobie za dużo nie wyobrażaj. Majka dalej tam urzęduje, ale to już nie to samo. Nie ma tam panien ani nic. Tylko chałupa została.

Marcin kiwnął głową. Machnął Bolkowi na pożegnanie i wyszedł z bramy. Włączył w komórce GPS i ruszył chodnikiem.

Ola, zwana Aleks, weszła do małej kawalerki na Zielonej Białogórze, zdjęła kurtkę, stanęła przed lustrem w przedpokoju i zawiązała włosy w kucyk. Wróciła dziś z pracy trochę wcześniej niż zwykle. Nie musiała nawet nikomu mówić, że źle się czuje. Była teraz najstarsza stażem, weszła w szeregi menadżerów baru i nie musiała się nikomu spowiadać. Tylko czasami bolało ją, że gdy jej znajomi z fejsa robili mniejsze lub większe kariery, ona zatrzymała się w tym samym miejscu i tkwiła w nim od ośmiu lat.

Zdusiła frustrację. Ten chłopak od Artura, który przyszedł we wtorek do baru... To przez niego wróciła myślami do przeszłości. Nie tylko do tej głupiej zadymy. Do innych rzeczy też. Zawsze miała w sercu jakieś dziwne, niesprecyzowane uczucia względem Artura. Nie była to miłość, na pewno nie zakochanie. Coś bardziej siostrzanego. Wtedy w barze wkurzał ją, drażnił, potrafił rozśmieszyć, a gdy milczał i po raz enty czytał w kiblu tę swoją książkę,

wzbudzał jej zainteresowanie, graniczące z fascynacją. Był taki jakby... oddzielny. Wrzucony w rzeczywistość, ale trochę jak gość z innej planety, kosmonauta na misji.

Podeszła do stolika i spojrzała na kartkę. Znalazła ją jeszcze z rana w *Paragrafie 22*, który Artur pożyczył jej na wieczne nieoddanie. Razem z tamtymi kartkami, którym zrobiła zdjęcia i które wysłała w porannym mejlu do Marcina.

Tej kartki nie umiała wysłać. Coś ją blokowało. Dostała ją pewnego wieczora pod koniec maja, nawet zaznaczyła to na górze. To było na ich przystanku. Artur wyjął z plecaka kolejną stronę scenariusza. Zawsze pytał ją o zdanie, więc usiadła na ławce i przeczytała. Z każdym słowem robiło jej się tak, jak temu Dawidowi w tej scenie. Coraz bardziej przykro. Coraz bardziej nieswojo.

## **BEZ NUMERU. PLENER. NAD WISŁĄ – WIECZÓR**

OLA i DAWID siedzą przy małym ognisku na piaszczystej dzikiej plaży. Ola patrzy w ogień. Zaczyna mówić cicho i monotonicznie, do ognia. Dawid słucha. Z każdym słowem robi mu się coraz bardziej przykro. Nieswojo.

OLA: Chcesz, żebym uciekła? To jest... Myślisz, że można tak po prostu uciec. A wiesz, co to ciemność? „Wymknij się ciemności”, mówisz. Nie da rady. Nie można tak po prostu. Ciemność i tak wyciągnie palce. Ciemność ma różne twarze. Za silna jest. A my jesteśmy słabi. Ja jestem za słaba.

Ola przez chwilę milczy. Dawid bierze kamień i rzuca poziomym ruchem do Wisły. Ola wskazuje na widoczny w oddali Pałac Kultury.

OLA: Nawet nie miałam szansy poznać tego miasta. Jak mnie tu zabierasz, to tak jakbym widziała je po raz pierwszy. Dziwne, że z takiego oddalenia. Z daleka wygląda magicznie. Wiesz, gdzie mieszkałam wcześniej? I tak ci nic to nie powie. Parę bloków i sklep. Szkoła. Dziwoląg byłam dla dzieciaków. Już nawet nie pamiętam twarzy mojej matki. Nie robili mi urodzin, ale to było w gimnazjum, jak wróciłam kiedyś, to matka stała w kuchni. Jakoś tak dziwnie charczała: „Matko Boska, Jezu Chryste, zmiłujcie się”. Z rąk krew jej kapłała. Takie wielkie krople. To pamiętam. Krzyczy do mnie: „Biegnij tam, biegnij za ojcem, błagaj go o wybaczenie, za mnie, ja niegodna jestem!”. „Jakim ojcem?” – myślę. I jeszcze, że

w opiece była i poskarżyła się na niego, na tego brudnego pijaka, który mieszkał z nami, odkąd ojciec umarł. Za to całe dobro wrywał się tylko ze swoimi parszywymi łapami do matki... do mnie... do mojego małego brata. A wtedy...? Wtedy rozbił butelkę. I wiesz, co zrobił, Dawid?

Dawid patrzy w milczeniu.

OLA: Wtarł jej ręce w szkło na stole. Podziurawił jej ręce i poszedł. I matka tak stoi i dalej krzyczy do mnie: „Biegnij, dziecko, biegnij za nim! Błagaj Matkę Boską, niech wróci, weź brata ze sobą! Niech nam przebaczy. Biegnij za nim, dziecko!”. No to wybiegłam. Ale nie po tego człowieka. Pobiegłam na przystanek. Wygrzebałam z kieszeni pieniądze. Przeliczyłam, starczy na autobus. Zrobiło się ciemno, ale w końcu przyjechał. Wsiadłam.

Dawid wstaje i kładzie Oli rękę na ramieniu.

OLA: Ale od ciemności nie da się uciec, Dawid. Jak już raz cię wypatrzyła, to pełza za tobą. Wyjedziesz do innego miasta, myślisz, że już po wszystkim, ale ona w końcu znowu ci mówi: „Hej, mała, małeńka, dziewczyno, stęskniłam się”. Moja ciemność jest ze mną od zawsze. Ja już jej nie ucieknę.

*– Dlaczego to napisałeś, Artur? – Ola patrzyła z rozdrażnieniem na stojącego przy słupie Artura. Miał na twarzy denerwujący uśmiech, jakby nie rozumiał, o co go pyta. – Przecież to nie jest o mnie. Skąd ci to, kurwa, przyszło do głowy? Pojebało cię? Wrzucasz mi w usta takie straszne historie. Boże, nie wierzę.*

*Artur przymknął oczy. Ola miała wrażenie, że nie jest mu przykro, wręcz przeciwnie – że odczuwa jakąś pieprzoną poronioną przyjemność z tego, że jego koleżanka z pracy jest wkurzona. Naprawdę wkurzona.*

*– To jest licentia poetica, Ola – powiedział cicho. – Pisarze słyszą różne rzeczy, a potem wkładają je w usta postaciom.*

*– Żartujesz sobie ze mnie? – Ola wstała. Czowała, że ma w oczach ogień. – Nie zmieniłeś mi imienia, opisałeś mnie dokładnie. Napisałeś, gdzie pracuję. A teraz nagle przypomniałeś sobie o jakiejś pieprzonej inwencji?*

*– Uspokój się. – Artur przepraszająco uniósł dłonie, ale głupi uśmiech nie schodził mu z twarzy. – Zmienię ci potem imię, może zmienimy bar na galerię handlową.*

– Ale Artur, po co? Po jaki gwint dałeś mi takie dzieciństwo? – Oli trzęsa się broda. – Tak je sobie wyobrażasz? Patrzysz na mnie codziennie w pracy i wymyślasz sobie w głowie? „O, ta to wygląda mi na dziwoląga, pewnie miała w domu sajgon i popierdoloną matkę...”

– Nic nie rozumiesz – bąknął Artur pod nosem. Oli wydało się, że coś zaczyna do niego docierać. – To nie jest tak.

– A jak? – spytała ostro. – Jak ktoś ci się wypowiadał z tej historii, to go wstaw do tego swojego wielkiego dzieła. Po imieniu, tak jak mnie. Nic nie stoi na przeszkodzie.

Artur wyglądał na przygaszonego, jakby Ola przekłuta swoimi słowami jakiś balon i uszło z niego z sykiem całe powietrze.

– Nie mogę – wyszeptał. – Nie mogę.

Pokręciła tylko głową. Zza zakrętu wyłoniły się światła jej autobusu.

– Przemyśl to sobie wszystko, Artur – rzuciła, machając na autobus. – Ja w każdym razie nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Sorry.

Ola po raz kolejny skończyła czytać tę kartkę i poczuła, że drgają jej policzki. Z nerwów, a może z emocji. Ta scena była ważna dla Artura, prawie na pewno była ważna. Ale to ona zniszczyła jej siostrzane uczucia.

Nie miała siły nikomu tłumaczyć, że to nie o niej. Nie miała zamiaru spotykać się po raz kolejny z tym Marcinem, opowiadać mu czegokolwiek, wracać do przeszłości, przeżywać na nowo tamtego wieczora, kiedy zdała sobie sprawę, że Artur ma kogoś, słucha czyichś historii na dzikiej plaży, a potem być może obejmuje, pociesza. Jest z kimś blisko. Nie żył od ośmiu lat, ale to nie miało znaczenia. Nieznośny tępy ból pozostał.

Otworzyła okno i zapaliła papierosa. Zbliżyła zapałkę do kartki. W myślach widziała już, jak czarne szczątki dogorywają w popielniczce. Koniec z tą historią.

Nie, to by było nie fair. To by była zdrada.

Zdmuchnęła zapałkę i zgasiła ledwo nadpalonego papierosa. Tej kartki nie da temu Marcinowi, ta kartka nie ma żadnego znaczenia. Ale przecież była chyba jeszcze jedna. Jak przez mgłę zapamiętała, że Artur, coraz bardziej markotny, coraz dziwniejszy, dawał jej coś jeszcze, w maju albo już w czerwcu.



Podniosła *Paragraf 22* nad stół i przetrząsnęła strony. Nic nie wypadło. Artur miał dziwny zwyczaj wciskania jej książek, które mu się spodobały, ale Ola nie miała czasu ich czytać, a jak już przysiadła nad którąś, to prawie nigdy nie udawało jej się wciągnąć.

Spojrzała na półkę. Przebiegała wzrokiem tytuł po tytule, próbując namierzyć, co jeszcze Artur mógł jej dać.

W końcu znalazła. Cienki tomik w miękkiej okładce, nieco przybrudzonej. *Ptasiek* Williama Whartona. Wyjęła książkę z półki i rozłożyła ją grzbietem do góry.

Na stół wyleciały dwie kartki w kratkę, zapisane drobnym maczkiem.

Marcin zostawił za sobą warsztat Bolka i przeszedł przez zarośnięty chaszczami przejazd kolejowy – wyglądał na nieużywany, szyny pokrywała rdza. Nieubłaganie zapadał zmrok, było przenikliwie zimno. Niebieska trasa na mapce w komórce zakręcała esami-floresami – najpierw ciągnęła się wzdłuż wąskiej ulicy, potem odbijała w prawo na niewielkie osiedle bloków, by w końcu wejść w las i wyjść po drugiej stronie niedaleko Willi Adlera. Marcin przełączył mapkę na tryb spacerowy: do celu zostało mu półtorej godziny. Przez chwilę bił się z myślami na temat taksówki, ale ostatecznie postanowił zawalczyć z własnymi słabościami.

Po dwudziestu minutach marszu jego nogi poczuły rytm, oddech się uspokoił, a na ulicy skończył się asfalt i chodnik. Wtedy właśnie zadzwoniła jego komórka. To była Aleks, czyli Ola.

– Cześć, Marcin. – Usłyszał w słuchawce matowy głos, jakby dziewczyna była mocno zmęczona po robocie albo miała zły humor. – Nie chcę ci przeszkadzać. W sumie to nie wiem, czy to w ogóle jest dobry pomysł...

– Znalazłaś jeszcze jakieś strony? – spytał bez ogródek.

– Tak.

– Z tonu twojego głosu wnioskuję, że są równie ciekawe jak te wcześniej, tak? I że bijesz się z myślami, czy mi je sprezentować.

– Wiesz, wtedy Artur by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że tak po prostu ci je daję. Byłeś jego kumplem, pisaliście razem scenariusz, ale z jakiegoś powodu wybrał mnie.

– Artur nie żyje, Ola.

– Tak, wiem. I dlatego myślę, że jednak powinieneś mieć pełny obraz... No wiesz, wiedzieć, jak to było z Arturem, jego ojcem i z tą... – Zamilkła.

– Z kim? Z dziewczyną z burdelu?

– Tak, tą z burdelu – odpowiedziała Ola głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. – To jest dla mnie porażające, bo nigdy bym nie przypuszczała, że on może chodzić do takich miejsc.

– Był tylko raz. Po pistolet. Jego kumpel Bolek wbił mu do głowy, że przy okazji ma pójść na górę. Ale do niczego nie doszło. Nie czytałaś w scenariuszu?

– Tego widocznie mi nie dał do czytania.

Marcin przeszedł z komórką przy uchu jakieś sto metrów, zanim zorientował się, że niebieska trasa na mapce mogła w międzyczasie skręcić w polną dróżkę, którą akurat minął.

– Posłuchaj, Ola, idę teraz po okolicy, której kompletnie nie znam – powiedział. – Muszę zerkać w Google’a.

– To może zadzwonię kiedy indziej.

– Nie, spoko. Włożę tylko słuchawki i włączę z powrotem mapę. Jeśli masz czas, to przeczytaj mi tamte sceny. Chętnie posłucham, będzie mi rażniej.

– No w sumie. Miałam w planach odpalić sobie *Mad Men* i zalec na sofie, ale mogę ci poczytać. Tylko nie uśnij po drodze.

– Spokojnie, nie usnę. – Marcin wcisnął w uszy małe słuchawki, podłączył kabel do komórki i sprawdził na mapie, że do skrzyżowania w osiedlowe uliczki na kompletnym zadupiu zostało mu jeszcze sześćset metrów kamienistego pobocza. I że bateria ma sześćdziesiąt procent. – Jestem gotowy.

– To jest w pierwszej osobie, jak poprzednio. – Ola odkaszlnęła. – Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem. Może to bardziej pamiętnik niż scenariusz.

– Może.

– No dobra. Jest początek czerwca, sobota...

Jest początek czerwca, sobota. Do tej pory zwijałem staremu samochód, żeby do niej jeździć, zabierać ją choć na godzinę albo dwie w naszą miejscówkę. Dzisiaj stary gdzieś się wybrał i musiałem jechać pod tamten dom na rowerze.

Miałem z nim wczoraj dziwną rozmowę. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wcześniej zaciągnął mnie na tył domu pod składzik i częstował browarem. Gadał coś o tym, że zastanawiał się ostatnio nad moim życiem i że chyba przydałby mi się wyjazd do innego miasta. Koniec z fast foodem, koniec z boiskiem, papiery ze

studiów można przenieść. Powiedział, jakby w sekrecie, gapiąc się wymownie na dom, że może mi załatwić niezłą fuchę w Łodzi albo w Krakowie, gdzie chcę. Dołoży mi do wynajmu mieszkania, bylebym tylko nie nawalił jako jakiś asystent kogoś tam i nie narobił mu wstydu. Przez moment myślałem, że to nie jest taki głupi pomysł – mam dość pieprzonego baru, cały czas mam przed oczami tamtą sytuację z pistoletem. Ale potem przypomniałem sobie o tamtym wieczorze na polnej drodze, gdy widziałem ojca z Banzajem. Pomyślałem, że stary robi mi wodę z mózgu, bo może skądś się dowiedział, że jeżdżę do niej, może jakiś jego kolega gangus na niego naciska, bo mu nie w smak, że wyciągam dziewczynę na te nasze spotkania. Zbyłem go, że przemyśle temat.

Spotykam się z nią co drugi dzień i czytam jej rozdział po rozdziale, bo ona tego chce. Dobrze jej to robi. Nie wiem, co o niej myśleć. Jest dziwna, ale mnie nie przeraża. Rozmawiamy, ale to ona mówi więcej. Mówi dużo, tylko nie wszystko rozumiem. Wiem, co się jej wydarzyło, gdy miała trzynaście czy czternaście lat, wsiadła do autokaru i przyjechała do Wawy. Powinna po prostu odejść z tego domu i więcej tam nie wracać, ale ona tego nie przyjmuje do wiadomości. Jakby coś ją tam trzymało, nie ogarniam tego. Codziennie wstaję rano z myślą, że powinienem coś zrobić. Gapię się w lustro i widzę, że jestem tylko słabym kolesiem, nie mam wpływu na to, co z nią będzie jutro, za tydzień, za miesiąc. Ta niemoc jest jak czarna dziura. Pewnie powinienem iść na policję, ale już widzę miny Bolka i chłopaków. Wtedy wyobrażam sobie, że idę do kogoś, kto tam pociąga za sznurki, i przekonuję go, że to niesprawiedliwe i żeby ją uwolnił. Myślę o tym gnacie, co go trzymam w plecaku. Wcale mnie to nie uspokaja. Wariuję w robocie, jak myślę, że ona tam siedzi i jacyś faceci się do niej dobierają. Nie jest żadną dziwką, nie dają jej nawet pieniędzy. To wszystko jest pojebane.

Ola nagle przerwała opowieść.

– Przepraszam, Marcin, ale to jest takie dziwne, tak czytać jego myśli – powiedziała. – Strasznie mi głupio, że przez te osiem lat ani razu nie zajrzałam do tej książki, którą mi wtedy dał. Słowem się nie zająknął, że schował w niej te kartki.

Marcin spojrział na osiedlowy szlaban i cztery czy pięć trzypiętrowych bloków za nim. Malutkie osiedle było odgródzone od ulicy metalowym płotem. Postanowił nie wchodzić na osiedle, tylko ruszyć wzdłuż płotu po wąziutkiej wydeptanej ścieżce, na końcu której widać było kępę traw i pierwsze drzewa.

– Może dzięki temu chciał mieć pewność, że sekret pozostanie sekretem. – Ruszył ścieżką, ledwo widoczną w szarym zmroku. – I że cokolwiek tam

napisał, nigdy nie trafi w niepowołane ręce.

– Pewnie tak – mruknęła Ola. – Czytam dalej...

Dzisiaj jest inaczej. Dojeżdżam na rowerze prawie pod tamten dom. Jest wczesne popołudnie, słońce wali po oczach tak mocno, że niemal ślepnę. Idę jeszcze kawałek, wiem, że dzisiaj nigdzie jej nie zawiozę. Jeśli gdzieś pójdziemy, to niedaleko.

Czekam w miejscu, gdzie zazwyczaj się spotykamy o tej samej porze, około czternastej. To mała polanka w środku sosnowego zagajnika, w bok od tamtego domu. Czekam pięć minut, czekam dziesięć, pół godziny. Ona się nie zjawia. Przychodzi mi do głowy głupia myśl, żeby do niej zadzwonić. Wyciągam komórkę, ale przecież ona nie ma telefonu. Nie ma nic, jest odizolowana, osaczona, wyrwana z rzeczywistości. Ma tylko swoje książki, materac i... ma mnie. Ta konkluzja wcale mnie nie uspokaja ani nie dodaje mi sił. Raczej przytłacza. Coś mi mówi, żebym odszedł stąd, ale nogi mam ciężkie. Czekam.

Od strony domu słyszę warkot – jakiś samochód podjechał i wyłączył silnik. Ruszam w tamtym kierunku. Zostawiam za sobą polankę i po minucie marszu przez rozgrzane igliwie widzę za ogrodzeniem róg willi, dziwnie normalnej o tej porze. Trochę przypomina pałacyk, przez te ozdobne balustradki na balkonach na piętrze. Podciągam się i przechodzę przez ogrodzenie, zeskakuję po drugiej stronie. Wyobrażam sobie, że jeśli przykucnę w krzakach, to w jednym z tych okien na piętrze pojawi się za chwilę jej twarz. Jak w filmie kostiumowym. Jak w *Romeo i Julii*.

Kucam i wpatruję się w okna, ale to nie film i jej twarz nie pojawia się przy żadnej z lśniących od słońca szyb. Czekam jeszcze i widzę ruch muślinowych firanek w oknie na rogu. I wtedy rzeczywiście czuję się jak w filmie, ale to horror, bo za szybą pokazuje się twarz tamtej kobiety z parteru, właścicielki – zacięta, z zasznurowanymi ustami i złowrogo postrzępioną grzywką. Od razu mnie dostrzega i wpatruje się we mnie. Mój wzrok spotyka jej spojrzenie. Jest zła.

A potem odchodzi od okna. Już wiem, że dzisiaj nie będzie spotkania, że ta kobieta coś zwietrizyła, pewnie nawet już dawno, zobaczyła mnie i ją razem, chociaż staraliśmy się być ostrożni. W końcu nikt nas nie przyłapał, a nawet jeśli? Tylko czytamy. Rozmawiamy.

Zimny metal broni, którą mam w plecaku, zaczyna wysyłać nieprzyjemne wibracje. Swędzą mnie plecy. Mógłbym przysiąc, że za mną czai się półprzezroczysta ciemna postać o brzydkim uśmiechu. Kieruje obrazy do mojej głowy, która chłonie je jak antena. Że wchodzę tam, wyciągam broń. Nie

zamierzam nikogo skrzywdzić, po prostu chcę, żeby nic nie mówili, a jeśli będą mówić, to żeby się zamknęli. Żeby posłali po nią na górę i dali nam razem odejść.

Krzywię się, bo ta wizja się załamuje: nikt w niej nie jest spokojny, ona wcale nie chce wyjść, ta kobieta wrzeszczy na mnie, jacyś faceci wybiegają z pokojów i muszę strzelać, strzelać na oślep, bo jeśli tego nie zrobię, to dobiegną do mnie i wydrapią mi oczy wielkimi zakrzywionymi szponami.

Otrząsam się z tych myśli. Wstaję. I wtedy otwierają się drzwi. Zjawia się w nich wielki łysy facet i patrzy wprost na mnie bez uśmiechu.

– Cho no tu – mówi.

– Po co? – pytam.

– Pogadać.

– O czym?

– Różnie. – Wzrusza ramionami. – O sprawach.

Odejść teraz to stchórzyć. Nie chcę dać mu tej satysfakcji, że będzie widział moje plecy znikające w krzakach. W plecaku jest moje ubezpieczenie, wiem, jak z niego korzystać, ćwiczyłem to w lesie.

Idę w stronę faceta, a on odprowadza mnie wzrokiem, potem wchodzi do środka i zostawia mi uchylone drzwi. Wchodzę za nim na miękkich łydkach.

Znam to wewnątrz – takie samo jak wtedy, gdy byłem tu z Bolkiem. Tyle że za barkiem z koniakiem i sherry nie ma tej kobiety, która gapiła się na mnie przez okno. Wielkie płytki terakoty lśnią jak marmur i mocno pachną środkiem czyszczącym. Łysy facet stoi odwrócony plecami do mnie przy barze i nalewa sobie whisky do szklanki. Nie zwraca na mnie uwagi.

– Siadaj – mówi przed siebie.

Rozglądam się. Zauważam dużą skórzaną sofę i dwa fotele z miękkimi oparciami, a obok szklany stolik, na którym leży telefon komórkowy. Zdejmuję plecak, siadam na jednym z foteli. Kładę plecak tuż przy nogach i póki facet nie patrzy, rozsuwam suwak.

Łysy idzie do mnie z whisky i rozsiada się na sofie. Upija łyk. Wciąż mam wrażenie, że nieco za bardzo ignoruje moją obecność. Ma na twarzy słaby uśmiech gracza, który wie, że ma w ręku mocne karty.

– Sprawa jest – mówi. – Ty jesteś Artur Sosnowski, tak?

– Tak.

– Ja do ciebie nic nie mam. – Gapi się na stolik i na telefon. – Ale mój szef chce wiedzieć, na chuj wyciągasz stąd laski na prywatne dymanie. To nie jest liceum i tu się lasek nie wrywa. One tu pracują, koleżko.

– To nie tak – mówię szybko. – Nikogo nie dymam.

– Ale jedną z tutejszych sobie wrywasz.

– Po prostu rozmawiamy.

– Po co?

– Bo... – Waham się. – Bo jest nieszczęśliwa.

– Nieszczęśliwa? – Łysy szczerzy się brzydtko. – A ty kim jesteś? Poprawiasz humory nieszczęśliwym kurwom?

Gdybym miał więcej odwagi, strzeliłbym go teraz w zęby, aż polałaby się krew. Boże, jak ja nienawidzę tego słowa, gdy ktoś tak o niej mówi.

– Pewnie pan tego nie zrozumie, ale ona jest człowiekiem – mówię. Czuję, jak pulsują mi skronie. – Ma prawo wychodzić. Nie jest chyba niewolnicą.

– Co ja rozumiem, to ty nawet nie wiesz. – Łysy przekrzywia głowę i gapi się na mnie. – Ale ja nie jestem od myślenia w tym towarzystwie. Moja specjalizacja to działanie, kapujesz?

– Kapuję.

– Mój szef dał mi takie zadanie. Jedno z wielu. Przekonać jednego takiego lamusa, co to niepotrzebnie wsadza nos w nieswoje sprawy. Czyli ciebie. Przekonać, żeby dał sobie spokój.

Nie brzmi to przesadnie groźnie. Łysy facet mówi to tak, jakbyśmy siedzieli na spotkaniu biznesowym. Trochę jak w banku, a łysy próbuje mi powiedzieć, że nie mam zdolności kredytowej.

– Mnie ciężko przekonać, proszę pana – mówię przed siebie. – Myślę, że pana szef to rozsądny człowiek. Nie ma takiej szansy, żebym z nim pogadał?

– Znaczą się, chcesz przekonać jego? – Łysy krzywi się w uśmiechu, a ja po raz pierwszy dostrzegam, że ma coś nie tak z prawym uchem. Małżowina tuż pod wygoloną skórą. Ucięta, jakby tasakiem albo nożycami. – On jest pewny swego. Uważa, że wpieprzasz się tu jak lis do kurnika. Są inne lisy, ważniejsze. Tu nie ma miejsca na żadne negocjacje.

– A co on mi robi, jeśli go nie posłucham? – pytam. – Zabije? Tak to się odbywa?

Łysy dopija whisky, stawia szklanekę na stoliku i bierze z niego telefon komórkowy.

– On woli rozwiązywać takie kwestie bez przemocy. To spokojny człowiek. Jak na mój gust za spokojny. – Bawi się telefonem, przesuwając po ekranie grubym palcem. – Ale tylko udaje. Jak go wkurwisz, to może ci zaserwować takie coś.

Wciska jakiś przycisk na telefonie, odwraca ekran w moją stronę i patrzy na mnie jak drapieżne zwierzę. Wlepiam oczy w ekran, na którym dzieje się coś

dziwnego. Bez dźwięku.

– Patrz – mówi łysy.

To się dzieje w lesie. Młody chłopak z burzą ciemnych włosów biegnie przed siebie, okładany grubym kijem przez kogoś niewidocznego w kadrze. Potyka się o korzenie i odwraca twarz, przerażony. Krzyczy. Nawet bez dźwięku potrafię sobie wyobrazić, że błaga o litość.

– Dlaczego pan wyciszył? – pytam głucho.

– Naprawdę wolisz, żebym pogłośnił?

– Chyba nie.

Filmik jest pocięty, bo ujęcia zmieniają się raptownie i nie widać twarzy prześladowców. Ciach. Ktoś wielkimi łapskami podnosi chłopaka i przyciska go do drzewa. Ciach. Chłopak jest przywiązany do sosny grubymi łańcuchami, a ktoś chlusta mu w twarz jakąś cieczą. Ciach. Chłopak płonie jak żywa pochodnia i wrzeszczy z niewyobrażalnego bólu. A potem jest chaos, wszystko jest gwałtowne i rozmyte, jakby ktoś uciekał przez las. Ciach. Koniec. Wszystko trwało może trzydzieści sekund.

Przelykam ciężko ślinę.

– Kiedy to zostało zrobione? – pytam.

– Niedawno.

Czuję, jak strach rozlewa mi się pod brzuchem, ale wiele rzeczy w mojej głowie wskakuje na właściwe miejsca. Mój stary. Tamci kolesie w samochodzie. Banzaj, czyli Norbert.

Robi mi się ciemno przed oczami. Modłę się w duchu, żebym nie powiedział teraz nic głupiego. Nie mogę dać po sobie poznać, że wiem cokolwiek na temat tej sprawy. Zresztą może to wcale nie o to chodziło? Może chłopaka w afro załatwił nie Norbert, tylko ktoś inny?

– Więc sam widzisz, koleżko, że tu nie ma żartów. – Łysy wyłącza ekran i kładzie komórkę na stole. – Są na twoim osiedlu zawodnicy, którym wystarczy dać trochę dziwnego towaru i przestają nad sobą panować. Da się takiemu kanister z benzyną, zapalki albo zapalniczkę. Potem tylko dwa słowa: „Artur Sosnowski”, i dołączysz do tamtego truchła gdzieś w jakimś lasku. Więc przemyśl sobie to wszystko w domciu i najlepiej już więcej się tu nie pokazuj.

Wygląda na to, że skończył, bo tylko uśmiecha się z przekrzywioną głową i straszy tym swoim obciętym uchem. Przychodzi mi do głowy czarna jak smoła myśl, żeby szybkim ruchem wyciągnąć teraz mojego gnata z otwartego plecaka i przyłożyć tamtemu do twarzy. Zdjąć ten uśmiech. Zobaczyć w jego oczach strach.



Ale nie robię tego. To by było samobójstwo. To nic nie da. Dziewczyny to nie uratuje.

Więc kiwam głową, jakby mnie przekonał. Spuszczam wzrok, wstaję z miękkiego fotela i powoli idę do drzwi. Łysy już nic nie mówi, czuję za to na plecach jego wzrok.

Za drzwiami jest przeraźliwie jasno. Oślepiająco. Wychodzę przez bramę i wyciągam z krzaków mój rower. Odjeżdżam.

– Poczekaj, muszę się czegoś napić – powiedziała Ola. – I zapalić, ochłonać chwilę.

„Jezu” – pomyślał ze zgrozą Marcin, idąc niemal po ciemku przez rzadki las. Nagle pojawia się w tym wszystkim Igor i filmik z karty Downa Maćka. Jakiś łysy facet z uciętym uchem i jego wypowiedane niby od niechcienia groźby. Pistolet Artura, czający się w plecaku, niczym żyjący własnym życiem demon.

„Dlaczego nie powiedział mi o tym wtedy ani słowa?”

Przypomniał sobie twarz Artura na ich czerwcowych spotkaniach przed wyjazdem na Mazury. Półotwarte usta, wysuszone wargi, zmrużone oczy, jakby wpatrzone do środka.

To nie był strach. To była mina człowieka, który w każdej sekundzie musi się pilnować, żeby nie zdradzić swojej tajemnicy.

– Już jestem. – Usłyszał w słuchawkach.

Jadę te kilka kilometrów jak porażony. Nie wiem, co o tym myśleć. Czuję, że z każdym metrem zbliżam się do miejsca, którego nie mam ochoty już nigdy więcej oglądać. Do mojego domu. Kolana mam jak z waty, ledwie dociskam pedały. Myślę o tym, że jeśli jednak uda mi się dojechać, to muszę zaszyć się w składziku i to wszystko spisać. Muszę to przelać na papier i ukryć. Dam Oli, tak jak do tej pory.

Na osiedlu cisza, jak zawsze. Za cicho tu jest. W takim miejscu nie powinno być cicho, bo cisza to spokój, a tu za ścianami kłębią się sekrety. Brudne, plugawe, wstrętne. W moim domu też, choć jeszcze nie jestem w stanie tego przyjąć. Chce mi się rzygać, gdy w końcu widzę go za skrzyżowaniem – parkan, furtka, podjazd. Najchętniej po prostu bym się spakował i stąd uciekł. Ale to bez sensu. Ona tu zostanie. A ja nie wiem, dokąd miałbym iść. Wyjechać do innego miasta, jak proponował mi ojciec? To byłoby tchórzostwo, po czymś takim nie można spojrzeć spokojnie w lustro.

Otwieram furtkę, przez uchylone kuchenne okno nie słycać stukania sztućców ani żadnych rozmów. To dobrze, może uda mi się ominąć starych i siostrę i uderzyć prosto na piętro, do mojego pokoju, zwinąć notes i pójść do składziku. Pieprzone schody zawsze skrzypią, ale tym razem udaje mi się ominąć najgłośniejsze deski.

Widzę, że drzwi do mojego pokoju są uchylone. Idę na palcach przez korytarz. Staję. Powoli zaglądam do środka.

Na łóżku siedzi on. Mój ojciec. Trzyma mój zielony notes. Czyta. Jakim cudem go znalazł? Musiał go szukać, musiał się naprawdę napracować. Skurwysyn.

– Znalazłeś już coś ciekawego? – pytam.

Moje słowa niemal podrywają go na równe nogi. Wstaje szybko, notes rzuca na łóżko, jakby tym gestem chciał wymazać swój podły występ.

– No, pytam, znalazłeś?

Widzę, że zaciska zęby. Poprawia koszulę w spodniach.

– Widziałeś mnie – mówi mój stary cicho. – Tam jest napisane, że mnie widziałeś. Tam, na polu, z tymi dwoma. Ale nie dokończyłeś. Scena jest urwana.

– Dokończyłem – mówię. – Ale nie w notesie. Wszystko opisałem. Oddałem komuś. Na przechowanie.

Czuję satysfakcję. Jakbym już kiedyś przewidział taką sytuację. Jakbym ją wymyślił, a ona się zmaterializowała.

– Zamknij drzwi – szepcze mój stary. – Pogadajmy.

Mam raczej ochotę wrzeszczeć, ale wiem, że nic by to nie dało. Na chuj alarmować matkę i Weronikę. Więc zamykam drzwi.

– Usiądź – mówi.

– Postoję.

– To ja usiądę.

– Siadaj.

Ojciec znów siada na łóżku. Nie wygląda, jakby chciał szczerze pogadać. Znam to pieprzone mgliste spojrzenie. Na pewno zastanawia się teraz nad jakąś ściemą. Patrzy przed siebie, gapi się, jakby ściana była jego suflerem.

– Widziałeś mnie, tak? I tych dwóch? – pyta w końcu. – To tylko moja praca. Nie zrobiłem nic złego. Nie jestem złym człowiekiem.

Co mam robić? Opieram się o framugę i patrzę. Niech mówi, ja nie mam zamiaru.

– Pracuję dla kogoś, kto prosi mnie o pewne przysługi – mówi dalej mój stary do ściany. – To była awaryjna sytuacja. Ktoś zrobił komuś krzywdę, a ja musiałem to

załagodzić. Życie nie zawsze jest proste. Zdarzają się takie momenty, kiedy trzeba trochę nagiąć rzeczywistość.

To już trochę za dużo, nawet jak na mnie.

– Kurwa, o czym ty gadasz, tato? – Kręcę głową. – Spotykasz się z gangusami na pustkowiu i robisz im przysługi? Tak zarabiasz na życie?

– Tylko czasami.

– A gdybym ci powiedział, że jeden z nich przystawił mi pistolet do głowy? Też byś się, kurwa, z nim bratał?

W końcu odrywa wzrok od ściany.

– O czym ty mówisz?

– O tym, kurwa, że ten Norbert wpadł do baru i wyjął na mnie broń. Co ty na to?

– Kiedy to było? Teraz?

– Nie teraz. Wtedy. Tydzień przed waszym spotkaniem.

Szczęki pulsują mu, jakby w rytm myśli.

– Czy on łązi za tobą? Spotkałeś go potem? Groził ci?

Nie. Nie łązi. Ale to nieważne, jestem wściekły, chcę mu dopiec tak, żeby zabolalo.

– Tak – kłamię. – Twój koleżka Norbert łązi za mną i każe mi się odpierdolić od dziewczyny. Jak się nie odpierdolę, to mnie zawiezie do lasu i robi to samo co takiemu jednemu chłopakowi z afro na głowie. Pokazywał mi filmik, co mi się może stać, jak się nie będę słuchał.

– To moja wina... – mówi ojciec cicho, do siebie.

„Dlaczego twoja, tato?” – myślę. Jeszcze w kwietniu myślałem, że jest po prostu adwokatem. Nigdy nie zaprzętałem sobie głowy tym, co robi między dziewiątą a osiemną. Ale teraz jestem już niemal pewien. Wtedy na polu chodziło o tego chłopaka spalonego w lesie. Stary to załatwił. Wmówił nastukanemu w trzy dupy karkowi podobnemu do Adama z domu obok, że to on spalił gościa. Ja pierdolę, co za masakra.

Stary wygląda, jakby zapadał się do środka. Siedzi na łóżku, przeżuwa coś w myślach. Mam wrażenie, że gdybym zaczął teraz tańczyć i skakać na środku pokoju, to nawet nie zwróciłby na to uwagi.

Nagle wraca i znowu świdruje mnie wzrokiem.

– Ta dziewczyna – rzuca jak rozkaz. – Musisz przestać się z nią spotykać. Dla własnego dobra. Zostaw ją w spokoju, a wszystko będzie jak dawniej.

– Kurwa...

Obraz jest już pełny. Wszystkie części układanki do siebie pasują.

– To nie jest dziewczyna dla ciebie, rozumiesz?

Oni wszyscy są razem... Ojciec, Banzaj, jego wujek, ten łysy, który straszył mnie dzisiaj filmikiem. Przedwczoraj na spotkaniu mówiła o jakichś dziwnych dniach raz w miesiącu, kiedy podtruwają ją, żeby nie poznała tożsamości swoich klientów. Traktują ją jak swoją pieprzoną własność. Może każdy z nich przyłazi do niej co jakiś czas, a ja jestem tylko przybłądą, który wykrada im ich zabawkę?!

Może on też? Nie mogę ścierpieć tej myśli. Nie mogę na niego dłużej patrzeć. Wysłannik ciemności. Król upiór. Nazgûl.

– Odpierdol się – mówię i chcę, żeby już wyszedł.

Stary kiwa tylko głową i nie wygląda to na uznanie.

– Jeszcze zapamiętasz moje słowa – mruczy.

Wstaje, rzuca mój notes na łóżko, poprawia pasek jakby nigdy nic i przechodzi obok mnie. Słyszę skrzypienie desek na schodach.

Wiem, kim jestem. Jestem tylko Artur Sosnowski, ale nie mam, kurwa, zamiaru tak po prostu zostawić tej sprawy. Dziewczyna na to nie zasługuje. Będę wyciągał ją z tego bagna, które ma w głowie, tak jak umiem. Ostrożniej, trzeba mniej rzucać się w oczy. Od tej pory muszę się pilnować. Nie dać się przyłapać.

Chce mi się wyć, ale gdzieś głęboko w środku czuję, że może mi się udać.

– To już wszystko – powiedziała Ola. – Straszne, prawda?

Marcin czuł przeraźliwą pustkę. Był przytłoczony. Przez ostatnie kilkanaście minut szedł pośród szarego zmierzchu wąską ścieżką, mijał kolejne drzewa i słyszał monotonny głos Oli, a przed oczami miał Artura w tamtym burdelu, a potem stojącego przed ojcem.

– Masz zamiar coś z tym zrobić? – spytała Ola z dziwną nadzieją w głosie. – Mam przeczucie, że jego śmierć to konsekwencja tego, co się działo w czerwcu. On się nie ugiął. Sam napisał, że się nie ugnie. Pewnie dalej do niej chodził.

Chciał jej powiedzieć, że coś z tym zrobi. Tylko co?

– Myślisz, że to Banzaj dorwał go na tych Mazurach? – spytał głucho. – Norbert. Morderca Igora.

– O kurwa – szepnęła Ola. – Ty wiesz więcej, prawda? On nie napisał, że chłopak z lasu miał na imię Igor.

– Tak, Ola, wiem więcej. Tyle że ja jestem za słaby na to, żeby coś z tym zrobić. Jestem nikim. Pracuję w urzędzie, mam żonę w ciąży. Co mam robić? Sama mówiłaś, nie porywaj się z motyką na słońce, z procą na karabin.

W słuchawkach zaległa cisza. Marcin dostrzegł, że las się kończy, a zza drzew wyłaniają się znajome stylowe latarnie, omiatające zielonkawym światłem gładkie trawniki. Z najbliższej posesji wiatr przywiał zapach kolacji rodem z książek kucharskich Nigelli Lawson.

– Z kimkolwiek będziesz o tym rozmawiać, Marcin... – zaczęła w końcu Ola. – Mierz siły na zamiary.

– To Mickiewicz, znaczy co...

– Graj takiego, jak mówisz. Bądź nikim. Przyczaj się.

Zamilkł. To miało sens. Zagrać głupka. Dać sobą kierować. Obserwować z boku i czekać na moment, gdy któryś z mocnych zawodników popełni błąd i się wysypie.

Ojciec Artura. Norbert. Jego tajemniczy wujek.

A może Andrzej Rulewski?

– Dziękuję, Ola – powiedział. – Tak zrobię.

Marcin zdjął słuchawki i stanął na ganku z telefonem w dłoni. Nacisnął dzwonek. Czekał chwilę, a gdy drzwi uchyliły się, zamiast niani zobaczył rozczochranego Jana Adlera w jasnobieżowym szlafroku frotté.

– O, Bielawski – mruknął Adler pod nosem.

– Już pan wrócił? – Marcin próbował ukryć zdziwienie, ale i tak musiał głupio wyglądać z otwartymi ustami, bo mężczyzna przez chwilę uważnie na niego patrzył. Marcinowi przeszło przez myśl, że zastanawia się, czy wpuścić go do środka.

– Dobrze, że pan jest. – Adler podrapał się w końcu po nieogolonym policzku.

– Nie wiem, co pan zrobił mojemu małowównemu synowi, ale protestuje stanowczo, jak na jego możliwości. Nie chce zasnąć bez jakiejś książki, którą pan mu czytał.

– To coś poważnego? Z pana sercem?

– Nic wielkiego, jak się okazało. Na chwilę odmówiło mi posłuszeństwa. Kazałem im się wypisać, więc mnie wypisali. Ale umowa to umowa, nocleg czeka na pana.

Odwrócił się i przeszedł przez przedpokój do kuchni. Niani już nie było. Zuzia siedziała przy stole w kuchni i zawzięcie rysowała dinozaury grubymi kredkami świecowymi. Franek ze swoim zwyczajnym smutkiem siedział za sofą i nie wyglądał, jakby jakkolwiek protestował, stanowczo czy nie. Marcin uśmiechnął się do niego i puścił oko. Wydawało mu się, że chłopiec za chwilę odwzajemni mrugnięcie, ale tylko schował się głębiej za oparciem.

– Niech pan się odświeży – rzucił Adler z kuchni. – A potem przeczyta Frankowi rozdział tego, co pan tam mu czytał. Jutro przy śniadaniu zamierzam pomęczyć pana o scenariusz. Przy okazji: w sobotę wraca z Frankfurtu moja żona. Rozumie pan, że nie będę mógł pana dłużej gościć.

– Nic nie szkodzi. – Marcin zerknął ukradkiem w jego stronę. – I tak jestem wdzięczny. Uratował mi pan tyłek, jeśli mogę tak powiedzieć.

– Zgrabnie i na temat. – Adler uśmiechnął się blado.

Marcin poczuł, że pada z nóg. Chciał jak najszybciej wziąć prysznic, zjeść coś i odbębnić drugi, a może nawet kawałek trzeciego rozdziału *Harry'ego Pottera* z pirackiego PDF-a. A potem zakopać się w pościeli. I wysłać Marcie wiadomość, że wszystko u niego w porządku.

Leżąca na stole komórka Adlera rozdzwoniła się *Wiosną z Czterech pór roku* Vivaldiego. Aktor podszedł i zerknął na ekran. Marcinowi wydało się, że waha się, czy odebrać. W końcu odebrał.

– Witam szanownego sąsiada – powiedział z teatralną beztróską i poczekał na odpowiedź. – Trochę czasu już minęło od mojej wyprowadzki, ale jakoś nie umiem przestać myśleć o tobie jak o szanownym sąsiedzie.

Sąsiad ze starego osiedla. Który? Marcin nie ruszył się z miejsca, przyglądając się aktorowi. Odejdzie z telefonem w ustronne miejsce? Czy każe mu gestem iść na górę? Adler jednak wydawał się nie przejmować jego obecnością: oparł się plecami o wielką lodówkę, a na jego twarzy pojawił się dziwny zbląkany uśmiech.

– Czy to ja? – odpowiedział pytaniem na pytanie swojego rozmówcy. – Tak, to ja. Po co? Bo myślę, że pewne rzeczy nie powinny zostać zapomniane. Jeśli cię to dręczy, szanowny sąsiedzie, to zapraszam, podjedź do mnie, a wyłuszcę ci moje racje. Choćby teraz. Wiesz przecież, gdzie mieszkam. Moja połówka jest w Niemczech, a dzieci zaraz idą spać.

Marcin zdębiał. Odchrząknął, ale Adler nie zwrócił na to uwagi.

– Za godzinę? – Przymknął oczy. – Doskonale. Zdążę jeszcze poczytać synowi przed snem. Do zobaczenia.

Rozłączył się. „To było dziwne” – pomyślał Marcin. Jakby ukartowane, jak mały spektakl, specjalnie dla niego. Adler powoli odłożył telefon na kuchenny stół obok kredek i rysunków Zuzi. Poglaskał ją po jasnych włosach i spojrzał na Marcina z błyskiem w oku.

– Będziemy mieli gości, panie Bielawski. Ma pan godzinę, żeby zjeść kolację i uśpić Franka.

– Ale o co chodzi? – spytał Marcin skonsternowany.

– Proszę nie schodzić na dół. – Adler wyprostował się i poprawił szlafrok. – Na szczęście w tym domu jest niesamowita akustyka.

Siedział na łóżku Franka, nerwowo żując kanapki z serem i pomidorem, a między kęsami czytał bez zaangażowania drugi rozdział *Kamienia Filozoficznego*. Nie mógł się skupić, litery na telefonie rozmazywały mu się co i raz, zacinał się w pół zdania. Cały czas miał przed oczami dziwną scenę z kuchni. Adler powiedział, że puści mu sygnał, żeby mógł pożegnać się z Frankiem i po cichu podejść w kierunku schodów na parter.

Tak też się stało. Franek oddychał już cicho i miarowo z zamkniętymi oczami. „Ciekawe, czy odnalazł się w przykrym dzieciństwie małego czarodzieja w domu mugoli” – pomyślał Marcin, kiedy zobaczył na komórce numer Adlera. Telefon zamilkł niemal od razu. Marcin włączył tryb samolotowy i odłożył telefon na nocny stolik. Podniósł małe krzeselko, wyszedł z sypialni Franka i cicho przymknął drzwi. Ruszył na palcach przez korytarz i usiadł na krzeselku dwa metry przed schodami.

W salonie na dole paliło się światło. Po chwili Marcin usłyszał cichy odgłos otwieranej szafki, może barku. Adler nalewał coś do szklanki. Pstryknęła benzynowa zapalniczka i po chwili Marcin poczuł w nozdrzach ostry zapach tytoniu. „Kurczę, człowieku, przecież dopiero co wyszedłeś ze szpitala po zawale” – zdążył pomyśleć, kiedy ktoś zastukał do drzwi wejściowych i kapcie Adlera zaszurały po posadzce. Drzwi skrzypnęły, a potem zamknęły się cicho.

– Nic się nie zmieniłeś przez te lata – powitał gościa aktor.

Głos Adlera z przedpokoju był cichy i niewyraźny. Marcin miał nadzieję, że rozmowa przeniesie się jednak do salonu. Akustyka domu była dobra, ale nie aż tak.

Znów zaszurały kapcie, a obok nich zaklekotały buty na gumowej podeszwie.

– Usiądź – powiedział Adler. – Whisky?

– Tak, poproszę – odpowiedział mężczyzna.

Marcin drgnął. Znał ten głos. To był zmęczony głos człowieka, który tłumaczył mu w wypucowanej na glanc kuchni, że nie warto zajmować się scenariuszem. Najważniejszy jest święty spokój. „Gdzie scenariusz? Spaliłem”.



– Ładny dom. I ładna okolica. Spokojna. Ale może od razu przejdę do sedna – powiedział cicho Dariusz Sosnowski. – Jaki miałeś cel w tym, żeby podsuwać chłopakowi tamten scenariusz?

– To poprzednie osiedle nigdy jakoś specjalnie mi się nie podobało – odparł Adler, ignorując pytanie. – A już na pewno nie mojej małżonce. Ileż to się nasłuchałem. „Janek, to nie jest dobra okolica. Nie chcę tam mieszkać. Same podejrzane typy tam mieszkają, gapią się przez okna, gapią się z podwórek”. No i proszę. Wystarczyło przenieść się kilka kilometrów dalej i już jest pięknie. Spokojnie, kulturalnie. Jasna strona mocy, od razu człowiekowi łatwiej oddychać...

Zapadła cisza, jakby Sosnowskiego zatkało.

– To wspaniale... – odrzekł po długiej chwili. – Cieszę się twoim szczęściem. Ale powtórzę: po co teraz ten scenariusz?

– A jak ci się, Darku, wydaje? – spytał Adler, jakby rozmawiał z małym dzieckiem. Marcin zdążył już poznać ten ton. – Chodzi przecież o film, tak? Artysta potrzebuje środków wyrazu. Ja w tym momencie potrzebuję takich, a nie innych.

– Bzdura – uniósł się Sosnowski, a w jego głosie zabrzmiała jakaś fałszywa nuta. – Jest tyle różnych tematów. Życie i śmierć Artura to nie jest dobry temat.

– Życie może nie. Ale śmierć już tak, mój drogi.

– Słucham?! – wychrypiął Sosnowski.

Cały dom znów pograżył się w ciszy tak brzęczącej, że Marcina aż przeszły ciarki. Tylko jeden dźwięk rozbrzmiał i ucichł, coś jakby chlupnięcie. Marcin wyobraził sobie, że to Adler pociągnął w tej chwili whisky ze szklanki.

– Szanowny sąsiedzie... – podjął Adler. – Długo się zastanawiałem, dlaczego ta śmierć rozplynęła się w powietrzu, niczym dym z szybko zagaszonego ogniska. Przecież to nie był wypadek, prawda? Dlaczego nie zrobiłeś wszystkiego, co w twojej mocy, żeby to wyjaśnić?

– To nie twoja sprawa.

– Dziwna odpowiedź – powiedział Adler głośniej, jakby chciał się upewnić, że Marcin to słyszy. – No, ale nie mnie to oceniać. Jestem tylko aktorem, starym i chyba już nieco zapomnianym. Co ja tam mogę wiedzieć o życiu? Mój syn ma

dziewięć lat. Trochę późno zabrałem się za sprawy rodzinne. Ale to nie jest najważniejsze.

– A co?

– Może to, że Artur był wtedy u mnie z tym scenariuszem i go zbyłem? Miał nadzieje, przychodząc do mnie, a ja mu je odebrałem. Mam wyrzuty sumienia, bo zasługiwał na poważne potraktowanie.

– Był u ciebie? – Sosnowski autentycznie się zdziwił. – Czytałeś to wszystko?

– Więcej. Miałem ten kawałek skryptu przez osiem lat na strychu. Znalazłem go przez przypadek. Odkurzyłem sobie starą historię.

– Nie powinieneś tego robić bez zapytania mnie o zdanie.

– Przecież i tak je znałem. Mogłem się domyślić.

– Gdzie to jest?

– W dobrych rękach. U producenta.

– U kogo, do cholery?

– Po co te nerwy?

Włączyła się lodówka. Marcin mimowolnie przesunął krzeselko kilka centymetrów bliżej schodów.

– Ktoś tam jest? – spytał nagle Sosnowski podejrzliwie i Marcin poczuł gęsią skórkę na karku.

– To pewnie Franek – odpowiedział Adler spokojnie. – Czasami wstaje i idzie do toalety. Franek, wracaj do łóżka, mój drogi! – zawołał w stronę schodów.

Marcin zamarł. Usłyszał, jak kapcie Adlera szurają po posadzce, a potem zaskrzypiał schodek. I następny. Otworzył usta z przejęcia i skulił się na krzeselku. Po trzech sekundach zobaczył głowę aktora ponad schodami.

– Franku, tatuś musi porozmawiać – powiedział Adler, patrząc surowo w oczy Marcina. – Wracaj do łóżka.

Marcin nie wiedział, czy ma w tej chwili wstać i skrzypieniem posadzki potwierdzić intrygę Adlera. Gapił się bezrozumnie, ale ten pokiwał tylko głową.

– Dobry chłopiec – powiedział miękko. – Obrócił się i zszedł po schodach. – Już nie będzie nam przeszkadzał. – Zniknął z pola widzenia i wrócił do Sosnowskiego. – A teraz powiedz mi, Darku, czemu tak bardzo denerwujesz się tym scenariuszem?

– Ja się nie denerwuję.

– A jednak bym się założył.

– Zmarłym należy się spokój, święty spokój – odpowiedział chrapliwie Dariusz Sosnowski. – Rodzinie zmarłego też się to należy. Po prostu nie chcę, żeby ten chłopak przyłaził i rozpieprzał życie mojej rodziny.

– A może czegoś się boisz?

– Czego?

– Że twój syn powsadzał tam różne rzeczy, których nie powinien? – Adler znów otworzył barek. Whisky zachlupotała w szklance. – Obaj wiemy, że ładował tam wszystko, co tylko mu się przytrafiło.

– Nie wszystko.

– A to ciekawe. Co masz na myśli?

– Niektóre rzeczy rozdawał znajomym. – Ojciec Artura ściszył głos. – Złapał mnie kiedyś na czytaniu notesu. Powiedział, że są sceny, które komuś dawał na przechowanie.

– Przyszedłeś wybadać, czy ja jestem tym kimś?

– A jesteś?

– To zależy, o jakich scenach mówimy.

– O... – Stary Sosnowski zawahał się. – O pewnych brzydkich sprawach. O mojej pomocy dla naszego wspólnego znajomego, której żałuję do dziś.

Adler nie odpowiedział. Marcin przełknął ślinę.

– Było? – dorzucił natarczywie Sosnowski. – O siostrzeńcu?

– Takich rzeczy nie pamiętam – odpowiedział w końcu Adler. – Ale Artur był chyba na tyle głupi, że napisał wprost to i owo o różnych brudach z twojego podwórka.

– Możesz wreszcie wydusić o czym?

– A jak myślisz, Darku? – spytał aktor z dziwnym smutkiem w głosie. – Więcej o niej. O tamtej nieszczęsnej dziewczynie. Tej, która swego czasu tak ci się spodobała.

– Że co?!

Marcin skrzywił się mimowolnie. Sosnowski wycharczał to „że co?!” takim tonem, jakby ktoś rzucił w jego kierunku podłe oszczerstwo, zmieszane

z kilogramem błota.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – popłynął znów spokojny głos Adlera. – Chłopak był u mnie ze scenariuszem. Był już wtedy mocno przestraszony. Grozili mu. Podejrzewał, że za tym stoisz. Zaufał mi i spytał, czy wiem coś więcej na ten temat.

– I co mu powiedziałaś? – Sosnowski najwyraźniej tracił resztki panowania nad sobą. – Co mu, kurwa, powiedziałaś?

– Prawdę. Wieczór u naszego wspólnego znajomego, dawno temu. Jest whisky, najlepsze. Są dziewczęta, nie najgorsze. I wtedy weszła ona. Już nawet nie pamiętam, jak wyglądała. A ty pamiętasz, jak nachyliłeś mi się wtedy do ucha? Jak to było? „Zobacz, ta mała jest niesamowita...”

Marcin czekał w napięciu na odpowiedź. Zamiast tego w salonie szklanka stuknęła o szklany blat, jakby ktoś odstawił ją z impetem. A potem buty Sosnowskiego na gumowych podszewkach szybko, bardzo szybko przeszły przez salon.

– Żałuję, że tu przyjechałem – poniosł się z korytarza gniewny głos. – To był błąd.

– Możliwe – odpowiedział z salonu Adler.

– Ty też nic się nie zmieniłeś – dorzucił Sosnowski. – Lubisz jebać ludziom w głowach jak dawniej.

Trzasnęły drzwi i zaległa cisza. Po chwili Marcin usłyszał trzaśnięcie drzwi samochodu. Niespodziewanie włączył się autoalarm, krótkie intensywne dźwięki syreny poniosły się po osiedlu i wpadły do salonu przez uchylone okno. Wściekły ojciec Artura wyszedł z auta, zamknął znowu drzwi i uciszył alarm pilotem. Dopiero po chwili zawarczał silnik diesla i auto Sosnowskiego wyjechało z podjazdu.

Marcin chciał wstać z krzeselka, ale nogi miał jak z waty. Rozmasował zdrętwiałe uda i powoli się podniósł. Pomyślał, że jeśli wejdzie teraz na schody, to zleci po nich na dół jak szmaciana lalka.

– Może pan już zejść, panie Marcinie – wołał z dołu Adler.

Zacisnął zęby i zszedł ostrożnie po drewnianych stopniach, kurczowo trzymając się poręczy. Aktor siedział na sofie w rozchełstany szlafroku, trzymał w dłoni szklankę z whisky i patrzył martwo w wyłączony telewizor.

– On to naprawdę panu wtedy powiedział? To było w burdelu, prawda? – spytał Marcin cicho.

– Nie pamiętam – odpowiedział Adler bez żadnej emocji.

– Jak to?

– Chciałem, żeby to on mi przypomniał.

„Pieprzenie” – pomyślał Marcin ze złością. Cała ta rozmowa od początku do końca miała jeden jedyny cel: upokorzenie Sosnowskiego. Pociągnięcie go za język przy niewidzialnym świadku. Wymuszenie przyznania się do winy, nawet większej niż ta, o którą podejrzewał ojca Artur.

Marcin jeszcze raz spojrzął na Adlera, ale aktor wyglądał, jakby stracił całą energię. Siedział wypalony, z obwisłą wargą i szklanką w luźnej dłoni.

– Dobranoc, panie Marcinie – powiedział.

Marcin miał w głowie mnóstwo pytań, ale wiedział, że nic już dziś od Adlera nie wyciągnie. „Graj głupka” – przykazał sobie w duchu. Kiwnął więc tylko głową na pożegnanie i podszedł do schodów. Wiedział, że na pewno szybko nie zaśnie.

Andrzej rozpuścił aspirynę w ciepłej wodzie i wypił duszkiem musującą ciecz. Odstawił szklankę do zlewu, wszedł do pokoju i położył się na łóżku z laptopem i komórką. Wizyta u Downa Maćka mocno nadszarpnęła jego siły. To nie to, co kiedyś, gdy był młody, zwinny i potrafił zarywać dwie noce z rzędu w pogoni za tematem. Zrobił to, zmusił Maćka do spowiedzi, ale czuł się teraz wymiętolony, bez sił, a co najgorsze – chory. Przełożył kartę z dyktafonu do laptopa i zgrał na pulpit przechwałki na temat warsztatu oraz wymuszone nagłym okazaniem medalionu zeznanie.

Za wcześnie było dzwonić znowu do Kamila Rajsera z pałacu Mostowskich. Jeszcze nie ten moment, może jutro, po wizycie u kolejnego z trzech *amigos*, Tatki. Czyli Adama. Ten drugi był ważniejszy, to jemu Norbert wmówił winę za spalenie Igora. Andrzej zupełnie nie wiedział, jak się zabrać za tego gościa. To był ten wielki, naspidowany troglodyta, który przywiązał Igora łańcuchami do drzewa. Jak z takim rozmawiać?

Nic mu nie przyszło do głowy, oprócz tego, że chciałby w sobotni wieczór mieć już wszystko za sobą i spędzić noc w towarzystwie nagrzonej laski

z klubu, która wyleczyłaby go z nadmiaru myśli. Znow przysłała mu na myśl Shae. Chciał do niej wczoraj zadzwonić, ale zasnął. Teraz był bardziej zdeterminowany, tylko za cholerę nie pamiętał jej imienia. Coś na B... Blanka? Brygida? Na pewno nie Bożena. W telefonie miał ją jako Shae. Lekki uśmiech w piwnych oczach, które lubiła mrużyć, gdy robiła sobie z niego żarty. Naprawdę miała w sobie coś z Sibel Kekilli, tej tureckiej aktorki.

Wykręcił numer i poczekał chwilę.

– Hej, pamiętasz mnie? – zamruczał. – Masz teraz kogoś?

Pamiętała. Nie miała.

– Co ty na to, kocie, żebyśmy razem wyskoczyli w nasze ulubione miejsce? Sobota. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. Stawiam parę drineczków, a potem to ty już wiesz.

Wiedziała. Andrzej opisał jej jeszcze w kilku pikantnych zdaniach, gdzie ją pocałuje i jak długo. Spytała, czy nie ma znow chandry jak kiedyś. Zbiła go tym pytaniem z tropu, ale tylko na moment.

– Jestem w dobrej formie – skłamał z uśmiechem. – Tylko trochę przeziębiony, ale do soboty postaram się wykurować. Poza tym wiesz, jak leczniczo działa na mnie twoja muszelka.

Zadziało. Byli umówieni. Andrzej odłożył komórkę, otulił się kołdrą i myśląc o sterczących sutkach Shae, zasnął z uśmiechem na ustach.

Gdyby mógł zobaczyć swoje ciało, ujrzałby wygięte w poprzek łóżka plecy i palce zaciskające się kurczowo na prześcieradle. Zupełnie jak w nocy z poniedziałku na wtorek, wtedy, gdy nie wiadomo jak długo trwał w bezdechu i po raz kolejny uciekał przez rozgrzany piasek przed Egzekutorem bez twarzy. Teraz też uciekał. Znow akompaniamentem był ogłuszający dudniący jazz, dobiegający zza sosen i świerkowych zagajników. Egzekutorów było trzech, chociaż dwóch wciąż nie miało twarzy, a twarz spoconego właściciela warsztatu nie pasowała umysłowi Andrzeja do snu, więc zastąpił ją pierwszą z brzegu twarzą złoczyńcy z filmu. Dobiegł do sosny, którą już dobrze znał. To tutaj zawsze wszystko się kończyło – wierszem, a potem zapalką przykładaną do oblanego benzyną ciała. Ciało Andrzeja zastygło na łóżku w dziwnej pozie, a Egzekutor wyłonił się jak zawsze zza drzew. Ale tym razem zamiast

inkantacji postać wyjęła zza długiej szaty silikonową twarz i przyłożyła w miejsce, gdzie ziała czarna dziura. A potem twarz przemówiła.

„Pamiętasz nasze spotkanie? Podobało mi się moje dzieło. Nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie pochwalić. O co chodzi, spytałeś. Ja na to, jak to o co? O artykuł. O jeden z twoich artykułów ze strony szóstej. Który, spytałeś. Nieważne, odpowiedziałem”.

Andrzej zadrżał. Wiedział, że zaraz poczuje na policzkach znajome chluśnięcie benzyną, a potem zapałka zbliży się i znów będzie płonął w nieskończoność. Nie doczekał się. Egzekutor zdjął silikonową twarz i schował ją na powrót za połę szaty. A potem czarna dziura pod kapturem powiedziała coś, co sprawiło, że Andrzej natychmiast wybudził się z bezdechu i usiadł jak porażony na łóżku.

„To jak będzie, koleś, bierzesz ten towar czy nie?”

**Piątek,**  
**13 października, 13:40**





Andrzej siedział w swoim porsche i zerkał przez przednią szybę. Nie wiedział do końca, po co przyjechał na swoje dawne osiedle, ale od samego rana coś mu mówiło, że nie załatwił jeszcze jednej bardzo ważnej sprawy. I to od ośmiu lat.

Nigdy nie porozmawiał z żadnym z kolegów Igora.

Zabębnił palcami o kierownicę. Za szybą rozpościerał się widok na długi blok z sześcioma klatkami schodowymi – jeszcze starszy, jeszcze bardziej odrapany. Obcy. Poczł się nieswojo, nie na miejscu. Wypatrzył okno i balkon na drugim piętrze, skąd pałac salemy, obserwował Igora i jego kumpli, jarających dzointy na parkingu. Rozpoznał swoją starą kuchenkę gazową, wystawioną przez kogoś przy balustradzie. Obok z pyskiem między barierkami stał włochaty kundel i gapił się niemal wprost na Andrzeja.

Tak naprawdę ta wycieczka nie miała sensu. Kolegów Igora z liceum, tych z zespołu, tu nie było – a to oni mogli powiedzieć najwięcej o tamtym dniu, gdy chłopak pokazał medalion, a potem zginął. Czy coś widzieli? Czy powiedział im, skąd wytrzasnął ten przedmiot? Andrzej nigdy ich nie poznał, olał wtedy sprawę. Ale może mieszka tu jeszcze matka tego nieszczęśnika?

Wysiadł z samochodu i ruszył wzdłuż bloku, próbując przypomnieć sobie, z którego okna osiem lat temu dobiegał czasami mocny rockowy śpiew chłopaka. To mogło być dwie klatki dalej. I nie mogło być za wysoko. Nie parter, ale może pierwsze piętro.

Wpatrzył się w jedno z okien, zasłonięte czarnymi zasłonami. Ta czerń skojarzyła mu się z żałobą. Wyliczył na szybko, który guzik w domofonie wcisnąć, ale zanim zdążył podejść do drzwi, otworzyły się i stanął w nich krępy siwy mężczyzna, którego Andrzej wtedy czasami widywał.

– Pan dziennikarz? – spytał mężczyzna, mrużąc oczy. – Kopę lat. Niewiele się pan zmienił.

Andrzej za nic nie mógł sobie przypomnieć imienia tamtego.

– Tak, to ja – powiedział.

– Z wizytą czy przeprowadzka na stare śmieci?

– To pierwsze.

– Ale że do mnie akurat? – Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając żółte zęby.

– No, prawda, gadaliśmy czasem. No i raz mi pan podładował akumulator, jak była ta zima ostra jak skurwysyn...

– Przepraszam. – Andrzej się skrzywił. – Ja szukam matki tego chłopaka, którego spalili w lesie.

– Aaa.

Mężczyzna otaksował Andrzeja wzrokiem od stóp do głów. „Dobrze, że nie ubrałem się jak zazwyczaj” – pomyślał Andrzej. W czarnej puchówce i sportowych butach wyglądał normalnie, a nie jak przybysz z odległej galaktyki Dolny Mokotów. Nie wzbudzał ani podejrzeń, ani niezdrowego zainteresowania.

– Następna klatka. – Mężczyzna odkaszlął. – Drugie piętro.

– Jak ta kobieta ma na nazwisko?

– Zalipiak.

– Dziękuję.

Zanim Andrzej zdążył wyciągnąć do tamtego dłoń, mężczyzna ruszył przed siebie na parking i stanął przy mocno przerdzewiałej granatowej skodzie. Nawet się nie obejrzał, tylko wsiadł i po chwili odjechał.

– Nie pamięta mnie pani, pani Zalipiakowa? – spytał Andrzej minutę później starszą kobietę z naprężonym czołem, świdrującym wzrokiem ciemnoniebieskich oczu i dwiema głębokimi zmarszczkami, ciągnącymi się od nosa do zasznurowanych ust. – Mieszkałem tu. Napisałem artykuł o śmierci Igora. Byłem tu z takim jednym fotografem.

Kobieta stała w uchylonych drzwiach i wciąż tylko patrzyła w sposób, który Andrzej wziął za mieszankę nieufności i czystej nienawiści.

– Jeśli uraziłem wtedy pani uczucia, to szczerze przepraszam – wydukał Andrzej, dziwiąc się sam sobie. – Taka praca.

– Zdjęcie – zamruczała w końcu kobieta. – Po co? Po co było to dawać? Każdy zobaczył, każdy widział, to nie był Igor, nie taki... Zatruliście nas, jego ojciec już się po tym nie podniósł.

– Przepraszam. – Andrzej poczuł, że musi to powiedzieć, chociaż ledwo przeszło mu to przez usta. – Ja byłem za tym, żeby nie dawać. Ale to nie ja podejmowałem decyzje...

– Trochę późno się panu zebrało na wyrzuty sumienia.

– Tak bywa, proszę pani, człowiek dorośnie...

– Dobrze, niech pan wejdzie.

Pani Zalipiak otworzyła drzwi i podreptała do pokoju, zabudowanego niemal w całości lśniąca starym lakierem meblościanką, z wytartym dywanem w perskie wzory na poczerniałym parkiecie. Andrzej stanął w progu. Po takim powitaniu nie miał pomysłu, jak pytać o Igora. Znowu wchodził z buciorami w czyjeś życie.

– Po co pan przyszedł? – spytała kobieta. – Ja kolejnego artykułu sobie nie życzę. Nie życzę sobie, mówię jasno.

– Nie zamierzam pisać kolejnego tekstu – odpowiedział Andrzej szybko. – Ja raczej... Chciałem się dowiedzieć. Jaki on był, ten pani Igor.

– A na co to panu?

– Bo ja go mało znałem. Tyle, co pod klatką. Parę rozmów. Ale widziałem się z nim tamtego dnia, przed południem.

– Pamiętam. Stałam w oknie. Złe przeczucia miałam. Bardzo złe. Widziałam was, jak pokazywał panu... tamten przedmiot.

Andrzej poczuł się nieswojo. Medalion. Miał go pod kurtką. Strużka potu spłynęła mu po karku.

– A wiedziała pani, skąd on dostał ten wisiołek?

– Nie. Po prostu któregoś dnia go przyniósł – odpowiedziała kobieta głucho. – Zawiesił sobie na szyi, spał w nim. Nie rozstawał się z nim. Ile to mogło być? Miesiąc, półtora? Coś mu się stało, w głowie, wie pan? On się wtedy zmienił. Śmiał się głupio do siebie, coś bazgrał w zeszycie, a i płakać mu się zdarzało bez powodu. Jęczał w poduszkę, a rano znów się śmiał, że teraz to już ma tyle siły, że wszystko mu się uda, z tym zespołem, będą na koncerty jeździć po całej Polsce.

Andrzej patrzył na kobietę z zaciśniętymi szczękami. Miał ochotę wyszarpnąć medalion spod kurtki, rzucić go na wersalkę i wybiec z mieszkania. Ale nie ma przecież czegoś takiego jak czarna magia. Przedmioty nie mają własnej duszy – to tylko kawałek rzeźbionego metalu. Chłopak musiał ześwirować sam z siebie albo od trawy. A może w ogóle miał nierówno pod sufitem.

Coś go korciło, żeby powiedzieć tej kobiecie prawdę. Że Igor dilował, jarał na potęgę i że spotkał go taki los, bo bezczelnie komuś ukradł ten medalion.

– To był dobry chłopak – wykrztusił. – Młody był, może coś przeszkrobał czasami, ale takie są prawa młodości.

Kobieta nie zwracała na niego uwagi. Wpatrywała się martwym wzrokiem w blat zamkniętego barku w meblościance.

– Ten wisior – powiedziała. – Był przeklęty. Klątwa, mówię panu. Nie umiem inaczej pojąć, jak mój syn mógł w miesiąc oszaleć. Pokażę coś panu.

Przekręciła kluczyk i opuściła blat barku. Środek wypełniony był mnóstwem pożółkłych rachunków za telefon, zawiadomień ze spółdzielni i paragonów za wszystko, co możliwe. Kobieta wygrzebała spod stert papieru gruby zeszyt w kratkę i podała go Andrzejowi. Otworzył go. Chwilę potem przewracał ze zdumieniem kolejne kartki.

Medalion. Wszędzie rysunki róż i pistoletów. Duże, małe, dopracowane i ledwo naszkicowane. Ołówkiem, długopisem, flamastrem. Czarne róże, czerwone, granatowe. Pistolety – dymiące, ułamane, z lufami zakręconymi w węzeł. Dziesięć stron, dwadzieścia, trzydzieści.

– On to wszystko narysował? – spytał Andrzej, wpatrując się w szkice z pulsującymi skroniami. – Musiał to rysować non stop.

– Mówiłam panu, przez ten miesiąc, jak go miał... on wtedy był jak zaczarowany.

Andrzej jeszcze raz przewertował kartki. Jego wzrok padł na jedno zdanie, niemal wyszarpane w papierze.

„Zachcianką ślepego jest życzenie śmierci, głodem poety, krwawieniem dzieci”.

„Cholera” – pomyślał. Tak Igor gadał wtedy na parkingu. Tak zawsze mówiła do niego ta postać ze snu. A przynajmniej do wczoraj, gdy wybudził się

z bezdechu i usiadł na łóżku jak porażony.

– Tam dalej pan zerknie, wiersze też jakieś pisał.

Przerzucił kilka kolejnych stron i przeczytał na głos:

Wy nam pistolety, a my wam róże,  
Spadają płatki w piach,  
Wy nam pistolety, wędniemy jak róże,  
Drapieżne kolce w snach.  
Wy nam pistolety, a my wam róże,  
W głowach rośnie nam strach.  
Wy nam pistolety, giniemy jak róże,  
Matki toną we łzach.

Nie była to może poezja najwyższych lotów, ale do piosenki wykrzyczanej do mikrofonu w garażu nadawała się całkiem dobrze. Ale nie to uderzyło Andrzeja najbardziej w tej zapisanej cienkopisem zwrotce, otulonej z obu stron ozdobnym ornamentem, który wyglądał jak bluszcz, tyle że od góry do dołu wyrastały z niego pąki czarnych róż.

– Myśli pani, że on się bał? – spytał. – Może to przypadek, ale ten jego wiersz to tak jakby... przepowiednia?

– Da pan już spokój, panie Rutkowski...

– Rulewski.

Kobieta szorstkim gestem wyjęła Andrzejowi zeszyt z rąk i włożyła z powrotem do barku na samo dno, pod papiery.

– Ja twarda jestem, zniosłam to jakoś, ale już nie mam siły o tym rozmawiać. Wiem jedno. Ten wisior. Nie było go na moim Igorze. Zabrali go, ci zbrodniarze. Ja wiem, że to o niego chodziło.

Andrzej przełknął ślinę.

– Powiedziała pani wtedy o tym policji? – spytał. – Pokazała im pani ten zeszyt?

– Nie.

– Dlaczego?

Pani Zalipiak spuściła wzrok. Przez długą chwilę patrzyła na obcięte niemal przy skórze paznokcie i opuchnięte spracowane dłonie.

– Jeszcze rano mi powiedział, że ten wisior to jest tajemnica. „To jest sekret, mamo”, tak powiedział. „Nikt się nie może dowiedzieć, nigdy”.

– Skąd on go wziął, pani Zalipiakowa?

Kobieta nie odpowiedziała. Andrzej poczuł, że opuszczają go siły. Zatrząśł się, wiedział, że gorączka powraca.

– Komu go ukradł? – spytał cicho. – Bo ja wiem, że ukradł. Nie znalazł, nie kupił. Zwędził go komuś złemu.

– Nie wiem, panie Rutkowski – powiedziała pani Zalipiak niemal bezgłośnie.  
– Niech pan lepiej już idzie.

Andrzej pokiwał głową. Ruszył do wyjścia.

– Niech Bóg ma pana w opiece. – Usłyszał za plecami.

– Amen – mruknął pod nosem.

Marcin zerknął na telefon. Dochodziła siedemnasta. Siedział przy szybie, przegryzał frytki z sosem z sera pleśniowego i czekał na Andrzeja. Rozglądał się też czasami, czy nie zobaczy gdzieś za kontuarem Oli, ale dziewczyny nie było. Reszta załogi fast foodu, w którym pracował kiedyś Artur, nie zwracała na Marcina najmniejszej uwagi.

Dziwne było to dzisiejsze przedpołudnie u Adlera. Aktor spełnił swoją obietnicę i próbował męczyć Marcina o scenariusz. Dalej był nieświeży i nieogolony, a Marcinowi wciąż dźwięczała w uszach podsłuchana rozmowa z Dariuszem Sosnowskim w salonie. Co i rusz chciał pytać o Sosnowskiego, o te dziwne i brudne sprawy, o których dowiedział się z pamiętnika Artura. O burdel, o dziewczynę. „Nie daj nic po sobie poznać” – ganił się po cichu. Nie miał odpowiedzi na ważne pytanie: kim w tym wszystkim jest Adler?

Sięgnął po kolejną frytkę i zamoczył ją w kremowym sosie. Trzy rzeczy nie dawały mu spokoju. Pierwsza – zapiekłość, z jaką ojciec Artura wysyczał Adlerowi, że nie chce Marcina dłużej przy scenariuszu. Weronika mówiła co innego: podobno namyślił się, dał zgodę. No i brzmiał tam w salonie, jakby grał jakieś przedstawienie przed Adlerem. Przynajmniej na początku, dopóki aktor nie przejął pałeczki.

To była ta druga sprawa. Sugestia, że Sosnowskiemu podobała się dziewczyna z burdelu. Facet wściekł się i wyszedł. Albo zareagował tak, bo to było oszczerstwo, albo...

Trzecią był telefon od matki, gdzieś około czternastej.

– Już wszystko wiem. Wszystkiego się domyśliłam. Wy gracie przede mną jakąś komedię i zupełnie mi się to nie podoba – wyrzucała do słuchawki, jakby nie chciała mu pozwolić dojść do głosu. – Wychodzi z aparatem, wraca bez aparatu, nie chce mi nic mówić, siedzi tylko przy tym swoim komputerze, chociaż jej mąż nie wraca do domu już trzeci dzień. Ona wie więcej, ale nie chce mi nic powiedzieć. No ja dziękuję bardzo za taką wdzięczność. To absolutnie nie-nor-mal-ne. Jesteście w konszachtach, tak? Wspaniale. Będzie jeszcze tego żałować. Ona jeszcze tego nie wie, ale będzie jeszcze wspominać. Niewykorzystaną szansę.

– Szansę na co, mamó? – Udało mu się wstrzelić w moment, gdy w końcu zabrakło jej oddechu.

– Żeby postawić cię do pionu, Marcin – odpowiedziała tonem brzmiącym jak uderzenie bicia. – Nie jesteś mężczyzną, tyle ci powiem.

Poczerwieniał. Wysłuchał jeszcze paru przykrych słów na swój temat. Wyciągnęła od niego zapewnienie, że wróci najpóźniej w sobotę. Rozłączyła się pierwsza. Ogarnęła go odraza do samego siebie, że boi się jej jak diabeł święconej wody.

– No siema, partnerze – wyrwał go z zadumy zmarnowany głos, brzmiący jak ostatnie tchnienie. Dziennikarz stał obok i gapił się na frytki Marcina, jakby nie jadł nic przez cały dzień.

– Cześć – odparł Marcin. – Fryteczkę?

– Fryteczką to ja się nie najem. Ale tak, muszę się trochę napchać przed akcją.

Trzy minuty później Andrzej zasiadł naprzeciwko Marcina z tacą. Duże frytki, dwa hamburgery, cola. Rozpiął puchową kurtkę, strzelił palcami i upił duży łyk coli przez słomkę.

– Jak tam u ciebie? – spytał, łypiąc znad kubka. – Masz coś nowego?

Marcin się zmieszał. Miał dużo, naprawdę dużo, ale jego zaufanie do Andrzeja zaliczało właśnie sporą bessę. Nawet nie wiedział dlaczego. Sprzedać

Rulewskiemu wczorajszy dialog u Adlera?

– Mam trochę przemyśleń na temat Artura i jego sytuacji w domu – zaczął niepewnie. – Ale nie sądzę, żeby to miało związek ze sprawą.

– Też w to wątpię. – Andrzej wgrzył się w hamburgera. – Póki co nie widzę związku między Arturem i Norbertem, oprócz tego, że ten drugi przypadkiem wpadł tutaj i chciał zrobić rozpierduchę.

Marcin przygryzł wargi. „Jeszcze nie teraz” – pomyślał. Ostatnie, czego potrzebował, to szalejący Rulewski wpadający bez namysłu do domu Sosnowskich z setką mniej lub bardziej sensownych pytań. Ten facet nie miał za grosz wyczucia. Działał jak taran, chociaż dziś wyglądał jak taran z grypą.

– Jest coś jeszcze w każdym razie. – Andrzej zabrał się za drugiego hamburgera i konfidencjonalnie nachylił się nad blatem. – Mam takie pojebane sny, gdy złapie mnie bezdech. Uciekam przez las, jak Igor przed Norbertem. To zawsze zwiastuje u mnie pecha. Zawsze, ale to zawsze coś się potem jebie.

– Ciekawe, co mówisz. – Marcin uniósł brwi. To było coś nowego. Rulewski opowiadał o snach. I to o snach proroczych.

– Wczoraj znowu mi się to śniło – ciągnął Andrzej cicho. – Ale na końcu było coś innego. Ten duch, co zawsze do mnie wyłaził, żeby zrobić ze mnie żywą pochodnię, tym razem nie zagadał wierszem. Strasznie dziwne rzeczy mówił.

– To znaczy?

– Zapisałem sobie w telefonie, jak tylko się obudziłem, ale to był środek nocy, kurwa, a mnie dopiero co wystrzeliło z bezdechu jak z procy.

Andrzej przesunął palcami po ekranie i podał komórkę Marcinowi. W notatkach zapisane było:

„PRYSZLEM DP CIWBIE. STTRONA SZIOSTA. ARTUKUL. CHICALEM SIEE POCHWA;IC. TO CO???

– Tak właśnie powiedział do ciebie duch? – spytał Marcin, tłumiąc rozbawienie.

– Nie – burknął Andrzej. – Mówiłem przecież, trzęsącymi łapami to pisałem. Marcin jeszcze raz spojrzął na notatkę.

– Okej. I tak łatwo rozszyfrować. „Przyszedłem do ciebie. Strona szósta. Artykuł. Chciałem się pochwalić. To co? Bierzesz ten towar, koleś, czy nie?”



– To ostatnie zdanie trochę inaczej było. – Andrzej zabrał Marcinowi telefon.  
– Ale sens taki sam. Najpierw gadał o artykule, a potem o towarze.

– O towarze, czyli o dragach, tak? – spytał Marcin, zerkając z ukosa.

– No tak.

– I co z tego wynika?

Andrzej zastygł na moment z hamburgerem przy ustach.

– Że ktoś chwalił mi się artykułem ze strony szóstej, a potem chciał mi sprzedać koks? – spytał bezrozumnie. – Ale ja nie kupowałem nigdy koksu od nikogo z redakcji.

– A kupowałeś w ogóle?

– No, zdarzało się.

Andrzej przeżuwał powoli mięso i bułkę, gapiąc się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Marcin miał wrażenie, że dziennikarz odpływa gdzieś w przeszłość, jak wtedy, gdy powiedział mu o kościele na osiedlu i *Ave Maria*.

– Już dawno nie wciągałem tego towaru – powiedział Andrzej. – Kupowałem zawsze od jednego zaufanego koleżki na mieście.

– I nie mówił nic nigdy o artykule na szóstej?

– Nie przypominam sobie.

– A może dawniej, Andrzej? – Marcin poczuł się jak psychoterapeuta.

Psychoterapeuta... Zerknął na komórkę i przełknął ślinę. Jezu, kompletnie o tym zapomniał. Od dwóch miesięcy w czwartki o siedemnastej miał terapię. Spotkania z facetem, z którym razem próbowali dojść do tego, co jest z Marcinem nie tak. Gdyby odwołał, byłoby w porządku. Ale zupełnie wyleciało mu to z głowy.

– Jak bardzo dawniej? – usłyszał.

– Co?

– Jak bardzo dawniej mam grzebać, kurwa? – Rulewski opluł się musztardą. – Osiem lat? Siedem? Nie mam łba jak Elvis, pewne rzeczy to już naprawdę prehistoria.

Marcin wciąż był myślami przy swoim terapeutcie. I przy tym, że przez ostatni tydzień nie zrobił nic z tego, na co się umawiali.

– Nie wiem, Andrzej – powiedział cicho. – Może ktoś podszedł do ciebie, albo ty podszedłeś do kogoś? Nie wiem, gdzie kupowałeś ten koks. W klubie jakimś?

Andrzej jak przez mgłę przypomniał sobie swój pierwszy raz, kiedy miał do czynienia z kokainą. To było siedem i pół roku temu. Siedzieli w parę osób z redakcji w ciemnej knajpie gdzieś w Śródmieściu, może bliżej Mokotowa, ale tego już nie pamiętał. Byli Garbarek i paru kumpli, którzy potem przeszli do konkurencji. Oblewali pierwszy sukces Andrzeja jako łowcy ryjów.

Przez ostatni tydzień zaczął się z jednym paparazzo na posła od wartości chrześcijańskich. Opłaciło się. Pan poseł pojechał do innego miasta i rozstawał się w galerii handlowej z kochanką, dość nieprzyjemnie zresztą. Nie obyło się bez cichych pyskówek i ciskanych oczyma gromów, jakby kobieta była zebraczką i zaczęła pana posła, prosząc o pięć złotych. „Pewnie prawi jej kazania, jaka to jest niemoralna” – myślał Andrzej, obserwując parkę z oddalenia i rzucając ukradkowe spojrzenia na drugie piętro, gdzie jego fotograf zaczął się z teleobiektywem. Zadowolony z siebie pan poseł sprężystym krokiem wyszedł z galerii, a Andrzej podszedł wtedy do tej kobiety, przygryzając paznokcie. Nawet nie chciała pieniędzy za swoją opowieść.

Wróc. Skup się na tym lokalu. Więc siedzieli z Garbarkiem i resztą. Pili całkiem drogą whisky i podśmiewali się z biednego pana posła. Rozmowa zeszła na dragi. Jeden z kolegów rzucił niby od niechcienia, że zajebisty artykuł na cztery szpalty zajmuje mu jakieś czterdzieści minut stukania w klawisze. „Wow, jak to robisz, stary? Świetne tempo, trochę nierealne” – pomyślał wtedy Andrzej z zazdrością i przypomniał sobie swoją zmuśną dłubaninę.

– Cały sekret jest w głowie – powiedział tajemniczo kolega.

Andrzej nie mógł się nie zgodzić.

– Chodzi o paliwo – dodał tamten.

– Moje paliwo to cola – odparł Andrzej, ale po minie kolegów zorientował się, że cola jest dla dzieci.

– Dobrze kombinujesz, Andrzej. A co jest przed cola?

– Coca – mruknął.

Bili mu ukradkiem brawo, Garbarek też, jakby Andrzej zdał jakiś egzamin i przeszedł do następnego etapu.

– Świetnie się składa, Andrzejku. – Kolega ściszył głos. – Bo oto zjawił się nasz dystrybutor paliwa.

Andrzej obejrzał się i zobaczył zbliżającego się do ich stolika niewysokiego chłopaka po dwudziestce, ubranego w jasne dżinsy i bluzę z kapturem. Chłopak miał nieco dziwny, nieprzyjemny uśmiech, błakający się na wąskich ustach i w niebieskich oczach. Andrzej pomyślał, że wygląda jak Tobey Maguire, aktor, którego kojarzył z *Cudownych chłopców*. Tyle że ten tutaj nie miał żadnego wdzięku, tylko brzydki uśmiech i lekko załzawione oczy.

– Siemano – rzucił od niechcienia w stronę kolegi Andrzeja. – To, co zawsze?

– Nasz kumpel dzisiaj świętuje – wtrącił się Garbarek, rozcierając nos pod okularami. – Debiutuje. Debiutujesz, Andrzej?

On sam jeszcze nie wiedział. Ale miny kolegów i dziwnego chłopaka nie dały mu większego wyboru. Skinął głową.

Po dwóch minutach stał w kącie ciemnego kibla, a chłopak skończył łać do pisuaru, umył ręce i zerkał na niego z zaciekawieniem. Andrzej czuł, że to nowe paliwo wyczynia cuda z jego głową i dodaje mu skrzydeł, o które nigdy by siebie nie podejrzewał.

– Andrzej – przedstawił się, chociaż chłopak nie pytał go o imię. – Robię w tej gazecie. Piszę artykuły.

– Taa? Mi możesz mówić Spider-Man.

Andrzej nie zwrócił na to uwagi. Czuł potrzebę mówienia. Bez tego nie mógł znaleźć ujścia dla nowej, nieznannej euforii.

– Artykuły. Strona szósta. – Odchylił głowę. – Cała masa gówna, ale wiesz, czasem trafi się jakiś supertemat. Czasem nie. Teraz już nie robię społecznych ani kryminalów, przerzucam się na nowe tory. Ten debiut właśnie stąd. Ruler, tak się podpisuję, może kojarzysz coś, nie?

Chłopak skrzywił się, Andrzej odebrał jego minę jako uśmiech politowania.

– Jeden kojarzę – powiedział w końcu. – Strona szósta, Ruler, pamiętam. Mam chyba nawet gdzieś skitrany. Można powiedzieć, że przyłożyłem do niego rękę.

– Serio? – zaciekawił się Andrzej. – Który?

– Nieważne. – Chłopak wykrzywił usta w najbrzydszym uśmiechu, jaki Andrzej kiedykolwiek widział. – Nie znamy się aż tak dobrze.

– Spider-Man – powiedział Andrzej cicho.

Marcin spojrział na dziennikarza z niedowierzaniem.

– Spider-Man?

– Koleś powiedział, że mogę mu mówić Spider-Man – ciągnął Andrzej niezrażony. – Był nawet podobny do tego aktora. Ale nigdy więcej go nie widziałem. Nigdy potem nie kupiłem od niego koks. Tylko raz.

Marcin gorączkowo szukał w pamięci tego, co napisał w swoich kartkach Artur. Mary Jane, Goblin. „Też lubię te filmy, ale bez takiej zajawki. Człowiek pająk, kurwa”.

– Ktoś jeszcze go wtedy widział? – spytał.

– Koledzy, ale to było dawno i nie mam już z nimi kontaktu – odpowiedział Andrzej z chmurną miną. – No i Garbarek.

– Kto to?

– Mój wicenaczelnny.

– Zadzwoń do niego.

Andrzej niespiesznie sięgnął po leżący na stole telefon. Wybrał numer i przez chwilę czekał na połączenie.

– Siema – rzucił do słuchawki. – Sorry, wiem, że nie lubisz, jak ci się zawraca dupę w piątek wieczorem. No i sprawa jest dość, że tak powiem, głupia. Pamiętasz kolesia, który siedem i pół roku temu sprzedawał nam koks? To było wtedy, gdy ja pierwszy raz... – Słuchał przez chwilę głosu w telefonie. – Okej, dzięki – odpowiedział i się rozłączył.

– No i? – spytał Marcin.

– Nie pamięta.

Marcin nie miał nic przeciwko temu, żeby ruszyli już na kolejną akcję Rulewskiego, w której miał grać rolę stojącego na czatach paparazzo ze starym aparatem Marty. Spojrział na Andrzeja wymownie, ale dziennikarz nie zwrócił na to uwagi. Wybrał kolejny numer i czekał na połączenie, zerkając na parking przed barem.

– Cześć, Kamil – wychrypiał do słuchawki. – Jestem już po Downie Maćku. Morderca Igora ma na imię Norbert. Mam też przecucie, że diluje i ma na

mieście ksywkę Spider-Man. Mówi ci to coś? – Słuchał odpowiedzi Kamila. W końcu z rezygnacją odłożył telefon na blat obok pustej tacy. – Mój znajomy glina nigdy o takim nie słyszał – mruknął.

Wyszli z fast foodu. Andrzej ruszył przodem, szukając wzrokiem swojego porsche. Marcin kilka kroków za nim.

- Dokąd jedziemy? – spytał.
- Do Tatki. – Rulewski nawet się nie odwrócił.
- To znaczy dokąd?
- Niedaleko.

Marcin przełknął ślinę. Miał niemal stuprocentową pewność, że pojedą pod dom Adama, dziwnego sąsiada Sosnowskich. I że to może się bardzo źle skończyć. Obok mieszka przecież ojciec Artura, prawnik wujka, autor lub współautor kłamstwa, które być może zniszczyło Adamowi życie. Czy ten Adam wciąż myśli, że zabił? Powiedzieć mu? Nie powiedzieć? Bez tej wiedzy Andrzej mógł narobić straszliwego bałaganu.

Dziennikarz powoli szedł dalej przez parking. W końcu zatrzymał się przy samochodzie i patrzył chwilę na auto, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Może jednak Bolek powinien zawieźć cię do burdelu, a ja sam pojedę.
- Nie – powiedział Marcin stanowczo.
- Dlaczego?
- Bo... Dzisiaj nie może. Przewozi siostrze jakieś graty.
- Okej.

Andrzej otworzył drzwi. Weszli do porsche i przez kilka chwil siedzieli w dziwnej, napiętej ciszy. Marcinowi wydało się, że Andrzej bije się z myślami i rozważa różne za i przeciw. W końcu dziennikarz rozsunał suwak kurtki i pogrzebał w wewnętrznej kieszeni. Wyjął coś w zaciśniętej pięści, którą wyciągnął w stronę Marcina.

- Musisz to wziąć – powiedział i otworzył pięść.

Marcin spojrzał na przedmiot leżący w otwartej dłoni Rulewskiego. Poczul strach. To był ten medalion, który Andrzej pokazał jemu i Bolkowi dzień wcześniej.

– Ja? Czemu ja?

– Bo tak mówię.

– Ale po co? To Igora...

– To nie ma nic wspólnego z Igorem. – Andrzej próbował wcisnąć Marcinowi medalion w dłoń. – Zabieraj to gównno.

– Nie chcę.

– No to wypierdalaj z wozu.

– Co ci odpieprza, Andrzej?! – Marcin odepchnął dłoń z medalionem. – Idziesz przecież do Tatki. Nie przyda ci się? Domyślam się, że tylko dzięki niemu udało ci się wczoraj w warsztacie przycisnąć tego gościa.

– Posłuchaj, gnojku. – Spocona twarz Andrzeja wyglądała jak maska pośmiertna. – Mam już dosyć tego medalionu. On nie jest normalny. Jak go noszę pod kurtką, to mnie non stop napierdala serce. Z reszty nie zamierzam się teraz przed tobą spowiadać.

– Z reszty czego?

– Z gówna psiego – warknął Andrzej. – Może mam cholernego pietra, że muszę wejść do tego domu i gadać z wielkim facetem? To nie będzie Down Maciek. A ja jestem rozwalony już po tym.

– Zdążyłem zauważyć. – Marcin się skrzywił. – Może to po prostu grypa?

– Może. – Andrzej włożył kluczyk do stacyjki. – To jak będzie? Bo ja stąd nie ruszę, póki nie zabierzesz tego czegoś. Nie zamierzam bujać tym przed oczami temu wielkoludowi.

Marcin oparł głowę o zagłówek. Po chwili wyciągnął otwartą dłoń i poczuł na skórze zimny metal. Pistolety i róże zabłysły złowrogo w świetle parkingowej latarni.

Siedem minut później z rosnącym niepokojem obserwował, jak spocony i trzęsący się pod kurtką Andrzej trzyma w prawej dłoni komórkę z włączonym GPS-em, a lewą kręci kierownicą i kluczy po uliczkach osiedla, które on zdążył już całkiem dobrze poznać. Minęli biały kościół i willę, w której mieszkał kiedyś Jan Adler.

– Jeszcze tylko jeden zakręt w lewo – mruknął Andrzej.

Marcin poznał to skrzyżowanie. Za zakrętem w lewo był dom Sosnowskich. Przeczucie okazywało się rzeczywistością.

– Jedziemy do...? – spytał Andrzeja, gdy ten sprawdzał, czy na skrzyżowaniu równorzędnym nikt nie nadjeżdża z prawej.

– Tatki. Z tego, co pamiętam, Maciek nazwał go Adamem – odpowiedział Andrzej i skręcił w lewo.

Marcin kiwnął głową z nieruchomą twarzą. Adam. Pochrzaniony kulturysta w spranej koszulce z białym orłem. Kobieta, która przeproszała za jego zachowanie. Dzieciak grający na przenośnej konsolce. A w domu obok ojciec Artura pewnie teraz je kolację, nieświadomy zbliżającego się kataklizmu.

– To jednak nie jest dobry pomysł – rzucił Marcin szybko.

– Wiem, że to nie jest dobry pomysł – odpowiedział Andrzej. – Ale nic na to nie poradzę. Jak się powiedziało A, to teraz trzeba powiedzieć B.

Marcin zacisnął zęby, a Andrzej wjechał na chodnik i zatrzymał porsche. Wyłączył silnik, potem światła i martwym wzrokiem zaczął obserwować dom stojący po drugiej stronie uliczki, jakieś trzydzieści metrów przed nimi. Marcin zerknął na posesję bliżej porsche – światła na parterze były zapalone. To pewnie ta wypieszczona kuchnia, gdzie rozmawiali na temat scenariusza, a Weronika, młodsza siostra Artura, rzucała ojcu nieprzyjemne spojrzenia.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Marcin. – Jesteś pewien, że to przemyślałeś?

Andrzej podrapał się po dwudniowym zarostcie.

– Całą wenę wypompowałem u Downa Maćka – powiedział głucho. – Mam tylko taki pomysł, że wejdę i powiem, że karta z tamtego telefonu się znalazła w jakimś śledztwie. Odzyskali plik wideo. Policja jeszcze nie wie, jak to ugryźć, ale już wiedzą, że Igora załatwił nie on, tylko ten drugi.

– I co potem?

– Potem, że nie mają żadnego zamiaru na Norberta – ciągnął Andrzej z twarzą ukrytą w mroku. – Jeśli chce się oczyścić, to niech ruszy mózgownicą i namierzy mi tego dilerka. A ja zajmę się resztą.

Marcin spojrzął za szybę i zabębnił palcami o plastik nad schowkiem. W wersji Andrzeja brakowało jednego elementu. Po wizycie Andrzeja Adam wyskoczy jak oparzony i pobiegnie do Sosnowskiego, żeby wyrzесzczеć mu w twarz swoją wściekłość. Weźmie ze sobą tasak? Czy może nóż kuchenny?

Nawet jeśli nie, to Sosnowski i tak się przerazi, zadzwoni do byłego mocodawcy. Nie dość, że ich śledztwo będzie spalone, to jeszcze ostrzegą w ten sposób Norberta.

– To jest bardzo zły pomysł.

– Powtarzasz się.

– Niedobry pomysł a zły pomysł to różnica. Kolosalna.

– No to jaki ty masz, kurwa? – zniecierpliwiał się Andrzej. – Krytykować każdy potrafi.

Marcin dotknął pięścią czoła i próbował coś wymyślić. Cokolwiek. Byle tylko coś innego niż w wersji Andrzeja.

– Karta się znalazła, okej – powiedział wolno. – Ale jest uszkodzona. Nie ma końcówki. Widać Igora w łańcuchach, widać Adama i widać Norberta. Wszystko się zgadza, ale nie wiadomo, który z nich zabił.

– Mhm – mruknął Andrzej. – Nawet mi się podoba.

– Policja nie wie jeszcze, jak się za to zabrać – płynął Marcin z nurtem. – Adam ma szansę dowiedzieć się, co się naprawdę wydarzyło, ale musi ci znaleźć Norberta. Gdy już będziecie mogli z nim pogadać, ty tak pokierujesz rozmową, żeby gość się wysypał. Jeśli jest winny. Ale na razie ani mru-mru. Żadnych gwałtownych ruchów, Adam, bo pograżysz się jeszcze bardziej.

– Zajebiecie. – Andrzej pokręcił głową z uznaniem. – Skoro już wszystko wymyśliłeś, to może zastąpisz mnie dzisiaj? Ja posiedzę w aucie, a ty załatwisz sprawę z kulturystą.

– Ja? No co ty?

Mimo mroku dostrzegł, że w oczach Andrzeja czają się wesołe iskry.

– Żartowałem. – Andrzej klepnął go w ramię. – Plan jest dobry, ale i tak chcę, żebyś miał na mnie oko. Zostaniesz tutaj i będziesz pstrykał. Wszystko, co tu się będzie działo, jak mnie nie będzie.

– Okej.

Andrzej wyjął ze schowka pod sufitem mały notes, wyrwał kartkę i napisał coś długopisem.

– Gdybym bardzo długo nie wychodził, to tu masz numer do Kamila Rajsera. To ten gliniarz, do którego wcześniej dzwoniłem. Zna sprawę. Godzina to



maks, choć jeśli ten głąb zacznie mnie dusić... W każdym razie po godzinie zadzwoń i powiedz, że Andrzej ma kłopoty.

Marcin pokiwał głową i wziął kartkę. Wymacał w plecaku aparat Marty, a po chwili trzymał już w dłoni sprzęt gotowy do akcji. Andrzej otworzył drzwi porsche, wyszedł i poprawił kurtkę. Znalazł coś w kieszeni i rzucił na siedzenie. To był dyktafon.

– Dziś chyba nie będzie mi potrzebny – powiedział wolno. – Gdyby chciał mnie obszukać, to będę czysty.

– Chyba słusznie – mruknął Marcin.

Andrzej ruszył w stronę domu Adama. Marcin stwierdził, że nie ma sensu grzebać w menu, bo i tak nie miał pojęcia, co się kryje za tymi wszystkimi ustawieniami. Wycelował aparat przez szybę. Pstryk. Pstryk. Pstryk. „Dlaczego trzy razy?” – zdziwił się. Aaa, to ten HDR, który kazał ustawić Marcie. Pierwsze zdjęcie tego wieczoru przedstawiało plecy Andrzeja w puchowej kurtce, wąską uliczkę z dwiema latarniami i betonowy klocek, jeden z wielu na tym osiedlu.

Dom Adama, osiem lat temu zwanego Tatką.

Andrzej z ciężkim sercem ruszył w stronę podjazdu. Zerknął jeszcze raz na kartkę, na której miał zapisany adres Adama. Wszystko się zgadzało. To był ten dom i jeśli Down Maciek go nie oszukał, to za chwilę mógł stanąć oko w oko z Tatką, mięśniakiem zdolnym unieść człowieka. Unieść i zawiązać wokół jego piersi gruby łańcuch. „Piątek trzynastego – pomyślał Andrzej ze zgrozą. – Szaleństwo Igora. I znów był ten sen. Pech czai się za rogiem”.

Zatrzymał się przed furtką i przez chwilę nasłuchiwał odgłosów, ale w oddali czekały tylko psy. Obejrzał się. Posesję dalej w dużym domu paliło się światło na parterze. Jeśli coś zacznie się dziać, to będzie wrzeszczeć, a wtedy któryś z sąsiadów powinien to usłyszeć pośród tej martwej ciszy. Za to Marcin na pewno nie usłyszy, chociaż...

Wyjął telefon i wybrał numer.

– Jeszcze jedno – mruknął cicho do słuchawki. – Uchyl szyby w samochodzie. Jakbym krzyczał, albo coś...

– To te przyciski na drzwiach? Nie działają.

– Kurwa – zaklął pod nosem Andrzej. – Jasne. Kluczyki zostawiłem w stacyjce. Przekręć raz i powinno zadziałać.

– Okej.

Dostrzegł niewielki ruch szyb w porsche.

– Dobra, teraz przekręć z powrotem.

Rozłączył się. Podszedł do furtki i nacisnął klamkę. Zamknięte. Szkoda, lepiej zaskakiwać kogoś od razu w drzwiach, a nie gadać do domofonu. Nacisnął przycisk.

– Kto tam? – odezwał się pięć sekund później kobiecy głos.

Kobieta. To dobrze. Nie przewidywał, że będzie tam ktoś jeszcze. Ale to znaczyło, że nie będą sami.

– Dobry wieczór. – Andrzej nachylił się do mikrofonu. – Jestem starym kolegą Adama. Akurat przejeżdżałem i pomyślałem, że wpadnę.

– Naprawdę? – zdziwiła się kobieta. Miała miły głos, spokojny. – To fajnie, że pan o nim pamiętał. Ucieszy się.

Było coś dziwnego w jej głosie. Jakaś spokojna rezygnacja. Andrzej usłyszał brzęczyk i otworzył furtkę.

Zanim doszedł do połowy ścieżki prowadzącej do ganku, drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich czterdziestoletnia blondynka z włosami do ramion i smutnym uśmiechem. Miała na sobie różowe spodnie od dresu i szarą bluzę z polaru. Przekrzywiła głowę i odprowadziła Andrzeja wzrokiem, gdy ten dochodził ścieżką do drzwi.

– Adam jest w warsztacie w piwnicy – powiedziała. – A pan jak ma na imię?

– Eryk.

Kobieta pokiwała głową, jakby z uznaniem. Gestem zaprosiła Andrzeja do środka. Wszedł i zobaczył duży przedpokój, zaskakująco czysty, ale przeraźliwie pusty. Ukradkiem zajrzał do salonu. Na skórzanej sofie siedział dwunastolatek i wpatrywał się jak zaczarowany w przenośną konsolę do gry. Oprócz sofy stał tam jeszcze tylko stół z trzema krzesłami i duży telewizor.

– Minimalizm tu u państwa – mruknął Andrzej.

Blondynka spięła się, słysząc te słowa.

– Mam nadzieję, że nie jest pan jednym z tych, o których on czasami mówi – powiedziała ze zmarszczonymi brwiami.

– To znaczy o kim?

– O włamywaczach.

Andrzej postarał się o szczerzy uśmiech.

– Nie przyszedłem na przesłpiegi.

– Ale nie jest też pan jego kolegą, prawda?

– Skąd to pani przyszło do głowy?

– Bo on nie ma żadnych kolegów. Żadnych.

Blondynka stanęła w progu kuchni i uważnie zerknęła na Andrzeja. „Jakie to wszystko dziwne – pomyślał. – Wpuszcza mnie tu, a zaraz potem demaskuje. O co chodzi?”

– Wygląda mi pan na policjanta – powiedziała w końcu kobieta. – Ale to chyba dobrze. Bo ja, wie pan, naprawdę wielu rzeczy się domyślam. Żyję z tym człowiekiem od roku. Słyszę, co mówi przez sen. I co mówi do siebie, gdy jest sam w warsztacie. Staję cichutko na schodach i słucham... Po roku wszystkiego się można domyślić. Poskładać słowo do słowa.

– Wszystko z nim w porządku? – Andrzej czuł się już bardzo nieswojo. – Jest na coś chory?

– Na ból i śmierć, proszę pana. – Kobieta spuściła wzrok. – Zrobić panu herbaty?

– Poproszę.

Blondynka weszła do kuchni i włączyła czajnik elektryczny. Jej słowa podziały na Andrzeja jak kubeł zimnej wody. Zrobił parę kroków w stronę kuchni, tak samo minimalistycznej jak reszta domu. Kuchenka i lodówka pamiętały pewnie czasy, gdy dom należał do rodziców Adama.

– Chodzi pani o to, że on chce kogoś zabić? – spytał Andrzej niemal szeptem. – Jest niebezpieczny?

– Nie.

– To o co?

Kobieta oparła dłonie o kwadratowy stół w kuchni i przez chwilę oglądała własne paznokcie. Chyba kątem oka zauważyła jakiś ruch za plecami Andrzeja, bo szybko uniosła głowę.

– Myślę, że sam panu powie – stwierdziła.

Andrzej wyczuł za sobą czyjąś obecność, jakby ciemny obłok albo cień. Zanim zdążył się odwrócić, usłyszał głos mężczyzny.

– Długo wam to zajęło, kurwa. Jakieś osiem lat za długo.

Stał przed nim barczysty facet po trzydziestce ze starannie wygoloną czaszką. Koszulka z orłem w koronie była stara i sprana, zbyt obcisła i za krótka. Adam patrzył na Andrzeja dziwnie, jakby nie potrafił wyostrzyć na nim wzroku. Nie wyglądał na krótkowidza, to było coś innego. Andrzej pomyślał, że widzi przed sobą wrak człowieka.

– Jak już robisz herbatę, to mi też zrób – wychrypiał Adam. – Pogadamy w warsztacie na dole.

„To jest bardzo zły pomysł” – Andrzej przypomniał sobie podwójne ostrzeżenie Marcina. Wszystko to wyglądało nie za różowo, oprócz spodni od dresu gospodyni tego dziwnego domu.

– Pogadajmy w salonie – zaproponował Andrzej, uśmiechając się blado.

– O nie. – Adam łypnął na niego. – Tego nie usłyszy nikt poza tobą i mną. Nie mój syn. Nie, on tego nie usłyszy. Nie.

– Zgoda. – Andrzej kiwnął głową. – Chodźmy na dół.

– Jak masz na imię jeszcze raz? Bo nie dosłyszałem.

– Eryk.

Zeszli po wąskich schodach do piwnicy. W świetle dwóch słabych żarówek Andrzej dostrzegł na podłużnym stole pilarkę, rylce, drewniane figurki i mnóstwo trocin. Głowa Adama sięgała niemal do sufitu, mężczyzna zgarbił się i wskazał na figurki.

– Eryk, Eryk... Szukam spokoju, ale mi się wymyka. – Dotknął jednej z rzeźb, drewnianego ludzika z wytrzeszczonymi oczami. – Jak już go prawie mam, to... Ale nic... próbuję dalej. I tak w kółko, meta i start. Robią mnie w chuja, wiesz?

– Kto cię robi w chuja, Adam?

– Sędzia. – Twarz Adama nie wyrażała żadnej emocji. – Ile można biec do mety? Zawsze jakaś dyskwalifikacja. Spokój w zasięgu, widać to już, ale wtedy wszystko od nowa.

Andrzej zaczynał mieć niejasne przeczucie, że Adam ma coś nie tak z głową. Jego słowa miały sens, ale jakiś pokrętny.

– Chodzi ci o Igora? – spytał Andrzej, patrząc spode łba. – Nie możesz znaleźć spokoju, bo przytknąłeś wtedy zapalnik?

Spodziewał się wybuchu, ale facet stał nieruchomo i miętolił w wielkiej dłoni drewnianego ludzika.

– Jest takie skrzyżowanie, rozstajne drogi – mruknął. – Do niego różne rzeczy są jasne, chociaż może nie. Trochę jasne, trochę nie. Taki drogowskaz tam stoi, wiesz? Taki mi się pokazuje. Ale tam zawsze wieje wiatr i ten drogowskaz... wiesz, Eryk, jego kręci. Prawda tu, a kłamstwo tam. Ale jak idę tu, to jest to samo co wtedy, jak idę tam. Robią mnie w chuja, Eryk. Na mecie jest ciemno i nic nie widać, ale mówią mi, że tak, tak to właśnie było. A potem wysyłają z powrotem. Jeszcze raz na skrzyżowanie.

Andrzej miał wrażenie, że jednocześnie rozumie i nie rozumie tego wielkiego faceta o martwych oczach: ktoś wtłoczył do mózgu Adama jakąś trującą prawdę, której jego umysł nie umiał do końca przyswoić, jakby podświadomie bronił się przed uznaniem jej za pewnik. W warsztacie nie było miejsca, żeby się ruszyć, więc Andrzej dalej stał i gapił się na rzeźby na stole. Zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej po prostu wyjść i zostawić tego człowieka jego własnemu losowi. Rozmowa, jakakolwiek rozmowa przerastała go. Ale musiał zaryzykować.

– Jest nowe śledztwo, Adam. – Starał się przybrać minę zatroskanego policjanta. – Znaleźli tamtą kartę pamięci. Z komórki Downa Maćka, pamiętasz tego swojego kumpla? Wszystko widać, was dwóch i Igora.

– Nas dwóch? – Na twarzy Adama wykwitł dziwny uśmiech. – Tak, można tak powiedzieć. Jest nas dwóch.

– Nie o to chodzi – mruknął Andrzej. – Ciebie i tego drugiego. Ale film się urywa. Nie widać, który z was podpalił.

Dziwny uśmiech zniknął, a pojawiły się nieufność i niedowierzenie. Trochę to trwało, jakby Adam bardzo powoli przyswajał słowa Andrzeja.

– Film się urywa. – Znow ten uśmiech, od którego Andrzeja przeszły ciarki. – Tak się o tym mówi. „Film ci się urwał, Adam. Nie pamiętasz, prawda? To my ci przypomnimy, jak to było”. Sędzia na mecie zawsze tak mówi. Czerwona kartka. Już to słyszałem. Milion razy, a zaraz milion jeden. Potem będzie dwa miliony. I trzy.

– Chodzi mi o kartę, Adam. – Andrzej poczuł pot na karku. – Karta była uszkodzona. Ale widać na nim was dwóch. Ciebie i Norberta. Nie wiadomo, który z was...

– Skończ, Eryk – przerwał mu olbrzym. – Nie znam żadnego Norberta.

– Znasz, Adam. – Andrzej nie dał się zbić z tropu. – Koleś z brzydkim uśmiechem, jak hiena z *Króla Lwa*. Spider-Man. Diler. Wciągałeś jego amfę i jeździłeś z nim i z Maćkiem. Patrzyłeś z samochodu, jak celuje w Artura Sosnowskiego w barze. Ten Artur mieszkał pewnie gdzieś tu niedaleko, więc bałeś się, żeby cię z nim nie skojarzył. A potem zawiózł ciebie, Maćka i Igora do lasu. Dał ci jakieś nowe gówno, od którego urwał ci się film, prawda? Ale nie wiemy, czy sam wyjął zapalną, czy może zmusił do tego ciebie.

Adam odłożył figurkę na stół i w milczeniu patrzył na pilnik. Andrzej przełknął ślinę. „Pilnik, duży i ostry. Dlaczego ten facet tak na niego patrzy?”

– Mądrzy ludzie wiedzą swoje – powiedział Adam cicho.

– Kimkolwiek byli, wydali na ciebie wyrok bez przesłuchania. Nie uważasz, że zniszczyli ci życie?

– Mądrzy ludzie wiedzą swoje – powtórzył Adam.

– Spider-Man. Czy Norbert miał taką ksywkę?

– Nie miał. Komiksy czytał. Woził te komiksy w aucie.

– Lubił Spider-Mana? Chciał być jak on?

Adam znowu zamilkł. Andrzej stwierdził, że doszedł do ściany. Podeszedł do stołu i spojrzął na drewniane figurki. Były tu zwierzęta, psy, koty, krowy. Byli ludzie. Niektórzy z powykreczanymi kończynami albo bez głów.

– Któryś z tych to Igor? – spytał Andrzej.

– Nie ma tu Igora – odparł Adam głucho. – Nawet nie pamiętam, jak on wyglądał.

– A co pamiętasz?

Ciemność. Adam pamiętał tylko ciemność. Nie była to ciemność czarna i samotna, ale burzliwa, pełna zwalistych chmur przetaczających się po horyzoncie, przez tryskające krwawymi błyskawicami dziwne niebo. Tak zadziało to, co dał mu Norbert tuż po wyjściu z auta w tamtym lesie. To nie była flakka, bo tego gówna jeszcze wtedy w Polsce nie było. Jakieś inne, Norbert miał tych piguł na pęczki, w różnych kolorach. Adam pamiętał tylko, że Norbert podał mu ją z dziwnym uśmiechem i nie powiedział ani słowa.

Ciemność, a w niej głosy. I gorąco, potwornie gorąco, jakby ktoś wsadził ciało Adama do rozżarzonej klatki, której pręty schodziły się do wewnątrz i przypalały naprężone do granic mięskoty. Gdzieś szli, Adam nie widział wiele, tylko jakieś cienie pod powiekami, rzucane przez drzewa. Głos Norberta to oddalał się, to przybliżał. „Run, run, motherfucker!” Ale to nie było do niego, to było do tego przerażonego chłopaczka w śmiesznym afro, któremu Norbert kazał wyjść z bagażnika i biec przed siebie do upadłego. Adam wiedział, że musi iść za tym głosem, więc brnął powoli, potykając się czasem o korzenie i jakieś żelastwo wystające z ziemi.

„Run, run, Molten Man!” Chyba wyszli z lasu na jakąś polanę, bo słońce paliło Adama w skórę tak straszliwie, że poczuł potrzebę, by rozebrać się do naga. Chciał, żeby natychmiast spadły wszystkie deszcze świata i zmyły z niego ten radioaktywny pancerz z gorąca. Zaczął zdejmować koszulkę, a jakieś inne głosy, nie stamtąd, krzyczały do niego: „Animal, animal, animal! Jesteś tylko zwierzęciem, gadająca małpą, będziesz siedział już na zawsze w tej rozżarzonej klatce, nigdy stąd nie wyjdiesz, ukorź się, okaż szacunek, gadająca małpo!”. Adam ukorzyłby się, chciał uklęknąć i oddać pokłon niewidzialnym demonom, ale wtedy czyjeś ręce szarpnęły go i doprowadziły w inne miejsce. „Zwiążuj chuja, Tatku!” Ciemność rozrzedziła się na tyle, że zobaczył przed sobą czółgającego się chłopaka, którego Norbert okładał kijem po plecach. Poczuł jakąś litość dla tego śmierdzącego moczem i strachem dzieciaka. Gdyby go podniósł i przywiązał, jak wrzeszczał mu do ucha Norbert, to może nie byłoby już tego okładania kijem. Może to się skończy? „Animal, animal, animal! Gadające małpy nie znają litości, nie wiesz tego?” – demony świszczwały wokół, jakby wyczuły zbliżającą się ofiarę. Adam chwycił Igora, który wydał mu się lekki jak piórko, bez kości, bez mięsa, pusta w środku plastikowa lalka. Podniósł go i docisnął do sosny, wystarczyło naprężyć wielki mięsień na chudej klatce piersiowej tamtego, żeby wisiał i czekał potulnie, aż prawa ręka Adama, do spółki z rozczapierzonymi palcami Norberta, okręci dookoła ciała długi łańcuch o wąskich okach.

A potem znów zapadła ciemność, tym razem czarna jak atrament. Mroku nie przecinała już żadna błyskawica. Demony odleciały. Między skroniami Adama brzęczała cisza, a błagania Igora o darowanie życia przenikały z oddali jak przez grubą watę. Ktoś uniósł jego dłoń i włożył coś między palce, ale Adam nie miał wrażenia, że trzyma to drewnienko. Ono po prostu tam było. Potem to drewnienko sparzyło go, rozwarł palce i wypadło. Wtedy nie słyszał jeszcze żadnych wrzasków. Coś się zmieniało, powoli. Ciemność szarzała, cienie pod powiekami zmieniały się w kontury drzew. I dopiero wtedy rozległ się przerażający krzyk. Trwał i trwał, coraz straszniejszy. On stał dalej, jakby go to nie dotyczyło, tak bardzo chciał, żeby szarość z powrotem nabrała kolorów. Rozżarzone pręty jego klatki powoli oddalały się i zanikały. Wtedy ktoś pociągnął go za koszulkę i ciągnął tak długo, aż przerażające krzyki ucichły gdzieś w oddali.



Skończył swoją opowieść. Nie powiedział temu Erykowi, że ciemność szarzała potem jeszcze przez parę godzin. A kiedy był już w stanie zrozumieć, co się do niego mówi, usłyszał znajomy głos swojego sąsiada. Dariusza Sosnowskiego.

„Przykro mi, Adam. Jest nagranie. W dobrych rękach. Zrobiłeś to, tak mi powiedziano. Jeśli nie chcesz zgnieć w więzieniu, to trzymaj język za zębami. Obiecano mi, że nikt nic nie będzie od ciebie chciał. Ale musisz się z tym pogodzić. Tak się czasami zdarza. Musisz się z tym pogodzić i zapomnieć”.

Marcin zerknął przez przednią szybę porsche na dom Adama. Nic się nie działo. Przez ostatnie dwadzieścia minut tylko dwa samochody wjechały w uliczkę, Marcin zrobił im zdjęcie ukradkiem, przejechały obok i zniknęły. Z daleka dobiegało szczekanie psów, zwykły element tutejszej scenerii. U Sosnowskich w kuchennym oknie zgasło światło, a zapaliło się w salonie na parterze. Przez cały ten czas w narożnym pokoju na piętrze paliła się stojąca na parapecie lampka z niebieskim kloszem. „To pewnie u Weroniki” – pomyślał. Ale i ona właśnie zgasła.

Przez uchyloną szybę dosłyszał jakiś ruch na ganku u Sosnowskich. Drzwi otworzyły się i zamknęły, po chwili skrzypnęła furtka. Marcin skulił się na siedzeniu. To Weronika, siostra Artura, wychodziła ubrana w zieloną parkę bez kaptura. Miał nadzieję, że dziewczyna pójdzie po prostu chodnikiem, wtedy na pewno nie zauważy go w porsche. Ale ona przeszła przez uliczkę i stanęła na wąskim chodniku po drugiej stronie. Marcin widział ją przez szybę, dokładnie przed sobą. Wyjęła telefon i kilkoma szybkimi ruchami wybrała numer.

– Cześć. – Usłyszał jej głos przez uchyloną szybę. – Jadę. Gdzie jest jutro sesja?

Zastanawiał się, czy nie uwiecznić na zdjęciu również jej. Ale gdyby się ruszył, na pewno by to zauważyła.

– Ja to bym wołała *Descenta*. – Weronika przekrzywiła głowę i patrzyła chmurnie na swój rodzinny dom. – No spoko. Może dadzą się przekonać chłopaki.

Marcin odliczał w myślach sekundy, podczas których dziewczyna rozmawiała z kimś, najwyraźniej z koleżanką, o piątkowym wyjściu do klubu z rockową muzyką i o sobotniej sesji. „Pewnie chodzi o to RPG, o którym

mówiła” – zgadywał. Nagle przyszedł mu do głowy szalony pomysł, ale bił się z myślami. Nie powinien tego robić. To byłaby dekonspiracja.

Dziewczyna skończyła rozmawiać i ruszyła w kierunku porsche. Miał do wyboru: schować twarz pod kapturem kurtki albo...

– Cześć, Weronika – rzucił jej przez uchyloną szybę.

Patrzyła na niego zmrużonymi oczami, ale dość szybko go rozpoznała, bo na jej usta wypłynął słaby uśmiech.

– Kolega Artura, tak? Marcin?

– Ten sam.

– Co robisz w tym wypasionym aucie, Marcin? – spytała.

– Jeździmy po osiedlu z takim jednym gościem – powiedział cicho. – Zbieramy materiał do scenariusza.

– I dlatego stoicie pod naszym domem? – Zerknęła nieufnie. – Przyznaj się, masz tu jakiś zajebisty kierunkowy mikrofon wycelowany w mojego starego?

– Nie. – Uśmiechnął się blado. – Czekam na kolegę. Miał do załatwienia sprawę w okolicy. Ale skoro mówisz o ojcu, to chciałbym cię o coś prosić.

– No?

– Mogłabyś mieć na niego oko? – Marcin czuł, że przekracza jakąś niewidzialną granicę. – Być może jest w posiadaniu pewnych informacji, które mogłyby nam coś powiedzieć o Arturze.

– Żartujesz sobie ze mnie? – Weronika roześmiała się nerwowo. – W tym domu nie ma żadnych tajemnic. Wszystko jest czyste i lśniące, jak ta nasza kuchnia na dole.

– Jesteś pewna?

– Tak. Więc daruj sobie, okej?

Patrzyła mu w oczy wyzywająco i poczuł ukłucie gniewu, że wokół dzieje się coś dziwnego, a ta dziewczyna jest ślepa i ma zamiar dalej mieć wszystko w dupie.

– Posłuchaj, Weronika – powiedział wolno. – W domu obok siedzi właśnie dziennikarz z brukowca. To bystry facet, lubi węszyć. A ja od dwóch dni trzymam język za zębami, byle tylko nie wygadać mu, co wiem o twoim ojcu i o Arturze.

Dziewczyna słuchała tego ze zmarszczonymi brwiami.

– Co ty mi chcesz powiedzieć, Marcin?

– Tylko tyle, że to osiedle ma swoje sekrety. Odslaniają się. Artur o to zadbał. Wasz ojciec miał dziwnych znajomych.

Pokręciła głową.

– I co? Mam go niby szpiegować czy co?

– Za dużo powiedziane. Bądź czujna po prostu.

Przez chwilę patrzyła na Marcina jak na wariata.

– Nie wiem, Marcin, co żeś wygrzebał do tej pory, ale ciężko mi uwierzyć, żeby mój poczciwy tatuś miał z tym cokolwiek wspólnego. Wystarczy spojrzeć. A ja patrzę na niego od lat. Jeśli ma cokolwiek do ukrycia, to chyba tylko to, że jest przegranym frajerem.

– Możliwe – rzucił Marcin krótko.

To „możliwe” najwyraźniej zbiło Weronikę z tropu. Jakies kolejne zdanie zawisło w powietrzu, ale dziewczyna machnęła tylko ręką.

– Idę na miasto i nie wiem, kiedy wrócę – powiedziała hardo. – Może jutro, może w niedzielę, zależy. Tak że nie masz co liczyć na razie.

– Okej.

– Może pójdziesz ze mną, zamiast przesiadywać w piątek wieczorem pod cudzym domem? – dodała Weronika z ironią.

Nie brzmiało to jak zaproszenie. Marcin pokręcił głową.

– No to narka – rzuciła.

– Narka – odpowiedział cicho.

Dziewczyna ruszyła przed siebie. Marcin obejrzał się jeszcze i dostrzegł, że skręciła na skrzyżowaniu. Wrócił do swojej poprzedniej pozycji baczego paparazzo, w samą porę, by dostrzec Andrzeja idącego wolnym krokiem w kierunku samochodu. W oknie na parterze domu Adama poruszyła się firanka i pojawiła się męska twarz. Marcin uznał, że to ważne, więc bez namysłu wycelował aparat i nacisnął spust. Zerknął na ekran. Twarz Andrzeja wypełniała sporą część kadru.

– To tylko ja. – Rulewski wszedł do samochodu, usiadł za kierownicą i popatrzył martwo przed siebie. Marcin zerkał na niego i bał się spytać, jak

poszło. Andrzej wyglądał na jeszcze bardziej wyczerpanego niż po wizycie w warsztacie.

– To było... dziwne – mruknął w końcu. – Ten facet jest chory. Nie jest to może schizofrenia, zresztą nie mnie to oceniać. Najebali mu w głowie tak mocno, że sam nie wie, jaka jest prawda. Niewiele pamięta.

– Powiedział cokolwiek?

– Tak jak myśleliśmy, Norbert dał mu wtedy jakąś pigułę. Ogarnęła go ciemność. Słyszał różne głosy, demony jakies. Wyzywały go od zwierząt. Jeden krzyczał coś, żeby jakiś moltenman uciekał, ale nie wiem, czy to demon, czy Norbert.

– Moltenman? – spytał Marcin badawczo. – Niczego ci to nie przypomina?

– Że co niby? – Andrzej oparł głowę na zagłótku. – Spider-Mana?

Marcin wyjął telefon i wpisał coś w Google'a. Po chwili pokazał Andrzejowi pierwszy wynik – wpis z Wikipedii.

– Molten Man, przeciwnik Spider-Mana, człowiek pochodnia – powiedział. – Wszystko się zgadza.

– Pieprzony psychopata – warknął Andrzej. – Sugerujesz, że zabił Igora dla zabawy?

– Tego nie wiem.

– W każdym razie Adam pamięta, że Norbert dał mu płonąca zapalke, ale sparzyła go w palce i ją wypuścił. Igor zaczął krzyczeć, ale nie od razu. Przypuszczam, że Norbert sam dokończył swoje dzieło.

– To co? Zwijamy się?

– Nie tak szybko. Jestem policjantem Erykiem i dałem mu swój telefon. Tylko że ten gość to pieprzona zagadka. Nieprzewidywalny. Nie dało się z nim ustalić żadnego planu. Powinniśmy poczekać i zobaczyć, czy nie zrobi kolejnego ruchu.

Marcin zacisnął szczęki w milczeniu. Znów myślał o tym, że Adam może odczekać parę minut po wyjściu Andrzeja i zaczepić Dariusza Sosnowskiego. Papuga wujaszka mieszkał przecież tuż obok. I był bezpośrednim wykonawcą niesłusznie wymierzonej Adamowi kary.

– Przystaw auto, Andrzej – rzucił Marcin niemal jak rozkaz.

– Co?

– Włącz silnik i odjedź do tyłu. Trzy posesje, do skrzyżowania!

Eryk sobie poszedł i Adam patrzył jeszcze przez okno na plecy faceta, gdy ten szedł do samochodu. Odszedł od okna i spojrzął na kobietę, która miała tak dobre serce, że zamieszkała z nim i jego synem rok temu. Teraz patrzyła na niego ze smutnym półuśmiechem. Nie chciał litości, ale była jego aniołem stróżem. Nie lubił być dla niej niemiły, ale nie umiał inaczej. Skrzyżowanie i drogowskaz, prawda i kłamstwo, zawsze to samo na mecie. „Zrobiłeś to, Adam. Trzeba się z tym pogodzić i zapomnieć”. I tak od ośmiu lat. Pogodził się z tym, że jest bezrozumnym zwierzęciem, głosy musiały mówić prawdę, zresztą nawiedzały go przez cały ten czas z regularnością, od której pewnie by osiwiął. Kto wie, może już jest siwy, wystarczyłoby zapuścić włosy. Ale Adam co drugi dzień zamykał się w łazience i golił głowę do nagiej skóry. Wolał nie sprawdzać.

„Gdybyś wiedziała... – Popatrzył jeszcze raz na kobietę stojącą przy kuchni. – Gdybyś wiedziała, po co sprzedałem niemal wszystko, co było w tym domu. Z trzech samochodów po rodzicach poszły w świat dwa, stare, ale to nie miało znaczenia. Liczyła się każda złotówka. Musiałem coś kupić. Dla was. Ale do tej pory nie wszystkie nici się łączyły. Była luka. Była, bo teraz pojawił się Eryk. On tę lukę zamknie. Czy tego chce, czy nie”.

Przeniósł wzrok na siedzącego na sofie syna. „On się już oduczył na mnie patrzeć. Nie zasługujesz na to, chłopaku, żeby wstydzić się za swojego pojebanego starego. Żyj. Popłaczesz przez godzinę, a potem zrozumiesz. Tak dalej być nie może. Kiedyś mi podziękujesz, w duchu”.

Adam chwycił się palcami za skronie i szczypnął tak mocno, aż łzy pociekły mu po policzkach. Ten ból był mu teraz potrzebny. Musiał oczyścić się z głosów. „Eryk, ten koleś na pewno nie był policjantem. Tak się nie załatwia policyjnej roboty. Ale ma pewnie jakiś interes w całej sprawie. Kanciarz, na pewno chce kasy. To nie jest takie głupie. Chcesz dorwać Norberta, Eryk? Spróbujmy”.

Adam powoli podszedł do wieszaka w przedpokoju i założył kurtkę. Wyjął portfel i sprawdził zawartość. Jest okej. Jego blond anioł stróż ruszył z kuchni,

zatrzymał się kilka kroków przed nim i patrzył niebieskimi oczami pełnymi smutnej miłości.

– Co zamierzasz, Adam?

– Nie da się inaczej. To już ten czas. Ten czas.

– Wiem. Czekałeś na to tak długo.

A więc jednak się domyślała... Adam nie umiał odwzajemnić jej spojrzenia. W jego wnętrzu nie zostało nic poza ciemnością, krzykami Igora, rozżarzoną klatką i głosami. „*Animal, animal, animal...*”

– Przykro mi – powiedział.

Podszedł do drzwi i je otworzył. Zimne powietrze uderzyło go po twarzy. Samochodu Eryka nie było przy domu Sosnowskich.

Andrzej skręcił na wstecznym na skrzyżowaniu w prawo i wyhamował. Marcin wysiadł z aparatem i podszedł do wysokiego żywopłotu na rogu. Wychylił się. Dom Sosnowskich stał jakieś czterdzieści metrów od nich, wystarczająco daleko, żeby Adam ich nie zauważył.

Jest. Wyszedł z domu i ruszył, wyprostowany, z rękami zwisającymi sztywno wzdłuż tułowia. Marcin wycelował aparat. Pstryk. Pstryk. Pstryk. Dom Sosnowskich i Adam znikający za furtką.

– I co teraz? – Dobiegł go z tyłu głos Andrzeja. – Czyj to dom?

– Później ci powiem.

– Szkoda, że nie możemy usłyszeć, o czym będzie rozmawiać.

Racja. Nie mogli podejść bliżej. I tak by nic nie usłyszeli. A kolejne zdjęcie nie miało sensu. Marcin doskonale wiedział, kto by się na nim znalazł.

Stary Sosnowski. Sąsiad. Prawie jak przyszywany ojciec, albo wuj. Ale to jego głos był głosem sędziego w głowie Adama. Powinien za to odpowiedzieć. Śmierć. Może w ten sposób uciszy jego głos? Nie będzie już sędziego na mecie.

„Uspokój się, Adam. Był tylko posłańcem. To nie on wydał werdykt”.

„Zrobiłeś to, tak mi powiedziano. Obiecano mi, że nikt nic nie będzie od ciebie chciał”.

Tak, kurwa, nikt nic nie chciał. Nikt. Nigdy. Przestali się odzywać. Wszyscy. Każdy jeden jego kumpel witał idącego przez osiedle Adama pustym spojrzeniem i zdawkowym „siema”, a potem znikał za rogiem. Rozniosło się? A może te zarośnięte, zapadające się policzki ich odstraszały? I jeszcze ten wzrok.

Nie, Sosnowski dziś nie poniesie kary. Zresztą po śmierci Artura był dla Adama dobry. Jedyne na całym osiedlu, który się do niego odzywał. To było widać po jego oczach, poczuwał się.

– O co chodzi, Adam? – usłyszał przed sobą głos. – Masz do mnie jakąś sprawę?

Drgnął. Nie zarejestrował tego, że był już na ganku i że wcisnął dzwonek. I że w uchylonych drzwiach pojawiła się twarz Sosnowskiego. Pana Darka.

– Dobry wieczór – powiedział głucho. – Przyszedłem się pożegnać.

– Wyjeżdżasz gdzieś? – Pan Darek zajrzał za plecy Adama. – Chcesz wejść? Żona się kąpie, ale możemy pogadać w kuchni.

– Nie ma o czym. Drogowskaz wreszcie pokazał kierunek. Trzecią drogę na tym skrzyżowaniu wybrałem. Tamte dwie, już ich nie ma. Nie wchodzę tam więcej.

– O czym ty mówisz, Adam? – Pan Darek zmarszczył jasne brwi. – Wszystko w porządku?

– Eryk wie – ciągnął Adam martwym głosem. – Pomogę Erykowi. Zrobię to dla siebie i dla nich. – Wskazał na swój dom.

„Pan Darek już wie, o czym mówię. Widzę to w jego oczach. Wie, ale nic nie powie. Nigdy nic nie mówił. A jednak...” – myślał Adam.

– Omijaj dom faceta na wózku. – Sosnowski ściszył głos. – Nie znajdziesz tam żadnych odpowiedzi, a już z niego nie wyjdiesz. Wujek nie jest ważny. Szukaj siostrzeńca. Wiesz, o kim mówię. A kiedy już go znajdziesz, zapytaj, czy to on... – urwał.

– Czy on i Artur, tak? – spytał Adam. – Tam na Mazurach?

– Tak.

– Złego pan sobie wybrał człowieka, panie Darku. Ja się dowiem, ale pan się już tego nie dowie.

„Stary Sosnowski. Gdybyś ty wiedział, człowieku...”

– O czym ty teraz mówisz, Adam?

Sędzia. Głos. „Wydłub mu ten głos z gardła. *Animal...*”

– Tamten dom. – Adam wskazał jedną posesję dalej. Czuł, że jeśli nie odejdzie... Nie da rady dłużej... Sosnowski... Ale on był tylko posłańcem... – Zawsze patrz na tamten dom. Patrz na tamten dom. Sprawdzaj. Masz teraz taki obowiązek, człowieku. Za tamto. To jest teraz twój obowiązek.

„Odejźmy już”. I Adam odszedł. Nie chciał zrobić temu starszemu mężczyźnie krzywdy.



– Wyszedł – szepnął Marcin do Andrzeja, zerkając zza żywopłotu. – Wraca do siebie.

Adam otworzył furtkę u Sosnowskich i ruszył chodnikiem w stronę swojego domu. Marcin znów się wychylił, najwolniej, jak potrafił. Adam stał przez chwilę na chodniku i patrzył z uniesioną głową na budynek, a w oknie na parterze pojawiła się głowa tej blondynki, którą Marcin pamiętał. Ich spojrzenia chyba na chwilę się spotkały, ale zaraz potem Adam wszedł przez podjazd do garażu.

– Będzie gdzieś jechał – rzucił Marcin do tyłu.

– Patrz, w którą stronę. Idę do auta.

Po kilku chwilach z garażu wyjechało stareńkie zielone daewoo, a gęsta chmura benzynowego dymu zasnuła podjazd i uleciała ku koronom drzew.

Adam przejechał przez skrzyżowanie i zerknął w lusterka. Z lewej zobaczył auto, które skręciło za nim, podobne do tamtego. „Eryk. Może to jednak glina? Bez znaczenia. Niech się trzyma z tyłu. Może będzie trzeba trochę więcej ostrożności. Bez rzucania się w oczy, tak trzeba to zrobić. Bez wystawiania swojej łysej głowy na widok. Zero widowiska, trzymajmy się schematu, będzie dobrze”.

Znaleźć tego skurwysyna nie będzie łatwo. Adam wiedział, że odpadł po drodze. Nie będą chcieli z nim gadać. Jest dla nich odpadem poprodukcyjnym. Gdzie drwa się rąbie, tam wióry lecą. Jak te trociny u niego w warsztacie, gdy robił swoje figurki dla uspokojenia nerwów i odgonienia głosów. Będą się na niego gapić, zastanawiać, czemu wylazł ze swojej samotni, po co przyszedł. Pytania będą zadawać. Nieufni. Ale on musi to tak zrobić, żeby go nie zbyli. Nie na ostro, nie jak *animal*.

Oto i skrzyżowanie z wylotówką. I fast food, gdzie ten bogaty kretyń Norbert chciał się zabawić w Tarantino. Ha, ha, ha. Ależ ten debil wyglądał, kiedy wrócił z musztardą i ketchupem na swojej wyczesanej bluzie. I to zrobił Artur, ten smętny koleś, syn Sosnowskiego. Adam miał go za lamera. Zdawkowe cześć, bez rewelacji. Wtedy pod tym fast foodem pomyślał sobie, że koleś ma jednak jaja – o mało nie zesrał się w gacie na widok pistoletu Norberta, ale coś tam ugrał. Ugrał szacunek Adama.

Pierwszy przystanek. Nie będzie łatwo. Nie da się od razu. To tak nie działa. Najpierw będą go zwodzić. Ale on będzie dążył uparcie trzecią ścieżką, aż przejrzy. Ich i na oczy. Zobaczy metę.

– Myślisz, że nas zauważył?

– Nie mam pojęcia.

Trzy samochody przed nimi jechało kopzące jak parowóz zielone daewoo. Mimo odległości Marcin czuł smród jego spalin.

– Jakby nam się zgubił, to znajdziemy go po tym dymie. – Andrzej uśmiechnął się blado.

– Patrz. Zjeżdża.

Daewoo skręciło na parking przed małym pubem. Andrzej zwolnił. Wjechanie tam za Adamem nie wchodziło w grę. Przejechali obok, zjechali w prawo w ciemną uliczkę. Andrzej zgasił światła.

– I co teraz? – spytał Marcin.

– Do pubu nie wchodzimy, bez sensu. Ale musimy obserwować, kiedy wyjdzie i dokąd dalej pojedzie. Jeśli pojedzie.

Adam wszedł do zadymionego pubu przy wylotówce i zmrużył oczy. Pod sufitem krążyło jakieś dziwne światło, zmieniało kolory, od czasu do czasu waliło jak stroboskop. Dawno czegoś takiego nie widział. Dwie słabe żarówki w jego warsztacie uspokajały go, a ta wirująca główica wrzynała mu się pod czaszkę, uruchamiała wspomnienia. I głosy. Nie chciał ich teraz, ale nie miał nad nimi władzy. „Zegnij kark, kuzynie szympansa. Okaż szacunek przed światłem Najwyższego”.

Nie, Adam. To nie dom Boży, tylko mordownia przy wylotówce. Ci tutaj to nie demony. Może chcieliby tacy być, ale sporo im brakuje. Zęby wilkom powypadały. Snują się między bilardem a barem, piana w szklankach z piwem jest bura i mętna. Tatuaze zbladły. Nie ma się czego...

– O, kogo moje oczy widzą? – Usłyszał głos po lewej. – Czy to aby nie Tatko? Gdzieś się, kurwa, podziewał przez te lata?

Adam powoli obrócił głowę. Czyj to głos? Z tego świata czy z tamtego? To chyba ten facet z kijem bilardowym, niższy od niego, w skórzanej kamizelce i z kanciastym wąsem. Zużyty zakapior. Patrzy na Adama, jeden jedyny się gapi z całego pubu.

– Nie poznajesz mnie? – Gość sięgnął do szklanki z piwem z najbliższego stolika.

„Musisz go poznać, a nie dać po sobie poznać...”

– Tarpan – mruknął Adam. – Jesteś Tarpan?

– A któżby? – Facet zaśmiał się nieprzyjemnie. – Nie pamiętasz, jak cię ogrywałem?

– Pamiętam. – Adam potarł czoło. – Dobrze cię widzieć.

Facet upił wielki haust piwa.

– Wpadłeś na partyjkę?

– Widziałeś Norberta? – spytał Adam.

Za głośno. Za szybko. Nie tak to miało być, wymusnęło się. „Nie, Tarpan, nie wpadłem na partyjkę. Potrzebuję wiedzy”.

– Dobrze się czujesz? – Tarpan spojrzał spode łba.

– Bardzo dobrze się czuję. – Adam znów potarł czoło. – Znalazłem coś w domu. To do niego należało. Zależy mu.

– Że niby co?

– Komiks. Spider-Man.

– Jaja sobie robisz?

– Nie.

Tarpan patrzył długo i przenikliwie, ale Adam się nie bał. Prawdę mówiąc, to Tarpan pierwszy spuścił wzrok.

– Nie ma już Norberta – powiedział w końcu.

– Znaczy, że nie żyje?

– Co to to nie. Żyje i ma się dobrze. Ale on już nie Norbert.

– A kto?

– Nie do mnie takie pytania.

– Muszę wiedzieć.

– Po co?

– Mówiłem, komiks znalazłem.

– Pierdolisz. – Tarpan odstawił szklanke, a bura piana spłynęła po ściankach.

– Jak ci tak naprawdę zależy, to podjedź se do Lamparda i spytaj o tego swojego Norberta. Tylko nie mów, że to ja ci powiedziałem. To tak między nami, kapujesz?

Adam pokiwał głową z namaszczaniem. Lampard? Tego łysego gościa z uciętym uchem Adam widział tylko parę razy w życiu. To nie był jego kumpel. To był żołnierz z TAMTYCH.

Tarpan nachylił się w jego stronę. Adam czuł jego śmierdzący oddech, ale skupił się na adresie. Nie mógł tego zapomnieć.

– Wykręć auto – syknął Marcin. – Jak wyjdzie, to już nie będzie na to czasu.

Andrzej wsiadł do porsche i włączył silnik. Zjechał z krawężnika. Marcin zerkał od czasu do czasu, jak dziennikarz mozolnie wykręca w wąskiej uliczce, obramowanej z obu stron ceglanyścianami. Udało się za czwartym razem.

– Jest. Wyszedł z pubu. Zrobić zdjęcie?

– Nie ma sensu. Co ci to da? – odpowiedział Andrzej przez uchyloną szybę.

Marcin patrzył zza parkanu, jak Adam staje przy swoim zielonym daewoo i nad czymś mocno się zastanawia. „Ten facet nie jest normalny” – przeszło mu przez myśl. Stoi przy samochodzie i wygląda, jakby z kimś rozmawiał. Może ma w uchu słuchawkę od telefonu? Ale nie, te wzdrygnięcia i strzepnięcia palcami. Coś to Marcinowi przypominało, jakiś obrazek z filmu o obłąkanych.

– Wsiada.

Marcin wrócił do porsche i położył aparat na kolanach. Obaj patrzyli na wylot uliczki, czekając na kopcące daewoo. Przejechało i wjechało z powrotem na trzypasmówkę. Andrzej ruszył i bez wahania skręcił za nim w prawo.

Ujechali jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów, kiedy daewoo zmieniło nagle pas na skrajny lewy.

– Kurwa – zaklął Andrzej. – Będzie zawracał na strzałce. Zauważy nas, jak staniemy mu na ogonie.

– A mamy jakieś inne wyjście?

– Możemy zaryzykować.

Andrzej skręcił na skrzyżowaniu w prawo i niemal natychmiast wykręcił o sto osiemdziesiąt stopni, zahaczając o krawężnik. Stał na czerwonym świetle.

– Albo zawraca, albo jedzie w lewo – mruknął.

Czekali, a Marcin czuł, jak serce stuka mu szybkim miarowym rytmem. Zielone daewoo też stało. Przez boczną szybę widzieli twarz Adama oświetloną czerwonym sygnalizatorem.

Daewoo ruszyło i wykręciło na przeciwległą nitkę jezdni. Andrzej wrzucił jedynkę i dotoczył się do krawędzi skrzyżowania. Rozejrzał się na boki. Z jednej strony sznur jadących szybko samochodów zaczynał się daleko przed pubem. Druga strona czekała cierpliwie na czerwonym.

– A jebać to! – Docisnął gaz.

Wjechali na czerwonym świetle na skrzyżowanie i skręcili z piskiem opon. Mogli dogonić daewoo, ale nie było takiej potrzeby. Jechało wolno prawym pasem, kopząc przy tym niemiłosiernie. Adam włączył prawy kierunkowskaz i po chwili daewoo zniknęło za zakrętem.

Porsche dotoczyło się do skrętu. Wąska ulica prowadziła w stronę lasu.

– Komu w drogę, temu czas – mruknął Andrzej.

Od tamtego skrzyżowania Adam był pewny, że Eryk go śledzi. Ten pisk opon za nim. Wpatrzył się w tylne lusterko, dostrzegł porsche, to samo, które wyjechało za nim z osiedla. O mało nie przegapił przez to skrętu w las. Łysy Lampard mieszkał w wielkim nowym domu, który postawił sobie w ostatnich latach. Adam nigdy tam nie był, zresztą nawet wtedy, osiem lat temu, rzadko kręcił się przy tych facetach. Nie był dobrym materiałem na żołnierza. Ciężko było to przełknąć, ale chyba mieli go za słabego. A Norberta ciągnęło do takich słabych, jak on i Down Maciek. Słuchali, co ma im do powiedzenia, mimo że był tylko

naspidowanym debilem, któremu się wydawało, że jak ma ważnego wujka na osiedlu, to może robić zadymy, opylać niesprawdzone dragi i jeździć w kółko po wylotówce grubo ponad sto trzydzieści.

Głosy w głowie Adama przycichły. To ten szum jesiennych drzew za szybą tak działał. Powietrze pachniało torfem i zbutwiałymi liśćmi. To dobrze, bo tam u Lamparda trzeba być grzecznym, potulnym, nie wolno pokazać, że coś jest nie halo. „Wszystko jest halo, Adam. Jesteśmy przy tobie i wiemy, że wszystko jest halo. Będziemy cicho. Cicho sza”.

Nie potrzebował GPS-a. Znał z dawnych czasów wszystkie uliczki, nawet te piaszczyste, pod lasem. Skręcił w wąską aleję obsadzoną drzewami i dojechał do szerokiej zamkniętej bramy. Wyszedł z daewoo i spojrzął za siebie. Jakiś samochód na początku alei w tym samym momencie zgasił światła. Eryk. Był daleko, pewnie nie odważy się podjechać aż tu. Byłoby źle, gdyby Lampard nabrał jakichś podejrzeń. „Zostań tam, gdzie jesteś, Eryk. Nie świruj”.

Adam podszedł do domofonu przy furtce i zadzwonił. Czekał cierpliwie i chłonał zapach lasu.

– Kto tam? – odezwał się chrapliwy głos.

– Adam. Tatko. Kolega Norberta.

– Jakiego znowu Norberta? – spytał głos nieprzyjemnie.

– Siostrzeńca człowieka na wózku – powiedział wolno Adam.

Długo czekał i słuchał brzęczącej ciszy.

– Zostań przy bramie. Zaraz przyjdę – odezwał się głos.

Marcin oparł aparat o maskę samochodu. Przekręcił pierścień na obiektywie do końca, ale to nie był sprzęt dla paparazzich, tylko zwykły obiektyw za kilkaset złotych. W wizjerze zobaczył ciemną aleję drzew, na końcu której stał przy bramie niewielki punkcik i rozmawiał z drugim punkcikiem. Nacisnął spust migawki. Pstryk. Pstryk. Pstryk. Spojrzął na ekranik. Wszystko ciemne, zamazane. Bez sensu. Wrócił do auta i wymownie spojrzął na Andrzeja.

– Po co ci Norbert, chłopaku? – spytał Adama umięśniony łysy facet w czarnym bawełnianym dresie. – Ten koleś już od dawna nie kręci się w tych okolicach.

Adam nie widział w mroku twarzy tamtego. Ale Lampard nie widział też jego twarzy. Ta ciemność działała uspokajająco.

– Muszę oddać mu komiks o Spider-Manie – powiedział.

– Nikt nie jeździ i nie zawraca ludziom dupy po nocy, żeby oddać jakiś komiks – zaśmiał się Lampard. – Nie ściemniaj, człowieku. Jaki masz do niego *deal*?

Adam nie wiedział, co powiedzieć. Głosy dalej milczały, uśpione wieczornymi szelestami. Teraz mogłyby pomóc, ale Adam ich nie słyszał.

– Igor – powiedział w końcu. – Wszystko mi się popierdoliło. Chciałbym, żeby jeszcze raz mi to opowiedział.

– Opowiedział? Chodzi o tego spalonego? – zdziwił się Lampard. – Słyszałem, że to ty. Tak Norbert mówił. Szef zresztą też. Był filmik, widziałem. Zresztą ten filmik to był niezły straszak. Na niektórych działał tak, że... Kurwa, nawet nie trzeba było nic mówić.

– Widziałeś? – Adam poczuł ból pod skronią. – Więc wiesz.

– Dziwna sprawa z tym filmikiem, w sumie. Dali mi go, żeby namieszać w głowie temu pojebanemu kołesowi, co koło ciebie mieszkał. Taki pocięty był, że w sumie nie wiadomo. Ale to ty wtedy, tego Igora...?

– Ja – mruknął Adam. – Ale wszystko się miesza.

– Co się miesza? O czym ty gadasz, człowieku?

– Potrzebuję dragów. Takich jak ma Norbert. Bez nich nie dam rady. Tamte piguły mnie trzymały, rozumiesz? Bez nich odjeżdżam. Boję się, że zrobię coś dziecku. I żonie. Nie ściemniam.

Lampard milczał. Adam miał wrażenie, że tamten próbuje go rozgryźć, ale ciemność temu nie sprzyjała. „Dobrze grasz, Adam. Nie ostro. Nie jak *animal*”.

– Wiesz, kto to Doktor Rob? – spytał Lampard chrapliwie.

– Nie.

– Norbert. Taką ma teraz ksywę. Operuje w Śródmieściu. Jest piątek. Pewnie dyma od klubu do klubu i opyla tabletki.

– Od którego zacząć? – spytał cicho Adam.

– Nie musisz od żadnego zaczynać. Akurat dzisiaj jest taka jedna imprezka. Tylko nie włącz na nią. Poczekaj pod bramą. Kupisz te swoje dragi i spierdalaj do

domu, okej?

– Jasne.

– Zostaw mi numer do siebie – dodał Lampard po chwili. – Dowiem się, co i jak. Wiesz, jak jest. Gra gitara?

– Gra.

Andrzej powoli wycofał porsche z ciemnej alejki. Stanął kilkanaście metrów przed zjazdem. Znów czekali na zielone daewoo.

– Będziemy tak jeździć do rana? – Marcin poprawił plecak przy nogach.

– Skąd mam to wiedzieć? – odmruknął Andrzej. – Myślisz, że łatwo jest znaleźć w tym mieście starego kumpla po ośmiu latach?

– Niektórzy mieszkają tam, gdzie mieszkali.

– Ale inni pewnie nie.

Krzaki i drzewa naprzeciwko wyjazdu z alejki rozjaśniły się od świateł daewoo, wracającego powoli po zwirze. Andrzej położył dłoń na kluczyku w stacyjce. Gdy daewoo skręciło, zapalił silnik i ruszył powoli z wyłączonymi światłami. Zbliżył się na kilkanaście metrów, słabe reflektory daewoo oświetlały las przed sobą, a Andrzejowi wystarczała na razie czerwona poświata z tylnych świateł samochodu Adama.

Dojechali w ten sposób do ulicy z latarniami. Tam daewoo skręciło z powrotem w stronę wylotówki, a Andrzej odczekał dziesięć sekund, włączył światła i ruszył za nim. Nie ujechał nawet pół kilometra, kiedy zawibrował jego telefon.

– To Adam – powiedział cicho.

– Hmm. Pewnie nas zauważył.

Andrzej przejechał palcem po ekranie. Włączył tryb głośnomówiący.

– Eryk? – usłyszeli głuchy głos Adama. – Już wiem. Doktor Rob.

– Kto to jest Doktor Rob? – spytał Andrzej.

– Siostrzeniec.

– Będziesz go dalej szukał czy wracasz do domu?

– Ja zawsze jestem w domu.

Marcin uniósł brwi.



– Okej, ale czy wracasz do żony i syna teraz?

– Są w dobrych rękach. Jadę do klubu – odpowiedział Adam i przerwał połączenie.

Andrzej pokręcił głową zdegustowany i odłożył telefon.

– No pięknie.

– Doktor Rob? – spytał Marcin. – Mam ci to sprawdzić w necie?

– Że co niby? Kolejny wróg Spider-Mana? To nam nie pomoże znaleźć dilera na mieście. W necie takich rzeczy nie znajdziesz. Nie ogłaszają się. Musimy dalej za nim jechać.

Marcin zamknął oczy. Próbował coś wymyślić, póki jechali kilkadziesiąt metrów za daewoo. Doktor Rob. Lekarz. Spider-Man. Pająk. Marcin otworzył oczy. Kurde, a może to Patryk Pająk, mąż Anki? Był lekarzem. Chyba psychiatrą. Pewnie ma dostęp do różnych prochów. Może opyla je bogatym klientom na boku?

Pomysł był przedni, ale za dużo w nim było dziur. Patryk Pająk sprzed ośmiu lat nie przypominał w niczym naspidowanego pistoletu. Nie, Czarna Wdowa nie był Spider-Manem. Ani Doktorem Robem. Dzwonienie do Anki i wypytywanie jej o męża to byłby idiotyzm.

„Wszystko w porządku? Czytasz chłopcu książkę?” – odczytał SMS-a od Marty. Zerknął przez szybę na daewoo, po chwili skręcili za nim na wylotówkę. Nic takiego na razie się nie działo. „Tak, wszystko gra” – napisał. „Jestem w czwartym rozdziale” – dopisał po chwili, ale zaraz skasował. Lepsze niedopowiedzenie niż kłamstwo. Chyba.

Ledwie zdążył wysłać SMS-a, gdy jego komórka wypełniła porsche melodyjką.

– Weź to wycisz – syknął Andrzej.

Marcin spojrział na ekran. Jego terapeuta. *Fuck...* To nie był najlepszy moment, ale jeszcze gorsze byłoby, gdyby odrzucił połączenie.

– Dobry wieczór, panie Tomaszu. – Zakrył dłonią usta. – Przepraszam, że nie odwołałem dzisiejszego spotkania...

– Dobry wieczór, panie Marcinie. Późna pora, nie powinienem tego robić tak naprawdę. – Głos jego terapeuty brzmiał spokojnie jak zawsze. – Ale nie odpowiada pan na SMS-y. Zdaje pan sobie sprawę, że to już drugi raz?

– Wtedy miałem potworną migrenę...

– Mogę pana przepisać na poniedziałek. Mieliśmy na ostatnim spotkaniu dość ważne przemyślenia. Przydałoby się jakieś podsumowanie, żeby to wszystko nie rozeszło się po kościach. Skontaktował się pan z ojcem, panie Marcinie?

Daewoo włączyło kierunkowskaz i zjechało na szeroki chodnik przed sklepem spożywczym.

– Co jest, kurwa? – warknął Andrzej. – Będzie się zaopatrywał w prowiant?

– Nie, panie Tomaszu – odparł Marcin. – Nie miałem do tego głowy.

Zatrzymali się na trawniku. Adam wysiadł. Nie poszedł do sklepu, tylko stał przy samochodzie i znów strzepywał palcami niewidzialne pyłki. Potem z namaszczaniem zamknął drzwi daewoo i położył rękę na dachu. Wyglądał, jakby nad czymś się zastanawiał. Albo żegnał z tym samochodem.

– Zobacz, gdzie on idzie – szepnął Andrzej. – Robi nam bardzo brzydki numer.

Marcin przytaknął, bo Adam podszedł do przystanku autobusowego i zaczął przyglądać się uważnie rozkładowi jazdy.

– Proszę mnie przepisać na poniedziałek – wyszeptał. – Na siedemnastą.

– No i co teraz? – Andrzej zacisnął dłoń na kierownicy. – Przecież nie damy rady go śledzić w autobusie. Musisz wyjść. Wleziesz tam za tym pojebem i będziesz mnie kierował.

– Chyba przeszkadzam panu w czymś ważnym. – Marcin ledwo zarejestrował głos w słuchawce. – Do zobaczenia w poniedziałek.

– Ale... – Marcin przełknął ślinę. – On mnie zna. Widział mnie. Tylko raz, co prawda...

– Jak to widział? Kiedy? – spytał drapieźnie Andrzej. – Co ty pieprzysz?

Marcin przełknął ślinę i zaczął zastanawiać się panicznie, co ma teraz zrobić. Andrzej tymczasem wyglądał tak, jakby parował mu mózg. W końcu machnął ręką.

– Zakładaj kaptur i wypieprzaj. Masz zrobić tak, żeby cię nie rozpoznał.

Marcin zacisnął zęby i spojrzał przez szybę – Adam patrzył akurat w drugą stronę. Podniósł plecak, opatulił twarz kapturem i wysiadł na trawnik. Zgarbił

się, podszedł na przystanek i stanął tyłem do Adama przy rozkładzie.

„Kluby. Będzie szukał dilerów w klubach. Czyli Śródmieście?” Marcin spojrzął na wielką tablicę z kilkunastoma rozkładami jazdy. Co najmniej trzy z tych autobusów robiły rundkę po centrum. Ale tylko jeden jechał Świętokrzyską, czyli tam, gdzie w bocznych ulicach kwitło życie w weekendowe wieczory.

Przyjechał jeden z tych autobusów, które krążyły po centrum, ale omijały Świętokrzyską. Adam stał niewzruszenie na przystanku. Przyjechał inny, który nawet nie przejeżdżał przez Wisłę – Adam nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. W końcu Marcin dostrzegł za światłami numer, na który czekał. Odchylił kaptur i zerknął niepewnie na stojącego nieruchomo Adama.

Drzwi otworzyły się przed nimi, na przystanek wyszły jakieś dwie śmiejące się dziewczyny i ruszyły do sklepu.

Adam stał.

I nagle na sygnał zamykanych drzwi wskoczył do środka. Marcin stał jak wryty, mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Drzwi zamknęły mu się przed nosem. Próbował jeszcze wcisnąć guzik, ale kierowca nie zwracał na niego uwagi. Autobus ruszył. Marcin pomyślał, że powinien dobiec do porsche. Mogli wyprzedzić ten autobus i wsiadłby na następnym przystanku.

Tyle że porsche z piskiem opon ruszyło z trawnika i zjechało na jezdnię. Marcin zdążył jeszcze zobaczyć twarz Andrzeja. Jego partner w śledztwie pokręcił głową zdegustowany, zasalutował mu z krzywym uśmiechem i odjechał.

– Kurwa!

„Pieprzony Rulewski!” – Marcin spojrzął ze wściekłością w czarne niebo nad wylotówką. Nie chciało mu się wnikać w motywacje Andrzeja. Albo to był impuls, albo tak to planował zakończyć. To drugie nawet pasowało do brzydkich podejrzeń Marcina. Od samego początku miał wrażenie, że dziennikarz Andrzej Rulewski wystawi go, gdy tylko dojrzy na horyzoncie rozwiązanie sprawy Igora.

Spojrzął na rozkład. Jeden z autobusów dojeżdżał całkiem blisko osiedla, na którym mieszkał Adler. Wystarczyło przejść na drugą stronę wylotówki i poczekać na przystanku. A potem wrócić do Franka Adlera i przeczytać mu rozdział czwarty i piąty przygód małego czarodzieja.

„Dziwne zakończenie jeszcze dziwniejszego dnia” – pomyślał i ruszył w stronę przejścia dla pieszych.

Andrzej nie wiedział, czy dobrze zrobił, że zostawił Bielawskiego na tym przystanku. Zadziałała adrenalina. Adam wskoczył do tego autobusu tak nagle, w ostatniej chwili. Skoro tak, to pewnie zorientował się, że tamten jest jego ogonem. Albo rzeczywiście go rozpoznał, a to znaczyło, że gnojek coś kręcił. Nie było już sensu pchać się do Śródmieścia we dwóch. Andrzej trzymał jedną dłoń na kierownicy, a drugą sprawdzał w necie trasę autobusu, który jechał przed nim. Tamka, Świętokrzyska, Rondo ONZ. Zgadzało się, pewnie Adam dostał w tamtym domu na końcu ciemnej alejki dobre info, gdzie znaleźć Doktora Roba.

Właściwie mógłby wyprzedzić ten autobus i zacząć się na przystanku koło Nowego Światu. Jedyne problem, to że Adam wcale nie musiał tam jechać. Mógł zmierzać dokądkolwiek.

Pomyślał, że jedyne, co mu zostało, to zadzwonić do tego schizola, nawet jeśli przez to ostatecznie się odsłoni. Wybrał numer i odczekał chwilę.

– Tu Eryk – powiedział. – Jedziesz do Doktora Roba?

Cisza. Oddech tamtego. Czyjeś wesołe głosy.

– Wiesz, że za tobą jadę. Obu nam zależy na tym samym. Dorwiemy Norberta i każemy mu wszystko wyśpiewać. Ty i ja. Zrobimy z faceta miazgę. Ale muszę wiedzieć, gdzie jedziesz.

Cisza. Wybuch śmiechu jakichś dziewczuch.

– Zrobimy to razem, Adam?

– Dobrze, Eryk. Zrobimy to razem.

– Gdzie jedziesz?

– Na miasto.

Andrzej zaklął w duchu. To akurat wiedział.

– A gdzie konkretnie?

– Do Cordoby.

Andrzej gorączkowo myślał, który z klubów w tamtych okolicach to Cordoba. Nigdy w nim nie był, ale coś kojarzył. Taki klub na pewno istniał, Adam nie

zmyślił go na poczekaniu. Tyle że to na pewno nie było w okolicach Świętokrzyskiej. Raczej gdzieś między Rotundą a placem Konstytucji.

– Posłuchaj, Adam – zaczął Andrzej. – Ja podjadę pod Cordobę, a ty sobie powolutku zmierzaj w tamtym kierunku. Spotkamy się tam. Nie rób żadnych gwałtownych ruchów, okej?

– Nie jak *animal*?

Andrzej zastanowił się, o co chodzi.

– Właśnie. Nie jak... *animal*.

– Cieszę się, że mnie rozumiesz, Eryk – powiedział tym swoim bezbarwnym tonem Adam, a Andrzej pokręcił głową.

Nie znalazł w necie adresu Cordoby. Znow musiał zadzwonić do wicenaczelnego Garbarka i przeprosić za zawracanie głowy w piątkowy wieczór. Garbarek wiedział, co to jest Cordoba – nieoficjalny klub na ostatnim piętrze śródmiejskiej kamienicy, zrobiony z czterech połączonych mieszkań. Andrzej wolał na razie nie wnikać, kto lubi się tam pojawiać i jaki rodzaj zabaw się tam odbywa. Nie miał też pewności, czy będzie tam Doktor Rob. Ale Adam jechał akurat tam.

Zaparkował na placu Konstytucji i ruszył Marszałkowską, przechodząc przez kolejne skrzyżowania z wąskimi ulicami, każda była zawałona autami i każda skrywała jakiś pub, bar, klub. Przy większości czatowali pewnie paparazzi w oczekiwaniu na tanią sensację. A nawet jeśli nie przyłapią żadnego z ryjów na całowaniu się z nową dziewczyną, to przynajmniej obcykają, jak ten i ów zajada kolację, wali setki albo jak lody spływają mu po brodzie. Portalom i portalikom wystarczało nawet, żeby ktoś jarał szlugi przed wejściem. „CZY TO ABY ZDROWY NAŁÓG?” – napisze potem pod zdjęciem jakaś panienska w sweterku i wciśnie enter.

Andrzej czuł się dzisiaj w tej okolicy wyjątkowo nieswojo. Ryje w tym momencie obchodziły go tyle, co zeszłoroczny śnieg. Tak naprawdę, to przez ostatnie dni zapominał, że w ogóle się czymś takim zajmował. To było jakby nierealne. Jak za ciasna skóra, która pękała i łuszczyła się na gadzie.

Skręcił w przecznicę. Wszedł między kamienice i uniósł głowę. Trzy domy dalej ostatnie piętro lśniło różowymi i fioletowymi światłami. Okna były

pozamykane, ale z otwartych na przestrzał drzwi prowadzących na olbrzymi balkon słychać było przytłumioną muzykę house, śmiechy i rozmowy.

Jeśli Adam mówił prawdę, to być może gdzieś tam na górze był Doktor Rob, częstował gości koksem i ściągał należności. A może tylko wpadł na chwilę, wypadł i od dawna go tam nie było. Był w końcu piątek. Chyba że sam był gościem i to była też jego impreza.

Póki co Andrzej nie miał innego wyjścia, jak stanąć w podcieniach naprzeciwko, zapalić cienkiego mentola i uważnie obserwować zamkniętą bramę z domofonem.

Adam wysiadł z autobusu na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Musiał przejechać jeszcze jeden przystanek tramwajem do centrum, a potem przejść wzdłuż Marszałkowskiej i wejść w ciemną ulicę. Ale wolał przejechać się metrem. Nigdy wcześniej nie jechał metrem. Z drugiej strony ulicy zapachniał mu kebab. Nie jadł kebabu od ośmiu lat. Zobaczył szyld sex shopu. Nigdy nie był w sex shopie. A obok bank. Nigdy...

Mógł tak stać i stać. A najbardziej ze wszystkiego mógłby wpatrywać się bez końca w szarą wieżę Pałacu Kultury, która kojarzyła mu się z dzieciństwem i szkolnymi wycieczkami. Jakie to dziwne. Człowiek rodzi się, jest małym dzieckiem, potem coraz większym, a wszystko wokół wydaje się ładne i kolorowe, i jest obietnicą przygody. Oglądasz filmy. Grasz z kumplami w gałę. Jeździsz po osiedlu na rowerze i zwiedzasz stare betonowe ruiny w nadziei, że może zza węgła wyskoczy zaraz wampir, a ty uciekniesz z krzykiem tylko po to, żeby za rogiem śmiać się z tego wszystkiego.

A potem nagle dorastasz i pewnego dnia kolorów już nie ma. Tak po prostu znikają, a ty z każdym dniem stajesz się coraz cięższy i cięższy. Masz osiemnaście lat, ale nic cię nie cieszy. I dopiero gdy spotykasz na swojej drodze kogoś takiego jak Norbert, świat znowu nabiera barw. Jest energia. Jest zabawa. Jest szal.

Ale nie ma już powrotu. To znaczy jest. Adam od ośmiu lat wracał. Tyle że świat bez chemii Norberta był jeszcze bardziej szary i ponury niż ten z czasów, zanim ją poznał.

Aż dziwne, że tak klarownie mu się myślało tu, pod Pałacem Kultury. Może to dlatego, że już podjął decyzję. W tym momencie nie przeszkadzały mu żadne

głosy. Widać śródmiejskie podmuchy wiatru działały tak samo dobrze, jak szum liści i zapach torfu.

Zszedł po długich schodach i wyszedł na peron. W ciemnym tunelu usłyszał jakiś łoskot, a potem pojawiły się dwa światła, jak oczy smoka. Pociąg zatrzymał się z głośnym poświstem. Adam wszedł do wagonu i rozejrzał się. Pełno ludzi. Tłum, ale z prześwitami. Było czym oddychać. Fakt, to tylko jeden przystanek, ale Adam nie spodziewał się, że aż tak krótki. Zanim na dobre zdążył nasycić się swoją pierwszą i ostatnią w życiu jazdą metrem, musiał już wysiąść na stacji Centrum.

Stanął na stopniu ruchomych schodów. Miał przed sobą jakąś nieziemsko pięknie pachnącą dziewczynę, przymknął oczy i wdychał zapach perfum. To było takie przyjemne. Kwiaty, egzotyczne kwiaty. Nawet nie potrafił ich sobie wyobrazić.

Dojechał za zapachem na samą górę schodów, ale nie chciał jeszcze się z nim rozstawać. Przyszło mu do głowy, że pewnie tak nie wolno, nie wolno chodzić po ulicach za dziewczynami i wdychać ich perfum, ale teraz miał to gdzieś. Zdziwił się, gdy zobaczył, że dziewczyna po wyjściu z metra idzie z powrotem do ruchomych schodów, tyle że innych, w środkowej zadaszonyj części. Ruszył i stanął za jej plecami. Nie zwracała na niego uwagi, a gdy dojechali na galerię ciągnącą się nad peronami, poszła przed siebie, stukając obcasami o kamienną posadzkę.

Adam się zatrzymał. Nie będzie już chodził za dziewczynami, ale ten zapach zapamięta. Będzie go czuł w nozdrzach jeszcze przez parę dni.

Wyczuł w kieszeni wibrację telefonu. Pewnie Eryk znowu coś chce. Może nie umie znaleźć Cordoby? Odczytał wiadomość. Rozejrzał się. Poczłł nieprzyjemny prąd na plecach. Zalała go fala głosów, szeptały z każdej strony.

„Metro Centrum. Księgarnia. Czekaj”. Od nieznanego numeru.

Tak się składało, że zapach tamtej dziewczyny przywiódł go pod samą księgarnię z kolorowymi okładkami na wystawie. Ktoś właśnie z niej wychodził, gapiąc się na trzymany w rękach komiks. Komiks ze Spider-Manem. Ten ktoś miał dłuższe włosy zaczesane na bok i okulary w plastikowych oprawkach, ale Adam poznał go od razu.

To był Norbert.

Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Poczł strach i stał jak wryty. Miał nadzieję, jak dziecko, że jeśli zamknie oczy, to tamten go nie zauważy.

– Ejże ej! – Usłyszał tuż przed twarzą. – Tatko wylazł z nory. Podobno czegoś szuka, tak ćwierkają wróbelki.

Otworzył oczy.

– Dobrze cię widzieć, Norbert – powiedział głucho. – Jest ważna sprawa.

Andrzej rzucił kolejny niedopałek na chodnik, bo właśnie dzwonił do niego Adam. Odebrał i wyszedł z podcieni. Fioletowo-różowa impreza na ostatnim piętrze kamienicy zabrzmiała mocnym techno i wybuchem niepoahamowanego śmiechu kilku mocno naprutyh gości.

– Doktor Rob idzie w twoim kierunku, Eryk – zaterkotał Adam w słuchawce. – Trzecia droga wchodzi w decydującą fazę. Sędzia nie ma głosu. Powiedzieli mi, że jesteś nim. Zdejmiesz z oczu opaskę.

– Okej, Adam. – Andrzej potarł czoło. – Jestem tym, który zagada z Doktorem. A ty stój daleko. Nie podchodź. Nie może cię rozpoznać.

– Nie wchodź do Cordoby. Już z niej nie wyjdiesz – ciągnął Adam niezrażony. – Powiedzieli mi, że wujek jest nieważny. Ważny jest siostrzeniec. A kiedy już go znajdziesz, powiedział posłaniec...

– Dość już, Adam – warknął Andrzej. – Trzymaj się z daleka. Jeśli go śledzisz, to zatrzymaj się i wejdź do jakiejś bramy.

Nie czekał na odpowiedź Adama. Rozłączył się. Nie miał teraz czasu na pieprzenie głupot o duchach, posłańcach i trzecich drogach. Rozpiął kurtkę i dwa guziki koszuli. Szkoda, że nie ma przy sobie jakiejś małpki. Przydałaby mu się wódka – i dla odwagi, i dla realizmu.

Podszedł do bramy z domofonem i przytulił się do ściany. Kątem oka obserwował idącego ulicą niewysokiego mężczyznę w dłuższych zaczesanych włosach i okularach w plastikowych oprawkach. W ogóle nie przypominał mu tego dilerza z kibla sprzed lat, ale przecież widział go tylko raz i to przez chwilę. A jednak. Facet trzymał coś w ręku, jak znak rozpoznawczy. Komiks. Komiks o Spider-Manie.

Gdy facet zbliżał się do bramy, Andrzej wtulił nos w ścianę, a potem odskoczył od niej i się zatoczył. Postarał się przybrać najgłupszą minę, jaką



tylko umiał zrobić.

– Rob?! – wykrzyknął, a echo poniosło się wzdłuż samochodów. – Robson? Ja pierdzielę, czy to nie Doktor Rob?!

Facet z komiksem wykrzywił usta.

– Znamy się? – spytał.

– Ty, stary, dobrze, że cię widzę. – Andrzej ściszył głos. – Byłem już na górze. Zajebista impreza, stary, naprawdę. Ale musiałem się zwinąć, bo mam jeszcze jedną. A jutro jeszcze jedną, ta to dopiero będzie, kumple z roboty zwałą mi się do chałupy.

– No i? – Facet spojrział z politowaniem.

– No jasne, że mnie nie pamiętasz. – Andrzej pokręcił głową. – Tyle tego jest na mieście, kurwa, też bym nie pamiętał na twoim miejscu. Ale ja kiedyś od ciebie, no wiesz, paliwo z dystrybutora...

– Ile? – spytał Doktor Rob, wciąż z szyderczym uśmiechem.

– Ty, teraz to ja ci nie powiem. – Andrzej znów wtulił nos w ścianę. – Jutro byśmy się gdzieś spotkali. Zrobię se listę, kumpel to, kumpel tamto. Wiesz, jak jest. Tylko numer mam chyba stary, bo mi się poczta głosowa włącza.

– Zmieniłem.

– Nieładnie, nieładnie. Stary klient już nieważny...

– Spoko, dam ci.

Andrzej wyciągnął telefon i oparł się o bramę. Doktor Rob podyktował mu numer. Andrzej zakończył wpisywanie cyfr uniesionym kciukiem i minął pijaka, który usłyszał od kolegi dobry dowcip z brodą.

– A teraz przesun się, koleś, bo muszę iść na górę. – Doktor Rob wcisnął się między Andrzeja i domofon.

– Jasne, jasne, już się przesuвам – mruknął Andrzej bełkotliwie. – Jutro zadzwonię, okej?

– Spoks.

Andrzej postarał się zagrać rolę do końca. Gapił się to przed siebie, to na telefon, aż Doktor Rob zniknął w bramie. Wtedy przeszedł chwiejnym krokiem do podcieni po drugiej stronie ulicy i zapalił mentola. Wybrał numer Adama. Już nie patrzył na fioletowo-różową imprezę. Mało go obchodziła.

– Jesteśmy umówieni na jutro – powiedział do telefonu. – A ty gdzie jesteś?

– Poszedłem.

– Dokąd poszedłeś? Myślałem, że pogadamy o akcji.

– Zadzwoń jutro, Eryk – odpowiedział głucho Adam. – Ja muszę jeszcze pooglądać miasto.

Rozłączył się. Andrzej zerknął z ukosa na imprezkę. Doktor Rob był już pewnie na górze i rozdzielał na prawo i lewo chemiczne eucharystie. „Niech i tak będzie, do jutra!” Poczul się zmęczony, ale też strasznie zadowolony z siebie. Udało się! Piątek trzynastego nie przyniósł pecha. Norbert był już na widelcu, a na horyzoncie majaczyło zakończenie całej tej historii. I jego snów o ucieczce przez rozgrzane piaski.

**Sobota,  
14 października, 9:46**



Jan Adler postawił przed Marcinem, Frankiem i Zuzią talerze ze złotym otokiem. Na śniadanie były tosty z dżemem truskawkowym i kakao. Sterylny dom w czarno-białej kolorystyce zapachniał na chwilę tak, że Marcinowi żal było opuszczać to miejsce.

– Koniec laby, drogie dzieci. – Adler uśmiechnął się do całej trójki. – Dziś wraca mama, od jutra przechodzimy z powrotem na dietę bezglutenową i jogurty zero procent.

Nie wyglądał dziś jak aktor z dorobkiem i facet katujący syna Ezopem. Raczej jak nieco bardziej zadbany emeryt. Nalał sobie kakao z metalowego garnka do dużego kubka i wypił połowę jednym haustem. Potem stał i patrzył dobrotliwie na głowy zajadających się tostami dzieci. „Jak dziadek” – pomyślał Marcin.

– Mogę pana podwieźć do centrum, panie Marcinie – zaproponował. – Po śniadaniu jedziemy na lotnisko. Żona pewnie wolałaby taksówkę, ale zrobimy jej niespodziankę. Prawda?

Zuzanna wyrzuciła ręce w górę z głośnym „taaaak!”. Nawet Franek słabo się uśmiechnął. Marcin musiał jeszcze zadzwonić do Bolka i umówić się na wieczorną wycieczkę do burdelu pod miastem.

– Zanim pojedziemy, chciałbym, żeby coś pan zobaczył. – Adler odstawił kubek z kakao.

Przeszli przez hol do pomieszczenia gospodarczego. Aktor otworzył zwykłe szare drzwi techniczne. Weszli do garażu.

Stały w nim dwa samochody. Wzrok przyciągał nowy nissan w kolorze szary metalik, bez ani jednej ryski na karoserii. Auto wyglądało, jakby dopiero co opuściło salon.

– Jak się panu podoba mój nowy nabytek? – spytał Adler. – Klimatyzacja, automatyczna skrzynia biegów, kontrola trakcji, bluetooth, szmery bajery.

– Bardzo ładny. Ale ja się nie znam na samochodach. Wygląda na drogi.

– Drogi to rzecz względna, panie Marcinie. – Adler się uśmiechnął. – Zależy od portfela kupującego. Ale to nieważne.

– No więc? – spytał Marcin. – Co chciał mi pan pokazać?

– A to. – Aktor wskazał drugi samochód. – Ford focus, jedenaście lat i spory przebieg. Zjeździł ze mną pół Polski. To kombi, jak pan widzi. Wozilem nim dzieci od małego, z żoną na zmianę, przedszkole, lekarz i tak dalej. Duży bagażnik, zmieści się wózek i nie tylko. Nie przydałby się panu taki? Kiedy pana żona rodzi?

Marcin przyjrzał się czerwonemu focusowi. Na pierwszy rzut oka wszystko było z nim w porządku. Miał lekko skorodowane przednie nadkola. Gdyby Bolek wstawił go na kanał, być może znalazłby jakieś poważniejsze usterki. Ale sprawiał wrażenie solidnego.

– Za dwa miesiące. – Marcin postukał butem w oponę. – Nie wiem, musiałbym się zastanowić.

– Kazano mi go sprzedać jak najszybciej. – Adler uśmiechnął się z ironią. – Bo zajmuje miejsce. Szkoda mi go, zżyłem się z nim, no ale cóż?

– Ile pan za niego chce?

– Niech pan sprawdzi w internecie ten rocznik i odejmie pięć tysięcy, takie małe równanie matematyczne dla higieny umysłu. – Otworzył przednie drzwi. – Wszystko jest z nim w porządku. Wymieniłem mu silnik, zanim pojawiło się tanto cudo.

Marcin gapił się na forda focusa i próbował wyobrazić sobie, jak już niedługo, w grudniu, wyjdą ze szpitala po porodzie. On zapina na tylnym siedzeniu pas na foteliku-kołysce z małym Jurkiem, a Marta siada obok i wzrokiem dziękuje mu, że pomyślał o samochodzie. Zrobił coś dla nich.

– Muszę się skonsultować z żoną – powiedział. – Mogę zrobić mu zdjęcia?

– Jasne, otworzę garaż, żeby było więcej światła.

Marcin wszedł z powrotem do domu, z leżącego w kuchni plecaka wyjął aparat Marty. Pół minuty później zrobił kilka zdjęć – z przodu, z tyłu, z boku. Potem wszedł na tylne siedzenie i pstryknął parę razy przód – fotele, deskę rozdzielczą, kierownicę, schowek pod przednią szybą.

– A co z pańskim śledztwem, panie Marcinie? – spytał Adler. – Jakieś postępy?

– Postanowiłem trzymać się tropu dziewczyny Artura – rzucił Marcin niedbale, wciąż patrząc na ekran aparatu. – Tej nieszczęśliwej prostytutki. Ale nawet nie wiem, jak się nazywała.

Aktor pokiwał głową w zamyśleniu.

– Będzie pan coś z tym robił? – spytał.

– Jeszcze nie wiem. – Marcin podniósł wzrok na Adlera. – Zniknęła osiem lat temu. Wtedy, kiedy zginął Artur. Dariusz Sosnowski jest dziwnym człowiekiem, sam pan wie. Szkoda, że nie zdążyli panowie wtedy rozwinąć tej myśli. Że dziewczyna podobała się Dariuszowi... to znaczy ojcu Artura.

– No, szkoda. – Adler lekko się spiał. – Pogrzebie pan przy tym głębiej?

– Zastanowię się.

– Niech pan się weźmie do roboty, panie Marcinie. W piątek jadę na spotkanie z producentem. To będzie całkiem spora impreza, otwarcie hotelu. Byłoby dobrze, gdyby do tej pory coś pan jeszcze napisał.

– Postaram się.

– Dobrze by też było, gdybyście w końcu zamienili słowo. Powinien pan ze mną pojechać.

Czterdzieści minut później mknęli we czwórkę nissanem w kolorze szary metalik w stronę centrum Warszawy. Na moście Poniatowskiego Marcin obejrzał się – Zuzia i Franek w ciszy oglądali na tablecie ulubiony serial przyrodniczy Zuzanny o jaszczurkach. Wysiadł przy metrze Centrum, pożegnał się z Adlerem, pomachał Frankowi i delikatnie zamknął drzwi.

Z wypchanym plecakiem zjechał na piętro galerii handlowej nad stacją. Przystanął na chwilę przy księgarni z komiksami i zerknął na wystawę, szukając wzrokiem zeszytów z przygodami Spider-Mana. Znalazł jeden.

Wyjął telefon, przesunął palcami po ekranie i z zaciśniętymi szczękami wpatrywał się w numer Andrzeja. Odkąd wstał, myślał tylko o tym, jakim kutafonem okazał się Rulewski. Nie zadzwonił. Nie wysłał żadnej wiadomości. Nie dał znać, czy udało mu się trafić na ślad Norberta. A jeśli tak, to co zamierza z tym zrobić. Nic, cisza.

„Coś mogło mu się stać – pomyślał. – Wszedł gdzieś, gdzie nie powinien. Dostał w twarz albo gorzej, może leży w szpitalu albo związany w jakiejś piwnicy...”

W końcu wysłał wiadomość. „Wszystko OK?”

Zaraz potem zadzwonił telefon, ale to nie był Rulewski.

– Cześć, wygnańcze. – Usłyszał zmęczony głos swojej żony i znajomy dźwięk zamykania klapy od podwórkowego śmietnika.

– Cześć, słomiana wdowo – odpowiedział.

– Julia przekazała mi, że dzisiaj do nas wracasz.

– Wieczorem.

– Dlaczego nie już?

– Muszę załatwić jeszcze jedną sprawę.

– Prawdę mówiąc, to samowolnie przedłużyłeś sobie te ferie. I coś mi się zdaje, że to ja bardziej odczułam to jako karę niż ty. Trochę to niesprawiedliwe. Wczoraj wieczorem naszło mnie, żeby się pozbyć Julii. „Ale nie”, pomyślałam. Ty narobiłeś mi bigosu, więc też się z tym trochę poużeraj.

– Kurde. A już myślałem, że...

– Nie – przerwała mu. – Nocne zdjęcia się udały?

– Tak sobie. Wszystko rozmazane.

– Więc co? Może jednak już wrócisz?

– Daj mi jeszcze ten dzień – wystękał. – Obiecuję, że jutro rano obudzisz się ze mną u boku. Jeśli nie zamkniecie z Julią środkowego zamka oczywiście.

– Dobrze – powiedziała Marta z dziwnym smutkiem. – Ale pod warunkiem, że jutro wszystko mi opowiesz przy obiedzie.

Marcin wypuścił głośno powietrze.

– Tak zrobię – obiecał.

Andrzej siedział w porsche zaparkowanym na tyłach kina Muranów i słuchał podkomisarza Kamila Rajsera, który siedział obok i rozmawiał przez telefon z kolegą gliniarzem. Zerknął na swój – to Marcin Bielawski wysłał mu troskliwego SMS-a. Odpisał.

„Tak, wszystko spoko”.

Przez noc nie wymyślił żadnego misternego planu, oprócz tego, który wpadł mu do głowy, gdy stał pod Cordobą. Chciał zwabić Doktora Roba do samochodu pod pozorem zakupu większej ilości dragów na popijawę z kolegami. Tamten przyjdzie i od słowa do słowa zrobi się tak, jak z Downem Maćkiem. Wszystko nagra się na ukryty w kurtce dyktafon. Co prawda nie było już na podorędziu medalionu, żeby zaświecić tamtemu przed oczami. „Co za palant ze mnie – pomyślał Andrzej ze złością. – Pozbyć się tego w takiej chwili, pod wpływem impulsu, że klątwa, że Igor od tego oszalał, że serce bolało...”

Ale póki co wszystko szło do przodu i nie chciał już wkręcać Bielawskiego w akcję. Gość nie był mu do niczego potrzebny. Zadzzwoni do niego po wszystkim i zreferuje swój sukces.

Rajser zakończył rozmowę i odłożył telefon pod szybę.

– Doktor Rob, powiadasz. – Podrapał się po głowie. – Wiemy tyle, że jest ktoś taki i że kręci się po mieście.

– To ja sam wiem, bo gadałem z nim wczoraj twarzą w twarz – mruknął Andrzej. – Psychopata, kurwa mać. Zapuścił włosy i ubrał okulary, ale po oczach to dalej świr. Pewnie dalej wali konia nad komiksami ze Spider-Manem.

– Że co?

– Jara się tymi komiksami. W ręce nawet miał jeden.

Rajser nic nie odpowiedział. Zaciągnął się elektronikiem.

– No więc jest tak – zaczął po chwili. – Kumpel od nierozwiązanych spraw zgodził się, że będziemy cię ubezpieczać. Trochę bez entuzjazmu, bo uważa, że to błazenada. Start robimy o osiemnastej. Jeździmy za tobą po mieście. Możliwe, że koleś nie wsiądzie i będzie chciał ci tylko opylić koks. Wtedy koniec akcji.

– Nie zgarniecie go?

– Nie. – Kolejna chmura dymu zasnęła wewnątrz porsche. – Jak wsiądzie i z czegoś się wysypie, albo zrobi się gorąco, to się zatrzymujesz i wysiadasz. My wtedy robimy swoje, okej?

Andrzej pokiwał głową. Rajser przez chwilę wapował w milczeniu. Sięgnął pod kurtkę i wyciągnął z kieszeni malutkie plastikowe pudełeczko.

– Daj mi telefon – powiedział.



Andrzej posłusznie podał komórkę Rajserowi. Ten wyłączył ją, zdjął tylną klapkę, wyjął z pudełeczka niewielką kartę pamięci i włożył koło baterii. Zatrzasnął klapkę i oddał telefon Rulewskiemu.

– Jak teraz włączysz, to będę cię miał na radarze. – Rajser uśmiechnął się blado. – Nie musisz nic robić. Każdy twój ruch będę widział na swoim telefonie.

Andrzej pokiwał głową. Poczł się trochę lepiej. Rajser i jego kumpel będą nad nim czuwać. Chwała im za to.

– To nie znaczy, że będę słyszał, o czym będziecie gadać – dodał policjant. – Do tego musiałbym zrobić *root* w telefonie, a to za dużo babrania. Więc naładuj porządnie akumulatorki, no i nie zapomnij włączyć dyktafonu.

– Okej.

– Gdzie zamierzasz się z nim umówić?

– Jeszcze nie wiem. Nie dzwoniłem do niego.

– Postaraj się, żeby cię nie wciągnął na żaden parking podziemny ani na strzeżone osiedle. Gdzieś normalnie, na ulicy. Tak, żebyśmy nie stracili cię z oczu.

Twarcz Rajsera nie wyrażała emocji, Andrzej czuł za to, że wszystko w środku wibruje mu jak mocno szarpnięta struna gitary. Gliniarz wysiadł z porsche i odszedł w swoją stronę, a Andrzej bił się z myślami. Adam... Ten koleś był niespełna rozumu. Wczoraj zniknął tak nagle, a Andrzej miał nadzieję, że nie poszedł jednak załatwić Norberta po swojemu. Wyjął komórkę i przez chwilę patrzył na listę ostatnich połączeń. W końcu zdecydował.

– Cześć, Adam. Eryk z tej strony – powiedział.

– Eryk. Tak. Pamiętam. – Usłyszał matowy głos w słuchawce. – Sorry, że wczoraj tak uciekłem. Emocje, rozumiesz.

– Gdzie nocowałeś, Adam? Wróciłeś do domu?

– Nie. Chodziłem. Dużo chodziłem po mieście. Dawno nie chodziłem. Sporo się zmieniło. Wszystko jest inne. Lubię zapachy. Przespałem się na ławce. W parku. Ty mnie rozumiesz, Eryk, prawda?

Andrzej uśmiechnął się blado.

– Coś tam rozumiem.

– Dzwoniłeś już do Norberta?

– Jeszcze nie. Chcesz przy tym być, Adam? Jak się wysypie?

– Wiedziałem, że mnie rozumiesz, Eryk.

– Nie jestem pewien, czy mogę to zrobić.

W słuchawce zaległa cisza.

– Nie zrozum mnie źle – ciągnął Andrzej. – Muszę to zrobić sam. Ale jeśli mi się uda, to dzięki temu będziesz wolny, rozumiesz? Od tych głosów. Dam ci potem posłuchać, jak koleś bierze wszystko na siebie. Czy to nie jest fair?

Cisza. Brzęcząca jak komar cisza. „Cholera – pomyślał Andrzej. – Czy dobrze robię? Czy on nie uprzedzi mnie i nie zrobi jakiejś głupoty?”

– Zakupy muszę zrobić – odezwał się w końcu Adam. – Chyba muszę odpocząć. Dobrze mi robi ruch. Ruszę niedługo w trasę. Pieszko. Dużo czasu. Z plecakiem. Jesienią może być pięknie.

– Jasne – mruknął Andrzej.

– Nie tak miało być, Eryk.

– Przepraszam.

Andrzej zakończył tę dziwną rozmowę. Jakiś cichy głos z tyłu głowy mówił mu, że coś jest nie w porządku. Uciszył go. Miał jeszcze parę długich godzin do wieczora. Powinien wrócić do domu, zjeść coś, napić się kawy. Położyć się na chwilę i spróbować wszystko to sobie wyobrazić, z *Grą o Tron* ściszoną na minimum. Bał się tylko, że zaśnie, a gdy się wybudzi, będzie miał w głowie nieprzyjemną watę.

„Nie ma co. Wszystko będzie dobrze”. Stwierdził, że nie chce mu się wracać do domu. Wolał zostać na mieście, przejść się gdzieś albo zaszyć w kawiarni. Wysiadł z samochodu i wszedł po schodkach w półokrągłą bramę muranowskiej kamienicy, a po kilku krokach zobaczył poniżej fontannę na placu Bankowym.

Stał dokładnie nad kinem Muranów.

Teresa rozparła się wygodniej w fotelu i wpatrzyła w odbijające posadzkę lustrzane panele, wypełniające przestrzeń pod kontuarem kawiarni. Tuż obok stały dwie szczupłe łydki w obcisłych zielonkawych dzinsach i skórzanych półkowbojkach, a pośladki ich właścicielki ukryte były za wyciągniętym swetrem, sięgającym do połowy uda. To była Paulina, korektorka z jej redakcji,

jedyna kobieta w bezpośrednim otoczeniu Teresy, która całą sobą mówiła światu: „Jestem bi, z mocnym naciskiem na les, i dobrze mi z tym”.

Miały jeszcze pół godziny do seansu. Paulina poszła zamówić dla siebie i dla Teresy dwie mrożone latte i po kawałku ciasta, a Teresa wpadła w zadumę nad swoim dziwnym eksperymentem. Randka z Fredsonem zakończyła się podwójnym kacem następnego dnia. Że za dużo wypila to jedno. A drugie, że zaczęła żałować, że wrzuciła na fejsa to zdjęcie, na którym mąż Marty i brunetka trzymali się za ręce. Po co to było? Czy to jej sprawy? W środę skasowała zdjęcie z profilu w nadziei, że Marta nie zdążyła go zobaczyć. Niech dziewczyna sama się nauczy, jak wygląda życie.

A więc eksperyment... Dała sobie dwa dni na sprawdzenie, czy jara ją lesbijskie porno. Laski wczuwały się i to było nawet miłe, zmysłowe, ale Teresa oglądała to jak przez szybę. W czwartek po pracy wzięła prysznic, zakopała się w pościeli i spróbowała jeszcze lesbijskiego seksu w wyobraźni, za partnerkę obierając sobie Paulinę z redakcji. Masowała się długo, coraz mocniej i mocniej, ale fantazje na temat nagich kobiet rozpierzchały się w jej głowie jak obłoczki pod naporem wiatru. W drugim podejściu nieoczekiwanie pojawił się przed nią ten facet z lobby, dziennikarz, pieprzone biurowe książątko. Wyglądał na tak bardzo spragnionego czułości, że Teresa poczuła potrzebę przytulenia go do piersi. Zagryzła kołdrę i doszła, tak intensywnie, że aż się na siebie zezłościła. Wyszła z łóżka do przedpokoju. Spojrzała w lustro i stwierdziła z rozpaczą, że jeśli nic ze sobą nie zrobi, to już zawsze będzie sama. Już nawet nie chodziło o wygląd ani o seks. Chodziło o ten brak miłości w oku. Brak miłości do czegokolwiek. Nawet do samej siebie.

Przez pół piątku oganiała się od natrętnych myśli na temat tamtego faceta. Od dwóch dni nie schodził do palarni. Albo rzucił palenie, albo łązi gdzieś po mieście. Pieprzyć go. I tak jest pewnie chujem, takim samym jak pozostali. Trzeba wypróbować nowe ścieżki, świeże, niewydeptane.

Stąd właśnie ten wypad z Pauliną do kina Muranów. „Ciekawe, czy ona traktuje to jako randkę” – myślała Teresa, obserwując szczupłe plecy koleżanki. Miała cichą nadzieję, że nie, bo jej samej w niczym nie przypominało to randki. Po prostu obgadają redakcyjne ploty, obejrzą film i rozejdą się każda do swoich spraw.

Andrzej stanął przy kasie w ciemnym socrealistycznym holu i zerknął na listę najbliższych seansów, ale tytuły nic mu nie mówiły. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie zawitał do tego przybytku, grającego ambitne artystyczne kino. Obrócił się i spojrział na plakaty. Wodził wzrokiem, aż natrafił na jeden – na jego widok poczuł mrowienie na karku. Dwanaście portretów Cate Blanchett w różnych stylizacjach, w tym jedna na starego dziada, żebraka z obślinioną brodą i wełnianą czapką. I jedna na czarnowłosą lubieżną *rockwoman*. „Oj, będzie się działo”. Uśmiechnął się pod nosem.

Kupił bilet na najbliższy seans, zszedł po schodach do kawiarni i tam stanął jak wryty.

Ta blond czterdziestka z palarni, mamuśka z wiecznie zaciśniętymi ustami i rozpuszczonymi, nieco przetłuszczonymi włosami. Siedziała przy stoliku ze szklanką latte przy ustach i patrzyła z nieobecny półuśmiechem na kobietę naprzeciwko. Ta druga nawijała o czymś, terkotała, gestykulowała, a blond czterdziestka głównie patrzyła i popijała kawę. Dziś wyglądała inaczej, chyba była u fryzjera i zmieniła szampon. Świeże pasemka, postrzępiona grzywka. No i ten słaby uśmiech bez szczękościsku.

Andrzej nie miał zamiaru jej się pokazywać, najchętniej wszedłby od razu do ciemnej sali kinowej, gdzie mieli grać film o dziwnym tytule *Manifesto*. Ale sala była zamknięta, nie było przy niej biletera, więc odwrócił się i chyłkiem przemknął do kontuaru. Zamówił espresso, wychylił je duszkiem jak setkę wódki i popił wodą.

Podziałało. Oczy mu rozbłysły, zazgrzytały kosteczki pod dwudniowym zarostem. Odwrócił się akurat w momencie, gdy drzwi do sali otworzyły się i stanęła przy nich dziewczyna z obsługi. Ruszył, kątem oka zauważając, że blond czterdziestka odprowadza go wzrokiem, z oczami szeroko otwartymi od zdumienia. Podał bilet do kontroli i obrócił się na chwilę. Stała dwa metry za nim i gapiała się wprost na niego, z tą drugą, wciąż trajkoczącą o tym, na jakim zajebistym koncercie była w zeszłą sobotę.

Puścił jej oko i zniknął w ciemnej sali.

Adam wyszedł z Carrefoura w Galerii Wileńskiej i stanął przy trafice. Spojrział w ekran smartfona. Była trzynasta trzydzieści. Dużo czasu, stanowczo za dużo. Głosy domagały się pośpiechu, akcji, działania. Jak *animal!* Ale teraz, gdy Eryk

go wystawił, pozostało czekać cierpliwie na ten drugi telefon. Na pewno się odezwie, Adam już się o to postarał. Udało się wczoraj, tam pod tą księgarnią z komiksami. Staremu kumplowi aż świeciły się oczy, gdy wjeżdżał schodami ruchomymi na górę, a potem ruszył pod Cordobę.

Wyczyścił portfel do cna w tym sklepie, chociaż to nie dziwne, bo miał tam może ze dwieście złotych. Kupił duży plecak. Był duży, bo powinien zmieścić wszystko, co było Adamowi potrzebne na wycieczce. Ręcznik przyda się na pewno. Pewnie trzeba będzie też rozwiesić pranie. A może i rozpalić grilla. I czymś pokroić chleb i kiełbasę.

Wszystko powoli układało się w jedną całość, choć niektóre puzzle żyły własnym życiem i wyskakiwały ze swoich miejsc jak nieposłuszne zwierzątka. Tak jak Eryk.

„Nie, Eryk, nie zepsujesz mi tego. Nie odbierzesz mi mety trzeciej drogi. Jest na wyciągnięcie ręki”.

„Tym, którzy nas nie rozumieją, mówimy z maksymalną pogardą: «My, wobec których macie się za sędziów, pewnego dnia osądzimy was!»” – zaskrzeczał z dziwnym angielskim akcentem stary dziad z obślinioną brodą i wykrzywił się tak, że Andrzej aż się wzdrygnął. Jedna z wielu twarzy Cate Blanchett zniknęła z ekranu, a Andrzej pomyślał, że to było najdziwniejsze półtorej godziny w jego życiu. Zapamiętał pierwsze ujęcie – coś jakby iskry z wielkiej zapalniczki, która okazała się lontem od fajerwerków. Niepokojąco skojarzyło mu się to z Igorem. Potem stopniowo odpływał, nie nadążając za manifestami artystycznymi wypowiedzianymi przez kolejne wcielenia Cate. Musiał na chwilę przysnąć i obudzić się w momencie, gdy nakładała perukę na łysą głowę lalki z jej karykaturalną twarzą. „Wierzę w czystą radość wędrowni człowieka z dowolnie wybranego kierunku, do jakiegokolwiek celu, idącego dowolną drogą, poza ścieżką rozumu” – to na niego podziałało. Zgadzał się z tym. I miało to sens, gdy pomyślał, że miał wrócić do domu, a siedzi w ciemnej sali, z tamtą kobietą z jego redakcyjnej palarni i jej koleżanką pięć rzędów przed nim. I że jeszcze tydzień temu w ogóle nie pamiętał o Igorze, a dziś miał stanąć twarzą w twarz z jego mordercą.

Rozbłysły światła i wstał odrętwiały. Mógł czym prędzej wyjść z kina, ale zwolnił kroku. Przystanął. Tamta kobieta też przystanąła, spojrzała na niego,

a potem nachyliła się do ucha koleżanki, która kiwnęła głową i wyszła z sali, zostawiając ich samych.

Blond czterdziestka przechyliła głowę.

– Dziwnie tak pana spotkać... w kinie – zagaiła.

– Rzeczywiście, nie planowałem.

– Jak się panu podobał film?

– Zarąbisty – odpowiedział Andrzej z ironią. – Półtorej godziny walenia po głowie. Tego mi było trzeba.

– A Cate Blanchett?

– Moja miłość do niej jeszcze wzrosła.

Uśmiechnęła się.

– Nie przychodzi pan na papierosa.

– Od trzech dni jaram w plenerze. Ale w poniedziałek wracam do naszego grajdołka.

Kobieta wyglądała, jakby skończyła jej się wena, a i Andrzej nie wiedział, co mógłby jeszcze powiedzieć.

– No to do poniedziałku. – Ruszyła do wyjścia.

– Do zobaczenia – odpowiedział.

„Dziwne – pomyślał. – Gdy się chociaż na chwilę uśmiechają, wyglądają zupełnie inaczej”. Nawet jeśli ten błysk w oku był odrobinę wymuszony, to Andrzej nie mógł odmówić tej kobiecie surowego wdzięku.

Zerknął w telefon. Do akcji zostały trzy godziny. Wyszukał w głowie adres najbliższego Sphinxa. Musiał coś zjeść, zadbać o bardziej prozaiczne potrzeby ciała, no i wyrzucić z głowy nieznośną Cate Blanchett, która wyświetlała mu się pod powiekami, ilekroć przymknął oczy.

Siedemnasta trzydzieści. Zjechał z Marszałkowskiej w jedną z wąskich śródmiejskich ulic. Z trudem znalazł miejsce do zaparkowania i wybrał numer Doktora Roba.

– No i jak tam, stary? – Przybrał wesołkowaty ton. – U mnie impra powoli się rozkręca. Powiedziałem im, że załatwię najlepszy koks. Że takiego jeszcze na oczy nie widzieli. Co ty na to, żeby spotkać się o osiemnastej na Hożej?

Doktor Rob słuchał tego słowotoku w milczeniu, a potem Andrzej usłyszał jakby ziewnięcie.

– Weź, człowieku – odezwał się niedbale głos w słuchawce. – Niedawno wstałem. Chyba zrobię sobie dzisiaj wolne.

– Ej no, nie rób mi tego. – Andrzej przełknął ślinę.

– Nie znam cię w ogóle.

– Dostałem namiar na Cordobę. To ci nie wystarcza?

– Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś psem?

– Kurwa... – zachnął się Andrzej z rezygnacją w głosie.

„To koniec – pomyślał. – Nie udało się. Wyczuł coś”.

– No dobra – usłyszał po chwili. – Jest szansa, że gdzieś cię upchnę. Osiemnasta piętnaście. Na Lipowej pod BUW-em. Pasuje?

– Pasuje.

Doktor Rob się rozłączył. Andrzej odetchnął z ulgą.

Marcin wyszedł z kina na ostatnim piętrze Złotych Tarasów i próbował skoncentrować wzrok na jasnej przestrzeni poniżej, wypełnionej po brzegi mrówczym tłumem. Dwie i pół godziny filmu *Blade Runner 2049* wyczyściły mu głowę z historii Artura niemal do cna. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdyby poznał kiedykolwiek dziewczynę z burdelu, to miałaby twarz Any de Armas, aktorki grającej wirtualną Joi.

Wyjął komórkę i włączył dźwięk. Sprawdził nieodebrane połączenia. Zaczął gapić się na ostatni numer z niepokojącą przykrością, rozlewającą mu się po klatce piersiowej.

Dzwoniła do niego Anka. Podał jej swój numer na odchodnym podczas tamtej kolacji, która kosztowała go kończący się właśnie małżeński kryzys i dała parę dni na szwendanie się po mieście.

Walczył ze sobą przez chwilę. Czego mogła chcieć? Randki? Spotkania? Bardziej prawdopodobne, że chciała po prostu zapytać, jak mu idzie ze scenariuszem. W tej kwestii nie miał jej jeszcze nic do powiedzenia. A całą resztę wołał najpierw opowiedzieć Marcie. Nie chciał tworzyć wokół siebie niepotrzebnego chaosu.

Przejechał palcem po liście kontaktów i znalazł Bolka, wiecznie ujaranego mechanika, który miał go dziś zawieźć do tamtego burdelu pod miastem.

– No i jak tam? – spytał. – Odwiozłeś już siostrze graty?

– Ano – odpowiedział Bolek.

– Skąd mógłbyś mnie zgarnąć?

– Dawaj na przystanek przy Wileńskim. Będę tam za godzinę.

Rozłączyli się, a Marcin wszedł na ruchome schody.

Andrzej skręcił z Dobrej w Lipową, przejechał dwadzieścia metrów i zatrzymał się z boku pistacjowego gmachu biblioteki uniwersyteckiej. Przed sobą miał widok na bulwary wiślane i zieloną przestrzeń nad tunelem Wisłostrady. Obrócił się i dostrzegł za tylną szybą skręcający za nim samochód Kamila Rajsera i jego kolegi gliniarza. Auto stanęło u wylotu ulicy, w bezpiecznej odległości. Położył telefon na kolanach. Dla pewności wybrał numer Rajsera i włączył tryb głośnomówiący.

– Widzicie mnie? – spytał.

– Tak, ale rozłącz się już, okej? – odpowiedział Rajser.

Rozłączył się. Położył dłonie na kierownicy i przymknął oczy. Chwilę potem telefon zadzwonił. Andrzej zobaczył na ekranie numer Doktora Roba. Przeciągnął palcem po ekranie.

– Jestem.

– Jaja sobie ze mnie robisz? – spytał Norbert bez ogródek.

– Ale o co chodzi? – Andrzej zacisnął szczęki.

– Masz obstawę.

– Nikt za mną nie jechał.

– A mi się wydaje, że jechał – stwierdził tamten z rozbawieniem.

– Nie...

– Masz siedem minut, żeby dojechać pod Torwar.

– Od której strony?

– Od Łazienkowskiej, ziom. Siedem minut. Nara.

Koniec rozmowy. Andrzej walczył ze wściekłością. To niemożliwe, żeby koleś kogokolwiek wypatrzył. Ale nie było czasu się teraz zastanawiać. Przekręcił



kluczyk w stacyjce i wdusił gaz. Porsche zawyło, wykręciło o sto osiemdziesiąt stopni i wystrzeliło w stronę skrętu w Dobrą. Andrzej dostrzegł jeszcze w tylnym lusterku, jak samochód Rajsera powoli wyjeżdża z zatoczki.

Skreślił z Karowej, włączył się do ruchu na Wisłostradzie i wdusił gaz. Pięć i pół minuty później zobaczył po prawej wyciemniony dzisiaj stadion Legii. Zjeżdżając na niemal pusty parking obok Torwaru, dostrzegł na ekranie smartfona numer Doktora Roba. Odebrał, szukając wzrokiem samochodu, którym według niego mógł przyjechać diler.

– Zmiana planów, kolego. – Niemal zobaczył durnowaty uśmiech po drugiej stronie słuchawki. – Ostry zapierdół mi się nagle włączył. Ale nie po tej stronie Wisły.

– Co ty gadasz? – wycedził Andrzej.

– Dam ci numer do takiego jednego...

– Z tobą się umawiałem...

– Tamten też ma dobry towar.

– Wolę twój.

– No jak chcesz, spoko, luz. Jak się wyrobisz w siedem minut na parking pod Wileńskiem, to jakoś cię upchnę.

Andrzej zahamował z piskiem opon i zrobił nawrót o sto osiemdziesiąt stopni.

– To duży parking.

– Poziom zero. Wjeżdżasz i ciśniesz do końca w róg.

– Znów mnie wystawisz – mruknął Andrzej.

– Taka karma, ziom. Nara.

Wyjechał na żółtym świetle na Wisłostradę, widząc jeszcze zdumioną twarz Rajsera w samochodzie stojącym przy skręcie na Torwar. Zaraz potem wjechał ślimakiem na most Łazienkowski, zignorował pędzący skrajnym pasem autobus i wcisnął gaz niemal do podłogi.

Wjechał na parking pod galerią Dworca Wileńskiego i znalazł miejsce w kącie na poziomie zero, gdzie kazał mu przyjechać Norbert. Niecierpliwie zerkał na wjazd. Tamten zaraz pewnie podjedzie wypasioną furą, beamką albo czymś

w tym guście, jak rasowy diler. Gdzieś tam pod galerię dojeżdża już pewnie zapóźniony Rajser z kolegą. „Żeby tylko tego nie spieprzyć” – Andrzej wyjął spod kurtki dyktafon i zerknął na stan baterii. Full. Powinno starczyć na jakieś trzy godziny. Nie będzie tyle potrzebował.

Zdziwił się. Zamiast beemki zobaczył za boczną szybą Doktora Roba, który wjechał na parking miejskim rowerem, docisnął pedały i zgrabnie wyhamował tuż koło porsche. Facet zsiadł z roweru i odstawił go niedbale pod słupem. Miał na sobie czarną puchówkę, czapkę i rękawiczki. Wyglądał, jakby wracał z rowerowej eskapady po mieście. Albo się na nią wybierał.

Drzwi od strony pasażera uchyliły się i Norbert wsiadł do porsche. Andrzej starał się wyglądać na wyluzowanego, ale serce biło mu jak oszałałe.

– Siema – powiedział od niechcienia Norbert, jakby dopiero co nie przeciągnął Andrzeja po całym mieście. Uśmiechnął się brzydko, chociaż przez lata musiał chyba pracować nad uśmiechem, bo nie przypominał już hieny. – To jaki to ma być towar?

– Koks – mruknął Andrzej. – Taki zwykły szampan.

– Nie lepiej moeta? Twój kumple to pewnie lepszy sort.

– Nie. Szampan wystarczy.

– Masz kasę?

– Jasne.

– To załatwmy to szybko. Mam dziś dużo roboty.

Andrzej się spiął. Położył ręce na kierownicy i pogładził ją, jakby się przyczajał. Nie chodziło przecież o dragi.

– Jak mam do ciebie mówić? – spytał. – Rob?

– Najlepiej by było, jakbyś po prostu wyjął kasę. – Norbert uśmiechnął się, tym razem bardziej hienowato.

Andrzej miał dziwne wrażenie, że coś tu nie gra. Facet też wyglądał, jakby się przyczajał. Tyle że był mniej spięty od Andrzeja.

– Chciałbym z tobą jeszcze pogadać, Rob – mruknął Andrzej.

– To się dobrze składa, bo ja bym chciał z tobą, Eryk. – Norbert obrócił głowę, dojrzał coś za tylną szybą i aż zatrząsał się z podniecenia.

– Eryk?

Andrzeja замуrowało. O co chodzi? Ale nie miał już czasu się zastanawiać. Usłyszał, że drzwi koło niego otwierają się gwałtownie. Cholernie mocne ręce chwyciły go za ramiona, wbiły palce przez kurtkę w ciało i wyciągnęły go z samochodu. „Co się, kurwa, dzieje?!” – myślał panicznie. Uderzył głową o belkę nad drzwiami i jęknął. Norbert sięgnął do wajchy pod deską rozdzielczą, szarpnął. Wskoczył z siedzenia i podbiegł do bagażnika porsche. Podeszwy trzech par butów piszczały po asfalcie. Silne dłonie zerwały z głowy Andrzeja czapkę i chwyciły za włosy. „Rajser, pomóż mi, proszę!” – wołał w myślach. Norbert mocno docisnął mu głowę do klatki piersiowej i Andrzej poczuł przeszywający ból w szyi. Łupnęły kręgi. Serce szalało. Któryś z nich wyrwał mu z wewnętrznej kieszeni kurtki dyktafon. Miał przed oczami tylko brudny, śmierdzący ropą asfalt na podziemnym parkingu. Nie miał nawet czasu pomyśleć, zaskoczyli go, dał się podejść jak dziecko. Wrzucili go do bagażnika jak worek ziemniaków.

A potem kłapa bagażnika zamknęła się z trzaskiem i zapadła ciemność. Po paru chwilach porsche ruszyło z piskiem opon.

Podkomisarz Kamil Rajser zerknął porozumiewawczo na swojego kolegę Feliksa, siedzącego za kierownicą ich nieoznakowanego radiowozu. Skręcili z Targowej w Białostocką i przystanęli na chwilę pięćdziesiąt metrów od wyjazdu z parkingu galerii.

Rajser spojrział na komórkę. Dwa punkty na mapie. Niebieski to oni. Czerwony – porsche Andrzeja – oddalał się Białostocką i był już prawie przy Radzyńskiej.

– Koleś jest zdrowo pojebany, że to robi – wycedził Feliks.

Rajser pokiwał głową, zamyślony. Rozsądek podpowiadał mu, że coś tu śmierdzi i że powinien zadzwonić do Andrzeja. Zapytać, czy wszystko w porządku. Ale wtedy spaliłby akcję. Zaczynał żałować, że nie poświęcili więcej czasu na zrootowanie jego telefonu – wtedy mógłby się podpiąć do mikrofonu i podsłuchać, co dzieje się w porsche.

– Dobra, jedźmy za nim – powiedział.

Andrzej leżał w bagażniku w pozycji embrionalnej i wyobrażał sobie, co będzie, gdy w końcu dojadą w miejsce przeznaczenia. Nie wiedział, dokąd go wiozą. Miał nadzieję, że nie wyrzucili przez okno jego telefonu. Rajser powinien zobaczyć ruch na ekranie smartfona. Może zobaczył też porsche wyjeżdżające z parkingu, a za kierownicą nie jego, tylko tego dilera. Banzaja, Norberta, mordercę Igora. Doktora Roba.

Pięć minut wcześniej na parkingu ten drugi go zaskoczył, ale teraz Andrzej już wiedział, że to był Adam. Nie docenił go. Wcześniej miał brzydkie myśli, że smutny osiłek zrobi jakiś nieoczekiwany ruch, ale nie że aż taki. Nie że spiknie się z Norbertem. Tego kompletnie nie przewidział.

W samochodzie niemal przez cały czas panowała cisza, Andrzej słyszał głównie pomruki silnika. Jechali po równej nawierzchni, tylko czasem koła

wybiły na jakiejś dziurze. Porsche miało dobre zawieszenie, ale Andrzej i tak walił wtedy głową o klapę. Próbował się przekręcić, bez skutku. W pewnym momencie auto wpadło w poślizg i ostro hamowało. Poleciał wtedy do przodu, poczuł w plecach kłujący ból. Musiał nadzieć się na lewarek.

Po dwudziestu minutach zrobili łuk, jakby zjeżdżali po ślimaku, jakieś pięć minut jechali po gorszej nawierzchni, a w końcu zjechali z asfaltu na żwir i zaczęło mocno trząść. Andrzej zamarł. Więc wieźli go wylotówką, a teraz to tamta droga za Radzyminem, jak z Igorem? Znowu piach, sosnowy las i sierp księżyca?

Wyteżył słuch. Wciąż toczyli się po żwirze i piachu. W końcu porsche stanęło. Drzwi z przodu otworzyły się dwukrotnie. Potem przez długą chwilę nic. Andrzej usłyszał kliknięcie zamka i klapa bagażnika się uchyliła, a potem ktoś pociągnął ją gwałtownym ruchem.

Uniósł powoli głowę. Na zewnątrz panował mrok. Tylko dwie ciemne sylwetki i sosnowy zagajnik. Norbert stał z tyłu i obserwował z uwagą, jak milczący Adam łapie Andrzeja za kurtkę i wyciąga go z bagażnika. Klęknął w bagażniku, a potem wysunął nogę i dotknął nią ziemi. Stanął przed Norbertem, błydy i spocony, z Adamem za plecami.

– Spoko, Eryk – powiedział wolno Norbert. – Nie bój żaby. Wszystko wiem. Że to niby ja miałem być w tym jebanym bagażniku. Ale stara miłość nie rdzewieje. Tatko nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Jakiś cud, kurwa, żeśmy się spotkali w tym metrze. Wszystko mi powiedział.

– To znaczy co? – Andrzej próbował obrócić się i spojrzeć Adamowi w oczy, ale grube ręce zacisnęły się mocno na kołnierzu jego kurtki.

– Co za numer z tym szantażem? Znalazłeś podobno kartę z tamtej komórki na śmietniku jakimś. Niezłe jaja. I że życzysz sobie za to pół bańki. Na chuj ci taka akcja? Odjebało ci na starość?

Andrzej zaniemówił i gapił się na faceta z miną idioty. Norbert wyciągnął w jego stronę paczkę papierosów. Andrzej zawahał się, drżącą ręką sięgnął po czerwonego elema. Tamten wyjął z kieszeni spodni dużą benzynową zapalniczkę. Odpalił mu papierosa, Andrzej zaciągnął się i zakasłał.

– Co ja z tobą mam zrobić, Eryku? – spytał Norbert.

Andrzej zobaczył w blasku zapalniczki jego oczy pod okularami w plastikowych oprawkach – jasnoniebieskie, z krótkimi rzęsami. W tych oczach nie było zainteresowania. Tylko jakieś ledwo dostrzegalne rozbawienie.

– Serio masz kartę z telefonu Downa?

Andrzej zaciągnął się znów elemem. Adam... Albo go wystawił, albo wciągnął do jakiejś nieznanej gry, bez z góry określonych zasad. Już chciał rzucić: „Nie, nie mam”, ale poczuł wyrzut adrenaliny w podbrzuszu. To gra Adama. Norbert łyknął jakąś przynętę. On jest Erykiem. Żaden z nich najwyraźniej nie pofatygował się do warsztatu Downa Maćka. Chyba nie znają prawdy o spotkaniu w kantorku nad warsztatem. Andrzej poczuł, że kręci mu się w głowie.

– No, kojarzę cię. – Norbert zaciągnął się mocno, czerwony ognek przez chwilę rozświetlił jego zaciśnięte usta. – Dobry byłeś wczoraj. Ale Tatko mi powiedział, że jeden debil będzie się czaił pod Cordobą. Już się kiedyś spotkaliśmy, nie? Wciągałeś koks w kiblu. Strona szósta. Ruber czy jakoś tak.

– Ruler – mruknął Andrzej.

– I co? Chcesz jeszcze raz pisać o Molten Manie w tej swojej gazecie?

Andrzej miał wrażenie, że Norbert zaczynał się powoli nakręcać. To nie było dobre. A może dobre? Może go pocisnąć? Oddałby wszystko, żeby móc zobaczyć minę Adama za swoimi plecami, ale silny uścisk na kołnierzu nie zelżał ani na chwilę. Musiał coś zrobić.

– Wujek musi mieć już na ciebie wywalone, Norbert, skoro wypierdolił tę kartę na śmietnik – powiedział Andrzej z wilczym wzrokiem, ale czuł, że oblewa się potem. – No i scenariusz. Opisali cię. Przyjechałeś do baru i wyciągnąłeś broń na chłopaka, który bronił koleżanki. Robi się wokół ciebie niezły smród.

Norbert znów zaciągnął się mocno i wydmuchał nad głowę Andrzeja gęstą aureolę z dymu. Uścisk grubych dłoni Adama zelżał. Chwilę potem Andrzej poczuł, że nikt go nie trzyma.

– Nie pamiętam, może – rzucił w końcu Norbert. – Ale z kartą to pojechałeś, człowieku. Gadałem z wujem, wszystko jest git, schowane, jak wcześniej. Nikt nic nie wyrzucał na żaden śmietnik, więc nie mogłeś nic znaleźć. Przejechałeś.

– A spytałeś go przy okazji, czy już się nie gniewa, żeś zostawił wtedy na trupie medalion?

Papieros Norberta zawisł w powietrzu. Facet podszedł na dwa kroki. Andrzej mimo mroku widział teraz jego wypłowiałe oczy, nieco zadarty nos i zaciśnięte usta.

– A skąd ty wiesz o medalionie, Eryku?

– Ja ten medalion miałem przez osiem lat – wyrzucił Andrzej tamtemu prosto w twarz. – Kawał życia. Śniłem o tym po nocach. W końcu zachciało mi się zobaczyć mordę faceta, który mi to zrobił.

– No to teraz masz okazję. Przyjrzyj się dobrze. – Norbert zaśmiał się cicho, odszedł trzy kroki w tył i przyciągnął bliżej Adama, który wyglądał na półprzytomnego, jakby wcześniej w samochodzie nawalił się jakimś dragiem. – Już się poznaliście. Tatko, Eryk. Eryk, Tatko. I co, kurwa? Zadowolony?

– Daj spokój, Norbert. To lipa, obaj to wiemy. Po chuj spaliłeś tego chłopaka? Dla zabawy? Spider-Man? Molten Man? Odjechało ci po jakichś dragach?

– Pieprzenie. – Tamten się skrzywił.

– Nie kapuję, dlaczego Adam ma cierpieć za twoją głupotę – ciągnął Andrzej ze świdrującym spojrzeniem i strużką potu spływającą po plecach. – Wszyscy byliście na haju, naszprycowałeś go jakimś gównem, a potem przywiozłeś do tamtej cementowni razem z Igorem i tym drugim. Miałeś tylko odzyskać błyskotkę dla wuja, a zamiast tego zabiłeś. Ale to Adam siedział przez osiem lat w kanciapie i wariował, nie ty. Posłuchaj mnie, Adam...

„Szkoda, że nie widzę jego twarzy. Szkoda...”

– Dość tego pierdolenia – rzucił ostro Norbert. – Tatko, związuj chuja.

Adam nie zareagował. Norbert podszedł do niego i klepnął go trzy razy w twarz. Wybudził go z letargu i pchnął na Andrzeja. Polecieli obaj w stronę sosny, zaraz potem Andrzej poczuł na klatce piersiowej potężne ramię i łokieć, a jego stopy uniosły się dwadzieścia centymetrów nad ziemię. „Tak samo” – pomyślał z przerażeniem.

– Adam, pliz... – wydusił z zaciśniętej krtani.

Milczący facet nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Z boku podszedł do nich Norbert z otwartym plecakiem Adama.

– No, no, nieźle, Tatko – mruknął z uznaniem. – Ma się ten łeb na karku. – Wyciągnął z plecaka zwiniętą linkę w fioletowym plastiku. – Dzisiaj nie będziemy prania rozwieszać, tylko pana Eryka.

Zacisnął linkę wokół nóg Andrzeja i rozwijał ją powoli w górę, okręcając dookoła Andrzeja i pnia drzewa. Gdy doszedł do klatki piersiowej, Adam lekko poluzował nacisk. Andrzej miał wrażenie, że gdyby teraz go puścił, to runąłby w przód i zawisł na sośnie.

– Chcesz posłuchać? – spytał Norbert, wiążąc trzy grube węzły na szyi Andrzeja. – Igor dilował, spoko, to już pewnie wiesz. Tak cię to wszystko jara. Dla mnie żaden problem. Żaden. Żadna konkurencja. Że zwinął dziewczynie medalion? Też już wiesz, nie? Podśluchałem u wuja.

– Jakiej dziewczynie? – Andrzej przełknął ślinę.

– Ooo, widzę, że coś ci umknęło. Tej z burdelu wuja, tej dziwacznej, z zielonym okiem i niebieskim okiem.

– To był jej medalion...? Dżizas...

Nie mógł uwierzyć. Teraz to wszystko naprawdę układało się w jedną całość. Ale po co? Co była warta ta błyskotka, skoro nosiła ją na co dzień otumaniona dziwka, podrzucana takim chłopakom jak Igor i Artur?

– Podlizać mu się chciałem – gadał dalej Norbert. – Żeby zobaczył, że jestem spoko. No to pojechałem raz na osiedle i patrzę, stoi ten włochaty frędzel na parkingu. Mówię mu: „Oddaj, co nie twoje”. Po dobroci. To zamiast mi oddać, to się śmieje, kurwa, „spierdalaj, pedale” mi powiedział, śmieje się dalej, fucka mi posłał. I poszedł. Jak takiemu darować? Nie drugi raz, myślałem wtedy. Nie po tym Goblinie z baru.

Andrzej przymknął oczy. Tak Banzaj nazywał Artura w scenariuszu. Chłopak rozjuszył Norberta swoją wendettą z hamburgerami. Obelga Igora dopełniła czary goryczy. Dziwne to wszystko. Jeden z tych chłopaków przyczynił się w pewien sposób do śmierci drugiego.

Ale nie. Coś tu nie grało.

– Igor nie mógł ci tego powiedzieć – powiedział Andrzej cicho. – Srał po gaciach przez cały miesiąc, jak miał ten medalion. Dostał paranoi, obsesji, wszystkiego naraz. „Spierdalaj, pedale”? To się nie trzyma kupy.



– A ty co, Eryk? – Norbert odkaslnął. – Robisz za psychologa w redakcji? Skąd mam wiedzieć, czemu tak powiedział?

– Nie, Norbert. Tam było coś jeszcze, prawda?

Norbert spojrzał na Andrzeja nieprzyjemnie. Dotknął skroni rozczapierzonymi palcami. Jakaś scena z przeszłości uparcie dobijała się do niego i nie chciała odejść.

Przypomnił sobie taki jeden zwykły wiosenny dzień. Mimo że był dopiero kwiecień, słońce paliło straszliwie i na białą, miało się wrażenie, że to promienie gamma z kosmicznego lasera, że wrzynają się w mózg i ustawiają tam wszystko po swojemu. Wzbudzały wkurw – ta jasność była nieprzyjemna, wroga, człowiek miał ochotę dojechać komuś choćby za to.

To był chyba wtorek, a w weekend był grill u wuja. Wuj i reszta gadali o czymś przy wielkich iglakach. Wuj zawsze wzrokiem odganiał Norberta w stronę rodzinnej części imprezy, do ciotki, matki i bachorów skaczących jak oszalałe na ogrodowej trampolinie. „Jak dzieciaka” – myślał wtedy Norbert ze złością. Ale tamtego dnia jakoś nie zwrócił na niego uwagi i Norbert podszedł bliżej tych facetów: wuja, tego łysego z dziwnym uchem i paru innych z tamtego osiedla – same szpakowate głowy, niczym jakaś rada starszych.

– Majka mówi, że ta mała dostaje świra – powiedział wuj, na tyle głośno, że Norbert go dosłyszał. – Ktoś podebrał jej błyskotkę, już jakiś czas temu. Taki wisiorek, który od kogoś dostała. Majce to wygląda poważnie, jakby mała chciała sobie coś zrobić.

– No masz, panie, problemy. – Łysy z uchem zaśmiał się brzydko. – Kup dziewczuszce nowy i po sprawie. Mało to biżuterii?

– Nie ma co żartować – odezwał się poważnie jeden z pozostałych. – To coś mogło mieć dla dziewczyny specjalne znaczenie. Niektóre przedmioty mogą zawrzeć w sobie część uczuć, którymi...

– Uuu, powiało horrorem – przerwał mu bezczelnie łysy.

– ...którymi darczyńca darzy obdarowanego – dokończył tamten i zmierzył łysego nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Jak to coś wyglądało? – spytał prawnik wujka, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

– Trzy róże i dwa pistolety – odpowiedział wuj. – Pytałem Majki, kto to małej dał, ale ona mówi, że nie pamięta.

Starszyzna pokiwała głowami i zapadła cisza, nieco dziwna, jakby każdy z tych facetów chciał coś jeszcze dodać, ale nie miał odwagi otworzyć ust. Norbert wycofał się w stronę domu. Wiedział, o co chodzi i kto ukradł medalion. Down Maciek mu powiedział, że po jego osiedlu kręci się taki włochaty muzyk i chwali się taką właśnie biżuterią. Różami i pistoletami.

Więc w tamten piekielnie słoneczny wtorek wsiadł do samochodu i ruszył do burdelu wuja pod miastem. Chciał najpierw na własne oczy zobaczyć tamtą małą. Jeśli przyniesie jej z powrotem medalion, to może będzie miał z tego dodatkowy *fun*. Jadąc, wyobrażał sobie, że laska będzie mu obciążać za darmo do końca życia.

Wysiadł i bez zbędnych ceregieli nacisnął złotą klamkę. Przy barze nikogo nie było. Skórzana sofa stała pusta. Spojrzał w górę, ale u wylotu schodów obłożonych dywanem też nikogo nie dostrzegł.

– Ej, jest tu kto? – zawołał.

Cisza. A potem jakiś ruch od strony schodów prowadzących w dół, pewnie do piwnicy. Po chwili do holu weszła niska szczupła dziewczyna, brunetka, falujące włosy w nieładzie. Miała na sobie szary bawełniany dresik w fioletowe misie.

– Dzisiaj nie pracują – powiedziała wolno, nienaturalnie. – Majki nie ma. Nikogo nie ma.

– A ty co tu robisz? – spytał Norbert.

– Ja śpię. Potrzebuję snu, dużo snu. Tylko sen mi został.

Podeszła bliżej, a wściekle słońce padło z okna na jej twarz. Przyłożyła dłoń do skroni. Norbert przełknął ślinę. Jedno oko dziewczyny wyglądało na chore – było zażółcone, zielonkawe, zmrużone, z opadającą powieką. Drugie, niebieskie, patrzyło na niego bez żadnej emocji.

Odwrócił głowę. Widok tych oczu przyprawiał go o gęsią skórkę na szyi, na plecach, nawet na łydkach.

– No spoko, luz, śpisz, to śpij – wycedził. – Ale może wiesz chociaż, której z tutejszych zwinięto ostatnio medalion? Ładna świnią? Mam info o zgubie.

Spojrzał ukradkiem. Niebieskie oko zajaśniało niepokojąco.

– No co jest, tępa dzido? – Chciał już wyjść, ale się ogarnął. Nie będzie przecież uciekał przed jakimś otumanionym dziwołagiem. – Jaka jest ta laska od wisiora?

– Jest piękna – wyszeptała dziewczyna i zmrużyła niebieskie oko. – Najpiękniejsza z nich wszystkich.

– Bujasz. Aż tak? – Norbert się skrzywił. – Nie wiedziałem, że wujo trzyma tu takie seksi lachony. Dobrze się rucha?

– Pytasz, jaka jest łóżku?

– No, o to właśnie pytam.

– Daje z siebie wszystko.

– No to żeś mi powiedziała...

– Gdy całuje, to jakby muskały skrzydła motyla – płynęła dziewczyna, a jej żółte oko rozwierało się coraz bardziej. – Piersi ma duże i miękkie, szyję gładką, pośladki układają się w kształt serca...

– Dżizas, poetka z ciebie – przerwał jej Norbert. – Gadasz, jakbyś była w niej zabujana. Czyli to jakaś piękność jest?

– To prawdziwa księżniczka...

– Jak się nazywa?

– Ona nie ma imienia. Zapomniała.

Norbert znów przełknął ślinę. Dobrze, że tu przyjechał. Wujo nigdy w życiu nie powiedziałby mu tyle o tej lasce od medalionu. Miał już co prawda dosyć gapienia się na tę dziwną postać przed sobą, bladą, z ledwo widocznymi piegami i spierzchniętymi wargami. W dodatku gdy promienie słońca przenikały przez drzewa i igrały na jej twarzy, to zażółcone oko wyglądało zupełnie jak jakiejś żmii czy czegoś podobnego.

– Spoko jesteś – powiedział, ruszając do drzwi. – Powiedz tamtej, że medalion się znajdzie.

– Coś jeszcze... – rzuciła za nim jakby szeptem.

– No?

– Ona chce, żeby złodziej cierpiał. Ma cierpieć.

– Luz, pocierpi – mruknął Norbert.

– Niech zapamięta, że nie bierze się nieswojego. To go nauczy. Będzie chciała to zobaczyć. Zrobisz tak, żeby zobaczyła?

Pokiwał głową, uśmiechnął się pod nosem, nacisnął złotą klamkę i wyszedł wprost w oślepiające słońce. Nawet nie musiała tego mówić. Od samego tego blasku miał ochotę ostro przyjechać temu włochatemu lamusowi.

– Tego Artura też załatwiłeś? – spytał Andrzej cicho. – Spuściłeś mu łomot na Mazurach?

– Jakiego znowu Artura? – Norbert zamrugał oczami.

– Tego z baru, który rzucił tacą i rozpaprał ci ketchup na bluzie.

– Goblina? Raz go widziałem. Ten bar to był przypadek, bo ja za tym zarciem nie przepadam, Eryku. Więcej go na oczy nie widziałem. Na Mazurach też wtedy nie byłem. Po Igorze wujó kazał mi się z daleka od siebie trzymać.

Andrzej pokiwał głową. Jedna rzecz się przynajmniej wyjaśniła. Chociaż miał coraz większe obawy, że nie będzie już miał szansy komukolwiek tego powiedzieć. Obrócił się i kątem oka zauważył jakiś ledwo dostrzegalny ruch na nieruchomej twarzy Adama, który wciąż wyglądał, jakby przebywał w próżni między gwiazdami.

– A Igor? – spytał.

– Przecież ty już wszystko wiesz – wycedził Norbert. – Widziałeś filmik z karty. Na chuj mam ci to wszystko streszczać?

– Co było na karcie, to było. – Andrzej przełknął ślinę. – Ale dlaczego, tego żaden lektor tam nie wyjaśniał.

Norbert milczał. Podszedł znów do plecaka Adama i wyciągnął dwie butelki z podpałką.

– Nie sądzisz, że Tatko to ma łeb na karku? – Zaśmiał się nieprzyjemnie. – Pewnie przez ten cały czas marzył, żeby w końcu na własne oczy zobaczyć Molten Mana. Też się zeszczasz jak ten włochaty frędzel? Jak masz medalion, to ci podwieszę, będzie full wypas scenografia.

– Nie mam.

– Ale to był *fun*, człowieku. – Norbert wyszczerzył się, odkręcił butelkę i chlusnął na kurtkę Andrzeja podpałką. – Tatko odpadł, to mu umknęło. Różne szczegóły.

Chlusnął znowu, tym razem trafił w twarz.

– Za co go zabiłeś? – wybełkotał Andrzej, a oczy zapiekły go niemiłosiernie.

– Eryku, ty króliku z kapelusza. Będzie lepiej wepchnąć cię tam z powrotem. Oczy wydłubać. Jęzor utniemy na końcu.

– Za co? – Andrzej nie dawał za wygraną.

– Za jajco – syknął Norbert.

Zebrał całą ślinę z ust i wypluł obok butów Andrzeja.

– Jesteś mi to winien, człowieku – brnął Andrzej. – Oświeć mnie. Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie wystarczy, że nazwał mnie pedałem?

Norbert przymknął oczy. Nie czuł się nic winien tej wścibskiej mendzie. Sam nigdy dotąd nie zadał sobie tego pytania.

„Bo chciałem pokazać wujowi, że jestem dobry, okej? Nie traktował mnie poważnie, jak zresztą żaden z tamtych. Chciałem być jak wszystkie te typy z siłowni, silne, mocne. A najlepiej rządzić tym wszystkim. Wuja to nie obchodziło”.

A potem już poszło z góry, amfa daje na srebrnej tacy jednocześnie najlepsze i najgorsze odpowiedzi. Wychodzisz ze swojej nędznej skóry, z odstającymi łopatkami, pryszczami, tłustym nosem i brzydkim uśmiechem. Patrzysz w lustro i widzisz Spider-Mana. Przemieniasz się w showmana, anioła zagłady. Wiesziesz tego chłopaka do lasu, żeby go porządnie nastraszyć i odebrać skradzioną błyskotkę, a w głowie masz superlaskę, która z wdzięczności będzie cię lizać przez kolejne pięć lat, póki ci się nie znudzi. Jeszcze dwa niuchy i nagle zapominasz o tym wszystkim, zapominasz, po co tu w ogóle przyjechaliście, a całe twoje ciało staje się instrumentem w służbie show. Robisz przedstawienie, płyniesz w powietrzu, zdania ulatują z twoich ust bez żadnego wysiłku, choćby jedynym twoim widzem był uwalony w szczynie, gównie i benzynie Igor. I równie przerażony Down Maciek, stojący jak debil z komórką, na której miał się nagrać filmik dla tamtej dziewczyny.

Dopiero po wszystkim, wieczorem, dowiedział się od wuja, że nie było żadnej superlaski. Medalion należał do tamtej. Do tej z dziwnymi oczami. Oszukała go. Zrobiła sobie z niego żart.

– Dosyć tych pytań, kurwa. – Stracił cierpliwość. – Zdechniesz i nie będziesz wiedział. Ze mną nie zrobisz wywiadu na stronę szóstą.

– Nie przyszło ci przez myśl, Norbert, że ja mam to wszystko spisane?

„Śmieszny ten Eryk. Tonący brzytwy się chwyta”.

– Jestem dziennikarzem, piszę. Spisałem to i dałem mojemu redaktorowi. Kapujesz?

Norbert wyciągnął butelkę z podpałką nad głowę Eryka, a potem wycisnął z niej wszystko na jego włosy. Rzucił butelkę w las i odszedł na kilka kroków. Tatko stał za nim, pewnie już gotowy do akcji, z kolejnym rekwizytem ze swojego magicznego plecaka.

– Przyśniło ci się to wszystko. – Norbert wyszczerzył zęby. – Chciałeś pokozaczyć, to żeś pokozaczył. Ale wypadasz z gry. Koniec. Znudziło mi się patrzeć na ciebie.

Żałosny facet przed nim zamknął oczy, a podpałka spływała mu po twarzy i zaczynała powoli gęstnieć. Wokół roznosiła się woń paliwa, przyjemna, metaliczna. Norbert poczuł, że od tego zapachu robi mu się dobrze, bardzo dobrze, opary wnikały mu w nozdrza i pobudzały neurony.

„Żarty się skończyły. Nie masz już nic do gadania, Eryk. Na chuj żeś się w to pchał? I tak nie zrozumiesz anioła zagłady, Spider-Mana i Molten Mana ani zasad rządzących show. Igor może i nie musiał spłonąć. Ale to byłoby tak, jakby ci ucięli zajebisty film tuż przed finałem. Zrozumiałbyś takie coś, Eryk?”

– Adam, błagam cię. – Usłyszał ciche westchnienie.

Zaraz potem poczuł, jak wielkie ręce chwytają go za włosy, odginają mu głowę w tył i ciągną przez piach. Wierzgnął, ale nie zdołał odzyskać równowagi. Chciał krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle. Zobaczył jeszcze przed twarzą maskę porsche Eryka.

A potem oczy zalała mu krew.

Adam dość się już nasłuchał. Eryk też. Norbert nie miał nic więcej do powiedzenia. Dobrze, że wypluł w dłoń te piguły Norberta, gdy tamten zjeżdżał po ślimaku i nie zwracał uwagi. Potem wystarczyło tylko stać, udawać

posłuszne zombie i słuchać, cały czas słuchać. Trzecia droga zbliżała się do końca. Jeszcze tylko jeden mały krok i w końcu dojrzy metę.

Podniósł głowę Norberta i znów huknął nią o maskę. Krew z roztrzaskanego nosa bryznęła na boki, ale skurwiel nie stracił przytomności. Był tylko lekko zamroczony. „To dobrze, to bardzo dobrze”.

Adam dał sobie chwilę na zastanowienie. Będzie musiał zostawić tu Eryka. Niech też ma chwilę na refleksje. Ale nie można go zostawić tak po prostu, chociaż facet nie zobaczy już swojego wypasionego porsche. Ten element planu spadł z hukiem na Adama już w samochodzie, gdy wieźli Eryka do lasu. Głosy na coś się przydały, chociaż raz. „Siedzimy, Adam. I czekamy. Patrzymy. Nasze uznanie rośnie z minuty na minutę”.

Włożył głowę w drzwi i wyciągnął leżącą na podłodze komórkę Eryka. Ruszył z nią do sosny i biednego faceta, którego musiał oszukać. Obejrzał się jeszcze, czy półprzytomne ścierwo siedzące na ziemi przy samochodzie nie będzie próbowało odwalić mu jakiegoś brzydkiego numeru.

– Gdzie chcesz zadzwonić, Eryk? – spytał mokrego od podpałki faceta.

– Rajser. Kamil Rajser.

Adam znalazł w kontaktach Rajsera. Przytknął komórkę do ucha Eryka i czekał cierpliwie, zerkając na jęczącego Norberta.

– Kamil, musisz przyjechać – powiedział Eryk do telefonu drżącym głosem. – Wszystko się zjebało. Musisz natychmiast przyjechać.

Adam zabrał komórkę i zerwał połączenie. Położył telefon pod stopami faceta wiszącego na sośnie. Wyjął z kieszeni sprężynowy nóż i rozłożył go. Ostrze zabłysło w ciemności.

– Rozwiążesz mnie? – spytał z nadzieją Eryk. – Przetnij linki.

Adam nie miał takiego zamiaru. Za to głosy upominały go, by zrobił coś jeszcze, postawił kropkę nad i. Adam sam nie wiedział, po co miałby to zrobić. „Niech pamięta. Niech widzi w lustrze swoją twarz i niech wtedy przypomina sobie ten wieczór. Znak Adama”.

Przytknął ostrze do policzka faceta i pociągnął. Krew spłynęła strużką z podłużnej rany.

– Żegnaj, Eryk.

Przywiązany facet nie odpowiedział. Głosy w głowie Adama zamilkły. Teraz trzeba było zająć się ścierwem. Adam podszedł do plecaka i wyjął dwie pozostałe butelki podpałki. Odkręcił obie, stanął nad Norbertem i je opróżnił. Podpałka rozlała się po włosach, zakrwawionej twarzy, kurtce i spodniach. Adam wyjął z kieszeni zapalniczkę, pstryknął i przejechał niemal przy twarzy tamtego. Norbert patrzył na niego z przerażeniem.

– Wsiadaj za kierownicę – powiedział Adam bez emocji. – Zrobimy sobie wycieczkę.

– Że co? – wybełkotał Norbert.

– Wsiadaj za kierownicę.

Zgasił zapalniczkę i pomógł tamtemu wstać. Wyciągnął z plecaka ręcznik i starł nim z twarzy Norberta trochę krwi i podpałki. Usadził go na przednim siedzeniu porsche. Po cichu zamknął drzwi. Obszedł maskę i usiadł na siedzeniu pasażera.

– Jedziemy.

Norbert trzęsącymi się rękami odpalił silnik. Koła zabuksowały na piachu. Adam po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiechnął się lekko. Wszystko się powoli kończyło. Zdecydowanie lepiej, niż byłby w stanie sobie wyobrazić.

Andrzej patrzył ze strachem na czerwone światła porsche znikające za drzewami. Co oni robią? O co chodzi Adamowi? Chce dokończyć swoją zemstę w jakimś innym ustronnym miejscu. Nie, to nie to. Przecież mógł to zrobić już tu. Związany fioletową linką od prania Andrzej w niczym by mu nie przeszkodził.

Minutę później zagajnik przed nim został rozświetlony przez mocne halogeny. Silnik na niskim biegu zawarczał, a potem zgasł. Trzasnęły drzwi.

– Tutaj jestem – krzyknął Andrzej.

Kamil Rajser zszedł pierwszy z piaszczystej ścieżki i dotarł do sosny. Poświecił latarką na twarz Andrzeja.

– Ja pierdolę – mruknął pod nosem.

– Tak, wiem, Kamil – powiedział Andrzej szybko. – Ale musimy działać. Tych dwóch zajebało mi porsche.

– Żartujesz.



– Ani trochę.

– Feliks, masz ten swój szwajcarski scyzoryk? – krzyknął Rajser do drugiego gliniarza, który stał na ścieżce i patrzył w milczeniu na tę dziwną scenę.

Gliniarz nazwany Feliksem ruszył z miejsca. Idąc, wyciągnął z kieszeni składany zestaw nożyków i śrubokrętów. Podał Rajserowi.

– Nieźle cię urządzili, kolego – powiedział.

Andrzej zaśmiał się histerycznie.

– Nie widzieliście tam pod galerią, że za kierownicą siedzi ktoś inny? – spytał, a pierwsza linka pękła na jego piersiach. – Nie przyszło wam do głowy, że sam z siebie nie jechałbym taki kawał do jakiegoś lasu?

– Nie gadaj tyle – rzucił Rajser, błyskając scyzorykiem tuż przed twarzą Andrzeja. – Plan był jasny i my żeśmy się go trzymali. Więc zamknij się, bo teraz muszę przeciąć na gardle.

Andrzej uniósł głowę i starał się nie oddychać. Rajser przez chwilę piłował linkę. W końcu puściła. Feliks przytrzymał go, kiedy Kamil zajął się nogami.

– Panowie, błagam, jedźmy za nimi. – Andrzej czuł, że zaraz się rozplacze. – Pojechali tamtą ścieżką.

Wskazał na ciemność między drzewami, a Rajser i Feliks spojrzeli po sobie.

– Nagrałeś cokolwiek? – spytał Feliks z chmurną miną.

– Nie, zabrali mi dyktafon już na parkingu.

– Kurwa... I co? Tak po prostu pojechali?

– Nie. Adam, ten większy, zrobił mnie w chuja. Od początku chciał sam zrobić porządek z Norbertem. Rozwalił mu łeb, wsadził go za kierownicę i kazał jechać.

– To może powinniśmy zostawić ich samych sobie? – Feliks stał niewzruszony. – Jedno ścierwo mniej.

– Ale moje porsche...

Rajser oddał Feliksowi szwajcarski zestaw. Podrapał się po policzku.

– Okej, Andrzej – powiedział. – Jedziemy.

– Dzięki.

Wsiedli we trzech do samochodu. Feliks odpalił silnik i halogeny. Ruszyli piaszczystą drogą. Jechali w pełnym napięcia milczeniu przez jakieś dwie

minuty. Andrzej rozglądał się na boki w nadziei, że zobaczy gdzieś czerwone światła porsche albo chociaż ciemną sylwetkę auta ukrytego wśród drzew. Ale niczego nie wypatrzył.

Wyjechali na asfaltową drogę biegnącą wzdłuż trasy szybkiego ruchu. Kilkaset metrów przed nimi ostry zakręt prowadził na wiadukt.

– No i co? – spytał Rajser. – Możemy albo jechać na Wyszków, albo za wiaduktem zawrócić na Warszawę.

Andrzej nie wiedział. Mógł zdać się tylko na swoją intuicję, która ostatnio po wielokroć go zawiodła.

– Jedź na Wyszków – powiedział cicho.

– Szybciej – rozkazał Adam przerażonemu Norbertowi.

Odpalił zapalniczkę i z błogością patrzył na płomień. Ścierwo mrugało wytrzeszczonymi oczami, trzymało drżące dłonie na kierownicy i wciskało pedał niemal do podłogi. Adam spojrzał na okrągły prędkościomierz. Piękny. Czerwona wskazówka dojeżdżała do stu czterdziestu. Jakiś mercedes przed nimi zaczął wyprzedzać ciężarówkę. Chyba dojrzał w lusterku mknącego jak strzała porsche, bo natychmiast zjechał na prawy pas.

„Dopełnia się. Wybacz, synu, twój stary już nie nadaje się do życia. Nawet ta prawda go nie wyzwoli. Za długo to trwało, osiem lat w niewoli głosów. Każdy dzień to było osuwanie się coraz głębiej w mrok. Wyjście z tego zajęłoby pewnie drugie tyle. Nie mam już siły, młody, przepraszam. Zajmie się tobą mój blond anioł stróż, ma w sobie dobroć, ma w sobie blask, którym przykryje twój żal. I jeśli nikt mnie nie oszukał, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to będziecie mieli za co żyć. Pasażerowie nie popełniają samobójstwa. Pasażer to zawsze ofiara”.

– Szybciej. – Zbliżył zapalniczkę do mokrej od podpałki twarzy Norberta.

Ten samotny TIR daleko przed nimi jest okej.

– Daj telefon.

– Co?

– Dawaj.

Włożył rękę pod kurtkę Norberta i wyszarpnął komórkę.

– Co robisz?! – krzyknął Norbert.

Adam nie odpowiedział. Otworzył okno po swojej stronie i wystawił dłoń z telefonem na świszczący wicher. Lewą rękę położył na ramieniu przerażonego ścierwa.

– Dopełniło się...

Zdjął rękę z ramienia Norberta i położył na kierownicy. Ściągnął ją powoli w prawo. Powoli. Bardzo powoli. Norbert puścił kierownicę i krzycząc, zakrył twarz.

Czerwone światła ciężarówki na litewskich rejestracjach zbliżały się do nich coraz szybciej i szybciej. Dla Adama wszystko działało się jakby w zwolnionym tempie. Coraz wolniej i wolniej.

Pomyślał, że jednak fajnie by było zobaczyć, jak młody radzi sobie w życiu. Jak poznaje dziewczynę, a jego blond anioł stróż i on – wyczyszczony z duchów przeszłości – uśmiechają się do nich podczas niezliczonych grillów w ogródku.

Ale było już za późno. Nie miał już na nic wpływu.

Wypuścił telefon za oknem.

„Dzięki, Eryk. Dziękuję. I przepraszam”.

– Żebyś sobie tylko za dużo nie wyobrażał. – Bolek pociągnął nosem.

– Już to słyszałem – mruknął Marcin.

Bolek zwolnił. Wcześniej zjechali z wylotówki, przejechali z półtora kilometra, potem znów skręcili w jakąś ciemną, mało uczęszczaną szosę. Było coraz mniej domów, a coraz więcej lasu.

– Czasy się zmieniły, człowieku. – Bolek rozparł się wygodniej na siedzeniu.  
– Teraz takich domów jest coraz mniej. Dziwki przeszły na internet. Do wyboru, do koloru.

Marcin słuchał w milczeniu.

– Grube, chude, stare, młode, wszystkie się ogłaszają. Jak lubisz, to mogą być w duecie. Chcesz mamuszkę z wielkim obwisłym cycem? Mówisz, masz. Lubisz, jak mają rozstępy? Od chuja takich znajdziesz. Najgorsze są te młode, jak one się tam zwą? Debiutantki. Dwudziestki albo i nie, ubierze się taka w podwiązki i już myśli, że dwie stówy jej się należą. Ani to loda nie umie zrobić...

– Dobra, Bolek, spoko – przerwał Marcin. – Skup się na tym zjeździe.

– Luz blues, facet. – Bolek nie dawał za wygraną. – Wiem, gdzie to było, tylko jakoś tu ciemnawo. Lepsze są te starsze, bo one wiedzą, jak się zabrać do tematu. Nie strzelają focha. No i jeszcze fajne są te niby *girlfriends*, co to można z nimi wino wypić przy świecach przed bzykaniem.

Marcin włożył głowę między dłonie. Bolek gwałtownie zahamował, spojrzął do tyłu i wrzucił wsteczny. Po chwili skręcił w żwirową drogę ciągnącą się przez ciemny mieszany las.

– Tego burdelu to już tu nie ma, stary – powiedział. – Ten gość, który tym rządził, on miał jakiś wypadek czy coś. Na wózku jeździ teraz, pozbył się tych różnych interesów. Nawet nie wiem, co się z nim teraz dzieje.

– To ten, od którego kupiłeś pistolet dla Artura?

– Nie, no co ty – zachnął się Bolek. – Ten na wózku to był taki jakby szef. Ja kupiłem od zwykłego koleżki, takiego, co się tam kręcił czasami.

Światła passata odbiły się od małych ślepi w krzakach na poboczu. Bolek zwolnił do trzydziestki.

– Lisy, kuny, nie lubię przejeżdżać zwierzaków – mruknął. – Dobra, jesteśmy na miejscu.

Skręcił ze zwirowej drogi w niewielką bramę, za którą stał piętrowy budynek, osłonięty z obu stron krzaczastymi zagajnikami. Wyglądał jak uboga wersja cygańskiego pałacyku. W powietrzu unosił się dziś zapach nie rozgrzanej żywicy, jak w scenariuszu, lecz wilgotnej ziemi, a powiewy północnego wiatru co i raz bujały wysokimi trzeszczącymi sosnami. Wzdłuż chodnika stały ogrodowe latarnie z mosiężnymi okuciami. Energooszczędne świetlówki rzucały upiorne światło na płożące się po ziemi, pokryte pajęczyną paprocie.

Marcin uniósł głowę. Ciemne okna na piętrze, gołe, bez kotar. Ktoś najwyraźniej chodził po oświetlonym pomieszczeniu na dole, bo jakiś cień pełzał po żółtej ścianie. Żadnych kobiecych pojękiwań ani męskich przekleństw. Tylko wiatr świszczący wśród drzew.

Bolek podszedł do drzwi, wciąż ze złotą klamką. Farba łuszczyła się na niej i miejscami odsłaniała przerdzewiałą stal. Marcin stanął za Bolkiem, gdy ten naciskał klamkę. Drzwi otworzyły się bezgłośnie.

– Halo, jest tu kto? – zawołał Bolek w głąb ciemnego holu. – Jesteśmy znajomymi Majki.

Po chwili na suficie zapaliły się dwa żyrandole ze świetlówkami. Marcin zajrzał przez plecy Bolka. Pomieszczenie było zakurzone, zapyłone, wyglądało, jakby było w remoncie. Na dużych płytkach terakoty widać było smugi po cemencie. Nie było już baru z drogimi alkoholami, stały tam za to brudne kubły, mieszalnica, wielkie worki i rury PCV.

Z korytarza po prawej wyszedł mężczyzna przed pięćdziesiątką w dzinsach i bluzie z polaru. Duży, trochę niezgrabny, z tłustymi włosami zaczesanymi w krótką kitkę. Spojrzał na Bolka i Marcina badawczo chytrymi oczkami.

– Majki nie ma, wyjechała na parę dni – powiedział. – Macie do niej jakiś interes, panowie?

– Jestem jej starym znajomym – rzucił Bolek z uśmiechem. – Kolega chciał ją popytać o dziewczynę, co tu kiedyś pracowała.

– Już mówiłem, Majki nie ma. – Facet podszedł bliżej. – Remont robię. I pilnuję, do jej powrotu – dodał po chwili.

– Możemy się rozejrzeć? – spytał Marcin. – Tak tylko na moment.

– A bo ja wiem? – Facet otaksował Marcina wzrokiem. – Czy ja wchodzę do twojego domu i pytam, czy mogę się rozejrzeć?

– Zawsze chciałem zobaczyć takie miejsce – ciągnął Marcin niezrażony. – Piszę scenariusz i kolega mi powiedział, że Majka pozwoli mi obejrzeć jakiś pokój.

– Ten kolega tutaj? – Facet spojrzał wilkiem.

Bolek pokiwał głową z głupkowskim uśmiechem.

– Masz jakieś imię, przyjacielu Majki?

– Bolek.

– Bolek, Bolek... Skądś pamiętam.

– Bywało się tu dawno temu.

Facet wciąż wyglądał na nieprzekonanego. Podszedł kilka kroków do ściany i zaczął gładzić dłonią świeży tynk.

– W sumie czemu nie – stwierdził w końcu.

Marcin wszedł w głąb holu. To miejsce nie miało w sobie nic z tajemniczego burdelu sprzed ośmiu lat. Zwykle pomieszczenie w remoncie.

– Co Majka chce tu zrobić? – spytał Bolek.

– Hotel.

– Hotel? – Marcin przekrzywił głowę. – Nie za daleko od... wszystkiego?

Facet podszedł do zgrzewki z wodą mineralną.

– Majka szuka nowych pomysłów. – Wyjął z folii butelkę. – Tamten biznes się skończył, ale Majka dalej lubi te klimaty, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Teraz będzie tu taki hotel, no wiesz, na godziny. Ale Majka myśli też o imprezkach.

– Orgietki? – zainteresował się Bolek.

– Swing, BDSM, co tam ludzie wymyślą. – Facet upił łyk wody. – Teraz, Bolek, w internetach to wszystko ludziom kładą do głów. A ci łykają to jak pelikany,

tylko nie mają gdzie tego robić. No to Majka wymyśliła sobie taki mały hotel za miastem.

Marcin słuchał tego w milczeniu. Facet spojrzał na niego.

– A ty, młody kolego, o jakąś konkretną dziewczynę chciałeś Majkę pytać? – zagaił. – Zakochałeś się w którejś? Nie chce wyjść z głowy numerek sprzed lat?

Marcin się zmieszał. Spojrzał nerwowo na Bolka.

– Chodzi mi o taką jedną, która była tu osiem lat temu.

– Osiem lat, kupa czasu.

– Miała wtedy chyba z osiemnaście lat.

– Jak wiele z nich.

– Miała oczy w różnych kolorach.

Facet nagle dziwnie się spiął. Przejechał kciukiem po palcu, dźwięk pocieranej skóry poniósł się po pustym holu.

– Była taka kiedyś – stwierdził z niezbyt szczerym uśmiechem. – Ale wyjechała. One wszystkie wyjeżdżają, prędzej czy później. A tych, co wołałyby zostać, to ty byś, kolego, kijem nie dotknął.

Marcin chciał już wejść na górę i odwiedzić pokój z granatowymi poduszkami na szerokim łóżku. Przysiąść na chwilę i chłonąć atmosferę, która zainspirowała Artura do napisania sceny prawie jak z filmu Lyncha.

– Możemy wejść na piętro? – spytał.

Facet skrzywił się i odstawił butelkę z wodą na posadzkę obok worków z cementem.

– Co chcesz tam znaleźć, młody przyjacielu?

– W sumie to nic.

– No to może zostaniesz na dole? W sumie.

– Ej, no – wtrącił się Bolek. – W imię starej przyjaźni.

Facet wyglądał, jakby coś rozważał. Przejechał dłonią po włosach, poprawił gumkę na kitce. Spojrzał na Marcina bez sympatii, za to z jakąś dziwną satysfakcją, od której Marcina przeszedł dreszcz.

– Masz pięć minut – powiedział powoli. – A kolega Bolek zostanie ze mną.

Marcin wszedł na pokryte cementowym pyłem schody i po kilku chwilach trafił na wąski korytarz, oświetlony jedną żarówką. Kiedyś na podłodze leżała pewnie miękka wykładzina albo dywan. Zamiast gołej żarówki Marcin wyobraził sobie potrójne kinkiety wiszące nad reprodukcjami kobiecych aktów.

Jakkolwiek tu kiedyś było, nic z tego nie zostało. Było tylko brudno, goło i pachniało świeżym tynkiem. Cztery pokoje po jednej stronie i cztery po drugiej. W większości framug nie było drzwi, tylko na końcu korytarza Marcin dostrzegł jedne jedyne – obite pluszem, zabezpieczone folią, uchylone. Podeszedł tam, pchnął drzwi i wymacał na ścianie kontakt, modląc się, żeby nie poraził go prąd z niezabezpieczonego kabla. Światło zapaliło się i Marcin zobaczył wnętrze.

Było prawie jak w scenariuszu. Tylko normalnie, bez klimatu. Duże łóżko – zwykły mebel z żółtą plamą na materacu. Obok łóżka stara komódka z przekrzywioną szufladą. Wypłowiwały granatowy dywan. Zostały nawet dwie poduszki w kształcie serca, choć z rozdartej poszewki wystawał biały puch. Wszystko stare, nijakie, nie miało w sobie żadnej magii, ani nie fascynowało, ani nie straszło. Marcin widział przed sobą zwykły pokój ze zwykłymi przedmiotami, pachnący kurzem, nieświeży. Nie było tu Artura i jego zapraszającego uśmiechu. Nie było też otępiełej dziewczyny w półprzezroczystej halce ze zbyt luźnymi ramiączkami i w pończochach z czarnymi kokardami w białe groszki.

Marcin patrzył jeszcze przez chwilę. Potem zgasił światło i wyszedł.

– I co? Słabo to jakoś wyszło – mruknął Bolek.

Stali przed budynkiem. Marcin zerknął na komórkę, dochodziła dwudziesta czterdzieści.

– Porażka, nie? – dodał Bolek po chwili. – Ciekawe, jak tam koleś od porsche. Myślisz, że dorwał Norberta?

– Nie mam pojęcia.

Marcin spojrział na ogród. Cichy, pusty. Przygnębiały go te pajęczyny na paprociach. Odnalazł pokój, ale nic mu to nie dało. Na dodatek zniszczyło jego wyobrażenie.

– Chcesz luknąć na ogród? – spytał Bolek.



– Nie.

– Dobra, to ja jeszcze pójde się odlać.

Marcin kiwnął głową, a Bolek odszedł za budynek i zniknął w mroku. Po chwili Marcin usłyszał, jak Bolek sika na coś metalowego, pojemnik albo kontener. Potem to ucichło, ale Bolka dalej nie było, tylko więcej odgłosów – przerzucanych w śmietniku gratów i desek.

– Ty, zobacz. – Usłyszał głos Bolka wychodzącego z mroku. – Patrz, co znalazłem.

Spojrzał w tamtą stronę – Bolek szedł wolno, zapinając rozporek. Pod pachą trzymał jakiś przedmiot.

– No, mówię ci – zaczął Bolek ożywiony i stanął kilka metrów od Marcina. – Tylko odlać się chciałem, a stał tam taki kontener z tynkiem, to myślę, że na niego się odleję. A potem tak sobie myślę, że pogrzebię. Czasem zajebiste rzeczy ludzie wyrzucają. No wiesz, lampa albo krzesło, to by mi się przydało do warsztatu.

Marcin słuchał tej paplaniny i mrużył oczy. Starał się dojrzeć, co Bolek trzyma pod pachą, ale wtedy gość się odsunął.

– No i na wierzchu leżały jakieś kartony – ciągnął Bolek, jakby specjalnie się droczył. – To je wywaliłem na bok. Potem patrzę, stare buty, nie mój rozmiar. Rolka tapety, rozwijam, nie no, nie będę sobie kucyków pony wieszal w warsztacie...

– Do rzeczy, Bolek, zimno się robi.

– A nie do rzeczy. Fotkę mi cyknij, będziesz miał na pamiątkę.

– Żarty sobie robisz?

– Cykaj fotkę, chłopaku.

Marcin podszedł do samochodu Bolka i wyciągnął spod przedniego siedzenia aparat Marty. Po chwili wycelował go w wyszczerzonego mechanika, trzymającego coś przed sobą jak trofeum.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Dopiero wtedy Bolek wyszedł z mroku i wręczył mu starą książkę w porwanej okładce. Marcin spojrzał na nią, przez chwilę nie rozumiał, o co chodzi.

– To chyba Artura – mruknął Bolek.

Marcin podszedł do ogrodowej latarni i przybliżył książkę do światła. To był *Władca Pierścieni*. Pierwszy tom, *Drużyna Pierścienia*. Stare wydanie w twardej oprawie, ze złożonymi literami i biegnącym wzdłuż okładki rządkiem run. Co za pieprzona ironia. Ukochana książka Artura na śmietniku przy starym burdelu.

– No i co? – spytał Bolek. – Opłaciło się odlać, nie?

Marcin przerzucił szybko kartki w nadziei, że może Artur zostawił coś w książce. Jakąś notatkę, zapisek, scenę. Ale między kartkami niczego nie było. Wypuścił głośno powietrze.

Otworzył książkę na stronie tytułowej i coś przykuło jego uwagę. Podsunął jeszcze raz pod światło.

Pod tytułem rozpoznał pismo Artura. Niebieski tusz wyblakł przez lata. Przeczytał i poczuł, że krew odpływa mu z głowy.

– Co tam jest? – spytał Bolek.

– Już wiem, jak nazywała się dziewczyna...

Spojrzał jeszcze raz na to, co osiem lat temu Artur nabazgrał koślawymi literami.

„Alicji – Artur”.

## Osiem lat wcześniej

– Co on zrobił? Co on, kurwa, zrobił?! Kurwa!!!

Słyszała te wrzaski, jakby była uwięziona w kilogramach szeleszczącej plastikowej folii. Wokół działo się coś dziwnego. Te wszystkie krzyki i przekleństwa. Ostry zapach pieczonego mięsa. Jej czaszkę rozsadzał od podstawy potężny ból, jakby dostała bejsbolem. Nigdy jej nie bili, zresztą знаła to uczucie – to był ból powrotu świadomości po kolejnej porcji tamtej trucizny. Bardzo powoli docierało do niej, gdzie jest i co się z nią wcześniej stało. Wszystko było jakby zamglone i nierzeczywiste. Chciała już otworzyć oczy, ale powieki z nią nie współpracowały. Wysyłały tylko błagalne sygnały: „Jeszcze... śpij...”.

Jakieś pomarańczowe światło omiotło jej twarz, bardziej je poczuła, niż zobaczyła. Zdrowe oko zaczęło otwierać się powoli, rozdzierając sklejony tusz do rzęs. Prawe wciąż spało w dziwnym świetle Alicji w Krainie Czarów, gdzie zła Królowa Kier chce obciąć głowę Szalonemu Kapelusznikowi, a koty mówią cichym ciepłym głosem. Czowała, że jeszcze chwila i z powrotem opadnie do tej krainy. Znowu pojawią się te wszystkie bajkowe postacie, z którymi zdążyła się już pożegnać miesiąc wcześniej. „Znowu jesteś... – wyszeptała jej ktoś do ucha. – Dla nas, z nami, o nas, nasza. Czerwone róże, czarne pistolety... Zaśnij... zaśnij kamiennym snem...”

Zmusiła się, żeby otworzyć szerzej lewe oko. Mgła rzedła, pojawiały się szczegóły. Znowu była w tym domu na Mazurach. Siedziała na miękkim krześle, a mimo to plecy i pośladki miała odrętwiałe. Wokół panowało potworne zamieszanie, męskie głosy tworzyły gęstą atmosferę przekleństw i gróźb. Znajdowała się w samym środku pandemium i zupełnie nie wiedziała, z jakiego powodu się rozpętało.

– Dlaczego to zrobiłeś...? Dlaczego...? – spytał słabnącym głosem mężczyzna, którego prawie nie znała. Widywała go przez te lata bardzo rzadko, niemal wcale. Teraz ten ktoś brzmiał, jakby był ciężko chory, jakby uciekała z niego przytomność, może nawet witał się ze śmiercią.

Z całych sił zmusiła się do otwarcia lewego oka i wyostrenia wzroku. Rozejrzała się dookoła, zaczęła rejestrować otaczający ją widok, szczegół po szczególe.

Na podłodze kilka kroków od niej leżał ten mężczyzna o słabnym głosie, spod jego pleców rozlewała się plama krwi. Okulary w złotych oprawkach leżały obok głowy. Wokół rannego kłębiło się dziesięciu mężczyzn, wysokich i niskich, muskularnych i chuderlawych. W ich pokrzykiwaniach wyczuła strach. Czuli, że ta cała wściekłość jest jakby na pokaz, że zachowują się jak wilczki, którym ktoś nagle zabrał przywódcę stada. Jedni tłoczyli się przy rannym, próbowali go cucić i ocierali jego mokre czoło chusteczkami. Drudzy krzyczeli w kierunku drzwi.

Spojrzała tam i głośno westchnęła.

Przy drzwiach. Z pistoletem. To był on.

Artur.

Stał w mroku, tylko oczy mu błyszczały. Rozwarte nieruchomo, jak ślepiec demona. Śledzące każdy ruch. Przeszywające. Poczuli smutek. To nie były oczy tego Artura, którego znała. Wyglądał, jakby z pełną świadomością skoczył z najwyższej góry w przepaść i wciąż leciał. A lecąc, mocował się z Balrogiem, jak Gandalf w kopalniach Morii.

– Chciałem cię tylko postraszyć, chłopaku – szepnął ciężko ranny mężczyzna. – Dlaczego to zrobiłeś...?

Miała już na tyle czysty umysł, żeby jeszcze raz objąć całą sytuację spojrzeniem. Ranny mężczyzna umierał. Jego ludzie nie wiedzieli, co dalej robić. Artur stał w mroku i...

...trzymał w dłoni wycelowany w zgromadzonych mężczyzn pistolet.

– Trzeba wezwać lekarza – odezwała się cicho.

Z grupy wyszedł facet, dużo większy od reszty. Poznała go, gdy tu przyjechała. Łysy, nieprzyjemny, ale na brzydkiej twarzy zachował oznaki myślenia. Popatrzyła na niego przeciągle i postanowiła, że to będzie jej kontakt. Ucięte ucho. Muskule. Oczy orka. Żaden inny. Tylko z nim będzie rozmawiać. Walet Kier.

– Jak mamy wezwać lekarza, skoro ten chuj do nas celuje? – wycharczał Walet Kier.

– Dajcie mi z nim wyjść – powiedziała.

– Chcecie po prostu wyjść?

– Po prostu... Zajmijcie się tamtym. On umiera. Czuję to.

– Że jak niby czujesz?

– Wierz mi, wiem, jak to jest.

Faceci popatrzyli po sobie. Walet Kier nie wyglądał na przekonanego.

– I co zrobicie? – spytał.

– Nie wiem, wymyśl coś – odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

Tamten spojrział na nią jak porażony. Jakby nie spodziewał się z jej strony takiego wyzywającego tonu. Gdzieś w głębi poczuła strach, że ryzykuje. Ale nie miała nic do stracenia.

Walet Kier wciąż gapił się na jej różnokolorowe tęczęwki. Wiedziała, że jej zdrowe oko przenikało go teraz chłodem, ale nad chorym nie panowała. Chore wchłaniało go w nieznaną mu przestrzeń. „Nie patrz w prawe – poprosiła go w duchu. – Patrz w lewe, tam odnajdziesz chłód, ale i rozum. W prawym jest zguba, jest tylko Wielki Sen. Nie zasypiaj!” – krzyczała w duchu do Waleta Kier.

– Umiesz prowadzić? – spytał w końcu.

– Nie umiem. Spytaj jego. – Wskazała na Artura.

– Umiesz prowadzić, chuju?

Pogrążony w mrocznej katatonii Artur wycelował pistolet w kierunku krzyżącego. Walet Kier przełknął ślinę.

– Grzeczniej, proszę – szepnęła. – Tracimy cenny czas.

Facet znów na nią spojrział. „Patrz w lewe. Tam znajdziesz rozum”.

– Posłuchaj mnie, hej! – zaczął jeszcze raz Walet Kier. – Mamy tu taką sytuację. Strzeliłeś do naszego szefa. On nam tu zaraz wykituje. Jeśli umiesz prowadzić, to kiwnij.

– Niech kiwnie dwa razy – szepnęła, czując, jak ogarnia ją jakaś nieznaną moc. Jeszcze nigdy w życiu nie miała tak krystalicznie czystego umysłu. „Lady Galadrielo, daj mi siłę...”

– Twoja laska mówi, że jak umiesz prowadzić, to żebyś kiwnął dwa razy. Słyszysz?

Czarne oczy Artura bardzo powoli nabierały wyrazu. Powracał z głębin. „Jeszcze chwila – pomyślała – i jakiś mięsień drgnie mu na twarzy i spadnie z niego ta przerażająca maska”.

– Słyszysz mnie czy nie? – wrzasnął facet zniecierpliwiony.

Sięgnęła słabą dłonią i położyła ją na ramieniu faceta.

– Nie psuj tego teraz, proszę – powiedziała cicho.

Artur nieznacznie skinął głową dwa razy. Miał szkliste oczy, w ich kącikach dostrzegła wzbierające łzy. Nie mógł się teraz rozkleić. „Dasz radę, chłopaku. Zrobisz, co

ci mówię, i być może oboje ocalimy skórę”.

– Artur... – Postarała się, żeby usłyszał jej głos. – Nie opuszczaj broni, słyszysz? Oni nie chcą... nie chcą ci zrobić krzywdy. Ale nie opuszczaj pistoletu. On jest teraz twoim przyjacielem – powiedziała bardziej w stronę mężczyzn niż Artura. – Ty, ja i pistolet wyjdziemy za chwilę z tego domu. Jeśli opuścisz pistolet, to bardzo się zmartwię. Nie lubisz przecież, kiedy się martwię, prawda?

Artur kiwnął.

– Podejdz powoli – mówiła dalej spokojnym głosem, czując, że płynie sponad niej, a nie z niej, jak wiatr, jak dziwna energia. – Wyciągnij rękę. Ten człowiek da ci kluczyki. Kluczyki od samochodu. Potem pozwoli nam wyjść. Pozwoli wyjść. Oni zajmą się tym panem, tym, do którego strzeliłeś. Ten pan jest bardzo chory i potrzebuje pomocy. Bez ich pomocy on umrze. A jeśli umrze, do końca życia będą się zastanawiać, dlaczego zajęli się chłopcem i dziewczyną, a nie nim.

– A... Aaa... – wybulgotał nagle ciężko ranny mężczyzna.

Spojrzała na niego miękko.

– Alicja – powiedziała bez nienawiści.

Mężczyzna pokręcił głową.

– A... – szepnął i stracił przytomność.

– Ratujcie go.

Wstała powoli, a sceneria wokół zaczęła żyć własnym życiem, jak w ulu. Krew zaczynała krążyć w jej kończynach, widziała już wszystko w niemal doskonałej ostrości. Mężczyźni wbiegali i wybiegali z holu, do kuchni i z powrotem, szukali bandaży, ktoś dzwonił na numer alarmowy. Ten chaos Alicji nie przeszkadzał. Wiedziała, że póki czar rzucony na Waleta Kier nie pryśnie, będą bezpieczni. Wielki mężczyzna z uciętym uchem wyciągnął w stronę celującego do niego Artura kluczyki.

– Który to samochód? – spytała Alicja.

– Białe audi – odpowiedział niepewnie Walet Kier. – Pod siedzeniem jest przycisk od immobilizera.

Wzięła Artura pod ramię i powoli zaczęła go prowadzić do drzwi. Szedł tyłem, z pistoletem przed sobą. Przemierzali tak kolejne metry, a mężczyźni rzucali im martwe spojrzenia, pozbawione złości, może tylko odrobinę zdziwione, że wciąż jeszcze tu są.

*Dotarli do drzwi. Alicja puściła Artura i się odwróciła. Już miała nacisnąć klamkę, gdy usłyszała za plecami chrapliwy głos Waleta Kier.*

*– Myślisz, że wygrałaś? Jak to sobie wyobrażasz, ty i ten twój fagas? I tak was znajdziemy. Dobrze wykorzystajcie ten czas.*

*Odwróciła się, powoli i z namysłem, żeby jeszcze raz zobaczyć jego twarz. Jej lewe zdrowe oko wpatrywało się długo w każdy szczegół, każdą zmarszczkę, błyszczącą łysinę, kształt nosa, wydatną brodę upstrzoną niedogolonymi włoskami. W jego zwalistą postać, jakby ulepioną z błotnistej gliny. I ten dziwny kształt ucha, jakby ktoś ciachnął tasakiem.*

*Tak wyobrażała sobie orki.*

*Jej prawe oko się przymknęło. Chciało odpocząć. Sięgnęła do klamki.*

*Wyszła z Arturem z budynku i stanęła na chwilę jak urzeczona.*

*Noc była piękna i ciepła. Lipcowa mazurska noc.*

*Być może ich ostatnia.*

KONIEC CZĘŚCI I

## Źródła cytatów:

William Shakespeare, *Otello*, przeł. Leon Ulrich.

*Bajki Ezopa. Dzieło dla szkolnej młodzieży przeznaczone z krótkim opisem życia autora*, wyd. 1831.

The Beatles, *Good Night* (John Lennon / Paul McCartney).

*Manifesto*, reż. Julian Rosefeldt, 2015.



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Osiem lat wcześniej

## **CZĘŚĆ I. PISTOLETY**

Piątek, 6 października, 8:05

1

Sobota, 7 października, 8:40

2

3

Niedziela, 8 października, 6:30

4

5

Poniedziałek, 9 października, 9:31

6

7

Wtorek, 10 października, 2:40

8

9

Środa, 11 października, godz. 8:57

10

11

12

13

14

Czwartek, 12 października, 6:16

15

16

17

18

19

Piątek, 13 października, 13:40

20

21

22

Sobota, 14 października, 9:46

23

24

25

Osiem lat wcześniej

Źródła cytatów